BEZ RETUSZU

DARIUSZ
GIZAK

Tajemnice
plutonów specjalnych milicji

By(i)łem w ZOMO

Cinderella Books

TAJEMNICE ODDZIAŁÓW SPECJALNYCH MILICJI

BY(I)ŁEM W ZOMO

BEZ RETUSZU

DARIUSZ GIZAK

BY(I)ŁEM W ZOMO

TAJEMNICE ODDZIAŁÓW SPECJALNYCH MILICJI

Cinderella Books

Projekt okładki: *Henryk Piecuch, Andrzej Zasieczny*
Zdjęcie na okładce: *Tomasz Michalak*
Redakcja: *Andrzej Zasieczny*
Korekta: *Bożena Zasieczna*

© Copyright by Dariusz Gizak
© Copyright by Agencja Wydawnicza CB

Zdjęcia ze zbiorów Tomasza Michalaka

ISBN 83-86245-35-2

Agencja Wydawnicza „Cinderella Books"
Andrzej Zasieczny
02-495 Warszawa, ul. Kolorowa 1
tel./fax: 668-49-34

Wydanie I
Ark. wyd. 17,0; ark. druk. 22.0
Skład i łamanie: Agencja Wydawnicza CB
Druk i oprawa: Agencja Wydawnicza CB

Od Wydawcy

Proponuję Państwu książkę niezwykłą, jedyną w swoim rodzaju – fabularyzowany zapis przeżyć młodego chłopaka, który służył w latach 1984–1985 w plutonie specjalnym milicji w Katowicach.

Zapewne nigdy nie słyszeliście o elitarnych jednostkach milicji, nie mieliście pojęcia, że odegrały one istotną rolę m.in. w okresie obowiązywania stanu wojennego w latach 80. To na pewno pierwsza w Polsce (a zapewne i w byłych tzw. państwach socjalistycznych) książka, uchylająca rąbka tajemnicy okrywającej w czasach PRL wojsko i aparat przymusu, a w szczególności oddziały specjalne.

Jestem jednak przekonany, że książka ta niesie głębsze wartości. To książka dla prawdziwych mężczyzn, a także dla kobiet, które chcą zrozumieć swoich mężczyzn. Życie bohatera, młodego chłopaka, jakich wielu wokół nas, potoczyło się w ten sposób, że dopiero służąc w plutonie specjalnym milicji odkrył czym jest prawdziwa męska przyjaźń, co znaczą słowa: lojalność i honor, wewnętrznie zaś dojrzał do tego, by narażać własne życie dla ratowania kolegi, a zarazem przyjaciela. Myślę, że właśnie nad tym warto się zastanowić...

Wiele osób znajdzie w tej książce sceny ze swojego życia. Jeżeli niektóre epizody wydają się Państwu nieprawdopodobne, to polecam lekturę cyklu **Tajna historia Polski**, publikowanego od 1996 r. przez Agencję Wydawniczą CB (dotąd ukazało się sześć opasłych tomów). Tam znajdziecie dokumenty, relacje świadków, wywiady z generałami i oficerami MSW. Zapewniam, że będzie to lektura o wiele bardziej wstrząsająca niż relacja Dariusza Gizaka.

Andrzej Zasieczny

Tego dnia, gdy byłem zajęty przygotowaniami do codziennego treningu wpadł do mnie Marek. „Wpadł" to bardzo dobre określenie, gdyż nawet nie usiadł, tylko od razu zaczął:

– Wybierasz się w jakieś konkretne miejsce dzisiaj? – mówiąc to chodził po pokoju.

– Może wyskoczę gdzieś na dyskotekę. Planów nie mam – odpowiedziałem obserwując jego nerwowe kroki. Myślał nad czymś intensywnie. Nagle usiadł koło mnie i zaczął:

– Słuchaj. Szykuję dzisiaj wyjazd do Jarzębówki. Byłem tam tydzień temu i poderwałem całkiem niezłą dziewczynę. Potańczyłem z nią trochę. Ona tam jest tylko w soboty i niedziele u dziadków. Fajnie nam się gadało, ale miejscowe kolki dali mi wyraźnie do zrozumienia, że mam się od niej odczepić… – zawiesił głos na chwilę, patrząc na mnie.

– Mów dalej.

– Wkurzyło mnie to, ale nie bardzo mogłem się stawiać. Byłem tam tylko z bratem. A on… Sam wiesz…

No tak, jego brat niewiele by mu pomógł, gdyby doszło do awantury. Chudy patyk w okularach, z rączkami jak pianista. Krótko mówiąc, sam intelekt. Chłopa zero.

– I co? Musiałeś dać do tyłu? – spytałem.

– A było inne wyjście? – odparł Marek ponuro.

Na samo wspomnienie, że musiał ustąpić zagrały mu mięśnie szczęk, tak mocno zacisnął zęby.

– Miałeś rację, Mareczku. Czasami tak trzeba – pocieszyłem go i dodałem:

– Może trafią się oni u nas, to sobie odbijesz.

– Ale widzisz, Darek, chodzi o tę dziewczynę. Bo tego…

Zaczerwienił się jak piwonia. Musiało go nieźle trafić. Chłopisko metr osiemdziesiąt, klata jak u byka, bo kulturystyka, którą uprawia od paru lat zrobiła swoje. A tu siedzi czerwony jak panienka i wyłamuje paluchy, nie wiedząc jak powiedzieć, że mu się dziewczyna podoba. Jeszcze go takiego nie widziałem.

– Co? Taka ładna?

– Chłopie, żebyś ty ją widział. Mówię ci, jaka laska. I pogadać jest o czym, i miła – sam miód.

– No to czemu do niej w tygodniu nie podskoczyłeś?

– Po pierwsze, ona przyjeżdża tu tylko na soboty i niedziele. A po drugie nie wziąłem adresu.

– Krótko mówiąc, trzeba tam dzisiaj jechać – podsumowałem.

Zaczynał mi się podobać ten dzień. Myślałem, że będą normalne nudy, a tu od rana szykuje się niezła awantura. Już kilka razy niewiele brakowało, a złapalibyśmy się z chłopakami z Jarzębówki. Po prostu my mieliśmy mocną paczkę i oni też. Kiedyś musiało dojść do zwarcia, bo spotykaliśmy się co jakiś czas na różnych zabawach i dyskotekach. Sytuacja była o tyle niekorzystna, że mieliśmy jechać do nich. Na swoim terenie będą śmielsi, my zaś, w przypadku przegranej, będziemy w gorszym położeniu, bo daleko od domu i dłużej trzeba uciekać. Kilka miesięcy temu już mieliśmy taką przygodę. Nie dość, że dostaliśmy lanie, to trzeba było jeszcze siedem kilometrów zasuwać na piechotę, oglądając się za siebie, czy nas nie gonią.

– Jakiś samochód by się przydał, żeby nie było potem jak w Garbowie.

– Samochód będzie i to nie jeden. Ja już od rana latam. Gruby Tadzio bierze od Starego Żuka, ja Fiata, a Smolińscy swoje „Syreno".

– Uu. To nas trochę będzie.

– No pewnie. Od nas Słonio, Tadek, Sylwek, Piotrek, Wojtek i Paweł. No i my obaj... Smolińszczaki biorą jeszcze Zbyszka Baranowicza i Krakowiaka. Ty może byś ściągnął tych dwóch swoich kumpli, którzy byli ostatnio z nami. Bufet ja płacę.

– Coś taki bogaty?

– Stary pieczarki sprzedał – uśmiechnął się.

Jego ojciec znany był z tego, że gonił chłopaka do roboty, ale jak dobrze poszła hodowla, to grosza mu nie skąpił. Mówił często przy różnych okazjach: „Jak pracuje, to i wyszumieć też się musi". Drugiemu z synów jednak nie chciał nic dawać, bo mu nie pomagał. Czarka wychowywała matka i szykowała go chyba na jakiegoś profesora, bo wszędzie opowiadała jakiż to on jest mądry i utalentowany. Efekt tego podziału był taki, że chłopcy rośli zupełnie do siebie niepodobni. Żyli jednak, w odróżnieniu od rodziców, w najlepszej zgodzie. Czarek odrabiał za Marka lekcje, za co Marek odpalał mu część pieniędzy i bronił, gdy zaszła potrzeba.

– To co, ściągniesz tych swoich? – przerwał moje rozważania.

– Dobra. Tylko trzeba podjechać na siłownię.

– Mam samochód, to możemy już skoczyć.

Pół godziny później byliśmy z powrotem u mnie w domu. Chłopcy byli chętni do takich eskapad. Gdy dowiedzieli się, że Marek płaci w bufecie nie kryli swego entuzjazmu. Do wieczora było jeszcze kilka godzin, więc na razie rozstaliśmy się. Postanowiłem trochę poćwiczyć, a Marek gdzieś jeszcze miał pojechać z ojcem. Wykonując seriami kopnięcia w worek, zastanawiałem się, czy nam ten wyjazd wypali. Paczka była niezła. Gru-

by Tadzio od kilku lat odnosił sukcesy w dżudo. Ja po dwóch latach trenowania karate zainteresowałem się kung-fu i ćwiczyłem je już trzeci rok. Smolińscy cały czas udzielali się jako karatecy. Z siłowni udało się ściągnąć dwóch nieźle zbudowanych sztangistów. Jeśli dodać do tego Marka kulturystę, Słonia, Piotrka i Pawła – rugbystów, to można się o nic nie martwić. Reszta chłopaków też była całkiem niezła i w niejednej awanturze brała udział. Trochę się jednak niepokoiłem. Z doświadczenia wiedziałem, że czasami różnie bywa, jak się cała wieś skrzyknie. Powyrywają sztachety z płotu i nie pozostaje nic innego tylko wiać. Z drugiej jednak strony, już dawno miałem ochotę na przetrzepanie skóry tym z Jarzębówki. Nie dość, że u siebie się stawiali, to potrafili jeszcze szarogęsić się nie na swoim terenie. Po dzisiejszej zabawie może im przejdzie.

Przed szóstą byłem już wypachniony i wystrojony. Musiałem poczekać jednak jeszcze prawie godzinę, nim rozległo się trąbienie przed blokiem.

– Tadziowi żuk nawalił, ale już zrobiliśmy – wyjaśnił mi Marek.

Byliśmy w komplecie. Niektórzy już trochę podpici. Przed salą w Jarzębówce było jeszcze pustawo. Samochodów niewiele, na sali zaledwie parę osób. Zaczęliśmy od bufetu. Marek postawił kolejkę. Było kilku chłopaków z miasta. Obiecali, że jak się coś zacznie, to staną za nami. Toż ostatecznie swoi z tego samego miasta, więc muszą. Miejscowych prawie nie było. Pomijając oczywiście kilku podstarzałych kawalerów z gatunku tych, których pełno na zabawach w całej Polsce – w niemodnych już ciuchach, bez szans na poderwanie jakiejkolwiek dziewczyny i pijących ostro od samego początku. Z reguły już przed północą leżeli pijani albo kiwali się ledwo mogąc utrzymać równowagę. Zawsze było mi ich trochę szkoda. Byli dla mnie symbolem przegranych ludzi. Zostali z rodzicami na tzw. gospodarce, a która dziewczyna zechce zaryć się gdzieś na wsi i w wieku trzydziestu lat wyglądać na pięćdziesiąt. Przeszliśmy na salę. Na środku kręciło się kilka par. Dziewczyn trochę przyszło, można więc było się pobawić. Śmieszyła mnie zawsze łatwość z jaką szło podrywanie na wiejskich zabawach. Wystarczyło ubrać się w modne ciuchy i wyglądać na chłopaka z miasta, a dziewczyny już oglądały się za takim, udając, że są całkiem obojętne. Tak było i teraz. Po wejściu naszej ekipy (naliczyłem czternastu) na sali od razu widać było ożywienie. Dziewczyny stojące do tej pory pod ścianami zaczęły odruchowo poprawiać włosy i stroje. Coraz któraś zaśmiała się sztucznie, głośno, chcąc zwrócić na siebie uwagę.

– No! Gdzie ona? – spytałem Marka.

– Cholera! Nie ma jej jeszcze. Ale przyjdzie, bo się z nią umawiałem na dzisiaj.

– To tym razem adres weź, bo jak dzisiaj tutaj nadymimy, to za tydzień trzeba będzie montować dwa razy taką ekipę – poradziłem mu.

Roześmiał się tylko i pokiwał głową, że tak zrobi.

Jeden z notorycznych kawalerów, już pijany, uparł się, że będzie tańczył z dziewczyną, która rozmawiała z Sylwkiem. Popchnął go i złapał dziewczynę za rękę. Podszedłem

szybko do nich, a z drugiej strony momentalnie znaleźli się obaj ciężarowcy. Na szczęście przytomniejszy kolega awanturnika zobaczył co się święci. Przeprosił za niego i wyholował go z sali. Dziewczyna rozejrzała się po koleżankach, czy wszystkie widziały jak się chłopcy z miasta o nią prawie biją. Teraz Sylwek powinien powiedzieć jej, że się zakochał od pierwszego wejrzenia. Rzucić mimochodem coś o mieszkaniu w bloku i że się wybiera na studia i już można na następnej zabawie liczyć na dużo. Głupie te dziewczyny, aż strach. Albo głupie, albo tak bardzo chcą uciec ze wsi, pomyślałem jeszcze nim zauważyłem Marka triumfalnie wchodzącego z naprawdę atrakcyjną blondynką.

– No, no. Rzeczywiście wyłowił cacuszko! – powiedziałem do stojącego obok mnie Tadzia.

– Trzeba zacząć uważać. Idę, powiem chłopakom w bufecie – mruknął jak zwykle poważny i rzeczowy aż do przesady.

Miał rację, część naszych poszła do bufetu, a już byli miejscowi. Stali przy drzwiach i rozglądali się po sali. Zerkali też na Marka i dziewczynę. Zwłaszcza jeden gapił się na nich prawie cały czas. Idąc za jego wzrokiem też zacząłem się przyglądać. A było na co popatrzeć. Dziewczyna jak laleczka. Uśmiechała się cały czas do Marka, wisząc u jego boku. Ten dumny z siebie, wyprostowany sprawiał wrażenie jeszcze lepiej zbudowanego niż w rzeczywistości. Wrażenie potęgowało to, że dziewczyna była niska i drobniutka. Razem tworzyli jednak bardzo ładną parę. Gdy patrzyłem na nich w trakcie tańca, poczułem zazdrość. Wpatrywali się w siebie chyba naprawdę zakochanym wzrokiem i prawdopodobnie nie wiedzieli co się dzieje dookoła nich. Wziąłem coś spod ściany do tańca i zacząłem się kręcić, żeby być bliżej Marka. Swojej dziewczyny dzisiaj celowo nie brałem. Po co ma patrzeć na awanturę. Przewidywałem zresztą, że zabawa długo nie potrwa, więc przyjechała by na darmo. Na razie jednak, o dziwo, na nic się nie zanosiło. Tadzio zgonił chyba wszystkich z bufetu. Sam stanął pod ścianą i patrzył spode łba na tych z Jarzębówki. Lubiłem go za tę jego powagę i praktyczność. Solidny chłopak, jak przyjechał się tłuc, to nie rozgląda się za dziewczynami, tylko ocenia przeciwnika. A przeciwników przybywało. Trochę tańczyli, ale najwięksi zawadiacy stali przy wejściu i o czymś żywo dyskutowali. Po chwili całą grupą wyszli. Pewnie do bufetu – pomyślałem. Podleją sobie i się zacznie. Akurat umilkła muzyka, więc zostawiłem dziewczynę i zacząłem się przesuwać do wyjścia. Nawet się jej dobrze nie przyjrzałem. Odwróciłem się. Stała z koleżankami i patrzyła na mnie. Nawet niebrzydka. Jak nic się nie zacznie, trzeba będzie się zakręcić, pomyślałem uśmiechając się do niej. Też błysnęła ząbkami. No, no.

Chciałem przejść do bufetu zobaczyć co tam się dzieje, ale tłok był taki, że nie mogłem się dopchać do środka. Bufet urządzono w oddzielnym pomieszczeniu, ale było za małe, więc kłębił się tam bez żadnego porządku tłum chłopaków, przepychających się między sobą. Postanowiłem poczekać, aż muzyka zacznie grać, wtedy może zrobi się

luźniej. Stanąłem z boku i dopiero teraz zauważyłem, że cała paczka z Jarzębówki stoi nie przy bufecie tak jak myślałem, ale pod płotem między drzewami. Spostrzegłem ich w takim momencie, że udało mi się dosłyszeć dźwięk odbijanego korka od butelki z winem. Któryś walił ręką w denko, ale chyba słabo mu to szło, bo uderzyć musiał kilka razy. Akurat wtedy zaczęła grać muzyka i nie mogłem się zorientować, czy mu się udało otworzyć to wino, czy nie. Moja niepewność nie trwała długo, bo po upływie jakichś dwóch minut zobaczyłem jak pusta butelka pofrunęła nad płotem. Jednocześnie od grupy odłączyła się jakaś sylwetka i zaczęła zmierzać w stronę bufetu. Gdy był bliżej i wszedł w światło jedynej zapalonej przed salą lampy, zobaczyłem, że to Kuba. Jedyny z tej paczki, którego znałem.

Przeszedł koło mnie i wszedł do środka. Nie mógł mnie zauważyć, gdyż stałem w cieniu. Poszedłem za nim, bo zrobiło się luźniej. Czekając na okazję dopchania się do kontuaru zerknąłem po półkach na zaopatrzenie. Wcześniej nie miałem ku temu okazji, bo wódkę zamawiał i przynosił Marek. Nie zdziwiłem się. Oferta była zwyczajna: wódka, wino, piwo, oranżada i na zakąskę słone paluszki, ciastka, cukierki i papierosy. Nagle moje obserwacje przerwała jakaś szarpanina tuż przede mną. Dwóch chłopaków ciągało się za klapy. Nie wiedziałem o co poszło, ale widząc ich jak przepychają się do wyjścia wiedziałem, że potrzebują więcej miejsca do bójki. Wykorzystując zamieszanie, szybko dopchnąłem się do kontuaru i kupiłem piwo. Wyjście na zewnątrz było łatwe, bo wszyscy wychodzili popatrzeć. Chłopcy, nieźle podpici, ciągali się za ubrania i czasami któremuś udało się uderzyć. Przewrócili się w końcu i zaczęli kotłować po ziemi. Pomyślałem, że jak się teraz ktoś wtrąci i zacznie ich rozdzielać, to bójka może się rozszerzyć. Bardzo często tak bywało. Nie tym razem jednak, gdyż jakoś wstali i wczepieni nawzajem w swoje ubrania zaczęli jeden drugiemu coś tłumaczyć. Po chwili podali sobie ręce i poszli do bufetu. Pewnie wypić za zgodę. Wcale to nie znaczy, że już dzisiaj nie będą się bić. Za godzinę mogą dojść np. do wniosku, że coś jest nie tak i zaczną od nowa. Chyba, że wcześniej tak się spiją, że nie dadzą rady.

Na sali zastałem sytuację bez zmian. Chłopcy tańczyli. Marek ze swoim blondziakiem też. Jedynie obaj Smolińscy stali w kącie jacyś niewyraźni. Powędrowałem do nich lawirując między tańczącymi.

– Coście tacy smutni? ! – wywrzeszczałem pierwszemu do ucha.

– Tańczyć się nie chce! Zadymy nie ma! – odkrzyknął.

– Poczekaj! Nie tak szybko! Jeszcze pewnie będzie!

– Obiecujesz? ! – roześmiał się.

W tej samej chwili pożałowałem tego, co powiedziałem, bo pokazał mi ręką na Marka, który już trzymał za klapy jednego z chłopaków z Jarzębówki. Przepychając się razem ze Smolińskimi w jego kierunku zastanawiałem się jednocześnie: już go rąbnął z główki czy się powstrzymał ze względu na dziewczynę. Uderzeniem głową Marek za-

czynał każdą bójkę, a wiele z nich od razu zakończyło się w ten sposób. Tym razem jednak zdążyłem się dopchać nim się zaczęło. W samą porę, bo obie paczki były już w komplecie gotowe do bijatyki. Brakowało tylko tego, kto pierwszy zacznie.

– Spokój, kurwa! – wydarłem się włażąc w środek.

Nie chciałem uspokoić nikogo, bo taki krzyk i tak by nic nie dał. Chciałem tylko, żeby zwrócili na mnie uwagę i to mi się udało.

– Jak mają coś do siebie, to niech wyjdą na solówkę i się walą – próbowałem skierować całą sprawę na wygodne dla mnie tory. Wygranej Marka byłem pewny, bo jego przeciwnik nie wyglądał na kozaka. To samo pewnie spostrzegł chłopak z Jarzębówki, który ruszył do przodu ze słowami:

– Tak to nie będzie…

Chciał chyba jeszcze coś powiedzieć, ale nie zdążył, bo Zbyszek Baranowicz trzasnął go pięknym hakiem w szczękę. W tym momencie zakończyły się moje mediacje, zwłaszcza że Marek jednym uderzeniem głową pozbawił przytomności swojego przeciwnika. Potwierdziły się więc moje przypuszczenia, że nie jest to jakiś zabijaka, a gdyby doszło do pojedynku, zwanego tutaj „solówką", Marek szybko by się z nim rozprawił. Nie czas było jednak na takie rozważania, bo i do mnie podbiegł jakiś chłopak. Śmiać mi się chciało, bo biegł od razu z prawą ręką odwiedzioną do tyłu, jakby wykonywał już zamach do uderzenia. Zanim mnie sięgnął zawczasu przygotowaną ręką, kopnąłem go w żołądek. Zwinął się, łapiąc za brzuch, więc dostał pięścią w twarz i było po kłopocie. Rozejrzałem się za następnym, ale już było po wszystkim. Z mocnego składu Jarzębówki kilku leżało na podłodze, a reszta uciekła z sali. Z naszych jeden Słonio oberwał w nos i tamował teraz krew chusteczką. Potem dopiero okazało się, że Krakowiak ma podbite oko, bo wcześniej nawet nie czuł kiedy dostał.

Wyszliśmy na zewnątrz, zobaczyć gdzie są niedawni agresorzy. Nie było nikogo, więc… do bufetu. Marek zadowolony, trzymając przy boku swoje blond cudo, postawił kolejkę, potem drugą, potem jeszcze po piwie. Pijąc, przesunąłem się bliżej niego:

– Adres wziąłeś? – spytałem.

– Nie… – odpowiedział, śmiejąc się.

– A w łeb chcesz? – zażartowałem.

– Co, znowu będziecie się bić? – zaświergotało dziewczę.

– Nie! On żartuje. To kolega – odpowiedział Marek. – Ale adres swój to mi musisz dać rzeczywiście, bo cię do następnej zabawy znowu nie zobaczę.

– A jak nie dam? – dziewczyna zalotnie przechyliła główkę.

– To cię do następnej soboty nie puszczę – powiedział, łapiąc ją w pół i podnosząc do góry.

Zostawiłem ich, bo mój pęcherz dawał rozpaczliwe znaki, że jest pełny. WC jak zwykle na zabawach mieściło się pod murem budynku i w okolicznych krzakach. Wybrałem

krzaki. Wychodząc z nich zauważyłem, że w moją stronę idzie dwóch chłopaków. Ponieważ było ciemno, nie wiedziałem, czy to znajomi, czy nie. Przez chwilę pomyślałem, że idą pewnie w krzaki tak jak ja przed chwilą. Ta złudna nadzieja zaraz jednak prysła. Zatrzymali się i wyraźnie czekali na mnie. Podchodząc zaczynałem powoli rozróżniać rysy twarzy. No pewnie! Mój przyjaciel Gawron. Ze dwa miesiące temu biliśmy się na zabawie w Kołątkach i dostał porządne baty przy całej swojej paczce. Teraz pewnie będzie chciał się zrewanżować. Głupie bydlę. Uparł się wtedy, że mi dołoży i teraz nie może sobie darować. Jak zwykle rękawy podwinięte, bo przecież musi pokazać jak ma ręce porżnięte i wytatuowane. Na gębie i szyi też pełno różnych kropek i obrazków. Pamiątka po kilku latach spędzonych w więzieniu.

Podchodziłem powoli do nich, zastanawiając się, czy nie zaatakować pierwszy i nie zdobyć przewagi. Pomyślałem jednak, że mogę się wygłupić. Przecież nie są chyba na tyle durni, żeby napaść na mnie we dwóch, kiedy jest cała nasza paczka. Nawet jeśli im teraz uda się dołożyć mi, później chłopaki łby im pourywają. Pokrzepiony tą myślą byłem już prawie pewny, że chcą tylko pogadać ze mną. Byli już blisko, jakieś pięć metrów ode mnie, gdy ten drugi zapytał:

– To ten?

– Tak – odpowiedział Gawron.

Widziałem już dokładnie obu, koleżkę Gawrona pierwszy raz w życiu. Trzeba uważać, bo nie wiadomo co potrafi, zdążyłem pomyśleć w ostatniej chwili. Doskoczył do mnie i próbował uderzyć. Zrobiłem unik i odskoczyłem w bok, kopiąc jednocześnie w twarz Gawrona. Jak zwykle oferma nawet nie zdążył zorientować się o co chodzi, a już poleciał na ziemię półprzytomny. Drugi z przeciwników okazał się bystrzejszy, albo po prostu był bardziej trzeźwy. Z serii jego uderzeń pięściami nie dotarło do mnie żadne, bo udało mi się zablokować wszystkie, ale sam też nie mogłem go trafić. Uciekł mi nawet przed błyskawicznym kopnięciem w żołądek. Musiał coś trenować, bo jego zejścia z linii ciosów były całkiem fachowe. A może by tak łokciem w zwarciu – pomyślałem i już byłem przy nim. Zamarkowałem pięścią na głowę i pociągnąłem łokciem od dołu. Z całej siły, tak żeby zakończyć walkę jednym uderzeniem. Nabrał się i udało mi się trafić w sam środek szczęki. Takiego uderzenia łokciem nikt nie przetrzyma i on też nie należał do wyjątków. Padł na plecy z rozłożonymi rękoma.

Stałem dysząc po tej przeprawie. No! Udało się. Gdyby mnie we dwóch zbombardowali przy tych krzakach, pewnie wylądowałbym na parę dni w szpitalu.

Nagle, aż zdrętwiałem całkowicie zaskoczony, gdy ktoś złapał mnie od tyłu za szyję próbując jednocześnie przegiąć w swoją stronę. Przysiadłem i przerzuciłem go przez siebie. Majtnął w powietrzu nogami i łupnął plecami o ziemię aż zadudniło. Gawron! Mój błąd. Zajęty bójką zapomniałem całkiem o nim. Szybko doszedł do siebie, albo za słabo go trafiłem. Ciekawe, czy wstanie? Pochyliłem się nad nim, chcąc zobaczyć, czy ma

otwarte oczy. Upadł na plecy bez żadnej amortyzacji. Po takim wysokim rzucie powinien stracić przytomność, przynajmniej na chwilę. Oczy miał zamknięte, ale gdy pochyliłem się nad nim zdążyłem zobaczyć błysk otwierającego się z trzaskiem sprężynowego noża. Machnął ręką na oślep do tyłu i wbił mi go w udo nim całkowicie zaskoczony zdążyłem cokolwiek zrobić.

Przeszył mnie potworny ból i, klękając z bólu za jego głową, wymierzyłem ręką w twarz. Same błędy! przebiegło mi przez myśl, bo poczułem jak pięść trafia w krtań zamiast w nos. Uderzenie było bardzo silne, bo klękając poparłem je ciałem. Gawron zaharczał i puścił nóż, który pozostał wbity w moim udzie.

Odkuśtykałem na bok i usiadłem, nie wiedząc co robić. Rękoma trzymałem się za udo i patrzyłem przerażony na tkwiący w nim nóż. Ni go wyciągnąć, ni zostawić w spokoju. Na filmach nie raz widziałem jak twardziele z grymasem bólu na twarzy wyciągają nóż lub strzałę z rany. Tak było tylko na filmach. Ja siedziałem i po prostu patrzyłem na nóż, bojąc się go dotknąć. Na szczęście od strony bufetu ktoś nadbiegał. Pierwszy był przy mnie Piotrek:

– Co się stało? – spytał, kucając przy mnie.

– Gawron z kumplem przypilnowali, aż będę sam i chcieli mi dowalić przy tych krzakach – wystękałem.

– To wiem, bo taki małolat przyleciał do bufetu i powiedział, że się bijesz. Ale co z tobą? … O kurwa!

To ostatnie powiedział, gdy zauważył nóż. Pozostali chłopcy otoczyli mnie kołem.

– Który to tak? … – wychrypiał przejęty Tadzio.

– Gawron – stęknąłem.

– Ja go zaraz… – Podszedł do leżącego i trzymającego się za gardło Gawrona.

– Ty z nim coś nie tego. Dusi się. Gdzieś go walnął? – spytał.

– W gardło – wykrztusiłem próbując wstać.

Tadzio obmacywał gardło Gawrona. Potem odciągnął mu głowę do tyłu i dał się słyszeć chrapliwy odgłos wciąganego powietrza.

– Z nim trzeba do szpitala. Ma krtań złamaną. Z tobą też trzeba jechać. Cholera! – denerwował się. – Co tu robić?

– Ja Darka zawiozę na pogotowie, a do tego trzeba wezwać karetkę – powiedział Marek.

W tym czasie ktoś ocucił kolegę Gawrona, więc Marek wyjaśnił mu:

– Dzwoń po karetkę do swojego kumpla. Jakby co, to nie wiesz jak to się stało i kto tu był. Zrozumiałeś? – mówił do niego, trzymając za koszulę na piersiach i przyciągając do siebie.

Ten pokiwał głową i gdy go Marek puścił poszedł w kierunku remizy.

– Spadamy, bo jak z karetką gliny tu przyjadą, to lepiej jeśli nikogo z nas nie będzie.

Podprowadzili mnie do Marka fiata. Gdy powoli wsiadałem, nóż sam wysunął się z rany i wypadł na ziemię. No i po kłopocie – odetchnąłem. Byłem zdziwiony, że nie krwawię. Pewnie ze strachu, ale to lepiej, bo nie zapaskudzę Markowi samochodu. Byliśmy już blisko miasta, gdy minęła nas pędząca na sygnale karetka. W pogotowiu udało się, bo nie było żadnej kolejki. Lekarz obejrzał ranę, dał zastrzyk i przygotowywał się do zszywania, czekając, aż znieczulenie zacznie działać. Pielęgniarka zapisywała moje personalia i spytała:

– Jak się pan skaleczył?

– Skaleczył? – uśmiechnął się lekarz. – Przecież nożem gdzieś na zabawie dostał. Jak dwa razy dwa, to dziura po nożu. Prawda?

– Tak – odpowiedziałem.

Nagle zrobiło mi się ciepło i słabo. Zobaczyłem, że po udzie zaczyna spływać krew. Dobrze, że położyli mnie, bo pewnie bym zemdlał.

– O, przestał się bać, to i krew się pokazała – podsumował lekarz.

– Gdzie byłeś na zabawie? Pewnie w Jarzębówce, bo tam przed chwilą karetka poleciała – gadał, zaczynając szyć.

Nic nie odpowiedziałem. Czułem lekkie pieczenie, gdy wbijał igłę. Biorąc pod uwagę, że całe udo rwało mnie jakimś tępym bólem, szycie odebrałem jako bardziej nieprzyjemne niż bolesne.

– Gdzie to się stało? – spytał jeszcze raz.

– Tu niedaleko. Na ulicy – kłamałem.

– Taak? Kto to zrobił?

Czułem, że nie wierzy, ale co tam.

– Nie wiem. Pijany jestem – odpowiedziałem.

– Pana sprawa – skwitował i przestał się odzywać.

* * *

W domu szybko położyłem się spać. Matka i ojczym znowu wyjechali, więc nikt mi nie zadawał niepotrzebnych pytań. Wrócą w niedzielę wieczorem, a wtedy już pewnie będę mógł jako tako chodzić i zmyślę jakąś bajkę dla matki. Lekarz z pogotowia dał mi na poniedziałek skierowanie do chirurga, który wystawi mi zwolnienie. Nawet się ucieszyłem, że mam minimum na dwa tygodnie szkołę z głowy. Gorzej przyjąłem świadomość tego, że treningi mam przynajmniej na miesiąc do tyłu. Pocieszałem się tylko myślą, że przez ten czas będę z konieczności mógł podciągnąć trochę technikę rąk. Od pewnego czasu mistrz zwracał mi uwagę, że nogi są moją kartą atutową w walce. Natomiast na temat uderzeń rękoma powiedział, że są ledwo poprawne. Teraz sobie nad nimi popracuję. Przecież nie muszę nawet stać, żeby ćwiczyć niektóre techniki rąk. Równie dobrze mogę to robić na siedząco.

Nie wiem, ile godzin spałem, bo kładąc się nie spojrzałem na zegarek. Obudził mnie najpierw dzwonek, a później dobijanie się do drzwi. Na zegarku była dopiero godz. 6.00. Co za bałwan dobija się do mnie o tej porze – pomyślałem wyskakując z łóżka. Ajajaj! Aż się spociłem, taki ból szarpał moje udo. Pokuśtykałem, klnąc w myślach wszystkich porannych gości. Otworzyłem drzwi z głośnym: „Co jest?" – i zdębiałem.

– Milicja – odpowiedział jeden z dwu mundurowych stojących przed drzwiami. Razem z nimi był jeszcze jeden po cywilnemu, który machnął mi czymś przed nosem. Nie zauważyłem dobrze co to było, ale chyba legitymacja. Wszyscy trzej najpierw przez moment gapili się na moją zabandażowaną nogę, a potem weźli do środka. Sprawdzili, że nikogo więcej nie ma w mieszkaniu i rozsiedli się w pokoju. Jeden mundurowy cały czas pilnował drzwi, ale i pozostali sprawdzający mieszkanie co chwila zerkali na mnie. Chyba bali się, że ucieknę. Idioci! Z drugiego piętra z rozharataną nogą!

Cywil kazał mi usiąść koło niego przy stole i wyciągnął jakieś papiery. Poprosił o dowód osobisty. Coś tam wpisywał i się zaczęło:

– Co ci się stało w nogę? – padło pierwsze pytanie.

– Nożem dostałem na mieście – zełgałem od ręki.

– Gdzie to było i o której?

– Nie pamiętam. Pijany byłem.

– Nie pamiętasz? Tak? – pisał szybko. – A kto cię uderzył?

– Nie wiem. Jacyś chłopcy mnie zaczepili. Chcieli pieniędzy. Zacząłem się z nimi bić i dostałem. Nie pamiętam jak wyglądali, bo było ciemno i pijany byłem – ciągnąłem naprędce wymyśloną legendę.

Denerwowałem się coraz bardziej. Jeżeli dalej będzie tak wypytywał, to w końcu się zaplączę. Gliniarz był stanowczo za dokładny.

– Kto cię zawiózł na pogotowie? – rzucił następne pytanie, uważnie patrząc na moją reakcję.

– Nie wiem. Jakiś facet widział całe zajście. Zatrzymał się i kiedy zobaczył, że mam nogę rozciętą, to mnie podwiózł.

Wiedziałem, że na pogotowiu Marka nikt nie spisał, więc dodałem jeszcze:

– Może on wam powie jak było. Trzeźwy był, to pewnie więcej pamięta.

Siedziałem zadowolony z siebie, że jak na razie udaje mi się sensownie odpowiadać mimo coraz większego zdenerwowania. Ręce mi drżały, więc wsadziłem obie dłonie między nogi i ścisnąłem kolanami. Żeby tylko nie zauważył! Żeby tylko nie zauważył! Drgnąłem kiedy usłyszałem następne pytanie:

– Kiedy byłeś w Jarzębówce na zabawie?

– Wcale... – wyrwało mi się, ale błyskawicznie uznałem to za głupie. – To znaczy byłem chyba ze dwa miesiące temu.

– A wczoraj? – spytał z uśmieszkiem.

– Nie, wczoraj nie byłem – kłamałem, ale sam słyszałem, że głos mi drży.

W ogóle cały się już trząsłem i byłem mokry od potu. W mieszkaniu przecież nie było gorąco, siedziałem tylko w podkoszulku i gaciach, więc skąd ten pot? Chyba ze strachu. Ciekawe, czy gliniarz widzi jak się denerwuję? Na pewno widzi. Musiałby być ślepy, żeby nie widzieć. Ciekawe, o co teraz zapyta. Patrzy w te papiery i kombinuje. Takie myśli przebiegały mi jak błyskawice przez głowę. Po prostu pojawiały się, denerwowały jeszcze bardziej i znikały.

– Podpisz tutaj!

Krzyknął znienacka, a ja aż podskoczyłem na krześle.

– Coś taki nerwowy? Denerwował się będziesz na komendzie. Ubieraj się. Pojedziesz z nami.

Byłem już gotowy do wyjścia, gdy wyjął kajdanki:

– Dawaj ręce do tyłu – powiedział.

– Panie władzo, po co te bransoletki? Sąsiedzi zobaczą i będzie plotek od metra – poprosiłem.

– Nie gadaj, tylko dawaj. Po tym co o tobie słyszałem powinienem cię zakuć gdy tylko tu weszliśmy.

Mówiąc to trzymał w ręce kajdanki, uderzając nimi o drugą dłoń.

– Dajesz sam, czy mamy ci założyć na siłę? – warknął w końcu.

Obaj mundurowi przysunęli się bliżej mnie. Nie było wyjścia. Przecież nie będę się z nim szarpał, a tym bardziej bił. Dosyć już kłopotów i bez tego. Zastanawiałem się co takiego i od kogo mógł słyszeć gliniarz na mój temat. Czyżby któryś z chłopaków sypnął? Nie, to niemożliwe. Milicjant coś gdzieś tam słyszał. Zablefował, a ja się przejmuję.

Oczywiście, wychodząc do radiowozu zauważyłem kilka twarzy w oknach. Gdy matka przyjedzie, przynajmniej nie będzie miała kłopotu z ustaleniem gdzie jestem.

Przez szybę w tylnych drzwiach nyski patrzyłem na uciekającą drogę. Jeśli Gawron się przekręcił, to posiedzę ładnych parę lat. Myślałem o tym i zrobiło mi się nagle strasznie szkoda wszystkiego. Matki, ojczyma, mistrza, a nawet szkoły. Cholera. Przez głupie nietrafienie w zęby, tylko niżej spaprałem sobie życie. W to, że jakoś się wykręcę przestałem wierzyć. Przecież naopowiadałem bzdur temu cywilowi, a on tylko się uśmiechał, a i tak zabrał mnie do komendy. Mają już pewnie wszystko czarno na białym, bo nawet nie upierał się przy tym przesłuchaniu, tylko pisał wszystkie głupoty jakie mu mówiłem, tak jakby to nie miało znaczenia.

W komendzie długo musiałem siedzieć w pokoju z jakimś sierżantem, który w ogóle nie zwracał na mnie uwagi, tylko pisał coś na maszynie. Trwało to chyba godzinę, a może tylko piętnaście minut, czas mi się dłużył niemiłosiernie.

Ubierając się włożyłem zegarek do kieszeni kurtki zamiast założyć na rękę. Skuty nadal do tyłu nie mogłem go wyjąć i sprawdzić godziny.

– Panie władzo, która jest godzina? – spytałem najgrzeczniej jak umiałem.

– Twoja ostatnia – burknął znad maszyny.

Wierciłem się na krześle. Niewygodnie było jak diabli. Ani się oprzeć porządnie, ani podrapać po nosie kiedy zaswędzi. Siedź człowieku i denerwuj się. Chciało mi się palić, ale jak tu wyjąć papierosy? Wykombinowałem w końcu, że jak mnie zaprowadzi do WC, to będzie musiał zakuć mnie w kajdanki do przodu. Przecież nie będzie mi sam rozpinał rozporka i… Chyba, że to jakiś pedał. Wzdrygnąłem się na samą myśl, że mogłoby mnie coś takiego spotkać.

– Panie sierżancie, do kibla chcę iść…

– A ja do raju. Siedź i mi dupy nie zawracaj. Zaraz cię stąd zabiorą. – Znowu zaczął stukać w maszynę. Rzeczywiście niewiele czasu minęło, gdy przyszedł ten sam milicjant po cywilnemu, który przywiózł mnie z domu.

– Panie władzo, pan mi założy te kajdanki do przodu. Palić mi się chce jak diabli i wrzynają mi się w ręce.

– A nie będziesz się wygłupiał? – spytał, spoglądając na mnie.

– Czy ja się wygłupiam? Przecież od początku jestem potulny jak baranek.

Bez słowa przełożył mi kajdanki do przodu. Rozcierałem nadgarstki, bo teraz zapiął trochę luźniej. Wyjąłem papierosy, gdy schodziliśmy po schodach na dół.

– Zapali pan? – wyciągnąłem paczkę w jego kierunku.

– Nie palę. A ty też pal szybko, bo zaraz wchodzimy.

Zatrzymaliśmy się przed drzwiami jakiegoś pokoju. Zaciągnąłem się tak gwałtownie, że aż zakręciło mi się w głowie. Z braku popielniczki popiół strzepywałem na podłogę.

– Dobra. Zgaś tego peta, wchodzimy. O tam – pokazał mi metalowy kosz stojący po drugiej stronie korytarza.

Zaciągnąłem się jeszcze dwa razy i zgasiłem o ścianę kosza. Weszliśmy do pokoju, w którym było kilka osób. Zdjął mi kajdanki i kazał stanąć pod ścianą obok dwóch młodych chłopaków. Pozostali byli chyba milicjantami, bo zachowywali się swobodnie. O czymś gadali. Dwóch siedziało za biurkiem. Zerknąłem na chłopaków, obok których stałem. Jakieś „cześki" ze wsi. Jeden tak pijany, że miał kłopoty z ustaniem na nogach. Wychylał się do przodu, a gdy zaczynał tracić równowagę, cofał do tyłu. Przeginało go na ścianę. Odbijał się od niej plecami i cała operacja za chwilę powtarzała się od nowa. Drugi stał spokojnie. Spojrzał na mnie, ale zaraz znowu opuścił głowę. Czekałem niecierpliwie co będzie dalej. Żadnego ze stojących razem ze mną chłopaków nie znałem i nie pamiętałem z zabawy. Może byli na niej, ale jakoś ich nie zauważyłem.

– Będzie przeprowadzone okazanie – powiedział gruby milicjant, podchodząc do mnie. – Możesz sobie stanąć gdzie chcesz. W środku, czy z boku jako pierwszy, albo zostać tu gdzie jesteś.

– W środku – powiedziałem.

– No to stań tam.

Chciałem być w środku. Jeśli ten, który będzie rozpoznawał, nie będzie pewny, to może wybrać pierwszego z brzegu, czyli tak jak stałem do tej pory, a tak może nie rozpozna. Ciekawy byłem kto jest tym, który będzie rozpoznawał. Może Gawron żyje i to on przyjdzie? Sądziliby mnie wtedy tylko za pobicie, a jego za nóż i szanse byłyby wyrównane. Rozczarowałem się jednak. Zamiast Gawrona wprowadzony został do pokoju jego kolega. Ten, który pierwszy mnie zaatakował. Poznałem go, ale i on mnie, bo prześlizgując się wzrokiem po stojących pod ścianą, aż drgnął, gdy spojrzał na mnie. Spuścił zaraz wzrok i stał, nie patrząc na nikogo.

No to, panie Darku, jest pan ugotowany na miękko – pomyślałem. – Świadka mają i teraz nie wykręcisz z tego bigosu.

– Czy wśród okazanych mężczyzn rozpoznaje obywatel tego, który w dniu wczorajszym pobił Andrzeja Gawrona?

– Tak, rozpoznaję. To ten w środku – wydukał, nie patrząc na mnie.

– Po czym świadek go rozpoznaje? – pytał dalej milicjant.

– Po twarzy, po sylwetce…

Chłopak był mocno speszony i dopiero gdy skończyła się cała procedura podniósł wzrok. Środek brody zdobił mu piękny siniak koloru dojrzałych jagód.

Jakoś lżej mi się zrobiło, gdy to zobaczyłem. No! Przynajmniej w tym przypadku sprawy nie spieprzyłem i trafiłem idealnie. Ma za swoje, kapuś pieprzony. Postanowiłem, że kiedy wyjdę z pudła to go odszukam i jeszcze dołożę za to rozpoznanie. Najpierw sam zaczyna, a później wielki świadek się z niego robi.

Na razie jednak zemstę musiałem odłożyć na później. Czekało mnie przesłuchanie. Zdecydowałem się mówić prawdę bez zbyt długiego zastanawiania się. Ten palant mnie rozpoznał, pewnie opisał też całą bójkę, to co ja mam ukrywać?

Przesłuchiwał mnie grubas, który prowadził okazanie. Pisał to, co mu mówiłem, bardzo rzadko dopytując się o szczegóły. Opowiedziałem wszystko po kolei. Pominąłem jedynie z kim i w jakim celu pojechałem na zabawę. Po co chłopaków w to mieszać? Kilka razy pytałem grubasa co z Gawronem, ale nie chciał mi powiedzieć. Dopiero, gdy skończył przesłuchanie, wyjaśnił mi:

– Gawron pół godziny temu żył, gdy dzwoniłem do szpitala. Jest dalej nieprzytomny po operacji i nie mogą go obudzić.

– A operację miał na co?

– Na krtań. Aż do Warszawy go zabrali, bo u nas lekarze nie chcieli się podjąć.

– Jasna cholera! Nie chciałem…

– Teraz to nie chciałem. Zawsze tak mówicie. Tłuczecie się ile wejdzie. Myślisz, że to pierwsza sprawa z tych zabaw? Co niedzielę coś jest. W sądzie teraz nagonka, to i wyrok ci pewnie dowalą niezły.

– Jak to nagonka? – spytałem coraz bardziej wystraszony.

– No na tych co na zabawach rozrabiają. Walą grube wyroki na postrach.

Nic już więcej nie chciałem wiedzieć. Z jednej strony cieszyłem się, że Gawron żyje, a z drugiej wolałbym wiedzieć co będzie ze mną.

Grubas zaprowadził mnie do aresztu.

– Posiedzisz trochę. Do jutra może się wyjaśni. Jak odzyska przytomność, to go w Warszawie przesłuchają i dopiero będziemy myśleć co dalej. A jak się przekręci, to pojedziesz rano do prokuratora i on już dalej będzie decydował – powiedział mi na pożegnanie.

Zabrali mi pasek od spodni, sznurowadła, klucze, pieniądze, dokumenty. Na szczęście, zostawili papierosy. Bez nich pewnie bym zwariował do rana.

Myślałem, że w celi oprócz mnie jeszcze ktoś będzie. Bałem się trochę, że trafię między jakichś recydywistów i będą wstawiali głupie teksty.

Gdy okazało się, że będę siedział sam, uznałem, że już wolałbym recydywę niż takie samotne dumanie. Ani do kogo gęby otworzyć, ani zagadać, tylko myśli kotłujące się po głowie i papieros jeden za drugim. Dobrze, że miałem przy sobie dwie paczki.

Z obiadu i kolacji nie tknąłem nic oprócz kawy zbożówki i wody z kranu pitej podczas wizyt w WC. W nocy po długich męczarniach i przewracaniu się z boku na bok udało mi się w końcu zasnąć. Całe szczęście, bo kończyły mi się papierosy, a w głowie miałem taki mętlik, że niewiele brakowało, żebym zwariował.

Z celi na górę zabrał mnie znowu ten sam tęgi gliniarz. Jeszcze na dole zakomunikował mi dobrą nowinę:

– Gawron się ocknął i, niestety, będzie żył.

– Dlaczego niestety? – spytałem, oddychając z ulgą.

– Bo szczerze mówiąc wolałbym, żeby zdechł. Nie lubię gnoja i tyle. Roboty nam nadal niemało swojego czasu. Myślałem, że już będzie spokój. – Zamyślił się na chwilę, idąc schodami w górę i dodał: – Matka czeka na ciebie u mnie w pokoju.

Rzeczywiście, siedziała zapłakana. Zaczęła chlipać jeszcze głośniej, gdy mnie zobaczyła. Tak już byłem umęczony tym wszystkim, że nawet mi jej nie było szkoda, tylko zastanawiałem się, czy przyniosła papierosy. Natomiast grubas zaczął matkę pocieszać:

– Niech się pani nie martwi. Może jeszcze go jakoś z tego wyciągnę.

Nastawiłem uszu. Czyżbym się przesłyszał? Grubas ma mnie zamiar wyciągnąć? Zaświtała mi iskierka nadziei. A już całkiem mnie zatkało, gdy matka się odezwała:

– Widzisz, Wojtek, jednego go mam. Sam rozumiesz, że jak pójdzie siedzieć…

Matka do gliniarza mówi po imieniu. Ten gada, że będzie mnie wyciągał. Co tu się dzieje, do cholery? Nic nie rozumiałem.

– Idę do szefa porozmawiać, pani Alu. Może będzie jeszcze wszystko dobrze.

Wyszedł. Ja natomiast dopiero teraz uświadomiłem sobie, że prowadząc mnie z celi nie założył mi kajdanek. Teraz też zostawił samego w pokoju z matką. Wczoraj pilnowali jak najgorszego bandytę, a dzisiaj taka odmiana.

– Mamo, skąd go znasz? – spytałem.

– Toż całą podstawówkę uczyłam go polskiego. Ale ty lepiej powiedz jak twoja noga. Mówią mi, że cię pokaleczyli.

– Noga w porządku. Tylko bandaż muszę zmienić, bo brudny i od wczoraj nie zmieniany.

Siedzieliśmy dalej w milczeniu, czekając na powrót milicjanta. Popatrzyłem na matkę. Widać było po twarzy, że jest zmęczona i w nocy chyba nie spała. Siedziała oklapnięta na brzegu krzesła, wpatrując się w swoje ręce. Pewnie znowu brała relanium i dlatego taka otumaniona, pomyślałem. Taką samą ją pamiętam po ogłoszeniu stanu wojennego. Też wtedy wzięła relanium i wszystko do niej docierało z opóźnieniem.

Drzwi się otworzyły i wszedł grubas.

– Nie jest za dobrze, ale może coś się da zrobić. Nakłamałem szefowi. Chłopak porządny, mówię. Planował, że pójdzie pracować w milicji. Przyłał złodziejowi trochę za mocno i teraz są kłopoty.

– Dziękuję, Wojtuś.

Ładny mi Wojtuś, pomyślałem. Ze sto kilo wagi. Mało nie prychnąłem śmiechem, gdy powiedział, że planowałem pracę w milicji. Matka tyle lat w „Solidarności", a ja milicjant! Ładne jaja!

– Wszystko teraz zależy od tego, co tamten zeznał. Zaraz będę dzwonił do Warszawy i będziemy wiedzieli, pani Alu. Ale szef dał jeden warunek. Mogę pani syna wyciągnąć z tego, jeśli zgodzi się na pójście do wojska, do ZOMO. Z Wojewódzkiego Urzędu przysyłają mu pisma, że mają mało chętnych i on chce przy okazji się wykazać.

– Jak to do ZOMO? – spytała matka, podnosząc głowę.

– Na dwa lata wojsko odsłużyć, a później, jak zechce, może zostać dalej, a jak nie, to nie. Mnie się też wydaje, że tak by było lepiej. Schować chłopaka na jakiś czas. Przecież o tej bójce musiało być głośno. Jak on zniknie, to nie będą wiedzieli, czy w wojsku, czy siedzi i nie będą gadać.

– Ale on ma w tym roku maturę – zaprotestowała słabo matka.

– Nic na to nie poradzę. Jak szef się uprze to koniec. Bez jego zgody nic nie mogę ruszyć.

Tłumacz się, tłumacz, pomyślałem. Sam napleciałeś bzdur, że chciałem pracować w milicji, szef się na to złapał i teraz problem.

Jak dla mnie, wszystko za szybko się działo. Dopiero byłem mordercą, bandytą, a teraz mam iść do ZOMO. Jak w pociągu. Tak zasuwa, że tylko stacje migają.

– Wiesz, Wojtek, co ja myślę o ZOMO? – spytała matka.

– Wiem, ale innego wyjścia nie ma. – Naburmuszył się grubas.

Ona jeszcze gotowa posłać mnie do więzienia, byle bym tylko do tego ZOMO nie poszedł, pomyślałem. Tutaj mi się otwiera furtka, że mnie nie posadzą, a ona zaczyna mieszać. Przez te jej opozycyjno-solidarnościowe bzdury może się wszystko rozłożyć.

Wiedziałem, że coś muszę szybko zrobić. Nie chciałem się rozstawać z myślą o tym, że uda mi się wykręcić z tej sprawy i nie będę siedział.

– Zgadzam się na to ZOMO, tylko niech pan załatwia, żebym wyszedł z tej sprawy – powiedziałem.

Oboje spojrzeli na mnie jakby dopiero teraz zauważyli moją obecność. Podszedłem do matki.

– Mamo, dwa lata to nic wielkiego. I tak wcześniej czy później musiałbym iść do wojska, a szkołę dokończę potem, na wieczorówce.

– Chłopak ma rację, pani Alu – skwapliwie poparł mnie grubas i dodał:

– Wie pani, nie wiadomo jak by było w sądzie. Teraz jest nagonka na te awantury na zabawach. Jakby podciągnęli pod usiłowanie zabójstwa, to i dziesięć lat mógłby dostać. Mnie się wydaje, że lepiej te dwa lata w ZOMO odsłużyć. Parę groszy chłopak zarobi sobie i na przepustki będzie przyjeżdżał.

– Wiem, wiem. Tylko z tych nerwów sama nie wiem co robić.

– W każdym razie, idę dzwonić do Warszawy. Może się okazać, że gadamy na próżno i nic nie da się zrobić.

Matka po jego wyjściu siedziała i patrzyła na mnie. Kulejąc, chodziłem po pokoju. Denerwowałem się.

– Nie masz, mamo, papierosów?

– Mam, mam. Poldek mi w ostatniej chwili włożył do torby, bo nawet bym nie pomyślała. Wiesz co ja przeżyłam? Z początku nie wiedziałam co się stało. Tylko, że zabrała cię rano milicja. Dopiero później przyjechał ten twój kolega Marek i opowiedział mi wszystko.

– Przepraszam, mamo.

– Za co tu przepraszać? Broniłeś się i tyle – wzruszyła ramionami. Wstała i przycisnęła mnie do siebie. Znowu zaczęła płakać. Mnie też łzy zakręciły się. Gdy już się trochę uspokoiła, wyjęła papierosy z torebki i dała żebym zapalił.

Minuty mijały, a grubas Wojtek nie wracał. Wyglądałem przez okno, paląc papierosa. Okno było okratowane i dodatkowo zabezpieczone siatką. Będę przez parę lat wyglądał przez takie kraty, czy też uda się jakoś wykręcić? Minęło już chyba z pół godziny gdy poszedł. Odruchowo chciałem spojrzeć na zegarek, ale zobaczyłem pusty przegub. No pewnie. Zegarek musiałem oddać przed wprowadzeniem do celi. Już otwierałem usta, żeby zapytać matkę, która godzina, gdy drzwi się otworzyły i wszedł Wojtek.

– No! Jest całkiem nieźle – poinformował jeszcze w drzwiach. Operacja Gawrona udała się. Zeznał, że po pijanemu przewrócił się na płot ze sztachet. A w ogóle nie pamięta co się na zabawie działo, bo był pijany.

– A co jemu? Coś z głową nie tak po tej operacji? – zdziwiłem się.

– Nie. Właśnie z głową wszystko w porządku. Boi się o to pchnięcie nożem. Pewnie nawet nie wie, gdzie cię trafił. Przecież uderzyłeś go zaraz potem, prawda?

– No tak.

– Widzisz, on czuł, że w coś trafił i pewnie myśli, że albo zabił, albo że leżysz w szpitalu i dlatego tak zeznaje – wyjaśnił mi.

– No to teraz nie ma sprawy. Ja go nie skarżę o ten nóż, on mnie o gardło i nic milicja do nas nie ma.

– Bystry ten pani chłopak, pani Alu – powiedział, śmiejąc się do matki i zaraz zwrócił się do mnie:

– Niestety, tu się mylisz. Mamy zeznania kolegi Gawrona i twoje, i po prostu poszlibyście siedzieć obaj. On za użycie noża, a ty pewnie za usiłowanie zabójstwa. Tak zamierzałem zrobić, dopóki twoja mama nie przyszła.

Ostudził mnie jak wiadrem zimnej wody. Rzeczywiście, mogli posadzić nas obu.

– No i co teraz? – zapytałem.

– Teraz pojedziemy do WUSW-u do kadr podpisać dokumenty do ZOMO, a przez ten czas przywiozą z powrotem tego świadka, który cię rozpoznał.

Cwaniak. Najpierw podpisz, a później cię wypuścimy. Żebym się przypadkiem nie rozmyślił.

Matka została w pokoju grubasa, a ja razem z nim pojechałem do WUSW-u. Wnętrze tego budynku wcale nie przypominało siedziby milicji. Dywany, kwiaty, szerokie schody i ogólna czystość stanowiły rażący kontrast ze starym obskurnym budynkiem komendy. Gdyby nie przechodzący korytarzami ludzie w mundurach, pomyślałbym, że to normalny biurowiec.

W kadrach jakiś suchy, mumiowaty urzędas dał mi do wypełnienia kilka dokumentów. Cały czas opowiadał jakieś dyrdymały o zaszczytnej służbie dla socjalistycznej ojczyzny. Z tej całej jego paplaniny zapamiętałem tylko tyle, że najpierw muszę iść na dwa i pół miesiąca na przeszkolenie do Wojsk Ochrony Pogranicza, a później przeniesiony zostanę do ZOMO w Warszawie. Ucieszyło mnie to. Do Warszawy miałem dwie godziny jazdy pociągiem i na ewentualnych przepustkach mógłbym szybko dojechać do domu. Zmartwiło mnie jednak to, że pobór miał być za 30 dni. Ale co tam. Zastanawiając się nad zachowaniem kadrowca i tym co gadał doszedłem do wniosku, że albo nie wie, albo udaje, że nie wie jak werbuje się chętnych do ZOMO. Gdyby się domyślał, to by nie wstawiał tych socjalistyczno-partyjnych tekstów.

Ledwie weszliśmy do pokoju, w którym czekała matka, a już jakiś mundurowy wpro-

wadził kolegę Gawrona. Gruby kazał nam poczekać i zabrał go do sąsiedniego pomieszczenia. Drzwi zostawił uchylone. Chyba specjalnie, żebyśmy słyszeli:

– No to sobie, kurwa, teraz wyjaśnimy jak to naprawdę było – wsiadł na niego z miejsca.

– Powiedziałem prawdę – słabo zaprotestował.

– Tak. Tylko zapomniałeś dodać, że całą awanturę ty zacząłeś, że Gawron używał noża w czasie bójki i paru innych faktów. A w ogóle, to Gawron powiedział, że cię nie zna i na tej zabawie był sam.

– To on może już mówić?

– A może, wyobraź sobie. Co? Nie liczyłeś na to?

– Nie… no… – wydukał chłopak całkiem zdezorientowany.

– Zaczynamy się plątać? Co? …

Gliniarz był tak napastliwy, a chłopak tak ogłupiały, że zaczynałem się domyślać, co będzie dalej.

– Słuchaj, a co powiesz na to. Gawron zeznał, że przewrócił się na płot ze sztachet i tam sobie uszkodził gardło – strzelił w chłopaka znowu.

– Jaki płot? Czy on zgłupiał?

– A mnie się wydaje, że kto inny zgłupiał.

Słychać było bębnienie palcami w biurko. Pewnie to Wojtek, robiąc celową pauzę, tak stukał. Po chwili odezwał się znowu:

– Słuchaj, a może to ty pchnąłeś tego chłopaka nożem i chciałeś zwalić na Gawrona licząc, że się udusi?

– No… co pan. Panie władzo… Ja…

Znowu nastąpiła chwila ciszy przerywanej tylko bębnieniem palcami. Chłopak milczał. Chyba go zamurowało.

– Dobra – przerwał ciszę milicjant. – Mam was, kurwa, dość. Teraz mogę zrobić tylko dwie rzeczy. Albo zapudłować was wszystkich trzech i powoli dochodzić prawdy, albo papiery wywalić do kosza i dać sobie z całą sprawą spokój. Co wybierasz?

– Nie, no… Oczywiście to drugie, panie władzo – plątał się chłopaczyna niepewny.

– Dobrze. W takim razie uznajemy, że nigdy nie byłeś tu przesłuchiwany, nie było okazania. W ogóle nie było nic. Zrozumiałeś?

To „zrozumiałeś" zabrzmiało groźnie i ostatecznie.

– Taak. O… Czy mogę już iść?

– Idź. Ale pamiętaj! Jak mi się któryś z was trafi jeszcze raz, to wtedy już macie pudło pewne. No! Spadaj!

Drzwi się otworzyły szeroko i przez nasz pokój przemknął blady i spocony kolega Gawrona. A dobrze ci, kablu – pomyślałem. Zaraz za nim wyszedł grubas bardzo z siebie zadowolony.

– No, jak się teatr podobał? – spytał.

– Pierwsza klasa – powiedziałem szczerze.

– Dziękuję, Wojtek, że chciałeś pomóc. Naprawdę jestem ci wdzięczna – powiedziała matka, wstając.

Jak na skrzydłach wyszedłem przed budynek. Gdybym się nie wstydził, pewnie wybiegłbym w podskokach. Pocałowałem w policzek matkę, a ona niejako w odpowiedzi potargała mi włosy. Do domu szliśmy bez słowa, układając sobie wszystko w głowie. W mieszkaniu matka siadła jakaś oklapnięta. Nawet nie zdjęła wierzchniego okrycia.

– Co będzie dalej z tobą? – zapytała po pewnym czasie.

– A co ma być? Muszę dać sobie jakoś radę i koniec. Przecież nie było innego wyjścia… Mamo, z tym chłopakiem to naprawdę przypadek i pech.

– Wiem, wiem. Był tu Marek i opowiedział mi wszystko. Całe szczęście, że tak się skończyło, bo przecież mogli cię tam zatłuc we dwóch. Nie mam pretensji. Chodzi mi o to, czy dasz sobie radę między tymi rekinami. Jesteś porywczy i tak samo jak twój ojciec pakujesz się w kłopoty.

– Mamo, powtarzałaś mi zawsze, że wszędzie można być człowiekiem.

– Niby tak, ale teraz będzie ci naprawdę ciężko się tego trzymać… Ale, ale my tu gadamy, a ty pewnie głodny jesteś… Jak tam twoja noga? Bardzo rozwalona?

– No, trochę mi się dostało. Ale to przez moją nieuwagę. Nie zauważyłem, że ma bydlak w ręku nóż. Dopiero gdy mi rozwalił nogę, to się zorientowałem i chyba z bólu tak mu dołożyłem.

– Zmień ten bandaż, bo jeszcze jakieś zakażenie się przyplącze.

Zdążyła się już przyzwyczaić, że co pewien czas przychodziłem pokancerowany z treningów, a zdarzyło się, że i z dyskoteki. Śmiała się czasami, że nie ma na moim ciele miejsca, które nie było kiedyś posiniaczone lub skaleczone. Znała też niezawodne środki, które szybko usuwały siniaki. Były to okłady z kwaśnego mleka lub sody z octem. Jej zabiegi powodowały, na przykład, że „podzelowane" oko w ciągu dwóch-trzech dni dochodziło do normy. Jeśli w tym czasie nie oberwałem znowu, można było się pokazać poza domem bez ciemnych okularów.

Od czasu tej krótkiej rozmowy matka nie poruszyła tematu zabawy. Uznała to widocznie za rzecz omówioną i definitywnie zakończoną.

* * *

Następne tygodnie były dla mnie bardzo pracowite. Musiałem rozliczyć się ze szkołą. Trzeba też było uzupełnić brakujące dokumenty u kadrowca w WUSW. Wręczono mi tam kartę powołania do wojska, na 30 stycznia. Miałem tylko trzy tygodnie na załatwienie formalności. Na szczęście noga goiła się szybko. Już po tygodniu miałem zdjęte szwy, mogłem całkiem dobrze chodzić i wszystko pozałatwiać. W szkole wprawiłem

wszystkim w zdumienie i wywołałem oburzenie swoją rezygnacją. Nikt nie mógł pojąć jak można zrezygnować ze szkoły w połowie piątej klasy, mając tylko do napisania pracę dyplomową i zdanie matury. Wcale się im nie dziwię. Pewnie gdybym o czymś takim usłyszał nie znając prawdziwej przyczyny, nazwałbym takiego kogoś idiotą. Nie mówiłem nikomu dlaczego rezygnuję. Rezygnuję i już. Nie bardzo było się czym chwalić.

Dość szybko udało mi się wszystko dopiąć na ostatni guzik i pozostał mi jeszcze tydzień do terminu stawienia się w jednostce. W końcu zmusiłem się, żeby pojechać do mistrza i z nim porozmawiać. Wcześniej zadzwoniłem tylko, że na razie nie będę przychodził na treningi, bo mam rozciętą nogę. Teraz chciałem się z nim zobaczyć.

Jadąc do Warszawy czułem, że denerwuję się przed tą wizytą. Czułem się jakoś nie w porządku wobec niego.

Ucieszył się na mój widok, ale przy przywitaniu spojrzał mi w oczy z uwagą i miałem wrażenie, że już o wszystkim wie. Przez te kilka lat poznał mnie na tyle, że zawsze wyczuwał każdą zmianę w zachowaniu. Nawet taką, z której nie zdawałem sobie sprawy. Z tego powodu każda próba okłamania go kończyła się fiaskiem i pytaniem z jego strony: „Czemu mnie zasmucasz?" Po takiej wpadce jedyne sensowne zachowanie się to był głęboki ukłon. Bąkałem „przepraszam" i chowałem się ze wstydu w drugim końcu sali. Mimo iż przyglądał mi się uważnie, odezwał się swobodnie:

– Fajnie, że wpadłeś o tej porze. Mam pół godziny czasu do zajęć z najmłodszą grupą. Będziemy mieli czas pogadać.

Przeszliśmy do maciupkiej salki stanowiącej niejako ostoję wszelkiego rodzaju chińszczyzny. Pełno w niej było najróżniejszych figurek, przedmiotów służących do treningu albo do prawdziwej walki. Przeznaczenia wielu z tych przedmiotów nie znałem i nawet nie próbowałem się domyślać. Po drodze po raz nie wiadomo który podziwiałem płynność i grację ruchów mistrza. Obserwując jego sposób chodzenia zawsze miałem wrażenie, że nie dotyka stopami podłogi, tylko płynie nad nią i dla niepoznaki porusza nogami. Na filmach szkoleniowych, które przywoził dla nas ze swojej ojczyzny, zauważyłem, że wszyscy Chińczycy trenujący sztuki walki tak się poruszają. Obojętne, czy szli po równym terenie, czy pokonywali nierówności zawsze były to te same ruchy pełne gracji.

W salce siedziało się zawsze na podłodze, na matach, bo oczywiście krzeseł tam nie było. Przypomniałem sobie sytuacje, gdy do mistrza przychodził któryś z notabli i nie wiedział jak się zachować, gdy gospodarz usiadł na podłodze. Kręcili się wtedy, rozglądali, a my mieliśmy ubaw, gdy dostojnik w garniturze siadał, próbując nie zniszczyć kantów w spodniach.

Powoli opowiedziałem mistrzowi co się ze mną działo przez ostatnie dni. Gdy skończyłem, siedział jeszcze przez jakiś czas z zamkniętymi oczami, milcząc.

– Niedobrze, że następuje to akurat teraz – odezwał się w końcu i westchnął. – Akurat dwa lata jeszcze potrzebowałbym na pełne ukształtowanie ciebie. A tak musisz opuścić mnie, że tak powiem… niedokończony. Od ciebie zależy, czy zejdziesz na złą drogę, czy nie. Pracuj nad sobą jak najwięcej. Trenuj kiedy tylko się da. Medytuj. O tych oddziałach moi koledzy z uczelni opowiadali niesamowite historie. Dlatego, moim zdaniem, najlepszym wyjściem dla ciebie byłoby wyłączenie się z otoczenia. Spróbuj zasklepić się w sobie, odizolować od wszystkiego i oceniaj sytuację tak, jakbyś patrzył na wszystko z góry. To, co będziesz musiał tam robić, nie zawsze będzie pozostawało w zgodzie z twoim sumieniem. Zdajesz sobie chyba z tego sprawę. Jeśli nie dasz się wciągnąć w ich ideologię i nie stracisz swoich zasad, to uda ci się przejść przez te dwa lata tak, jakbyś szedł obok zdarzeń, w których bierze udział twoje ciało, ale nie duch. Tylko tyle mogę ci poradzić. Reszta zależy od ciebie. Wydaje mi się jednak, że dasz sobie radę i wrócisz do mnie za dwa lata.

Na chwilę przestał mówić. Widocznie o czymś intensywnie myślał. Po chwili odezwał się znowu:

– Ja też byłem w Chinach w wojsku i robiłem różne rzeczy, na które nie było mojej zgody. Nie wstydzę się tego. Nie miałem możliwości wyboru i moimi uczynkami kierowali inni. Uważam też, że właściwie rozwiązałeś tę sytuację. Więzienie jest to ostatnie miejsce, w jakim człowiek może pozostać sobą.

Po tym nieskończenie długim jak na niego wywodzie wziął z jednej z półek na ścianie jakiś przedmiot. Była to mała płytka z nefrytu z wyrytymi na niej napisami po chińsku. Podał mi ją:

– Prezent ode mnie.

– Dziękuję. Co tu pisze? – spytałem.

– „Noc przesypiaj przykryty. Po niej zawsze nastąpi dzień". Taka chińska mądrość. Chyba trafna w twojej sytuacji? – odpowiedział z uśmiechem.

– Dziękuję.

Zastanawiałem się, czy mówiąc o zamknięciu się w sobie miał już na myśli to, że podaruje mi tę płytkę, czy też w tej masie rzeczy pokrywającej ściany miał zawsze coś na każdą okazję. Chyba nigdy tego nie odgadnę.

Ponieważ zaczęli się już schodzić uczniowie na trening, zacząłem się zbierać do wyjścia.

– Przyjdź do mnie, kiedy będziesz tylko mógł, a po wojsku chcę cię widzieć na treningach – rzucił mi na pożegnanie.

Zrobiło mi się jakoś smutno i wszystkiego szkoda. Najbardziej kontaktu z mistrzem i treningów. Taki podły nastrój miałem przez całą drogę do domu. Dni, które pozostały do wyjazdu, spędziłem z moją dziewczyną. Chodziliśmy ze sobą ponad rok i zapowiadało się na dłużej. Na wiadomość o tym, gdzie idę i po przemyśleniu tego stwierdziła, że to nawet lepiej. Wcześniej odsłużę wojsko i będzie już z głowy.

Wiedziałem, że miała na myśli ślub i bycie cały czas razem. Od pewnego czasu snuliśmy takie dalekosiężne plany. Nazwa ZOMO niewiele jej mówiła i nie przeszkadzało jej,

że idę służyć w takiej instytucji. Po prostu u niej w rodzinie (w przeciwieństwie do mojej) nie poruszano politycznych tematów. Nie przeżywała tej gorączki jaka przeszła przez mój dom przed stanem wojennym i w jego trakcie. Ucieszyło mnie to, bo trochę obawiałem się jej reakcji na wiadomość, że idę do wojska i to jeszcze takiego.

W noc poprzedzającą wyjazd wyprawiłem chłopakom z naszej paczki pożegnalną popijawę. Mieszkanie mojej matki nie nadawało się na takie imprezy z dwóch powodów. Po pierwsze, było zbyt małe, a po drugie, znajdowało się w bloku. Gdybyśmy chcieli się w nim pobawić, to – niestety – kilka rodzin nie zasnęłoby tej nocy. Na całe szczęście, „Słonio" zaproponował zrobienie balangi u niego.

– Po pierwsze, starzy wyjechali na kilka dni. Po drugie, chałupa stoi na uboczu, a po trzecie, mam zawsze kłopoty z trafieniem do domu po imprezie. A tak odpadnie mi ten problem – motywował chęć ściągnięcia nas do siebie.

Przystaliśmy na to dość chętnie. Rzeczywiście willa jego rodziców była na uboczu i wspaniale nadawała się na takie imprezy.

Skoro miejsce już zostało wybrane, pozostało tylko zaopatrzenie. Dzięki temu, że Marek wziął samochód, poszło nam piorunem. Poszły też piorunem pieniądze, jakie dał mi na ten cel ojczym. Ale co tam. Raz się żyje, a ojczym też czasami powinien zachować się jak ojciec. O 16.00 w komplecie spotkaliśmy się u „Słonia", cały skład jaki był na tej feralnej zabawie. Ponieważ wódka przyniesiona ze sklepu była już dostatecznie schłodzona przez styczniowe mrozy, tempo picia od samego początku było ostre. Rozpoczęły się dyskusje na temat wojska. Żaden z nas w wojsku nie był, ale ktoś przysłuchujący się z boku odniósłby wrażenie, że zebrało się grono starych wiarusów frontowych. Rad dostałem tyle, że nawet połowy nie dałem rady zapamiętać. Zastanowiło mnie tylko to, że nikt z chłopaków ani słowem nie poruszył tematu zabawy i jej skutków, tj. mojego pójścia do ZOMO. Chyba uznali to za temat tabu i celowo unikali go. W pewnym momencie skończyła się taśma w magnetofonie „Słonia". Była to szpulowa „Aria", więc trzeba było albo taśmę przewinąć, albo założyć odwrotnie. Tego magnetofonu zazdrościli mu wszyscy. Każdy miał w domu jakiegoś kaseciaka, ale „Aria" to było coś. Patrząc na przewijającą się taśmę zauważyłem w pewnej chwili, że na jedną ze szpul „Słonio" zapomniał założyć zabezpieczenie. Miałem mu już o tym powiedzieć, gdy szpula zsunęła się i wystrzeliła z magnetofonu jak pocisk, odbiła się od ściany i rąbiąc po drodze w plecy Sylwka potoczyła pod stół. Teraz dopiero zaczął się cyrk. Wszyscy chcieliśmy pomóc zwijać taśmę, która dodatkowo zaplątała się między nogami krzeseł i stołu. Powstał taki mętlik, że nie wiadomo było kto w którym miejscu trzyma i dlaczego maszeruje w drugi koniec pokoju. Po minucie wszystko było dokładnie omotane. „Słonio" zaczął coś krzyczeć. W końcu dotarło do nas, że zwijając w jednym miejscu odwijamy taśmę z drugiego, to znaczy ze szpuli, która tkwiła jeszcze w magnetofonie. Nie pozostało nic innego jak wyrzucić całe to kłębowisko. Nieśliśmy w kilku. Gruby Tadzio zaplątał

się w końcu i wywalił jak długi na korytarzu. Zaczęliśmy go podnosić i odplątywać. Piotrek w końcu się zmęczył.

– A po cholerę odwijać tego grubasa? Wywalmy go razem z taśmą i już.

– Tak? Zajmie cały pojemnik i nie będzie gdzie wyrzucić butelek – zaprotestował „Słonio".

– A z kogo będziemy się śmiali jak Tadzia wywalimy? Ja się nie zgadzam – zaprotestował również Sylwek.

Powoli Tadzio sam się wyplątał i wyniósł taśmę do śmietnika. Poszło mu to trochę szybciej niż z naszą pomocą. Impreza powoli dobiegała końca. Niektórzy zaczęli się urywać do domu. Ostatnią grupę stanowił Marek, Sylwek i ja. Przed domem „Słonia" jeszcze staliśmy dyskutując, gdy w pewnej chwili zobaczyłem, że Marek podskakuje jakoś dziwnie.

– Pchły cię gryzą? – spytałem, bo tak to właśnie wyglądało.

– Nie. Tylko w nogi mi zimno – odparł.

Odruchowo obaj z Sylwkiem spojrzeliśmy na jego nogi i wybuchnęliśmy śmiechem. Marek zapomniał włożyć buty i stał na śniegu w skarpetach. Nic dziwnego, że było mu zimno. Całe szczęście, że staliśmy przed domem „Słonia", bo inaczej Marek mógłby zajść do domu w skarpetach i jutro szukać butów. Obudzony gospodarz oczywiście nie wypuścił nas bez wypicia kilku kieliszków.

Drogę do domu pamiętam jak przez mgłę. Nie bardzo potrafiłem sobie przypomnieć, którędy szedłem.

* * *

Spałem do piątej po południu i gdyby nie matka, pewnie spałbym dalej. Obudziła mnie jednak, bo trzeba było zbierać się na pociąg.

Przewidując to, że po imprezie będę spał cały dzień już w dniu poprzednim pożegnałem się z dziewczyną. Nie obyło się bez łez i zapewnień o uczuciach. Na pamiątkę dostałem od niej srebrny pierścionek z wzorem warkoczyka, który pasował mi co prawda tylko na mały palec, ale był ze mną później całe dwa lata przypominając, że ktoś na mnie czeka i podtrzymując na duchu w najcięższych chwilach. W ten sposób jechałem zaopatrzony niejako w dwa talizmany. Jeden od mistrza, drugi od dziewczyny.

Pożegnanie z matką wypadło jakoś sztywno, więc nie przedłużałem go, tylko jak najszybciej poszedłem na dworzec.

Gdy wsiadłem do pociągu w Warszawie, zwróciłem uwagę na grupkę pijanych chłopaków rozrabiających na peronie aż miło. Okazało się, że tylko dwóch z nich jedzie, a reszta to odprowadzający. Z ich wrzasków zorientowałem się, że ci, którzy wsiedli, odjeżdżali do wojska. Zdziwiło mnie to trochę, gdyż o tej porze do normalnego wojska nie było poboru. Pomyślałem, że może jadą do tej samej jednostki co ja i w pociągu dotar-

łem do ich przedziału. Oczywiście, zaledwie pociąg ruszył wyciągnęli wódkę i zaczęli pić. Byli już i tak nieźle wlani.

– Andrzej jestem. Napijesz się z nami? – Zapytał blondyn nie bawiąc się w ceregiele i podając mi szklankę.

Wypiłem.

– Robert – przedstawił się drugi – dokąd jedziesz?

– Darek – podałem im obu rękę. – Coś mi się wydaje, że jedziemy razem, bo ja wysiadam aż na granicy.

– Do wojska! Tak samo jak my! Ale żeśmy się dobrali w przedziale – ucieszyli się obaj. – Do jakiej jednostki?

– Najpierw do WOP-u… – zacząłem ostrożnie.

– A później do ZOMO – dokończył za mnie Robert.

– Tak. Wy też?

– Zgadza się. To będziemy razem służyli.

Dalej rozmowa potoczyła się gładko. Okazało się, że wszyscy jesteśmy z jednego województwa. Robert i Andrzej pochodzili ze wsi. Obaj mieli dalekosiężne plany. Po odsłużeniu wojska chcieli na stałe zostać w milicji, więc jechali zaliczyć pierwszy etap. Andrzej chełpił się swoją decyzją o pójściu do milicji:

– Dla mnie na wsi za ciężko. Stary ma dziesięć hektarów ziemi i myślał, że ja będę rył tak jak on, ale się pomylił. Jak wyjeżdżałem, to się nawet do mnie nie odezwał. Matka tylko dała mi parę złotych na drogę. Nie rozumiem, czemu się wściekał, przecież został jeszcze mój młodszy braciak. Będzie komu robić, a we dwóch na jednej gospodarce byłoby nam ciasno.

Robert popierał Andrzeja.

– W milicji grosz niezły, później mieszkanie można dostać i jakoś się urządzić. A z czym na wsi wystartujesz. Z zawodówką rolniczą?

Chłopcy przy wódce byli gadatliwi. Słuchając ich zdałem sobie sprawę z tego, że mam przed sobą prawdziwych ochotników. A więc werbowali do ZOMO nie tylko na „dobrowolny przymus", ale mieli też chętnych. Uznałem, że lepiej im nie opowiadać jak to było ze mną. Mogą zechcieć mnie od początku izolować od siebie, a po co mi to. Nie pytali o moje motywy pójścia do tej formacji. Ot po prostu dwóch szczerych chłopaków, którzy przy wódce chcieli się wygadać przed kimś, kogo uznali za swojego. Nie przeszkadzałem im i wkrótce mógłbym napisać życiorysy obu. W trakcie rozmowy piliśmy, nie spiesząc się. Mieliśmy przecież przed sobą całą noc. Tematów nam nie brakowało. Każdy z nas na swój sposób przeżywał wyjazd do wojska. Wiązały się z tym obawy i jednocześnie jakaś nurtująca ciekawość. Jak tam naprawdę jest? Czy dam sobie radę? Oczywiście, każdy z nas wypowiadając swoje opinie stwierdzał, że nie boi się, ale za słowami dawał się wyczuć niepokój.

– A co tam! Tylu było przed nami w wojsku i jakoś przeżyli, to my mamy nie przeżyć? Zresztą, to tylko dwa i pół miesiąca, później w ZOMO będzie lepiej. Patrole na mieście. Więcej forsy. – Robert był optymistą.

– Dwa i pół miesiąca mogę… mogę… – Andrzej nie mógł znaleźć określenia – o, nawet w kiblu przesiedzieć i wytrzymam.

Na podobnych rozmowach minęło pół nocy. Zauważyłem, że moi nowi koledzy zaczynają przysypiać. Do tej pory byliśmy w przedziale tylko we trzech, pomimo iż czasami ktoś zaglądał przez drzwi jakby miał zamiar wejść. Rozłożony bufet z wódką skutecznie odstraszał, podpite twarze sprawiały, że ludzie rezygnowali. Widząc, że Andrzej i Robert za chwilę zasną, powiedziałem:

– Chcecie, chłopaki, to śpijcie. Obudzę was jak dojedziemy. Ja się w dzień wyspałem i teraz mi się nie chce. – Próbowali się jakoś poukładać na siedzeniach. Pokazałem im jak się rozkładają. Widocznie nie jeździli pociągami dalekobieżnymi i nie wiedzieli jak to się robi. Kilka godzin przesiedziałem pół drzemiąc, tak że nie zauważyłem kiedy minęły.

Na miejsce dojechaliśmy o 4.00. Obudziłem ich i wysiedliśmy. Dworzec wyglądał jakby go ktoś przeniósł w czasie. Stare poniemieckie budynki z czerwonej cegły, pokryte dachami z czerwonej dachówki robiły przygnębiające wrażenie. Andrzej rozejrzawszy się po dworcu odniósł chyba takie samo wrażenie.

– Kurwa, a gdzie myśmy przyjechali? – powiedział.

– Dobra, dworzec dworcem, ale przyjechaliśmy za wcześnie. Stawić się mamy dopiero na ósmą. Co będziemy do tej pory robili? – spytałem.

– Mamy jeszcze litr gorzały. Proponuję siąść gdzieś na dworcu i to wypić. Jak pójdziemy do jednostki, pewnie nam ją zabiorą. Co wy na to? – powiedział Robert.

Sprzeciwów z naszej strony chyba nie spodziewał się, gdyż poszedł w kierunku dworca. Ruszyliśmy za nim. W budynku było ciepło i pusto. Zastanawialiśmy się co dalej robić, gdy na dworzec weszło dwóch żołnierzy, kaprali w mundurach WOP-u. Podeszli do nas i jeden spytał:

– Do wojska, z poboru?

– Tak – wyrwał się Andrzej.

– Karty powołania i książeczki wojskowe proszę.

Podaliśmy mu. Oglądał je chwilę, po czym kazał nam zbierać się i iść za nim. Wyszliśmy przed dworzec. Stał tam zaparkowany samochód. Taki sam jakie nieraz widziałem w Warszawie, przewożące ZOMO. Ten różnił się jedynie tym, że był zielony i miał napis „WOP" zamiast „Milicja". Kazał nam wsiąść i spokojnie siedzieć. Robert spytał:

– Panie kapralu, ale my musimy na ósmą do jednostki się stawić?

– Po pierwsze, to „panowie" przed wojną wyzdychali, mówi się „towarzyszu kapralu", a po drugie, jestem tutaj po to, żeby was odwozić. Poczekamy tylko, aż zbierze się komplet i pojedziemy. Coś jeszcze? – Kapral nie był zbyt przyjemny.

– Już nic – odpowiedział Robert, a gdy zamknęły się drzwi za kapralem dodał: – Ale mogliśmy jeszcze jakąś flaszkę zorganizować, a teraz już dupa. Nic z tego nie będzie.

Siedzieliśmy w samochodzie około godziny, aż przyjechał pociąg i samochód szybko zapełnił się. Ruszyliśmy do jednostki. Okazało się, że mieliśmy szczęście, że przyjechał po nas ten samochód. Jechaliśmy chyba z piętnaście minut. Gdyby przyszło nam pokonać tę drogę na piechotę, na dokładkę przez miasto, którego w ogóle nie znaliśmy, to prawdopodobnie w jednostce o czasie byśmy się nie stawili.

Nie wjeżdżając za bramę samochód zatrzymał się i kazano nam wysiadać. Następnie całą grupę po sprawdzeniu książeczek i kart powołania jakiś nieduży kapral poprowadził przez plac. Miał tak pałąkowate nogi, że wyglądał jak kaczka i idąc, tak jak ona kiwał się na boki. Zaprowadził nas do dużego budynku, nad którego drzwiami był duży napis „Świetlica".

Usiedliśmy przy stolikach wewnątrz i czekaliśmy co będzie dalej. Co jakiś czas przybywała następna partia poborowych. Dopiero o dziewiątej na salę wszedł starszy człowiek z dystynkcjami pułkownika. Siedzący razem z nami na sali kapral z nogami jak kaczka, na jego widok zerwał się i ryknął:

– Całość powstań! Baczność! – i zwracając się do pułkownika: „Towarzyszu pułkowniku, kapral Żarski…" nie dokończył, gdyż pułkownik kiwnął mu ręką, dziękując za meldunek.

– Spocznij! Siadać! – to już kapral Żarski powiedział do nas ciszej.

Na jego poprzednią komendę wstali wszyscy. Gorzej było z pozycją na baczność. Część, owszem, przestała opierać się o stoły i obróciła przodem do pułkownika, ale około jednej trzeciej pozostało odwróconych tyłem, jak gdyby demonstrując gdzie mają wszystkie wojskowe szarże i wojskowe porządki.

Pułkownik palnął krótkie przemówienie, z którego wynikało, że cieszy się z naszego przybycia i ma nadzieję, że przez krótki czas naszego pobytu tutaj zdoła wpoić w nas zasady prawdziwego żołnierskiego życia i nauczyć wielu przydatnych rzeczy. Na koniec głosem spokojnym i raczej proszącym, kazał nam wyjść przed budynek. Gdy wszyscy wyszli i stali bezładną gromadą, powiedział wskazując na kapitana, który pojawił się nie wiadomo kiedy.

– To jest wasz dowódca kompanii, kapitan Maliszko. Pozostawiam was w jego rękach i zapewniam, że dałem wam jednego z najlepszych oficerów tej jednostki. Życzę powodzenia – po tych słowach poszedł sobie.

Kapitan popatrzył na nas i spytał:

– Wiecie, chłopcy, jak wygląda dwuszereg?

– Wiemy, wiemy – odezwało się parę głosów.

– No to spróbujcie ustawić się w dwuszeregu. Najwyżsi po mojej prawej ręce.

Powstało lekkie zamieszanie i przepychanki, ale stanęliśmy w dwuszeregu. Stanąłem blisko kapitana i słyszałem jak mówił do kaprala:

– Gdzie jest reszta kadry? Czy ja was muszę pilnować? Przecież już dawno powinni być na śniadaniu, a tak stary przyłapał nas, że siedzą na świetlicy. Zasuwaj po resztę, ale to migiem!

Żarski bez słowa zasalutował i pobiegł. Za chwilę ukazał się zza budynku razem z kilkoma żołnierzami. Szli tak szybkim krokiem, że wyglądali jakby biegli. Kapitan wydał krótkie dyspozycje:

– Ustawcie ich według wzrostu. Podzielcie na plutony i zaprowadźcie na śniadanie. Potem do owczarza, do gaciowego, umywalnia i rozlokować ich na kompanii. Ja przed obiadem przyjdę – i odszedł.

Ustawienie według wzrostu i podzielenie na plutony trwało chwilę, po której już szliśmy w kierunku stołówki. Trafiłem do pierwszego plutonu. Nic dziwnego. Ma się te 185 cm. Przy okazji rozdzielono mnie z Andrzejem i Robertem, którzy jako niżsi trafili do innego plutonu. Śniadanie okazało się całkiem niezłe. Co prawda mało kto jadł, a największym powodzeniem cieszyła się herbata. Wiadomo, większość chłopaków miała kaca. Po śniadaniu wyjaśniły się tajemnicze dla mnie dyspozycje kapitana. Owczarz okazał się fryzjerem, który z niesamowitą wprawą strzygł nam głowy po kolei na tzw. pałę. Cały zabieg trwał nie więcej niż minutę. Szło to tak szybko i sprawnie, że jakiś żołnierz cały czas musiał odmiatać włosy spod jego nóg. Potem wydano nam bieliznę, dresy, trampki i zaprowadzono do łaźni. Przed wejściem pod prysznic każdy rozbierał się i pakował swoje ubranie do dużego worka, który opatrzony kartką wędrował na półkę w magazynie. Powiedziano nam, że możemy pozostawić sobie tylko dokumenty, portfele i zegarki. Szybko przełożyłem płytkę otrzymaną od mistrza z kieszeni do portfela i poszedłem pod prysznic. Przebranych w dresy, pogolonych i wymytych przegoniono nas do budynku, który jak się okazało był koszarowcem, i przydzielono sale. Udało mi się zająć górę piętrowego łóżka i byłem zadowolony, że w nocy nikt nade mną nie będzie wisiał.

Ten pierwszy dzień w wojsku zapamiętałem jako ciągłą bieganinę od jednego magazynu do drugiego. W każdym z nich wydawano nam jakieś rzeczy, ale nie zdarzyło się, abyśmy w jednym pobrali dwie rzeczy różnego typu. W jednym brało się pościel, w innym przybory toaletowe, a w jeszcze innym mundury. Buty oczywiście dostaliśmy w jeszcze innym magazynie. Gdyby mi tego dnia wieczorem kazano powiedzieć, w którym magazynie co brałem i gdzie się znajduje, za nic nie mógłbym tego odtworzyć – tak miałem wszystko w głowie wymieszane od tego biegania.

Największego szoku doznałem przy wydawaniu mundurów. Otóż nie dostaliśmy normalnych mundurów polowych i typowych butów żołnierskich sznurowanych. Wszystko, co nam wydano, było używane. Co prawda wyprane, czyste i pozszywane, ale w pewnym stopniu zużyte. Zielona bluza i spodnie pochodziły od tzw. munduru wyjściowego,

do tego dostaliśmy czapki rogatywki i panterki typu moro, czyli od munduru polowego. Buty natomiast były to używane oficerki, czyli niesznurowane jednolite wysokie buty. Przepasani normalnym wojskowym pasem parcianym, przedstawialiśmy tak cudaczny widok, że podczas wyjścia na kolację, gdy obejrzałem kompanię w całości stwierdziłem, że Haszek ze swoim Szwejkiem przy nas wysiada. Wyglądaliśmy jak przebierańcy i stado ostatnich sierot. Wrażenie potęgował fakt, że mundury wydano „jak leci", a wszelkie protesty kończone były stwierdzeniem: „Później się między sobą pozamieniacie". Część zdążyła, ale niektórzy stali w za małych lub za dużych panterkach. Widok naprawdę był wspaniały. Przed wyjściem na kolację przeszliśmy przyspieszony kurs stosowania onuc. Wydano nam czworokątne białe płachty i pokazano jak się je zakłada. Widać było, że nie wszyscy to pojęli, ale jakoś pookręcali nogi i wbili je w buty. Wyjaśniło się przy okazji, że nasze umundurowanie jest takie a nie inne, nie z tego powodu, że ktoś ma duże poczucie humoru, tylko dlatego, że na 2,5 miesiąca nie opłaca się wydawać nowych mundurów i jednostka bazuje na używanych. Gdy myślałem po kolacji, że już nic ciekawego nie wydarzy się, okazało się, iż nawet wieczorne mycie może być wydarzeniem. Odbywało się ono kolejno salami i każda grupa miała na kompletną toaletę 10 minut. Łatwo można sobie wyobrazić co się dzieje, gdy półnagich trzydziestu chłopa wpadnie do łazienki wyposażonej w osiem umywalek. W ogólnej przepychance co chwilę ktoś był odepchnięty od kranu z namydloną twarzą lub nogą. Przypuszczał więc szturm i wypychał innego. Kilku w tym zamieszaniu rąbnęło na ziemię, aż miło, a kilku w ogóle się nie udało dopchać do chwili, gdy kapral krzyknął: „Koniec mycia! Do sal! „. Muszę przyznać, że komendę „Do łóżek" przyjąłem z wielką ulgą. Moje było na górze i dopiero teraz przekonałem się, że zrobiłem błąd zajmując je. Tuż nad moją głową znajdował się uchylony lufcik, przez który napływało zimne powietrze. Ponieważ wolałem nie pytać się, czy można go zamknąć (przy trzydziestu śpiących w niedużej sali byłoby to ryzykowne) , owinąłem się szczelnie kocami, razem z głową, pozostawiając na wierzchu jedynie nos. Po tak bogatym w przeżycia dniu usnąłem prawie natychmiast. Następnego dnia rozpoczęła się moja edukacja wojskowa. Zaraz z samego rana dowiedzieliśmy się, że w ogóle nie potrafimy chodzić. Kapral Żarski, który jak się okazało został dowódcą mojej drużyny, zaprezentował nam jak powinien wyglądać chód żołnierza i zasady marszu całą kompanią i zaczęła się nauka. Podstawowym środkiem dydaktycznym stosowanym przez wszystkich kaprali było stałe obserwowanie nas i wyłapywanie tych, którzy mylili krok i popełniali inne błędy. Wówczas odzywał się któryś z nich:

– Ty, w drugiej czwórce. Tak, tak. Ty, do ciebie mówię, barani łbie. Idziesz jakbyś miał jaja powiązane. Podnoś nogi wyżej, bo jak cię kopnę w dupę, to od razu się nauczysz.

Tekst w takich wypadkach był prawie zawsze jednakowy, z niewielkimi modyfikacjami. Czasami, gdy nasza nieudolność doprowadzała ich do szewskiej pasji, padała komenda: „Biegiem marsz", a gdy oddalaliśmy się już na dość dużą odległość padało:

„W tył na lewo" i zawracaliśmy. Po kilku takich kółkach pozwalano nam znowu maszerować. Takie ćwiczenia odbywały się przy każdym wyjściu na posiłek i powrocie z niego. Oprócz tego codziennie mieliśmy godzinę lub dwie normalnej musztry w ramach zajęć. Szkolono nas bardzo intensywnie, poświęcając na to zarówno godziny przed-, jak i popołudniowe.

Z wszelkich zajęć najbardziej lubiliśmy jednak wykłady na świetlicy. Można było nareszcie przez jakiś czas posiedzieć i dać odpoczynek zmęczonym nogom. Lwią część wykładów zajmowały zagadnienia polityczne typu: co by było gdyby, czyli „Strategia działania wojsk Układu Warszawskiego w przypadku agresji ze strony imperialistycznych państw wchodzących w skład NATO" lub „Rola PZPR w ideologicznym wychowaniu żołnierzy w poczuciu patriotycznego obowiązku obrony ojczyzny". Założę się, że wykładów przynajmniej połowa nie słuchała, a większość nawet nie starała się zrozumieć. Zresztą, wykładowca odczytywał je z jakichś mądrych broszurek i skryptów i chyba dzięki temu udawało mu się prowadzić zajęcia bez przekręcania trudniejszych wyrażeń. Cały wykład zawsze zlewał mi się w imperialistyczno-socjalistyczno-patriotyczno-sojuszniczy bełkot i mimo chwilowych natężeń uwagi nie mogłem zrozumieć o co w tym wszystkim chodzi. Z tego też powodu część chłopaków od razu po wejściu na salę podejmowała udane próby zasypiania na siedząco, a pozostali, jeśli nie dłubali w nosie lub nie czyścili paznokci, siedzieli ze wzrokiem utkwionym w jakimś bliżej nie określonym punkcie, z wyrazem twarzy świadczącym o tak wielkiej bezmyślności, że można było mieć wątpliwości czy osobnik ten jest w stanie w ogóle myśleć.

Sytuacja ulegała diametralnej zmianie, gdy zaczynały się zajęcia z zagadnień typowo wojskowych. Wówczas prawie nie było widać przysypiających czy nudzących się i nie było to wyłącznie zasługą omawianego tematu. Po prostu, oficerowie wykładający tę tematykę byli to prawdziwi pasjonaci i fachowcy w swoich dziedzinach. Nie zdarzyło się, aby któryś z nich korzystał ze skryptów lub jakichś podręczników. Omawiając poszczególne zagadnienia sypali z pamięci danymi taktyczno-technicznymi i nie było pytania z tej dziedziny, na które nie byliby w stanie natychmiast odpowiedzieć. Używali prostego, żołnierskiego języka. Zamiast mówić, że pocisk taki a taki w chwili wybuchu posiada siłę taką a taką i jest w stanie zburzyć tyle a tyle budynków mówili:

– Gdyby pierdolnął w naszą jednostkę, to z budynków zostałyby same gruzy, a z nas trochę smrodu – ale zapiszcie sobie, że siła wybuchu wynosi tyle a tyle.

Każdy w ten sposób miał zobrazowaną i podaną w cyferkach siłę wybuchu danego pocisku.

* * *

Były jednak dni, kiedy wykładów nie było, a cały dzień spędzaliśmy na tzw. zajęciach z taktyki. Polegało to na ganianiu żołnierzy po poligonie i wymyślaniu co się może przy-

dać podczas prawdziwej walki w czasie wojny. Te zajęcia były przez nas najbardziej nielubiane. Już sam marsz na poligon (10 km w jedną stronę) potrafił zmęczyć, a co dopiero właściwe zajęcia! Naprawdę dawały się we znaki. Przez kilka godzin biegaliśmy po ugorze zrytym starymi i nowymi okopami, czołgaliśmy się i kopaliśmy każdy dla siebie okop. To kopanie wcale nie było takie proste, biorąc pod uwagę utrzymujący się kilkustopniowy mróz. Kuliśmy saperkami zmarzlinę, oczywiście na leżąco i ze stojącym za plecami kapralem, który od czasu do czasu rzucał wyzwiskami, jeśli robota szła zbyt wolno. W przypływach złego humoru dowódcy plutonu przez całe zajęcia musieliśmy mieć założone maski gazowe i wykonywać wszystkie polecenia. Po jednym z takich zajęć, gdy wracaliśmy zmordowani i utytłani w ziemi i śniegu, zauważyłem, że niektórzy mają kłopoty z kondycją. Wlekli się noga za nogą i pomimo wrzasków kaprala zaczynali pozostawać z tyłu. Na pierwszy rzut oka widać było, że mają zakwaszenie mięśni ud i dlatego nie byli w stanie podnosić nóg prawidłowo, prawie ciągnęli je po ziemi. Mój organizm znosił ten wzmożony wysiłek bardzo dobrze. Nie odczuwałem żadnych dolegliwości, a nawet czułem, że potrzebuję coraz większych obciążeń, ponieważ zacząłem przybierać na wadze.

W ogóle pod względem dbania o naszą kondycję kapralom należałoby postawić piątkę. Poranna zaprawa, oprócz obowiązkowego biegu naokoło jednostki, zawierała także zestaw ćwiczeń ruchowych wykonywanych na komendę: przysiadów, pajacyków i podobnych nieskomplikowanych czynności. Dawało to komfort porannego rozruszania całego ciała, brakowało mi jednak moich typowych ćwiczeń. Czułem, że bez rozciągania, przy takiej ilości marszu i biegu niedługo będę miał tak zbite mięśnie, że nie będę w stanie wykonać żadnego wysokiego kopnięcia. W trakcie jednej z porannych zapraw, którą prowadził kapral Żarski, zapytałem go czy zamiast gimnastyki mógłbym wykonywać swoje ćwiczenia. W odpowiedzi usłyszałem:

– Co, młody, we łbie ci się przewraca? Dookoła jednostki biegiem! Marsz!

Gdy przybiegłem po wykonaniu okrążenia, popatrzył na mnie czy jestem bardzo zmęczony, a ponieważ nie byłem, padła komenda:

– Padnij! Dziesięć pompek! – i odliczał. – Pierwsza, prawdziwa pompka żołnierza Ludowego Wojska Polskiego. Druga…

Przy każdym słowie musiałem wykonywać jedną pompkę i w ten prosty sposób zamiast dziesięciu zrobiłem siedemdziesiąt. Kapral chyba przewidywał, że nie dam rady, ponieważ gdy zrobiłem ostatnią, padło:

– Powstań! Do szeregu! – Po chwili: – Niezły jesteś, ale niech ci się we łbie nie przewraca.

Mnie rzeczywiście odechciało się pytać o cokolwiek. W ogóle byłem zdziwiony swoją nieśmiałością. Było to już po dwóch tygodniach od przyjazdu i zaczynały się pierwsze objawy wejścia w rytm wojskowego życia. Budziłem się przed pobudką i przed capstrzykiem robiłem się senny. W domu nigdy nie chciało mi się spać przed północą, a tutaj parę minut po dziesiątej spałem jak zabity.

Zauważyłem też zmiany zachodzące w zachowaniu kaprali. Coraz rzadziej wydawali komendy krzykiem, a zaczęli robić to spokojniej. Mniej sypało się wyzwisk i epitetów.

W tym okresie zaczęliśmy też rozmawiać między sobą na sali i w czasie przerw w zajęciach. Wcześniej prawie nie odzywaliśmy się do siebie, tak byliśmy zagonieni i zahukani. Teraz dopiero zaczęły się rozmowy, poznawanie się nawzajem i jakieś bardziej ludzkie życie. Niekiedy w czasie przerwy odezwał się stłumiony śmiech, ktoś rzucił jakiś żart i od razu robiło się lżej. Było też pierwsze wyjście całym plutonem do kantyny i pierwsze słodycze, których widocznie wszystkim brakowało, bo kupowaliśmy je całymi torebkami. Znalazł się też czas, aby odpisać na czytane dotychczas ukradkiem listy z domu.

Razem z tą lekką poprawą przyszedł dla nas jednak czas wzmożonego wysiłku. Pewnego ranka przyszedł kapitan Maliszko. Widywaliśmy go rzadko. Widocznie jako dowódca kompanii niezbyt się nami przejmował. Poszedł z nami na śniadanie i obserwował efekty, jakie dała dwutygodniowa musztra. Po śniadaniu zarządził zbiórkę i zakomunikował nam:

– Od dzisiaj wprowadziłem dodatkowe zajęcia z musztry. Trzy godziny po obiedzie i godzina po kolacji. Codziennie. Obserwowałem was, jak szliście na śniadanie. Nie jest źle, ale to znaczy, że może być bardzo dobrze, tylko trzeba popracować. Za dwa tygodnie macie przysięgę. Razem z wami przysięgę ma kompania normalnych wopistów i chcę, żebyście na przemarszu wypadli lepiej niż oni.

* * *

No i zaczęło się. Oprócz normalnych zajęć, codziennie po obiedzie i po kolacji waliliśmy buciorami w ziemię, aż echo szło. Nie odczuwaliśmy takiego zmęczenia jak początkowo, widocznie nasze nogi już do tego przywykły. Zresztą, musztra była mniej uciążliwa, bo dużo czasu zajmowała nauka formowania czwórek i dwójek i na odwrót, a także nie było cały czas ćwiczenia kroku marszowego, jak przedtem. Były też i rozrywki. W trzecim plutonie trafił się chłopak, który doprowadzał praktycznie całą kadrę do „białej gorączki". Otóż w trakcie marszu jeden z kaprali zauważył, że ktoś mu psuje szyk. Nie bardzo wiedział kto, lecz po krótkiej obserwacji wyłowił chłopaka o nazwisku Grabarz. Wyciągnął go z szyku i kazał mu przemaszerować przed sobą. Wtedy sprawa stała się jasna. Grabarz robiąc krok prawą nogą wykonywał jednocześnie ruch prawą ręką do przodu. Wyglądało to tak, jakby jego prawy bok chodził sobie, a lewy sobie. Kapral zademonstrował mu prawidłowy krok. I chłopak znowu pomaszerował. Pierwsze kroki wypadły dobrze, ale wkrótce dały o sobie znać przyzwyczajenia i zadowolony szedł dalej na swój sposób. Został zawrócony i nastąpiło tym razem dłuższe tłumaczenie i pokazywanie. Znowu przemarsz i znowu to samo. Kapral stracił cierpliwość i ryknął:

– Grabarz, ty barani łbie, czy nie rozumiesz co do ciebie mówię! Prawa noga to lewa ręka do przodu, lewa noga to prawa ręka i tak dalej. A ty co robisz? Chodzisz jak przetrącona kaczka. Przyglądaj się jeszcze raz – mówiąc to znowu pokazał jak to się robi prawidłowo.

Grabarz przyglądał mu się cały czas w takim skupieniu, że aż zmarszczył brwi. Jednak gdy przyszło mu samemu maszerować, zaczął machać obiema rękami równocześnie do przodu, potem do tyłu. Kapral przyglądał mu się chwilę w zdumieniu, kręcąc z niedowierzaniem głową. Chłopak maszerował z miną tak pełną samozadowolenia, że widać było od razu, iż uważał, że nareszcie pojął tajemnicę musztry i teraz będzie wszystko dobrze. Kapral odezwał się zduszonym głosem:

– Weźcie gdzieś schowajcie tego sukinsyna, bo nie wiem co zrobię – dalej już do Grabarza. – Czy ty, głąbie, nie rozumiesz co się do ciebie mówi? ! Na przemian, na zmianę, rozumiesz zakuty łbie! Na zmianę!

Wtedy odezwał się drugi z kaprali:

– Dobra, prowadź musztrę całą kompanią dalej, a ja się nim zajmę.

Zaczęliśmy znowu ćwiczyć, ale cały czas obserwowaliśmy co wyrabia Grabarz. Kapral, który się nim teraz zajął, przyjął prostą metodę nauki. Pokazał jeszcze raz jak ma to wyglądać, szedł nawet chwilę koło niego, trzymając za rękę i machając mu we właściwym momencie. Jednak gdy puścił, po chwili Grabarz zaczął iść po swojemu. Wówczas został położony na ziemię – musiał zrobić trzydzieści pompek. Potem znowu próba marszu i znowu pompki. Widocznie kapral uznał, że to udawanie, żeby wykręcić się od musztry. Po kilku takich seriach podbiegł do Grabarza w czasie marszu, dał mu dwa kopniaki w tyłek, zarządził następną serię pompek. Wrócił do nas i powiedział:

– Ja mam, kurwa, dosyć. Niech ktoś inny próbuje, bo ja za nerwowy jestem. Zastrzelę w końcu i tyle. Takiego osła jeszcze nie widziałem.

W ciągu najbliższych dni Grabarz przeszedł gruntowną edukację prowadzoną nawet przez takich znawców musztry, jak dowódca plutonu i dowódca kompanii. Poprawa była niewielka, nadal przechodził na swój styl marszu i nie było na niego siły. Został w końcu uznany za przypadek nieuleczalny i w defiladzie po przysiędze nie brał udziału.

Na tydzień przed przysięgą, w trakcie marszu musiała mi się przesunąć onuca w bucie i paskudnie obtarłem sobie nogę, aż zrobiła się rana. Następnego dnia rano zameldowałem o tym kapralowi Żarskiemu. Zapisał mnie na wyjście do lekarza i razem z dwoma innymi, którzy jak się okazało byli przeziębieni, zaprowadził do ambulatorium. Zostaliśmy wprowadzeni do gabinetu wszyscy razem. Lekarz krótko spytał, co nam jest. Od dwóch usłyszał, że są przeziębieni, a ja zameldowałem, że mam obtartą nogę. Do pielęgniarki padło krótkie polecenie:

– Przeziębieni: biseptol, polopiryna, witamina C, trzy dni praca w budynku. Ten z nogą: dezynfekcja, opatrunek, trzy dni obuwie tekstylne – i pytanie do kaprala: – Ktoś jeszcze jest na korytarzu?

– Nie ma towarzyszu majorze – padła odpowiedź.

– Dobrze, to ja lecę – zdjął fartuch i wyszedł. Nie wiem, czy choć przez chwilę spojrzał na nas, nie mówiąc już o jakimkolwiek badaniu. Pielęgniarka wydała leki, mnie wymazała nogę jakimś fioletowym piekącym paskudztwem. Potem obandażowała i było po zabiegu. Gdy wyszliśmy, spytałem:

– Towarzyszu kapralu, co to znaczy: obuwie tekstylne przez trzy dni?

– To znaczy, że przez trzy dni możesz chodzić w trampkach – odpowiedział.

– To mam normalnie brać udział w zajęciach? Na musztrę chodzić z obtartą nogą?

– A coś ty myślał? Że nie?

– No ale czy mam iść na taki śnieg w trampkach? Przecież mi nogi odmarzną! Jest minus piętnaście stopni – pytałem dalej.

– A to już twój problem. Powiedziałem, że masz chodzić w trampkach, ale to nie znaczy, że musisz. Twój wybór – odparł uśmiechając się.

Oczywiście, trampek nie założyłem i utykając chodziłem na musztrę w butach normalnych, biegałem na zaprawie i na poligonie. Po paru dniach noga zagoiła się, ale te dni były dla mnie nauczką, że lekarzowi nie należy zawracać głowy byle drobiazgami. Gdy w kilka dni później rozharatałem sobie rękę na drucie kolczastym w czasie zajęć z taktyki, wolałem zawinąć rękę samemu niż iść do lekarza. A nuż padłoby zalecenie: Trzy dni chodzenia bez rękawiczek.

* * *

Na dwa dni przed przysięgą odbyła się próba generalna. Wtedy pierwszy raz zetknęliśmy się z młodym rocznikiem wopistów. Oczywiście, mundury mieli normalne, to tylko nas tak wystrojono. Konfrontacja z musztry wypadła dla nas korzystnie i dowódca kompanii puszył się jak paw przed dowódcą jednostki, pokazując mu jak chodzimy. Natomiast dowódca wopistów wpadł we wściekłość i ganiał ich po placu chyba jeszcze ze dwie godziny po próbie. Pogłębiło to tylko ich niechęć do nas. Pomimo że prawie nie stykaliśmy się, dawali nam odczuć swój stosunek do zomowców. Niejednokrotnie na stołówce czy w kantynie słychać było rzucane krótkie uwagi.

– O, gestapo idzie! – albo: – Gdzie się pchasz, zomolu pierdolony!

Gdyby nie kaprale szkolący nas, niejednokrotnie doszłoby pewnie do awantury. Zawsze jednak wkraczali w porę. Nie całkowicie brali jednak naszą stronę. Najczęściej odzywali się do wopisty:

– Ty, młody. Zamknij mordę, bo sobie kłopotów narobisz – czy coś w tym stylu i robiła się cisza. Nigdy nie zastanawiałem się o jakie kłopoty mogło chodzić. Jednak przypadek, który zdarzył się tuż przed przysięgą, sprawił, że przekonałem się o jakiego rodzaju kłopoty chodziło. Wydano nam wtedy, specjalnie na przysięgę, normalne wojskowe buty i komplety mundurów wyjściowych. Trzeba je było wyprasować, przeszyć

ewentualnie guziki i w ogóle dopasować. Jeden z chłopaków, który już to zrobił, ubrał się w mundur i jeszcze sprawdzał przed lustrem. Powiedział w pewnej chwili:

– No, teraz wyglądam jak żołnierz.

– Jaki z ciebie żołnierz? Jesteś pierdolony zomol w przebraniu i tylko obrażasz taki porządny mundur – odezwał się stojący tuż koło niego kapral.

Na nieszczęście całą rozmowę słyszał stojący niedaleko dowódca kompanii. Nie czekając chwili krzyknął:

– Podoficer dyżurny do mnie!

Dyżurny przybiegł od swojego stolika, zameldował się i usłyszał polecenie:

– Natychmiast odbierzcie kapralowi Zalewskiemu pas, pasek od spodni i sznurowadła. Zadzwońcie na wartownię, niech przyjdzie dwóch z bronią i zatrzyma go do mojej dyspozycji. Wykonać! – po głosie dowódcy słychać było, że jest wściekły. Kapral Zalewski pobladł, bez szemrania oddał dyżurnemu pasy i sznurowadła. Gdy przechodził koło kapitana, usłyszał:

– ZOMO ci się nie podoba? No to teraz sobie poprawiłeś – mówiąc to kapitan Maliszko rzucił na niego takie spojrzenie, że kapral skulił się i poszedł za dyżurnym. Później dowiedzieliśmy się, że godzinę później przyjechał samochód Wewnętrznej Służby Wojskowej i zabrał kaprala Zalewskiego. Na drugi dzień rano, na apelu porannym, pojawił się dowódca jednostki i wygłosił krótką przemowę do wopistów, do nas i do całej kadry.

– Wczoraj miał miejsce przykry incydent. Jest mi podwójnie przykro. Po pierwsze, że zdarzyło się to w jednostce, którą dowodzę, a po drugie, że zrobił to człowiek, którego uważałem za jednego z lepszych dowódców drużyn. Otóż kapral Zalewski obraził honor żołnierza, który odbywa u nas przeszkolenie przed odejściem do dalszej służby w Zmotoryzowanym Odwodzie Milicji Obywatelskiej. Kapral Zalewski na moje polecenie przebywa obecnie w areszcie garnizonowym, a w dniu jutrzejszym zostanie przetransprtowany do karnej jednostki w Orzyszu. Zapowiadam! Jeśli dotrą do mnie sygnały o jakimkolwiek podobnym przypadku znieważania z tego powodu, że ktoś zdecydował się służyć w ZOMO, będę karał jak najsurowiej. Osobiście uważam, że służba w ZOMO jest powodem do dumy i zasługuje na największy szacunek. To właśnie ci chłopcy za pół miesiąca będą z narażeniem zdrowia i życia zwalczać wrogie elementy wszczynające burdy na terenie naszych miast. Będą bronili nas przed przestępcami. Niejednokrotnie zajrzą śmierci w oczy. Dlatego nie pozwolę ich poniżać i chcę, żeby to dla was wszystkich stało się jasne. Jednocześnie uczulam wszystkich dowódców kompanii i plutonów na tę kwestię i polecam meldować mi natychmiast o takich przypadkach. Mam jednak nadzieję, że nic takiego powtórnie się nie zdarzy. Powiem więcej. Nic takiego nie ma prawa się zdarzyć, ponieważ uważam was za ludzi myślących... zawiesił głos i pociągnął wzrokiem po wszystkich. – Jednocześnie informuję, że kapitan Maliszko za długoletnią pracę dydaktyczno-wychowawczą, wysoki poziom dyscypliny, prawidłową postawę ideologiczno-moralną zostaje nagrodzony premią w wysokości 50 tys. zł oraz przedterminowo zostaje mianowany na stopień majora Wojska Polskiego. Rozkaz o nominacji ukaże się 22 lipca, ale mam na swoim biurku aprobatę towarzysza Ministra Spraw Wewnętrznych dotyczącą mojego wniosku. To wszystko, co miałem wam do przekazania. Dowódcy kompanii, proszę przystąpić do zajęć programowych!

* * *

Po kilku dniach nastąpiła chwila, która miała być dla nas uroczysta. Mieliśmy, według słów kadry, stać się pełnoprawnymi żołnierzami, tj. złożyć przysięgę. Oczywiście czekaliśmy na ten dzień, ale z całkiem innych przyczyn niż to się mogło komukolwiek wydawać. Po prostu, po przysiędze mieliśmy po raz pierwszy od miesiąca zobaczyć się z rodzinami i wyjść na kilkugodzinne przepustki.

Do ostatniego dnia ćwiczyliśmy musztrę i trzeba przyznać, że dało to pozytywne efekty. W trakcie defilady nie popełniliśmy żadnego błędu i wszystko wypadło bardzo dobrze. Wtedy chyba po raz pierwszy zdałem sobie jasno sprawę z tego, że zaczynam się identyfikować z grupą, w której przyszło mi przebywać dzień i noc. Nawet myśląc o tym częściej używałem pojęcia „my" niż „ja", i ci, którzy pójdą służyć w ZOMO. Zresztą, sama nazwa przestała już wywoływać we mnie negatywne skojarzenia.

Być może przez to, iż nikt z mojego toczenia nie używał jej z negatywnym wydźwiękiem, ZOMO stało się tak samo normalnym określeniem, jak wojsko, WOP czy inne, związane z odbywaniem służby. Czyżbym powoli wsiąkał w to środowisko i stawał się taki sam jak ci, którzy przyszli tu na ochotnika? Jednocześnie zacząłem się zastanawiać, czy nie jestem jedynym wziętym z przymusu. Jak na razie nie słyszałem od nikogo, że nie chciał pójść do ZOMO, tylko go do tego zmuszono. Zresztą, też się tym nie chwaliłem. Po przysiędze nie miałem czasu rozmyślać nad tym, gdyż zaraz spotkałem się z moją dziewczyną (a jednak przyjechała taki kawał drogi) , matką i ojczymem. Te kilka godzin spędzonych poza jednostką minęło jak sen i niestety trzeba było rozstać się z najbliższymi i wracać do jednostki.

Odprowadziłem rodziców i Gosię na stację PKP, a potem na skróty pomaszerowałem z powrotem. Szedłem powoli, ciesząc się ostatnimi minutami chwilowej wolności. Mogłem już iść skracając sobie drogę, ponieważ częste przemarsze przez miasto, na poligon, pozwoliły mi trochę poznać teren. Dochodziłem do jednostki, gdy usłyszałem na ulicy jakąś szarpaninę. Wychodząc zza rogu zobaczyłem widok, który każdego chyba by poruszył. Dwóch rosłych wopistów okładało pięściami niedużego żołnierzynę w takim samym mundurze jak oni. Z początku niewiele mnie to obeszło, ale gdy w tym mikrusie rozpoznałem chłopaka z czwartego plutonu mojej kompanii, niewiele się zastanawiając podbiegłem do nich. Rozciągnięcie ich na ziemi było kwestią czasu, na-

wet nie zdążyli się zorientować jak to się stało. Pomogłem konusowi doprowadzić mundur i twarz do jakiego takiego porządku i wtedy jeden z napastników zaczął się podnosić, klnąc:

– Ja cię, kurwa, jeszcze dopadnę. Zobaczysz jak bekniesz za to…

– Masz teraz okazję – odezwałem się. – Po co odkładać, jak się czujesz taki mocny? Ale jak nie chcesz dostać poprawki, lepiej zamknij pysk i mnie nie prowokuj.

Nie odezwał się już, tylko zaczął podnosić swojego kompana. Poszliśmy zostawiając ich, żeby się pozbierali. Za nami poleciało jeszcze parę wyzwisk, ale już nie zwracałem na to uwagi.

Przy wejściu do jednostki profilaktycznie przeszukano nas, czy nie wnosimy wódki i już byliśmy z powrotem „u siebie w domu". Po kolacji zaczepił mnie kapral Żarski. Kazał iść za sobą. Na korytarzu zobaczyłem tych dwóch, którym spuściłem lanie na ulicy. Był z nimi ich dowódca drużyny. Stał spokojnie oparty o ścianę i palił papierosa. Gdy mnie zobaczył, zapytał:

– Ci dwaj twierdzą, że ich pobiłeś na przepustce. To prawda?

– Tak – bąknąłem nieźle przestraszony.

– Dlaczego?

– Bili takiego taboreta z naszej kompanii, a ja akurat na to nadszedłem, no i się wtrąciłem, towarzyszu kapralu.

– Prawda to? – spokojnie spytał swoich kapral i po chwili ryknął z nienacka: – Tylko prawdę mówić, i tak żeście sobie już dość wstydu narobili! Prawda? Pokiwali pospuszczanymi głowami.

– Jak ten taboret wyglądał, poznasz go? – padło pytanie do mnie.

– Jego łatwo poznać, bo ma oko nieźle podzelowane i rozbite usta. Na imię ma chyba Krzysiek, ale nazwiska nie znam. Taki mały, czarniawy.

– Dobra, Zdzichu, poszukaj z łaski swojej tego małego i daj go tutaj – poprosił Żarskiego, który poszedł zaraz w drugi koniec korytarza, gdzie znajdowały się sale czwartego plutonu. W tym czasie przyjrzałem się lepiej moim niedawnym przeciwnikom, przedtem nie było na to czasu. Teraz dopiero zauważyłem, że są nieźle podpici. Kapral, który został z nami przyglądał mi się spod oka, a w końcu spytał?

– Co ćwiczyłeś? Tylko mi nie gadaj, że nic, bo te dwie pierdoły mówią, że ich załatwiłeś w sekundę. Kolacji nie jedli, bo jednego boli krtań i nic przełknąć nie może, a drugi ciągle rzyga po tym kopie w żołądek, jaki mu zafundowałeś.

– Wu-shu – odpowiedziałem widząc, że kapral odzywa się raczej z sympatią niż z gniewem.

– Długo?

– Pięć lat.

– To całkiem nieźle. A pięciu też byś rozwalił?

– Raczej nie. Na każdego, nawet najlepszego zawodnika dwóch wystarczy. Zgranych i myślących.

– No tak, masz rację. Te dwa głąby do myślących nie należą.

Dalszą dyskusję przerwał powrót Żarskiego z chłopakiem, którego pobili dwaj wopiści. Mały potwierdził przebieg zajścia, zresztą niedawni agresorzy byli teraz skruszeni i niczego się nie zapierali. Po chwili namysłu ich dowódca drużyny odezwał się.

– Sytuacja jest prosta jak konstrukcja cepa. Są dwa wyjścia. Albo zaraz dzwonić po oficera dyżurnego, wtedy te dwa moje tumany pójdą pod prokuratora za pobicie. Albo ukręcić całej sprawie łeb i już. Co ty, Zdzisiu, na to?

– Mnie się wydaje, że to drugie. A za co wyście bili tego małego, robaczki świętojańskie?

Odpowiedziała mu cisza i obaj jeszcze niżej pospuszczali głowy.

– Co, kurwa, nie słyszycie o co kapral pyta? – ryknął na nich ich kapral. – Odpowiadać!

– Bo…, bo… trochę wypiliśmy i akurat gadaliśmy o kapralu Zalewskim, no i ten…, ten…, no, akurat ten mały się napatoczył – wybąkał jeden z nich.

– Acha i wam było mało przykładu Zalewskiego i też chcieliście wpieprzyć się w gówno. Tak? – kontynuował pytanie Żarski.

Odpowiedziała mu cisza, wobec tego zwrócił się do ich dowódcy:

– Słuchaj. Sprawie łeb trzeba ukręcić tak czy tak, bo inaczej stary gotów rozpętać taką awanturę, że wszystkie kompanie normalnych wopistów wyjadą na poligon, na zimowy obóz pod namioty. A wtedy chyba wasi koledzy zamordowali by was nie mówiąc o kapralach?

Te ostatnie słowa skierował do obu niedawnych zawadiaków, którzy obecnie przypominali dwie kupki nieszczęścia.

– Wiesz, Zdzichu, że masz rację? Kurwa, przez nich rzeczywiście moglibyśmy wylądować na zimowisku. No przecież ja bym własnymi rękoma łby poukręcał za to, wy baranie torby – to ostatnie zdanie dowódca winowajców wycedził przez zęby i przysunął się do nich jakby miał zamiar od razu to zrobić. Widocznie wizja zimowego poligonu, którą roztoczył Żarski przeraziła go i doprowadziła do pasji. Żarski przerwał mu:

– Poczekaj, później im wstawisz w dupę …

– No, parę nocy zamiast spania spędzę na sprzątaniu kibla – wtrącił jeszcze wopista.

– … na razie trzeba sprawę załatwić do końca – kontynuował nasz kapral.

– Moje chłopaki nie puszczą pary z gęby, prawda?

– Tak jest, towarzyszu kapralu – odrzekliśmy obaj z małym.

– Ale za to twoi stawiają na zgodę trzy flaszki wódki. Sześciu nas jest. Walniemy po ćwiartce na łeb i będzie spokój. No jak? Dobrze mówię?

– Pewnie, że dobrze! I mnie się luta przyda, bo tak się wkurwiłem na nich, że mi się ręce trzęsą.

Rzeczywiście, widać było po nim, że jest zły. Chwilę patrzył na swoich podwładnych i wreszcie wrzasnął:

– No co się, kurwa, gapicie! Zapierdalać na kompanię po gorzałę, ale to biegiem!

Jeden z nich zaczął coś bąkać, że nie mają trzech butelek, ale jeszcze bardziej rozsierdził kaprala, bo usłyszał:

– Jeszcze się tu będziesz targował? Chuj mnie to obchodzi! Ciesz się, że tak się dało załatwić! Słyszałeś – trzy to trzy! Nie wiem, jak nie masz, to pożycz, ukradnij, spod ziemi wykop, ale za dziesięć minut masz być w kotłowni! Na ząb coś przynieś!

Poszliśmy do pomieszczenia, które było przeznaczone dla palacza. Był to starszy już człowiek, którego widywałem bardzo rzadko. W pierwszych dniach myślałem, że kotłownia jest na gaz, ale później zobaczyłem za budynkiem hałdę koksu i węgla. Dziwiło mnie, jak kotłownia może funkcjonować prawie bez jego obecności. Później dopiero dowiedziałem się, że obsługują ją za karę żołnierze przyłapani na jakimś wykroczeniu. Praktycznie więc, nie pracując brał pensję i niejako z wdzięczności, zostawiał klucz od swojej pakamery w schowku nad framugą drzwi, żeby żołnierze mieli gdzie wypić po kryjomu wódkę, której nawet wnoszenie na teren jednostki było zakazane, nie mówiąc o piciu. Palacz miał z tego jeszcze dodatkowy dochód w postaci pozostawionych pustych butelek, które sprzedawał.

Nie upłynęło dziesięć minut, gdy przybyli obaj zdyszani wopiści. Oczywiście mieli trzy butelki wódki i jakieś kanapki. W trakcie picia ich kapral zauważył:

– Zobacz, Zdzichu, do czego te koty są przyzwyczajone. Kolacji po tym laniu żaden nie zjadł, ale gorzałę to ciągną jak smoki i nic im nie przeszkadza.

Potem musieliśmy opowiedzieć cały przebieg zajścia. Gdy opisywali moje uderzenia, kapral Żarski zapytał mnie:

– Czemu wcześniej nie mówiłeś, że jesteś taki dobry? Może byś mnie czego poduczył i poćwiczyłbyś sobie te swoje ćwiczenia.

– Mówiłem, towarzyszu kapralu. Kiedyś na zaprawie porannej. To mi kazał towarzysz kapral machnąć dodatkowe kółko dookoła jednostki i jeszcze później musiałem zrobić dziesięć prawidłowych.

Moje słowa całe towarzystwo skwitowało salwą śmiechu. Natomiast Żarski stwierdził:

– Dobra, od jutra możesz po biegu ćwiczyć sam na zaprawie. Będę się przyglądał i może czegoś się nauczę.

Widocznie wypita wódka nastroiła go pokojowo, bo nawet zwykłe nachmurzenie znikło z jego twarzy.

Tego wieczora nie mogłem zasnąć od razu, tak jak to się zwykle działo. Być może dzień był zbyt obfity we wrażenia albo też sprawił to wypity alkohol. Najbardziej zastanawiające było moje zachowanie w momencie, gdy zauważyłem bójkę wopistów na ulicy. Zanim się zorientowałem, że bity jest chłopak z mojej kompanii, nic mnie to nie obchodziło. Zareagowałem dopiero wtedy, gdy go rozpoznałem. Zadziałałem praktycznie bez chwili zastanowienia, tak jakby to było całkiem naturalne, że będę bronił tego chłopaka, a gdyby był on wopistą, przeszedłbym obok obojętnie. Chyba dobre rady mistrza, aby zamknąć się w sobie i odizolować od otoczenia, nic nie dały. Albo rada była niewykonalna, albo ja nie potrafiłem jej realizować. Z tymi niewesołymi spostrzeżeniami usnąłem.

* * *

Przysięga niewiele zmieniła w naszym trybie życia i szkolenia. Chyba tylko to, że zaczęliśmy strzelać z ostrej amunicji. Przedtem dawano nam broń, ale tylko po to, by ćwiczyć strzelanie „na sucho". Teraz zaczęła się dopiero prawdziwa nauka. Okazało się, że osiągam niezłe wyniki i jestem jednym z lepszych strzelców w kompanii. Podczas strzelania i nauki obchodzenia się z bronią wynikł kolejny idiotyzm, których pełno było w tej jednostce. Od czasu gdy zaczęliśmy ostre strzelanie, jako rytuał dnia doszedł jeszcze jeden obowiązek, a mianowicie czyszczenie broni. Niezależnie od tego, czy była używana, czy nie przez godzinę codziennie trzeba ją było czyścić. Kaprale pilnowali, aby za każdym razem broń była oczyszczona z oliwy i później ponownie naoliwiona. Samej oliwy i szmat do czyszczenia zużywaliśmy kolosalne ilości. Zastanawiałem się wtedy, kiedy zedrze się gwintowanie lufy od codziennego szlifowania jej wyciorem. Jedynym pożytkiem było perfekcyjne opanowanie przez nas rozbierania i składania broni i chyba o to chodziło temu, który wymyślił codzienny obowiązek jej czyszczenia. Rozgrywaliśmy nawet między sobą zawody, kto szybciej rozłoży całkowicie i złoży karabinek. Potem pojawiła się moda na składanie i rozkładanie z zawiązanymi oczami i bicie rekordu na czas.

W trakcie takich właśnie zawodów znienacka usłyszeliśmy huk wystrzału w łazience. Dowódca plutonu myśląc, że któryś przez nieostrożność spowodował wystrzał, poszedł do łazienki z zamiarem ukarania winowajcy. Wyszedł stamtąd za chwilę blady jak ściana i rozkazał dyżurnemu ściągnąć natychmiast lekarza i oficera dyżurnego. Zaczęliśmy tłoczyć się w drzwiach, żeby zobaczyć co się stało. Widok był istotnie makabryczny. Cały sufit był zbryzgany krwią. Pod ścianą natomiast siedział oparty o nią chłopak z drugiego plutonu. Od góry w głowie miał dziurę wielkości pięści. Ze środka tego otworu wystawała końcówka wyciora, gdzieś na połowę jego długości. Wyglądało to tak, jakby chłopak miał zamocowaną antenkę. Mimo pewnej groteskowości widok był potworny. Potęgowały go jeszcze zastygłe w bezruchu, otwarte oczy i ręce zaciśnięte na uchwytach karabinka. Dla wszystkich było jasne, że to nie był wypadek, tylko samobójstwo. Z początku nie mogłem zrozumieć, jak to się stało, że w jego głowie tkwił wycior. Po chwili zrozumiałem. Po prostu chłopak nie miał ostrej amunicji, więc załadował ćwiczebną, czyli tzw. ślepaka, a jako pocisku użył włożonego do lufy wyciora i strzelił so-

bie pod brodę. Wycior przebił się przez część głowy, wyłupiając kawał czaszki od góry. Nie miał widocznie takiej siły jak pocisk, bo utkwił w połowie drogi i tak już został. Zbyt długo nie przyglądaliśmy się jednak, bo po zdaniu broni zostaliśmy zapędzeni do sal. Lekarz, który przyszedł po chwili, nie miał nic do roboty. Stwierdził tylko, że chłopak nie żyje i tyle.

W ciągu najbliższych dni zostało przeprowadzone gruntowne śledztwo. Wypytywano wszystkich, którzy mieszkali z tym chłopakiem na sali, przeglądano listy jakie dostał z domu i od dziewczyny. Podobno ktoś jeździł nawet przesłuchiwać rodziców i tę dziewczynę. Nic to jednak nie dało. Czekała na niego i nie miała nikogo na boku. Wszyscy twierdzili, że zachowywał się normalnie i nic nie wskazywało na to, iż zechce ze sobą skończyć. Tajemnicę zabrał ze sobą do grobu, a powołana do zbadania tej sprawy komisja zakończyła pracę stwierdzeniem, że powodem samobójstwa było załamanie nerwowe z bliżej nieustalonych przyczyn. Z początku wydarzenie to było głównym tematem dyskusji i domniemań. Po paru dniach jednak poszło prawie w niepamięć i życie potoczyło się dalej normalnym trybem. Śmierć tego chłopaka tylko tyle zmieniła w naszym życiu, że uważniej rozliczano nas z amunicji, zarówno tej ostrej jak i ćwiczebnej. Ponadto w tracie czyszczenia broni już nie trzeba było jej pilnować jak przedtem. Poprzednio wystarczyło odejść na chwilę od swojego stolika, a broń znikała jak kamfora i zadowolony z siebie kapral w zamian za jej zwrot kazał robić kilka „prawidłowych pompek". Dlatego też, nawet idąc do łazienki, zabierało się karabinek ze sobą. To było przyczyną faktu, iż nikt nie zwrócił uwagi na to, że chłopak, który popełnił samobójstwo, wchodzi do łazienki z bronią. Obecnie te żarty się skończyły. Idąc do łazienki można było spokojnie zostawić wszystko na stoliku i nic nie zginęło.

Kradzieże były w ogóle plagą. Jeśli zdarzyło się zostawić na sali leżące na wierzchu papierosy i wyjść, to po powrocie oczywiście już ich nie było. To samo było z innymi przedmiotami, jak przybory do golenia, pasy, szaliki, rękawice. Jeśli ktoś zgubił lub zostawił gdzieś na przykład rękawiczki, to nie wracał, żeby ich szukać, gdyż wiedział, że nie ma po co. Po prostu kradł je bez dłuższego zastanowienia koledze i było po kłopocie. Okradziony robił to samo następnemu i tak dalej. Prawdopodobnie łańcuszek kradzieży trwał dotąd, aż trafił na tego, który znalazł te zgubione lub zostawione rękawiczki. Takie metody radzenia sobie w życiu zawsze mnie denerwowały. Jednak w chwili, gdy zginęły mi przybory do jedzenia, które nie wiedzieć czemu nazywano niezbędnikiem, długo się nie zastanawiałem, tylko wykorzystałem nieuwagę jednego z chłopaków w łazience i rąbnąłem mu jego niezbędnik. Na śniadaniu następnego dnia zobaczyłem, że ma już następny. Doszło do tego, że każdą rzecz, nawet najdrobniejszą, miałem podpisaną i oznaczoną w tylko mnie wiadomy sposób. Jeśli ktoś mi ukradł pas, a rozpoznałem go później, była szansa odzyskania, pomimo iż ten upierał się, że to jego. Unikało się w ten sposób konieczności kradzieży. Było to zjawisko tak pospolite, że nikt się z tym nie krył,

traktując je jako normalne. Unikało się jedynie kradzenia kolegom z plutonu, tzn. współmieszkańcom sali.

Kiedy jednemu z chłopaków z mojego plutonu zginęły trampki, doradziliśmy mu, że najłatwiej będzie ukraść je w szatni podczas cotygodniowej kąpieli w łaźni. Gdy jeden pluton już się umył, to drugi w tym czasie rozbierał się w szatni, a szatnia była jedna. Pod prysznic chodziło się właśnie w trampkach i dresach, żeby uniknąć długiego rozbierania się z munduru. Chłopak, któremu brakowało trampek, poszedł do łaźni w normalnych butach. Po powrocie ktoś spytał jak mu poszło.

– Na piątkę – odpowiedział i wyciągnął spod dresu parę trampek. Oglądał je chwilę i odezwał się:

– No, to już całkiem do cholery nie podobne!

– Co się stało? Za małe?

– Nie za małe, tylko to są, kurwa, moje trampki. Te co mi zginęły. O, tutaj na podeszwie mają znak, bo go nożem wyciąłem – mówiąc to pokazał nam dwa skośne nacięcia na bokach gumowej podeszwy.

Cała sala wybuchnęła śmiechem. Ktoś wtedy rzucił żartem:

– No to nawet grzechu nie masz, bo podpieprzyłeś swoje własne trampki.

Komentarzem do tego była nowa salwa śmiechu.

Nasza kadra prawdopodobnie wiedziała, lub przynajmniej domyślała się skali tego zjawiska. Gdy zdarzała się kradzież jakiejś większej sumy pieniędzy (bo i tak bywało) i poszkodowany zgłosił o tym, dowódca kompanii robił nam wykład:

– Już niedługo pójdziecie do służby w milicji. Będziecie chodzić w niebieskich mundurach. Jednym z waszych zadań będzie łapanie złodziei. A wy jak się zachowujecie? ! Właśnie tak samo jak banda złodziei, a nie przyszłych milicjantów! Zapowiadam, że jeśli ten, który to robi, zostanie złapany, to tak dobiorę mu się do dupy, że wszystkiego mu się odechce. A potem oddam go do prokuratora i jeszcze sobie posiedzi! Nie chcę więcej o takich wypadkach słyszeć! A te pieniądze do jutra mają się znaleźć, bo inaczej konsekwencje poniesie cała kompania.

Tego dnia rzeczywiście ktoś w nocy podrzucił portfel z pieniędzmi. Później jednak już to nie skutkowało i dowódca, chcąc być słowny, dawał nam po południu wycisk. Pomimo że byliśmy nastawieni wrogo do tego, który kradł pieniądze, nigdy nie udało się przyłapać nikogo na gorącym uczynku. Podejrzewałem, że to nie była jedna osoba, lecz kilku „specjalistów". Byli wśród nas także specjaliści pożyteczni. W trakcie jednych z zajęć na poligonie odkręcił się i gdzieś zagubił rozkładany dwójnóg od karabinu maszynowego. Pomimo iż przeszukaliśmy te miejsca, w których czołgaliśmy się i biegali, niestety nie udało się go znaleźć. Chłopak, który miał na wyposażeniu ten karabin, był bardzo zmartwiony i przestraszony. Zmartwiony był także dowódca plutonu, bo w myśl przepisów powinien ukarać chłopaka za zagubienie części uzbrojenia. Wspólnie zastanawiali-

śmy się co zrobić. Padła propozycja, żeby ukraść dwójnóg z innej kompanii, ale pomysł zaraz odrzucono jako niewykonalny. Nikt nie będzie robił włamania do zamkniętego magazynu broni. Wtedy jeden z chłopaków odezwał się:

– Dowódco, żebym miał narzędzia i materiał, to bym dorobił taką nóżkę.

– Dałbyś radę? – zainteresował się dowódca plutonu.

– Chyba tak, z zawodu jestem ślusarzem. Nie takie rzeczy się dorabiało – odpowiedział.

– Z narzędziami i materiałem nie ma kłopotu. Jest ślusarnia w jednostce. Dostaniesz klucze jak wrócimy – rzekł po namyśle dowódca plutonu.

Na ochotnika zgłosiło się jeszcze dwóch, którzy znali się na takich rzeczach. Po powrocie do jednostki wzięli na wzór dwójnóg od drugiego karabinu i zamknęli się w ślusarni. Z tym dorabianiem nie była prosta sprawa, gdyż dwójnóg składał się z kilku elementów. Okazało się jednak, że nie ma w wojsku rzeczy niemożliwych. Do rana dwójnóg był dorobiony tak idealnie, że nie można było go odróżnić od oryginalnego. Był nawet tak samo porysowany i przytępiony jak drugi od wielokrotnego wbijania w ziemię. Dowódca plutonu był zadowolony.

– No, no. Nie spodziewałem się, że tak dobrze wam wyjdzie – oglądał jeszcze chwilę karabin i dodał. – Jak z fabryki.

Po śniadaniu natomiast zakomunikował nam:

– Dwójnogu już szukać nie musimy, ale mimo to dzisiaj znowu mamy zajęcia taktyczne w terenie i idziemy na poligon. Cieszy się wojsko? – spytał z drwiną w głosie.

Odpowiedział mu pomruk zawodu, gdyż mieliśmy już dość poligonu. Na nic się jednak zdały nasze jęki i pomaszerowaliśmy. Po drodze, tuż za miastem, dowódca kazał nam się zatrzymać i powiedział:

– Wczoraj ślusarze spisali się na medal i należy im się odpoczynek. Mnie też się dzisiaj nie chce zajęć prowadzić, więc będą zajęcia specjalne pod tytułem: „Niszczenie środków chemicznych, łatwopalnych w pobliżu ognia" – przerwał na chwilę, patrząc jakie zrobił wrażenie i kontynuował: – Znaczy to, że szeregowy Kamiński, który musi ponieść karę za zagubienie dwójnogu i odwdzięczyć się jakoś ślusarzom, razem z dwoma kapralami uda się natychmiast do pobliskiego sklepu w celu zakupienia wódki i kiełbasy. Ilość pozostawiam do jego uznania, ale nie mniej niż litr. Wy natomiast, jeżeli chcecie też wypić, zróbcie zrzutkę i dajcie kapralom, którzy pójdą do sklepu. Oni wam kupią. My tymczasem zasuwamy do lasu rozpalić ognisko.

Zaskoczeni, zrobiliśmy błyskawicznie zrzutkę. Kamiński z dwoma dowódcami drużyn ruszył do miasta. Na odchodne dowódca plutonu jeszcze krzyknął:

– Tylko na patrol WSW nie wleźcie albo na kogoś z jednostki!

– Mowy nie ma. Damy sobie radę, towarzyszu chorąży – usłyszał w odpowiedzi.

Ten dzień był dla nas jednym z milej wspominanych z pobytu w tej jednostce. Piekliśmy kiełbasę na ognisku, piliśmy wódkę i całe przedpołudnie nikt nas nie ganiał. Roz-

siedliśmy się grupkami przy ognisku. Pogoda była jak na zamówienie. Przygrzewało już wiosenne słońce, śnieg leżał jeszcze gdzieniegdzie, ale ziemia w lesie już zdążyła ogrzać się i była sucha. Kilku chłopaków rozgrzanych słońcem i wypitą wódką, rozłożyło się pod krzakami i zasnęło. W grupce, w której siedziałem, zaczęła się dyskusja, kiedy wyjedziemy do służby w ZOMO. Takie dyskusje toczyły się coraz częściej. Nic dziwnego, był już prawie koniec marca i pozostało jeszcze pół miesiąca do zakończenia przeszkolenia wojskowego. Nasze stwierdzenia, że w końcu zacznie się lżejsza służba, przepustki i w ogóle inne życie, jeden z kaprali przysłuchujących się rozmowie skwitował:

– Jeszcze wam się odechce tej lżejszej służby. Tutaj mieliście przedszkole, a dopiero tam dadzą wam w dupę. Jeszcze będziecie WOP wspominali jak najlepsze chwile. Szkolę już trzeci rzut do ZOMO. Kiedyś spotkałem na przepustce chłopaków, którzy byli w mojej drużynie. Mieli patrol na dworcu w Krakowie. Jak mi zaczęli opowiadać co tam z nimi wyrabiali, to się włos jeżył na głowie. Zresztą, sami zobaczycie – dodał na koniec i poszedł grzać sobie kiełbasę.

– Co on tam gada! Tak tylko straszy, bo mu szkoda, że stąd pójdziemy, a on jeszcze pół roku będzie siedział w WOP-ie, zanim wyjdzie do cywila. Mieszkam niedaleko jednostki ZOMO. Nie raz się gadało z chłopakami, którzy tam służą i opowiadali, że wcale nie jest tak źle. Co dwa tygodnie jeżdżą na przepustki, a jak który ma blisko, to co tydzień albo na służbie do domu sobie skoczy.

Uspokoiła nas ta wypowiedź. Jednak niepokój zasiany przez kaprala pozostał. Nikt z nas się do tego nie przyznawał oczywiście, ale obawy czaiły się gdzieś w środku. Dyskusja jednak toczyła się nadal wokół tego samego tematu. Snuliśmy rozważania, kiedy wyjedziemy. Część twierdziła, że piętnastego kwietnia, inni od kogoś słyszeli, że wcześniej. Rozważania te przerwał dowódca plutonu, wydając komendę do zbiórki. Ognisko zostało zgaszone i ruszyliśmy do jednostki. Zbliżało się już południe i trzeba było wracać na obiad. Po drodze, gdy przechodziliśmy przez najbardziej błotnisty odcinek, chorąży rzucił komendę:

– Padnij! Czołganiem przez pełzanie, naprzód!

Odruch zadziałał natychmiast. Wszyscy chlapnęli w błoto i zaczęli się czołgać. Z tyłu dobiegł mnie tylko czyjś głos:

– Uchlał się i teraz będzie się wydumiał.

Za chwilę padła następna komenda:

– Powstań! W dwuszeregu zbiórka!

Gdy stanęliśmy w szyku, chorąży popatrzył na nas i powiedział:

– No, teraz wyglądacie jak po zajęciach z taktyki. Co, chcieliście zajść do jednostki czyściutcy jakby zajęć w ogóle nie było? Przecież od razu każdy by się zorientował.

Rzeczywiście, byliśmy umazani w błocie jak nieboskie stworzenia. A więc to nie było głupie wyżywanie się na nas, tylko stara żołnierska mądrość i doświadczenie. Już na

terenie jednostki przekonaliśmy się, że chorąży miał rację. Na nasze spotkanie wyszedł dowódca kompanii, obrzucił nas spojrzeniem i stwierdził:

– Co? Dostaliście trochę dzisiaj w kość? Dobrze, dobrze... – pokiwał głową zadowolony i poszedł sobie.

Dowódca plutonu zrobił do nas oko. Odpowiedziały mu uśmiechy i w tym momencie poszły w zapomnienie wszystkie przekleństwa, jakimi obdarzaliśmy go kiedyś. Od tej pory miał opinię równego chłopa i jego polecenia spełniało się bez szemrania i niechęci, bo wiadomo: Tak musi być i koniec.

* * *

Ostatnie dwa tygodnie, jakie spędziłem w WOP-ie, upłynęły pod znakiem oczekiwania na wyjazd. Praktycznie nie było dnia, żeby nie gruchnęła wieść, że już jutro czy za dwa dni wyjeżdżamy. Oczywiście, wiadomość miała pochodzić ze sprawdzonego źródła i była całkiem pewna. Następnego dnia okazywało się, iż powstała następna plotka o podobnej treści. Trwało to dwa tygodnie. Zajęcia w tym okresie odbywały się w normalnym trybie. Widać było jednak na każdym kroku zmianę w zachowaniu kadry. Nie było już zbytniego wyżywania się, chyba w tym ostatnim okresie nie chcieli pozostawić po sobie złego wrażenia i stąd wynikało to rozluźnienie.

W końcu jednak, podczas normalnego wyjścia na zaprawę, zobaczyłem, że na placu jednostki stoją samochody, autokary i zomowskie „Stary". W pierwszej chwili byłem zaskoczony, ale później poczułem dziwny niepokój. Od początku wiedziałem, że kiedyś zakończy się okres służby w WOP-ie, czułem się jednak jakoś dziwnie. Był w tym chyba niepokój z domieszką ciekawości. Nie mogłem się jednak zbyt długo zastanawiać, gdyż widocznie uznano, że wyjazd wyjazdem, ale dzień trzeba zacząć normalnie. Odbyła się więc zwyczajna zaprawa. Po śniadaniu natomiast dzień nabrał zawrotnego tempa. Musieliśmy błyskawicznie pozdawać do magazynów całe umundurowanie i wyposażenie. Było z tym kupę zamieszania i bieganiny, ale już o dziewiątej byliśmy gotowi i przebrani w ubrania, w których przyjechaliśmy z domu. Zebrano nas w świetlicy. Dowódca jednostki wygłosił krótką mowę na pożegnanie. Słuchaliśmy go, jednocześnie obserwując tych, którzy po nas przyjechali. Złapałem się na tym, że wypatrywałem jakichś szczególnych znaków świadczących o tym, iż są z ZOMO. Nic na to nie wskazywało. Byli ubrani w normalne milicyjne mundury i wcale nie były to jakieś potężne, wysokie chłopiska. Ot normalnie, jeden większy, drugi mniejszy, jeden lepiej zbudowany, drugi gorzej.

Gdy pułkownik zakończył przemowę, zaczęło się rozdzielanie nas do jednostek. Kapitan Maliszko przedstawiał milicjanta, podawał skąd jest i wyczytywał nazwiska tych, którzy mieli z nim jechać. Wymienieni, po krótkim pożegnaniu z dowódcami, wychodzili z sali i odjeżdżali. Gdy zaczęto wyczytywać listę jadących do Warszawy, byłem już gotowy do wyjścia. Z ciekawością zerkałem na wysokiego porucznika, który po nas przy-

jechał. Jednak lista się skończyła, a mnie nie wyczytano. Siedziałem zaskoczony, patrząc jak ta grupa wychodzi. Jeszcze łudziłem się nadzieją, że to jakaś pomyłka, przeoczenie i wszystko za chwilę się wyjaśni. I wyjaśniło się: Byłem na liście tych, którzy odjeżdżali do Katowic! W pierwszej chwili nie chciało mi się w to wierzyć, ale niestety była to prawda. Nie do jednostki blisko domu, ale na drugi koniec Polski i w dodatku na Śląsk. Razem ze mną wyczytano dużą grupę, z najróżniejszych okolic Polski. Jak w transie, jeszcze zaszokowany, pożegnałem się z dotychczasowym dowódcą i kapralami. Nieduży, starszy chorąży, zaprowadził nas do autokaru i ruszyliśmy. Część nie kryła swoich uczuć, tylko klęła na głos. Wtedy chorąży warknął:

– Nie bluzgać mi tam!

To były jedyne słowa, jakie wypowiedział przez całą drogę. Zbyt rozmowny nie był. Uciszyliśmy się. Byłem trochę przygnębiony przydziałem do Katowic, a jednocześnie wściekły na kadrowca, który obiecywał mi Warszawę, a wpakował na Śląsk. Pocieszałem się tylko myślą, że może uda mi się przenieść w trakcie służby. W Katowicach byłem już kiedyś i nie powiem, żeby mi się podobały. Smrodliwe, zadymione powietrze, pokryte sadzą, zakurzone budynki i twarda mowa, z niemieckimi naleciałościami. Nie, to absolutnie mi się nie podobało. Co innego Warszawa, którą znałem dobrze. Przecież od pięciu lat dojeżdżałem tam na treningi, dwa, a nawet trzy razy w tygodniu. Przy podobnych rozmyślaniach usnąłem. Ocknąłem się tuż przed Katowicami. Z głównej drogi zjechaliśmy w jakąś boczną, prowadzącą przez las. Na tej drodze minęła nas kolumna milicyjnych nysek i starów jadących z przeciwka. Zorientowałem się, że to już blisko. Wtedy chorąży odezwał się:

– Już dojeżdżamy. Przygotujcie się na powitanie – zaśmiał się przy tym jakoś tak dziwnie, że zacząłem się niepokoić.

Rzeczywiście, droga przez las kończyła się bramą pilnowaną przez milicjanta z karabinkiem AKM niedbale przewieszonym przez ramię. Za bramą widać było jednostkę. Od razu rzucało się w oczy, że to nie maciupka jednostka WOP, w której dotychczas byliśmy, tylko prawdziwy kombinat z nowymi potężnymi blokami koszarowców, mnóstwem samochodów i uwijających się ludzi w mundurach.

Część chodziła w mundurach milicyjnych, większość była jednak w polowych moro, różniących się od wojskowych tylko tym, że zamiast zielonego miały plamki niebieskie. Wjechaliśmy na plac między dwoma koszarowcami. Z jednego z nich wysypała się grupka kaprali i zaraz weszła z powrotem. Chorąży kazał nam wysiąść. Gdy byliśmy już wszyscy na placu, stało się coś, co zaparło mi dech w piersiach. Chorąży nagle krzyknął:

– Padnij!

Zbaranieli chyba wszyscy, bo nikt się nawet nie poruszył. Zamarliśmy w bezruchu, ale chorąży nie żartował, bo po sekundzie wydarł się na nas znowu:

– Co kurwa, koty! Komend nie znacie! – i jeszcze głośniej. – Padnij powiedziałem!

Powoli, jeszcze osłupiali pokładliśmy się na ziemi. Padła następna komenda:

– Czołganiem przez pełzanie, kierunek widoczne drzwi! Naprzód!

Teraz już nikt się nie zastanawiał. Widok był taki, że aż litość brała. W swoich prywatnych ciuchach, niektórzy z jakimiś torbami, neseserami w rękach, czołgaliśmy się do tych drzwi. Przez głowę przeleciała mi tylko myśl, że kapral przy ognisku miał rację, a myśmy mu nie wierzyli. Jeśli taki jest początek, to co będzie dalej? Gdy wszyscy już doczołgaliśmy się do schodów, usłyszeliśmy następne polecenie:

– Powstań! Na kompanię! Biegiem! Marsz!

Zerwaliśmy się i tłocząc się w drzwiach wbiegliśmy do budynku. Zaraz przy wejściu stał kapral i kierował we właściwym kierunku wrzeszcząc:

– Na górę po schodach! Biegiem! Biegiem!

Na każdym półpiętrze stał następny i wrzeszczał to samo. W pewnym momencie, po przebiegnięciu kilku półpięter (wtedy nawet nie wiedziałem ilu) wpadłem za innymi na korytarz, gdzie stali następni kaprale wrzeszcząc:

– W dwurzeregu! W dwuszeregu stawać!

Wśród tego wrzasku i ogólnego tupotu biegnących za mną i przede mną, zdążyłem tylko zauważyć, że na korytarzu stała już duża grupa, do której nas dołączono. Później dowiedziałem się, że przyjechali już wcześniej z innych jednostek WOP i czekali na nas. Ci, którzy przyjechali jako pierwsi, stali już godzinę. Teraz ustawiono nas według wzrostu i podzielono na cztery plutony. Wszystko oczywiście przy akompaniamencie wrzasku. Wtedy na korytarz wyszła cała kadra. Kaprale przycichli. Grubawy, niski porucznik zaczął mówić:

– Jestem porucznik Edward Nowakiewicz. Dowódca szóstej, czyli waszej kompanii – głos miał nawet przyjemny, gruby i chyba jakąś chorobę gardła, gdyż zdania przerywał lekkim chrząknięciem. – Będę się z wami męczył przez prawie dwa lata. Od początku chcę, żeby wszystko było jasne. Spod mojej ręki wyszło już kilka kompanii i każda była najlepsza. Z was też zrobię najlepiej wyszkoloną kompanię w jednostce. Dostaliście już pierwszy szlif w WOP-ie, a teraz czeka was trzymiesięczny okres unitarny. Potem dopiero złożycie ślubowanie i jako pełnoprawni milicjanci zaczniecie służby na mieście. Uważajcie, do czasu ślubowania nie ma dla was praw, a są tylko obowiązki. Nie chcę was straszyć, ale lekko nie będzie. Jest was prawie stu dwudziestu. Część nie wytrzyma i wykruszy się. Jak zostanie coś koło stu, to będzie dobrze. Na skargę proszę do mnie nie przychodzić, ponieważ to, co będą z wami robili dowódcy plutonów czy drużyn, będzie robione na moje polecenie, więc nie ma sensu się skarżyć. Pozostała kadra to:

– Pluton pierwszy – wskazał ręką na wysokiego, dobrze zbudowanego młodszego chorążego o sympatycznej twarzy, z krótko przystrzyżonym wąsem. Przyglądałem mu się z uwagą, gdyż trafiłem znowu do pierwszego plutonu. Wskazany ręką przez porucznika przedstawił się:

– Młodszy chorąży Strzyż. Dziesięć lat służby. Będę dowodził pierwszym plutonem. Lubię porządek i posłuszeństwo.

* * *

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że nie trafiłem źle. Strzyż wyglądał na najsympatyczniejszego z całej czwórki. Zdecydowanie nie chciałbym trafić do drugiego plutonu. Jego dowódca, który przedstawił się jako chorąży Zielonka, dodając, że poznamy go w „praniu", miał tak nieprzyjemny wyraz twarzy, że kojarzył mi się ze złym psem. Na dokładkę na ustach błąkał mu się cały czas jakiś drwiąco-wredny uśmieszek. Dowódca trzeciego, młodszy chorąży Wyżyk, sprawiał wrażenie raczej nijakie. Podobny trochę do Zielonki, wysoki, szczupły, śniady jak i tamten, miał twarz całkowicie bez wyrazu. Przedstawił się i nic nie dodając do tego stał dalej z kamienną miną. Najlepiej jednak zaprezentował nam się starszy chorąży, który nas przywiózł. Niski, przygarbiony, z czapką przekrzywioną na jedno ucho, wskazany przez Nowakiewicza warknął:

– Nazwisko – Baka, stopień jak widać. A jaki jestem, to możecie spytać kogoś ze starszych kompanii. Powiedzą wam, że jestem kawał skurwysyna. Dobrym wujkiem to ja wam nie będę.

Słowa raczej z siebie wywarkiwał niż mówił, a jego przygarbiona sylwetka sprawiała wrażenie jakby chciał się na swój pluton rzucić.

Nowakiewicz kontynuował:

– Waszym zaopatrzeniem i wszystkimi sprawami gospodarczymi zajmie się szef kompanii.

Niski, podobny sylwetką do Nowakiewicza sierżant przedstawił się:

– Sierżant Oborniak. Mówią, że w wojsku szef jest jak matka. Nie wiem czy to prawda, ale będę się starał, żebyście mieli wszystko pozałatwiane porządnie i we właściwym czasie.

Popatrzył na nas i dodał:

– Będzie dobrze, chłopaki, tylko musicie zrozumieć, że ze mną się w chuja nie gra.

Po tych słowach uśmiechnął się i stanął pod ścianą. Porucznik po przedstawieniu kadry ciągnął dalej:

– Teraz, już znacie swoich dowódców. Dowódców drużyn poznacie w obrębie plutonów. Teraz, żeby nie było bałaganu, każdy pluton oddzielnie, na plac – następnie odwrócił się do dowódców:

– Tam omówić z nimi resztę i do magazynu. Na obiad chcę widzieć całą kompanię umundurowaną. Po obiedzie pobiorą resztę. Od jutra już normalne zajęcia. Wykonać!

Strzyż pogonił nas jako pierwszych na plac. Za nami zaraz wybiegł drugi pluton i następne. Tam znowu zbiórka. Podział na drużyny, oczywiście w ten sam sposób – głośno wydawanymi rozkazami – i już maszerowaliśmy do magazynu. Na razie pobraliśmy tyl-

ko mundury polowe, ale tutaj od razu widać było inne porządki. Po pierwsze, mundury pobraliśmy nowe, tak samo buty, z których ucieszyłem się najbardziej. Po wykrzywionych wojskowych oficerkach, jakimi uraczono nas w WOP-ie, teraz dostaliśmy nowiutkie, lekkie i wygodne buty. Samo pobieranie odbywało się całkiem inaczej. Tutaj każdy był pytany o wzrost, numer butów i pomimo iż dobieranie było indywidualne, wszystko szło szybko i sprawnie. Chorąży nawet ostrzegał, że jeśli ktoś źle dobierze mundur czy buty i będzie chodził jak oferma, to tak dostanie w dupę, że się nie pozbiera.

Zabrano nam znowu cywilne ubrania i pomaszerowaliśmy na obiad. Jedzenie, tak jak przypuszczałem, było o niebo lepsze niż to, które do tej pory nam serwowano. Chyba nawet zaczęłoby mi się tu podobać, gdyby nie sposób, w jaki nas traktowano. Pomysłowość kadry w wymyślaniu szykan była niesamowita! Oprócz ustawicznego wrzasku kaprali i wyzwisk, w ciągu jednego dnia wprowadzone zostały zasady obowiązujące później przez całą unitarkę. Naczelna to taka, iż nie mamy nic do powiedzenia. Chłopak, który zaczął rozmawiać na stołówce, usłyszał komendę „Powstań" i kończył obiad na stojąco. Druga z zasad mówiła, że młody kocisko nie może normalnie chodzić. Po prostu nie wolno mu i już. Kot, jeśli nie maszeruje, to biega. Nawet w kolejce do stołówki musieliśmy tupać w miejscu. Na kompanii, gdy wychodziliśmy z sali do łazienki, również korytarz pokonywaliśmy biegiem. Jeśli kapral zawołał kogoś do siebie, wezwany podbiegał i meldował się, biegnąc w miejscu.

Zbiórek na korytarzu i przed budynkiem mieliśmy tego dnia niesamowitą ilość. Przed każdym wyjściem np. do magazynu po pościel padała komenda:

– Uwaga kompania! Kompania baczność! Spocznij! W dwuszeregu frontem do mnie! Biegiem! – tu następowało zawieszenie głosu i w salach słychać było donośne tupnięcie ponad setki chłopa i dopiero rozkaz: – Zbiórka!

Z sali oczywiście wybiegaliśmy w takim tempie, iż dziwne, że nie wyrwaliśmy z framugi drzwi. Po komendzie „Biegiem" należało pochylić się i wykonać wykrok prawą nogą i stąd każdorazowe tupnięcie. W tej pozycji trzeba było trwać, aż wydana zostanie komenda „Zbiórka". Zdarzało się, iż po „Biegiem" nagle otwierały się drzwi od sali, stawał w nich kapral i patrzył czy wszyscy są prawidłowo nachyleni. Jeśli kontrola wypadała niepomyślnie, następowało kilkakrotne: „Padnij! – Powstań!" Nigdy nie było wiadomo, które drzwi się otworzą i która sala będzie ukarana. Gdy przed kolacją byliśmy chwilowo wolni, dowódca drużyny, kapral Czader, wyjaśnił nam jeszcze parę zasad.

Otóż okazało się, że obowiązuje nas takie zapinanie pasa, aby nie dało się go okręcić chwytając za klamrę. Ponadto guziki i dziurki przy bluzie muszą być tak pozaszywane, żeby szarpnięciem za klapy nie dało się ich porozpinać ani urwać. To samo dotyczyło kieszeni. Przyniósł nam łaskawie nici i igły i po prostu pozszywaliśmy dziurki po zapięciu guzika. Kieszenie po tym zabiegu nie dawały się odpiąć, a bluzę zakładało się przez głowę. Nauczył nas też jak ścieli się łóżka. Po jego pokazie, poduszka miała kształt

idealnego sześcianu. Poszewka od kołdry była tak napięta, że moneta pięciozłotowa rzucona na nią odbijała się jak od trampoliny. Takie naciągnięcie uzyskiwało się, gdy układało się ją po skropieniu wodą. Gdy wysychała, sama się napinała. Zademonstrował nam też, jak wygląda kostka z munduru ułożona na taborecie przed ciszą nocną. Musiała przykrywać idealnie blat taboretu. Pas musiał być zwinięty w rulon w taki sposób, że rzucony w kąt sali czy wyciskany od środka w jednej ręce, nie miał prawa się rozwinąć. Takie zwinięcie uzyskiwało się przez przełożenie pasa przez sprzączkę i ślimakowate zwinięcie w kształcie stożka. Potem ten stożek wbijało się do środka i dzieło było gotowe. Dochodziło później do takich przypadków, że rano nie można było pasa w żaden sposób rozwinąć i trzeba było wybijać zwój ze środka nogą od taboretu.

Gdy Czader nam to wszystko wyjaśniał, obserwowaliśmy go przerażeni. W pierwszej chwili myślałem, że są to jego wymysły albo że żartuje, tak to wszystko było bezsensowne. Później okazało się jednak, że należała mu się nasza wdzięczność za wszystkie rady udzielone przed kolacją. Inni dowódcy drużyn tego nie zrobili.

Wieczorem zarządzono apel, jeśli tak można nazwać ten cyrk, jaki się wtedy odbył. Gdy byliśmy już ustawieni na zbiórce (oczywiście po kilku powrotach do sali, gdyż uznano, że wybiegamy za wolno) , zaczął się przegląd. Wszyscy dowódcy drużyn chodzili między nami i próbowali tego, o czym uprzedził nas kapral. To znaczy: szarpali za klapy od bluzy czy kieszeni próbując je porozpinać. Jeśli się to udało, kapral obrywał guziki, które się rozpięły. Widziałem, że w niektórych drużynach na podłogę sypały się praktycznie wszystkie guziki. Dowódca drużyny sprawdzał wszystkie, poza swoją, próbując czy tam mu się nie uda. W tym czasie sprawdzano też prawidłowe dociągnięcie pasa. Jeśli udało się go okręcić, za jedno przewinięcie klamry była kara dziesięciu pompek. Byli i tacy, u których przewinięto klamry po trzy razy. U mnie udało się jednemu z kaprali urwać guzik przy kieszeni, byłem więc zadowolony, że na tym się skończyło. Po powrocie do sali błyskawicznie go przyszyłem i było po kłopocie. Jeden z chłopaków z sali, też o imieniu Darek, pomimo wcześniejszego zaszywania stracił cztery guziki i szył aż do chwili, gdy kazano gasić światło. Złożył szybko ubranie w kostkę i położył się. Zauważyłem, że nie wyszła mu ta kostka najlepiej. Przypuszczałem, że stan ułożenia ubrań w kostkę też będzie sprawdzany. I nie pomyliłem się. Ledwo zdążyliśmy się położyć, a już mieliśmy nalot na salę. Pierwsza wyleciała w powietrze kostka Darka, a potem pozostałe. Kapral nie zapalał światła, tylko przyszedł z latarką, musieliśmy więc składać po ciemku. Sprawdził też pasy, ale nie udało mu się rozwinąć żadnego. Składając ubranie słyszałem rumor przewracanych stołków na sąsiednich salach, czyli tam też odbywała się kontrola. Myślałem, że skończy się na jednej wizycie, ale ledwo uporaliśmy się z robotą i pokładliśmy do łóżek, wpadł następny kapral. Długo chodził i świecił po kostkach, próbował też pasów, ale widocznie uznał, że nie jest źle, bo mruknął:

– Może być – po chwili namysłu zawrócił jednak, dodając:

– Ale trening czyni mistrza.

Podszedł do taboretów i kopniakami poprzewracał je. Następne układanie i z powrotem do łóżek. Leżałem, nasłuchując, kiedy znowu któryś wpadnie i rozrzuci wszystko. Tej nocy dano nam już jednak spokój. Leżałem, nie mogąc zasnąć po tym dniu pełnym wrażeń. Pierwszą myślą było to, że lekko tutaj nie będzie. Ten dzień wytrzymałem, ale co będzie dalej? W trakcie apelu był moment, w którym o mało nerwy mi nie puściły. Jeden z kaprali, gdy chciał okręcić klamrę mojego pasa, wyczuł, że napiąłem mięśnie brzucha, pchnął mnie więc pięścią w żołądek, próbując jednocześnie skręcić pas. Obie ręce skoczyły mi do góry. Opanowałem ten odruch, tak że wyszło z tego tylko lekkie drgnięcie. Czy zauważył to, czy też wyczuł twarde jak stal mięśnie brzucha, w każdym razie spojrzał na mnie dziwnie i dał spokój. Zastanawiałem się nad tym, wiedząc, iż w którymś momencie nie wytrzymam tego traktowania mnie jak bydło i narobię sobie kłopotów. Gdy rozmyślałem, jak utrzymać nerwy na wodzy, usłyszałem cichutki szloch dochodzący z sąsiedniego łóżka. Z początku myślałem, że się przesłyszałem. Ale nie, to rzeczywiście było stłumione przez poduszkę łkanie. Któryś z chłopaków płakał! Mnie samemu nie było wesoło, gdy myślałem o tym, co z nami wyrabiają. Jeśli ten chłopak przyszedł tu na ochotnika i obiecywał sobie złote góry, to mu się wcale nie dziwię, że pochlipywał w poduszkę. Podejrzewam, że nie on jeden tej nocy uronił parę łez. Mnie było łatwiej to znieść, biorąc pod uwagę, że nie przyszedłem do ZOMO z własnej woli. Pokrzepiony tą myślą usnąłem.

* * *

Od rana następnego dnia znowu zaczął się kocioł. Tuż po obudzeniu nie bardzo orientowałem się gdzie jestem. Gdy tylko połapałem się w sytuacji i pojąłem, że te krzyki dotyczą także mnie, wyskoczyłem z łóżka jak z katapulty i zacząłem się ubierać. Po chwili jednak, gdy zorientowałem się, że wszyscy zakładają dresy i trampki, przebrałem się szybko w dres. Zaskoczyło mnie trochę, że nikt się nawet nie roześmiał z tego, że błyskawicznie wskoczyłem w moro zamiast w dres i musiałem się przebierać. Zrozumiałem wtedy, że znowu wytworzyła się taka psychoza strachu jak w WOP-ie w pierwszych tygodniach pobytu. Wyglądało to tak, jakbyśmy od nowa zostali powołani do wojska i zaczynali dopiero je poznawać.

Wybiegając na zaprawę zastanawiałem się, czym będzie ona różniła się od tej w WOP-ie. Byłem prawie pewny, że ZOMO opracowało dla „kotów" jakieś specjalne szykany. No i nie zawiodłem się. Bieg za kapralem do lasu, a potem „kołowanie" na komendę „W tył na lewo" poznaliśmy już w WOP-ie, więc nie było to dla mnie nic nowego. Potem nastąpiły pompki i przy okazji zauważyłem utkwiony we mnie wzrok kaprala. Szybko pojąłem o co chodzi. Nauczony przez lata treningów, robiłem pompki, opierając ręce na pięściach, a nie tak jak inni na całych dłoniach. Byłem do tego przyzwyczajony i tak

było mi nawet wygodniej. Kapral popatrzył na mnie i gdy byłem już prawie pewny jakiejś szykany za odmienność odszedł ku mojemu zdziwieniu. Potem dopiero nastąpiły udziwnienia i ćwiczenia, które wyrabiały formę. Po komendzie „kaczy chód" nie wszyscy od razu pojęli o co chodzi. Kapral wybrał jednego, który zrozumiał i chłopak zademonstrował to ćwiczenie. Chodziło o chód w głębokim przysiadzie z rękoma założonymi na kark. Od tego ćwiczenia przechodziliśmy do przesuwania się naprzód przy jednoczesnym wykonywaniu obunożnych skoków w głębokim przysiadzie i z rękoma na karku. To drugie ćwiczenie kapral prowadzący musztrę nazwał jumpingiem, wymawiając „dżamping" i pomimo że wszyscy tak je nazywali, nikt nie wiedział skąd ta nazwa się wzięła. Gdyby wiedzieli, że z Ameryki, pewnie by to nazwali inaczej. Gdy „dżampingiem" i „kaczym chodem" na zmianę przebyliśmy około 200 metrów, nastąpił „odpoczynek samuraja". Należało przy tym ćwiczeniu, opierając się na prawej ręce i prawej nodze, lewe kończyny unieść w górę i wytrwać tak kilkadziesiąt sekund. Potem następowała zmiana i prawa strona była w górze. Gdy już „odpoczęliśmy", znowu był bieg, pompki, „kaczy chód", „dżamping" i „odpoczynek samuraja". Po kilku seriach zaprawa nareszcie się skończyła. Biegnąc do jednostki, czułem że jestem mokry od potu. Przy mojej kondycji, wysiłek musiał być niezły, jeśli się spociłem. Niektórzy nie mogli biec po schodach, tylko wchodzili, dysząc, jakby mieli za chwilę płuca wypluć. Poranne stanie, ścielenie łóżek i śniadanie odbyło się już bez nowych niespodzianek. Natomiast po powrocie ze śniadania, gdy weszliśmy do sali, okazało się, że wszystkie z takim trudem dopieszczone łóżka wyglądają jakby się na nich kotłowało stado małp przez cały dzień. Szybko poprawiłem swoje. Pośpiech był konieczny, gdyż przed wyjściem na zajęcia nasz pluton pierwszy miał dzisiaj dyżur jako sprzątający. Od czasu pobudki nie było chwili wolnej. Ciągle byliśmy czymś zajęci.

Blok dydaktyczny (tak go nazwali) , do którego nas po sprzątaniu zaprowadzono, w pełni zasłużył sobie na tę szumną nazwę. Była to szkoła z wykładowcami, salami, pomocami naukowymi i tablicami. Tego pierwszego dnia jeszcze nie robiono nam wykładów, tylko w zarysie przedstawiono plan szkolenia z poszczególnych przedmiotów. Po krótkim opisie i rozkładzie godzin zorientowałem się, że ponad połowa zajęć będzie się odbywała w tym bloku. Ucieszyło mnie to, bo zawsze lepiej siedzieć i słuchać wykładu, niż tupać na mustrze, biegać czy czołgać się po lesie. Nie zdziwiła mnie też spora liczba godzin przeznaczonych na wychowanie polityczne, pomimo iż w stosunku do godzin, jakie przypadały na zagadnienia z tematyki typowo milicyjnej, była ona imponująca. Proporcja była mniej więcej taka, jak w WOP-ie, a spodziewałem się, że polityki będzie więcej.

Jako swojego rodzaju „novum" przyjąłem do wiadomości fakt, że będziemy mieli zajęcia z samoobrony. Było to nawet sporo godzin. No, na tych zajęciach nie powinienem mieć kłopotów i powinienem raczej błyszczeć. Cieszyłem się zwłaszcza z tego, że pierwsze zajęcia miały się odbyć już w dniu dzisiejszym. Niecierpliwie czekałem na tę chwilę.

Po zapoznaniu się z wykładowcami pogoniono nas na kompanię i kazano przebrać się w dresy. Zrobiliśmy to błyskawicznie. Nie wiedzieliśmy, czy moro składać w kostkę, czy powiesić na łóżku. Ze względu na brak czasu powiesiliśmy mundury na łóżkach i wybiegliśmy. Po krótkim marszu kaprale doprowadzili nas do sali gimnastycznej. Rzut oka wystarczył, by przekonać się, że jest to pełnowymiarowa hala sportowa, w dodatku wyposażona w siłownię, tj. „Atlas". Ponadto połowę sali zajmowała rozłożona mata. Oryginalne tatami. Dla mnie był to szok. Tatami to szczyt marzeń każdej szkoły walki. Zagoniono nas do szeregu i jeden z kaprali zameldował kompanię gotową do zajęć. Pomimo iż instruktor był w dresie, w trakcie meldunku zorientowałem się, że jest w stopniu kapitana. Był to nieduży, szczupły mężczyzna ostrzyżony na jeżyka, dobrze zbudowany, o twarzy tak sympatycznej, że na pierwszy rzut oka dał się lubić.

– Proszę usiąść – głos też miał sympatyczny i wcale nie wydawał komend, tylko poprosił.

Wszyscy siedli. Stojąc w pierwszym rzędzie zastanawiałem się jak siąść. Normalnie, czy tak jak na treningu u mistrza. Wybrałem to drugie. Kątem oka zobaczyłem, że takich jak ja jest kilku w kompanii liczącej 120 osób. Nasz wykładowca rozejrzał się po twarzach i zaczął mówić:

– Podczas unitarki będę was uczył samoobrony. Postaram się nauczyć was jak błyskawicznie obezwładnić faceta i jak nie dać się uderzyć. Trzy miesiące to mało, a później będziemy się spotykać tylko raz w tygodniu, jeśli będziecie mieli czas na to. Dlatego nie marnujmy ani chwili, tylko bierzmy się do roboty. Najpierw rozgrzewka. Acha. Nazywam się Adamiec, stopień – kapitan. Mam czarny pas w judo. A teraz po formalnościach do roboty.

Zrobił nam krótką rozgrzewkę, po której kazał usiąść dookoła na macie. Gdy usiedliśmy, odezwał się:

– Chcę wam pokazać do czego można dojść po kilku latach treningu. Potem dopiero będziemy się uczyć. Na dzisiaj w planie mamy pady. Jeśli któryś z was ćwiczył judo, niech się pokaże.

Po tych słowach podniosło się kilka rąk. Ja natomiast odruchowo wstałem i zrobiłem ukłon. Spojrzał na mnie ze zdziwieniem. Dopiero wtedy zorientowałem się, że bez polecenia czy komendy wstałem. Widocznie zadziałało na moją podświadomość to, iż czułem matę pod stopami. Chciałem usiąść z powrotem, ale instruktor zawołał, wskazując na mnie ręką:

– Chodź, chodź, kochany. Skoro wstałeś i zrobiłeś ukłon, to się nie wstydź, tylko dawaj tu do mnie.

Podszedłem i jeszcze raz ukłoniłem się po chińsku, tzn. zaciskając ręce w pięści i w trakcie skłonu oddalając je od siebie. Adamiec popatrzył na to i zapytał:

– Co ćwiczyłeś?

– Wu-shu – odpowiedziałem.

– Długo?

– Pięć lat.

– U kogo?

– U Tao-tien-wu w Warszawie – odparłem z dumą.

Gwizdnął z podziwem i powiedział:

– Widziałem go rok temu na zawodach w Krakowie. Jego sekcja zajęła pierwsze miejsce.

– Byłem tam. W swojej wadze zdobyłem drugie miejsce, a w klasie „open" czwarte – powiedziałem.

– Dobra, pogadamy później. Teraz do zajęć. Padać umiesz? – ni spytał, ni stwierdził. W odpowiedzi tylko się uśmiechnąłem. Adamiec zwrócił się do całej kompanii:

– Zademonstruję wam kilka pokazowych rzutów, które mogą wykonać tylko ci, którzy długo ćwiczyli. Jak zechcecie, to po dwóch latach tutaj możecie gdzieś ćwiczyć dalej. Zależy to tylko od was. A dojść można do takich rzeczy – zakończył i podszedł do mnie.

– Bronić się czy jak worek? – spytałem.

– Z początku nie. Później, jak ci powiem, wykonasz parę ataków na mnie – odparł.

Rzucił mnie kilka razy o matę. Rzeczywiście, robił pokazówki. Były to wysokie, efektowne rzuty, po których każdy, kto nie umie padać, powinien skręcić kark upadając lub przynajmniej złamać sobie obojczyk. Wyczułem, że jest bardzo zwinny i dobry technicznie. Wchodząc do rzutu wykonywał ruchy tak miękkie i płynne, że do złudzenia przypominały ruchy kota. Przerwał na chwilę, mówiąc:

– Widzieliście parę technik. Zobaczycie też jak należy upadać, żeby nie zrobić sobie krzywdy. Teraz poćwiczymy.

Wytłumaczył jak powinno się upadać. Zademonstrował kilka razy i gdy na sali zaczęły się rozlegać plaśnięcia ciał o matę, podszedł do mnie.

– Ty nie musisz uczyć się padania, więc może powalczymy? – spytał.

– Bardzo chętnie, towarzyszu kapitanie. Tylko według jakich zasad?

– Ty rób co chcesz, a ja postaram się nie dać uderzyć – powiedział to z taką pewnością siebie, że mimo woli uśmiechnąłem się. Oj! pewniaczku, pewniaczku, zobaczymy jak to będzie – pomyślałem.

Zauważyłem, że kaprale z ciekawością podeszli bliżej nas i zaczęliśmy. Początkowo nie mogłem się w żaden sposób dostać do wrażliwych miejsc kapitana, tak dobrze blokował i tak szybko odskakiwał. Wylądowałem nawet raz na macie po jego błyskawicznym podcięciu, nie zdążył jednak uchwycić mnie, żeby przytrzymać leżącego. Po tej „wpadce" byłem już ostrożniejszy. Zacząłem markować uderzenia, robić zwody, szybkie zmiany pozycji. Po kilku chwilach zamarkowałem uderzenie na głowę, a rzeczywiście wykonałem szybkie podcięcie nóg i kapitał łupnął o matę. Zerwał się i otrzymał następ-

ne uderzenie nogą, tym razem w brzuch. Poleciał na plecy i zwinął się, trzymając za żołądek. Gdy złapał oddech, poklepał mnie po plecach i wystękał:

– No, na dzisiaj mam dość. Ale musimy się jeszcze kiedyś popukać. Mam nadzieję, że mi pokażesz parę swoich tajemnic. Ja w zamian pokażę ci swoje sztuczki i obaj na tym zyskamy. Dobra? Od dzisiaj na prowadzonych przeze mnie zajęciach możesz sobie ćwiczyć co chcesz, nie patrząc na to, co robi reszta.

Do końca pobytu na sali poćwiczyłem sobie na pełnym luzie. Nawet udało mi się na chwilę zapomnieć gdzie jestem i trochę psychicznie odpocząć. Dowódcy drużyn obserwowali mnie z uwagą. Oni nie brali udziału w szkoleniu. Nawet nie przebrali się w dresy, tylko na salę przyszli w moro. Po tych zajęciach zauważyłem, że odnoszą się do mnie trochę inaczej niż do reszty. Owszem, byłem ganiany razem z całą kompanią, ale nikt specjalnie się na mnie nie wyżywał. Natomiast sala gimnastyczna i zajęcia na niej stały się dla mnie miejscem „ładowania akumulatorów" przez całą unitarkę. Kapitan Adamiec dotrzymał słowa i trening prowadziłem sam dla siebie, czasami wymieniając z nim uwagi i doświadczenia.

* * *

Po pierwszych, trudnych chwilach w jednostce ZOMO zaczęły płynąć kolejne dni szkolenia. Okazało się, że jest ono rzeczywiście dużo trudniejsze niż w WOP-ie. Do tego dochodził ciągły terror wprowadzany przez dowódców drużyn. Kostki z ubrania były co wieczór oczywiście źle złożone. Tak samo łóżka były ustawicznie rozwalane, czyli robiono nam tzw. pilota. Na każdym apelu wieczornym leciało na posadzkę kilka guzików od mundurów. Nawet taka prosta czynność jak sprzątanie korytarza odbywała się na komendę i była okazją do udręk. Po umyciu i wypastowaniu go, stawaliśmy rzędem pod ścianą. Mając podłożone pod buty kawałki wykładziny, na komendę „raz" przejeżdżaliśmy pod przeciwną ścianę, na komendę „dwa" powrót i po kilkudziesięciu takich przejazdach korytarz lśnił jak lustro. Lśnił, dopóki któremuś z kaprali nie strzelił jakiś szatański pomysł do głowy i nie zrobił nam zbiórki przed budynkiem. Po powrocie i przejściu przez korytarz całej kompanii w zabłoconych lub nawet tylko mokrych butach, czyszczenie korytarza można zaczynać od początku. Najgorsze były niedziele, kiedy nie było żadnych programowych zajęć. Kaprale nudzili się i wymyślali „dowcipy". Ponieważ w jednostce była bardzo dobrze wyposażona sala kinowa (stanowiąca z salą gimnastyczną i krytym basenem jeden obiekt) , w niedzielę czasami prowadzono nas na filmy. Stwarzało to możliwość robienia kawałów. Na jeden z nich się nabrałem. W niedzielne przedpołudnie usłyszałem komendę wydaną przez oficera dyżurnego:

– Chętni do oglądania w kinie „Ogniem i mieczem" przed budynkiem. Biegiem! Zbiórka!

Ponieważ bardzo lubię Sienkiewicza, odruchowo wybiegłem. Razem ze mną chętnych było około trzydziestu. Dopiero na zbiórce uświadomiłem sobie, że tej części trylogii nikt jeszcze nie zekranizował. Stałem czekając co będzie dalej. Wyszedł kapral Pakulak, który miał tego dnia na kompanii służbę podoficera dyżurnego i zakomenderował:

– Do dwóch odlicz! – a po wykonaniu tej komendy dodał zadowolony z siebie:

– Jedynki zbierają śmieci dookoła budynku, palą je na ognisku i mają „ogniem". Dwójki pobierają miotły, zamiatają piach z placu i mają „mieciem". Wykonać!

Ponieważ przypadła mi „dwójka" w udziale, przez najbliższe dwie godziny pracowałem w obłokach kurzu. Później dowiedziałem się, że ci, którzy nie dali się nabrać na ten kawał, nie mieli wiele lżej. Pakulak, gdy wrócił od nas, wylał na korytarz trzy wiadra brudnej wody i kazał go zmyć mówiąc, że to „Potop". Do wieczora zastanawialiśmy się, co wymyśli na „Pana Wołodyjowskiego", ale widocznie zabrakło mu pomysłów, bo do wieczora był względny spokój. Na niedzielną wycieczkę do Chełma też się kilku nabrało. Musieli się czołgać z jednego końca korytarza w drugi, w którym położono hełm.

Dowódcy plutonów również starali się umilać nam życie, ale robili to w sposób bardziej sensowny. Oczywiście, były też i wygłupy. Chłopak, który został przyłapany na tym, że nie spuścił po sobie wody w ubikacji dostał od młodszego chorążego Wyżyka karę szlifowania posadzki w tym pomieszczeniu. Zgodnie z poleceniem miał to robić cegłą dotąd, aż cegła tak się zetrze, że będzie się mogła zmieścić w pudełku po zapałkach. Zaczął o dziewiątej wieczorem, a wykonania pilnował podoficer dyżurny. Później rozmawiając z nim dowiedziałem się, że spać poszedł o czwartej nad ranem. Cegła rzeczywiście starła się tak, że zmieściła się do pudełka po zapałkach. Chłopak zostawił ją sobie jako pamiątkę i gdy żegnaliśmy się po zakończeniu służby w ZOMO, miał ją jeszcze.

Najczęściej stosowaną przez kadrę karą był jednak POP, tzn. pełne oporządzenie. Ukarany w ten sposób musiał przez cały dzień nosić ze sobą całe wyposażenie, czyli hełm, kask, kałasznikowa z zapasowymi magazynkami, obie pałki: krótką i szturmówkę, maskę przeciwgazową, saperkę, menażkę, no i plecak z przyborami toaletowymi, zapasową bielizną i innymi drobiazgami. Do plecaka musiał jeszcze przytroczyć zrolowany koc i strój był kompletny. Z całym tym majdanem na grzbiecie ukarany „Popem" musiał biegać na zaprawie porannej, jeść posiłki i chodzić na wykłady. Kara zaczynała się o szóstej rano, a kończyła o dwudziestej drugiej i trzeba było mieć naprawdę dobrą kondycję, żeby to wytrzymać.

Oczywiście, cały czas pod adresem POP-a leciały docinki i kpiny. Robili to wszyscy, zarówno dowódcy, wykładowcy, a pod koniec unitarki nawet my sami.

Gdy do sali któregoś dnia wszedł wykładowca od ruchu drogowego i zobaczył kompletnie wyposażonego Kubiaka, któremu ten przedmiot jak sam twierdził „nie chciał wchodzić do głowy", skwitował to krótko:

– O! Ktoś się na Kublaku w końcu poznał. Bardzo dobrze. A hełm powinieneś nosić cały czas, żeby ci od nadmiaru wiedzy łba nie rozerwało.

Tak się temu wykładowcy podobał pomysł, że później często się zdarzało, że mówił coś w tym stylu:

– Dzisiaj będziemy mieli dość trudne zagadnienia, dlatego proszę o skupienie się. Kublak najlepiej od razu zapierdalaj po hełm, albo lepiej nie, może ci łeb rozerwie i nie będę musiał z tobą się mordować.

Oczywiście za każdym razem rechotaliśmy jak z najlepszego kawału.

Najczęściej jednak nikt nie wysilał się na takie finezyjne dowcipy. Padały pytania, czy wybuchła wojna lub – ze względu na plecak – aluzje dotyczące skrzyżowania z wielbłądem.

Pełne oporządzenie obowiązywało nie tylko przy karze „popa", ale także w trakcie zajęć z taktyki. Jeśli w WOP-ie na takie zajęcia zabierało się tylko broń i saperkę, to tutaj trzeba było brać cały majdan. Taktyka tutaj też była inna. Nie było okopywania się, ale uczono nas różnych metod stosowanych w trakcie pościgu, zasadzek i przeczesywania lasu. Po dniu biegania po lesie z całym wyposażeniem można było mieć wszystkiego dosyć, a trzeba było jeszcze siebie i cały sprzęt doprowadzić do porządku, ponieważ teren na poligonie był podmokły i z reguły wszystko było mokre i ubłocone. Po pierwszych takich zajęciach miałem mokrą nawet zawartość plecaka, nie mówiąc o całym moro i butach.

Po pierwszych zajęciach z taktyki tak ją znienawidziliśmy, że już na samo słowo „taktyka" wszyscy zaczynali kląć. W drugiej kolejności były zajęcia z musztry zomowskiej, czyli nauka robienia kordonów, tyralier i innych figur. Oprócz podobnego do wojskowego tupania (które dla wprawy też było w programie) trwającego całymi godzinami, dochodziło jeszcze dźwiganie cały czas ze sobą tarczy czy ręcznej wyrzutni granatów łzawiących.

Tak intensywne szkolenie już po tygodniu zaczęło pokazywać kto jest zbyt słaby, żeby się utrzymać w ZOMO. Widać to było na taktyce czy zaprawie porannej, kiedy zawsze było kilku, którzy nie nadążali w trakcie biegu i pozostawali w tyle. Tak jak zapowiadał porucznik Nowakiewicz, zaczęło się wykruszanie. Jako pierwszy „wypadł" nieduży chłopak z trzeciego plutonu. W trakcie musztry zemdlał. Został zabrany na tzw. Izbę Chorych. Tam po przebadaniu skierowano go na dokładne badania do Polikliniki. Wrócił po kilku dniach, ale już tylko po to, żeby pozdawać sprzęt i rozliczyć się. Komisja lekarska orzekła, że nie nadaje się do ZOMO. Po jego odejściu dowódca kompanii wyjaśnił nam:

– Jeden z was już poleciał. To nie jest miejsce dla słabeuszy. Nie myślcie jednak, że sobie w ten sposób poprawił. Po pierwsze, za miesiąc pójdzie dosłużyć resztę w normalnym wojsku. Jak myślicie, jak go przyjmą żołnierze, gdy się dowiedzą, że był w ZOMO?

Nie musiał nam tego tłumaczyć. Świeżo w pamięci mieliśmy jeszcze wspomnienia z WOP. Rozwiał tym wyjaśnieniem moje złudzenia. Zaczynałem się już zastanawiać, czy nie zacząć symulować, żeby urwać się z ZOMO. Teraz wolałem nie ryzykować realizacji tego pomysłu.

* * *

Gdy po dwóch tygodniach pobytu w ZOMO myślałem, że wszystko będzie szło już normalnym trybem, spadła na nas wiadomość, po której spodziewaliśmy się wiele dobrego. Na wieczornym apelu Nowakiewicz zakomunikował nam:

– Zbliża się święto 1 maja, a potem 3 maja. Dowództwo jednostki uznało, iż w przypadku zakłóceń porządku publicznego w tych dniach zostaniecie użyci do działań. Oczywiście, tylko w tym wypadku, kiedy stare kompanie nie będą dawały sobie rady i będzie ich za mało. Czyli od dzisiaj przez te parę dni będziecie mieli tylko i wyłącznie zajęcia z musztry milicyjnej i trochę psychologii tłumu. Trzeba was doszlifować, żebyście dupy nie dali w trakcie działań.

Gdy Nowakiewicz skończył, w naszych szeregach zrobił się szum i poruszenie. Większość była zdania, że to bardzo dobrze, iż chcą nas użyć. Może po tych działaniach będzie trochę lżej i przestaną nas tak ganiać. Niektórzy twierdzili nawet, że możliwe jest skrócenie unitarki. Kaprale jednak szybko zaprowadzili porządek i wieczór odbył się normalnie, tzn. z obrywaniem guzików i rozwalaniem kostek ułożonych z ubrań.

Przez następne dni szlifowaliśmy kordony. Wykłady były rzeczywiście tylko z tematyki psychologii tłumu i działań przeciwko niemu. W dniu 30 kwietnia wprowadzono w jednostce stan podwyższonej gotowości. Dla nas oznaczało to tylko tyle, że w jednostce pojawiła się cała kadra i nocowała w swoich gabinetach, gdzie rozstawione były łóżka polowe. Dla starszych kompanii różnica była znaczna, gdyż wstrzymane zostało udzielanie przepustek. W noc poprzedzającą 1 maja wielu, jak się zorientowałem, nie mogło usnąć. Z rozmów prowadzonych na sali przebijał niepokój, jak to będzie. Oczywiście nikt się nie przyznawał do tego, że się boi, ale te obawy znać było w każdym słowie. Dziwne było tylko to, że nikt nie zastanawiał się po co mają być te całe działania i jakie to straszne zakłócenia porządku nastąpią, że trzeba będzie używać ZOMO do zaprowadzenia ładu. W rozmowach tłum jawił się jako bezkształtna i bezosobowa masa, która nie składa się z ludzi. Była to tylko masa, która mogła zagrozić i z którą może trzeba będzie się bić. Zadziwiające było to jak łatwo przyswoiliśmy sobie sugestie z wykładów, gdzie właśnie w taki sposób traktowano tłum. Chyba nawet miejscowi Ślązacy nie zastanawiali się nad tym, że jutro po drugiej stronie mogą spotkać brata, siostrę czy chociażby kolegę ze szkoły. Gdy uświadomiłem sobie to nastawienie, było to dla mnie wielkim zaskoczeniem, gdyż reagowałem tak samo jak wszyscy i przemyślenia przyszły dopiero, gdy zacząłem się nad tym zastanawiać.

Następnego dnia zerwano nas z łóżek przed piątą rano. O siódmej byliśmy już po śniadaniu, z całym sprzętem w samochodach. Wywieziono nas na peryferie Katowic i tam, nie wysiadając z „dyskotek" (bo tak nazywaliśmy „Stary" przystosowane do przewozu ZOMO) , przesiedzieliśmy do godz. 9.00. Wtedy właśnie usłyszałem przez radiostację komendę Nowakiewicza:

– Silniki w ruch! Za mną marsz! Zero cztery zamykasz kolumnę!

Samochody od razu włączyły „koguty" i zaczęły po kolei ruszać. Po chwili pędziliśmy całą kolumną w stronę centrum. Na jednej z ulic zatrzymaliśmy się. Nowakiewicz ustawił nas przed samochodami i powiedział:

– Słuchajcie! To nie żarty. Będziemy tu niedaleko blokować ulicę, żeby nią nikt nie przeszedł i nie pomieszał głównego pochodu. Czwarty pluton zostaje jako odwód przy samochodach, reszta... Kaski włóż! Za mną marsz!

Ulica, którą mieliśmy blokować, okazała się szeroką aleją. Ustawieni w poprzek niej w podwójny kordon czekaliśmy co się będzie dalej działo. Przez kilkanaście minut było spokojnie. Kilku przechodniów stało i przyglądało nam się z zaciekawieniem. Dowódcy plutonów chodzili z tyłu za kordonem. Strzyż przyszedł do nas i powiedział:

– Dwie kompanie będą na nas spychać kontrpochód. My mamy ich nie przepuścić. Mogą sobie skręcić w lewo czy w prawo, ale tą ulicą nie wolno im przejść. Użycie pałek wiadomo, na komendę. Jak dojdzie do zwarcia, odpychać tylko tarczami. Niedługo już ich zobaczycie.

Rzeczywiście na ulicy zaczęły pokazywać się grupki ludzi zdążające w naszym kierunku. W odległości kilkudziesięciu metrów zatrzymywali się niezdecydowani i wyraźnie czekali na resztę. Po chwili zebrała się spora grupa. Wtedy właśnie zobaczyłem, że z przeciwka idzie nie jakaś grupka, tylko zwarty tłum wypełniający całą ulicę. Ręce momentalnie mi się spociły.

– Pałki w dłoń! – padła spokojna komenda Nowakiewicza.

Ludzie zbliżali się coraz szybciej. Zauważyłem, że jest wśród nich sporo młodzieży, ale są też osoby starsze. Mieli trochę transparentów, w samym środku królował największy o treści: „Niech żyje 1 Maja. Święto poległych z rąk „władzy robotniczej" górników z kopalni Wujek". Tłum zaczął się do nas coraz bardziej przybliżać, skandując: „Rzućcie pały! Chodźcie z nami! „. Zauważyłem, że z tyłu spychany jest przez ZOMO. Może spychany to za dużo powiedziane. Po prostu dwie kompanie zamykały ten pochód nie dopuszczając do jego cofnięcia się. Gdy pierwsze osoby dotarły do kordonu, zaczęły się przepychanki i wyzwiska pod naszym adresem. Jakaś kobieta próbowała mi napluć w twarz. Było to bez sensu, ponieważ miałem opuszczoną przyłbicę z przezroczystego tworzywa. Gdy podeszła bliżej, z początku delikatnie, a później stanowczo odepchnąłem ją tarczą. Spoglądając na boki zauważyłem, że pozostali też tak samo niezdecydowanie zaczynają się bronić przed naporem. Wtedy wśród okrzyków tłumu usłyszałem dobiegający z tyłu głos Strzyża:

– Pałki w ruch!

Nie za mocno łupnąłem po ramieniu mężczyznę, który próbował mi wyrwać tarczę. W odpowiedzi próbował mnie kopnąć i wtedy przyłożyłem mu, wkładając w to uderzenie „więcej serca". Tym razem zwinął się z bólu i odskoczył ode mnie. Zauważyłem, że inni robią już to samo co ja. Tylko nieliczni wywijali pałkami, uderzając raz za razem. Zdecydowana większość odpychała nadal tarczami, uderzając sporadycznie. Napór tłumu jednak zwiększał się. Doszło do tego, że i ja zacząłem uderzać na prawo i lewo, nie szczędząc sił. Gdy zrobiło się przede mną trochę luźniej, zobaczyłem, że kordon w środkowej części ulicy zaczął się wybrzuszać. Ja stałem po prawej stronie razem ze swoim plutonem, więc to drugi pluton miał kłopoty. W pewnej chwili zauważyłem dobiegający od samochodów czwarty pluton. Wsparli środek i na chwilę kordon wyrównał się. Teraz jednak całość zaczęła się cofać. Po prostu ludzie nawet bici pałkami nie cofali się, tylko parli do przodu naciskani przez tych, którzy stali z tyłu za nimi. Dowódcy plutonów coś wykrzykiwali i sami starali się pomagać. Niewiele to jednak dało. Kordon nadal się cofał. Wtedy wśród krzyków usłyszałem nadjeżdżający z tyłu jakiś ciężki wóz. Obejrzałem się. Podjeżdżała armatka wodna i dwa UAZ-y z zamontowanymi wyrzutniami granatów łzawiących. Wszystko stało się jasne. Nadjeżdżała pomoc. Rzeczywiście, za chwilę na tłum poleciały pierwsze granaty i popłynął strumień wody. Była po temu najwyższa pora, gdyż kordon spychany przez stłoczoną masę ludzi zaczynał się rozrywać. Teraz całkiem nieoczekiwanie zobaczyłem, że niektórzy z nas zaczynają się wyrywać z kordonu i biegiem uciekać do tyłu. Robiło się takich zbiegów coraz więcej. Uciekali i kryli się za armatką i wyrzutniami. Część jednak została i biła pałkami tak zapamiętale, że nie zwracała uwagi co się wokół dzieje. Zauważyłem, że wśród tych, którzy zostali, przeważają dowódcy drużyn. Zostałem z nimi. Tłum zaczął się powoli cofać, a następnie biec i uciekać przed strumieniami wody i duszącym gazem. Mnie też oczy zaczęły łzawić i brakowało powietrza. Pomny jednak nauk udzielanych nam wcześniej przez Nowakiewicza, nie tarłem oczu, tylko pozwoliłem łzom spływać swobodnie. Gdy dobiegaliśmy za uciekającymi ludźmi do skrzyżowania, połączyliśmy się z dwoma kompaniami, które spychały ten tłum na nas. Rozdzieliliśmy się na dwie strony, gdyż ludzie uciekali tak, jak życzył sobie Nowakiewicz, na lewo i na prawo. Pobiegłem w prawo, za armatką wodną. Teraz całe nasze działanie opierało się na tym, że jeśli któryś z uciekających zostawał w tyle, dostawał pałką po grzbiecie i nagle nabierał prędkości. Taki pościg, wspierany przez armatkę polewającą większe grupy manifestantów trwał jeszcze przez jakieś dwieście metrów. Potem już praktycznie nie było kogo gonić, gdyż ludzie pochowali się w bramach i na klatkach schodowych lub podwórkach. Dowódcy zebrali nas, z naszej kompanii zostało tylko dwudziestu, oprócz kaprali i dowódców plutonów. Nowakiewicz był wściekły. Jego gniew pobudził jeszcze dowódca jednej z kompanii mówiąc:

– Co, Edziu, wojsko ci spierdoliło i musiałeś sam za nich odwalać robotę? – mówiąc to śmiał się głośno.

Nowakiewicz spojrzał tylko na niego „wilkiem" i warknął do dowódców plutonów:

– Spisać nazwiska tych, co nie zwiali i idźcie pozbierać resztę.

Okazało się, że ci, którzy cofnęli się, uciekli do samochodów. Zrobiono zbiórkę i po stwierdzeniu, że nikogo nie brakuje, odjechaliśmy. Nowakiewicz nie odezwał się nawet słowem. Strzyż tylko stwierdził:

– No, teraz będzie wesoło. Wracamy do jednostki. Tu już dadzą sobie radę bez was.

W gruncie rzeczy chyba był zadowolony, gdyż z jego plutonu najwięcej pobiegło za tłumem i nie cofnęło się. Gdy spisywał nazwiska, naliczył dwunastu wśród dwudziestki. Po wyjściu z samochodów stanęliśmy na zbiórce. Nowakiewicz chwilę przechadzał się przed szeregiem.

– No to daliście dupy – warknął. – I do tej dupy teraz wam się dobiorę. Kurwa! Jeszcze nigdy mi się nie zdarzyło, żeby mi kompania spierdoliła na działaniach. I to w momencie, kiedy dostaliście wsparcie. – W miarę jak mówił zaczął krzyczeć i robił się coraz bardziej purpurowy na twarzy. Na chwilę zaniemówił i tylko stał, sapiąc. Zwrócił się do Strzyża:

– Wyczytaj tych, którzy mają jaja i nie stchórzyli.

Gdy zostało to zrobione, wydał komendę:

– Wyczytani wystąp! Idźcie chłopaki do sali kinowej. Zaraz zadzwonię, żeby tam przyszedł operator i puścił wam coś fajnego. Macie dzisiaj luz. Dla pozostałych ogłaszam – tu zawiesił głos: – Alarm! Na kompanię biegiem! Marsz!

I zaczęło się to, czego się spodziewałem. Staliśmy na placu i przyglądaliśmy się jak pozostała część kompanii wybiega po chwili z powrotem na plac z całym majdanem na plecach. Pozwolono im tylko pozostawić tarcze. Resztę musieli zabrać jak na normalną taktykę. Następnie razem z Nowakiewiczem pobiegli w kierunku poligonu. Słyszałem z okien koszarowca, przy którym stała nasza dwudziestka, jak jeden z zomowców ze starszej kompanii komentował to, co się działo:

– No to teraz „Cap" da im w dupę. Jak na rano wrócą, to będzie dobrze. On już potrafi o nich zadbać.

Wtedy pierwszy raz usłyszałem przezwisko Nowakiewicza. Pod komendą Strzyża poszliśmy do swoich sal, żeby zostawić sprzęt. Kładąc na swoje miejsce pałkę zauważyłem, że jest zakrwawiona. Wcześniej tego nie widziałem zajęty tym, co się wokół mnie działo. Wstrząsnęło to mną chyba bardziej od wszystkich zdarzeń tego dnia. Myjąc ją w łazience z zakrzepłej krwi znalazłem kilka przylepionych włosów. Widocznie ktoś dostał po głowie i pękła mu skóra na czaszce. Nic dziwnego. Pałki szturmowe swoją pseudogiętkością przypominały raczej kij niż przedmiot z gumy. Na dokładkę miały też swoją wagę, która nie była bez znaczenia przy uderzeniu.

Gdy doprowadziliśmy się do ładu (niektórzy mieli moro porwane lub pochlapane krwią) , Strzyż zaprowadził nas do sali kinowej. Film był nawet niezły, ale nie mogłem skupić się na grze Louisa de Funesa. Byłem zaskoczony tym, co się wydarzyło. Nie mogłem odgadnąć jak to się stało, że pobiegłem za manifestantami zamiast cofnąć się. Ja – wciągnięty do ZOMO na siłę „załapałem się" do dwudziestki najaktywniejszych! Tłukłem pałą gdzie popadło każdego, kto się nawinął! Dlaczego? Jak to się stało?

Na te pytania nie mogłem znaleźć odpowiedzi i byłem przerażony swoim zachowaniem i w ogóle sobą. Wydawało mi się w tej chwili to wszystko nieprawdopodobne i wracając pamięcią do tych wydarzeń odbierałem je jak zły sen. Jednocześnie czułem pewną satysfakcję i dumę, że nie jestem w tej chwili ganiany po poligonie. To znów uświadamiałem sobie, że powodów do dumy nie ma. Bo z czego być dumnym? Z bicia bezbronnych i niewinnych ludzi? Przecież przy tej kotłowaninie na pewno oberwała ode mnie niejedna kobiety czy dziewczyna. Film na szczęście się skończył. Poszliśmy na obiad i na porządkach na kompanii upłynęła nam reszta dnia. Będąc czymś zajęty nie myślałem już tak intensywnie o tym wszystkim co zaszło.

Reszta kompanii z Nowakiewiczem wróciła dopiero o drugiej w nocy, tak zgoniona, ubłocona i umordowana, że chłopcy nie byli w stanie wejść o własnych siłach po schodach. Kilku przyniesiono na kocach. Później dowiedziałem się, że zasłabli, gdy pod koniec „docierania" Nowakiewicz zaczął rzucać między nich w trakcie biegu granaty łzawiące. Do jednostki zostali przyniesieni, gdyż padło ze strony „Capa" stwierdzenie: „Rannych się nie zostawia". Dlatego też takiego delikwenta, który zemdlał, musiało później czterech dźwigać na kocu. W ogóle chłopcy wyglądali strasznie, cali ubłoceni i umorusani. Na dokładkę śmierdziało od nich bagnem i gazem łzawiącym. Nie był to jednak koniec ich udręki. Pomimo późnej pory „Cap" zarządził, że na rano moro, sprzęt i zawartość plecaków ma być doprowadzona do porządku. Praktycznie więc tej nocy podpadnięci nie spali. Nie chcieli zbytnio opowiadać co Nowakiewicz z nimi wyrabiał, ale ogólne zmęczenie, przemoczenie do suchej nitki i twarze oraz ręce podrapane do krwi kolcami jeżyn mówiły same za siebie. Jeden z chłopaków z mojej drużyny, zdejmując na sali bluzę od moro zrobił to w taki sposób, że od razu zorientowałem się o co chodzi. Musiał mieć strasznie poobijane plecy sądząc po ruchach.

– Co ci w plecy? – spytałem.

– Nawet nie pytaj – stęknął. – Zemdlałem, jak stary rzucił ten cholerny gaz. Chłopaki wzięli mnie na koc i nieśli. A że sami też byli zmęczeni wkurzyli się, że muszą jeszcze mnie dźwigać i co raz któryś zapakował mi kopniaka przez koc. Jak były po drodze jakieś górki, to też zbytnio nie podnosili mnie do góry, tylko tłukłem plecami po nierównościach – wystękał skrzywiony, zdejmując podkoszulkę. Rzeczywiście, miejscami jego plecy przypominały dojrzałą jagodę.

* * *

Następnego dnia, o dziwo, nie było gonienia, „Cap" na spokojnie powtarzał elementy musztry. Potem palnął jeszcze raz gadkę na temat wydarzeń dnia poprzedniego, kończąc ją niezbyt skomplikowanymi wnioskami:

– Jak wy nie będziecie działać jak potrzeba, to ja będę to wam tłumaczył przez nogi i dupę do głowy. Zobaczymy komu pierwszemu się znudzi. Zapamiętajcie sobie jedno, jak pada komenda „pałki w ruch", to kończą się jakiekolwiek sentymenty. Macie iść na nich jak burza z piorunami, bo inaczej to się może źle skończyć. Wczoraj gdyby nie wsparcie, to tych z was, którzy się cofnęli, tłum rozdarłby na strzępy i zdeptał. Ja już widziałem nie raz takie rzeczy i mówię wam, to nie zabawa. Albo wy ich, albo oni was – i po krótkim namyśle dodał. – Będziecie mieli jeszcze raz okazję się sprawdzić i poprawić jutro. 3 maja, a więc będą jakieś nielegalne manifestacje. Największa ma być w Katowicach. Prosiłem szefa, żeby was można było tam użyć. Oczywiście, zgodził się. Jutro o szóstej wyjazd.

Następnego dnia od siódmej czekaliśmy gotowi w samochodach w tym samym miejscu co poprzednio. Nowakiewicz rano wyjaśnił nam:

– Dzisiaj założenia są inne niż 1 maja. Nie będzie blokowania ulic, tylko rozpraszanie. Jak wszyscy ruszą z miejsca wyczekiwania, to już bez komendy macie pozakładać kaski, podopinać się i czekać przygotowani. Żeby mi tam któryś nie wyleciał bez kasku, albo zapomniał wziąć pałki, albo tarczy. Zrozumiano? ! – krzyknął.

– Tak jest! – odpowiedź z naszej strony zabrzmiała nawet dziarsko.

W samochodach siedzieliśmy jak na rozżarzonych węglach. Dłuższy czas jednak nic się nie działo. Dopiero po godzinie trzynastej odezwał się w radiostacji – głos Nowakiewicza:

– Przygotować się! – i po chwili: – Silniki w ruch! Za mną… Ruszaaaaj! Zero cztery, przyblokuj tego poloneza, który cię próbuje wyprzedzić. Co on, kurwa, sygnałów nie widzi?

Patrzyłem w okno i zobaczyłem, że „dyskoteka" zamykająca kolumnę robi gwałtowny skręt na środek jezdni, zajeżdżając drogę polonezowi, który próbował ją wyprzedzić. Kierowca tego ostatniego jakimś szóstym zmysłem w ostatniej chwili odbił kierownicą w lewo i wjechał na chodnik, żeby uniknąć zderzenia. Nie przewidział jednak, że na chodniku będzie betonowy kwietnik i uderzył w niego. Uderzenie musiało być silne, gdyż w polonezie posypało się szkło i otworzyła maska. W radiostacji dał się słyszeć rozbawiony głos chorążego Wyżyka:

– Zrobione. Pouczony o stosowaniu się do sygnałów świetlnych i dźwiękowych wysyłanych przez pojazdy uprzywilejowane w ruchu.

– Dziękuję – podsumował Nowakiewicz.

Chłopak siedzący obok również wyglądał przez okno. Odwrócił się teraz do mnie, zrobił minę z okrągłymi oczami, czyli tzw. srającego kota i powiedział:

– Widziałeś? – pokręcił głową i dodał. – O kurwa, ale banda!

Rzeczywiście, to określenie było jedynym, jakie pasowało do sytuacji. Nic dodać, nic ująć.

Przez miasto przemknęliśmy bardzo szybko do centrum. Po zatrzymaniu się padła komenda:

– Z pojazdów!

Po krótkim biegu musieliśmy chwilę zaczekać w bocznej uliczce. Gdzieś niedaleko słychać było wezwania do rozejścia się nadawane przez megafony. Później pełnym rozpędem wpadliśmy na plac. Zauważyłem, że z innych ulic także wybiegają kompanie ZOMO. Ludzie zaczęli się rozpierzchać na boki i rozpoczęło się regularne pałowanie. Bez żadnego szyku czy komendy. Po prostu kto dobiegł do tłumu ludzi, sam wyjmował pałkę i zaczynał bicie. Niektórzy biegli już z pałkami w rękach. Bijatyka na placu trwała tylko chwilę. Zaczęło się robić pusto. Coraz więcej widać było zomowców w kaskach, a coraz mniej odkrytych głów manifestantów. Razem z grupą chłopaków z mojego plutonu zapędziliśmy się w pogoni do jakieś bramy prowadzącej na ślepe podwórko. W niej schroniła się spora grupka młodzieży. Szybciej jednak uciekliśmy stamtąd niż wbiegliśmy. Z okien na tym podwórku poleciała na nas lawina doniczek i co tam kto z mieszkańców miał jeszcze pod ręką. Na ulicy spotkaliśmy chorążego Bakę. Spytał krótko:

– Co? Rzucają skurwysyny?

Odpowiedź była twierdząca. Krótko pogadał przez radiostację i zobaczyliśmy, że od placu podjeżdża do nas UAZ z wyrzutnią granatów łzawiących. Baka ręką pokazał zalodze bramę. UAZ ustawił się naprzeciwko, władował w nią trzy salwy granatów i pojechał dalej. Chorąży polecił nam krótko:

– Jak będą wylatywać, to tłuc ile wejdzie – następnie odsunął się trochę dalej i stał, obserwując nas.

Niebawem z bramy, kaszląc, zaczęli wybiegać ludzie. Witaliśmy ich gradem uderzeń pałkami. Nie obyło się też bez kopniaków. Jakiś mężczyzna chwycił jednego z naszych i zaczął się z nim szarpać. Byłem najbliżej, dwa szybkie susy i pociągnąłem go od tyłu pałką mierząc po nerkach. Najpierw jęknął, później wyprostował się i z bólu opadł na kolana. Chłopak, z którym się szarpał, kopnął go w twarz i już okładaliśmy następnych, którzy wybiegli z bramy. W pewnej chwili Baka coś krzyknął i pokazał nam ręką człowieka, który zza rogu budynku robił nam zdjęcia. We czterech pobiegliśmy do niego. Uciekał wzdłuż ulicy. Jeden z chłopaków dopadł go pierwszy. Wyrwał mu aparat z rąk. Chwilę próbował go otworzyć, ale widocznie nie wiedział jak, gdyż trzymając za pasek zaczął walić nim o ścianę budynku. Z aparatu posypało się szkło i otworzył się. Po wyciągnięciu filmu chłopak chwilę zastanawiał się co zrobić z resztkami. Rozejrzał się na boki, zakręcił młynka i rąbnął nim w głowę niefortunnego fotografa, który stał od tej pory jak osłupiały. Po otrzymanym ciosie chwycił się za głowę. Między palcami rąk pokazała się

krew. Kilka uderzeń pałkami i leżał już na ziemi. Zauważyłem, że działam jak w amoku. Rozglądam się za kimś następnym, komu można byłoby dołożyć. Czułem w sobie wzbierającą siłę i energię. Nie miałem żadnych skrupułów. Było mi dobrze i tylko jedna przemożna chęć. Bić!

Pobiegliśmy z powrotem na plac, gdyż ulica, na której byliśmy wyludniła się. Z daleka zobaczyłem chorążego Strzyża, który machał do nas ręką. Zbierało się koło niego coraz więcej chłopaków z naszego plutonu. Gdy była już spora grupa, dowódca krzyknął:

– Do samochodów! Zrobimy rajd!

Dobiegliśmy do „dyskoteki". Chyba byli z nami i zomowcy z innego plutonu, gdyż ledwo pomieściliśmy się w dwa wozy. Zaczął się rajd po ulicach nakoło placu. Gdzie tylko pokazała się jakaś większa grupka ludzi, następował szybki dojazd, wyskakiwaliśmy w biegu. Kto nie zdążył uciec, był pałowany i jechaliśmy dalej. Po około pół godzinie takiej jazdy wróciliśmy na plac. Tutaj już zbierały się inne plutony i kompanie. Zbiórka, przeliczenie czy nikogo nie brakuje i powrót do jednostki. Tym razem Nowakiewicz był zadowolony i na zbiórce przed wejściem do budynku wcale się z tym nie krył.

– No, tym razem spisaliście się elegancko. Poszliście w robotę równo ze starymi. Oby tak dalej, a będzie z was niezła kompania – mówił zadowolony bardziej z siebie niż z nas.

Następnie rozejrzał się po wszystkich i zapytał:

– Oberwał któryś? – odpowiedziała mu cisza, więc dodał:

– No widzicie, a przedtem co było? Tu nie ma co się pierdolić w tańcu. Albo my ich, albo oni nas. Stara zasada. Jak masz miękkie serce, to miej twardą dupę. I tego trzeba się trzymać – skończył.

Po tym niezbyt skomplikowanym wykładzie filozofii życia poszliśmy do swoich sal. Wszyscy chyba jeszcze nie ostygli z podniecenia, gdyż opowiadaniom i przechwałkom nie było końca. Każdy chciał się popisać, jak biegał i tłukł. Dziwne, bo nie raziło mnie już nic w tych opowieściach. Coś we mnie pękło i nie odczuwałem żadnych skrupułów. To, że w czasie tych działań (jak to w myśli określiłem) „wysiadły mi hamulce" starałem się usprawiedliwiać odrobiną ideologią, że za to odpowiadają ci, którzy dowodzą i decydują, a nie ja. Takiego zdania był przecież nawet mój mistrz, gdy mówił, iż w wojsku na rozkaz robił różne rzeczy i winę według niego ponoszą za to dowódcy. Na równi więc z innymi chełpiłem się tym, co się działo i co robiłem. Na chwilę zajrzał do nas dowódca plutonu Strzyż.

– Co, młodziaki? Przeżywacie? – ni spytał, ni stwierdził. Odpowiedziały mu uśmiechy, usiadł więc między nami na sali i rozgadał się:

– Muszę powiedzieć, że całkiem nieźle żeście się spisali. Dowódca jednostki obserwował działania i dzwonił przed chwilą do naszego starego. Chwalił go, że przez dwa tygodnie zrobił z was taką fajną kompanię. Stary mało nie pękł przy telefonie, tak się napuszył z zadowolenia. Całe szczęście, że tak wyszło, bo po 1 maju chodził wściekły jak

osa. Teraz tylko chodzi po gabinecie i powtarza nam: „Przez dupę do głowy, przez dupę, a wszystko można zrobić", ale śmieje się przy tym, czyli jest dobrze. No, ale niektórzy z was pokazali dzisiaj pazury, to trzeba przyznać – mówiąc to obrócił się do mnie. – Rozbujałeś się dzisiaj trochę, co? – i do reszty. – Nie wiem, czy widzieliście ten moment? Złapał jednego „pacjenta" za kołnierz i zaczął go „solić" gumą i wtedy podleciał od tyłu drugi, chyba bronić tamtego. Darek nawet się nie odwracał, ani nie puścił kołnierza. Machnął nogą do tyłu, gość dostał w łeb, okręciło go na miejscu i padł jak szmata. A ten dalej spokojnie oprawiał tego pierwszego. Taki numer pierwszy raz widziałem – i do mnie. – Ty chyba lubisz takie zadymy, co? – spytał.

– Tak jakoś wyszło, obywatelu chorąży – odpowiedziałem.

– Ale takich numerantów widziałem więcej – kontynuował Strzyż. – Ty też jesteś niezły model – powiedział, wskazując na potężnie zbudowanego górala z mojej sali. – Tylko nie zapominaj po co masz pałkę. Uśmieliśmy się z Baką jak nie wiem, mówię wam. Trzepnął gościa pałką. Ten stoi. No to Paweł buch go w zęby pięścią. I to tą ręką, w której trzymał pałkę. Przywalił, ale pałki nie wypuścił. I później cały czas już walił pięścią, ale pałkę trzymał w niej – rechotał Strzyż.

– A bo to się człowiek wzwycaił na zabawach i tera mu jakosik nieporęcnie – zaśpiewał po góralsku Paweł, zaczerwieniony ze wstydu jak panienka.

Gruchnęliśmy śmiechem, dowódca poklepał Pawła po plecach i poszedł sobie. Gdy wychodząc w sali przechodził koło mnie, wionęło alkoholem. Musieli więc oblać już dzisiejsze działania, dlatego był taki rozmowny.

* * *

Tego dnia mieliśmy już spokój aż do wieczora. Następne dni pokazały jednak, że wszelkie nasze nadzieje na to, iż po tym jak zaczęliśmy brać udział w zomowskiej robocie będzie nam lżej były złudne. Szkolenie odbywało się normalnym trybem. Jedynymi zmianami, jakie zachodziły, były zmiany w naszych organizmach. Po prostu przestał być już problemem kilkukilometrowy bieg z pełnym wyposażeniem czy zaprawa poranna. Nie wszyscy jednak tak reagowali i nadal, powoli, zmniejszała się nasza kompania o tych, który odchodzili ze względu na zły stan zdrowia. Tymczasem wszyscy na „ochotnika" zapisali się do Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej. Odbywało to się w prosty i ciekawy sposób. W pomieszczeniu, w którym za zgodą kaprala można było wypalić papierosa lub zbiorowo czyściliśmy buty, siedział kapral Trochan i wzywał po kolei każdego według listy. Wyczytany przybiegał, meldował się i padało pytanie:

– Czy chcecie należeć do ZSMP?

– No, ja nie bardzo... – bąkał czasami nie dość bystry młody.

– Padnij! Dwadzieścia pompek! – spokojnie mówił Trochan, a po wykonaniu komendy – Powstań! To jak będzie?

– Melduję, obywatelu kapralu, że bardzo chcę należeć do ZSMP – wykrzykiwał całkowicie już „przekonany młody".

– A widzisz! Od razu wiedziałem, że chcesz. Tu podpisz. To jest deklaracja. Składki będziesz miał potrącane z poborów. Potem zrobi się wam legitymacje.

Trochan dalej mówił spokojnym, beznamiętnym głosem, bez uśmiechu, czy jakiejś ironii. Czasami spokojny tok przyjmowania zakłócał jakiś wyjątkowo mało pojętny „młody", który dopiero po kilku seriach pompek orientował się dlaczego musi je robić. Byli też i tacy, którzy od razu meldowali, że chcą należeć i mieli kłopot z głowy. Najwięcej zamieszania wprowadził oczywiście Kublak, uznany już za etatowego podpadziochę. Codzienny dostarczyciel rozrywki dla dowódców drużyn i pozostałej kadry. Otóż uparł się, że należy już do Związku Młodzieży Wiejskiej i nie chce należeć do ZSMP. Nie pomogło dziesięć serii pompek ani czołganie po korytarzu. Właściwy skutek odniosło dopiero kopanie i oczyszczanie z chwastów trawnika znajdującego się przed budynkiem. Był to pomysł Nowakiewicza, który, powiadomiony przez Trochana o kłopotach wydał salomonowy werdykt:

– Jak należy do chłopskiej organizacji, to niech pracuje jak chłop.

Kublak oczywiście pracował w pełnym oporządzeniu i krótką saperką. Gdy prawie skończył, przez okno krzyknął do niego Trochan:

– To jak, namyśliłeś się? Bo jak nie, to jest jeszcze trawnik przed sąsiednim budynkiem.

– Melduję, obywatelu kapralu, że nie podoba mi się już ZMW, ja chcę do ZSMP – odkrzyknął Kublak, ocierając czoło z potu.

– To dawaj tu na górę podpisać deklarację – zakończył przyjmowanie Trochan.

W tym mniej więcej okresie, dzięki instruktorowi judo, mogłem wieczorem spędzać 1,5-2 godziny w sali gimnastycznej i na basenie. Miałem z tego podwójny zysk. Po pierwsze, mogłem sobie spokojnie poćwiczyć, popływać na pełnowymiarowym krytym basenie, a po drugie nie musiałem brać udziału w zajęciach, jakie wymyślali dowódcy drużyn dla tych, którzy przebywali na terenie kompanii. Oprócz mnie taką swobodę mieli jeszcze tylko znienawidzeni przez nas tzw. podpierdalacze. Byli to chłopcy wybrani spośród nas i pełniący funkcje takie, jak pomocnik szefa kompanii, pisarz dowódcy kompanii czy też kierowca dowódcy. Żeby dostać taką „fuchę", trzeba było mieć tzw. plecy, czyli np. ojca lub kogoś z rodziny w milicji, lub też donosić na kolegów. Innego sposobu nie było. Wybrany do takiej funkcji zwalniany był z cięższych zajęć i miał więcej luzu. Takiej trójki bali się nawet dowódcy drużyn i nie gonili ich. Przecież taki np. pisarz kompanijny mógł obsmarować kaprala przed dowódcą. Wcześniej wiedział, który z nich będzie mógł wyjechać na przepustkę i w ogóle mógł dużo ułatwić. Nie zazdrościłem im zbytnio ułatwień. Płacili za to bardzo wysoką cenę. Byli po prostu przez nas izolowani. Gdy wchodzili do sali, milkły rozmowy lub następowała gwałtowna zmiana tematu. Każdy, kto był widywany w trak-

cie rozmowy z którymś z nich, był podejrzewany o donoszenie na kolegów za pośrednictwem np. pomocnika szefa. Co odważniejsi na widok pisarza podchodzącego do grupki rozmawiających potrafili krzyknąć: „O pogodzie, panowie, o pogodzie", mając na myśli zmianę tematu na jakiś neutralny nie powodujący ryzyka, że można mieć przezeń kłopoty.

Jedynym chyba z całej kompanii, który nie przejmował się „podpierdalaczami", był kapral Pakulak. Jemu było wszystko jedno. Jeśli miał akurat ochotę poznęcać się nad kimś i trafił mu się przypadkowo przechodzący pisarz dowódcy kompanii, to zabierał się do niego. Mimo całej wściekłości pisarz nie mógł odmówić wykonywania poleceń i ku naszej uciesze czołgał się po korytarzu i wykonywał serie pompek. Były to jednak krótkie momenty, w których budziła się w nas nić sympatii dla Pakulaka. Poza chwilami, kiedy brał się za „podpierdalacza", był to najbardziej znienawidzony dowódca drużyny. Ganiał „młodych" dla samej przyjemności ganiania i na pierwszy rzut oka widać było, że sprawia mu to przyjemność. Niski, krępy, już samym wyglądem sprawiał wrażenie kogoś bardzo prymitywnego i chamskiego. Do jego opisu dodać jeszcze należy gruby, chrapliwy głos, który wydobywał się z niego prawie cały czas. Po prostu, gdy Pakulak był widoczny, to Pakulaka było słychać, bo na kogoś krzyczał. Ze względu na złe układy z pisarzem dowódcy kompanii sporadycznie tylko mógł wychodzić na przepustki do miasta, a miał w Katowicach dziewczynę. Początkowo szalał więc co niedzielę po kompanii jako podoficer dyżurny, ale po pewnym czasie okazało się, że i on potrafi kombinować. Zaczął na każdą niedzielę pisać konspekty, tj. dokumenty zatwierdzane przez dowódcę kompanii i pozwalające na indywidualne doszkolenie któregoś z „młodych" w czasie wolnym. Takie dokumenty pisali i inni dowódcy drużyn, lecz czynili to bardzo rzadko, gdy ktoś naprawdę im podpadł. Pakulak robił to co niedzielę i co niedzielę około godziny dziewiątej widać było jak maszeruje z którymś z chłopaków w kierunku przylegającego do jednostki poligonu. Oczywiście, „młody" w pełnym oporządzeniu, a Pakulak tylko z konspektem pod pachą. W lesie na poligonie czekała na swojego „dzielnego junaka" dziewczyna. Pakulak co jakiś czas przerywał miłą pogawędkę, by wydać następne polecenie, np. okopywania się do „pozycji stojącej", czyli na wysokość wzrostu doszkalanego. Potem spokojnie wracał do przerwanego „romansowania". Jeden z chłopaków, który przeszedł taką „niedzielę z Pakulakiem", opowiadał później, że pijany Pakulak kazał mu czołgać się do nóg swojej dziewczyny i całować jej buty. Co prawda później się opamiętał i kazał mu odpoczywać przez resztę przedpołudnia, chłopak jednak przyszedł tak wzburzony, że aż się w nim gotowało. Komentarze na ten temat były różne. Jedni radzili mu iść na skargę do dowódcy kompanii, inni przypominali słowa Nowakiewicza, że wszystko co robią dowódcy drużyn, robią na jego polecenie i za jego zgodą. W końcu cała sprawa rozeszła się jakoś po kościach i ucichła.

Kompania żyła w tej chwili już podnieceniem przed zbliżającym się ślubowaniem, które kończyło okres szkolenia. Potem mieliśmy zacząć regularnie pełnić służbę, szko-

lenie miało odbywać się nie ciągle, ale tylko raz w tygodniu. Oczywiście, dochodziło jeszcze do tego prawo najważniejsze, tj. prawo do korzystania z przepustek pozwalających na wyjazdy do domu. Na razie jednak szkolenie szło normalnym rytmem, jedyną zmianą było to, że mieliśmy dodatkowe godziny musztry typowo wojskowej. Nowakiewicz chciał, aby jego kompania podczas defilady po ślubowaniu wypadła jak najlepiej. Dopiero kiedy prowadził musztrę zobaczyliśmy jakim naprawdę jest fachowcem. Gdy komendy wydał któryś z dowódców plutonu, wszystko szło niby prawidłowo, ale jakoś sztywno i topornie. Gdy tylko komendę przejmował Nowakiewicz, kompania jakby budziła się ze snu. Krok stawał się sprężystszy, zwroty wykonywane z werwą i w dobrym tempie. Mimo zmęczenia kompania ożywała. Dowódca, gdy coś nie grało, podbiegał i szedł równo z nami, nadając właściwe tempo. Zastanawiałem się w czym tkwi tajemnica. Składało się na nią wiele czynników. Sposób wydawania komend, który po pewnym czasie doprowadził do tego, że Nowakiewicz nie wypowiadał pełnych wyrazów, a i tak wiedzieliśmy o co chodzi. I tak np. zamiast „Baczność" mówił „aczność", a z „W prawo zwrot" wychodziło mu „praaawo zwrt". Swoje robiła też sprężystość jego ruchów i gracja, z jaką się poruszał pomimo swoich czterdziestu lat. Nigdy też nie zdarzyło się, aby podał komendę na niewłaściwą nogę lub w złym tempie. Przy takim nauczycielu szybko dochodziliśmy do perfekcji, oczywiście ku jego zadowoleniu.

W tym czasie została nas już tylko niepełna setka i widać było, że nikt za bardzo nie odstawał, więc nie zapowiadało się na to, iż odpadnie i zostanie skierowany na komisję lekarską. Ustawiczny trening dał efekty. Widać to było zresztą po ruchach i po zachowaniu. Zmężnieliśmy przez te trzy miesiące. Chyba każdemu przybyło na wadze. Nie był to jednak tłuszcz, ale przyrost mięśni. Regularny wysiłek fizyczny, dobre, obfite i o jednakowej porze jedzenie zrobiły swoje.

Na tydzień przed ślubowaniem wysłaliśmy zaproszenia na tę uroczystość do dziewczyn oraz rodziny. Zostały one specjalnie odbite w powielarni, abyśmy nie zapomnieli o tym. Na dwa dni przed 22 lipca (postanowiono, iż w to święto odbędzie się ślubowanie) pobraliśmy mundury wyjściowe i byliśmy już praktycznie gotowi. Odbyła się jeszcze próba generalna całej jednostki i w końcu nadszedł ten dzień. Niewiele pamiętam z samej uroczystości, tak byłem przejęty. Nic dziwnego – „Cap" zrobił mnie prawoskrzydłowym pierwszej czwórki, czyli tym, który nadaje tempo marszu całej kompanii. Żeby było jeszcze fajniej, wyznaczono mnie do wygłoszenia z trybuny podziękowania dla kadry za „trud jaki włożyli w nasze wyszkolenie". Na trybunie zaproszeni goście, tj. sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR, wojewoda katowicki, szef Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych i kadra jednostki. Uznano, że dam sobie radę. Dla mnie były to jaja. Ja, przymusowo wcielony do ZOMO mam stanąć między tymi „rekinami" jako wzorowy zomowiec i dziękować im za wyszkolenie mnie. Ze ślubowania najbardziej utkwiło mi w pamięci chwila, gdy zobaczyłem matkę i ojczyma. Stali między garstką ludzi, którzy przyjechali na ślubowanie swoich potomków, mężów czy po prostu chłopaków. Moja dziewczyna tym razem nie mogła przyjechać. W porównaniu z tłumem, jaki był na przysiędze w WOP, teraz była to naprawdę garstka, a między nimi stali właśnie moi rodzice, bardzo przejęci całą uroczystością. Ojczym jako jeden z niewielu wiedział jak zachować się w trakcie odgrywania hymnu państwowego. Stanął twarzą do wciągniętej na maszt flagi. Część ludzi w tym czasie rozglądała się, niektórzy nawet stali w czapkach. Ot, po prostu prości ludzie ze wsi. Po ślubowaniu odbyły się spotkania z rodzinami (tych, do których ktokolwiek przyjechał) . Mieliśmy też dostać trzydniowe przepustki. Okazało się jednak, że tradycyjnie w ZOMO nie ma nigdy nic pewnego. Najpierw mieliśmy pójść na kilka dni do służby na miasto, a wyjechać dopiero później. Jak byliśmy „zadowoleni" z takiego obrotu sprawy, nie trzeba chyba nikomu tłumaczyć. Mimo to pierwsza służba wywoływała w nas zrozumiałe emocje. Następnego dnia „uzbrojeni" w pałki i notatniki – tak, tak, bez żadnej broni, czy chociażby gazu łzawiącego – mieliśmy pracować w centrum Katowic.

* * *

Zajechaliśmy do komisariatu (każdy pluton do innego) , gdzie odbyła się odprawa do służby. Podano informacje o osobach poszukiwanych, rozdano charakterystyki, tzn. mapki z zaznaczonymi miejscami największego zagrożenia przestępczością i rozeszliśmy się po dwóch w swoje rejony. Mnie jako partner przypadł chłopak pochodzący ze Śląska. Patrol zaczął od wyklinania na kadrę:

– Kurwa! Do domu mam pół godziny autobusem, a muszę łazić tutaj i udawać filozofa. Mieli nam łobuzy dać przepustki, ale nie. Nie da się zrobić czegoś normalnie, tylko trzeba wkurwić ludzi i dopiero potem puścić ich do domu – mruczał zły.

Podobne teksty rzucał przez osiem godzin służby. Rejon mieliśmy w miarę spokojny. Na uboczu. Robotę zaczęliśmy od przeganiania kierowców parkujących w miejscach zabronionych lub na trawnikach. Jeśli któryś nie przejmował się naszymi napominaniami lub kłócił się, przez radiostację wzywaliśmy dowódcę plutonu, który karał delikwenta mandatem i jechał dalej. My sami nie mieliśmy prawa do karania i mandatów nam nie wydano. Wieczorem na jednym z podwórek przegoniliśmy grupkę osób pijących wódkę. Część rozeszła się spokojnie, ale dwóch próbowało z nami dyskutować. Wyciągnęli argumenty, że przecież nikomu nic złego nie robią i piją za swoje. W odpowiedzi my wyciągnęliśmy pałki i na ten argument z naszej strony nic nie odpowiedzieli, bo uciekli. Gdy mój kolega zajęty był legitymowaniem jakiegoś podpitego gościa, podeszła do mnie starsza kobieta i spytała:

– Panie władzo! Kaj tu je hajziel?

– Co? – spytałem nie rozumiejąc o co jej chodzi.

– Kaj tu je hajziel?

– Wie pani naprawdę nie wiem – odparłem dalej nie rozumiejąc.

Popatrzyła na mnie, machnęła ręką i odeszła. Gdy kolega zakończył z pijaczkiem, zapytałem go:

– Jasiu, co to jest hajziel?

– To po Śląsku WC, czyli krótko mówiąc kibel.

Takich nieporozumień przez gwarę śląską nie tylko ja, ale i inni mieli sporo.

Po zakończeniu służby poszliśmy do komisariatu. Była tam już większość plutonu. Tak jak po pierwszym kontakcie z tłumem, opowieściom nie było końca i wydarzenia ogromniały w miarę opowiadania. Tych kilka pierwszych służb obfitowało w serię nieporozumień i pomyłek. Rutyna przyszła z czasem, ale te pierwsze dni należałoby filmować i puszczać w telewizji jako komedię.

Jednym z takich przypadków często później wspominanych, był numer, jaki odstawił Jasiu Bartodziej. Tego dnia w trakcie odprawy przed służbą uczulono nas na szerzącą się plagę kradzieży butelek z mlekiem spod sklepów. Były one w nocy rozwożone i przez godzinę lub dwie stały bezpańskie, czekając na personel. Oczywiście przez ten czas kilka zawsze zniknęło. Jasio strasznie przejął się tą informacją i gdy zobaczył jeżdżące wozy z mleczami, zaczaił się w rejonie jednego ze sklepów. Już w pół godziny po dostawie do ustawionych skrzynek podszedł jakiś człowiek, wziął sobie jedną butelkę i spokojnym krokiem zaczął odchodzić. Jasio po kilku susach dopadł go, na początek zdzielił pałką przez plecy, wyrwał z rąk butelkę i ryknął:

– Nazwisko! Złodzieju!

W odpowiedzi mężczyzna wzruszył ramionami i wydał z siebie dźwięk przypominający trochę „leeee", a trochę „yyy tam" i zaczął odchodzić. Został oczywiście złapany za kołnierz i cofnięty.

– Dowód osobisty dawaj! – Jasio nie rezygnował.

Odpowiedzią było znowu wzruszenie ramion i ten sam dźwięk. Nie wdając się już w dalsze dyskusje Bartodziej przyholował delikwenta do komisariatu. Jakże zwycięską minę miał wkraczając na dyżurkę. W jednej ręce butelka z mlekiem. Nienaruszona. Uratowana! W drugiej trzymany za kołnierz sprawca kradzieży. Krótko mówiąc, pełnia szczęścia. Zaraz też zabrał się do sporządzania dokumentów. I tu powstał problem. Delikwent pomimo gruntownej „obróbki" przy użyciu takich argumentów, jak pała i lanie po pysku nie chciał powiedzieć jak się nazywa. Po pewnym czasie przestał nawet wzruszać ramionami i powtarzać swoje „yyy tam". Niestety, nie posiadał przy sobie dowodu osobistego. W trakcie tych zmagań do dyżurki wszedł jakiś stary milicjant z tego komisariatu. Chwilę przyglądał się co się dzieje, w końcu spytał:

– Co on takiego zmalował, że tak go lejesz?

– Zapierdolił butelkę z mlekiem i nie chce powiedzieć jak się nazywa! – odpowiedział z lekka zdyszany Jasio.

Pytający popatrzył na niego jakimś takim dziwnym wzrokiem i prychnął śmiechem. Gdy mu przeszło powiedział:

– To „wynalazek" z mojej dzielnicy. Nie dość, że kompletny idiota, to na dokładkę niemowa od urodzenia. To jakże, kurwa, ma ci powiedzieć jak się nazywa. Wypuść go, bo nic mu nie zrobisz za kradzież. Czub. Niepoczytalny i koniec.

Bartodziejowi opadły ręce. Pierwszy schwytany złodziej i taki pech. Szybko jednak otrząsnął się.

– Sąd mu nic nie zrobi, ale ja go oduczę kraść mleko – mówiąc to chwycił mocniej pałkę w rękę i zaczął ze złością okładać swój niedoszły „wynik dobrej pracy".

Gdy się już wyładował, chwycił „czuba" za włosy, podprowadził pod wejście do komisariatu i wywalił na ulicę potężnym kopniakiem w tyłek. Na ten dzień stracił jednak ochotę do roboty. Gdy zeszliśmy do komisariatu na zakończenie służby i dyżurny opowiadał chłopakom to zdarzenie, ktoś zażartował:

– Niepotrzebnie ten dzielnicowy się wciął. Jeszcze z pół godziny „obróbki" i facet by przemówił.

Jasio natomiast miał problem co zrobić z uratowanym mlekiem. Dowódca plutonu spytał zdziwiony:

– A co, nie lubisz mleka?

– Nooo… lubię – wybąkał zdumiony Bartodziej.

– To wypij je i nie zawracaj mi dupy. Przecież teraz nie będziemy jechać na drugi koniec miasta, żeby odwieźć jedną głupią butelkę mleka.

Jasio stał z rozdziawioną gębą zdumiony. Nie mógł pojąć, że ma wypić mleko, które złodziej ukradł. To tak jakby ukradł razem z nim. Posłusznie jednak wypił.

Tak uczyliśmy się zomowsko-milicyjnego życia pełnego niezrozumiałych jeszcze dla nas zasad i idiotyzmów.

Drugą z wpadek miałem przyjemność obserwować osobiście i uśmiałem się do łez. Tego dnia Strzyż wysyłał mnie na patrol z ostawionym Kublakiem, z przykazaniem:

– Pilnuj go, bo jak on wychodzi w rejon, to się zaczynam bać.

Skład patroli był zmieniany co służbę, więc nie byłem zbytnio zdziwiony tym, że Kublak w końcu przypadł mnie. Zaraz po wyjściu w rejon wyjaśnił mi swoje plany na tę służbę:

– Wiesz co, dzisiaj wezmę się za motury. Miałem w życiu już trzy i nikt mnie nie zagnie. A pewno jeżdżo pijane albo bez kasków. Ty se trzymaj samochody i uważaj na reszte, dobra?

Nie miałem nic przeciwko temu i zaczęło się. Chwilami odchodziłem na bok ze wstydu, gdy słyszałem jego odzywki do kontrolowanych motocyklistów. Kontrolę zaczynał od hasła:

– Papióry do kuntroli.

W trakcie kontroli energicznie spluwał na chodnik, siąkał nosem, a jego gwara nie dla każdego była zrozumiała. Udało mu się jednak wyłowić jednego „po dwóch piwach". Poszliśmy do komisariatu, żeby zabezpieczyć motor i sprawdzić dokumenty. Nie muszę chyba dodawać, że pisałem ja, bo jemu „jakoś dzisiaj nie szło".

Wyszliśmy ponownie w rejon. Było już ciemno, ale Kubiak dalej polował na motocyklistów. W pewnym momencie, gdy szliśmy pod górę stromą uliczką, mój „partner" zobaczył zjeżdżający z góry pojazd z jednym światłem. Szybko zaświecił mu czerwonym światłem latarki i żeby nie było wątpliwości kilkakrotnie zasygnalizował ręką polecenie zjechania całkowicie na chodnik. Pojazd podjechał blisko nas i… okazało się, że to tramwaj. Motorniczy, gdy zrównał się z nami, popukał się znacząco palcem w czoło i pojechał dalej, mijając zaskoczonego Kubiaka. Gdy zacząłem się śmiać, dzielny łowca motocyklistów spytał zły:

– Z czego się śmiejesz? Zjeżdżać nie musiał, ale zatrzymać się powinien. Pamiętasz może jego numer? To krzyknę przez radiostację i ktoś go dorwie.

– Tak, i podaj jeszcze, że motorniczy był bez kasku – rechotałem.

Do końca służby w ZOMO nie odzywał się do mnie, ale dał spokój motocyklistom. Takich groteskowych sytuacji było sporo i zdarzały się nawet pod koniec służby. Te pierwsze jednak najbardziej utkwiły mi w pamięci.

Byłby jednak w błędzie każdy, kto sądziłby, że nie robiliśmy nic pożytecznego. Zatrzymaliśmy poszukiwanych przestępców, sypały się wnioski do kolegium i mandaty karne. Dość często udawało się zatrzymać sprawców kradzieży czy włamania na tzw. gorącym uczynku.

Były sytuacje, gdy chłopcy działali jak samobójcy, nie myśląc o ryzyku. Np. kiedyś, w trakcie służby nocnej dyżurny podał przez radiostację:

– Uwaga! Do wszystkich! Piętnaście minut temu na ul. Stawowej został pobity pojedynczo interweniujący dzielnicowy, starszy sierżant Karanik. Sprawcy oddalili się z miejsca zdarzenia, zabierając mu broń służbową, tj. pistolet P-64 oraz dwanaście sztuk amunicji. Rysopisy sprawców: Pierwszy – wzrost około 160 cm, szczupłej budowy ciała, włosy ciemne, wiek z wyglądu około 35 lat, ubrany – spodnie wycieruchy, żółtawa koszulka z krótkim rękawem, buty białe typu adidas. Drugi – wzrost około 180 cm, szczupły, włosy blond czesane z przedziałkiem, wiek z wyglądu około 25 lat. Ubrany – spodnie jasne beżowe lub szare, sweter w czarno-białą kratkę, buty ciemne. W przypadku napotkania zatrzymać, zachowując szczególną ostrożność.

Jeden z patroli dosłownie w minutę po ogłoszeniu komunikatu zauważył dwóch mężczyzn odpowiadających rysopisowi, siedzących na ławce na skwerku i raczących się winem z butelki. Podeszli do nich i zażądali okazania dokumentów. Niższy z mężczyzn w odpowiedzi zerwał się z ławki i warknął:

– Spierdalej, psie!

Jednocześnie sięgnął ręką do kieszeni spodni. W tym samym momencie otrzymał potężne uderzenie w szczękę. To Zbyszek Pacześ (notabene były junior bokserski) poczęstował go tzw. hakiem, nie czekając na rozwój wypadków. Nieprzytomny mężczyzna padł na ławkę z rozrzuconymi rękami. W jego kieszeni Pacześ znalazł pistolet, o którym mówił dyżurny, podając komunikat. Drugi z patrolu zajął się wyższym mężczyzną. Gdy do patrolu podjechał nyską dowódca plutonu, w pierwszej chwili pochwalił ich, ale po skuciu i załadowaniu do samochodu zatrzymanych (mniejszego trzeba było wnieść, gdyż nadal był nieprzytomny) wyskoczył na nich z gębą, wyzywając od idiotów i baranów. Krzyczał:

– Jak ich, kurwa, zobaczyliście, trzeba było mnie ściągnąć i samemu nie zaczynać. Przecież broni nie macie, baranie łby! Dobrze, że tak się skończyło, mógł was powystrzelać jak kaczki! … Co za głąby! Cholera jasna!

Po dojechaniu do komisariatu widać było jednak, że jest zadowolony, ponieważ jego chłopcy skutecznie działali.

Po wprowadzeniu jednego, a wniesieniu drugiego ze sprawców zaczęło się to, co należało przewidywać. Każdy z zawodowych milicjantów, który wchodził do pokoju zatrzymań (nie wyłączając dyżurnego i komendanta) zaczynał od dania w pysk wyższemu i ewentualnie kopnięcia leżącego mniejszego. Dopiero potem dziękował i gratulował chłopakom, którzy ich zatrzymali. Gdy nieprzytomny doszedł do siebie, wstał i zaczął wyzywać i przeklinać zgromadzonych w pomieszczeniu milicjantów. Od razu rzuciło się na niego dziesięciu chłopa i po chwili znowu leżał na podłodze nieprzytomny. Tym razem jednak leżał też jego kolega, który próbował mu pomóc i także został powalony i skopany. Jakiś kapral, sycząc, trzymał się za nogę, obejmując ją w kostce.

– Cholera, uważajcie jak kopiecie. Któryś przy okazji mnie przykopał – wystękał.

– To dlatego, że ścisk był taki, że się z nogą nie szło dopchać – zarechotał grubawy chorąży.

W tej chwili wszedł ponownie komendant. Popatrzył co się dzieje i skwitował:

– Dobra, starczy im na razie. Wsadzić ich na dołek i przygotować papiery. Zwłaszcza opiszcie opór przy zatrzymaniu, bo inaczej nie będzie jak się wytłumaczyć z tych porozbijanych łbów.

Przez najbliższą godzinę patrol, który zatrzymał tych dwóch, płodził dokumenty opisujące fakt zatrzymania. Oczywiście, pomagali doświadczeni milicjanci z komisariatu. Oprócz czynnej napaści na dzielnicowego okazało się, że obaj sprawcy napadli także na usiłujący ich zatrzymać patrol milicji i użyli wcześniej zrabowanej broni. Przy dobrym klimacie w sądzie wyrok nie powinien być niższy niż dziesięć lat odsiadki dla każdego.

* * *

Całe zdarzenie miało miejsce w czwartek. Po powrocie do jednostki dowiedzieliśmy się, że otrzymamy w końcu obiecane przepustki na piątek, sobotę i niedzielę. Gdy nas o tym po-

informowano była godzina 23.00. Mogliśmy z wyjazdem poczekać do rana, ale nikt się na to nie zdecydował. Przy okazji po raz pierwszy szef wypłacił nam pieniądze. Wcześniej całe nasze pobory były wpłacane na książeczki oszczędnościowe przetrzymywane przez dowódcę kompanii, czyli „Capa". Teraz dostaliśmy pierwszą wypłatę do ręki i poza tym wydano nam książeczki. Te trzy dni w domu minęły nie wiadomo kiedy i jak. Trochę czasu spędziłem z matką i ojczymem, resztę oczywiście u dziewczyny. Nie miałem nawet czasu zobaczyć się z chłopakami z mojej paczki. Przy okazji przekonałem się jak duże zmiany we mnie poczyniło szkolenie w ZOMO i jak głęboko mam wpojone niektóre zachowania. Najbardziej zwracał na nie uwagę ojczym. Był kiedyś w wojsku, w okresie stalinowskiej dyscypliny. Po moich krótkich opisach unitarki stwierdził, że niewiele się zmieniło. Przyłapał mnie natomiast na zachowaniach, z których sam nie zdawałem sobie sprawy.

Siedziałem któregoś dnia w kuchni z matką, gdy przyszła do niej sąsiadka. Wstałem, żeby przywitać się z nią. Po chwili do kuchni wszedł ojczym, popatrzył na mnie i ku mojemu zaskoczeniu powiedział:

– Siadaj, Darek. Czemu stoisz?

Rzeczywiście, od chwili kiedy weszła sąsiadka nie usiadłem, lecz stałem obok krzesła. Trwało to dobre pięć minut. Wiedziałem, dlaczego tak było. Jeśli do sali w ZOMO wchodził kapral obowiązywało powstanie z taboretów (na łóżkach w ciągu dnia nie wolno było się kłaść, ani siadać) i postawa na baczność. Kapral rzucał „spocznij", ale przez cały czas jego pobytu o tym żeby siąść na krześle nie było mowy. Podświadomie więc sąsiadka, starsza kobieta, została potraktowana przeze mnie jak kapral i nie pomyślałem nawet, żeby w jej obecności usiąść. Lepszy ubaw mieli jednak ze mnie, gdy matka budziła mnie wychodząc do pracy.

Wróciłem wtedy około trzeciej nad ranem i nie bardzo mogła mnie dobudzić. Ojczym odezwał się wtedy:

– Poczekaj chwilę – i następnie ryknął: – Uwaga kompania! ! Alarm! !

Podobno zaśmiewali się do rozpuku, obserwując jak wyskakuję z łóżka i biegam po pokoju szukając munduru, butów i plecaka. Twierdzili, że dopiero jak otworzyłem szafę i zobaczyłem poukładaną pościel, zorientowałem się gdzie jestem.

Do jednostki wróciłem punktualnie, ale byli tacy, którzy zlądowali dopiero około godziny 10.00, a nie na 8.00 jak było powiedziane. Poniedziałek był wtedy tzw. dniem szkolenia, czyli nie było służby, ale zajęcia, na których oczywiście większość zomowców walczyła ze snem.

Niewyspani po nocnej podróży, część jeszcze lekko pijana, nic więc dziwnego, że spać się chciało jak diabli. Około jedenastej, w trakcie wykładu z kryminalistyki, wpadł na salę „Cap". Popatrzył na nas i ni stwierdził ni zapytał:

– Śpicie, skurczybyki? – i po chwili do wykładowcy: – Stasiu, zajęcia polityczne już mieli?

– Mieli. Dwie godziny jako pierwsze – odpowiedział zapytany.

– Ty… nie obraziłbyś się, jak bym ci ich zerwał z zajęć i zrobił sobie taktykę? Przecież i tak śpią i gówno rozumieją z tego, co im tłumaczysz – zaproponował Nowakiewicz.

– Edziu! Coś ty się zrobił taki gorliwy? Majora chcesz dostać czy co? A bierz ich choćby zaraz, ale coś ty taki chętny? – wykładowca był podejrzliwy.

W odpowiedzi „Cap" pochylił się i coś zaczął szeptać do ucha. Musiało to być coś ciekawego, bo wykładowca ożywił się i powiedział:

– Nie wiedziałem, że już są. Bierz ich, Edziu. Myślę, że i o mnie nie zapomnisz. Dzisiaj jestem do osiemnastej, znajdziesz mnie jak wrócicie – zaczął składać swoje notatki i wyszedł z sali. „Cap" zwrócił się do nas, również zaciekawionych tym, co się dzieje:

– To co, chłopaki, pobiegamy trochę po lesie. To zrobi wam lepiej niż siedzenie tutaj. Przy okazji dowódcy drużyn popracują nad tymi, którzy spóźnili się z przepustek. Tam jest dużo miejsca. Tak jak musztrę i dyscyplinę wbija się przez dupę do głowy, tak samo przez dupę można komuś wyregulować zegarek. Che, che, che – zarechotał na koniec ze swoich porównań.

Z bloku dydaktycznego wpadliśmy do koszarowca biegiem. Dyżurny zdążył tylko krzyknąć, że bierzemy niepełne wyposażenie, tylko broń, hełmy i saperki. Kazano też zabrać niezbędniki, tj. przybory do jedzenia, bo od razu z taktyki pójdziemy na obiad. Ucieszyło nas to, ale i zdziwiło.

Maszerując na poligon o głęboko znaczącej nazwie „Starganiec" zobaczyliśmy, że „Cap" wyjeżdża za nami swoim dużym fiatem. Nigdy wcześniej tego nie robił. Po przejściu około kilometra przez poligon, nadal nie wiedzieliśmy co się dzieje. Żadnego biegu, czołgania, tylko kilometr spokojnego marszu. W końcu zatrzymaliśmy się. „Cap" stanął przed szykiem, popatrzył na nas i powiedział:

– Dzisiaj są zajęcia typowo wojenne. W związku z tym, że Polska ma wokoło samych przyjaciół przyjęliśmy założenie, że nastąpiła inwazja Chińczyków. Krótko mówiąc, wszystko co ma kapelusz i siedzi w lesie to Chińczyk. Należy go ściąć nożem, włożyć do hełmu, a jak hełm będzie pełny, to przynieście to do samochodu i wysypać do bagażnika.

Teraz dopiero rozjaśniło nam się w głowach. Grzybobranie dla „Capa". W porządku, może być. Lepsze to niż wykłady czy ganianie po lesie. W szeregach rozległ się szmer. „Cap" uciszył nas i dodał:

– Wiecie już, o co chodzi! Tylko mi nie przynosić trujących, zresztą… Trochan, zostajesz przy samochodzie i pilnujesz, żeby mi jakiegoś gówna nie nanieśli. Jeszcze jedno. Ta czwórka, która dzisiaj się spóźniła z przepustek, zostaje. Pakulak, bierzesz ich pod swoją komendę i do końca grzybobrania ostro w dupę. To wszystko. Do roboty!

Widziałem, jak Pakulak uśmiechnął się zadowolony i służbiście odkrzyknął: „Tak jest". Natomiast wyraźnie posmutnieli ci, którzy się spóźnili. Był wśród nich chłopak

z mojej sali – Piekarski, który dojechał na dziewiątą. Tłumaczył, że jechał autobusem, który się zepsuł i dlatego nie zdążył. Nikt nie chciał słuchać. „Cap" stwierdził, że skoro mogli wrócić na czas ludzie z drugiego końca Polski (było kilku z Pomorza) , to mógł i on ze swojej Rudy Śląskiej.

Rozeszliśmy się po lesie w poszukiwaniu grzybów. Nie było obaw, że zabłądzimy. Podczas unitarki poznaliśmy go aż za dokładnie i to zarówno w nocy, jak i w dzień. Dość szybko nazbierałem pełny hełm grzybów i jako jeden z pierwszych wysypałem do bagażnika. Kapral Trochan rzeczywiście sprawdzał, czy nikt nie przynosi trujących. Ponieważ grzybów było dużo, a ja potrafię i lubię je zbierać, nie musiałem daleko chodzić i co chwilę wracałem z pełnym hełmem. W końcu Trochan się odezwał:

– Co ty, do sklepu po nie chodzisz?

– Obywatelu kapralu, w domu często chodziłem na grzyby i nauczyłem się zbierać. Trzeba umieć patrzeć. Popatrzę na drzewa, krzaki, jakie jest podszycie i wiem, gdzie szukać. Nie lezę tak jak tamci w jeżyny, bo tam nic nie ma oprócz kolców.

– Ale grzybów rzeczywiście jest dużo – dodałem, gdy Trochan uśmiechnął się.

– Bo nikt tu nie zbiera. Ludziska boją się łazić, bo ciągle trwa jakaś strzelanina, wybuchają petardy, gaz idzie – odpowiedział.

Nim upłynęła godzina zajęć, bagażnik był pełny. Trochan powiedział do Nowakiewicza:

– Dowódca powinien wziąć żuka, a nie fiata. Toż to prawie stu chłopa w lesie. Niech każdy po jednym hełmie przyniesie, to już pełno, a ten, o – powiedział wskazując na mnie – już chyba piętnasty raz obraca i znosi same borowiki i koźlaki.

– Dobra, rozłóż płaszcz – pałatkę na tylnym siedzeniu i podłodze, odkręć szyby w oknach z tyłu i niech tam sypią. Chuj tam, jakoś dojadę, a w jednostce trochę wezmą dowódcy plutonów. O, i Stasiowi muszę dać – odpowiedział Nowakiewicz i zwrócił się do mnie:

– A ty masz siatkę i nazbieraj takich malutkich borowików. Wiesz, na marynatę. Zaniosę dowódcy jednostki, to się ucieszy. Innych nie zbieraj – i do Trochana:

– Wyślij z nim ze dwóch, którzy się tłuką po krzakach, to pokaże im jak grzyby wyglądają i pozbierają te większe.

Przez następne dwie godziny zbierałem małe borowiki, a dwóch chłopaków chodziło za mną i zbierali te większe gdy się trafiły. Rzeczywiście, o grzybach nie mieli zielonego pojęcia. Jeden był z Katowic, a drugi z Bytomia. Parę grzybów rozdeptali, ale powoli nauczyli się je znajdować. Obracali po kilka razy z hełmem do samochodu. Udało mi się nazbierać całą siatkę i wróciliśmy. Nowakiewicz, gdy to zobaczył, aż ręce zatarł z uciechy:

– A to się stary ucieszy. Uuuh. Widzę, że masz oko do grzybów, umiesz nie tylko tłuc się z Adamcem na sali. Myślałem, że Adamiec znalazł sobie pupilka i cię popsuje, ale

widzę, że jesteś szczery chłopak. Masz u mnie plusa, a ja takie rzeczy pamiętam – mówiąc to klepał mnie zadowolony po plecach.

I jak tu nie lubić dowódcy, który jak podpadniesz, to by zabił, a jeśli będzie z ciebie zadowolony, to by nieba ci przychylił. O tym, że „Cap" rzeczywiście ma dobrą pamięć do tzw. zasług miałem się przekonać szybciej niż myślałem.

* * *

Po grzybobraniu, w ciągu następnych dni pełniliśmy służbę w różnych miastach Śląska. Ot, jednego dnia Wodzisław, drugiego Jaworzno, trzeciego Bytom, ze dwa dni w Katowicach i tak pomału szło. Pewnego dnia rano, na zbiórce przed śniadaniem, wyszedł ze swojego pokoju „Cap" i zakomunikował nam:

– Słuchajcie, głąby. Dowódca jednostki polecił mi oddelegować dziesięciu z was na tydzień do plutonu ruchu drogowego. Ta dziesiątka pojedzie pomóc im zabezpieczać regulację ruchu w Częstochowie w trakcie pielgrzymki. Wybrałem już takich, którzy mają prawo jazdy, dobrze zdali przed ślubowaniem zajęcia z ruchu drogowego no i mają trochę oleju we łbie. Pojadą…

Wyczytał nazwiska, wśród których znalazło się moje. Byłem zaskoczony, ale jednocześnie przypomniało mi się to, co powiedział „Cap" w trakcie grzybobrania. Chyba rzeczywiście pamiętał tych, którym powiedział, że mają u niego „plus". Znalazłem się bowiem wśród samych „pupilków", tzn. pomocnik szefa kompanii, czterech synów milicjantów itd. Nowakiewicz spytał jeszcze:

– Czy ktoś z wyczytanych nie chce jechać?

Oczywiście odpowiedzią była cisza. Któż by nie chciał wyrwać się spod władzy choćby na kilka dni?

Wyjazd miał być za dwa dni. Odwaliliśmy więc jeszcze jedną służbę i następnego dnia „Cap" kazał nam porozmawiać z dowódcą plutonu ruchu drogowego. Poszliśmy w dziesiątkę do niego. Zaprowadził nas kapral Czader. Zameldował i wyszedł. On nie był wśród wybrańców, czyli wyjeżdżających do Częstochowy. W ogóle wśród nas nie było żadnego z dowódców drużyn.

Dowódcą plutonu ruchu drogowego okazał się starszy już porucznik. Wyjaśnił nam, że naszym głównym zadaniem będzie obserwacja skrzyżowań. Dopiero w momencie, kiedy potworzą się korki mieliśmy wkroczyć do roboty. Dodatkowym zajęciem na niektórych skrzyżowaniach będzie pomoc w ustawianiu samochodów na parkingach znajdujących się w pobliżu. Dowódca uprzedził nas, że na parkingach będą cywile odpowiedzialni za to, ale czasami trzeba im będzie pomóc „usadzić" co bardziej niesfornych kierowców, a poza tym mamy się nie wtrącać. Pogadał jeszcze trochę na temat dyscypliny, wydał nam białe pokrowce na czapki, powiedział co mamy ze sobą zabrać i kazał wynosić się i przyjść o 18.00, kiedy to nastąpi wyjazd.

W trakcie pierwszego kontaktu z dowódcą plutonu ruchu drogowego przyjrzałem mu się dokładniej. Szczupły, niewysoki, o lekko szpakowatych włosach nie pasował w ogóle do jednostki, w której służył. Widząc go po cywilnemu nikt nie powiedziałby, że to zomowiec. Trudno było to powiedzieć nawet widząc go w milicyjnym mundurze. Jego zachowanie też wskazywało, że nie przywykł do wojskowo-zomowskiego drylu. Przez cały czas rozmowy z nami nie wydał żadnej komendy, ani nie powiedział jednego zdania tonem rozkazującym. Na zakończenie zamiast powiedzieć: „Powstań", „Wychodzić", powiedział żebyśmy się wynosili i tyle. Zaciekawił mnie ten człowiek, gdyż był tu wyjątkiem.

W drodze powrotnej na kompanię wywiązała się dyskusja na temat porucznika Borowca (takie nosił nazwisko) . Kwasiński – pomocnik szefa kompanii, wyjaśnił nam, że Borowiec jest w ZOMO dopiero od pół roku. Wcześniej pracował w jednej z komend rejonowych, jako normalny milicjant Ruchu Drogowego. Miał tam jakąś podpadkę i musiał się na jakiś czas schować w ZOMO, aż sprawa przycichnie. Prawdopodobnie chodziło o wypadek samochodowy spowodowany przez niego po pijanemu. Na zakończenie Kwasiński dodał:

– Musi mieć porządne plecy, bo innego od razu wypieprzyliby, a jemu pomogli ukręcić sprawie łeb i schowali go w ZOMO. Zresztą tutaj też robi co chce i ma wszystkich w dupie. Oborniak (szef kompanii) mówił mi, że słyszał jak dowódca jednostki zaczął opieprzać Borowca za spóźnienie do pracy. Borowiec podobno popatrzył na niego jak na wariata i powiedział: „Czego, chłopie, chcesz ode mnie, przypierdol się do kogoś innego, jak nie masz lepszego zajęcia" i poszedł sobie. Dowódca jednostki odwrócił się na pięcie i poszedł do swojego gabinetu.

Kwasiński opowiadał to z takim podziwem i ściszonym głosem, jakby zdradzał nie wiadomo jaką tajemnicę. Nie dziwiłem mu się zbytnio. O dowódcy jednostki słyszeliśmy niejednokrotnie, że ma twardą rękę i nie znosi powtarzać czegoś dwa razy. W tej sytuacji odzywka Borowca wydawała się aż nieprawdopodobna.

O osiemnastej stawiliśmy się w komplecie. Borowiec wyznaczył kierowców. Pobiegli pobrać dwie nyski, którymi mieliśmy jechać. Okazało się, że reszta plutonu tzn. stale w nim zatrudnionych dwudziestu zawodowych, dojedzie do nas jutro rano. Borowiec jedzie z nami wcześniej, żeby zająć lepsze kwatery. Gdy kierowcy podjechali nyskami, popatrzył na te wozy i podszedł do jednej z nich, która już na pierwszy rzut oka wyglądała na mocno zużytą.

– Jak się nazywasz? – spytał kierowcy.

– Szeregowy Wandzik, obywatelu poruczniku – wykrzyknął chłopak, wyskakując z samochodu i stając na baczność.

– Kurwa! A imię jakieś to ty masz? – padło pytanie.

– Jerzy – odpowiedział Wandzik rozluźniając się z wyprężonej postawy.

– Słuchaj, Jurku. Jedź z powrotem na garaże i powiedz dyspozytorowi, że tego trupa może dać do Łańcuta do muzeum powozów, a nie mnie, kurwa, na wyjazd. Tylko dosłownie mu przekaż: powiedz, żeby dał tę nową z „trillem", takim wielotonowym sygnałem modulowanym. No, leć!

Gdy Wandzik pojechał, Borowiec odwrócił się do nas:

– Przecież byśmy tym pewnie nie dojechali, tylko rozkraczyli się po drodze. Ochujał ten Zdzisiek całkiem. Mnie dać takiego strucla, taką grzechotkę. Przecież by mnie częstochowiaki wyśmieli, jak bym czymś takim zajechał.

W tym momencie podjechał Wandzik nyską z powrotem. Była to prawdziwa „nówka" świecąca lakierem, nie poobijana i czysta. Sześciu chłopakom kazał Borowiec wsiadać do starszego wozu, a Wandzikowi i jeszcze trzem razem z nim do „nówki". Udało mi się załapać do wozu z dowódcą. Gdy wyjechaliśmy z jednostki, Borowiec przez radiostację poinformował kierowcę drugiego wozu, że ma się trzymać cały czas za nami, nie zostawać w tyle, ani wyprzedzać. Wandzika natomiast spytał:

– Jak długo jeździsz?

– Pięć lat mam prawo jazdy, ale jeżdżę dłużej, bo mnie ojciec uczył. Stary jest mechanikiem i od małego mnie szkolił.

– A to dobrze trafiłem – ucieszył się Borowiec. – W takim razie pokaż co potrafisz, a jak ci będzie ktoś przeszkadzał na trasie, to się nie pierdol. Włączaj wtedy sygnały i dawaj do przodu. Sprawdzimy jak ten z drugiego wozu będzie się wyrabiał.

Wandzikowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Uśmiechnął się tylko, poprawił na siedzeniu, silnik ryknął i nysa poszła pełnym gazem. Jezdnia była pustawa, dlatego Jurek jechał lewym pasem co jakiś czas wyprzedzając samochody. Gdy było ciasno, tzn. kilka wozów przed nim, włączył światła pulsujące i sygnały. Pierwszy raz usłyszałem wtedy „trilla". Różnica między nim a normalną syreną polegała na tym, że mógł wysyłać dźwięki raz na niskich tonach długie, a za chwilę na wysokich – krótkie, często przerywane. Była też możliwość modulacji ręcznej.

Początkowo Borowiec obserwował Wandzika i to, co robi na jezdni, potem patrzył na drugi wóz. Te swoje obserwacje skwitował:

– W tym tempie będziemy za wcześnie w Częstochowie. Za jakieś dwadzieścia kilometrów będzie zajazd, który prowadzi moja znajoma. Może tak byśmy sobie po jakimś piwku strzelili. Co, chłopaki? – spytał odwracając się do naszej trójki siedzącej z tyłu.

Chyba innej odpowiedzi się nie spodziewał, bo na nasz pomruk wyrażający pełną aprobatę tego pomysłu tylko się uśmiechnął i przez radiostację uprzedził drugi wóz, że niedługo będziemy się zatrzymywać.

Gdy dojechaliśmy do zajazdu, dowódca kazał oba wozy wprowadzić z tyłu budynku. Poszedł najpierw sam zobaczyć jak wygląda sytuacja, a nam kazał czekać. Wrócił po chwili. Wysiedliśmy z samochodów i zauważyłem, że Borowiec ma taką minę jakby planował jakąś psotę. I nie myliłem się.

– Kierowcy zostają przy samochodach, bo i tak nie mogą pić. Później, jak się zakwaterujemy, nadrobią to sobie. Wy zostawcie wszystko, czapki też. Weźcie tylko pały ze sobą. Anka od 18.00 nie może się pozbyć z baru czterech obżartych ciuli. Wejdziemy wszyscy na zaplecze. Wyjdę do nich pierwszy. Każę im wyjść, a jak nie posłuchają wtedy wyskoczycie. Za szmaty, na zewnątrz i wpierdol na miękko. Tak, żeby popamiętali! Na sali starajcie się nie bić, bo jeszcze lokal zdemolujecie. No chyba, że nie będzie innego wyjścia – przedstawił nam sytuację i swój plan. Mówiąc, porucznik cały czas chichotał i cieszył się jak dziecko z dobrego kawału zrobionego mamusi.

Na zapleczu pani Ania, bo tak nam ją przedstawił, zrobiła wielkie oczy, gdy zobaczyła wchodzących ośmiu rosłych chłopów.

– Krzysiu, teraz z całą brygadą jeździsz? Ale mi się dobrze trafiło. W końcu ktoś zrobi porządek, bo miejscowa milicja po prostu się ich boi.

Pani Ania mogła mieć około trzydziestki i była pulchną blondynką o żwawych ruchach i miłej twarzy. Kiedyś musiała być bardzo atrakcyjną dziewczyną, choć i teraz była całkiem do rzeczy. Dowódca kazał jej zostać na zapleczu. Stanęliśmy blisko drzwi na salę, Borowiec zaś wyszedł, zostawiając drzwi otwarte. Usłyszałem jak powiedział:

– Panowie, opuszczamy salę, już dosyć nabroiliście.

W odpowiedzi usłyszeliśmy śmiech i jeden z pijaczków krzyknął:

– Te! Kogucik! Nie piej, bo chrypy dostaniesz!

Wtedy porucznik spokojnym głosem, rozciągając słowa powiedział:

– Jak chcecie – i do nas: – Chłopcy… chodźcie.

Wyszliśmy z zaplecza. Jeden z czwórki siedzącej przy stoliku, gdy zobaczył ilu nas wychodzi, powiedział tylko: „O kurwa", drugi natomiast zerwał się i wystartował w kierunku wyjścia. Nie przebył jeszcze połowy drogi, gdy dopadł go Kwasiński z Kobuzem. My chwyciliśmy pozostałą trójkę. Po krótkiej szarpaninie mieliśmy już wszystkich przed zajazdem. Zrobiliśmy to, co zwykle robiło się w trakcie patrolu z bardziej niesfornymi osobnikami, tzn. jeden trzymał jedną ręką za wykręconą do tyłu łapę „pacjenta", natomiast drugą ręką brał go za głowę, obejmując i trzymając ją pod pachą. Przy takim uchwyceniu obrabiany „pacjent" nie mógł się wyrwać, miał elegancko wypięty zadek i drugi z patrolu mógł swobodnie go oprawiać. Po kilku wstępnych uderzeniach jeden z chłopaków krzyknął:

– Po ile, dowódco?

– Po dwadzieścia! – odpowiedział stojący na schodach Borowiec.

Od tej chwili słychać było tylko głuche chlaśnięcia pałek i jęki „oprawianych". Gdy już prawie wszyscy skończyli, porucznik powiedział:

– Nie puszczajcie ich jeszcze – i w głąb lokalu: – Ania, pozwól na chwilę! – Gdy pokazała się w drzwiach, spytał:

– Rachunek zapłacili?

– Oni nigdy nic nie zamawiają, tylko przynoszą swoją wódkę ze sklepu. Biorą szklanki i piją. Tylko klientów mi płoszą – wyjaśniła.

– Dobra! Jeśli tak, to zrobimy inaczej – i do trzymanych przez nas: – Od dzisiaj nie macie wstępu do tego lokalu. Jeśli któryś tu wlezie, to będzie „powtórka z rozrywki". Znajdę wtedy nawet w domu i oprócz lania będzie jeszcze kolegium. Żeby to było jasne!

Przyjrzał się dokładnie wszystkim po kolei i zadysponował wskazując ręką:

– Ten, ten i ten. Po parę „kierunkowych" jeszcze na dupę i puścić. A ten mnie nazwał „kogucikiem", to chyba zasługuje na coś więcej?

Trójka, którą wskazał dowódca, dostała po parę pałek w biegu dla nabrania prędkości i złapania właściwego kursu do domu i wyrywała w kierunku szosy, aż warczało. Czwarty natomiast został przytrzymany. Borowiec podszedł do niego i spytał:

– No i co, bohaterze? Jak się teraz czujesz? – słychać było w głosie groźbę. – Kto teraz wygląda jak „kogucik"? – syczał dalej Borowiec podchodząc coraz bliżej, ale widać było, że nie bardzo wie co robić lub nie ma na to zbytniej ochoty, pozując tylko przed obserwującą go szefową zajazdu. Z kłopotu wybawił go Kwasiński:

– Dowódco! Po co dowódca będzie sobie brudził ręce takim gównem? My tu od tego jesteśmy – i zwrócił się do mnie: – Darek, dawaj mu!

– Może i racja. Dobra – skwitował zadowolony z obrotu sytuacji porucznik.

Podszedłem bliżej i powiedziałem:

– Zróbcie chłopaki kółko, żeby nie uciekł i puśćcie go.

Gdy to zrobili, podszedłem bliżej „pacjenta", który podniósł do góry ręce i zacisnął je w pięści.

– Nazwałeś dowódcę „kogucikiem". Teraz będziesz kogucik bez jaj – powiedziałem i błyskawicznie kopnąłem go w krocze. Nim zdążył się zwinąć, dostał jeszcze nogą w wątrobę, a gdy zgiął się wpół i odsłonił mi plecy, rąbnąłem łokciem z góry w nerkę. Chyba zemdlał z bólu, bo zbladł i osunął się na ziemię.

– Wystarczy, dowódco? – spytałem odwracając się.

Szefowa skrzywiła się, odwróciła i weszła do zajazdu.

– Tak! Pięknie! Skutecznie, boląco i bez śladów. Fachowa robota – odpowiedział Borowiec i dodał. – Ocućcie go i nich spierdala dopóki nikogo nie ma.

Po tych słowach wszedł do środka, a chłopcy zaczęli cucić leżącego, klepiąc go po twarzy. Po chwili doszedł do siebie i skulony, trzymając się za krocze i zataczając, ruszył w kierunku jezdni. Weszliśmy do środka i usiedliśmy przy stolikach po zaproszeniu przez panią Anię, która zamknęła za nami drzwi. Zauważyłem, że minę ma jakąś niewyraźną. Poszedłem się umyć do łazienki. Przechodząc koło uchylonych drzwi od zaplecza usłyszałem ich rozmowę. Zatrzymałem się, udając, że oglądam wystawę za barem. Szefowa pytała Borowca:

– Skąd, Krzysiu, masz tych chłopaków?

– Czemu pytasz? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Bardzo dobrze, że zrobili porządek z tymi lumpami, ale jak popatrzyłam jak ci chłopcy ich bili, to się przestraszyłam, tak to wszystko szybko i fachowo im szło. A ten ostatni, z taką miłą i sympatyczną buzią, to prawdziwy kat. Tego Waldka, który do ciebie pyskował, skatował tak błyskawicznie, że prawie nie było widać jak. A Waldek to przecież stary zabijaka. Tłukł się tu z niejednym i zawsze był górą. A ten chłopak tylko łup, łup, łup i Waldek leży nieprzytomny. Krzysiu, co to za chłopaki?

– To zomowcy. Dali mi ich do pomocy, bo do Częstochowy jadę zabezpieczać porządek podczas pielgrzymki i za mało ludzi miałem – powiedział Borowiec.

– A, to ci, co na ulicach pałują? No to nic dziwnego, że tak potrafią bić. Tak myślałam. Tylko mi nie pasowali, bo tacy młodzi.

– A co ci przeszkadza, że są z ZOMO? – spytał zjeżony porucznik.

– Nie! Skąd! Tylko tak chciałam wiedzieć – zaprzeczyła pani Ania, ale nie wypadło to zbyt szczerze. Zamilkli.

Po powrocie z łazienki zastałem na stolikach kieliszki z wódką i zakąskę. To pani Ania wystąpiła w roli fundatora w podziękowaniu za interwencję. Wypadło po jakieś 250 gram na głowę. Później wypiliśmy jeszcze po dwa piwa i trzeba było ruszać w dalszą drogę. Zauważyłem, że Borowiec wypił chyba więcej od nas, gdyż był nieźle wstawiony. Kupił po parę piw dla kierowców, nam zaś zakomunikował:

– Jak chcecie kupić sobie gorzały na wieczór, żeby wypić, gdy już się zakwaterujemy, to kupujcie tutaj. Później w nocy, żeby nie było latania po Częstochowie i szukania wódki – przy mówieniu lekko plątał mu się język. Kupiliśmy, a jakże. Dwa razy nikomu takiej propozycji nie trzeba było powtarzać. Załadowaliśmy się do samochodów i usłyszałem jeszcze jak nasz dowódca krzyczy do swojej znajomej:

– Anka! Jakby się ktoś pytał, znaczy te lumpy, albo milicja, to ty nas nie znasz. Powiedz, że przejeżdżali jacyś milicjanci i wstąpili coś zjeść, a przy okazji zrobili porządek. Żadnego nie znasz i nie wiesz, z jakiej jednostki byli. Dobra? ! Bufetowa kiwnęła mu głową, że rozumie.

Później w porucznika wstąpił lew jezdni. Kazał włączyć na stałe światła pulsujące na obu wozach i cały czas poganiał kierowców, żeby szybciej jechali. Wandzika bezpośrednio, a drugi wóz przez radiostację. Na dokładkę nastawił na maksimum „trilla" i ryczał przy jego pomocy na kierowcę każdego samochodu, który jego zdaniem nie dość szybko usuwał się z drogi. Gdy dojeżdżaliśmy do rogatek Częstochowy, w pewnym momencie odezwał się:

– Obywatelu poruczniku, jak dalej jechać?

– Szybko, chłopaki. Jak najszybciej – wybełkotał przez sen nasz wódz.

Jurek spróbował z innej beczki.

– Ale gdzie będziemy kwaterować? Bo nie wiem jak jechać.

– U paulinów, albo w Komitecie Wojewódzkim. Chociaż… w klasztorze byłoby lepiej. Tfu! Do cholery! To męski klasztor i nie ma bab – gadał z zamkniętymi oczami, ale za chwilę ocknął się.

– Co? Co? Aaaa. Którędy jechać? Na razie prosto, a później powiem ci gdzie skręcić. Kwaterujemy w jakimś internacie – mówił przytomniejąc.

Doprowadził nas do internatu jakiegoś zespołu szkół i poszedł załatwić kwatery i kolację. Wrócił dość szybko. Dostaliśmy pokoje na pierwszym piętrze i od razu pierwszy szok. Tapczaniki, radio, telewizor, napoje do picia. Pełna kultura. Pokoje trzyosobowe. Rozpakowaliśmy się i na kolację. Tu znowu zaskoczenie. Stoliki przykryte obrusami, kwiaty w wazonach. Kilka rodzajów wędlin i pieczywa. I jakby tego wszystkiego było mało, gorącą kawę mleczną roznosiły kelnerki! Co prawda lekko starawe, ale zawsze to kelnerki.

Siedzieliśmy z lekka otumanieni tym wszystkim. Powoli jednak wzięliśmy się za jedzenie. Oprócz nas na stołówce było jeszcze około 30 milicjantów. Jedni młodsi, drudzy starsi, ale większość wyglądała na zawodowych pościąganych z okolicznych jednostek. Prawdopodobnie tylko my byliśmy grupą młodzików, którzy na ruchu drogowym znali się raczej średnio. Przez chwilę przestraszyłem się nawet, że skierują nas do normalnej roboty, np. na duże ruchliwe skrzyżowanie i dopiero będzie cyrk. Przypomniałem sobie jednak to, co mówił Borowiec przed wyjazdem, że będziemy wchodzić na skrzyżowania dopiero w ostateczności i uspokoiłem się. Po kolacji dowódca zebrał nas w jednym pokoju i wygłosił krótką przemowę, z której wynikało, że mamy wypić szybko przywiezioną wódkę i iść spać, bo jutro pobudka jest o czwartej, a o szóstej musimy być w swoich punktach. Wyczytał, gdzie kto będzie stał. Nazwy ulic nic nam nie mówiły, ale dowiedziałem się, że przydzielono mi skrzyżowanie w kształcie litery „T", a obok niego duży parking i hotel. Moja zmiana zaczynała się o szóstej rano, a kończyła o osiemnastej, kiedy to zastąpi mnie Kobuz, który pełni służbę w nocy.

Z wódką nie poszło nam szybko, gdyż za dużo jej kupiliśmy. Wypadło po pół litra na głowę, ale nikt się zbyt mocno nie upił. Było to chyba skutkiem obfitej kolacji, a może dłuższego okresu abstynencji. Borowiec odwiedził każdy z pokoi, wypił parę kieliszków, poinformował, że rano obudzi nas dyżurny, który siedzi na dole i poszedł spać. My też.

* * *

Rano zaczął się prawdziwy kocioł. Mycie, śniadanie i do samochodów. Na dobre obudziłem się dopiero w swoim punkcie, zastanawiając się co robić z tzw. suchym prowiantem, który wydano nam zamiast obiadu. Rozejrzałem się. Ulice puste, parking prawie też. Zapowiadany hotel okazał się niedużym motelikiem. Właśnie stamtąd maszero-

wał raźno w moim kierunku jakiś około 50-letni zażywny jegomość. Przyjrzał mi się uważnie i spytał:

– Pan władza tutaj na tydzień, tak? Póki pielgrzymka się nie skończy, tak? – mówiąc to świdrował mnie swoimi małymi oczkami.

– Jak nie przerzucą gdzie indziej, to chyba tak – odparłem.

– E, nie przerzucą. Co rok tak jest. Jak już kogoś w ten swój plan wpisali, to już na cały tydzień – mój rozmówca wykazał się znajomością tematu. Zaraz ściszył głos, wziął mnie konfidencjonalnie za łokieć i zaczął:

– Panie władzo, ja mam taką sprawę do pana. Wie pan, tu co rok pilnuję parkingu i ustawiam na nim wozy. Wiesz pan, to duży parking, ogrodzony, jak pan widzi. To, wiesz pan, przyjeżdżają tu same duże wozy, z bagażami, one jadą z pielgrzymką. Ja co roku z milicjantem, który tu stoi, mam układ i robię taki nieduży numerek… – tu zawiesił głos i patrzył mi uważnie w oczy. – No co? Chcesz pan zarobić parę groszy?

– Forsa każdemu by się przydała. Zależy jak zarobić – odparłem lakonicznie, pamiętając radę Borowca, żeby się parkingowym nie wcinać w robotę.

– Bo widzisz pan. Ja zawsze robię tak. Jak przyjadą pierwsze wozy, to ich ustawiam naokoło po brzegach parkingu ciasno jeden za drugim, aż mnie zrobią taki wianek, że z zewnątrz wygląda jakby cały parking był zapchany i nie było już miejsca. A tu środek cały wolny – roześmiał się. – Wtedy mnie zostaje zastawić wjazd moim „Starem". O, tam stoi – pokazał ręką na jedyny samochód na parkingu i znowu popatrzył na mnie starając się wywnioskować, jak odbieram jego słowa.

– No i co dalej? – spytałem.

– No wtedy, jak dalsze wozy przyjeżdżają, mówię: „Nie ma miejsca".

To oni: „Panie parkingowy, popatrz pan dobrze, może coś się znajdzie". Wiesz pan, chłopy zmęczone, ciepło, prosto z trasy, to im się nie chce szukać dalej. Wtedy mówię: „Co, ja nogi na loterii wygrałem, żeby darmo latać i szukać miejsca" albo coś podobnego. Jeśli to nie jest gapa, to mnie od razu te parę stówek da w łapę, niby żebym poszukał. To ja „Stara" odstawiam i se wjeżdża i parkuje jak panisko. Ale wcześniej jeszcze musi bilet kupić – znowu zarechotał.

– No, a jak zobaczy, że w środku pusto, to co, nie złości się? – zapytałem zaciekawiony nie tyle pomysłem, co osobą parkingowego.

– Oj, bardzo rzadko! Czasem coś tam pomruczy, ale najczęściej to jeszcze zadowolony, że stoi w środku i nikt mu z brzegu wozu nie okradnie. Mówię panu, interes czysty jak złoto i co roku tak robimy. Szoferaki, które co roku jeżdżą z pielgrzymką, nawet nie pytają, tylko tak się już nauczyli, że podjeżdżają, wyjmują te dwieście czy trzysta, kupują bilet i jeszcze krzyczą, żebym szybko odstawiał swojego „Stara", bo się takiemu spać chce. To jak? Pasuje panu takie coś? Podzielimy się na czterech. To znaczy, my we dwóch i ci co będą w nocy też na dwóch. Pasuje? – dopytywał się.

– Dobra, dobra. Spokojnie, powoli. Oprócz tego, że dam panu ustawić tak wozy, to co jeszcze będzie do mnie należało? – spytałem, chcąc mieć jasność i uniknąć później nieporozumień.

– Oj, drobiazg, kochany. Nieraz się zdarzy taki, co to myśli, że wszystkie rozumy pozjadał i stanie, i się kłóci, że on wie, że tam jest miejsce. Najczęściej warszawiaki są takie cwane i na pieniądze chytre. To wtedy pan go stąd pogoni i już. Ale to rzadko się zdarza.

– Tak, tak, on poleci na skargę na mnie i ja dostanę po dupie – powiedziałem, bo tego się najbardziej bałem.

– Jakie tam skargi? A nawet jak kto przyjedzie i zobaczy, że jest puste miejsce, to przecież powiemy, że parę wozów wyjechało przed chwilą i teraz jest, a przedtem nie było. A to, że „Starem" zastawiam wejście, to powiem, że się pchają na chama i nie chcą płacić za parking, to znaczy kupować biletów i będzie z głowy. Parkingowy na wszystko miał gotową odpowiedź.

– Dobra. Zrobimy tak jak pan mówi. A teraz niech pan mi powie, gdzie mogę sobie schować to jedzenie – pokazałem na torbę z kanapkami – bo w ten upał się zaraz zepsuje?

– Fajnie! Fajnie! Wiedziałem, że z pana porządny chłopak. A te kanapki na cholerę panu? Chodź pan do hotelu, do baru. Dogadaliśmy się, ja stawiam.

Chcąc nie chcąc poszedłem za nim. Wewnątrz baru prawie przemocą wyrwał mi torbę z kanapkami i wyrzucił do kosza. Za chwilę rozdarł się, aż echo poszło po pustym o tej porze barze:

– Martaa! Dawaj tu szybko! – i dodał ciszej, zwracając się do mnie: – To moja żona.

Aha – pomyślałem. To dlatego jesteś taki hojny. Żona za barem, to grosza nie zapłacisz. Z zaplecza rozległy się kroki i wyszła barmanka, gderając:

– Franiu, jak jadaczkę rozedrzesz, to pewnie aż goście na drugim piętrze się budzą. Co ty myślisz, że głucha jestem? Dzień dobry.

– Dzień dobry – odpowiedziałem przyglądając się żonie przedsiębiorczego pana Franka. Na oko była chyba z dziesięć lat od niego młodsza.

– Pan się przez tydzień będzie u nas żywił. Na ten parking go dali, tu do nas – zakomunikował parkingowy. Nie uszło mojej uwadze dyskretne porozumiewawcze mrugnięcie okiem, jakie wykonał w tym momencie do żony. Widocznie wiedziała o wszystkim. Następnie pan Franio popatrzył na mnie krytycznie i widząc, że mam lekkiego kaca zamówił:

– To co, na początek pewnie po piwku na apetyt, a potem bigos, po secie i idziemy działać – i do mnie: – Dobrze będzie.

– Pewnie, że dobrze – odparłem.

Pani Marta podała nam piwo i krzątając się przy szykowaniu bigosu mówiła:

– Wywiozą chłopaków daleko od domu i trują stołówkowym żarciem. Te cholery, co gotują w stołówkach, to bym do pasienia krów wygoniła. Zobaczy pan. U nas jedzenie jak w domu. Bo u mnie dziewczyny gotują na smak, a nie dużo i szybko.

– Samochwała! – podsumował ją mąż.

– Samochwała, samochwała. A ten bęben z przodu to ci pewnie z głodu urósł – odcięła się. – Lepiej byś drzwi zamknął, bo jeszcze kto wlezie, zobaczy, że o tej porze alkohol podaję i będzie awantura.

Bigos w wydaniu pani Marty rzeczywiście był wyśmienity. Pokrzepiłem się dodatkowo dwiema setkami wódki, poszliśmy z parkingowym do skrzyżowania. Nie działo się absolutnie nic. Radiostacja także milczała jak zaklęta. Przez cały dzień przesiedziałem na ławeczce przy parkingu. Pan Franio wyjaśnił mi, że pierwsze wozy przyjadą dopiero jutro albo pojutrze.

Po zjedzeniu obiadu serwowanego tym razem przez pracownicę pani Marty, młodziutką dziewczynę o przeciętnej twarzy i kruczoczarnych włosach, poszedłem znowu na skrzyżowanie. Pan Franio pojechał żukiem po towar dla baru, więc byłem sam. Około pół godziny obserwowałem ruch na jezdni i gdy już miałem usiąść na ławce, z daleka usłyszałem „trilla". Zza zakrętu wyskoczyła nasza nyska waląca pełnym gazem. Z piskiem opon Wandzik wyhamował przy mnie i wjechał na uliczkę prowadzącą na parking. Z samochodu wyskoczył Borowiec.

– I jak, zbóju! Żyjesz? – krzyknął.

Już z daleka było widać, że ostro leczył wczorajszego kaca, bo znów był podcięty. Gdy Wandzik wysiadł z samochodu, zauważyłem, że on też sobie trochę pozwolił, chociaż był kierowcą. Borowiec podszedł do mnie:

– Słuchaj, młodzik. Masz tu bloczek mandatów i weź się trochę za kontrolowanie. Tylko nie karz za pół, ale za cały mandat. Za konkrety. Rozumiesz?

– Tak, obywatelu poruczniku – odpowiedziałem zadowolony, że będę miał jakieś zajęcie.

– Forsy za mało wziąłem. A tutaj tak wesoło, że mi się zaraz skończy. Muszę wziąć z mandatowych. Z wypłaty się spłaci. Każdy z was dostał dzisiaj po bloczku i jakoś to będzie – wyjaśnił mi.

– Rozumiem – odpowiedziałem.

– To dobrze. Postaraj się sprzedać jak najwięcej – i do Wandzika:

– Jurek, pal maszynę, jedziemy na swój rejon.

Z okna ruszającego samochodu spytał jeszcze:

– Nic ci nie trzeba? Pić, jeść, papierosów? To przywiozę.

– Nie! Dziękuję! Mam tutaj bar – pokazałem ręką na budynek w głębi.

– Dobrze ci – krzyknął Jurek i pojechali.

Stanąłem trochę dalej od skrzyżowania, żeby nie blokować ruchu i zacząłem kontrolę. Już drugi z zatrzymanych samochodów okazał się zupełnym wrakiem, prawie bez świateł i hamulców. Na moje machanie lizakiem udało mu się wyhamować 100 metrów dalej i musiał cofać. Był to ciężarowy Jelcz, wiozący młode ziemniakami. Numery rejestracyjne prywatne, więc od razu wiedziałem. Pewniak! Odkupił od jakiejś państwowej instytucji zdezelowany sprzęt, podremontował i jeździ. Co zarobi na remont jednej rzeczy i ją naprawi, to w tym czasie zepsuje mu się druga i tak w kółko. W efekcie nigdy nie jest tak, żeby wszystko miał sprawne. Po krótkich oporach, postraszony zatrzymaniem dowodu rejestracyjnego, kierowca zapłacił mandat. Gdy odjeżdżał, mruczał coś pod nosem. Wyobrażam sobie. Cenzuralne były pewnie tylko kropki i wykrzykniki. Do szóstej, kiedy Wandzik przywiózł do mnie na zmianę Kobuza, sprzedałem pięć mandatów, czyli połowę bloczka. Zdziwiło mnie, że Jurek przyjechał bez Borowca, ale zaraz mi to wyjaśnił:

– Stary od czwartej leży w swoim pokoju jak po nokaucie. Jak zajedziemy do kwatery, to pewnie się ocknie. Sprzedałeś coś?

– Tak. Pięć za całość – odpowiedziałem.

– Forsę dawaj mnie, a bloczek zostaw Jarkowi. On dalej będzie handlował. Tak kazał stary.

Zaprowadziłem Kobuza do baru, przedstawiłem pani Marcie i panu Frankowi, który od razu posadził go przy stoliku i zaczął coś gadać. Był z nim drugi parkingowy.

W samochodzie byli już wszyscy z pierwszej zmiany, mnie zmienili ostatniego. Wandzik wyłuszczył nam swój plan na resztę dnia.

– Stary powiedział, że jak w nocy będzie z nim jeździł drugi kierowca – Groniec, to możemy wziąć tę nyskę i trochę sobie pojeździć po Częstochowie. Coś sobie wypijemy. Jakieś dziewczyny może się poderwie. Fajnie, co? – powiedział odwracając się do mnie i zaraz dodał: – Tylko kazał na piątą być z powrotem.

Oczywiście, wyskoczyć na Częstochowę, mając wóz do dyspozycji, była to duża frajda. Jedyny problem polegał na tym, że oprócz mundurów nie mieliśmy żadnych innych ubrań. Po krótkiej naradzie doszliśmy do wniosku, że znikąd nie wytrzaśniemy „cywilek". Pozostało nam założyć niebieskie koszule od mundurów wyjściowych, które mieliśmy ze sobą na wypadek ochłodzenia. Czarne spodnie i buty ujdą w tłoku. W ostateczności będziemy wyglądać jak grupka chłopaków ze wsi, których zresztą wielu przyjechało do Częstochowy. Z takim planem dojechaliśmy do internatu i poszliśmy na kolację. Wandzik pojechał z powrotem do miasta. Sprawdziły się jego przypuszczenia, że Borowiec się obudzi. Gdy tylko zobaczył nas wchodzących, podszedł do niego:

– Jureczku, bądź tak miły, skocz do miasta i przywieź swojemu dowódcy jakąś gaśnicę, bo będzie pożar. Tak mnie pali, że chyba dopiero po drugim piwie zgaśnie – powiedział to tak proszącym głosem, że aż nam się go żal zrobiło.

Jurek oczywiście odwrócił się na pięcie i pobiegł do samochodu. Po piętnastu minutach był z powrotem. Podczas kolacji dowiedziałem się, że przyjechała pozostała część

plutonu ruchu drogowego z Katowic, to znaczy milicjanci zawodowi. Borowiec powiedział im co mają robić, kazał sobie jakoś radzić i przestał w ogóle zajmować się nimi mówiąc, że ma młodych na łbie i dosyć kłopotów z nimi. Zawodowi wyglądali na bardzo zadowolonych z takiego obrotu sprawy.

* * *

Zebraliśmy się szybko i zeszliśmy na dół do samochodu. Zastanawialiśmy się początkowo dokąd jechać. Któryś z chłopaków powiedział, że chciałby zobaczyć czy nie ma jakichś jego znajomych na polu namiotowym za klasztorem, a poza tym tam mogą być jakieś dziewczyny do poderwania. Spodobał nam się ten pomysł. Wcześniej w czasie kolacji pomyślałem, żeby poszukać kogoś od siebie, ale przypomniałem sobie, że pielgrzymka z moich okolic przychodzi dopiero w sobotę, więc na tzw. Przeprośnej Górce nikogo jeszcze pewnie nie było.

Najpierw jednak znaleźliśmy sklep monopolowy. Zrobiliśmy zrzutkę i kupiliśmy wódkę i napoje. Udało nam się w ostatniej chwili, bo sklep czynny był do dwudziestej. Spod sklepu wjechaliśmy w jedną z ciemnych uliczek i tam zaczęliśmy pić, zastanawiając się co zrobić z radiowozem, kiedy pójdziemy na pole namiotowe. Stanęło na tym, że znajdziemy jakiś szwendający się w pobliżu patrol i poprosimy ich o popilnowanie. Gdy każdy, oprócz Jurka, wlał już w siebie około ćwiartki wódki, ruszyliśmy w kierunku Jasnej Góry. Jurek wypił tylko setkę, bo bał się jeździć pijany w nocy, po nieznanym mieście. Ze znalezieniem patrolu nie było żadnego kłopotu. Znaleźliśmy dwóch równych chłopaków z miejscowego ZOMO, wypiliśmy z nimi trochę i problem był rozwiązany. Popilnują, czemu nie, przynaj-mniej będą mieli gdzie usiąść i odpocząć. Wandzik nie zamykał radiowozu, ale kluczyki na wszelki wypadek zabrał ze sobą. Wzięliśmy też pozostałą wódkę i poszliśmy. Zaraz przy wejściu na pole namiotowe Wandzik z drugim chłopakiem mieli szczęście. Zauważyli dwie siedzące na plecakach dziewczyny i podeszli z nimi gadać. Czekaliśmy we trzech z boku, patrząc co z tego wyniknie. Po chwili zaczęli machać do nas, żebyśmy podeszli. Podchodząc obejrzałem sobie obie. Nawet były niebrzydkie, tylko jakieś takie oklapnięte. Albo na kacu, albo takie zmordowane – pomyślałem.

– Dziewczyny przyjechały do znajomych chłopaków, którzy mieli im załatwić nocleg. Namiotu nie brały, chłopcy się na nie wypięli i teraz nie mają gdzie nocować – zakomunikował Jurek, a Krzysiek, który z nim podszedł, dodał:

– Może macie jakiś pomysł? Jakoś bym im pomógł.

Pan Franio! Przecież musi mieć układ w motelu i nie odmówi pomocy za parę groszy. Odwołałem Jurka na bok.

– Słuchaj! Bierzcie we dwóch te cizie do radiowozu i zasuwajcie na ten parking, gdzie w dzień stoję. Tam parkingowy załatwi ci pokój. Dasz mu najwyżej parę groszy, ale powinno się obyć i bez tego – powiedziałem szeptem.

– Darek, jedź ze mną, a tamci niech idą we trzech – Jurek chciał się jakoś zrewanżować za pomysł.

– To by nie było w porządku. We dwóch startowaliście, a teraz ja się będę wcinał. To by po chamsku było. Nie. Może mnie też się coś trafi… – wykręciłem się i wróciliśmy do pozostałych.

– I co tam szeptaliście? – spytał Krzysiek.

– Będziemy mieli dla was, dziewczyny, pokój. Chodźcie z nami, to was zawieziemy. W bocznej ulicy mamy samochód – powiedział Jurek patrząc z satysfakcją na zaskoczenie Krzyśka.

– Tak, tak. Akurat będziecie mieli. Wywieziecie nas gdzieś… Ja nie jadę – stwierdziła jedna z dziewczyn.

– Przecież was zupełnie nie znamy. Może jesteście porywacze – dodała druga – I na dokładkę w pięciu.

– Po pierwsze, nie w pięciu, tylko we dwóch. Po drugie, nie żadni porywacze, tylko milicja – powiedział Jurek pokazując legitymację.

Pomyślałem, że tym wyjęciem legitymacji Wandzik spieprzył całą sprawę i nie pojadą z nimi. Uświadomiłem sobie jednak, że i tak by się dowiedziały, bo przecież mieli jechać radiowozem. Jurek dobrze to obliczył, bo nic nie tracił. Ku mojemu zdziwieniu, dziewczyny po chwilowej konsternacji stwierdziły, że przy milicjantach nic im się złego nie stanie i zgodziły się jechać. Umówiliśmy się z Jurkiem, że przyjedzie z powrotem o wpół do piątej w to samo miejsce, gdzie nas zostawił i zawyje trillem dwa razy.

– Tylko nie zaśpij – zaśmiałem się.

– Nie ma obawy – odparł również ze śmiechem i poszli.

We trzech ruszyliśmy w głąb pola, między samochody i namioty. Moi dwaj towarzysze Heniek i Czarek wyglądali jak dwie przeciwności. Heniek z ciemnymi włosami, o masywnej sylwetce, był poważny i starszy od nas obu. Czarek – szczupły blondyn o wiecznie zmierzwionej czuprynie, był wesoły jak szczygiełek. Szukaliśmy znajomych Heńka, ale po kwadransie daliśmy spokój, bo się rozmyślił.

– Eee, chyba jeszcze nikogo nie ma. Chodźcie, wypijemy trochę – powiedział swoim lekko zachrypniętym basem, rozciągając słowa.

– A pewnie. Co będziemy znajomych daleko szukać, skoro mamy dużo znajomych w siatce – powiedział Czarek zadowolony, że nie musimy już łazić.

Szybko uwinęliśmy się z jedną butelką, zostały jeszcze cztery. Piliśmy na chybcika, milcząco, aż odezwał się Heniek:

– Jak nikomu nie rozgadacie, to wam coś powiem.

– Gadaj. Co się czaisz? Przecież wiesz, że my nie z tych co chlapią ozorem – zaświergotał Czarek.

– Mam ochotę iść do tego klasztoru, zobaczyć, jak w nim się msza odprawia. Chy-

ba jest jakaś wieczorna – popatrzył na nas, chcąc wyczuć jakie to zrobiło na nas wrażenie i mówił dalej. – Nigdy jeszcze tam nie byłem. Znajomi chodzili na pielgrzymki, a mój stary jako gliniarz i partyjny mi nie pozwalał. A zresztą, być w Częstochowie i Jasnej Góry nie widzieć – nie darował bym sobie.

– Heniek. Tyś się chyba czymś w łeb walnął. Pijany na mszę pójdziesz? Pieprznięty! – skwitował Czarek.

– A tam – pijany. Trochę dziabnięty jestem, ale żeby od razu pijany to nie.

– Tak, idź, idź. A wyspowiadaj się tam, bo nagrzeszyłeś, że ho ho – docinał dalej Czarek.

– A żebyś wiedział, że pójdę – upierał się tamten.

Widząc nieszczęśliwą minę Henia i mając już dość jego ponurego towarzystwa wtrąciłem się:

– Jak chcesz, to idź. O to, że kadrze wygadamy, nie martw się. Co nas to obchodzi, gdzie kto chodzi. Tylko się zastanawiam, jak nas później znajdziesz. Bo będziemy łazić dalej.

– Oj tam! Będę szukał, aż znajdę. A jak nie znajdę, to poczekam do wpół do piątej na Jurka i już.

– Dobra, to leć, zakończyłem rozmowę.

Heniek poszedł, a właściwie pobiegł, ja zaś spytałem Czarka:

– I co dalej? Zostały nam jeszcze cztery butle gorzały. Przecież jak to wypijemy, to będziemy nabuzowani jak samoloty.

– To trzeba poszukać kogoś do towarzystwa. Dobrze, że Heniek sobie poszedł. Nie lubię facetów, którzy mają minę jak grabarz. A ty? – spytał.

– Też mnie już zaczął wkurzać. Człowiek wyszedł się rozerwać, a ten chodzi poważny jak grobowiec i milczy jak grobowiec – odparłem i stwierdziłem, że zaczynam coraz bardziej lubić Czarka. Łaziliśmy chwilę między ludźmi i namiotami bez określonego celu. W pewnej chwili Czarek się odezwał:

– Zobacz, tam pod drzewem chyba siedzą hipisi i grają na gitarze. Idziemy do nich?

– Możemy iść. Akurat dobrze, bo blisko wjazdu. Będziemy widzieli jak Wandzik podjedzie.

– To wyciągnij koszulę ze spodni i puść ją luźno. Rozepnij rękawy. Będziemy udawali luzaków. Chcesz? – Czarek błysnął pomysłem.

– Pewnie! Może w końcu coś się zacznie dziać – odpowiedziałem, pomimo iż do hipisów miałem stosunek zawsze raczej wrogi.

Nie chcąc jednak psuć Czarkowi frajdy wypuściłem tak jak on koszulę na spodnie. Rękawy też rozpiąłem, ale gdy zobaczyłem jak mi się majtają przy rękach, zawinąłem do łokci. Gdy byliśmy bliżej zobaczyłem, że pod drzewem jest rozbity namiot i siedzą przy nim trzy osoby. Około trzydziestoletni facet z długimi prostymi włosami. Brodaty. Żeby

nie był rudy, wyglądałby jak Jezus. Cały obwieszony koralikami i rzemykami, brzdąkał coś na gitarze i niezrozumiale zawodził. Obok niego siedziały dwie młode dziewczyny, podobnie poobwieszane różnymi ozdobami.

– Ta ruda mi się podoba. A ta czarna pasuje ci? – Czarek od razu wolał zrobić podział, żeby potem uniknąć nieporozumień.

– Może być – odpowiedziałem bez zbytniego entuzjazmu.

– Hej bracie, hej siostry! – krzyknął Czarek z daleka.

Dziewczyny pomachały nam rękoma. Hipis nawet nie przerwał swojego zawodzenia i brzdąkania na gitarze. Podeszliśmy i zaczęła się jak zwykle głupia gadka. A co robicie? A skąd jesteście? itd. itp. Na zaproponowaną wódkę dziewczyny przytaknęły skwapliwie. Facet natomiast dalej zawodził i brzdąkał. Dziewczyny twierdziły, że jest w transie i nie wolno mu przeszkadzać. Moim zdaniem „trans" wynikał z tej przyczyny, że facet był pod działaniem narkotyków, czyli po prostu naćpany. Byłem zadowolony z tego, że się nie odzywa. Gdybym zaczął z nim jakąś bardziej zaciekłą dyskusję, mogłoby się to zakończyć awanturą. Kiedyś już zacząłem tak dyskutować z hipisem w pociągu na temat brania narkotyków. On twierdził, że dopiero pod ich wpływem czuje się sobą i nie ma kompleksów i zahamowań. Ja natomiast tłumaczyłem mu, że te wrażenia są sztuczne i że sam siebie ogłupia i truje. Moje argumenty do niego nie trafiały. W końcu zaczął mnie wyzywać od prostaków i prymitywów. Skończyło się na tym, że dostał w zęby i w ten sposób zdechła moja tolerancja. Bałem się, że i teraz może dojść do tego.

Tutaj jednak sprawa przybrała całkiem inny obrót. Od początku Czarek zaczął tokować przed rudą. Okazało się, że ma na imię Jola, a brunetka Renata. Z początku rozmowa się nie kleiła, pomimo iż zaczynałem na różne tematy. W końcu zauważyła narośla na kościach moich dłoni, zapytała o karate i zaczęła dyskusję na temat przemocy i brutalności. No, tutaj miałem pole do popisu. Nie na darmo przegadałem z mistrzem długie godziny na ten temat. Zrobiłem Renacie mały wykład na temat przyczyn rodzenia się agresji i rozwoju brutalności wśród młodych ludzi. Gdy zacząłem jej wyjaśniać moje poglądy na temat używania siły fizycznej w różnych sytuacjach i co daje poczucie przewagi nad innymi, zauważyłem, że zaciekawiły ją moje poglądy. Jednocześnie złapałem się na tym, że moje przekonania o używaniu siły tylko wtedy, gdy nie ma już innego wyjścia, absolutnie nie zgadzają się z tym co robię ostatnio. Było to tak rozbieżne, że aż na chwilę zamyślony przestałem się odzywać. Renacie przypadło widocznie do gustu to, co mówiłem, bo zaczęła się najwyraźniej do mnie kleić. Nie byłem zbytnio w nastroju do romansowania. Miałem na jakiś czas po dziurki w nosie wszelkich amorów.

Dziewczyna, z którą chodziłem przed wojskiem, i która obiecywała solennie, że będzie na mnie czekać, od dwóch tygodni nie pisała do mnie. Wiedziałem, że wyjechała w góry i jedynym dla mnie wytłumaczeniem było to, iż ma ciekawsze zajęcia niż pisanie listów do jakiegoś palanta, który gania ludzi z pałą po ulicach. W pewnej chwili strzeliła

mi do głowy myśl, żeby na złość tamtej zacząć romansować z tą „hejową". Po krótkim zastanowieniu jednak stwierdziłem, że lepiej się będę czuł z czystym sumieniem, niż ze świadomością, że robiłem to samo co prawdopodobnie moja dziewczyna w górach. Popatrzyłem na coraz bardziej przymilną Renatę. Nieee! Jutro miałbym totalnego kaca, bo i od wódki, i moralnego, gdybym przespał się z czymś takim. Siedzące koło mnie dziewczę dużo lepiej prezentowało się z daleka niż z bliska. Tłuste, pozlepiane w strąki włosy, obłażące z lakieru i brudne paznokcie, wymięte, nie pierwszej świeżości ubranie. To na pewno nie była dziewczyna, dla której można byłoby stracić głowę. Podtrzymywałem dalej rozmowę, a Renata po kilku chwilach chyba zorientowała się, że nie mam ochoty na amory, tylko chcę po prostu pogadać z kimś i napić się wódki. Przestała mi kłaść głowę na ramieniu i głaskać po ręce, ale nadal rozmawiała ze mną przyjacielsko.

Czarek natomiast nie próżnował. Gdy tylko siedliśmy przy dziewczynach, zaczął z Jolką dyskusję na temat wolnej miłości. Ponieważ siedli trochę dalej od nas pili z jednej butelki, a my z drugiej. Musiałem się z Renatą nieźle zagadać, bo nawet nie zauważyłem, kiedy przenieśli się do namiotu. Dochodzące stamtąd odgłosy świadczyły jednoznacznie o tym, że od dyskusji przeszli do czynów. Potem chyba usnęli, bo wszystko ucichło. Renata natomiast rozgadała się. Opowiedziała mi całą historię swojego życia, którą można streścić krótko. Dziewczyna z małego miasteczka, z tzw. porządnej rodziny, niezrozumiana, dusząca się w swoim środowisku, ucieka z domu i poznaje „prawdziwe życie", wędrując z hipisami. Pomyślałem tylko, że takich jak ona co roku w wakacje są tysiące. Buntują się do końca wakacji, a potem wracają do domu, zakładają granatowe spódniczki, białe bluzeczki i pędzą na rozpoczęcie roku szkolnego. Nie powiedziałem jej tego, bo to by i tak nic nie zmieniło.

W pewnej chwili, słuchając bredzenia Renaty o wolnym życiu, zacząłem odczuwać jakiś niepokój. Czegoś mi brakowało. Po chwili zrozumiałem. To hipis przestał zawodzić i znęcać się nad gitarą. W pierwszej chwili myślałem, że usnął, ale okazało się, że nie. Podszedł do nas, przywitał się ze mną i zaczął ględzić jednym okiem zezując cały czas na butelkę z wódką. Przedstawiając się bąknął coś pod nosem, co zabrzmiało jak Kacper, Gaspar.

– Ale mi się odjechało! … Ho, ho, ho! To już trzecia. Prawie pięć godzin. Tego już dawno nie było – mówiąc seplenił.

Wlałem mu około trzech czwartych szklanki i podałem. Wydudlił to skwapliwie, nawet się nie krzywiąc, tak jakby pił wodę i zwrócił się do Renaty:

– Renka, a gdzie Jola? Bo trzeba iść coś do jedzenia skołować.

– Jolka w namiocie… z chłopakiem. Jak chcesz pójdę z tobą – odpowiedziała. Przytaknął na zgodę.

– Posiedzisz chwilę sam? To niedaleko, zaraz wrócimy, a później to nie będzie po co iść – powiedziała do mnie.

– Dobra posiedzę. A gdzie idziecie? – spytałem ciekawy gdzie o tej porze można znaleźć coś do jedzenia.

– Na ogródki działkowe, po pomidorki, ogórki, cebulę – wyseplenił tonem tak normalnym, jakby chodziło o zakupy w sklepie.

Acha – pomyślałem – to tak wygląda wolne życie. Wolne od pracy, bo po co pracować, jeśli można kraść. Ale nie odezwałem się. W ogóle byłem w jakimś kiepskim nastroju. Życie wydawało mi się brudne i wstrętne. Siedziałem skwaszony, poprawiając sobie nastrój kolejnymi porcjami wódki. W takim stanie znalazł mnie Heniek. Usiadł koło mnie i stwierdził:

– Do dupy to wszystko.

– Pewnie – przytaknąłem.

– To polej.

Polałem po pół szklanki. Wypiliśmy. Heniek pomilczał chwilę i powiedział:

– Rzygać mi się na to wszystko chce.

– Mnie też – byłem z nim zgodny co do poglądu na świat.

Popatrzył na mnie i zaczęliśmy się obaj śmiać.

– Gdzie Czarek? – spytał, gdy nam przeszło i wypiliśmy po następnej porcji wódki.

– W namiocie. Kopulował, a teraz śpi – wyjaśniłem.

– A ty? Nie było drugiej dziewczyny?

– Była, ale jakoś nie miałem nastroju.

– To i lepiej. Na hop siup, to można tylko złapać na takiej – Heniek popisał się doświadczeniem.

Siedzieliśmy potem dłuższy czas milcząc i dopijając resztę wódki. Nagle usłyszałem tupot kogoś biegnącego i za chwilę przebiegli koło nas Kacper czy też Gasper i Renata dźwigając pełne torby. Schowali się za namiotem, Renata tylko w locie krzyknęła:

– Milicja nas goni! Musieli zauważyć jak wracaliśmy!

Popatrzyliśmy po sobie z Heńkiem. Za chwilę pod bramę podjechała nyska i dwa razy zawył trill. Nawet w miarę cicho.

– Możecie się nie bać. To swoi – krzyknąłem w stronę namiotu.

– Jacy swoi? Co ty gadasz? Upiłeś się całkiem? Przecież to milicja – teatralnym szeptem zza namiotu odezwała się Renata. Nie zwracałem na to uwagi, tylko poszedłem do namiotu budzić Czarka. Ciężko to szło, bo, po pierwsze – nie chciał iść, a po drugie – za szyję trzymała go Jolka nie chcąc puścić. Oczywiście oboje byli nadzy. Dopiero z pomocą Heńka udało mi się odczepić Jolkę i wyciągnąć Czarka z namiotu. Jego ukazaniu się nago z ubraniem w ręku towarzyszył wybuch śmiechu z radiowozu. Renata z brodaczem wyjrzeli zza namiotu i wybałuszając oczy patrzyli jak wsiadamy do radiowozu. Czarek zdążył się po drodze ubrać, a przed namiot wyszła również ubrana Jolka. Ją też zamurowało. Gdy odjeżdżaliśmy, krzyknąłem do nich jeszcze:

– To hej bracie, hej siostry!

Chłopcy słysząc moje pożegnanie prychnęli śmiechem.

– Eee, widzę żeście też nie próżnowali – podsumował Krzysiek.

– Tak sobie – skwitowałem. – A wam jak poszło?

– Ekstra. Ten facet w motelu to równy gość. Załatwił pokój i nic za to nie chciał. Żeby nie ty, nie wiem co byśmy zrobili.

– A jak dziewczyny? – spytał Czarek.

– W porządku. Tylko nad ranem wybuchła awantura. Na początku było fajnie. Kąpiel i do łóżka, a potem za dużo wypiły i zaczęły się mazać.

– To ryczały po, a nie przed? Dlaczego? – spytał Czarek zdziwiony taką kolejnością.

– Bo jak sobie popiły, to zaczęły lamentować, że do Częstochowy przyjechały się pomodlić. A tu pierwszy dzień i już się puściły. I to na dokładkę z zomowcami. I stąd całe wycie – wyjaśnił Wandzik.

– A skąd wiedziały, że z zomowcami? – spytałem.

– Krzysiek chlapnął niechcący.

– I co, zostawiliście je tam? – zainteresowałem się.

– Na razie tak, ale nie martw się. W południe je stamtąd wygonią. Zresztą pokój jest zarezerwowany tylko do dwunastej. Niech się prześpią, a później spieprzają. One myślą, że jak z nami poszły do łóżka, to im na cały tydzień ten pokój załatwiliśmy – poinformował Wandzik ze śmiechem.

– To się trochę zdziwią – podsumował Czarek i huknął w plecy Heńka pytając:

– I jak tam, Heniu! Byłeś u spowiedzi?

– Chuj z taką spowiedzią – burknął Heniek.

– A co się stało? Do klasztoru cię poniosło? Do spowiedzi? – dziwił się Krzysiek.

– Aaa, tak mi odbiło. Ale więcej nie pójdę – padła odpowiedź.

– Czemu? – spytałem zaciekawiony tym stwierdzeniem.

– Bo jak zacząłem spowiedź i powiedziałem w jakiej jednostce służę, znaczy się, że w ZOMO, to mi ksiądz uciekł – odpowiedział.

Zatkało mnie normalnie. Chłopcy też popatrzyli na Heńka zdumieni.

– Jak to ci uciekł? Co ty pieprzysz? – pytał Czarek.

– No normalnie. Powiedział, że za chwilę wróci i jak wypadł z konfesjonału, to nawet drzwiczek za sobą nie zamknął. A ja jeszcze z pół godziny klęczałem przy tym cholernym kiosku jak idiota i wszyscy się na mnie gapili – wywarczał Henio.

Po chwili ciszy ryknęliśmy takim śmiechem, aż łzy nam z oczu pociekły. Jurek zatrzymał samochód, bo musiał się najpierw wyśmiać, żeby móc dalej prowadzić.

– Spowiednik mu spierdolił! Nawet konfesjonału nie zamknął, tylko dał drapaka! – zaśmiewał się Czarek. Nagle spoważniał i niby usprawiedliwiając księdza powiedział:

– Wiesz, Heniu! Ja mu się wcale nie dziwię. Zachodzi do niego facet z zakazaną mordą i jeszcze mówi, że jest z ZOMO. Biedny księżulo nerwowo nie wytrzymał. Myślał, że może sam diabeł po niego przyszedł. No i dał dyla.

– Odpierdol się – odburknął Henio.

– Heniu, a może jutro w masce jakiejś idź i nie mów, że jesteś z ZOMO, to cię wysłucha. Co? – ciągnął Czarek.

– Dostaniesz zaraz w ten pusty łeb! Zobaczysz! – zagroził Heniek, ale w głosie słychać było, że nie jest to groźba brana poważnie. Zresztą zaraz odezwał się do wszystkich:

– Chłopaki, ale nie rozpowiadajcie o tym nikomu. Dobra?

– Chyba się wie samo przez się. Przecież by ci nieźle dali w dupę w jednostce, gdyby się kadra dowiedziała. Ale nie bój się, tu nikt pary z gęby nie puści.

Po umyciu się i zjedzeniu śniadania poczuliśmy się znacznie lepiej, chociaż wódka nadal szumiała nam w głowach. Nie było jednak czasu na trzeźwienie, tylko trzeba było wyjeżdżać w swoje rejony. O dziwo, na wyjazd zjawił się Borowiec. Świeżutki, wypachniony, tryskający humorem, na lekkim rauszu. Co znaczy wprawa i rutyna! Trzy razy dziennie trzeźwieje, nie śpi, a rano przychodzi cały rozkoszny i wygląda jak abstynent, który przed chwilą wypił pięćdziesiąt gram koniaku.

Popatrzył na nas i spytał:

– Poszaleliście trochę? – i nie czekając na odpowiedź. – To dobrze. Czasami tak trzeba. Tylko dzisiaj trzymać się, żeby was ktoś z częstochowiaków nie nakrył na spaniu. Nie mówię żebyście nie spali, ale urządźcie to tak, żeby was nikt nie złapał.

* * *

Okazało się jednak, że przynajmniej na moim punkcie o złapaniu mnie przez kontrolnych z WUSW-u w Częstochowie na spaniu nie ma nawet mowy. Pan Franio pomógł mi szybko pozbyć się kaca. Potem dwie wypite kawy całkiem postawiły mnie na nogi. Wiedziałem, że kontrolni najczęściej lubią jeździć około 10.00-11.00, jak już się rozejrzą w papierach. Wtedy nachodzi ich ochota do wyjazdu w teren i jednocześnie na piwo. Postanowiłem więc do południa, lub przynajmniej do wizyty kontrolnych nie spać, a położyć się dopiero później. Wyszedłem z moim „dzielnym" parkingowym z hotelu, zastanawiając się co robić do dwunastej, żeby nie umrzeć z nudów. Już wcześniej poinformował mnie konfidencjonalnym szeptem, że dziewczyny są jeszcze na górze, ale niedługo je wygonią. Teraz znowu jak zwykle, gdy miał jakąś prośbę, sapał, kręcił obcasem kółka na chodniku i mruczał pod nosem. Żeby skrócić mu męczarnie, sam spytałem:

– O co chodzi, panie Franku? Wal pan śmiało!

– To już powiem. Widzisz pan, podobało mi się jak żeś pan wczoraj trochę tych kierowców pokontrolował. A dzisiaj pewnie się panu nie chce?

– Dlaczego nie? Do południa i tak muszę stać przy skrzyżowaniu, bo może przyjechać kontrolny. To mogę wziąć się za samochody.

– Oj! To dobrze! Bo widzisz pan, jak się kontroluje tutaj, to siolaraki zaczynają jeździć inną drogą i nie wjeżdżają mnie tu na parking. A tak to nastawiają wozów przed wejściem pielgrzymki i później nie idzie ich wygonić. No i wiesz pan, parking przez sobotę, niedzielę zajęty i zarobku nie ma. A jak się ich płoszy przez kilka dni, to omijają i żaden miejscowy się nie odważy przyjechać i jest dobrze.

Niewątpliwie wywody pana Franka były słuszne. Poszedłem więc na to samo miejsce, gdzie poprzedniego dnia sprzedawałem mandaty i zacząłem zabawę. Nie miałem tym razem bloczka, bo Kobuz w nocy sprzedał wszystko. Tak samo nie mieliśmy pokwitowań na prawa jazdy i dowody rejestracyjne, w które wyposażony jest zawsze każdy milicjant zawodowy. Niemniej miałem lizak, białą czapkę, co wystarczyło, moim zdaniem, żeby narobić paniki wśród miejscowych kierowców. Celowo zacząłem zatrzymywać tylko wozy z częstochowską rejestracją. Już czwarty kontrolowany miał pecha, bo zapomniał wziąć ze sobą dowodu rejestracyjnego. Pomimo jego próśb i zapewnień, że samochód stanowi jego własność, nie ustąpiłem i żuk powędrował na pobocze, kluczyki i prawo jazdy do mojej kieszeni, a kierowca pieszo do postoju taxi, żeby przywieźć z domu dowód. Większość moich rozmów z kierowcami tego dnia opierała się na straszeniu, że za chwilę będzie mandat lub zatrzymany dowód rejestracyjny. Dopiero po kilku minutach bawienia się nerwami pechowego szofera robiłem „wielką łaskę" i puszczałem go wolno. W trakcie takiej zabawy wpadł mi do głowy pomysł, że przecież zamiast ich puszczać wolno, gdy samochód był ewidentnie niesprawny, mogę pobawić się dłużej, doprowadzając do tego, że zaczną się domyślać, iż chcę łapówkę. Zacząłem próbować. Pierwszy, wiozący trzy osoby w kabinie stara okazał się tępy i pomimo że aż się spocił od próśb, nie zaproponował nic. Musiał więc wysadzić dwóch wiezionych kolegów i dopiero wtedy go puściłem, a wysadzeni mężczyźni poczłapali na piechotę w kierunku centrum. Później zatrzymałem kilku, do których nie było o co się przyczepić i wreszcie trafił się kierowca syreny pick--up, który co prawda miał samochód sprawny, ale data ważności badań technicznych minęła pół roku temu. Ten długo nie myślał, tylko stwierdził:

– Panie władzo! Jak mi pan zabierze dowód rejestracyjny, to ja go za miesiąc dopiero wyrwę z wydziału komunikacji. Mam gospodarstwo ogrodnicze i muszę towar wozić na rynek. – Rzeczywiście miał w samochodzie skrzynki z jakimś zielskiem. – Masz pan tysiąc złotych i puść mnie pan, a jak tylko będę miał chwilę czasu, to badania zrobię.

Mówiąc to położył mi dyskretnie pieniądze na notatniku. Odruchowo jakoś zamknąłem notatnik i schowałem go do kieszeni. Tak byłem stremowany, że dałem radę tylko wyjąkać:

– Jedź pan.

Gdy zadowolony odjechał, zaraz zaczęły się obiekcje i kołomyja myśli. A jak pojedzie do WUSW-u i złoży skargę? Tak, tak, jego uniewinnią, bo zgłosił, a ja beknę! Nagle przypomniałem sobie zasłyszaną gdzieś radę, że pieniądze z łapówki trzeba jak najszybciej

rozmienić, gdyż facet mógł mieć spisany numer banknotu i może udowodnić, że łapówkę dał. Oczywiście, jeśli ten banknot znajdą przy mnie. Prawie biegiem popędziłem do baru do pani Marty. Wewnątrz siedział pan Franio i popijał kawę. Gdy usłyszał, że rozmieniam tysiąc złotych zaciekawił się:

– A co pan, panie władzo, kupuje coś, że drobne potrzebne?

– Nie! Po prostu nie lubię grubych – odburknąłem.

– Aha!

To jego „aha" było takie, że od razu wiedziałem, iż odgadł o co naprawdę chodzi. Ten facet był tak domyślny i tak znający życie, że zaczynało mnie to złościć. Czy przed nim, do cholery, nic się nie da ukryć?

Gdy wychodziłem z baru, musiałem szybko cofnąć się, gdyż przy recepcji w hotelu awanturowały się obie wczorajsze oblubienice Wandzika i Krzyśka. Kłótnia dobiegała już końca, a mnie nie uśmiechało się tłumaczenie im dlaczego Jurek zapłacił tylko za jedną dobę, a nie tak jak obiecał za cały tydzień. Schowałem się w kąciku baru i wypiłem sobie przy okazji trzecią kawę, gdyż zaczął mnie morzyć sen. Pan Franio cały czas stał w drzwiach i patrzył co się dzieje. Po chwili wrócił i zameldował:

– Polazły już. Ale cholery uparte. Straszyły recepcjonistkę, że wrócą ze swoimi chłopakami, którzy pracują w milicji, i wszystko się wyjaśni, a ona pójdzie siedzieć za oszukaństwo. Dopiero jak im pokazała kartę meldunkową, to uwierzyły i poszły.

Zebrałem się i ja. Ledwo doszedłem do skrzyżowania, gdy podjechał milicyjny polonez. Wysiadł z niego kapitan z biało-czerwoną opaską na rękawie. Acha! Służba dyżurna, czyli kontrolny. Pomyślałem od razu, że ładnie bym wyglądał, gdyby przyjechał dziesięć minut wcześniej. Pięknie zasalutowałem i zameldowałem się prężąc jak struna. Dał mi komendę „spocznij! „, i zaczął:

– I co u was słychać szeregowy?

– Nic szczególnego, towarzyszu kapitanie – odparłem. – Trochę robię kontrole pojazdów, ale tak to nudy.

– Pokażcie no notatnik – zażyczył sobie, ale od razu wiedziałem, że trafiłem go tym „towarzyszu".

– No proszę, jedenaście kontroli pojazdów. Pouczenia.

Bardzo ładnie – mówił kapitan przeglądając kartki, aż nagle zmarszczył brwi i oburzony spytał:

– A ten kierowca stara z dwoma nadprogramowymi w kabinie. Czemu tylko pouczenie? Trzeba było przywalić mandatem.

– Nie mam mandatów, towarzyszu kapitanie. Mnie oddelegowali z ZOMO do ruchu drogowego tylko na czas wyjazdu. A nam nie wolno mieć mandatów – odpowiedziałem.

– A racja. Mówił mi naczelnik, że Katowice dały dziesięciu takich. No, ale przynajmniej widać, że się staracie – zaczął czytać notatnik. – No proszę, przynajmniej dwóch

poszło na piechotę, a kierowca strachu się najadł. A ten z żuka nie pokazał się jeszcze? – pytał dalej.

– Nie, towarzyszu kapitanie. Żuk tam stoi, a kluczyki i prawo jazdy kierowcy ja mam – odparłem pokazując na zaparkowany na poboczu samochód.

– To wiecie co, ja sobie tutaj postoję chwilę, może on niedługo przyjdzie, to przy okazji rąbnę mu mandat. Trochę wam pomogę. – Wpisał mi w notatniku, że mnie kontrolował, dodając zapis „służba pełniona wzorowo", usadowił się w samochodzie, a do mnie krzyknął: – Nie przeszkadzajcie sobie szeregowy. Róbcie swoje.

A żeby cię cholera jasna wzięła, pieprzony służbisto, razem z twoją pomocą – pomyślałem sobie. Jeśli ten ślimak z żuka nie przylezie szybko, to ten gotów stać tu pół dnia i jeszcze będzie przekonany święcie, że pomaga młodszemu koledze. Podszedłem do jezdni z zamysłem, że zacznę kontrolować dalej, bo przecież mój „pomocny" kapitan się przygląda. Pierwsze dwie kontrole były na pusto, pomimo moich usilnych starań, żeby coś znaleźć. W trakcie kontroli trzeciego samochodu (też na pusto) obejrzałem się. Kapitan wyciągnął kanapkę i jadł w najlepsze. No tak, taki nie zje drugiego śniadania w swoim pokoju służbowym, bo co sobie szef o nim pomyśli. Do baru w mundurze też zjeść nie pójdzie, bo go ktoś zobaczy i doniesie szefowi. Wsuwa te kanapki na sucho, a potem się dziwi, że w wieku czterdziestu lat ma wrzody i robi się z niego znerwicowany dziad.

Następny kontrolowany kierowca dużego fiata wpadł jak przysłowiowa śliwka w kompot. Nieaktualny dowód rejestracyjny, nieszczelny układ wydechowy (dziurawy tłumik) i na dokładkę tablice rejestracyjne pordzewiałe i obłezione z farby do tego stopnia, że nawet przy najlepszych chęciach trudno było odczytać numer. Po stwierdzeniu tego wszystkiego, odwróciłem się w kierunku kapitana. Oczywiście! Tylko na to czekał! Wyskoczył z samochodu, założył czapkę, poprawił mundur i dostojnie, z rękoma założonymi do tyłu przymaszerował do samochodu. No, teraz będzie lekcja poglądowa pt. „Rozmowa z kierowcą". Tylko z Gołasem, Kobuszewskim i kabaretem „Dudek" niewiele będzie miała wspólnego.

– Dzień dobry! – kapitan zasalutował pięknie. – Jakieś problemy?

– Melduję, towarzyszu kapitanie, że ten pojazd nie nadaje się do kontynuowania jazdy: niesprawny układ wydechowy, praktycznie brak tablic rejestracyjnych, brak aktualnego dopuszczenia do ruchu – zameldowałem.

Kapitan obszedł samochód naokoło, kazał kierowcy uruchomić silnik i jeszcze szybciej kazał mu go zgasić, sprawdził wszystkie światła (o dziwo, działały) , zajrzał pod spód samochodu, pokręcił kierownicą, zaciągnął ręczny hamulec i kazał mi popchnąć samochód (oczywiście, ręczny hamulec nie trzymał) i mentorskim tonem zaczął:

– Do waszych spostrzeżeń, szeregowy, dodam jeszcze wyciek oleju z silnika, luz w układzie kierowniczym i niesprawny hamulec ręczny. A do obywatela kierowcy – to

ostatnie wypowiedział z takim sarkazmem, jakby mówił o czymś wstrętnym – mam jedno pytanie. Czy obywatel oszalał? – ryknął znienacka, aż biedny chłopak wtulił głowę w ramiona. – Takim samochodem wyjeżdżać w miasto? Przecież to czyste samobójstwo! Albo sam się chłopie zabijesz, albo komuś krzywdy narobisz! – ryczał dalej, a kierowca przerażony mrugał tylko oczami.

Kapitan zamilkł na chwilę i stał poczerwieniały na twarzy, sapiąc. Uspokoił się i już normalnie zapytał:

– Co ma obywatel na swoje usprawiedliwienie?

– Panie władzo..., bo wie pan jak to jest. Póki jeździ, to jeździ. A jak stanie, to się wtedy remontuje. Dzisiaj postawię go na warsztat i to się wszystko porobi. Nie będę już jeździł – prosząco zagadał kierowca.

– Że obywatel nie będzie jeździł, to i tak wiadomo, bo zostanie mu zatrzymany dowód rejestracyjny. Ja pytam, co obywatel ma na swoje usprawiedliwienie?

– A co tu gadać – wymruczał zrezygnowany kierowca.

– Acha, krótko mówiąc – nic. Wobec tego informuję was, obywatelu, że za powyższe wykroczenia zostanie sporządzony wniosek o ukaranie was przez kolegium do spraw wykroczeń. Oczywiście, dopilnuję, aby kara była taka, żeby wam się raz na zawsze odechciało jeżdżenia tak niesprawnym samochodem – padła decyzja kapitana.

– Panie władzo, po co aż kolegium? Nie można by tak mandat? – próbował coś wytargować pechowiec.

– Nie ma mandatu takiej wysokości, żeby was ukarać. Musiałbym dla was, obywatelu, chyba cały bloczek wyrwać, a i to byłoby mało. Kolegium i koniec. Poczekajcie tu chwilę, wypiszę wam tylko pokwitowanie na dowód rejestracyjny – zakończył dyskusję kapitan i poszedł do swojego samochodu.

Gdy fiat odjechał, kapitan zaczął wykład:

– Widzicie, szeregowy, jak już bierzecie się za kontrolę trzeba wszystko sprawdzić. Po co ma się taki później cieszyć, że udało mu się, bo milicjant nie zauważył? Ale wy się dopiero uczycie, nic się nie stało, tylko na przyszłość sobie zapamiętajcie. Dokładnie sprawdzać.

To ostatnie zdanie wypowiedział powoli i dobitnie, jakby chciał mi je zakodować w mózgu. Gadał coś tam jeszcze, ale już go prawie nie słuchałem. Na całe szczęście przyszedł kierowca żuka z dowodem rejestracyjnym. Kapitan poznęcał się trochę nad nim, ukarał i pojechał sobie. Ja natomiast powędrowałem do hotelu zjeść obiad. Do końca służby praktycznie gadałem z panią Martą o wszystkim i o niczym. Za kontrolę już się nie brałem, bo po wizycie kontrolnego odechciało mi się wszystkiego. Nawet spać. Około trzeciej przez radiostację wywołał mnie Borowiec, spytał jak kontrola u mnie wypadła. Ucieszył się, że dobrze. U nich kontrolny też był i nie udało mu się przyłapać nikogo na jakichś niedociągnięciach. Gdy zjeżdżaliśmy do bazy, Borowiec zakomunikował nam:

– Od dzisiaj, jeśli przyjedzie kontrolny, macie mu nie dawać notatników do wpisu, ani słuchać jego poleceń. Podlegacie tylko mnie. Jak będzie ktoś chciał was kontrolować, ma przyjechać po mnie i dopiero razem ze mną jechać na kontrolę. Powiedziałem dzisiaj temu dupkowi, niech sobie swoich kontroluje, a od pilnowania was to jestem ja. Znalazł sobie obcych do pilnowania i myśli, że się wykaże. Z miejscowymi woli nie zadzierać i chce się wykazać na was. Zawsze na wyjazdach tak jest.

Mówił to spokojnie, ale widać było, że musiał go ten kapitan wkurzyć.

Tej nocy zostałem w internacie, bo nie chciało mi się jechać z chłopakami, którzy oczywiście wyruszyli na nocne „podboje". Tym razem nie wyglądali już jednakowo, gdyż po drodze do bazy kupiliśmy sobie koszule i bluzki. Pojechałem następnego dnia, ale od razu odłączyłem się, żeby samemu połazić po mieście i przyjrzeć się lepiej klasztorowi. Na placu przed klasztorem kręciło się sporo ludzi, a przy parku stały kramy z różnymi świecidełkami, medalikami, łańcuszkami itp. W jednym z kramów właściciel, gdy oglądałem jego towar w pewnej chwili wyjął szufladę i spytał:

– A może coś z tego pan chce? – zachęcał.

Spojrzałem i ze zdziwieniem zobaczyłem, że szuflada jest pełna znaczków z napisem „Solidarność" lub z portretem Wałęsy, metalowych orzełków z koroną, jakichś ulotek itp. Podziękowałem i szuflada natychmiast zniknęła pod spodem. Oglądając medaliki przypomniałem, sobie co na ich temat mówiła mi pani Marta. Otóż pomysłowi częstochowiacy robili je przekuwając dziesięciogroszówki zrobione z miękkiego stopu i niklu. Podobno niektórzy opracowali metodę przekuwania złotówek zrobionych również z takiego samego stopu. Według pani Marty, z jednej złotówki wychodziły cztery medaliki z wizerunkiem Matki Boskiej i zostawało jeszcze materiału na nieduży krzyżyk. Powiedziałem, że wiele ryzykują ludzie w ten sposób, bo ktoś może zrobić im sprawę za niszczenie monet. Odpowiedziała mi, że nie tylko dlatego przekuwają tak, bo jest taniej, ale także dlatego, że nie chcą producentom dawać przydziału surowca na produkcję medalików. Przez tę walkę partii z religijnością Polaków na pół roku przed pielgrzymką sklepowe w Częstochowie nie mają jak wydawać reszty, bo cały bilon znika.

Poszedłem do klasztoru, ale niewiele zobaczyłem, bo o tej porze wszystko już było pozamykane. Wsiadłem więc do autobusu jadącego w kierunku internatu, gdzie kwaterowaliśmy. W trakcie jazdy przysłuchiwałem się rozmowie dwóch starszych kobiet siedzących przede mną. Jedna akurat zaczęła narzekać:

– Trzeba zrobić zakupy na parę dni. Oblężenie się zaczyna. Znowu naokoło klasztoru wszystkie krzaki, bramy i klatki będą zaszczane i zasrane i nic kupić nie będzie można – gderała.

– Oj tak. Mieszkać blisko Jasnej Góry to koszmar jak pielgrzymki wchodzą. A i dalej jest niewiele lepiej. Przez te parę dni znowu ani chleba, ani mleka nie będzie można dostać. A kolejki wszędzie! – poparła ją druga.

– Ale niektórzy na nich pieniądze zrobią. Wszelkie knajpy, bary aż w szwach pękają… – zamyśliła się na chwilę i zaraz kontynuowała. – Wie pani, przy polu namiotowym mieszka moja znajoma. Dwa lata temu całe wiadro przy studni jej pogięli jak wodę zaczęli brać. Nowe wiadro. A na koniec i to pogięte ktoś ukradł. To w zeszłym roku mąż tej mojej znajomej obudował studnię i zamknął na kłódkę, jak miały wchodzić pielgrzymki. Ona sobie siadła na ławce i jak ktoś chciał wody musiał dwadzieścia złotych dać, albo i więcej, żeby studnię otworzyła. Nie uwierzy pani, ale prawie dwa tysiące złotych uzbierała na tym otwieraniu. Taka sprytna.

Dalej już nie słuchałem tej interesującej dyskusji dwóch na pewno bogobojnych i biegających często do kościoła matron, gdyż musiałem wysiadać. Szkoda mi trochę było, bo chętnie posłuchałbym jeszcze rewelacji na temat gościnnego przyjmowania pielgrzymów przez mieszkańców Częstochowy. Ubawiły mnie te staruszki.

W internacie czekała mnie rewelacja. Nysa Wandzika stała na parkingu, a chłopcy intensywnie moczyli głowy pod kranem i żłopali kawę. Krótko mówiąc, starali się jak najszybciej wytrzeźwieć. Borowiec chodził po korytarzu poddenerwowany, ale niezbyt się przejmował, bo pocieszał chłopaków i chyba sam siebie.

– Dobra! Co się przejmujecie! Jakoś się załatwi. Najwyżej gorzały postawimy, żeby nas nie podpieprzyli i już.

W międzyczasie Wandzik wyjaśnił mi co się stało.

– Stanęliśmy samochodem za hotelem. Za „Patrią". I tam czekaliśmy na dziewczyny, bo wczoraj było umówione, że o 20-tej przyjdą. Jak czekaliśmy, to podjechał z tyłu polonez na cywilnych numerach. Wylazło z niego dwóch facetów „po cywilnemu". Jeden pokazał mi legitymację. Patrzę esbek. Chciał, żebym mu podał nasze nazwiska i z jakiej jednostki jesteśmy. Niewiele myśląc odpaliłem maszynę i rura. Na co miałem czekać? Chłopaki już najebani. Wszyscy po „cywilnemu". To ja chodu. Wyskoczyłem na Aleję, patrzę – gonią za nami. To w uliczki i jak zacząłem plątać, to ich zgubiłem, ale później nie bardzo wiedziałem jak wyjechać. Na niewiele to się zdało, bo na pewno zapisali mój numer rejestracyjny i niedługo tu przyjadą. Tyle tylko, że w razie draki chłopcy będą trzeźwi i na terenie koszar.

Przewidywania Jurka sprawdziły się jedynie w części. Esbecy przyjechali, ale nie tak szybko jak przypuszczał. Widocznie w pielgrzymkowym mętliku, gdy do Częstochowy zjechało sporo milicjantów z różnych miast, trudno było ustalić, kto jakie ma pojazdy. Było już około dwudziestej trzeciej, gdy pod internat zajechał polonez, na widok którego Wandzik krzyknął:

– Są skurwysyny!

Oczywiście nikt z nas nie spał i wszyscy obserwowaliśmy wysiadanie z samochodu czterech panów w garniturach. Borowiec skwitował ich przyjazd:

– Lepiej, że przyjechali. Będzie można próbować się dogadać. Gorzej byłoby, gdyby

tylko napisali raport i dali spokój. Wtedy mimo najlepszych chęci Częstochowa musiałaby zawiadomić naszą jednostkę i dostalibyśmy od starego po uszach – tłumaczył nam.

Gdy bezpieczniacy zaczęli dopytywać się o dowódcę grupy z Katowic, Borowiec zaprosił ich do swojego pokoju i musieliśmy dobry kwadrans czekać zanim wyszedł. Widać było od razu, że nie jest dobrze, bo minę miał niewesołą.

– Cholera jasna, nie idzie z nimi się dogadać. Cały czas tylko powtarzają w kółko, żeby podać im nazwiska tych, którzy byli w tej nysie. Pieprzą, że od dwóch dni mieli już sygnały o jakichś cywilach, którzy jeżdżą pijani milicyjną nysą. I dzisiaj podobno specjalnie jeździli i szukali. Pieprzą bzdury. Jakby chcieli, to by was w sekundę znaleźli.

– Dowódco, a może oni forsy chcą? – zaryzykował Henio.

– E tam forsy. Proponowałem im już porządną kolację z wódą i dziewczynami. Jak odmówili, to zaproponowałem, że dam im pieniądze, żeby sami się zabawili.

– I co? Nic? – spytał Wandzik.

– A gdzie tam! Pieprzą tylko jakieś farmazony, że oni też muszą się wykazać jakimiś wynikami w pracy, na szukanie nyski zmarnowali cały dzień i co oni powiedzą swojemu naczelnikowi. I takie tam dyrdymały. – Borowiec wyglądał na szczerze zmartwionego.

Podziwiałem tego człowieka. Nie padło ani jedno słowo pretensji do chłopaków. A przecież jasne było, że on najbardziej może oberwać po uszach za brak nadzoru. Chłopaki najwyżej nie pojadą do domu przez parę tygodni i polatają z plecakami. Borowcowi na pewno przejadą się po dodatkach do pensji, a na jakiekolwiek premie przez najbliższy czas nie ma co liczyć. A ostatecznie to nie on pojechał na dupy. Gdy tak przyglądałem się jego zatroskanej minie, olśniła mnie pewna myśl. Podszedłem do Borowca.

– A jak byśmy im podrzucili jakiś niezły wynik, to daliby spokój? – spytałem.

– Myślę, że tak. Tylko co im podrzucisz? Masz jakiś pomysł? – porucznik dalej był zrezygnowany i zmartwiony.

– Wiem, gdzie sprzedają znaczki z wizerunkiem Wałęsy, z napisem „Solidarność", orzełki z koroną, jakieś broszurki – powiedziałem nie bez satysfakcji.

– Chłopie! Naprawdę? Bomba! Chodź ze mną – nasz dowódca od razu nabrał życia. – Tylko nie mów im od razu gdzie to jest. Potargujemy się trochę.

Esbecy też wyraźnie się ożywili, gdy Borowiec przedstawił im moją propozycję. Przyjrzałem się im bliżej. Ot, tacy sami faceci jak inni. Raziło jedynie to, że byli bardzo pewni siebie i traktowali Borowca z góry. No cóż, w tej sytuacji mieli nas w ręku. Po krótkich targach stanęło na tym, że jutro po służbie przebiorę się w ubranie cywilne i pokażę im tego faceta, który spod lady sprzedaje strasznie wrogie ustrojowi rzeczy. (To ostatnie określenie było ich. Nie moje) . Oni w zamian nie będą pisać raportu. Oczywiście, zagrozili, że jeśli okaże się, że to wszystko lipa, to tak nas obsmarują, że w jednostce dowódca nam głowy pourywa. Wódki jednak dalej pić nie chcieli, tylko próbowali ze mnie wyciągnąć, gdzie jest stragan ze znaczkami. Musiałem im jeszcze raz opisać jak

wyglądają te znaczki. Nic bliższego jednak o tym, gdzie i jak są sprzedawane nie dowiedzieli się. Borowiec w końcu przerwał tę rozmowę:

– Panowie, dajcie spokój? Chłopakowi nie kazałem nic mówić. Wy pojedziecie, napiszecie na nas raport, a jutro będziecie mieli wynik. Poczekajcie, jutro po południu zadzwonię do Katowic i dowiem się czy nic na nas nie namalowaliście. Wtedy dopiero chłopak pojedzie z wami.

Na tym w końcu stanęło. Bezpieczniki – jak ich nazywał Borowiec – pojechali, a my poszliśmy uspokojeni spać. Następnego dnia byłem bardzo zajęty. Ledwie się wyrobiłem, żeby wpaść do pani Marty i zjeść obiad. Był to już piątek i zaczęły przyjeżdżać samochody, które wiozły bagaże pielgrzymów. Pan Franio oczywiście realizował swój plan i o godzinie dziesiątej wianek naokoło parkingu był ustawiony i z zewnątrz rzeczywiście parking wyglądał na pełny.

Przez cały dzień ktoś mi w kółko zawracał głowę. A to przyjechał Borowiec i przykazał, że mam być przez cały dzień przy skrzyżowaniu, aby udzielać informacji tym, którzy pogubili się w Częstochowie. Wyglądało to cudacznie, bo gdy ktoś mnie pytał o jakąś ulicę, to najpierw wyciągałem plan miasta, sam ją znajdywałem i wówczas dopiero tłumaczyłem kierowcy jak dojechać. Nieraz trwało dziesięć minut zanim znaleźliśmy wspólnymi siłami potrzebną ulicę i najlepszy dojazd do niej. Potem prawie pół godziny toczyłem spór z kierowcą kamaza, który uparł się, że będzie parkował na poboczu uliczki dojazdowej do parkingu. Trwało to aż pół godziny, zawołałem przez nadajnik Borowca do pomocy. Nie mógł sam przyjechać, bo gdzieś tam zrobił się korek, ale skontaktował się z dyżurnym w RUSW i po dwudziestu minutach przyjechał do mnie motorem sierżant z ruchu drogowego. Najpierw zapytał o co chodzi. Kierowca próbował się wtrącić, ale kazał mu się zamknąć. Po wysłuchaniu mojej wersji bez ceregieli wlepił kierowcy mandat za tamowanie ruchu i pogonił z uliczki. Mnie facet nie chciał słuchać, gdyż twierdził, że jestem z jakiejś szkółki, a on nie będzie słuchał jakiegoś niedouczonego gliniarza. Sierżant rzucił mi na pożegnanie:

– Nie pierdol się z nimi, bo ci na głowę wejdą. Jak skacze, to mu zabierz prawo jazdy i złóż wniosek o kontrolny egzamin z przepisów. Za niestosowanie się do poleceń milicjanta dotyczących zachowania bezpieczeństwa w ruchu drogowym. To zawsze możesz. Od nas chłopaki egzaminują, to go przeszkolą. Jak za trzecim podejściem zda, to będzie miał farta. Mówię ci jeszcze raz. Nie pierdol się z nimi. Śmiało chłopie – pomachał ręką na pożegnanie i pojechał.

Tego dnia nie miałem już możliwości zastosowania jego rad, ale w sobotę, niedzielę i w dalszej pracy przydały się. Około piętnastej przyjechali do mnie esbecy, żeby upewnić się, że pojadę z nimi. Znowu próbowali mnie ciągnąć za język i straszyli, że jeśli to, co mówiliśmy okaże się nieprawdą, to będziemy biedni. W końcu pojechali, a ja zacząłem się martwić co będzie jak facet nie przyjdzie pod klasztor, bo na przykład nie będzie

mu się chciało, albo będzie bał się handlować. Tak martwiłem się aż do osiemnastej.

W końcu pan Franio poprawił mi trochę humor, bo przyniósł sześć tysięcy złotych i dał jako mój udział w zysku.

– Dobrze idzie, panie władzo, a jutro będzie jeszcze lepiej – podsumował zadowolony.

Popatrzyłem na pieniądze. Tyle zarabiała moja matka na miesiąc, a ja w ZOMO miałem osiem i pół tysiąca. Na dokładkę wiedziałem, że pan Franio nie dał mi całej mojej doli, tylko orżnął mnie przynajmniej na trzy tysiące. A niech mu tam będzie. Gdyby nie on, nic bym nie zarobił i jeszcze wpieprzałbym kanapki z suchego prowiantu, a nie jadł obiadki u pani Marty. Udawałem, że wszystko jest w porządku.

Po powrocie do internatu przebrałem się w cywilną koszulę i prawie nie czekałem, bo esbecy stawili się punktualnie. Borowiec przekazał mi, że na razie do naszej jednostki skarga nie wpłynęła, więc mogę jechać.

Gdy wsiadałem, zauważyłem, że esbecy są najwyraźniej podnieceni i niecierpliwie czekają na efekty wyjazdu.

– Zechcecie panowie od razu go zatrzymać? Czy jak? – spytałem.

– Pójdziesz kupić jeden znaczek z tym prosiakiem Wałęsą, a resztę już my zrobimy. Weź broszurkę. Masz tu pięćset złotych – burknął jeden z nich podając mi banknot.

– Mam pieniądze! – odparłem głupio, unosząc się honorem, ale wkurzyło mnie ich wielkopaństwo.

– No bierz, bierz. To i tak służbowe. Nie bądź frajer. Co będziesz swoje wydawał? – odezwał się drugi z nich pojednawczym tonem.

Wziąłem, bo miał rację. Oni na takie cele dostają pieniądze. Głupotą byłoby wydawać swoje. Jednocześnie pomyślałem sobie: jaką kwotę zapiszą w koszty tej akcji. Pewnie pięćset złotych, tylko kilkakrotnie pomnożone.

Dość szybko odnalazłem właściwy stragan. Najpierw poprosiłem o karabińczyk do przypinania kluczy, potem o rzemyk. Po chwili oddałem sprzedawcy oba przedmioty. W końcu facet widząc, że dalej gapię się na stragan i nie odchodzę zareagował tak jak myślałem.

– Może potrzeba coś ekstra? – spytał domyślnie i wyjął szufladę z taką samą zawartością jak poprzednio. Wybrałem oczywiście znaczek z Wałęsą i z wahaniem sięgnąłem po broszurkę.

– Bierz chłopcze. To za darmo – z uśmiechem zachęcił sprzedawca.

Wziąłem. Szybko schowałem „zakupy" do kieszeni. Odszedłem w kierunku klasztoru, ale zaraz skręciłem w bok i szybkim krokiem poszedłem pod hotel. Oddałem bezpiecznikom to, co kupiłem i resztę z pieniędzy, które mi dali.

– Resztę sobie schowaj – powiedział jeden z nich.

Pozostali dwaj zajęci byli przeglądaniem broszurki. Na znaczek z Wałęsą ledwie rzucili okiem. Widocznie widzieli już takich sporo.

– To co? Który z panów teraz ze mną pójdzie? To mu pokażę ten kram – rzuciłem.

W odpowiedzi uśmiechnęli się, spoglądając porozumiewawczo po sobie.

– Czy myślisz, że tam poszedłeś bez ogona? Chłopie! Ten facet już ma taką opiekę, że Jezus w Betlejem lepszej nie miał. Same anioły stróże, wszyscy niewidzialni – odpowiedzieli ze śmiechem.

Nagle najstarszy z nich, chyba szef, spoważniał:

– Nie byliśmy pewni, czy go nie spłoszysz albo nie zechcesz ostrzec i potem udawać, że swoje zrobiłeś. Kupiłeś, a nam nie udało się go złapać.

– No, co pan? – przerwałem mu. – Nawet mi przez myśl nie przeszło – zaprotestowałem, myśląc jednocześnie, że chyba mnie trochę facet przejrzał, bo rzeczywiście przez chwilę, idąc do straganu, zastanawiałem się nad tym.

– No, no. Różnie bywało – skwitował.

Po stwierdzeniu, że nie mają tu nic na razie do roboty odwieźli mnie na kwaterę. Podziękowali i pojechali.

Zostałem sam z kacem moralnym i świadomością, że broniąc swojej i kolegów dupy, wsadziłem faceta w takie gówno, że będzie mu śmierdziało parę lat.

Rozmyślania nad własnym skurwysyństwem przerwał mi Borowiec. Wysłuchał zadowolony mojej relacji i na chwilę się zamyślił. Podszedł do okna i wpatrywał się w nie przez chwilę. Nagle odwrócił się, podszedł do mnie:

– No młodziak, dzięki tobie wywinęliśmy się z kłopotów. Trzeba jechać to oblać… – zamyślił się znowu, ale zaraz otrząsnął się i ciągnął dalej. – Trochę, kurwa, szkoda…

– Tego chłopa – wpadłem mu w słowo.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

– Tego palanta coś go wystawił? A chuj z nim! Szkoda trochę, bo jakbyś nie musiał go wystawiać, to byśmy notatkę z tego napisali. Przekazałoby się ją oficjalną drogą i premię niezłą byśmy obaj, ty i ja, dostali. A tak, bezpieczniki sobie kieszenie ponapychają i będą mogli z pół roku nic nie robić. – Przysiadł na chwilę koło mnie na łóżku i kontynuował:

– Esbeki tak od razu go nie zwiną. Doczepili mu ogon i będą dotąd za nim łazili, aż ich doprowadzi do miejsca, skąd bierze towar. Rozumiesz? – spytał.

Kiwnąłem potakująco głową, a on ciągnął tonem starszego, bardziej doświadczonego kolegi.

– Jeżeli facet jest gapa i oni nic nie spieprzą, to mogą namierzyć drukarnię i zakład, gdzie produkują te znaczki. Tak myślę, że udupią z dziesięć osób albo więcej. Później będą mogli jakiś czas nic nie robić, a naczelnik i tak będzie klepał ich po plecach i chwalił.

– No dobra. Ale teraz mogą na nas napisać raport do Katowic. Wynik i tak mają – wyjaśniłem mu swoje wątpliwości.

– A właśnie, że gówno mogą. Za tym facetem będą łazili minimum miesiąc, żeby wyłapać wszystkie kontakty. Gdyby napisali raport na nas, to od razu melduję, że wysłałem was po cywilnemu specjalnie, bo wydawało mi się, że tam ktoś rozpuszcza ulotki. A to, że dobrze zadziałaliście udowodnię z łatwością. Skąd zomole mogą wiedzieć, że bezpieka przeprowadza jakąś wściekle tajną akcję? – roześmiał się głośno zadowolony.

Po jego wyjaśnieniach zacząłem chyba rozumieć o co chodzi w tym esbecko-zomowskim mętliku. Zamiast skrupułów miałem świadomość, że pośrednio przeze mnie będzie miało kłopoty przynajmniej dziesięć osób. Zastanawiałem się nad tymi obiekcjami. Przecież waliłem ludzi pałą na ulicach, tłukłem w trakcie służby i mało się tym przejmowałem, a ta sprawa nie daje mi spokoju. Może łatwiej kogoś pobić niż zrobić mu świństwo?

Pojechaliśmy z Borowcem i Wandzikiem za miasto, do baru. Tam, na zapleczu, oczywiście zaczęła się pijatyka. Porucznikowi przypomniało się, że dałem wcześniej do zrozumienia, iż szkoda mi faceta ze straganu. Objaśnił to krótko:

– Szkoda ci tego sieroty? Młody jeszcze jesteś i krótko w firmie. Porobisz jeszcze trochę to przestaniesz się przejmować takimi bzdurami. Nie takie rzeczy będziesz robił i spłynie to po tobie jak po kaczce woda. Musisz tylko przyjąć zasadę: lepiej bić niż być bitym.

W końcu mój filozof ululał się do tego stopnia, że usnął z głową opartą na stole i musieliśmy razem z Wandzikiem prawie wnieść go do samochodu. Zanim jednak dojechaliśmy do miejsca, gdzie kwaterowaliśmy, miałem jeszcze raz okazję podziwiać niesamowitą wprost odporność Borowca na alkohol. W trakcie jazdy doszedł do siebie do tego stopnia, że wszedł o własnych siłach do budynku i poszedł spać. Poszedłem do swojego pokoju, jednak nie dane mi było tak od razu położyć się. Okazało się, że w pokoju czekają na mnie chłopcy. Chcieli mi podziękować za to, że wybawiłem nas wszystkich z opresji. Czekali na mnie z wódką. Opróżnili już kilka butelek. Efekt był taki, że jeden spał już tak jak Borowiec z głową na stole, a drugi drzemał siedząc w kucki w kącie pokoju. Zdążyłem wypić z nimi tylko dwa toasty za moje zdrowie i runąłem jak ścięty na łóżko. Gdy rano nas obudzono, okazało się, że wszyscy wczorajsi biesiadnicy „polegli na placu boju" i spali tak jak ja w „opakowaniu". Pomimo że głowę rozsadzał mi potworny ból i chciało mi się pić, musiałem jechać tak jak oni na swój rejon. Gdy tylko wyjechaliśmy z koszar (oczywiście bez śniadania, bo kto by tam jadł) , Borowiec spytał:

– Co, chłopaki, wiecie już teraz jak ciężka jest praca milicjanta? – mówił to śmiejąc się i potwierdzając jeszcze raz swoją szatańską wytrzymałość na alkohol.

W odpowiedzi tylko ktoś jęknął, więc Borowiec dodał:

– Pod siedzeniem jest skrzynka z piwem, weźcie sobie po jednym i wypijcie raz dwa.

Rzuciliśmy się w kierunki skrzynki i huknęliśmy się z Czarkiem głowami, jak dwa rasowe barany. Borowiec zaśmiewał się do łez obserwując jak łapczywie gasimy pragnienie. Gdy się wyśmiał, powiedział nieoczekiwanie poważnym tonem:

– Podobacie mi się, chłopaki. Naprawdę dobrała się równa paczka. Prawie nie śpicie, chlacie jak smoki, a żaden się nawet nie poskarży, że jest ciężko rano wstać na służbę. Aż mi szkoda, że to jeszcze tylko dziś i jutro. Z wami mógłbym robić cały czas… Jedna uwaga tylko. Musicie się trzymać teraz, żeby żaden nie przeholował w alkoholem. Po takim maratonie nawet setka wódki potrafi ściąć z nóg w najbardziej nieodpowiednim momencie. Nie chciałbym któregoś przymusowo zdejmować ze służby. Damy sobie ognia wieczorem i w niedzielę jak będziemy wracać. Dzisiaj tylko piwo co jakiś czas i wytrzymacie.

* * *

Wytrzymaliśmy, chociaż dwa ostatnie dni były prawdziwą udręką. Po sobotniej służbie zjechaliśmy tak wymordowani, że oprócz Borowca i Wandzika nikt nie miał ochoty na picie. Na moim punkcie był taki ruch i zamieszanie na parkingu, że nawet pan Franio ledwo się wyrabiał. Najwięcej zamieszania powstało wtedy, gdy na skrzyżowaniu przed parkingiem stuknął się star z zastawą. Zastawą kierował Węgier, nie rozumiejący po polsku, a kierowca stara był na tyle krewki, że co chwilę zabierał się do bicia Węgra. Musiałem go zamknąć razem z panem Franiem w kabinie samochodu. Udało mu się jednak zmylić jego czujność i wyskoczył z kabiny. Uznałem, że miarka się przebrała i przykułem kajdankami do kierownicy grożąc, że narobię mu kłopotów i uznam, że stłuczka jest z jego winy. Nie wiem co bardziej poskutkowało: kajdanki czy groźba, ale uciszył się i przestał przeklinać Węgra i jego kraj. Przedtem robił to nawet pilnowany przez pana Franka, wysuwając głowę przez okno. Dla odmiany Węgier poczuł się pewnie widząc co się stało z Polakiem i zaczął coś do mnie wykrzykiwać wymachując rękoma. Wina Węgra była ewidentna, gdyż wyjeżdżając z parkingu władował się pod stara. Byłem zły na niego za całe to zamieszanie. Wezwałem milicjantów z ruchu drogowego, ale wiedziałem, że będę musiał dać sobie radę przez najbliższe piętnaście minut zanim ktokolwiek przyjedzie. Na dokładkę kierowcy gapiący się na zajście zaczęli zatrzymywać samochody i zakorkowali skrzyżowanie. Próbowałem rozładowywać korek, ale przeszkadzał mi Węgier, który coraz mocniej wrzeszczał i wymachiwał rękoma. Zastanawiałem się co z nim zrobić, bo tylko tego mi brakowało, żeby wpadł pod jakiś samochód. Drugiej pary kajdanek nie miałem, żeby i jego przykuć. Na polską mowę nie reagował, więc pozostawała mi tylko pałka jako ostateczny argument. Gdy już byłem prawie zdecydowany jej użyć, nadjechała oczekiwana pomoc: młody chłopak, kapral z ruchu drogowego razem z technikiem kryminalistyki, który zaczął robić zdjęcia.

Kapral powiedział coś do Węgra i o dziwo ten poszedł za nim. Zaskoczony zastanawiałem się, czy ten chłopak zna węgierski, czy jest czarodziejem. Szybko porozganiałem maruderów i podszedłem do samochodu, w którym technik rysował szkic, a kapral rozmawiał z Węgrem. Technik zakończył pracę i można było starem zjechać ze skrzyżowa-

nia. Pan Franio wrzucał biegi, bo kierowca przykuty za prawą rękę nie mógł sięgnąć do dźwigni, a ja wolałem na razie nie ryzykować uwolnienia go. Zastawę zepchnęliśmy na chodnik. Nie nadawała się do jazdy, bo miała rozbity cały przód. Przysłuchując się rozmowie kaprala z Węgrem zrozumiałem, że toczy się ona po niemiecku i tajemnica się wyjaśniła. Węgier był już potulny jak baranek i cichutko bąkał odpowiedzi na pytania. Widocznie zrozumiał, że wpadł w kłopoty i nie ma sensu pogarszać sytuacji.

– Gdzie jest kierowca stara? – spytał mnie w pewnej chwili kapral.

– W swoim samochodzie – odpowiedziałem.

– Czy mógłbyś go zawołać – kapral był uprzejmy i sympatyczny.

– Muszę najpierw odpiąć mu kajdanki – powiedziałem uśmiechając się do niego.

– A co, uciekał? Przecież to nie jego wina – zdziwił się spoglądając na mnie. I dodał po chwili. – Może pijany?

– Nie. Ani nie uciekał, ani nie pijany, tylko rwał się do bicia tego Madziara. Przykułem go do kierownicy, bo nie mogłem sobie dać rady – odpowiedziałem.

– Dobry sposób! Musiałeś tu mieć niezły cyrk, sam z tymi dwoma i skrzyżowaniem. Przepraszam, że tak długo jechałem, ale czekałem na technika – chłopak naprawdę był miły.

– Dobra. Idę po niego.

Byłem w połowie drogi do Stara, gdy z kabiny wyskoczył pan Franio i zatrzymał mnie.

– Panie władzo, nie ma czasu na wyjaśnienia. Nie rób pan krzywdy temu kierowcy. Powiedz mu pan tylko, że gdyby nie ja, to byś go pan załatwił i tyle, a ja później coś panu powiem. Dobra? – pan Franio znów kręcił kółko obcasem po chodniku i nie patrzył mi w oczy. Obcując z nim przez parę dni nauczyłem się ufać temu człowiekowi, więc zgodziłem się.

Odpinając kierowcę z kajdanek powiedziałem:

– Żeby nie pan Franio, to bym się na panu przejechał, jak na starym koniu! Samo przeszkadzanie w interwencji i stawianie oporu by starczyło na sprawę karną, a tak upiekło się panu. Uważam, że nie było sprawy.

Dopiero mówiąc to zauważyłem, że niedawno agresywne chłopisko jest teraz blade i przestraszone. Wybąkał tylko coś podobnego do dziękuję i poszedł potulnie za mną. Kierowca stara szybko przesłuchany odjechał. Węgra zabrali kapral i technik. W równie ekspresowym tempie pojawił się samochód autoholowania, który zabrał zastawę. Na razie mogłem odetchnąć. Pierwszą myślą było – „Piwo, bo umrę". Dopiero teraz zauważyłem, że język wysechł mi na wiór i zaczyna mnie znowu boleć głowa.

Mój humor poprawiło pojawienie się na parkingu pana Frania. Nie trwało dłużej niż pięć minut nim dostarczył do szoferki swojego stara kilka piw. Usiadł obok mnie. Popatrzył jak łapczywie piłem pierwsze.

– Co się pan tak jakoś dziwnie mi przygląda, panie Franiu? – spytałem, odstawiając butelkę i otwierając następną.

– Bo myślę, że pan jest w gruncie rzeczy dobry człowiek i… i szkoda pana do milicji – zaczął śmiało, ale kończąc zdanie popatrzył na mnie trochę przestraszony tym, co powiedział.

– Dlaczego w gruncie rzeczy? Ja po prostu jestem dobry – zażartowałem, bawiąc się jego zmieszaniem. – Mówiąc serio, dlaczego pan tak myśli? – dokończyłem, poważniejąc i kładąc mu rękę na ramieniu. Chciałem tym gestem uspokoić go, sprawić, żeby przestał się bać. Pan Franio złapał głębszy oddech i dokończył myśl:

– Widzi pan, w poprzednich latach żadnemu milicjantowi nie przyszło nawet do głowy, żeby pomóc kierowcom wyjechać z mojego parkingu. I stali te szoferaki dwie, czasem trzy godziny, aż z biedą jakoś powyjeżdżali. A co się przez ten czas naklęli to ich. Panie, jeździłem ciężarowymi parę lat i wiem co to znaczy. Jakbym postał tak z pół godziny to, gdyby milicjant, tak jak pan, pomógł mi wyjechać, chyba bym go z wdzięczności po rękach całował. Ot co. Milicja częściej tak powinna robić, a nie tylko mandat, pałą i balon do dmuchania. – W tym momencie mój „dzielny parkingowy" chyba się połapał, że trochę przeholował, bo po sekundzie dodał:

– No, czasem oczywiście inaczej nie można, a nawet się nie da – usiłował zatrzeć złe wrażenie.

Nic na to nie odpowiedziałem, bo miał rację, ale moi przełożeni też mieli swoje racje, i to ich niestety musiałem słuchać.

– Tak pan rozumie szoferaków, ale jakoś nie przeszkadza to panu przewietrzać im kieszenie? – powiedziałem, przerzucając niewygodny temat na pana Franka.

– To całkiem inna sprawa – odparł. – Gdzie zaczynają się pieniądze, tam kończą się sentymenty. Mnie też kiedyś doili, to dlaczego teraz mam nie wykorzystać okazji?

Naszą rozmowę przerwał wjazd nysy milicyjnej na parking. W pierwszej chwili wystraszyłem się, że to jakaś kontrola i już miałem zamiar wyskoczyć z szoferki, ale gdy nysa podjechała bliżej, poznałem za kierownicą Wandzika i siedzącego obok niego Borowca.

Spokojnie podszedłem do nich. Przyjechali powiedzieć, że za dwie godziny przyjadą mnie zabrać i będziemy wyjeżdżać. Borowiec nie chciał tego mówić przez radiostację, bo w Częstochowie pobyt mieliśmy zaplanowany do poniedziałku, do ósmej rano, a on chciał nas zabrać wcześniej, żeby jeszcze gdzieś urządzić popijawę.

Po ich odjeździe wróciłem do szoferki. Chciałem wziąć resztę mojej doli z parkingu, bo a nuż pan Franio gdzieś się zawieruszy i przed odjazdem go nie znajdę.

– Co pan taki markotny? – spytał, widząc mnie wsiadającego do szoferki. – Coś złego dowódca powiedział?

Minę rzeczywiście musiałem mieć niewyraźną, bo nie bardzo wiedziałem jak zaga-

dać o te pieniądze.

– Nie! Nic złego! – zaprzeczyłem. – Tylko już niedługo będziemy wyjeżdżać, a szkoda wracać do koszar... No i oczywiście smutno mi rozstawać się z panem, panie Franku. Dobrze się pracowało razem.

Uśmiechnął się i sięgnął do kieszeni, by wyjąć pieniądze.

– To trzeba się rozliczyć na koniec. Siedem tysięcy z parkingu i siedem ekstra – mówił, licząc pieniądze. – Chyba będzie dobrze? – spytał, patrząc na mnie jak liczę i chowam pieniądze do kieszeni.

– A to ekstra za co? – spytałem, chociaż niewiele mnie to obchodziło. Dał pieniądze, to widocznie uważał, że powinienem je dostać.

– To z tego szoferaka, coś go pan kajdankami przykuł do kierownicy. Powiedziałem mu, że pan przy mnie mówił, że poda jego numery rejestracyjne do centrali i będą na niego przez najbliższy miesiąc polować i uczyć rozumu. Żebyś pan widział jak on mnie prosił, żebym z panem załatwił! Prawie płakał.

Po tych słowach brzuch „dzielnego pana Frania" zaczął się trząść. Wiedziałem, że za chwilę nastąpi wybuch śmiechu i z rozbawieniem czekałem, aż się wyśmieje.

Jeszcze raz popatrzyłem na motelik myśląc, że warto byłoby przyjechać tu z dziewczyną i posiedzieć parę dni. Pan Franio kiedyś w trakcie rozmowy zapraszał mnie, obiecując darmowy pobyt. Tylko kiedy będę mógł przyjechać na parę dni z dziewczyną? Miesiąc urlopu mieliśmy dostać po roku służby, czyli zimą, ale wówczas nie będzie się chciało jechać do Częstochowy. Do końca służby zostało jeszcze prawie półtora roku, więc wszelkie wyjazdy trzeba na razie odłożyć na odległą przyszłość. Zresztą, jak planować wyjazdy z dziewczyną, jeśli nie wie się nawet, czy ma się jeszcze dziewczynę. Moja Iza nie odzywała się już prawie trzy tygodnie, co oznaczało duże ochłodzenie w naszych kontaktach. Przedtem pisaliśmy do siebie przynajmniej dwa listy tygodniowo. Chłopcy z mojej sali mówili, że to wariactwo, ale naprawdę tęskniłem za nią. Te listy pozwalały mi przetrwać najtrudniejsze chwile. Był to mój jedyny kontakt z normalnym światem, bo coraz częściej o ZOMO myślałem jak o czymś nienaturalnym, ze złego snu. Wspomnienie Izy uświadomiło mi, że przez cały czas pobytu w Częstochowie myślę o niej i o tym, czy po powrocie do Katowic będzie czekał na mnie list.

No właśnie – powrót do Katowic. Borowiec z Wandzikiem już powinni przyjechać, ale wciąż nie było ich widać. W radiostacji też była cisza. Siadłem sobie na ławeczce przy parkingu, zdjąłem czapkę i odleciałem myślami do Katowic. Zastanawiałem się co będzie po naszym powrocie. W Częstochowie trochę odsapnąłem i wyrwałem się spod ciągłego terroru. Teraz ciężko będzie wrócić i nadal dać się ganiać i poniżać... Tak, właśnie poniżać, to było najwłaściwsze słowo na określenie tego, co z nami wyrabiano. Błysnęła mi nagle myśl, że to wszystko jest celowe. Poniżani na terenie jednostki, wychodząc na patrol czy biorąc udział w działaniach to my mogliśmy poniżać i wyżywać się

na innych. Następowała zmiana ról i im bardziej nas przyciskano, tym chętniej odgrywaliśmy się na ludziach. Prosta i diabelsko skuteczna taktyka. Tak mnie ucieszyło to odkrycie, że szybko dopasowałem do niego niektóre moje ostatnie zachowania, tzn. pomoc kierowcom w wyjechaniu z parkingu i obiekcje, kiedy sprzedałem straganiarza esbekom. Po prostu, nikt mnie teraz nie goni i jestem bardziej normalny. Nie byłem jednak do końca tego pewny, gdzieś z głębi przyszły wątpliwości, że to nie szkolenie w ZOMO było winne moich zachowań w trakcie rozpraszania demonstracji, że to zło jest jednak we mnie.

Szybko przerwałem te rozmyślania, bo zaczęły mi się myśli zapętlać i wiedziałem, że do żadnych rozsądnych wniosków nie dojdę. Wstałem z ławki i zacząłem powoli iść aleją w kierunku motelu. Było tu naprawdę ładnie. Motelik stał w odległości około dwustu metrów od ulicy, a ponieważ były to już peryferie Częstochowy, otaczały go łąki. Jedynie młode drzewka i krzewy rosły tuż przy budynku. Minąłem motel i ku swojemu zaskoczeniu zobaczyłem, że z tyłu jest duży basen. Nie było w nim w tej chwili wody, ale fakt, że ktoś wybudował basen przy motelu był dla mnie zaskoczeniem. Przeszedłem przez taras łączący basen z budynkiem i chciałem wejść do środka. Niestety, duże przeszklone drzwi były zamknięte. Obszedłem więc motel naokoło i wszedłem od frontu. Chciałem zapytać pana Frania, dlaczego w basenie nie ma wody. Nigdzie go jednak nie było. Siadłem przy bufecie i czekałem kiedy pani Marta wyjdzie z zaplecza. Nie dała na siebie długo czekać.

– Podać piwo? – uśmiechała się i jednocześnie wyjmowała butelkę ze skrzynki, pewna, że nie odmówię.

Ponieważ w barze nikogo oprócz mnie nie było, kiwnąłem potakująco głową. Zawsze pilnowałem się, żeby w mundurze nie narażać się na ryzyko, że wejdzie nagle jakiś kontrolujący czy inny zawodowy milicjant i przyłapie mnie w trakcie picia na służbie. Siadałem zresztą tyłem do wejścia, żeby zawsze móc odstawić butelkę, gdyby ktoś wszedł. Wypiłem trochę piwa i patrzyłem jak pani Marta wypisuje jakieś rachunki. Zauważyła, że się jej przyglądam, przerwała pisaninę i podeszła do mnie. Usiadła po drugiej stronie stołu.

– To dzisiaj już ostatni dzień tutaj? – zapytała, żeby jakoś zacząć rozmowę.

– Tak. Niedługo powinni po mnie przyjechać – odparłem. – Gdzie pani mąż? Kiedy szedłem tutaj, widziałem, że wchodził.

– A poleciał na parking, bo przyjechał jakiś jego znajomy. A co, potrzebny panu?

– Nie tak bardzo. Chciałem go tylko zapytać, czemu ten basen z tyłu jest bez wody.

– Aj, panie, o ten basen każdy się pyta – roześmiała się. – Wszystkim mówię, że przecieka i czekamy na naprawę, ale panu powiem prawdę. Za parę dni basen będzie pełny. Na czas wejścia pielgrzymki spuszczamy wodę, bo jak był pełny, to dzień i noc całe gromady ludzi przychodziły się w nim myć i kąpać. Nie sposób było ich przegonić,

bo na chwilę wystarczyło się zagapić, a już ktoś siedział w basenie. Dwa lata temu wpadł sanepid i zrobiła się awantura, że strach, bo woda była brudna i jakiś facet prał sobie akurat skarpetki. Chcieli mi karę wlepić, ale Franio jakoś załatwił. Od tamtej pory jak jest pielgrzymka, to wodę spuszczamy z basenu i już. Dopiero jak się wszyscy rozjadą, napełniamy basen i można się kąpać – zakończyła pani Marta i zaraz dodała: – A czemu pan się śmieje i kręci głową?

Rzeczywiście, gdy usłyszałem te objaśnienia, od razu przypomniały mi się staruszki z autobusu i ich historia o wiadrze.

– Widzi pani, pani Marto, słyszałem jak ludzie w autobusie narzekają na pielgrzymki i tak mi się to wszystko kłóci z wiarą i kościołem, że nie wiem co myśleć – odpowiedziałem.

– Bo pan tu nie mieszka. Panie władzo jestem wierząca i chodzę co niedzielę do kościoła, ale ci, co tutaj przychodzą na pielgrzymki, zachowują się jak dzicy. Oczywiście, nie wszyscy – dodała natychmiast – ale widzi się tylko tych, którzy zachowują się nie tak jak powinni.

– A pani zdaniem – jak powinni? – spytałem, bo to zaczęło już mnie złościć. – Przecież człowiek musi się gdzieś umyć.

Pani Marta przyjrzała mi się uważne i powiedziała:

– Pan chyba nic nie rozumie. Przecież celowo nie ma umywalni i dodatkowych szaletów na czas pielgrzymki. Partia walczy z Kościołem i to wszystko przez to. Partyjni twierdzą, że jak wierzący przychodzą na pielgrzymkę, to Kościół powinien im wszystko zapewnić.

– No to czemu nie zapewnia?

– Jak nie zapewnia? ! – krzyknęła. – Gdzie się tylko da, robią miejsca do spania i punkty sanitarne. Ale poza terenami klasztoru nie mogą, bo miasto nie da pieniędzy i zgody na budowę.

Pani Marta zirytowała się, aż jej na policzkach wystąpiły rumieńce. Pomyślałem, że najwyższy czas zakończyć tę dyskusję.

– Nie wiedziałem, że to tak wygląda – odparłem pojednawczo.

– Szkoda gadać – mruknęła i zaczęła robić porządek na bufecie.

Przestałem się odzywać i dopijałem piwo. Podczas rozmowy z panią Martą wyczułem, że dla niej milicjant, czyli ja, i partyjni oznaczają to samo. Zrobiło mi się przykro, że przez ten mundur ludzie mnie utożsamiają z tym, co robi partia. Wyjąłem pieniądze, żeby zapłacić za piwo, ale pani Marta delikatnie, ale stanowczo odepchnęła moją rękę. Nawet nie odezwała się do mnie, tylko krzątała się za bufetem. Wszedłem na zewnątrz, żeby czekać na Borowca i Wandzika. Przecież do cholery, powinni już przyjechać. Dwie godziny minęły. Stałem przy jezdni i złościłem się coraz bardziej. Chciałem uciec już z tego miejsca, od tych łapówek, od utożsamiania mnie z tym, co robi władza, dowódcy

i chyba najbardziej od munduru…

Ta myśl o ucieczce od munduru jeszcze bardziej mnie przygnębiła. Jeszcze półtora roku będę musiał w nim chodzić, chyba żeby…

W tym momencie podjechał Wandzik. W samą porę, zanim wymyśliłem coś głupiego – pomyślałem.

Dziwne! Przed sekundą chciałem wyskoczyć z munduru i uciec gdzie mnie oczy poniosą, a teraz cieszę się z przyjazdu milicyjnej nyski pełnej mundurowych. Czyżbym zaczynał powoli fiksować?

W samochodzie od razu odgadłem przyczynę spóźnienia. Chłopcy byli już pod dobrą datą i w szampańskich humorach. Nie było z nimi Borowca.

– Gdzie się do cholery włóczyliście?

– Zaopatrzenie robiliśmy na drogę powrotną. Masz pij! – padła odpowiedź i Henio włożył mi szklankę z wódką w rękę. Wypiłem, Heniek wlał mi coś do popicia. Aż mnie zatkało, bo okazało się, że to nie popitka, tylko sukinsyn wlał mi drugi raz wódki. Ze łzami w oczach widziałem jak śmieją się zadowoleni z tego, że się zakrztusiłem.

– Dzisiaj Borowiec dwa razy nas tak zrobił, raz Heńka, a raz Kobuza. Heniek się trzyma, ale Kobuz popił wódkę piwem i leży w hotelu, bo go zamroczyło – wyjaśnił mi Wandzik.

W ten prosty sposób w ciągu pierwszych paru minut jazdy do hotelu miałem już w sobie ćwiartkę wódki, bo zanim dojechaliśmy wypiłem jeszcze dwa razy.

Gdy wódka zaczęła działać, odeszły mi od razu wszelkie czarne myśli i filozofowanie. Chyba był to jedyny tak szybki sposób na chandrę. Zalać głowę gorzałą i spokój.

* * *

W hotelu szybko spakowaliśmy się i już nas nie było. Pytaliśmy Borowca co będziemy robili do rana, ale uśmiechnął się tylko i nic nie chciał powiedzieć. Zaraz za Częstochową Groniec miał kłopoty ze swoim samochodem. Silnik przerywał, dusił się i nysa nie jechała tak jak powinna. Borowiec kazał w końcu zjechać na pobocze i Groniec razem z Wandzkiem wzięli się za naprawę. Okazało się, że zapchana była jedna z dysz w gaźniku i po przeczyszczeniu jej ruszyliśmy dalej. W trakcie postoju Borowiec przyciśnięty przez nas powiedział w końcu jakie ma plany.

– Pod Katowicami jeden ciul ma hotel. Kiedyś go złapałem po kielichu za kółkiem i puściłem. Byłem już kiedyś u niego i szczerze mnie ugościł w rewanżu. Dzisiaj rano dzwoniłem i uprzedziłem, że przyjedzie nas jedenastu. Nie powiem, żeby się ucieszył, ale powiedział, że wszystko przygotuje. Nie ma innego wyjścia – powiedział i po chwili namysłu dodał:

– My też nie mamy, bo z forsą krucho.

U kogo krucho, u tego krucho, pomyślałem, ale się nie odezwałem.

Hotel okazał się dość okazałym budynkiem ukrytym między starymi dębami. Lepiej Borowiec nie mógł wybrać. Do Katowic kilka kilometrów, trochę na uboczu, cisza i spokój. Podjechaliśmy na tyły budynku i nasz dowódca poszedł zobaczyć się z właścicielem. Do jego powrotu siedzieliśmy cierpliwie, bo zakazał nam nie wychodzić. Wrócił z człowiekiem, który bardziej przypominał jakiegoś ochlapusa niż właściciela hotelu. Chudy jak patyk, w spodniach od dresu i chyba żółtej bluzce, która już dawno straciła swoją pierwotną barwę od częstego prania. Przywitał się, otworzył drzwi od garażu i zniknął. Borowiec zebrał nas przy schodach prowadzących na górę:

– Słuchajcie, chłopcy, mamy na pięterku duży pokój do dyspozycji. Wódy i jedzenia nam nie zabraknie. Ale jedna uwaga. Nie wolno nam wychodzić i łazić po hotelu. Na dole bawi się cała góra Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Przyjechali niedawno i właściciel nie mógł im odmówić. Chyba rozumiecie, że gdyby ich nie przyjął, to jutro by mu cofnęli pozwolenie na prowadzenie tej budy. Po prostu nie miał wyjścia i ja go rozumiem. Źle się złożyło, bo tutaj przyjeżdżają na dancing fajne dziewczyny i oprócz wódki moglibyście jeszcze się zabawić. Ale nic. Popijemy sobie zdrowo i pójdziemy spać. Rano, niestety, trzeba stawić się w jednostce. Tylko, powtarzam jeszcze raz, nie wolno łazić po hotelu. Jeszcze was ktoś z Komitetu zauważy i chryja gotowa. Zrozumiano? – zakończył.

– Tak jest! – odpowiedzieliśmy chórem.

Trochę nam miny zrzedły, ale dobre i to. Byliśmy i tak wdzięczni Borowcowi. Lepiej popić przed powrotem do jednostki niż wracać od razu. Nie wiadomo kiedy następny raz trafi się taka okazja.

Prawdę mówiąc, miałem dosyć picia. Piłem raczej dlatego, że później w jednostce nie będę mógł. Dziwiło mnie, że przez tyle dni piję i dalej mogę coś jeszcze przełknąć. W domu po dwóch dniach picia miałem dość na miesiąc, a tu dzień w dzień i dalej mogę w siebie wlewać. Tak myślałem idąc schodami na górę.

Pokój okazał się przestronnym salonikiem z łazienką. Na środku ustawiony był długi stół, zastawiony najróżniejszymi potrawami na zimno i napojami. Mniejszy stolik zastawiony był butelkami z wódką. Tak na oko przypadało po dwie, a nawet lepiej na głowę. Trochę zjedliśmy i zaczęło się. Miejsce dotychczasowych potraw zajęły talerzyki z ciastkami, paluszkami i orzeszkami. Tej zmiany bardzo sprawnie dokonał właściciel z kelnerem. Obaj wypili z nami po kieliszku i poszli. Byłem trochę zaskoczony tym, że jedzenie zabrano. Nie zdążyłem się dobrze najeść myśląc, że będzie stało cały czas. Siedzący obok mnie Wandzik zapytał:

– Coś taki markotny? Że jedzenie zabrali?

Musiałem mieć rzeczywiście nieszczególną minę, jeśli to zauważył i zorientował się o co chodzi.

– Tak. Myślałem, że będzie stało cały czas i nie zjadłem za wiele – odpowiedziałem mu.

– Tu na Śląsku tak się właśnie pije. Najpierw obiad lub kolacja. Potem sprzątają ze stołu, dają coś drobnego do przegryzienia i zaczynają pić – wyjaśnił mi.

– U mnie jak piją, to muszą zjeść – powiedziałem, żeby poczuć się trochę pewniej i ukryć swoje zdziwienie.

– Ale na Śląsku nikt przynajmniej nie uśnie z nosem w sałatce – wtrącił przysłuchujący się z drugiej strony Groniec, rodowity Ślązak.

– A mnie się wydaje, że chodzi o to, żeby gorzała prędzej brała, czyli przez oszczędność. Żeby mniej wódki poszło – droczyłem się z nimi.

– No to po co pić? Żeby być trzeźwym? – odparł ze śmiechem.

– Niby racja.

Na piciu i podobnych rozmowach minął nam czas do dwunastej. Towarzystwo z początku markotne, mocno rozweseliło się i podzieliło na grupki. Obok mnie siedzieli Wandzik i Kobuz. Groniec usnął na fotelu obok. Gadaliśmy trochę o powrocie do jednostki, trochę o domu. Gdy Kobuz też zaczął drzemać, Wandzik przysunął się bliżej mnie i prawie do ucha zaczął:

– Coś ci muszę, Darek, powiedzieć, bo to siedzi we mnie i czuję, że z tobą jest podobnie. – Język mu się plątał, ale rozumiałem go dobrze.

– Mów Jureczku, mój przyjacielu – zachęciłem, czując, że mój język też nie jest zbyt sprawny.

– Słuchaj, ja tutaj to musiałem. Ja sram na to całe ZOMO – odsunął się trochę ode mnie, zmarszczył brwi i kiwając się patrzył jakie wrażenie zrobiło na mnie to wyznanie.

Miałem już nieźle w czubie, było mi błogo i wszystko jedno, bo odparłem ze zrozumieniem:

– Ja też, Jureczku. To my jesteśmy eee... – zgubił mi się wyraz. – Jak bracia.

– Tak! Daj pyska – Jurek miał łzy w oczach, gdy cmokał mnie w oba policzki.

– Ja za bójkę. Mało co nie zabiłem faceta – wyszeptałem mu w ucho.

– Wiedziałem – beknął płaczem Jurek i mnie też ciekły już łzy.

Gdy się trochę uspokoiłem, nalałem następne kieliszki. Wypiliśmy i Jurek konspiracyjnym szeptem wymamrotał:

– Ja jestem szuler – karciarz. U siebie, w Zakopanem – westchnął na wspomnienie samego słowa Zakopane – ogrywałem ceprów. Żyłem z tego parę lat, aż trafiłem na jakichś z ministerstwa z Warszawy. Dwie godziny i wypłukałem towarzystwo. Rano mnie milicja z domu zabrała i nie dość, że musiałem forsę oddać, to jeszcze dostałem wybór: albo ZOMO, albo do pudła. Co miałem robić? No powiedz, Dareczku, było inne wyjście? – na koniec znów zaczął się rozklejać.

– Nie było, Jureczku. Nie było – odparłem smutno.

Dalej piliśmy bez słów. W pewnej chwili próbowałem rozejrzeć się po pokoju, ale widziałem tylko plamy i wszystko wirowało. Trąciłem Jurka łokciem:

– Oni już wszyscy śpią.

– Co kurwa śpicie… Cepry! – wrzasnął.

Gdzieś z drugiego końca stołu coś się poruszyło i po chwili stanął przed nami Borowiec.

– Oooo, nasz kochany dowódca! – ucieszył się Jurek jakby zobaczył nagle kogoś znajomego.

Próbował znaleźć butelkę z wódką, ale przewrócił tylko dwie puste. Pełna stała naprzeciw mnie, więc nalałem do trzech szklanek. Z nalewania do kieliszków zrezygnowałem, bo trudno było w nie trafić. Z bliska widziałem, ale także marnie. Z tego wieczoru pamiętałem już tylko to, żeby nic nie mówić, bo Borowiec jest przy nas, a diabli wiedzą co tak naprawdę myśli. Wypiliśmy chyba jeszcze kilka kolejek i film mi się urwał. Przebudzenie poranne nie było takie straszne jak sobie w trakcie picia wyobrażałem. Wcześniej ode mnie musiał obudzić się Borowiec, gdyż kelner i właściciel uwijali się właśnie, sprzątając „pobojowisko" ze stołu. Przynieśli zaraz kawę, herbatę, tatara i śledziki. Wódka jeszcze została więc mogliśmy wypić tzw. klina. Rozejrzałem się po chłopakach. Twarze zmięte i nieogolone. Po nocy przespanej w fotelach mundury wyglądały jakby je ktoś psu z gardła wyciągnął. Ot, doborowe oddziały! Banda pijaków i tyle! Jak w takim stanie pokazać się w jednostce? Przecież kadra od razu się zorientuje, że coś jest nie tak. Podszedłem do Borowca, żeby się z nim podzielić swoimi obawami. Siedział jakiś markotny, więc usiadłem obok. Ocknął się z zadumy i uśmiechnął do mnie:

– A, Darek – poklepał mnie po ramieniu. – Dobrze, że przyszedłeś. Chcę ci powiedzieć, że jak będę pisał raport z tego wyjazdu dla twojego dowódcy, to napiszę, że wyróżniałeś się zdyscyplinowaniem, aktywnością, wzorową służbą i takie tam ple, ple. Za ten numer z medalikarzem winny ci to jestem. Może Nowakiewicz da ci jakąś premię? A urlop to na pewno – mówiąc to nalał wódkę do kieliszków. Wypiliśmy.

– Dowódco, jak my się pokażemy w jednostce w takim stanie. Może by chłopaki się chociaż ogolili i mundury jakoś odprasowali? No i wódą będzie od nich czuć na kilometr – zwierzyłem mu się ze swoich wątpliwości.

– Coś ty! Dobrze wyglądają! – roześmiał się. – Akurat tak jak potrzeba po nocnej służbie. Nieogoleni, wymięci, krótko mówiąc spracowani. A na to, że wódę od was czuć Nowakiewicz przymknie oko. Zaprowadzę was na kompanię i powiem mu, że na pożegnanie wypiliście ze mną. No, pomyśl jak to by wyglądało, gdybyście prosto z nocnej służby zajechali do jednostki ogoleni i wypachnieni? – dodał na koniec.

Przyznałem mu rację kiwając głową. Stary wyga wiedział co robi, a ja się wygłupiłem. Poszedłem na swoje miejsce za stołem. Wandzik popatrzył na mnie jakoś dziwnie. Wypiliśmy po kieliszku bez słów. Spojrzał znowu.

– Darek, ale o tym wczoraj… – zaczął niepewnie.

– Wiem, wiem – wskoczyłem mu w słowo. – Jedziemy na tym samym wózku i będziemy sobie pomagać, Jureczku. Ale nikomu ani słowa, bo nie wiadomo jak zareagują – powiedziałem po cichu, aby nikt inny nie słyszał.

W odpowiedzi uścisnął mi rękę i uśmiechnął się. Widać, że chłopu ulżyło. On już chyba też nauczył się, że ufać w tej firmie komukolwiek to duże ryzyko. A tu wygadał się po pijanemu i nie wiedział co będzie dalej.

Zaczęliśmy się zbierać do odjazdu. Nysy stały bezpieczne w przestronnym garażu pod hotelem. Trochę się obawiałem, że ktoś nam wywinie jakiś numer, np. ukradnie plecaki, albo pospuszcza powietrze z kół. Stały przecież niepilnowane. Okazało się jednak, że wszystko jest w porządku. Kolejny raz doszedłem do wniosku, że za bardzo się wszystkim przejmuję.

Ujechaliśmy zaledwie kilka kilometrów, gdy Groniec krzyknął przez radiostację, że musi się zatrzymać. Jako pierwszy jechał radiowóz kierowany przez Wandzika. Po zatrzymaniu zobaczyłem, że gwałtownie otworzyły się boczne drzwi w hamującej za nami nysce i wyskoczył jeden z chłopaków. Stanął nad rowem i rzygał raz za razem. Borowiec roześmiał się.

– Uu, „cienki Bolek"! Nie dość, że mu wódka nie służy, to na dokładkę rzygać w czasie jazdy nie potrafi! – zażartował, ale wysiadł i podszedł do chłopaka.

Chwilę z nim rozmawiał, a gdy tamten wsiadł do samochodu, wrócił do nas i powiedział:

– Nic mu nie będzie. Przepił się chłopina i tyle. Teraz już będzie spokój.

* * *

Widok wartownika przy bramie jednostki sprawił mi przyjemność. Znowu w domu, pomyślałem z przekąsem, ale coś w tym było. Ostatecznie spędziłem tutaj już kilka miesięcy i przyzwyczaiłem się do niektórych rzeczy. Chociażby takich jak moje łóżko, regularne jedzenie, treningi. A jednak określenie jednostki w myślach jako domu obudziło we mnie dziwne uczucia. Przypomniały mi się słowa mistrza, żebym zamknął się wewnątrz siebie. Zacząłem dochodzić po raz kolejny do wniosku, że nie bardzo mi się to udało.

Borowiec dotrzymał słowa i zaprowadził nas na kompanię. W obecności Nowakiewicza podziękował nam oficjalnie za służbę, dodając, że był zaskoczony naszym wysokim poziomem wyszkolenia i dyscypliny. Nasz Nowakiewicz, czyli „Cap", aż poczerwieniał z zadowolenia. Kazał nam się myć i kłaść spać. Zanim poszli z Borowcem do jego gabinetu wysłał jeszcze Wandzika i Grońca do garażu, żeby umyli samochody, bo jak się wyraził: „wszystko musi grać jak w zegarku" i samochody trzeba oddać czyste. Pomimo iż powiedział to spokojnie przypomniałem sobie od razu, że tutaj panuje dyscyplina i wyjazd do Częstochowy niczego nie zmienił. Na terenie kompanii i jednostki nadal obowiązuje poruszanie się biegiem do czasu ukończenia przez nas roku służby. A kaprale nadal mogą rozwalać kostki i obrywać guziki. Po komendzie „Capa":

„Do sal rozejść się!" ruszyłem biegiem i inni zrobili to samo. Umyty i ogolony poczułem się dużo lepiej. Położyłem się nawet do łóżka, ale nie mogłem zasnąć. Po pierwsze – przespałem się w hotelowym fotelu, a po drugie – cały czas dręczyła mnie myśl, czy czekają na mnie jakieś listy. Oszukiwałem trochę siebie, że liczę na list od matki, ale i tak w rzeczywistości najbardziej chodziło mi o to, czy dziewczyna przerwała milczenie i napisała do mnie. Wygrzebałem się w końcu z łóżka i wyszedłem z sali. Podbiegłem przez korytarz do stolika podoficera dyżurnego. Na szczęście nie miał dzisiaj dyżuru Pakulak, tylko Trochan. Zameldowałem się i powiedziałem o co mi chodzi. Zapytany o list grzebał w szufladzie, a ja w tym czasie musiałem biec w miejscu. Śmiać mi się chciało jak zawsze podczas tej czynności, gdy byłem w kapciach, gdyż za każdym oderwaniem nogi słychać było głośne klap od uderzania kapcia o piętę. Wychodziło z tego klap – klap, klap – klap i miałem wrażenie, że denerwuję kaprala. Nie myliłem się. Trochan spojrzał na mnie i dał komendę „spocznij". Stanąłem posłusznie i niecierpliwie czekałem, aż skończy szukać. W pewnym momencie zasunął szufladę i powiedział:

– Nie ma! – popatrzył na mnie i zagadał jakoś całkiem po ludzku:

– To jak tam w tej Częstochowie wam było?

– Nie najgorzej. Tylko służby 12 na 12 godzin, to trochę męczyło – odpowiedziałem lakonicznie.

– No, ale dziewczyny i te sprawy pewnie do oporu? – ciągnął, mając widocznie ochotę na pogawędkę zamiast nudzić się przy stoliku.

– Obywatelu kapralu, gdzie tam. Takie święte, że i nie było jak zagadać. Zresztą, na milicjanta to wszystko patrzyło spode łba jak na stracha na wróble – łgałem jak z nut.

– A tak wam tu chłopaki zazdrościli tego wyjazdu, jednak widzę, że nie było czego.

– Nie, tak źle nie było. Mieszkaliśmy w internacie. Żarcie pełna kultura. Kelnerki podawały – Trochan aż gwizdnął z podziwu. – W pokojach tapczaniki. No i rejonów nie trzeba było sprzątać – dodałem, na koniec uśmiechając się.

Trochan też się uśmiechnął. Jeśli nie trzeba sprzątać wyznaczonego rejonu, np. korytarza czy łazienki, daje to trochę luzu i jest w wojsku luksusem.

– A jak tutaj na kompanii było, obywatelu kapralu? – przeszedłem do pytań, żeby skończyć temat, przy którym musiałem kłamać.

– Nic ciekawego. Normalne służby i tyle. Aaa, tego Waldka z drugiego plutonu… No jak mu tam… Michalczyka pogotowie dwa dni temu w nocy zabrało.

– A co mu się stało?

– On już od dłuższego czasu… Zaraz po unitarce zaczął mało jeść. Tylko w kółko kawę pił i papierosy palił jeden za drugim. No i dwa dni temu zemdlał, kiedy szedł do łazienki. Zabrali go do szpitala, porobili badania i wyszło szydło z worka. W płucu dziura jak pięść – gruźlica. „Cap" podobno pytał lekarza, jak to możliwe, przecież miał robione

wcześniej prześwietlenie i przetrzymał unitarkę. Lekarz miał mu powiedzieć, że na tych małoobrazkowych prześwietleniach gówno widać. Chyba żeby ktoś nie miał jednego płuca, to wtedy da się zauważyć. Dopiero jak zrobili duże zdjęcie, to było widać. A w ogóle to powiedział, że mógł zachorować w ciągu ostatniego miesiąca.

– I co, obywatelu kapralu, przez miesiąc mu się taka dziura zrobiła? Coś ten lekarz chyba chrzani.

– Tak samo i „Cap" mówił, ale ten medyk miał mu powiedzieć, że jak ktoś jest podatny i ma organizm osłabiony, na przykład, po zapaleniach płuc, to gruźlica może i przez miesiąc tak go załatwić.

– Może i racja – ustąpiłem.

– A co ty myślisz, że to żarty? Łazi się na tych służbach po różnych melinach, ciąga z mechami. Może który był chory i chłopak złapał od niego jak go na wytrzeźwiałkę dowoził czy zamykał. Przecież wiesz jak niektórzy pijani gadają. Zapluje się taki, zasmarka, to i zarazić się można – dokończył Trochan.

– Tylko jak się upilnować? – spytałem myśląc, że może w tym być sporo racji.

– Jak się upilnujesz? Co, pijaków będziesz omijał? Musisz i koniec. No, ale spadaj spać, bo na obiad mamy was obudzić – zakończył.

– Obywatelu kapr… – próbowałem się odmeldować, ale tylko machnął ręką, że nie trzeba.

Położyłem się i stanął mi przed oczami Waldek. Dopiero teraz przypomniałem sobie, że nie wyglądał zdrowo. Bardzo szczupły, cerę miał jakąś niewyraźną, taką szaro-żółtą. Na taktyce w trakcie biegu zostawał w tyle, ale niezbyt daleko. Unitarkę odwalił, czyli miał za sobą to, co najtrudniejsze i teraz wylądował w szpitalu, gdzie pewnie parę miesięcy poleży. Potem sanatorium i do cywila. Ostatecznie nie ma tego złego co by na dobre nie wyszło. Przynajmniej wojsko ma już z głowy, a pewnie przez jakiś czas i rentę z milicji będzie dostawał. Zacząłem mu zazdrościć tej choroby. Ech, żeby mnie się coś takiego przytrafiło! Mógłbym zostać inwalidą, byleby już się z tego ZOMO wydostać. Uznałem, że jednak coś jest z moją głową nie najlepiej, jeśli mi takie myśli chodzą po niej. Przecież zostało półtora roku służby i to już z każdym dniem coraz łatwiejszej, w miarę jak przybywało nam odsłużonych miesięcy. Za tydzień ma przyjechać następna młoda kompania, więc nie będziemy już najmłodsi.

A ten Waldek… Dwadzieścia lat ma chłopak i już tak schorowany, że pewnie będzie na rencie inwalidzkiej. Kiedyś trochę czytałem o gruźlicy i wiedziałem, że można ją tylko zaleczyć. Całkowicie wyleczyć się przecież nie da i dziura w płucu tylko się zabliźni, a miąższ w tym miejscu już nie odrośnie. Do końca życia trzeba uważać z przeziębieniami, a o jakimkolwiek sporcie wyczynowym najlepiej od razu zapomnieć. To już chyba lepiej służyć w tym ZOMO niż się w coś takiego ładować. Rozśmieszyła mnie myśl, że znalazłem coś gorszego od ZOMO – gruźlicę.

W ciągu następnych dni chodziłem na służby, ćwiczyłem cały czas, myśląc tylko o jednym. Czy w końcu przyjdzie do mnie list od dziewczyny? Sam napisać do niej nie mogłem, bo nawet nie znałem adresu. Wiedziałem tylko, że jest gdzieś w górach na koloniach jako wychowawczyni. Tłumaczyłem sobie, że nawet jakbym napisał to i tak nie wiadomo, czy przed końcem turnusu list by do niej dotarł. Pozostawało tylko czekać, aż przyjedzie do domu. Nie chciałem się przed sobą przyznać, że tęsknię za nią i jej listami. No bo jak to, ja – silny mężczyzna, a tu jakieś takie ckliwe wyznania. Różnie próbowałem to nazwać: że jestem zły, obrażony, wkurwiony na to, że nie pisze, ale i tak sprowadzało się to do tęsknoty. Na dokładkę od matki też nie było listu, czyli całkiem do dupy. W takim podłym nastroju zaczęły mi przychodzić do głowy różne myśli, ale najczęstsza była ta, że wszyscy bliscy postawili krzyżyk na zomowcu i nie chcą o nim nawet słyszeć. Próbowałem ten swój smutek i żal jakoś rozładować, trenując jak wściekły. Adamiec przyglądał mi się z boku i kręcił głową z dezaprobatą. Chyba wiedział, że coś mnie gryzie. Chłopcy z mojej sali wiedzieli co się dzieje. Zauważyli przecież jak po każdej służbie lecę do dyżurnego i pytam o listy. Nie pytali jednak o nic i schodzili mi z drogi. Patrzyli też co wyrabiam podczas służb. Próbowałem nie dopuszczać do siebie myśli, że wyżywam się na ludziach, ale tak to trzeba było nazwać. Było we mnie tyle złości, że przy każdej nawet najprostszej interwencji czekałem tylko na moment, żeby się facet „postawił". Wtedy pałka szła w ruch, ale nie tylko pałka.

* * *

Mój pluton przez cały tydzień pełnił wtedy służbę na dworcu PKP w Katowicach. Już po pierwszym dniu miejscowe lumpy koczujące i kradnące na dworcu zaczęły z daleka uciekać na mój i Zbyszka Paczesia widok. Stało się tak po „pacyfikacji", jaką obaj zrobiliśmy w krzakach przy dworcu, gdzie całe towarzystwo schodziło się pić wódkę. Inne patrole niechętnie tam zaglądały, bo po zmroku było niebezpiecznie i nie bardzo było wiadomo, do którego rejonu patrolowania te krzaki należą.

Strzyż wyznaczył mi wtedy służbę ze Zbyszkiem i powiedział, że mamy tam zrobić porządek. Pacześ kilka lat boksował i dlatego Strzyż puścił go ze mną w jednej parze, myśląc pewnie o tych krzakach. Podczas odprawy chorąży z komisariatu mówił, żeby sporządzić wnioski do kolegium za picie wódki w miejscu publicznym. Czy krzaki to miejsce publiczne? Ale co tam.

Oczywiście, zaczynając patrol pierwsze kroki skierowaliśmy w te krzaki. Grupka czterech mężczyzn rozpijała kolejną butelkę wódki. Wylegitymowaliśmy ich. Mieli szczęście, bo byli potulni jak baranki i szybciutko spłynęli. Gorzej trafił pijany jegomość, który w tych krzakach ułożył się do snu na trawie. Nie chciałem tracić okazji do obicia go, więc od razu, na przebudzenie, pociągnąłem leżącego pałą po pośladkach. Zerwał się zdezorientowany i wystartował do Zbyszka:

– Co… kurwa… pałą – wybełkotał półprzytomny, stojąc przodem do Zbyszka.

Jako odpowiedź dał mu Zbycho w pysk, a ja gumą po plecach i najprostszego w świecie kopa w dupę. Skulił się i zasłonił głowę rękoma.

Zbyszek uderzył go pałką po tych rękach i już słychać było tylko:

– Panowie, za co, no za co…

– Co to kurwa hotel, spać nie masz gdzie? – spytałem i łupnąłem go jeszcze raz pałką po plecach.

– Już nie będę, naprawdę, nigdy więcej – rozdarł się w odpowiedzi.

– No to spieprzaj stąd, ale szybko – powiedziałem i pociągnąłem go pałą od tyłu po udach.

Ból musiał być niezły, bo aż przysiadł. Oczywiście tylko na sekundę, bo później wyrwał przez krzaki jak jeleń.

– Nie poobdzieraj się o gałęzie – krzyknął za nim Zbyszek, śmiejąc się.

W związku z tym, że nikogo więcej w krzakach nie było, poszliśmy na dworzec. Do krzaków zaglądaliśmy regularnie co pół godziny i za każdym razem kogoś w nich zastaliśmy. Tylko nielicznym, naprawdę bardzo pokornym upiekło się. Tuż przed zmierzchem zaproponowałem Zbyszkowi, żebyśmy na godzinę odpuścili i poczekali, aż się ściemni. Przystał na to obojętnie, bo ostatnim razem było tylko dwóch piwoszy, którzy z daleka nas zobaczyli i uciekli. Łaziliśmy po dworcu, aż zmrok zapadł i dopiero wtedy wybraliśmy się w krzaki. Podeszliśmy powoli nie zapalając latarek, a kierując się głosami dochodzącymi z jednej z polanek. Okazało się, że mężczyzn jest trzech. Jeden z nich zobaczył, albo usłyszał, że ktoś nadchodzi, bo odezwał się:

– No chodźcie tu, co się tak czaicie?

W odpowiedzi zaświeciliśmy im latarkami w oczy.

– Milicja! Dokumenty do kontroli! – Zbyszek wyjaśnił nieporozumienie.

Od razu musiałem skoczyć do przodu. Mężczyzna, który przed chwilą nas zapraszał wykazał się refleksem i próbował dać drapaka, gdy zrozumiał swoją pomyłkę. Założyłem mu klasycznego piłkarskiego „haka". Wyłożył się jak długi. Podniosłem go za kołnierz. Wstał i sycząc z bólu oglądał swoje dłonie. Upadając podparł się odruchowo rękoma i teraz obie dłonie miał nieźle poharatane, bo ziemia między krzakami była dosłownie zasypana potłuczonym szkłem z butelek i kapslami. Po takim wstępie jego koledzy bez protestów podali dowody osobiste. Natomiast on zaczął z pretensją w głosie:

– No widzi pan, co pan zrobił? Jak ja teraz do roboty pójdę. Ja murarz jestem. I co? Teraz ani cegły, ani kielni w ręce nie utrzymam. Widzi pan co pan narobił? – mówiąc to wymachiwał przede mną rękoma, z których kapała krew. Bałem się, że poplami mi mundur, więc odepchnąłem go od siebie, aż się zatoczył.

– Nie machaj mi tu łapami przed nosem, bo jeszcze parę pał na grzbiet zbierzesz. O co masz pretensje? Po cholerę było uciekać? Ja ci kazałem? A po drugie, tych potłu-

czonych butelek i kapsli tu nie narzucałem, zrobili to tacy jak wy. Miej pretensje do siebie – wyjaśniłem mu.

Zbyszek chichotał pod nosem, kończąc legitymowanie dwóch pozostałych. Zamknął notatnik, oddał im dowody i zapytał:

– Kolega ma już karę, to mu się odpuści, ale wy macie do wyboru. Albo kolegium, albo po trzy pały na dupę i do domu. No jak, co wybieracie? – mówiąc to wyjął pałkę i klepał się nią po udzie.

Obaj delikwenci trochę zmarkotnieli, ale w końcu jeden wybąkał:

– To już lepiej po trzy pały. Znowu kolegium. Jedno dopiero zapłaciłem.

Widocznie nie była to dla nich pierwszyzna, bo odwrócili się i powypinali tyłki. Zbyszek wykonał trzy chlaśnięcia i już jeden tupał w miejscu, rozcierając rękoma pośladki. Za chwilę to samo było z drugim. Zauważyłem, że mój niedoszły zbieg próbuje zabrać niedopitą butelkę z wódką, kopnąłem w nią aż potoczyła się w krzaki i rozlała. On natomiast znowu zaczął krzyczeć:

– Nie dość, że ręce mam pokaleczone, to jeszcze wódki dopić nie można! Kupowałeś, że rozlewasz!

Tego mi było potrzeba. Na ty! Do pana władzy!

– A pójdziesz mi stąd, łachudro jedna, czy ci pomóc? – mówiąc to zacząłem wyjmować pałkę z uchwytu. Otrzeźwił go chyba ten widok, bo odwrócił się i chciał odejść, ale było już za późno. Pociągnąłem go dwa razy po plecach i zaczął biec. Nie chciałem go podcinać drugi raz, a już pałką nie sięgnąłem. Sięgnął go natomiast Zbyszek, który doskoczył z tyłu. Trafił go chyba końcem pałki w ucho, bo facet wrzasnął i rzucił się ścieżką naprawdę ostrym biegiem. Jego koledzy byli już daleko, bo też uciekli, widząc co się dzieje. Więcej w krzakach nikogo nie było. Może wcześniej ktoś tam był, ale pewnie uciekł, widząc światła latarek i słysząc naszą „rozmowę". Pozostało nam wracać na dworzec. Chodziliśmy po peronach szukając dziury w całym, czyli kogoś, do kogo można byłoby się przyczepić. Było jednak pustawo i nic się nie działo.

– Czegoś się rechotał tam w krzakach, jak ten facet ręce pokazywał? – spytałem Zbyszka.

– Wyobrażałem sobie, jak będzie jutro kładł cegły – mówiąc to złożył dłonie wierzchem jedna do drugiej i udawał, że podnosi cegły. Robił to tak komicznie, że również parsknąłem śmiechem.

Gdy już się wyśmieliśmy, odezwał się:

– Darek, chodź pogadamy ze Strzyżem, żeby nas razem puszczał przez te wszystkie dni, kiedy będziemy na dworcu. Te krzaki tak wyczyścilibyśmy, że przez najbliższe pół roku nikt by tam nie zajrzał.

– Mnie to pasuje. Możemy pogadać. Ale wiesz, on patrzy też ile się wniosków do kolegium zrobi.

– No to w czym problem? Zaraz zrobimy.

– Ale komu i za co?

– Jak to –"za co? Niech tylko któryś zapali papierosa na dworcu i będzie trochę podcięty, to już ma wniosek. Pijanego mandatem nie wolno karać.

– Masz rację. Możemy też zapolować na obszczymurków przy barze piwnym – wpadłem na pomysł.

– No pewno. To idziemy najpierw tam, a później poszukamy palaczy.

Dworzec w Katowicach chyba jako jedyny w Polsce miał bar z piwem kuflowym. Wszędzie w kraju był zakaz sprzedaży na terenie PKP, a tutaj Ślązacy nie dali sobie odebrać swojego ulubionego napoju. Ponieważ otwarte było do późna w nocy, niedopici i skacowani z całego miasta ciągnęli na dworzec, jak pszczoły do miodu. Na piwo im pieniędzy starczyło, ale na dworcowe WC już nie. Wychodzili więc przed dworzec i oddawali mocz w różnych ustronnych miejscach, a czasami co bardziej pijani tuż obok dworca niezbyt nawet kryjąc się. Mówił o tym chorąży na odprawie i prosił, żeby zwrócić uwagę na – jak się wyraził – „obszczymurków".

Wystarczyło dziesięć minut, postaliśmy sobie w cieniu i już holowaliśmy do placówki na terenie dworca dwóch panów, którzy chcieli zaoszczędzić na WC. Nic nie pomogły prośby, dmuchali w probierz trzeźwości i po spisaniu personaliów przygnębieni poszli do domu. Przy okazji mieliśmy ze Zbyszkiem możliwość obejrzenia placówki MO. Nic szczególnego. Dwa pomieszczenia, z których jedno z biurkiem i krzesłem było częścią główną. Natomiast drugie, z WC, przegrodzone kratą stanowiło pokój dla zatrzymanych. Zarządzał tym wszystkim gruby, mocno zbudowany sierżant. Był bardzo szczęśliwy z powodu naszego przyjścia. Pomógł pisać protokoły i nie omieszkał przyłać pałą w grzbiet delikwentom, których prowadziliśmy.

– To po to, żebyście dworzec omijali z daleka. Za drugim razem będzie po dwie pały – krzyknął za nimi.

Poszedłem do drugiego pomieszczenia, żeby skorzystać z WC. Za kratą spało dwóch zatrzymanych. Nawet nie otworzyli oczu, gdy wszedłem. Chyba włóczędzy, bo w powietrzu unosił się trudny do opisania odór alkoholu i nie mytych ciał. Wstrzymałem oddech i starałem się jak najszybciej wyjść. Moją uwagę przykuł jednak na chwilę zlew i kran. Zastanowiła mnie wysokość, na jakich były umieszczone. Kran wystawał ze ściany na normalnej wysokości, natomiast zlew ktoś umieścił przy samej podłodze. Początkowo myślałem, że się urwał, ale gdy mu się lepiej przyjrzałem stwierdziłem, że nie. Był przymocowany do ściany i podłączony do odprowadzenia ścieków. Wyszedłem szybko z tego smrodu głęboko łapiąc powietrze. Sierżant spojrzał na mnie.

– Co? Śmierdzi?

– Jak cholera.

– Zawsze tak. Można sobie wietrzyć i sprzątać, ale wystarczy jednego bezdomnego

osadzić i już smród nie do wytrzymania. Tych dwóch czeka na transport. Czubki (zrobił kółko palcem na czole) ze szpitala psychiatrycznego w Rybniku. Tydzień temu uciekli, a dzisiaj ich zgarnąłem. Nie ma tygodnia, żebym kogoś stamtąd nie złapał.

– To nie pilnują ich wcale, czy co? – spytał Zbyszek.

– Może i pilnują, ale też wypuszczają na przepustki albo zwalniają do domu. A gdzie te biedaki się podzieją? Rodzina ma ich w dupie i najczęściej nie chce do domu wpuścić. To leżą na dworcu. Tu przynajmniej nie pada, ciepło i peta można z popielniczki zapalić. – Sierżant najwyraźniej lubił wariatów, bo w jego głosie słychać było współczucie.

– Ja bym taką rodzinkę przyprowadził na dworzec, to by wtedy zrozumieli – odezwałem się.

– Tak ci się wydaje. Ale oni też mają krzyż pański z takim psychicznym. Ani to się samo nie umyje, ani zje jak człowiek. Jeszcze trzeba pilnować, żeby chałupy nie spalił, lub czego innego nie zrobił. Niektórzy cierpią i trzymają w domu, a inni wyganiają... Takie życie – spokojnie mi wyjaśnił.

Zrobiło mi się głupio. Zastanawiałem się jak zapytać o ten zlewozmywak. Zbyszek postanowił pójść do WC, więc miałem nadzieję, że jego też to zaintryguje i może on zapyta. Nie chciałem znowu się zbłaźnić.

– Rzeczywiście, cuchnie strasznie – zauważył wychodząc.

– Z człowieka chyba jest najgorszy smród. W chlewni już mniej śmierdzi – powiedziałem.

Sierżant pokiwał tylko głową. Spojrzałem na zegarek. Dochodziła siódma, czyli godzina, o której mieliśmy zjechać na kolację do jednostki. Sierżant był chętny do rozmowy, więc postanowiłem zaryzykować:

– Obywatelu sierżancie, a czemu ten zlew jest tak nisko założony? Przecież jak się puści wodę, to pryska na wszystkie strony.

Sierżant uśmiechnął się.

– Też cię to dziwi... Najbardziej zdziwił się jeden pułkownik z Warszawy, kiedy przyjechał tu na kontrolę. Na służbie był wtedy Alojz. Bo my tu we dwóch na tej placówce siedzimy – zapalił papierosa i usiadł sobie wygodniej, szykując się do dłuższego opowiadania. – No więc wchodzi ten pułkownik, za nim dwóch z Wojewódzkiej i od razu z mordą na Alojza, że brudno, że mundur nie pozapinany. A jeszcze tego drugiego pomieszczenia nie widzieli, tylko tutaj cały czas stoją. Alojz mundur pozapinał, ale nic się nie odzywa, bo pijany i mu z gęby jechało. Bał się, że poczują. Nagle pułkownik łaps za klamkę i wlazł tam. Wyskoczył purpurowy i drze się dalej: „Co to za smród? Czemu te ściany krwią pochlapane? Przecież to trzeba zamalować. Tak placówka nie może wyglądać!" Alojza to wkurwiło i mówi: „To by trzeba było ją co dzień malować, towarzyszu pułkowniku". Tych dwóch, którzy przyszli z pułkownikiem, patrzyło na Alojza takim wzrokiem jakby go chcieli zjeść. A ten gada dalej: „Jak kibiców się zacznie oprawiać

w sobotę albo w niedzielę, to w poniedziałek zawsze jest krew na ścianach". Pułkownika zatkało. Spojrzał na Alojza jakby ducha zobaczył. Zajrzał jeszcze raz za drzwi i pyta właśnie o ten zlew. A Alojz spokojnie: „Towarzyszu pułkowniku, jak któremu się za mocno przyleje i zemdleje, to się go podciąga do tego zlewu. Łeb mu się wsadza, puszcza wodę z kranu i zaraz dochodzi do siebie". Pułkownik stanął jak wryty. Chwilę popatrzył na Alojza i do tych z Komendy Wojewódzkiej: „Chodźmy stąd" – wychrypiał i szybko wyszedł.

Przy ostatnich słowach sierżant śmiał się, aż mu łzy z oczu ciekły.

– Ten pułkownik później w WUSW chciał, żeby mu pokazali wszystkie skargi na milicjantów z tej placówki. Jak mu powiedzieli, że nie ma żadnej, to nie chciał wierzyć – dokończył.

– I co, rzeczywiście nie ma skarg? – spytałem.

– Pewnie, że nie ma. Jak ktoś porządnie wpierdol dostanie, to nigdy skargi nie napisze. Jak go pukniesz lekko, to się tylko rozdrażni i wtedy wypisuje głupoty. A jak go zlejesz porządnie, to się boi i nie pisze.

– A ten zlew służy naprawdę do cucenia? – spytał Zbyszek.

– Czasami się rzeczywiście przydaje, tak jak Alojz mówił, ale tak naprawdę to od początku, jak dworzec postawili był tak zamontowany. Diabli wiedzą – dlaczego. Myślę, że hydraulikowi zabrakło kawałka rury, po pijanemu tak założył i już zostało.

Po kolacji kilka razy byliśmy jeszcze w krzakach i upolowaliśmy ze Zbyszkiem jeszcze po dwóch i wypisaliśmy wnioski do kolegium.

Inne patrole w rejonie dworca też nieźle nałapały, więc Strzyż był z wyników służby zadowolony. Na moją i Zbyszka prośbę, byśmy razem chodzili na patrole, przystał chętnie i powiedział, że sam chciał nam to zaproponować, ale nie wiedział czy nam się dobrze razem pracuje.

Służbę zaczynaliśmy z reguły tak samo jak pierwszego dnia, tzn. od wizyty w krzakach. Pomimo to, że wyłapywaliśmy codziennie po kilkunastu pijanych, liczba ich wcale się nie zmniejszyła. Sierżant z placówki wyjaśnił nam, że przez dworzec przewija się tysiące osób, więc trzeba by było w tych krzakach działać przez parę lat, a wtedy może by to coś dało. Nie zniechęcaliśmy się jednak i trzeba przyznać, że nie zdarzyło się nam spotkać tam dwa razy tej samej osoby.

Pozostałe patrole z naszego plutonu też działały w rejonie dworca. Wszyscy od czasu do czasu zaglądali do rejonu, gdzie było najwięcej sikających piwoszy. Był to rejon wyznaczony do patrolowania przeze mnie i Zbyszka, ale my często zajęci byliśmy w krzakach, dlatego chłopcy wykorzystywali naszą nieobecność i niejako wyręczali nas. Mnie to było obojętne, ale Zbyszek strasznie złościł się, że „podbierają mu wyniki". Śmiałem się z niego, że sam chciałby świat zbawić. Mnie jakoś nie złościło to włażenie kolegów w nasz rejon.

* * *

Nie wszystkie patrole przejmowały się robotą. Byli tacy, którzy patrzyli tylko, gdzie tu by coś wypić albo poderwać jakieś dziewczyny. Wszystko było jednak z umiarem. Nawet jeśli ktoś wypił, to tyle, żeby nie było po nim za bardzo widać. Natomiast z dziewczynami wychodzili chłopcy z dworca i kryli się gdzieś w ustronnych miejscach. Najczęściej były to zwykłe kurwy plączące się w nocy po dworcu w poszukiwaniu klientów, ale zdarzały się też normalne, szukające wrażeń dziewczyny. Strzyż krzywił się na te „amory". Uprzedzał chłopaków, że takie kontakty mogą się skończyć wizytą u lekarza. Przymykał jednak oko, gdyż wyniki plutony były świetne. Wnioski, mandaty, zatrzymania poszukiwanych – codziennie było tego tak dużo, że w porównaniu z nami poprzednicy wypadali co najmniej blado. Nie chciał więc nasz dowódca poprzez czepianie się psuć dobrej atmosfery. Któregoś dnia wpadł na kontrolę Nowakiewicz. Dojeżdżał już do dworca, gdy zauważyłem, że ktoś siedzi w jednym ze starów, które przywoziły nas na służbę. Byłem blisko, więc podbiegłem, żeby ostrzec chłopaków. Nie zdążyłem jednak. Nyska podjechała pod same drzwi, ledwie zdążyłem schować się za stara. „Cap" wlazł do środka i od razu zaczął opieprzanie:

– Co to za siedzenie na służbie? ! – zajrzał głębiej i zobaczył, że oprócz patrolu siedzą tam jeszcze dwie dziewczyny. – Panienek wam się zachciało? – Poświecił latarką. – Teraz panienki, a potem będziecie latać po lekarzach i nosić małego w ręczniku, żeby nie odpadł. Coo? – wydzierał się.

Groniec, który tego dnia jeździł z nim jako kierowca, zaczął go stukać w łokieć, próbując coś powiedzieć, ale „Cap" się rozzłościł i na nic nie reagował.

– Wynosić mi się w rejon! – ryknął na obu poczerwieniałych chłopaków. Gdy wyszli i stali niezdecydowani przed samochodem, zwrócił się do dziewczyn: – A wy co? Nie macie się już kogo czepić, tylko milicjantów? Klientów zabrakło, że za darmo dupy dajecie?

– My… wcale… – zaczęła jedna coś bąkać, ale jej przerwał.

– Tak, kurwa, wcale – chwilę się zastanowił. – Badania aktualne macie, że się po dworcu nie boicie plątać?

Dziewczyny głowy pospuszczały i już się nie odzywały. „Cap" ryknął na nie:

– Aaa, nie macie! To wypierdalać mi stąd i żebym was więcej na dworcu nie widział! Bo wezmę nożyczki i łby na łyso pogolę. Won! Ale to już! – mówiąc to odsunął się od drzwi, które do tej pory zasłaniał swoim ciałem.

Dziewczyny wyskoczyły jak oparzone i prawie biegiem uciekły. Nowakiewicz wyszedł ze stara, popatrzył na stojących w pobliżu niefortunnych kochasiów i krzyknął:

– A wy na co czekacie? Wynosić mi się w rejon i żebym was więcej na amorach nie złapał!

Patrol poszedł jak niepyszny w kierunku dworca, natomiast do „Capa" odezwał się Groniec:

– Ale dowódca chłopakom numer wyciął.

– Jaki numer? Przynajmniej syfa nie złapią.

– I tak by nie złapali, bo to nie były wcale kurwy.

– Jak to nie kurwy? Co ty pieprzysz? – roześmiał się.

– Mówię dowódcy, że to wcale nie były kurwy. Tą jedną znam. Andrzej już z nią trzy lata chodzi. Wiem, bo znałem ich jeszcze przed wojskiem i ostatnio mówił, że dzwonił do Anki, żeby przyjechała do niego na dworzec. Ona wcześniej już chciała przyjechać, ale Andrzej nigdy nie wiedział, gdzie będzie na służbie. Teraz mu się trafił dworzec przez tydzień, dlatego chciał wykorzystać okazję.

– To czegoś, cholera, nic wcześniej nie mówił? – burknął najwyraźniej zmartwiony „Cap".

– Próbowałem, ale dowódca nie chciał wcale słuchać.

Nowakiewicz zastanowił się chwilę nad tym co zaszło.

– Oj tam! Nic się nie stało – próbował zbagatelizować całą sprawę.

– Tak! Nic. A dziewczyny pomyślą, że ich chłopaki cały czas łażą z jakimiś dziwkami – nie dał mu spokoju Groniec.

– Jeśli są mądre, to tak nie pomyślą. A jeśli są głupie, to niech spieprzają. Poderwą sobie chłopaki coś nowego i jeszcze kiedyś, za parę lat będą mi wdzięczni.

O czymś jeszcze rozmawiali, ale już nic nie słyszałem, bo wsiedli do nyski. Obejrzałem się, bo miałem wrażenie, że ktoś miga do mnie latarką. Nie myliłem się. To Zbyszek dawał znak, że idzie.

– Ale wyrwałeś – zaczął. – Z początku biegłem za tobą, ale widziałem, że nie zdążysz i schowałem się za przystanek. Co tu było?

– „Cap" przyłapał Dybciaka i Piekarskiego jak romansowali w stanie.

– Wpisał im się w pamiętniki?

– Całe szczęście, że nie. Ale dziewczyny wyzwał od kurew i przegonił.

– Wiele się nie pomylił – roześmiał się Zbyszek.

– Właśnie, że się pomylił. Słyszałem jak później Groniec mu tłumaczył, że źle zrobił, bo to były ich normalne dziewczyny. Wiesz, takie sprzed wojska.

– To rzeczywiście źle wyszło – zmartwił się.

* * *

Tak rozmawiając doszliśmy do „naszych" krzaków. Zbyszek stanął na chwilę nasłuchiwał. Ja również się zatrzymałem.

– Co jest? – szepnąłem.

– Jakieś jęki słyszałem. Tak jakby ktoś kogoś dusił – odpowiedział też szeptem i zaraz dodał: – Podchodzimy ostrożnie.

Skradaliśmy się jakieś trzydzieści metrów. Mimo ostrożnego stawiania stóp co chwi-

łę pod nogami trzasnęła jakaś gałązka albo zachrzęściło szkło. Tutaj na szczęście, w środku miasta hałasy tłumił wieczorny ruch uliczny i odgłosy pociągów. Dotarliśmy do znanej nam polanki i stanęliśmy jak wryci. Rozgrywała się tam scena, która w pierwszej chwili obezwładniła nas. Na naszych oczach odbywał się gwałt. Jeden mężczyzna leżał na rozebranej od pasa w dół kobiecie. Za nią od strony głowy klęczał drugi i przytrzymywał za ręce. Kobieta wyrywała się i próbowała krzyczeć. Głośnego krzyku jednak wydobyć z siebie nie mogła, gdyż w usta miała coś wepchnięte. Jak się później okazało, były to rajstopy.

Spojrzeliśmy na siebie i szepnąłem:

– Pokazuj. Na trzy ruszamy.

Zbyszek powoli podniósł pięść do góry, tak żeby była widoczna. Odgiął kciuk i w myślach policzyłem. Raz. Odgiął wskazujący. Dwa. Nad trzecim chwilę się wahał i wyprostował się gwałtownie. Trzy! Skoczyliśmy. Do przebiegnięcia mieliśmy około piętnastu metrów. Sadziliśmy wielkimi krokami.

– Stój! Milicja! – wydarłem się w biegu.

Chyba niepotrzebnie, gdyż ten, który przytrzymywał ręce, wykazał się refleksem, zerwał się i zaczął uciekać. Puściłem się biegiem za nim. Kątem oka zobaczyłem tylko jak Zbyszek kopniakiem w twarz zrzucił drugiego z kobiety. Pomyślałem: Zbycho da sobie radę. Uciekający przede mną biegł szybko i miał ze dwadzieścia metrów przewagi. Jedną ręką trzymałem radiostację, żeby nie obijała mi się o nogi, a drugą w biegu przytrzymywałem czapkę. W końcu zdjąłem czapkę z głowy. Odległość zaczęła się zmniejszać. Wybiegliśmy na ulicę, pustawą o tej porze. Wyrównałem oddech i zacząłem przyspieszać. Byłem pewny, że mi nie ucieknie. Widziałem, że biegnie całą parą, a ja jeszcze mogę przyspieszyć. Gdy byłem już od niego jakieś dwa metry, skręcił gwałtownie z ulicy w bramę. Niedobrze, błysnęło mi w głowie, ale wpadłem za nim w pełnym biegu i od razu poczułem ulgę. Ślepe podwórko, w którym nie było nic oprócz pozamykanych już butików. Dwa wejścia do kamienic były tuż przy bramie i w biegu minęliśmy je. Stanął pod ścianą próbując złapać oddech i odwrócił się do mnie. Tak na oko był w moim wieku. Rozglądał się w panice na boki, szukając drogi ucieczki.

– Nie ma którędy, frajerze – wydyszałem.

W odpowiedzi wyciągnął coś z kieszeni. Usłyszałem suchy trzask i zobaczyłem błysk ostrza. Nóż! – przebiegło mi jak błyskawica przez myśl. Ja to mam szczęście! Powoli, nie spuszczając przeciwnika z oka położyłem czapkę i radiostację na ziemi. Zdjąłem górę munduru i owinąłem ją dookoła lewej ręki, robiąc sobie tarczę, która przynajmniej częściowo mogła uchronić mnie przed nożem. Pałkę uznałem za nieprzydatną, więc odłożyłem ją również na ziemię. Uznałem, że pas zakończony ciężką klamrą będzie bardziej skuteczny. Mój przeciwnik z uwagą patrzył na te przygotowania. Byłem zadowolony, że gapił się zamiast atakować. Gdyby zrobił to, gdy zdejmowałem marynarkę, mógłbym

mieć kłopoty. Teraz, już przygotowany, szedłem do niego. Nerwowo przerzucił nóż do drugiej ręki. Widziałem, że nie wie co zrobić i że się po prostu boi. Pewnie! Ja na jego miejscu też bym się bał. Pas w ręku dawał mi tę przewagę, że mogłem uderzyć go klamrą z odległości, która wykluczała dosięgnięcie mnie nożem.

– Rzuć tę kosę, chłopie, i nie ładuj się w jeszcze większe gówno – powiedziałem spokojnie.

Widziałem, że się zawahał, więc krzyknąłem:

– Rzucaj, kurwa, bo ci go sam zabiorę!

Pomogło! Nóż brzęknął o ziemię, ale leżał o pół metra od jego nóg.

– Cofnij się pod ścianę i połóż twarzą do ziemi. Ręce na plecy.

Posłusznie zrobił kilka kroków w tył i położył się. Idąc do niego kopnąłem nóż pod ścianę i wyjąłem kajdanki. Nosiłem je zatknięte jednym oczkiem za pasek spodni. Podchodziłem do niego od głowy i trochę z boku. Wydawało mi się to bezpieczniejsze na wypadek, gdyby przyszło mu do głowy próbować załatwić mnie tzw. bykiem. Nic takiego jednak się nie stało i spokojnie zakułem mu ręce.

Odetchnąłem! Dopiero teraz poczułem jak bardzo byłem spięty. Ubrałem się i za kołnierz poprowadziłem swoją zdobycz. Śpieszyłem się. Obawiałem się o Zbyszka. Został bez radiostacji. Jakby poszło coś nie tak, nie miał nawet możliwości wezwania pomocy. Wszystko jednak było w porządku, tzn. gwałciciel skuty kajdankami nie dawał znaku życia i leżał na ziemi. Zbyszek natomiast, kucnąwszy, rozmawiał z siedzącą na ziemi, ubraną już dziewczyną, która łkając ledwo mogła wydusić z siebie słowa. Ale zacisnąłem zęby, gdy popatrzyłem, że jest to naprawdę ładna dziewczyna, sprawiająca wrażenie porządnej, siedemnasto, osiemnastoletnia blondyneczka. Przedtem, biegnąc, zastanawiałem się, czy dobrali się do jakiejś pijanej kurwy czy to klasyczny gwałt.

– Co z nim? – spytałem pokazując na leżącego.

– Drzemka poobiednia – roześmiał się Zbyszek i poważnie już dodał. – Znieczulony, ale oddech i tętno w porządku.

– Chciał walczyć?

– Trochę, a później zaczął dziewczynę straszyć, że jej głowę utnie i trochę mu dołożyłem – puścił do mnie oko i dodał po chwili: – Wiesz, że trzymasz za kołnierz brata tej pani?

Mówiąc to podniósł się i podszedł do mnie.

– Wyobraź sobie – wściekłość dusiła go w gardle. – Obiecał koledze, że siostra będzie z nim chodzić. A jak się okazało, że nie chce, to zwabili ją w pobliże krzaków i…

Dziewczyna słysząc to, załkała jeszcze głośniej.

Wiedziałem, że Zbyszek jest wściekły. Wiedziałem, co stanie się za chwilę i nie miałem najmniejszego zamiaru go powstrzymywać. Przeciwnie, odepchnąłem lekko od siebie skutego kajdankami mężczyznę, tak że znalazł się między mną i Zbyszkiem i z całej

siły kopnąłem, starając się trafić w jądra. Trafiłem celnie, bo zawył z bólu i klęknął. Zbyszek kopnął go w żołądek i gdy ten upadł na bok, kopał go w brzuch dalej z jakąś mściwą zawziętością. Dziewczyna ukryła twarz w dłoniach i płakała głośno.

– Zostaw, bo zabijesz – uspokoiłem Zbyszka lekko odpychając go.

– A czy on, kurwa, zasługuje na to, żeby żyć? – powiedział i odszedł.

– 900 zgłoś się do 917! – krzyknąłem przez radiostację.

– Zgłaszam się – odpowiedział dyżurny z komisariatu.

– Mam zdarzenie w rejonie. Zgwałcenie.

– Sprawca… – zapytał dyżurny.

– Zatrzymanych dwóch. To zbiorowy gwałt. Poszkodowana też tu jest.

– Karetka potrzebna?

– Chwilę… – powiedziałem podchodząc do dziewczyny.

– Jak się czujesz? Wezwać lekarza? – spytałem.

– Nie. Nie trzeba – odpowiedziała ukrywając nadal twarz w dłoniach. Miała bardzo miły głos, który w połączeniu z łkaniem sprawił, że znowu coś we mnie w środku zawyło i ręce zacisnęły się w pięści. Dyżurnemu przekazałem, że karetka nie będzie potrzebna.

– Rozdarłbym tych skurwysynów gołymi rękoma – powiedziałem ni to do siebie, ni to do Zbyszka.

Radiowóz zjawił się bardzo szybko. Po chwili podjechał także Strzyż drugim radiowozem. Myśleliśmy, że po nas, ale okazało się, że nie tylko. Przywiózł grupę do oględzin tego miejsca. Musiałem pokazać całą drogę pogoni i miejsce, gdzie leży nóż. Dochodzeniowiec trochę myślał nad tym, czy uda się zrobić sprawę za czynną napaść, ale doszedł do wniosku, że będzie trudno, bo sprawca wzywany sam odrzucił nóż i nie zaatakował. Słuchałem go z zaciekawieniem. Pierwszy raz spotkałem się z milicjantem, który wypytywał o najdrobniejsze szczegóły i wszystko zapisywał tak jak było. Bez naciągania i kolorowania. Bardzo nie podobał mu się wygląd obu zatrzymanych. Zaczął bąkać pod nosem, że mogą być kłopoty w prokuraturze. Strzyża w końcu to wkurzyło:

– Ciekawe, czy na miejscu chłopaków zatrzymałbyś tych obu? Przecież nawet broni nie mają, szli z gołymi rękoma – odezwał się do dochodzeniowca.

– Nie wiem, czy bym zatrzymał. Pewnie wezwałbym posiłki i dopiero się za to brał. Za bardzo narwani są ci chłopcy, a potem muszę się przed prokuratorem wykręcać. Czepiają się mnie, dlaczego zatrzymani zostali pobici. Z paru spraw trzeba było się wycofać, żeby nie było większej draki – wyjaśnił dochodzeniowiec.

– Bez przesady. Nie jest tak źle – zaprotestował Strzyż.

– No, zawsze jakoś udaje się wybrnąć. Ale najgorzej jest z młodymi prokuratorami. Są świeżo po studiach i myślą, że wszystko trzeba zgodnie z kodeksem.

– Przejdzie im jak trochę życia poznają.

– Przejdzie albo nie. Był niedawno taki młodziak, zaczął przyjmować zawiadomienia o pobiciu przez was po jakiejś manifestacji. Zanim się w prokuraturze zorientowali nazbierał chyba ze dwadzieścia osób. Draka się zrobiła jak diabli.

– I jak się to skończyło? – spytał Strzyż zaciekawiony.

– Nie wiem. Nie widzę go teraz. Pewnie go gdzieś przenieśli – odpowiedział dochodzeniowiec.

Wykonali sporo zdjęć. Zabrali nóż, rajstopy dziewczyny, która siedziała już w radiowozie, i pojechali. Zatrzymani doszli już trochę do siebie i mogli o własnych siłach wsiąść do radiowozu. Odjeżdżając dochodzeniowy przypomniał nam, żebyśmy podpisali protokoły z zatrzymania i podrzucili mu na koniec służby. Nasz dowódca uznał, że na dzisiaj wystarczy pracy i odwiózł mnie i Zbyszka do komisariatu, żebyśmy przygotowali dokumenty dotyczące zajścia.

– Dowódco, to jak jest z tymi prokuratorami? Mogą narobić kłopotów? – spytał Zbyszek.

– Nie jest tak źle jak tamten gadał. On zawsze przesadza. Przez tę skrupulatność już pięć lat chodzi jako młodszy chorąży i nie może awansować. No, ale zawsze trzeba uważać, żeby śladów nie zostawiać i wszystko opisać – wyjaśnił Strzyż.

– Prokuratorzy naprawdę tak się czepiają? – spytałem.

– Różnie to bywa. Znam takiego, który sam leje w trakcie przesłuchań, jak mu się złodziej stawia i zaczyna pyskować. No, ale są i tacy, którzy się czepiają. Nie zdarzyło się jednak, żeby mi któregoś z chłopaków posadzili. Było gorąco czasami, bo chłopaki komuś rękę połamali, ale zawsze jakoś udało się wybrnąć. Najgorzej jest przy takich zatrzymaniach jak dzisiejsze, bo wiadomo, który milicjant zatrzymywał. Jak są duże akcje, to nie ma kłopotu. Wszyscy w jednakowych mundurach, w kaskach i nikt nie dojdzie kto komu dowalił. Zbiorowej odpowiedzialności nie ma i sprawa idzie do kosza – wyjaśnił mi.

Chwilę pisaliśmy w milczeniu. Strzyż zaglądał mi przez ramię.

– Nieźle ci idzie pisanie. Chyba masz maturę? – spytał.

Zdrętwiałem! Od razu przeszło mi przez myśl, że wie w jaki sposób trafiłem do ZOMO i zaraz się wygada. Siląc się na spokój odpowiedziałem:

– Nie mam. Nie zdążyłem zdać. Może po wojsku się uda.

– No tak. Czasami tak się układa w życiu – odparł.

Po jego minie wiedziałem, że intensywnie myśli o czymś. Czyżby próbował sobie coś przypomnieć? A może to tylko moje przeczulenie? Na złodzieju czapka gore. Facet spytał o szkołę, a ja już panikuję. Po chwili okazało się, że nie myliłem się co do tego, że Strzyż o czymś myśli. Poszedł na chwilę do radiowozu i po powrocie oznajmił:

– Nie mogłem sobie przypomnieć. Musiałem sprawdzić na liście. Masz, Darek, trzy dni urlopu. Jutro po szkoleniu możesz wyjeżdżać do domu… – zawiesił głos patrząc na moją reakcję.

Zaskoczenie było całkowite. Mało brakowało, a podskoczyłbym do góry z radości.

– Dziękuję, dowódco.

– A mnie za co? – wzruszył ramionami. – Samemu sobie podziękuj. Borowiec tak cię wychwalał przed Starym za Częstochowę, że wydusił z niego ten urlop. A on niezbyt chętny do takich rzeczy. Woli napisać wniosek o premię pieniężną niż tracić dobrego chłopaka na kilka dni – wyjaśnił uśmiechając się.

Popatrzył na spochmurniałego Paczesia i klepnął go w plecy.

– Nie martw się. Ty też pewnie niedługo pojedziesz. Masz dobre wyniki, a za dwa tygodnie mamy pisać wnioski o wyróżnienia dla najlepszych. Na razie łapiesz się w pierwszej dziesiątce. Ty, Darek, też.

Gdybym się nie wstydził, to z radości chyba bym skakał po korytarzu. Trzy dni w domu! Lepszej wiadomości nie mógł mi Strzyż przynieść.

* * *

Wieczorem długo nie mogłem zasnąć. Pomimo iż była już 23.00, siedziałem w palarni i myślałem jak to będzie. Iza pewnie już wróciła z kolonii i zobaczę się z nią. Będę miał czas, żeby pogadać z chłopakami, bo na poprzedniej przepustce widziałem się z nimi tylko przez chwilę. Tyle miałem wrażeń do przekazania. Będą siedzieć i słuchać z otwartymi gębami. Chwilę zastanawiałem się co powiem Izie. Byłem zły na nią, że nie pisze. Doszedłem jednak do wniosku, że pójdę do niej i zobaczę jak to będzie. Chciałem też porozmawiać z matką. Może pójdziemy razem na grzyby. Wtedy najlepiej nam się rozmawiało.

Zaplanowałem sobie wszystko i w końcu poszedłem spać.

Zajęcia następnego dnia ciągnęły się niemiłosiernie. Co chwilę patrzyłem na zegarek i siedziałem jak na rozżarzonych węglach. Trochę uspokoiłem się na sali gimnastycznej. Adamiec pokazywał chłopakom dźwignię na nadgarstek, której nie znałem i chciałem się nauczyć. Zajęty ćwiczeniem zapomniałem nawet o przepustce. Obiadu już nie jadłem, tylko odebrałem przepustkę od pisarza, szybko przebrałem się w cywilne ciuchy i goniłem na dworzec. Okazało się, że mogłem spokojnie zjeść obiad, bo najbliższy pociąg do Warszawy miałem za godzinę. Nie miałem co robić, więc trochę połaziłem po uliczkach przy dworcu i poszedłem zobaczyć co słychać u sierżantów z placówki. Siedzieli i nudzili się. Byli dzisiaj tylko we dwóch, bo żadna z kompanii ZOMO nie miała służby. Gdy dowiedzieli się, że jadę do Warszawy, Alojz zaproponował mi:

– Chcesz jechać za darmo i sam w przedziale?

– No pewnie – odparłem.

– No to nie kupuj biletu. O 15.00 odjedzie ekspres „Chemik". Leci magistralą węglową. Zatrzymuje się w Sosnowcu, a potem dopiero w Warszawie. Idź do kierownika pociągu. Pokaż mu legitymację i powiedz, że jedziesz do Warszawy. On będzie wiedział o co chodzi. Otworzy ci przedział służbowy i będzie się cieszył.

– A z czego ma się cieszyć? – spytałem zdziwiony.

– Ano z tego, że będzie miał milicjanta pod ręką. Ten pociąg nigdzie nie staje po drodze i jak jest jakaś awantura, to muszą do Warszawy ciągnąć się z klientem. A tak jest gliniarz pod ręką i sprawę załatwi – wyjaśnił.

Podziękowałem mu i poszedłem na peron, bo zbliżała się pora odjazdu. Wszystko przebiegło tak, jak radził mi sierżant. Kierownik otworzył mi służbowy przedział, uśmiechając się cały czas.

– Może pan władza spać sobie do samej stolicy. Jak dojedziemy, to obudzę... No chyba, że coś się będzie złego działo, to pozwolę sobie wcześniej...

– No oczywiście. Niech pan się nie krępuje. Jakby coś, to zaraz do mnie i załatwimy sprawę.

Rozkładając siedzenie w przedziale pomyślałem, że ZOMO ma swoje dobre strony. Jadę sobie jak panisko, w dodatku za darmo. Kierownik też zadowolony, bo ma pod ręką pomoc, której nie trzeba szukać, bo wiadomo gdzie jest. Uśmiechnąłem się do siebie. Okazało się, że przez całą drogę nie potrzebował pomocy i komfortowo, bez żadnych nerwów dojechałem przesypiając część drogi.

W domu czekała mnie niespodzianka. Nie było nikogo. Całe szczęście, że miałem klucz, bo nie wiedziałbym co ze sobą począć. Domyśliłem się, że matka z ojczymem pojechali na działkę. Chwilę zastanowiłem, się, czy do nich nie pojechać, ale stwierdziłem, że szkoda czasu. To przecież 100 km w jedną stronę, a Bóg jeden wie, czy naprawdę są na działce, czy też poniosło ich gdzie indziej.

Lodówkę zostawili pełną, więc chyba wyskoczyli gdzieś na krótko. Pewnie na sobotę i niedzielę, i przed poniedziałkiem zlądują do domu. Gdy wyjeżdżali na dłużej, matka zawsze opróżniała i rozmrażała lodówkę. Do jednostki miałem na wtorek rano, a więc jeszcze w poniedziałek będę miał czas pogadać. Niemniej było mi smutno, gdy usypiałem w pustym domu.

W sobotę rano przeżyłem następne rozczarowanie. Już o dziesiątej pomaszerowałem do Izy. Kupiłem mały bukiecik stokrotek. Drzwi otworzył mi jej ojciec. Warknął, że wraca za tydzień i o mało nie przyciął mi nogi w drzwiach, tak szybko je zamykał. Od początku nie przepadał za mną. Nie pasował mu chłopak z rozbitej rodziny, na dokładkę z lekka łobuzowaty. Kiedy dowiedział się, że jestem w ZOMO, nawet nie starał się ukryć wrogości. Pomyślałem sobie, że niepotrzebnie się przejmuje. Wszystkie znaki na niebie i ziemi zaczynają wskazywać, że moim teściem nie będzie.

Plan, jaki ułożyłem sobie w jednostce posypał się i nie wiedziałem co ze sobą zrobić. Pozostali mi tylko chłopcy. W domu zastałem tylko Słonia, który śpieszył się na trening i nie miał czasu pogadać. Powiedział mi tylko, że jutro wieczorem robią ognisko tam, gdzie zawsze, tzn. na polanie w lesie.

W związku z tym, że sobotę miałem z głowy, wyspałem się za wszystkie czasy

i w niedzielę rano poszedłem do lasu. Grzyby dopisały, ale humor mi się nie poprawił. Liczyłem na wieczorne ognisko, ale jeszcze bardziej się zawiodłem. Owszem, piliśmy i wygłupialiśmy się jak dawniej, ale między mną a nimi była jakaś bariera. Niektórych żartów nie rozumiałem, a rozmawiać ze mną nie bardzo było komu. Poprzestali na paru grzecznościowych pytaniach, co tam u mnie słychać i tyle. Oczywiście, z radością przyjęli wódkę, którą przyniosłem. Dokupiłem jeszcze litr, bo oni jak zwykle byli bez forsy, a ja nie zdążyłem jeszcze wydać tego, co ukręciłem w Częstochowie. Czułem się jednak obco w ich towarzystwie. Szalę goryczy przepełnił Marek. Zaczął coś opowiadać o samochodzie, którym ostatnio jeździ. Sylwek dyskretnie kopnął go w kostkę i Marek niezbyt zręcznie zmienił temat. Zorientowali się obaj, że zauważyłem ten manewr:

– Wiesz, Darek, ty teraz jesteś w takiej firmie, że nie wiadomo co przy tobie mówić, a czego nie – wydukał przepraszającym tonem Sylwek, próbując ratować sytuację.

– Do jasnej cholery! Jestem taki sam jak byłem. Nie rozumiecie? Ten sam – wybuchnąłem.

Ucichły rozmowy i patrzyli na mnie jakoś dziwnie.

– No niby tak, ale tyle czasu cię nie było i jakoś nie jest tak jak dawniej, rozumiesz? – włączył się Tadek.

– Krótko mówiąc – wypadłem z obiegu, tak? – krzyczałem dalej. – A czy to, kurwa, moja wina? !

Czułem, że żal łapie mnie za gardło i do oczu cisną się łzy. Zerwałem się od ogniska i zacząłem biec przez las. Tadek krzyczał coś za mną, ale nie chciałem nawet słuchać. Łzy ciekły mi po twarzy i biegłem coraz szybciej. Blisko domu zwolniłem. Skręciłem w krzaki i wyszedłem na przylegającą do stawu polankę. Było to kiedyś moje ulubione miejsce. Na środku leżał duży kamień, na którym można było usiąść, bo teren był podmokły. Naokoło rosły gęste krzaki, rzadsze trochę bliżej stawu, tak że prześwitywała woda. Przed wojskiem przesiedziałem tu wiele godzin, podglądając dzikie kaczki i szczury wodne. Uciekałem tam zawsze, kiedy było mi źle, gdy ojciec pijany rozrabiał w domu, albo już po rozwodzie, kiedy do matki przyjeżdżał mój obecny ojczym. Zapaliłem papierosa i siadłem sobie jak dawniej na kamieniu. Jesienne krzaki pozbawione liści nie tworzyły już kryjówki. Gdyby nie noc, widać by mnie było z daleka. Uspokoiłem się jednak trochę i zacząłem tłumaczyć sobie, że nie ma się czym przejmować. Że łzy mi trochę poleciały, to nawet dobrze. Zresztą, i tak nikt nie widział. A to, że przepustka nie wyszła, to niczyja wina. Ani matka, ani Iza nie mogły wiedzieć, że przyjadę. A chłopaki? Nic dziwnego. Pół roku mnie nie było. Jestem w ZOMO i nie wiedzą jak się zachować. Zresztą, mam już lepszych kumpli. Razem już trochę przeszliśmy i zżyliśmy się. Zwłaszcza ze Zbyszkiem Paczesiem i chłopakami z sali. Nagle zrobiło mi się tęskno za jednostką. Tam wszystko szło mi dobrze, a tutaj jak pod górę. Trzeba wracać. Nie zdziwiły mnie te myśli. Nawet ZOMO przestało już być dla mnie czymś okropnym. Wszystko jest straszne,

póki się tego nie pozna. Już prawie wesoły zacząłem iść wąską ścieżką prowadzącą nad stawem w kierunku domu. Z daleka wypatrywałem, czy w oknach mieszkania świeci się. Nie świeciło się, czyli matka z ojczymem nie wrócili i pewnie jutro też nie wrócą. No i dobra. W dupie z wami wszystkimi, nie zajrzę tu z pół roku, to będziecie pisać i pytać co się stało. A jeśli nie? Zadałem sobie to pytanie i od razu pożałowałem, bo nie znałem na nie odpowiedzi.

Uciekłem myślami do rozważań na temat powrotu do jednostki. O której wyjechać i jakim pociągiem? Co chwilę jednak odzywało się gdzieś w głowie pytanie: A jak się w ogóle do ciebie nie odezwą, to co zrobisz?

Tego wieczoru wiedziałem co zrobić. Wyciągnąłem z barku wódkę i zacząłem pić jeden kieliszek za drugim. Oglądałem jednocześnie telewizję. Ciekawy byłem, kiedy zacznę widzieć dwa telewizory. Przecież w lesie sporo już wypiłem, a teraz wlewałem w siebie w ostrym tempie. Nie przeszkadzało mi, że piję sam. A co to za różnica? Pić z jakimiś palantami czy samotnie. Przynajmniej piję w dobrym towarzystwie. Roześmiałem się. Dwóch telewizorów jednak nie zobaczyłem. Obudziłem się rano na wersalce w ubraniu. Telewizor szumiał, a w butelce na stole niewiele zostało. Czułem potworny ból głowy. Zawsze po przepiciu zakładałem dres i biegłem do lasu. Po dłuższym biegu i serii ćwiczeń wódka odparowywała i kac przechodził. Teraz uznałem, że lepiej będzie wypić ze dwie pięćdziesiątki do śniadania. Dzięki temu zabiegowi już po pół godzinie czułem się jako tako. Postanowiłem do Katowic ruszyć w południe, tak żeby przyjechać wieczorem i we wtorek wyspany iść na służbę. Matce zostawiłem kartkę, że byłem i że nie wiem, kiedy teraz będę mógł przyjechać. Trochę głupio mi było wracać do jednostki wcześniej, ale w domu nie miałem co robić, więc lepiej chyba wyspać się przed służbą niż łazić nie wiadomo gdzie.

* * *

Na kompanii chłopcy byli trochę zdziwieni, że wróciłem na kolację zamiast na śniadanie, ale nikt o nic nie pytał. Poniedziałkowy wieczór był zawsze luźniejszy. Do południa było szkolenie, a potem wolne. Pisało się w tym czasie listy, robiło pranie i atmosfera była jakaś luźniejsza. Zaraz po wejściu na salę zakomunikowali mi wspaniałą nowinę. Od soboty rano w nagrodę za dobre wyniki służby „Cap" zniósł obowiązkowy dotychczas bieg na kompanii i poza nią. Mogliśmy też kłaść się na łóżkach w ciągu dnia, a nie tylko wtedy, gdy idziemy spać. O mało nie podskoczyłem z radości. W końcu zaczyna się normalniejsze życie w ZOMO.

– Żebyś zobaczył minę jaką mieli kaprale, to byś pękł ze śmiechu – relacjonował Zbyszek.

– Jak tylko „Cap" to ogłosił, polecieli za nim do gabinetu. Pisarz mówił, że kłócili się z „Capem", bo bieg był zawsze do roku służby. Mówili, że koty rozpuszczą się i nie będzie

żadnej dyscypliny. „Cap" im podobno powiedział, że jeszcze żadna jego kompania nie miała takich wyników jak my po dwóch miesiącach służby i że nam się coś za to należy.

– I co, dali spokój?

– A gdzie tam! Najpierw się poobrażali, a później Pakulak z którymś poszedł jeszcze raz do niego. Długo nie pogadali, bo ich zaraz za drzwi wywalił i tyle.

– No tak, ten kurwa nie mógł sobie darować – powiedziałem myśląc o Pakulaku.

– Usiadł i on trochę na dupie. Wiesz, potem Stary chciał ich jakoś udobruchać i w niedzielę dał kapralom przepustki do miasta. Wrócili wieczorem narąbani jak samoloty. Pakulak zaczął pajacować. Na dwóch salach „pilota" zrobił i z szafek wszystko powywalał. Aż Trochan z Sadowskim musieli go uspokajać.

– To wesoło tu było.

– Chłopie, to jeszcze nic. Kwachu, no wiesz który, Kwasiński, pomocnik szefa…

– Wiem. Był ze mną w Częstochowie.

– No! To on podpuścił Zielonkę, że Pakulak szaleje i nie mogą go uspokoić. Zielonka miał dyżur na kompanii i wpadł do sali. Opieprzył Pakulaka z góry na dół i kazał mu się wynosić do swojej sali i nie wyłazić stamtąd. Jeszcze krzyknął za nim, że jak mu przepustki szkodzą, to nie prędko teraz wyjdzie – skończył relację.

Na Zielonkę chłopcy z drugiego plutonu, którego był dowódcą, często narzekali. Czepiał się ich o byle co i na dokładkę był złośliwy. Jak sobie kogoś upatrzył, to później przydzielał mu służby w najgorszych rejonach. Na noc jakieś ulice, gdzie kupa sklepów do pilnowania, a poza tym pusto, a po południu – osiedle mieszkaniowe, gdzie też nudy. Trzeba się było tylko użerać z kierowcami parkującymi na trawnikach. Na dokładkę w nocy często kontrolował, więc nawet nie można się było zdrzemnąć na chwilę u jakiegoś ciecia. Zielonka nie podobał mi się od chwili, kiedy go pierwszy raz zobaczyłem. Okazało się, że drwiąco-wredny wyraz twarzy w pełni oddawał jego charakter.

W związku z tym, że Tomek szedł popływać na basen, postanowiłem i ja wypocić z siebie resztki kaca. Po godzinie na sali i drugiej na basenie poczułem się znowu w pełni sił. Kac minął. Przycichło też rozżalenie z powodu nieudanego wyjazdu, zwłaszcza po tym, jak posiedzieliśmy z Tomkiem w barku przy kawie. Rozmowa była o niczym, ale mnie takiej właśnie było potrzeba. Posiedzieć i pogadać z kimś o bzdurach.

Myślałem, że będę miał kłopoty z zaśnięciem, bo w domu mocno odrabiałem zaległości. Widocznie jednak ćwiczenia i basen dobrze mi zrobiły, bo ledwo przyłożyłem głowę do poduszki i już spałem. Okazało się, że bardzo dobrze. Przynajmniej trochę się przespałem. O pierwszej w nocy z łóżek wyrwał nas alarm. Moro, broń, hełmy, latarki i na zbiórkę. Ze zdziwieniem zobaczyłem wszystkich dowódców plutonu i „Capa" też w moro.

– Alarmówkę dzisiaj mamy, to chyba do roboty nas zerwali, a nie na jakieś zasrane ćwiczenia – mruknął do mnie Piekarski.

Nie wiedziałem, że mamy dyżur alarmowy, bo gdy rano był czytany rozkaz dzienny, nie było mnie jeszcze w jednostce. Prawdę mówiąc, do ósmej rano byłem na urlopie. A przecież nie powiem, że mam jeszcze urlop i mnie alarm nie dotyczy. Dał by mi „Cap" popalić, gdybym się z czymś takim wyrwał.

Z niecierpliwością czekałem, aż wyjaśni się po co nas zerwali z łóżek. Był to pierwszy nie ćwiczebny alarm. Najbardziej dziwiło mnie, że kazali nam zabrać karabinki AK i wydali ostrą amunicję. Czyżby jakiś pościg za uzbrojonymi bandytami? Kompania kończyła właśnie ustawianie.

– Baczność! Kolejno odlicz! – rzucił komendę Baka.

Gdy odliczenie dobiegło końca, odwrócił się do Nowakiewicza i zasalutował:

– Obywatelu poruczniku, melduję kompanię podczas alarmu. Stan kompanii dziewięćdziesięciu sześciu. Dwóch chorych, jeden służba podoficera dyżurnego. Obecnych dziewięćdziesięciu trzech.

– Dziękuję. Dajcie spocznij!

– Spocznij! – wykonał polecenie Baka.

– Jak się pewnie zorientowaliście, alarm jest bojowy, a nie ćwiczebny – zaczął Nowakiewicz. – Jedziemy do Sosnowca szukać ośmioletniej dziewczynki. Ostatni raz była widziana w południe. Od dziewiętnastej szukają jej miejscowi z rejonówki i część czwartej kompanii, która miała tam służbę po południu. Jedziemy ich podmienić. Tyle wiem. Resztę podadzą na odprawie w RUSW w Sosnowcu. Kierowcy – po pojazdy! – poczekał aż wybiegną. – Reszta w lewo zwrot! Przed budynkiem… Zbiórka!

To było w jego stylu, nawet w takiej chwili komendę musiał wydać na tempa – pomyślałem zbiegając po schodach. Pod koszarowiec zajeżdżały już pierwsze stary i nysy. Gdy wszyscy się zapakowali, na sygnałach ruszyliśmy w kierunku Sosnowca. W RUSW ledwie zmieściliśmy się w świetlicy. Odprawa na stojąco trwała dosłownie dziesięć minut. W obieg, tzn. z ręki do ręki, zostało puszczone kilka zdjęć dziewczynki. Mnie niewiele to dało. Była podobna do większości dzieci w tym wieku. Starałem się zapamiętać jak była ubrana, tzn. biała kurtka, spodnie dżinsowe, białe adidasy. Ponadto miała mieć sweterek w kwiatki i białą bluzeczkę z kołnierzykiem z zaokrąglonymi rogami. Ważny był też tornister z książkami i zeszytami, bo tam przecież było jej imię i nazwisko. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że poszukujemy, niestety, już martwej dziewczynki. Tak nastroiły mnie te opisy stroju i tego, co miała na sobie. Ostatni raz widziana była w szkole. Drogę w kierunku domu zbadali milicjanci z rejonówki. Prawie całą pozostałą część miasta przeczesała czwarta kompania. Dla nas jednak pozostało najgorsze – obrzeża miasta. Mojemu plutonowi przydzielono sektor w którym było praktycznie wszystko – bocznica kolejowa, hałdy kopalniane, kolejowa baza tłucznia i ogródki działkowe. Do tego jakieś magazyny. Teren ogromny i pełny zakamarków. Inne plutony też nie miały lepiej.

Przed rejonówką humory siadły nam jeszcze bardziej. Siąpił drobny deszcz.

– Psia pogoda – mruknął Strzyż, stawiając kołnierz panterki.

Jako pierwszą mieliśmy przeszukiwać bocznicę kolejową i przylegającą do niej bazę tłucznia. Strzyż dorzucił jeszcze parę uwag:

– Sprawdzać wszystko. Doły, studzienki kanalizacyjne, studnie, puste budynki. Wszystko, co wam przyjdzie do głowy. Pilnować radiostacji, żeby któryś nie łaził z wyłączoną albo nie zablokował łączności, bo się nie poznajdujemy później. Utrzymywać kontakt wzrokowy z kolegami po bokach.

Rozstawił nas co pięćdziesiąt metrów wzdłuż drogi. Jeden z radiostacją, jeden bez, znowu radiostacja i tak cała trzydziestka wysiadła po kolei. Ruszyliśmy. Teren był ciężki, co chwilę trzeba było przechodzić przez jakieś tory, druty prowadzące do nastawni. Sprawdzałem puste wagony, rowy, krzaki. Powoli czułem, że moro staje się coraz bardziej mokre. Zimno mi nie było, trudny teren dobrze rozgrzewał. Po lewej stronie miałem Kublaka – widziałem jak błyska latarką, po prawej Dybciaka. Obaj mieli radiostacje. Ja nie miałem. Udało mi się tym razem. Dostatecznie obijał mi się o plecy kałasznikow, więc nie tęskniłem za jeszcze jedną rzeczą dyndającą u boku. Bocznica i baza tłucznia zajęły nam trzy godziny. Gdy zaczęliśmy chodzić po hałdach, doszedłem do wniosku, że głupi byłem narzekając na trudny teren na bocznicy. Nie wiedziałem, że najgorsze jeszcze jest przed nami. Około szóstej rano zaczęliśmy przeszukiwać ogródki działkowe. Czułem już nieźle kilometry w nogach. Byłem cały mokry, a tu zaczęło się. Jakieś płotki, siatki, przez które ani przeskoczyć, ani przejść. Porozciągane druty do fasoli czy winogron. Nie wiadomo, czy uważać pod nogi, żeby o coś nie zaczepić, czy na głowę, żeby się na tych drutach nie powiesić. Pełno komórek, graciarni, stert rupieci. Wszystko trzeba obejrzeć i sprawdzić dokładnie. Trzeba też było uważać, bo na niektórych działkach ludzie trzymali psy. Z reguły uwiązane, ale można wleźć w zasięg łańcucha. W pewnej chwili tylko szybki odskok uratował mnie przed zębami sporego czarnego kundla. Nawet nie szczeknął, skubany, jak wchodziłem przez płot i podchodziłem do domku, żeby zobaczyć, czy nie jest otwarty. Rozdziamgotał się dopiero, gdy nie udało mu się mnie capnąć i byłem poza zasięgiem łańcucha. Zaczęło się trochę rozwidniać. Gdyby nie chmury i padający deszcz, byłoby już widno, a tak tylko trochę pojaśniało. Wchodziłem do pustej o tej porze roku małej szklarni, gdy zauważyłem, że Kublak kręci kółka latarką dając mi znak, żebym podszedł do niego. Jeszcze ten ma jakiś problem – pomyślałem. Diabli nadali Kublaka, deszcz i wszelkie pogubione bachory. Podszedłem jednak:

– Schodzimy na lewo. Znaleźli ją – zakomunikował mi dobrą nowinę.

Pomachałem latarką do Dybciaka. Błysnął swoją parę razy, że idzie. Pewnie też słyszał w radiostacji polecenie Strzyża.

– Coś więcej podali? – spytałem.

– Nie. Tylko, że poszukiwana została odnaleziona.

– Tak podał Strzyż? Odnaleziona?

– Tak – mruknął Kublak.

– No to pewnie nie żyje. Bo inaczej pewnie by powiedział, że się znalazła – dodałem.

– Może i tak. Zobaczymy.

Doszliśmy do szerszej drogi kończącej ogródki działkowe. Stały tam już nasze stary i nysa dowódcy plutonu. Powoli z ogródków wyłaniali się kolejni chłopcy. Staliśmy grupą paląc papierosy i czekając na resztę. Deszcz trochę się uspokoił. Strzyż liczył nas sam. Widział, że zmachani jesteśmy nieźle, dlatego nie kazał robić zbiórki. Doliczył się, że dwóch brakuje. Gdy już miał iść do samochodu, żeby próbować ich wywołać, wyszli z działek i dołączyli do reszty. Strzyż zawrócił.

– Zjeżdżamy pod rejonówkę. Czwarty pluton znalazł ją w ruinach bloku, który częściowo zawalił się dwa lata temu i czeka na rozbiórkę. Dziewczynka nie żyje. Chyba jakiś zboczeniec. Do samochodów!

Dowódca plutonu miał zawsze dwie radiostacje. Jedną, która była nastawiona na pasmo rejonówki, z którą aktualnie współpracowaliśmy, albo na pasmo dowódcy kompanii. Przez drugą porozumiewał się z nami. Dlatego był lepiej poinformowany. Drugim źródłem informacji był dla nas zawsze kierowca, który z nim jeździł. Słuchał obu radiostacji.

Gdy samochód wjeżdżał w światło latarni ulicznych, widać było jak w cieple paruje woda z naszych panterek. Wsadziłem rękę za kołnierz. No pewnie. Plecy przemiękły, koszulę i podkoszulkę miałem mokre. Żeby tylko przeziębienia nie złapać. Myślałem, że spod rejonówki pojedziemy do koszu. Pomyliłem się. Okazało się, że mamy otoczyć ruiny tego bloku i przeszukać go dokładnie.

– Jeśli postoję jeszcze z godzinę w tym mokrym ubraniu, to przeziębienie pewne – mruknąłem do Zbyszka Paczesia.

– Ja już kicham – odpowiedział.

Na szczęście stać miały pozostałe trzy plutony rozstawione tyralierą wokół bloku. Mój pluton przeznaczono do przeszukiwania.

Popatrzyłem na budynek. Miał to być dziesięcioklatkowy blok o czterech piętrach. Czy ze względu na błąd w konstrukcji, czy na skutek ruchów ziemi podziurawionej na Śląsku jak szwajcarski ser, dwie klatki zawaliły się. Blok czekał na rozbiórkę. Musiał się zawalić przed ukończeniem budowy, bo był nieotynkowany i nie miał drzwi ani okien. Kiedyś na patrolu łaziliśmy po nim przeganiając pijaczków i małolatów wąchających klej. W nocy strach było do niego wchodzić. Pełno różnych śmieci. Piwnice zalane częściowo wodą. Ściany gdzieniegdzie popękane, pajęczyny. Krajobraz jak z horroru. Czułem wtedy dreszczyk emocji myszkując po różnych zakamarkach. Teraz też czułem dreszcz, ale raczej z zimna niż z emocji. Nie łudziłem się, że kogoś tam znajdziemy. Chyba tylko kretyn siedziałby przy zwłokach dziewczynki, którą zabił.

Czekaliśmy na przewodnika psa, który miał puścić go na ślad. Strzyż wątpił w skuteczność tej metody.

– Tylu tutaj milicjantów się kręciło, że już dawno wszystko zadeptali. Niemniej próbować trzeba. Dlatego musimy poczekać, żeby reszty nie zadeptać – tłumaczył nam.

Wcześniej powiedział, że dziewczynka leżała naga na czwartym piętrze, przykryta papierami. Została uduszona i najprawdopodobniej zgwałcona. Zniknęło jej ubranie i tornister. Między innymi dlatego mamy przeszukać dokładnie cały blok.

– Co tak zębami kłapiesz jak kasownik do biletów? – szturchnął w bok stojącego obok chłopaka.

– Bo zimno, dowódco. Aż mnie trzęsie – burknął tamten.

– Zaraz się rozgrzejesz, jak zaczniecie latać po piętrach. W bloku jest cieplej. Tylko uważajcie, żeby któryś w jaką dziurę nie wpadł i nogi nie złamał.

Staliśmy jeszcze piętnaście minut nim przyjechał przewodnik z psem. Gdy zniknął w bloku, podszedł do Strzyża Nowakiewicz.

– Jeśli pies złapie trop, puszczasz pierwszą drużynę na osłonę za nim, a z resztą wchodzisz do budynku i sprawdzacie klatka po klatce wszystkie pomieszczenia – i odwrócił się do nas:

– Tylko dokładnie, metr po metrze. Jak coś ciekawego znajdziecie, nie podnosić, tylko meldować przez radiostację.

– Tak jest! – odpowiedział Strzyż, salutując.

– Najłatwiej powiedzieć „pierwsza drużyna" – burknął Piekarski do mnie.

Miał rację. Bardzo często, kiedy było coś do roboty, padało: „Pierwsza pierwszego" i musieliśmy zasuwać. Dzisiaj też pozostało nam modlić się, żeby pies nie złapał śladu, bo po kilometrach łażenia przez całą noc mogło nas czekać kilka kilometrów biegu za przewodnikiem i jego psem. Niestety! Najgorsze przeczucia mają to do siebie, że lubią się sprawdzać – pomyślałem widząc jak z bloku wybiega pies, a za nim przewodnik. Chwilę psisko z nosem przy ziemi zakręciło się przed budynkiem i już, już miałem nadzieję, że się zaplącze. Ale gdzie tam! Zrobił ze dwa kółka i jak po sznurku ciągnął przewodnika w kierunku jezdni przez szpaler milicjantów, którzy szybko się rozsunęli, robiąc mu więcej miejsca.

– No to, kurwa, ładnie. Po plecach cieknie mi woda, a za chwilę jeszcze po jajach poleci mi pot. Jasna cholera! – klął Zbyszek Pacześ, który przysunął się bliżej mnie.

– Pierwsza drużyna! Za przewodnikiem! Naprzód! – krzyknął Strzyż.

Niepotrzebnie. Sami już poprawialiśmy pasy i zapinaliśmy paski hełmów przygotowując się do biegu.

Ruszyliśmy całą dziesiątką. Czader, dowódca naszej drużyny – też. To mi się podobało. Musiał zasuwać równo z nami. Tak samo jak w czasie czesania terenu. Zobaczymy jaką ma kondycję. O naszą zadbał nie raz, ciekawe jak o swoją.

Pierwsze kilkaset metrów pies biegł dość szybko. Po prostej, chodnikiem wzdłuż jezdni. Potem skręcił na łąki z kępami krzaków. Tu właśnie nadszedł kryzys. Nierozgrzane, zastygłe po długim marszu nogi zrobiły się jak z waty i zacząłem zwalniać. Trwało to jednak chwilę i już mogłem przyspieszyć. Rozgrzałem się, oddech się wyrównał i wiedziałem już, że teraz będę mógł biec dłuższy czas bez kłopotu. Tempo osłabło. Albo psu było trudniej łapać trop na łące, albo go trochę przewodnik przyhamował. Podbiegłem bliżej niego. Psa wypuścił na lince daleko. Na jakieś pięć metrów. Popatrzyłem z boku na niego. Sierżant. Na oko ze trzydzieści lat, ale za psem chyba często biega, bo nie widać było po nim zmęczenia.

– Chyba na końcu tego śladu nie znajdziemy kota? – powiedziałem biegnąc koło niego.

– Jeszcze mi się nie zdarzyło. To mądre psisko. Złapał dobry wiatr, widzę to po nim. Jeżeli ten skurwysyn nie wsiadł do autobusu, albo pociągu, to będzie nasz – odkrzyknął.

Zwolniłem. Łąka się kończyła i zaczynał lasek, a właściwie dobrze wyrośnięte krzaki. Jakieś brzózki, olchy, wierzby. Rozrośnięte na dziko, skłębione, poprzetykane kałużami wody. Na szczęście, bieg przez nie trwał tylko przez jakieś sto metrów. Później pies znowu wyprowadził nas na łąkę. Przy jednej z kęp krzaków przystanął i zaczął kręcić się w miejscu. Gdy dobiegłem zobaczyłem tornister i ubrania. Wszystko się zgadzało. Biała kurtka, dżinsy. Nawet bluzka z zaokrąglonym kołnierzykiem. Wrzucone to było w środek krzaka.

– Jeden z radiostacją niech zostanie pilnować, a my lecimy dalej, bo mi się pies wyrywa – powiedział przewodnik uśmiechnięty, pokazując na psa szarpiącego się na lince.

– Który najsłabszy? – spytał Czader.

– Ja..., jeszcze trochę i wysiadka – wychrypiał Piekarski.

– Stację masz? – spojrzał kapral. – Dobra, zostań. Nie ruszaj niczego i powiadom „Capa". My lecimy.

Piekarski tylko kiwnął głową i dyszał ciężko pochylony i oparty rękoma o udo.

Przewodnik poklepał wilczura po grzbiecie, krzyknął: „Szukaj, szukaj! „.

Psina zaskomlił zadowolony z pochwały, przypadł nosem do ziemi i tak szarpnął linkę, że pociągnął za sobą ruszającego do biegu sierżanta.

Znowu zrównałem się z nimi.

– Przepraszam za te podejrzenia o kota – powiedziałem.

– Nie ma za co – sierżant uśmiechnął się. – Świeży ślad. Idzie prawie jak po sznurku – powiedział pokazując na psa.

Rzeczywiście, nawet nie ciągnął nosem przy ziemi, tylko biegł z lekko opuszczonym łbem. Niestety, znowu prowadził w kierunku tego niby lasku. Tym razem jednak pociągnął nas w głąb i były marne szanse, że zawróci na łąkę. Biegliśmy dość długo przedzie-

rając się przez krzaki. Woda spadająca z potrąconych gałęzi przemoczyła mnie całego. Przedtem mokły mi plecy. Teraz miałem wszystko mokre. Tylko włosy pod hełmem były w miarę suche. Buty cały czas nurzane w kałużach i mokrej trawie już dawno przemiękły i przepuściły tyle wody, ile chciały, więc teraz pewnie nowa już nie wsiąkała w nie, bo nie miała gdzie. Póki biegłem, mokre ubranie nie stanowiło problemu. Było mi ciepło, ale zastanawiałem się, co będzie, kiedy bieg się skończy.

Z lasu pies wyprowadził nas w końcu na drogę prowadzącą do jakiejś osady. Było tam kilkanaście domków z otaczającymi je zabudowaniami. Zmachani byliśmy porządnie. Nasz kapral jednak, o dziwo, trzymał się dzielnie. Musiało go to jednak kosztować sporo wysiłku, bo na twarz i szyję wystąpiły mu purpurowe plamy. Po nas i po przewodniku widać było również zmęczenie. Na szczęście, pies w tej chwili zwolnił do tego stopnia, że mogliśmy przejść do marszu. Na drodze było więcej innych śladów i zapachów, więc miał kłopoty z odnalezieniem właściwego. Wprowadził nas w pewnym momencie na podwórko i podbiegł do drzwi domu.

Domek był malutki, murowany z czerwonej cegły i miał tylko cztery okna. Dwa od drogi i dwa od strony podwórka, na którym oprócz domku była tylko murowana obórka, studnia i kilka starych drzew owocowych. Żadnego ogrodzenia, jakoś pustawo i cicho. Jedynymi dowodami na to, że dom jest zamieszkany, był dym wydobywający się z komina i ścieżka wydeptana od drzwi domu do studni i druga – do drogi.

Pies zaczął skomlić i drapać pod drzwiami, ale skarcony ucichł.

– Pod okna! – krzyknął kapral.

Nie było z tym problemu. Czterech z jednej strony, czterech z drugiej. Kapral i przewodnik stanęli pod drzwiami. Bez żadnej komendy, jakoś samoistnie karabinki znalazły się w naszych rękach, zamiast wisieć spokojnie przewieszone przez plecy. Miałem nadzieję, że nadal były nieprzeładowane, tzn. nie miały ostrej amunicji w lufie. Po takim wysiłku o przypadkowy strzał nietrudno. Stojąc z drugiej strony budynku czekałem co się będzie dalej działo. Na razie jednak nie było żadnego ruchu. Nawet zasłonka w oknie nie drgnęła. Usłyszałem natomiast jak kapral tłumaczy przez radiostację dyżurnemu jak do nas dojechać. Nie bardzo mu to szło, więc wyręczył go przewodnik bardziej zorientowany w terenie. Po chwili chyba się dogadali, bo zapadła cisza. Stałem i cieszyłem się, że nie jest mi na razie zimno. Byłem jednak pewny, że niedługo będzie. Gdy ostygnę po biegu, mokre ubranie da o sobie znać. Moje obawy okazały się niepotrzebne. Po dziesięciu minutach od chwili, kiedy otoczyliśmy dom, usłyszałem sygnały naszych samochodów. „Cap" chyba oszalał. Nie dość, że sam przyjechał, to przywiózł drugi pluton. Wyskoczył z nysy prawie w biegu, tak samo szybko wysypali się ze starów chłopcy. Chwilę oceniał sytuację. Szczeknął komendy i zaczął się ruch.

Nowakiewicz w pierwszej kolejności zablokował drogę z obu stron. Po dwóch ludzi wysłał do sąsiednich gospodarstw, żeby stamtąd nikt nie nadszedł. Obstawił też

obórkę i dopiero wtedy zmienił plan. Popatrzył chwilę jak wyglądamy. Byliśmy całkowicie przemoczeni. Plecy i spodnie do kolan w błocie. Część już ostygła i zaczynała kulić się z zimna.

– Szajek! Ogrzewanie do oporu i grzej z nimi na sygnałach do jednostki – krzyknął do kierowcy. – Po drodze podrzuć kolegę sierżanta z pieskiem do rejonówki, a potem gaz i niech się chłopaki jak najszybciej przebiorą.

– Ale obywatelu poruczniku… – zaczął któryś z chłopaków.

– Czego?

– Myśmy chcieli zobaczyć czy on tu jest.

– Dobra, ale w środku, w starze. Ładować się, a potem zaraz Szajek ruszasz.

Wsiedliśmy i z przyklejonymi do szyb nosami patrzyliśmy co będzie. „Cap" wyjął z nysy megafon:

– Mieszkańcy budynku numer 14! Tu Milicja Obywatelska! Proszę wychodzić pojedynczo! Proszę to zrobić natychmiast. W przeciwnym wypadku wejdziemy siłą!

Czterech chłopaków czających się po obu stronach drzwi zastygło w bezruchu. Obok nich Zielonka. Widziałem jak naciśnięta od wewnątrz klamka porusza się ku dołowi. Drzwi otworzyły się i wyszła… malutka staruszka.

Podbiegł do niej Zielonka. Złapał babinę za kark i odciągnął od drzwi. Stojący przy drzwiach bez komendy wpadli do środka.

Czekaliśmy w napięciu co będzie dalej. Czas płynął, ale nikt nie pokazywał się w drzwiach. W końcu wyszedł pierwszy i rozłożył bezradnie ręce. Po chwili wyszli wszyscy. „Cap" ze złości kopnął w oponę nysy.

– Kurwa, węgiel… – pod nosem mruknął Pacześ jakby do siebie.

Wyskoczył ze stara i podbiegł do „Capa". Coś do niego mówił, gestykulując, jak zwykle.

Nowakiewicz prawie biegiem wpadł w drzwi domku. Za nim Zielonka i czterej chłopcy, którzy wcześniej przeszukiwali pomieszczenia.

– Coś ty wymyślił? – spytałem, gdy Pacześ wsiadł z powrotem do stara.

– Kiedy stałem pod oknem, słyszałem jak ktoś w piwnicy w węglu grzebie. Może ten facet wlazł pod węgiel? – odpowiedział.

– Taki mały domek i miałby piwniczkę? Coś ci się chyba zdawało – powątpiewałem. – Przecież tutaj wszyscy trzymają węgiel w komórkach, jak na wsi.

– Nie zdawało mi się. Słyszałem na pewno – uparcie twierdził Zbyszek.

I miał rację. W tej właśnie chwili wyszedł przed domek „Cap" i „Zielonka" a zaraz za nimi chłopcy wywlekli skutego do tyłu mężczyznę. Twarz i ubranie miał całe umazane w czymś czarnym, więc Zbycho miał rację. Facet schował się w węglu.

Szajek włączył sygnały i ruszył tak ostro, że przewodnik, który akurat wsiadł, o mało się nie przewrócił. Gdy już się usadowił, poklepał psa po łbie.

– Wiedziałem, że musi być w środku. Baron jeszcze się nigdy nie pomylił. Prawda, piesku? – powiedział głaszcząc łaszącego się wilczura.

Baron może być dobrym tropicielem, ale potwornie śmierdział, gdy jego mokra sierść zaczęła schnąć w ciepłym wnętrzu samochodu. Odetchnęliśmy naprawdę z ulgą, gdy sierżant wysiadł z nim pod RUSW.

– Czym oni te psy karmią? Siarką? Przecież śmierdzi jak zdechły diabeł – denerwował się Dybciak.

– To od surowego mięsa i od tego, że w ogóle nie jest kąpany – powiedziałem.

– Od surowego mięsa – może tak, ale od tego, że nie kąpany – nie wierzę. Też mam psa. Siedzi w budzie, ale jak się go weźmie do domu, to przecież tak nie śmierdzi.

– Pewnie budę częściej sprzątasz niż oni – zakończyłem nasze rozważania i ziewnąłem.

W cieple kołyszącego się samochodu oczy zaczęły mi się kleić. Część chłopaków już spała. Trochę przeszkadzała mi w zaśnięciu wyjąca syrena, którą Szajek włączył zgodnie z poleceniem Nowakiewicza.

"A do snu kołysały go syreny" – pomyślałem i roześmiałem się z dwuznaczności tego skojarzenia i z tego, jakie głupoty przychodzą człowiekowi do głowy, gdy jest zmęczony.

Po spóźnionym śniadaniu, przebrani w dresy kończyliśmy prać i rozwieszać do suszenia swoje moro, gdy zjechała reszta kompanii. Razem z nimi przyjechał Piekarski. Gdy już wracaliśmy, on nadal sterczał przy krzaku pilnując znalezionego ubrania i tornistra. Był tak zziębnięty, że nawet w czasie jazdy w samochodzie nie rozgrzał się. Szczękał zębami i co chwilę trzęsły nim dreszcze. Gdy wszedłem do sali był już przebrany. Zbyszek Pacześ bez słowa wziął jego moro i poszedł doprowadzić je do porządku.

– Idziesz na śniadanie? – spytałem.

– P. p. p. p. pierdole – wyszczękał.

– To właź do łóżka.

– Broń jeszcze m… m… m… muszę wyczyścić i zdać.

– Daj wyczyszczę.

Wziąłem się za jego kałasznikowa. Wprawa nabrana w WOP-ie tu okazała się pomocna. Niecałe pięć minut potrzebowałem na rozebranie, wytarcie, naoliwienie i złożenie. Romek w tym czasie próbował rozgrzać się przykryty po uszy. Kończyłem oliwić zapasowe magazynki, gdy do sali wszedł „Cap". Poderwałem się z taboreta. Romek zaczął wstawać, ale „Cap" dał nam ręką znak, że nie chce formalności.

– Jak się czujesz? – podszedł do Piekarskiego.

– Dobrze, obywatelu poruczniku. Tylko trochę jeszcze mną trzęsie.

– Po obiedzie będzie przyjmował lekarz. Idź na izbę chorych, niech ci coś da, bo jeszcze zapalenie płuc złapiesz.

– Nie potrzeba, samo przejdzie – protestował Romek.

– No. No. Przejdzie albo nie. Masz iść i koniec.

– Tak jest – mruknął spod koca Piekarski, próbując opanować kolejną serię dreszczy.

Nowakiewicz wyszedł z sali i wszedł do magazynu uzbrojenia, a ja za nim. Broń przyjmował Oborniak.

– A co, on już sam broni nie potrafi zdać? – huknął na mnie, gdy dowiedział się, że chcę zdać broń Piekarskiego.

– Dobrze, dobrze. Tamten tak przemarzł, że pewnie wyląduje na izbie chorych – wtrącił się Nowakiewicz, sprawdzając, czy broń jest dobrze wyczyszczona.

– Acha. Jeśli tak, to co innego – udobruchał się szef.

Poszedłem do palarni. Siedziało tam kilku chłopaków chcących zapalić przed snem.

– Co? Przegonił was trochę kundel po polach? – spytał rudy chłopak z drugiego plutonu.

– Trochę się przebiegliśmy – odpowiedziałem takim tonem, jakby to była dla mnie drobnostka. A co, niech sobie nie myśli, że będę narzekał, jak to strasznie ciężko było.

– Najlepsze was minęło. Jak „Cap" przesłuchiwał tego sukinsyna – powiedział uśmiechając się.

– A co z nim wyrabiał? – spytałem zaciekawiony.

– Najpierw stał i słuchał jak chorąży z rejonówki próbuje coś wydusić z niego. A gdzie tam. Usłyszał tylko, że facet nic nie wie. W nocy był w domu. A w węgiel wlazł, bo się z zasady boi milicji. Mamuśka potwierdziła, wszystko co on gadał.

– Czy ta stara to była jego matka? – spytałem.

Kiwnął głową i kontynuował:

– „Cap" stał, słuchał, słuchał, a w końcu mówi do chorążego: „Daj mi go na pół godziny". Chorąży powiedział: „Dobra" i poprowadziliśmy go z „Capem" za obórkę koło domu. Matka w krzyk, że go zabieramy. A Zielonka do niej: „Dostanie kulkę w łeb i będzie po nim, głupia babo". Kobieta dopiero zaczęła się drzeć i wyrywać. Wówczas dochodzeniowiec z rejonówki mówi: „Babciu, mówcie to babciu prawdę, wszystko, to może go nie rozwalą" i zabrał ją do nysy.

Za obórką „Cap" zaczął grzmocić tego chłopa. Mówię ci, tylko strzelało. Ten w kółko swoje: „Nic nie wiem" „Nic nie wiem". A „Cap" na to: „Mów, gdzie byłeś wczoraj po południu, bo cię utłukę". W końcu Stary się zmęczył i mówi do nas: „Rozpalcie ognisko".

– Co? Ognisko? – spytałem zdziwiony.

– Też się dziwiliśmy. Będzie go ogniem przypiekał, czy co? Ale kazał rozpalić, to żeśmy rozpalili. Dobrze, że było trochę suchego drzewa w obórce, bo na zewnątrz wszystko mokre i nie chciało się palić. Jak już był porządny ogień, Stary wziął ode mnie wycior od kałasznikowa, wsadził go w ogień i zaczął grzać. Ten zatrzymany patrzył spode łba, a „Cap" się tylko uśmiecha i macha lekko wyciorem, żeby się dobrze nagrzał.

W końcu mówi do niego: „Gadasz prawdę, czy nie", a ten swoje: „Ja naprawdę nic nie wiem". Ale widać, że przestraszony, a „Cap" mówi: „Za chwilę sobie wszystko przypomnisz, jak ci ten wycior w dupę wsadzę" i do nas: „Ściągać mu gacie! „.

Chłopak na chwilę przerwał, żeby się spokojnie wyśmiać. Gdy już mu trochę przeszło, zaczął opowiadać dalej:

– Mówię ci, jaja były jak berety. Facet tak nogi ściskał, żeśmy mu ledwo te spodnie i majtki ściągnęli. Skuty był do tyłu, dlatego najpierw rękoma przytrzymywał spodnie, a potem próbował dupę zasłaniać, ale żeśmy go przytrzymali. „Cap" podszedł z tyłu i dziób go tym wyciorem w pośladek… – przerwał na chwilę żeby się trochę pośmiać.

Śmiałem się razem z nim, bo sytuacja rzeczywiście była komiczna.

– Mówię ci – rechotał – jak go dziubnął, to tak dupę ścisnął… tak mu się ze strachu pomarszczyła… i drze się: „Nic nie wiem, nic nie wiem". A „Cap" tylko: „Mów, skurwysynu" i dziób go jeszcze raz, ale już bliżej środka i przytrzymał dłużej, żeby poczuł jaki wycior gorący. Pomogło. Rozdarł się w końcu: „Powiem wszystko, powiem"! Stary do niego: „Powiesz?" i dziób go jeszcze raz mocno. A ten: „Powiem, powiem". Wówczas kazał nam założyć mu spodnie i mówi: „Ogniska nie gasić, bo się może jeszcze przydać". Facet zaczął płakać, gdy prowadziliśmy go do nysy. Ten chorąży wyskoczył i mówi: „No i co? Matka już powiedziała, że cię cały dzień w domu nie było", a „Cap" do faceta: „Masz tu panu chorążemu opowiedzieć wszystko jak na świętej spowiedzi. Jak byś czego zapomniał, to pójdziemy z powrotem za oborę" i podsunął mu wycior pod nos.

– I co, przyznał się?

– A pewnie. Opowiedział, jak namówił tę dziewczynkę, żeby poszła z nim do pustego domu. Mówił, że tam są ładne lalki, które ludzie pozostawiali i można sobie wziąć. Dalej już nie słuchałem, bo poszliśmy do samochodów. Daj jeszcze zapalić – zakończył.

– „Cap" to niezły model – powiedziałem zastanawiając się nad tym, co usłyszałem.

– Któryś z chłopaków mówił, że ma córkę w wieku tej zamordowanej – powiedział siedzący z boku i nie odzywający się do tej pory chłopak.

– Wcale mu się nie dziwię. Też bym takiego skurwysyna najchętniej rozwalił na miejscu – dodał następny. – Szkoda, że nie miał broni i nie zaczął do nas strzelać. Utłukłoby się go i byłby spokój…

– A tak to posiedzi parę lat i wyjdzie – powiedziałem.

– Dostanie przynajmniej 25 lat. Gwałt i zabójstwo. Może mu nawet czapę dadzą? – głośno myślał rudy.

– Jak nie uznają, że jest niepoczytalny – odezwał się ten, który mówił o córce „Capa".

Na chwilę zapadło milczenie, ale jakieś takie ciężkie. Przerwał je rudy.

– Tyle kurew chodzi, a ten kurwa do dziewczynki się musiał dobrać. Tego nie rozumiem – wycedził z pasją.

– Podobno to zboczenie. Z normalną kobietą taki facet nie potrafi – tłumaczyłem mu.

– To powinni czapę dawać od ręki, bo z niego i tak już nic nie będzie – podsumował i na tym dyskusja się zakończyła.

* * *

Okazało się, że Piekarskiemu oprócz kataru nic nie było. Poleżał trzy dni w łóżku łykając prochy i doszedł do siebie. A po tygodniu „Cap" odczytał nam podziękowanie od szefa WUSW-u za sprawnie przeprowadzoną akcję. Podziękowanie było miłym gestem, ale jeszcze milszym był kolorowy telewizor, jaki zafundował szef dla naszej kompanii. Dotychczas mieliśmy czarno-biały, który często się psuł. Od tej pory nawet obowiązkowy dziennik lepiej się oglądało. O 19.25 podoficer dyżurny ogłaszał zbiórkę i wszyscy maszerowali na świetlicę uzupełniać swój światopogląd o aktualności. Na filmie zostawał już kto chciał, ale za nieobecność na dzienniku można było stracić szansę na przepustkę w najbliższym czasie. Wiadomo – propaganda rzecz święta. Gdy po południu na terenie kompanii był ktoś z kadry, a nasz telewizor był zepsuty, musieliśmy pójść na inną kompanię. Gdy byli sami kaprale, nie zawracali sobie tym głowy. Podoficer dyżurny wpisywał w książce raportów, że oglądaliśmy dziennik i było z głowy. Mimo to zawsze po 19.00 trzeba było przerwać inne zajęcia i zameldować się w świetlicy. Było to dla mnie czasami kłopotliwe. Każde wolne popołudnie wykorzystywałem na ćwiczenia. Jeśli Adamiec był, to z nim, a jeśli nie, to sam. Czasami z powodu dziennika musiałem kończyć trening i biec do koszarowca, żeby zdążyć na wpół do ósmej. Były jednak dni, że źle obliczyłem czas i wpadałem na świetlicę już po rozpoczęciu dziennika. Z reguły nikt nie robił z tego problemu. Czasami kapral lub ktoś z kadry pogroził mi palcem i zapowiedział, że to ostatni raz skreślając moją nieobecność w „książce wydarzeń" (też mi wydarzenie) i na tym się kończyło. Przyszedł jednak dzień, gdy trafiłem na Pakulaka. Przybiegłem wtedy z pięciominutowym spóźnieniem. Spojrzał na mnie, gestem ręki przywołał do siebie.

– Zgłosisz się do mnie po dzienniku – wysyczał mi w ucho.

– Tak jest.

Tyle tylko mogłem mu odpowiedzieć. Nie przejąłem się tym. Co tam, pewnie da mi coś do sprzątania za karę i tyle – pomyślałem.

Nie chciałem psuć sobie humoru, bo miałem naprawdę dobre popołudnie. Któryś raz z rzędu spotkałem na sali chłopaków z plutonu specjalnego. Mieli dodatkowe zajęcia i ćwiczyłem razem z nimi. Na koniec Adamiec pozwolił na zawody między nami i przegrałem tylko jedną walkę. Po kilku łatwych wygranych trafiłem na plutonowego, który prawdopodobnie kilka lat ćwiczył Kyoushinkarate. Wypunktował mnie bardzo szybko i Adamiec przerwał walkę. Potem miałem jeszcze jedną walkę i dlatego spóźniłem się. Mój przeciwnik, mimo młodego wieku, był potężnie zbudowany i dysponował dużą siłą

fizyczną. Musiałem bardzo uważać, żeby nie dać się uderzyć. Byłem pewny, że jest w stanie jednym ciosem zakończyć walkę. Na początku próbowałem go twardo blokować. Już po pierwszym bloku zrezygnowałem. Jego uderzenie zmiotło moją gardę i błyskawicznemu unikowi zawdzięczam to, że nie było nokautu. Lepszy okazał się balet na macie, czyli szybkie zmiany dystansu, markowane uderzenia, podcięcia. Dzięki temu udało mi się kilka razy trafić go w głowę i na koniec podciąć. Adamiec i reszta przyjęli moje zwycięstwo pochwalnymi brawami. Jak więc mogłem po takim popołudniu przejmować się tym, że Pakulak będzie się na mnie wściekał? Lekki niepokój jednak zasiał we mnie. Niepokój o to, co wymyśli.

Przy stoliku podoficera dyżurnego, przy którym zasiadł Pakulak po dzienniku, najpierw musiałem zaczekać aż łaskawie zakończy rozmowę przez telefon z jakimś kolegą z innej kompanii. Potem chwilę pisał w książce wydarzeń i odwrócił się do mnie:

– Co ty sobie, młody, wyobrażasz, że jak masz prawo chodzić na salę gimnastyczną to już ci wszystko wolno?

– Nie! Obywatelu kapralu!

– No to czemu się spóźniłeś?

– Był pluton specjalny na sali i kapitan Adamiec zrobił nam walki. Ostatnia się przeciągnęła i dlatego nie zdążyłem dobiec na dziennik.

– I kto wygrał?

– Różnie. Jedni wygrywali, inni przegrywali.

– Nie ściemniaj, młody. Mów jak tobie szło?

– Jedną przegrałem, cztery walki wygrałem.

– Z kim przegrałeś? – spytał.

– Z takim plutonowym. Chyba ma na imię Krzysztof.

– Wiem który to – powiedział Pakulak przyglądając mi się i dodał po chwili. – I co, myślisz pewnie, że mnie byś też dołożył?

– Nie wiem. Nie widziałem nigdy obywatela kaprala w akcji. – Odpowiedziałem wymijająco, chociaż miałem pewność, że gdybym trafił z nim na matę, to dosłownie rozniósłbym go. Nie cierpiałem tego chama i tyle.

– Nie wiesz! ? – wychrypiał Pakulak. – Pojebało ci się młody całkiem we łbie! Myślisz gnoju, że z kapralem byś wygrał, co? !

Mówiąc to wstał i podszedł do mnie.

– No co? Kaprala byś uderzył? – pchnął mnie rękoma w pierś.

Zrobiłem dwa kroki w tył, a przez myśl mi tylko przebiegło: „Nie daj się Darek sprowokować".

– No co, gnoju? – wysyczał i pchnął mnie jeszcze raz.

Znowu cofnąłem się. Zobaczyłem, że na korytarzu zamarł ruch. Kilku chłopaków stało i patrzyło co będzie dalej. Pomimo narastającej złości wiedziałem, że nie stanie się nic.

Nie uderzę tego bydlaka, bo nie mogę. Za pobicie podoficera na służbie mogli mnie nawet wyrzucić z ZOMO do wojska. Pakulak bardzo dobrze o tym wiedział.

– Pytam się! Kaprala byś uderzył, kocie zasrany? – wychrypiał przysuwając się do mnie.

– Nie – odpowiedziałem w końcu przez zaciśnięte zęby.

Wszystko się we mnie gotowało z tłumionej pasji. W tej chwili czułem taką moc w sobie, że gdybym walnął go pięścią, to dosłownie zmiażdżyłbym go jednym ciosem. Przed oczami pojawił mi się obraz Pakulaka ze zmiażdżoną twarzą i trochę mi to pomogło.

– Co „nie", bo nie dosłyszałem? – ryknął do mnie.

– Nie uderzyłbym obywatela kaprala – powiedziałem zdając sobie sprawę z tego, że moja twarz i wzrok mówią całkiem co innego. Był tak blisko. Akurat na strzał łokciem.

Chyba wyczuł, że przeholował, bo cofnął się.

– Padnij!

Posłusznie wykonałem rozkaz.

– Dziesięć prawidłowych!

Zacząłem robić pompki licząc głośno: Pierwsza Prawidłowa Pompka Milicjanta Zmotoryzowanego Odwodu Milicji Obywatelskiej. Druga...

Pakulak w tym czasie usiadł sobie przy biurku. Gdy skończyłem, leżałem nadal na podłodze zgodnie z zasadami wpojonymi na unitarce. Pakulak wcale nie spieszył się z komendą „Powstań! ,, tylko bawił się długopisem. Wytrzymał mnie w ten sposób kilka chwil.

– Powstań! – w końcu dał komendę. – A w książce wydarzeń i tak zostaje zapisane, że nie byłeś na dzienniku. Spierdalaj do sali!

– Tak jest! – musiałem odpowiedzieć i odszedłem.

Pompki powinny rozładować mnie i uspokoić. Tym razem jednak wcale tak się nie stało. Nadal wszystko gotowało się we mnie. Nie poszedłem do sali, lecz do palarni. Przypaliłem papierosa drżącymi rękoma. Nikotyna powoli uspokajała mnie. W palarni nie było nikogo, więc spokojnie próbowałem przeanalizować to, co zaszło. Byłem zadowolony z siebie. Niewiele brakowało, abym sobie znowu narobił kłopotów. Widocznie powoli jednak zaczynałem dorastać i mądrzeć, jeśli nie dałem się sprowokować – pomyślałem i zaczął mi wracać dobry humor. Czasami warto dobrze pomyśleć o sobie i pochwalić się za coś. Do capstrzyku już byłem spokojny i gdyby mnie ktoś zapytał, to powiedziałbym, że miałem bardzo udany dzień. A że pewnie w najbliższym czasie na przepustkę nie pojadę? No to co? Do kogo zresztą miałbym jechać? Ostatnio przestałem nawet pytać o listy. Bo i po co? Jeśli przez tyle czasu nikt do mnie nie napisał...

Już leżeliśmy w łóżkach, gdy odezwał się Paweł, góral zwany przez nas po prostu „Bęcek", bo jak sam mówił bardzo lubił „dawać bęcki" lumpom w czasie służby. Lał rzeczywiście często i mocno, aż Strzyż zwrócił mu uwagę, że po jego „bęckach" niektórzy mają gęby porozbijane.

– Juzem myślał, że mu das w pysk – dobiegł mnie jego głos.
– Ja też tak myślałem. Niewiele brakowało, ale jakoś się powstrzymałem.
– Jo bym tak nie umiał. Bym go prasnoł i juz.

Ty nie jesteś w ZOMO przez takie dawanie w pysk, pomyślałem, ale odpowiedziałem co innego:

– Przywalić łatwo. A co potem?

– Potem jest potem. Prasnołbyk i już. Stary by nie ukarał. Słysołek jak gadał Pakulakowi, ze musi uwazać co by go chłopaki w jakiejścik zawieruse nie otlukli.

– Myślałem o tym, żeby podczas jakiejś akcji przywalić mu w tłumie. Potem bym powiedział, że przypadkowo i już – zwierzyłem się Pawłowi szeptem.

– Mnie tez to chodziło po łbie. Ale on sie tsyma cwartego plutonu i nijak go trafić co by beł blisko.

– Może się kiedyś trafi – powiedziałem.
– Moze… – odpowiedział Paweł odwracając się na drugi bok.

Następnego dnia mieliśmy znowu służbę rano. Gdy zjechaliśmy na obiad, Strzyż przyszedł do sali.

– Co to Darek było wczoraj z dziennikiem? – spytał.

– Spóźniłem się pięć minut, bo był na sali pluton specjalny i robiliśmy sparingi. Ostatnia walka się przeciągnęła i nie zdążyłem dolecieć.

– Naprawdę tylko pięć minut? – patrzył na mnie podejrzliwie.
– Pięć minut, dowódco, ni kapkę więcej. Wszyscy widzieli – wtrącił się „Bęcek".
– To czemu jest wpisane, że nie byłeś na dzienniku?
– Pakulak miał służbę, a on się zawsze nas czepia – wytłumaczył za mnie Piekarski.

Strzyż zastanowił się chwilę.

– Dobra. Ja to skreślę, ale dla ciebie mam inną karę – powiedział w końcu.
– Tak jest.
– Nie pytasz nawet jaką?
– Kara jest kara. Lepsze to niż zakaz przepustek – odpowiedziałem.
– Akwarium urządzisz w moim pokoju. Mówił mi Baka, że w domu hodowałeś rybki.

Rzeczywiście kiedyś rozmawiałem z Baką na ten temat. On był bardziej kwiaciarz niż akwarysta, ale przegadaliśmy wtedy chyba z godzinę, bo mnie rośliny doniczkowe nie interesowały.

– Zrobi się, dowódco. Takie, że ładniejszego nikt na jednostce nie ma – powiedziałem z zapałem.

Tego popołudnia nie poszedłem na salę. Pojechałem ze Strzyżem do sklepu zoologicznego. Kupiliśmy akwarium, resztę sprzętu i rośliny. Zakup rybek odłożyłem na za parę dni, aż się wszystko w akwarium ułoży i zaczną rosnąć rośliny. W domu też tak za-

wsze robiłem, unikając w ten sposób niepotrzebnego dokupowania ryb na miejsce tych, które zdechły.

Strzyż przyglądał się moim zabiegom. O niektóre rzeczy pytał, niektóre ze zdziwieniem obserwował.

– W domu miałem akwarium, ale zawsze była mętna woda. Albo mętna, albo zielona. W końcu wyniosłem do piwnicy. A lubię tak posiedzieć i popatrzeć jak rybki pływają. Uspokaja mnie to jakoś. Nieraz żona się wściekała, że siedzę i siedzę. Ale parę razy przyłapałem ją na tym samym – opowiadał z uśmiechem.

– Tutaj woda nie zmętnieje, ani nie zzielenieje – zapewniłem go.
– Zobaczymy.

Przyglądał się jak przykrywam posadzone rośliny folią i zaczynam wlewać wodę.

– A mnie, cholera, zawsze się wszystko porujnowało. A to wystarczy folią nakryć. Proste. Aż głupio, że na to nie wpadłem – kręcił głową zdziwiony.

– Podpatrzyłem to u starego hodowcy – powiedziałem uśmiechając się.

– Słuchaj, Darek – powiedział poważniejąc. – Chcę cię uprzedzić, żebyś uważał na Pakulaka. Kiedy mu powiedziałem, że skreślam ten wpis o nieobecności to tylko burknął: „I tak go trafię". On jest pamiętliwy. Będzie teraz polował na ciebie.

– Dziękuję, dowódco. Będę się pilnował.
– Nowakiewicz dzisiaj z tobą rozmawiał?
– Nie. A co się stało? – spytałem przestraszony.
– Nic. Dzwonił do niego Śluza. Ten dowódca „tygrysów". Chce cię zabrać do siebie.
– Mnie? Do plutonu specjalnego? Przecież tam są sami zawodowi.

– Nie tylko. Zawsze jest trzech, czterech ze służby czynnej, bo im brakuje. A to któryś na urlopie, a to na zwolnieniu. Ciągle mają braki kadrowe.

– Może mnie tak zabrać? – zaniepokoiłem się.

– Z niewolnika nie ma robotnika. Najpierw wezmą cię na egzamin. Jeśli zdasz, to dopiero wtedy. Musisz chcieć.

Zastanowiłem się chwilę nad tymi nowinami. Strzyż całkowicie mnie zaskoczył. O plutonie specjalnym wiedziałem niewiele. Że dużo trenują na sali i w górach. Że cały czas chodzą z rewolwerami, że mają berety i fajne moro. Inne niż nasze. To była prawie cała moja wiedza na ten temat.

– A dowódca co by mi radził? – spytałem Strzyża.

– Dla mnie lepiej by było, żebyś nie szedł. Mówię uczciwie. Wyniki masz bardzo dobre. Co raz jakieś zatrzymania na gorącym uczynku. Wolałbym, żebyś został. Z drugiej strony, tobie w plutonie by było lepiej. Na treningi nie musiałbyś się urywać, tylko miałbyś w programie. Więcej przepustek, więcej luzu. Ćwiczenia cięższe, ale ciekawsze. No i nikt tobą by nie pomiatał. Pluton podlega tylko swojemu dowódcy i dowódcy jednostki. Nawet mnie i Starego byś nie musiał słuchać. O Pakulaku nawet nie wspomnę. Strzyż zdziwił mnie ta-

kim uczciwym postawieniem sprawy. On mnie chyba naprawdę polubił. Sam nie wiedziałem co mu powiedzieć i udałem, że jestem zajęty mocowaniem termometra w akwarium.

– Jeśli masz taką możliwość, to się nie zastanawiaj – odezwał się znowu. – Przyjdzie zima, to zobaczysz jakie wesołe są służby nocne na dwudziestostopniowym mrozie. Wleźć gdzieś, ogrzać się nie bardzo można, bo kiedy ulice są puste, to złodziejom w to graj. A u „tygrysów" miałbyś spokój.

– Oni na służby nie chodzą? – próbowałem go podpytać.

– Nie.

– To co robią?

– Pójdziesz, to się dowiesz – odpowiedział lakonicznie.

Akwarium już było skończone i poszedłem do siebie na salę. Czekałem, czy „Cap" nie wezwie mnie na rozmowę, ale tego dnia się nie doczekałem. Taka niepewność trwała przez dwa dni. Nie mogłem zapomnieć o rozmowie ze Strzyżem. Byłem zdecydowany pójść do plutonu specjalnego. Chłopakom nic nie mówiłem. Jeszcze nic z tego nie wyjdzie i będą się śmiać. Delikatnie w rozmowach próbowałem podpytać różnych ludzi o to, co robi pluton specjalny. Dowiedziałem się tylko tyle, że wykonują najbardziej niebezpieczne zadania i że co raz któryś leży w szpitalu. Nie zraziło mnie to, przeciwnie, jeszcze bardziej zaciekawiło.

* * *

Gdy „Cap" wezwał mnie do siebie, byłem już całkowicie pewny, że chcę pójść do „tygrysów", bo tak ich nazywali wszyscy w jednostce.

U Nowakiewicza siedział szczupły, wysoki porucznik. To pewnie Śluza, pomyślałem. Widywałem go czasami, gdy przychodził razem z plutonem ćwiczyć. Przychodził jednak rzadko i na krótko.

– Obywatelu poruczniku, szeregowy… zacząłem i „Cap" swoim zwyczajem nie dał mi skończyć.

– Dobra, dobra. Spocznij.

Stałem chwilę czując na sobie badawczy wzrok jego gościa. Ciszę przerwał Nowakiewicz:

– To jest porucznik Śluza, dowódca plutonu specjalnego. Ma dla ciebie propozycję.

Stanąłem przodem do Śluzy i strzeliłem obcasami kiwając głową. Wstał, uścisnął mi rękę.

– Siadaj – pokazał mi ręką fotel, czekał aż się usadowię w nim i dopiero zaczął:

– Opowiadali mi chłopcy, że jesteś ekspertem od sztuki walki i że dużo sam trenujesz. Twój dowódca – uśmiechnął się do „Capa" – chwali cię tutaj i mówi, że masz dobre wyniki i w ogóle jesteś chętny do roboty. Chciałbym, żebyś popracował ze mną w plutonie specjalnym. Co ty na to?

Tak jak myślałem: krótko, rzeczowo, prosto z mostu. To jest facet. Nie zaczyna od dupy strony, tylko załatwia to, po co tu przyszedł. Zawsze lubiłem takich ludzi.

– Chciałbym. Tylko nie wiem, czy dam radę. Słyszałem, że jest strasznie ciężki egzamin? – odpowiedziałem.

– Cieszę się, że chcesz. A egzamin zdasz, albo nie. Wymagania nie są takie wysokie. Dziesięć kilometrów biegu z pełnym oporządzeniem. Trzeba się zmieścić w godzinę. Ale w ogóle to trzeba przebiec, a nie paść po drodze. Czas nie jest najistotniejszy. Do tego 50 metrów pływania w moro, bez butów. Strzelanie i samoobrona – wyrecytował szybko i dodał: – Z tego ostatniego chyba zrezygnujemy, bo chłopcy mówią, że jesteś bardzo dobry, a ja im wierzę. Egzamin jutro o piątej rano. Pasuje?

"Cap" się tylko uśmiechnął jak usłyszał, kiedy będzie egzamin.

– Pasuje. Czemu nie? – odpowiedziałem.

Na usta cisnęło mi się chyba ze sto pytań jednocześnie, ale jak mogłem o cokolwiek zapytać, kiedy Śluza już wstał i podawał mi rękę na pożegnanie.

– Cieszę się! – dodał tylko i wyszedł.

Zostałem sam w pokoju z „Capem". Pierwszy raz. Nie wiedziałem, czy mam już iść, czy zostać, stać czy usiąść. „Cap" siedział za biurkiem i wpatrywał się w jakieś papierzyska. W pewnej chwili ocknął się jakby dopiero przypomniał sobie o mojej obecności:

– No co, chłopie? Zabierają mi ciebie – podszedł i przyglądał mi się przez chwilę z bliska.

Odszedł do okna i wyglądając przez nie mówił jakby do siebie:

– Zawsze najlepszych pozabierają i później chcą, żeby kompania miała wyniki. Paru na kurs dla kaprali, dwu na kierowców do batalionu. Jeden do „tygrysów". Kilku Bóg wie gdzie i po roku zostaną same lenie i pijaki – odwrócił się od okna. – Ale tu naprawdę nie żałuję. W plutonie są potrzebni porządni ludzie, bo ma mnóstwo roboty. Cieszę się, że ktoś z mojej kompanii tam pójdzie. Do tej pory jakoś nie miałem „tygrysa" na stanie.

– No, jeszcze nie wiadomo, obywatelu poruczniku, czy zdam egzamin?

– Zdasz, zdasz. Biegasz dobrze, bo widziałem na taktyce. Strzelanie wypadało też nie najgorzej… – mówił zerkając w dokumenty na biurku. – Pływać chyba, do cholery, umiesz? – zapytał na koniec gwałtownie, jakby się przestraszył.

– Oczywiście, że umiem – odparłem ze śmiechem.

– No to całe szczęście, bo dopiero by były jaja – roześmiał się. – Życzę powodzenia jutro. Tylko mi nie dziękuj, bo zapeszysz.

– Tak jest! Obywatelu poruczniku!

Prosto z gabinetu Nowakiewicza chciałem iść do palarni pozbierać myśli. Musiałem zajść do sali po papierosy. Mocno zdziwiony zauważyłem, że siedzi w niej chyba połowa mojego plutonu i to razem z dowódcą mojej drużyny Czaderem.

– No jak? Przyjmą cię? – spytał niecierpliwie Piekarski.

– Gdzie i kto? – zapytałem udając, że nie wiem o co chodzi.

– Nie wygłupiaj się. Przecież wszyscy wiedzą, że do „tygrysów".

– Jeżeli zdam egzamin, to przyjmą.

Zapadła cisza. W innych okolicznościach zapytałbym o co chodzi. Teraz jednak zbyt byłem podekscytowany tym co się zdarzyło, poszedłem więc do palarni. Pomyślałem tylko, że mi zazdroszczą i stąd ta zawistna cisza. Jak bardzo się myliłem, okazało się dopiero później.

Rano powstał problem, bo nie było komu wydać mi broni z magazynu. Co to za pełne wyposażenie bez broni? Szefa nie było, bo było za wcześnie, a nikt inny nie mógł podjąć decyzji. Problem rozwiązał Śluza przywożąc kałasznikowa z magazynu „tygrysów". Wyjechaliśmy do jednostki. Z dowódcą było jeszcze dwóch zawodowych. Jechaliśmy UAZ-em bez plandeki, czyli na bojowo. Tak jak z reguły jeździł pluton. Na trasę biegu wybrali drogę prowadzącą przez poligon do jakiejś miejscowości i ruszyłem. Śluza włączył stoper i jechali obok mnie. Pierwsze pięć kilometrów przebiegłem w dwadzieścia minut nie spiesząc się zbytnio. Drugą piątkę ledwo zmęczyłem i osiągnąłem czas pięćdziesiąt pięć minut. Nogi wytrzymały dobrze ten wysiłek. Gorzej zniosły to płuca. Pod koniec wyraźnie brakowało mi oddechu. Pieprzone papierosy, pomyślałem.

Po biegu, mimo iż ledwo trzymałem się na nogach, Śluza nie dał mi wsiąść do samochodu, tylko jeszcze kilkaset metrów musiałem przemaszerować.

– Jutro byś nie wstał o własnych siłach, gdybyś teraz usiadł. Trzeba mięśnie uspokoić – wytłumaczył.

Do egzaminu na basenie kazał mi się przebrać w moro takie, jakie nosili oni.

– Ues ma rękawy zapinane i nie nabierasz wody przy wyciąganiu ręki. W tym swoim tylko byś się uszarpał – padło wyjaśnienie. Rzeczywiście. U-es, czyli ubiór specjalny, różnił się bardzo od mojego moro. Spodnie miały wiele ponaszywanych kieszeni na udach, a bluza zapinane mankiety i gumkę w pasie. Tyle zdążyłem zauważyć, gdy się ubierałem.

Pięćdziesiąt metrów wydaje się krótkim odcinkiem, ale w wodzie i na dokładkę w ubraniu jest to dystans kosmiczny. Próbowałem crawlem, ale było za ciężko. Na plecach zbyt głęboko wchodziłem w wodę pomiędzy wymachami rąk.

– Żabką! Bo się na śmierć zachlapiesz – krzyknął któryś ze stojących na brzegu „tygrysów".

Miał rację. Od razu lepiej poszło i bez problemów pokonałem wyznaczony odcinek. Przebierając się w swoje moro zauważyłem, że na basenie jest cały pluton. No tak. Już po siódmej, po śniadaniu. Byłem głodny, ale nie śmiałem się odezwać. Czułem się znowu zagubiony i osamotniony. Bez chłopaków z mojej drużyny, z którymi już się zżyłem, między samymi obcymi, wchodziłem w nieznane. A nieznane to chyba były równe chłopaki o sympatycznych wąsatych twarzach. Szczerze gratulowali mi udanego egzaminu.

– Jeszcze strzelanie, bo chyba z samoobrony zrezygnujemy. Co chłopaki? – zapytał Śluza.

– Ja bym nie rezygnował – mruknął chłopak, przez walkę z którym spóźniłem się na dziennik.

– Co, Misiek, chcesz rewanżu? Znowu będziesz narzekał, że to za lekki przeciwnik, że kręci tobą jak chłopem w sądzie – zaśmiał się któryś.

– Rewanż i tak mi musisz umożliwić – powiedział do mnie. – Niekoniecznie dzisiaj, bo te cholery powiedzą, że byłeś zmęczony i dlatego wygrałem. Ale jak znowu zaczniesz tak latać po macie, jakby cię osa w dupę ucięła, to się obrażę – tłumaczył, ale wiedziałem, że żartuje.

– Tak. Najlepiej stań w miejscu i poczekaj aż cię trafi – powiedział Krzysiek, który jako jedyny wygrał ze mną. – Rozbuduj jeszcze trochę te mięśnie, to się w ogóle nie będziesz musiał ruszać. Ty słoniu.

Wychodziliśmy przed budynek basenu, gdy Krzysiek pstryknął Miśka w ucho i zaczął skakać dookoła niego. Ten rzeczywiście nie bardzo mógł go złapać, w końcu zrezygnował i udanie płaczliwym głosem zawołał:

– Dowódco! Zgaga mnie znowu zaczepia!

– Zgaga spokój, bo nie dostaniesz deseru – odezwał się Śluza biorąc udział w żartach.

– Tak jest! – Krzysiek „Zgaga" przestał i w tym momencie Misiek znienacka grzmotnął go w plecy aż huknęło. „Zgaga" próbował co prawda odskoczyć od niego na bezpieczną odległość, ale było za późno. Aż się zatoczył od tego uderzenia. Misiek rzeczywiście miał siłę.

– Tak ze mną grasz. Poczekaj, trafisz się – powiedział do rechoczącego Miśka.

Chyba będzie mi tu z nimi dobrze – pomyślałem. Wesołe towarzystwo, a ja byłem przekonany, że będą to jakieś ponure zabijaki.

Śluza też z nimi żartuje, czyli żyją bardziej po kumpelsku niż służbowo.

Strzelanie, zwłaszcza z krótkiej broni, wyszło mi niezbyt dobrze, ale w granicach normy.

– Strzelca wyborowego z ciebie nie zrobię, ale może być – podsumował Śluza.

– Dobrze strzela, dowódco. Kiedy miał się nauczyć? Na unitarce z pięć razy mieli strzelanie – stanął w mojej obronie niski, najstarszy chyba ze wszystkich blondyn, którego nazywali Śrubą.

– Cztery – powiedziałem.

– No! Nie ma co narzekać. Chłopak dobrze celuje, tylko mu trzeba treningu. Nerwowo ściąga spust i stąd rozrzut.

Śluza chwilę pomyślał i odezwał się głośno:

– No to, co chłopaki. Mamy nowego „tygrysa".

Coś mnie w tym momencie ścisnęło za gardło ze wzruszenia. Czułem się dumny z siebie. Z tego, że udało mi się zdać i z tego, że będę należał do tej elity. Na dźwięk sło-

wa „tygrys" poczułem przyjemny dreszcz. Zaraz jednak zaniepokoiłem się, bo jeden z chłopaków powiedział:

– Zaraz, zaraz. Jeszcze jeden egzamin został.

Śluza popatrzył na niego:

– Dalibyście spokój. To się kiedyś źle skończy – odezwał się ponuro.

– Nic się źle nie skończy. A rok temu też było wszystko dobrze, a co się okazało? Zemdlał i tyle – upierał się młody chorąży o pucułowatej twarzy.

– Dobra, „Jajco". Róbcie swoje, a ja idę na śniadanie. Nie podoba mi się to i nie będę brał w tym udziału.

– Nie ma problemu. Przyjdziemy tam zaraz.

Śluza poszedł, a ja patrzyłem z niepokojem jak ustawiają dwie tarcze do strzelania do sylwetek.

– Słuchaj, chłopak. To ostatnia próba. Każdy z nas taką przeszedł i ty też musisz. Na trzech dwóch odpada. Możesz się nie zgodzić i wracasz na kompanię.

– Jaka to próba? – spytałem coraz bardziej zaniepokojony.

– Stajesz między tymi dwoma tarczami, a ja i Śruba strzelamy do tarczy z „raków". Po jednym magazynku. Jak skończymy, masz tylko przejść po tej linii do nas.

Tłumacząc mi pokazał linię około trzydziestu metrów biegnącą wzdłuż strzelnicy od tarcz do stanowisk strzelniczych.

Zmroziło mnie. „Rak" był znany jako broń o dużym rozrzucie. Typowa broń komandosów do strzelania z biodra, albo „na wyczucie" prawie bez celowania. Śruba właśnie wyjmował dwa takie z samochodu.

– Chyba nie pękniesz? – powiedział do mnie. – Wierzę w ciebie. Czuję „tygrysa" przez skórę.

– Raz się żyje – powiedziałem idąc w kierunku tarcz.

Bałem się jak diabli i żeby nie słowa Śruby, to chyba zrezygnowałbym.

Między moimi ramionami a tarczami było chyba mniej niż pół metra odstępu. Pocieszałem się, że nie słyszałem jeszcze, żeby ktoś zginął podczas tej próby. Mój mózg oczywiście podszepnął mi „Będziesz pierwszy". Obroniłem się argumentem, że to dobrzy strzelcy. Dalej już nie miałem czasu na paniczne myśli, bo rozległ się huk dwóch serii spotęgowany echem odbitym od ścian strzelnicy. Kątem oka widziałem tylko nowopowstające dziurki w tarczach z obu stron. Zdziwiło mnie, że w tym huku nie słyszę gwizdu pocisków, a tylko puknięcia kul o tarczę. Wszystko trwało bardzo krótko i usłyszałem krzyk Śruby:

– Chodź do nas po linii!

Spojrzałem w końcu na nich. Trzymali jeszcze broń z rozłożonymi kolbami przyłożoną do ramion. A więc nie strzelali z biodra, tylko celowali dokładnie. Ledwo zdążyłem przejść około dziesięciu metrów, gdy znowu rozległy się strzały i pociski zaczęły ryć zie-

mię z obu stron moich nóg. O dziwo, kule teraz gwizdały. To dlatego trzymali dalej broń przygotowaną do strzału – pomyślałem błyskawicznie padając. Do dzisiaj nie wiem, skąd przyszedł mi go głowy pomysł, żeby ich przestraszyć. Wyciągnąłem z kabury broń i przeładowując na leżąco wycelowałem w nich. Miałem pełny magazynek, bo o jeden za dużo załadowałem przy strzelaniu. Już w trakcie przeładowywania kule przestały gwizdać koło mnie. Widziałem jak cały pluton razem z oboma strzelcami błyskawicznie znika. Jedni za słupami, a inni po prostu za niskim wałem ziemi wyznaczającym miejsce, z którego się strzela. Kilka sekund jeszcze poleżałem. Wstając wyjąłem magazynek i rozładowując broń wyrzuciłem nabój z lufy na trawę. Wkładając go do magazynka zobaczyłem kilka podnoszących się powolutku i ostrożnie głów. Muszę przyznać, że przedtem poznikali tak dokładnie, że nie było nikogo widać.

– W porządku! Rozładowałem! – krzyknąłem.

Ostrożnie podnosili się. Śruba chwilę popatrzył na mnie i wybuchnął śmiechem. Dołączyli do niego inni, ale nie wszyscy.

– Ale numer! – rechotał klepiąc się z radości po udach. Zobaczył, że część patrzy na mnie spode łba i odezwał się do nich:

– No co, kurwa! Chcieliśmy nastraszyć młodego, a on nas rzucił na ziemię. Prawdziwy tygrys z pazurami.

Podszedłem do nich. Było mi głupio i bałem się jak zareagują, ale chyba było wszystko dobrze. Klepali mnie po plecach, już wszyscy uśmiechnięci. Podszedł do mnie Śruba:

– Od dzisiaj nikt oprócz Śluzy i dowódcy jednostki nie ma prawa cię ganiać. Przestałeś być kotem. „Tygrysem" jeszcze nie jesteś, bo mało umiesz. Ale pamiętaj! Żaden kapral, czy starszy służbą nie ma prawa cię ścigać. Jeśli spróbuje, to możesz mu śmiało powiedzieć, żeby się w dupę pocałował.

– A jak się będzie rwał do bicia, to wal w zęby, a my pomożemy – wszedł mu w słowo Jajco, drugi ze strzelców.

Teraz dopiero poczułem, że drżą mi łydki i ręce. Ze wzruszenia? – próbowałem się oszukać, ale coś w środku mi powiedziało, że to wzruszenie nazywa się po prostu strach.

Pojechaliśmy do stołówki. Myślałem, że się wszyscy nie zmieścimy do dwóch UAZ-ów, ale okazało się, że część po prostu jedzie wisząc przy burtach. Silniki rzęziły przeciążone.

W stołówce Śluza skwitował całe zdarzenie:

– Szczęście, że do was nie wygarnął.

–Tak się pochowali, że żadnego nie trafiłem – powiedziałem.

– Bara, bara – powiedział Zgaga. – Sam widziałem jak Miśkowi dupa wystawała nad wałem. Myślałem, że to jakaś górka i chciałem za nią zalegnąć. Patrzę, a to Miśka wielka dupa.

– Odwal się w końcu – krzyknął Misiek.

– Właśnie, że nie! – odwrócił się do mnie. – No powiedz, czy nie wystawała? No powiedz?

Motałem się jak między młotem i kowadłem. Nie chciałem, biorąc czyjąś stronę, zacząć od kłótni. Musiałem jednak wybrnąć.

– Nikogo nie widziałem – powiedziałem w końcu.

– Eee, tak tylko gada. Nie chce, żeby gruby się obraził – powiedział Zgaga puszczając oko.

* * *

Siadłem między nimi przy stoliku Śluzy. Czułem się nieźle wypompowany porannymi przeżyciami i głodny jak wilk. Zastanawiałem się, jak przekonać wydających posiłki, żeby dali mi śniadanie. Dotychczas zawsze przychodziłem razem z całą kompanią. Nie wolno nam było przychodzić pojedynczo. Jeśli ktoś miał jakieś zajęcia poza kompanią i nie mógł przyjść razem, wówczas podoficer dyżurny dzwonił na stołówkę, żeby wydali mu śniadanie, albo zostawiał kartkę z nazwiskami tych, którzy będą jedli później. Nie wiedziałem, czy dzisiaj zostawił taką kartkę. Miałem też drugi problem. Śluza i reszta plutonu jedli posiłki zawsze w części wydzielonej dla kadry. Obsługiwał ich wyznaczony dyżurny z kuchni i podawał posiłki na stół. Był to chłopak odrabiający wojsko tak jak ja, tyle tylko, że zamiast chodzić na służby trafił do stołówki. Nie wiedziałem, czy mam jeść z całym plutonem, czy w części nie dla kadry. Z kłopotów wybawił mnie Misiek:

– A co ty, nie jesz śniadania? Głodny nie jesteś? – spytał.

– Jestem. Tylko nie wiem, czy kapral zostawił dla mnie śniadanie – odpowiedziałem wdzięczny mu za to pytanie.

– No to zjesz z nami, nie ma problemu – powiedział i poszedł do kuchni.

– Znowu będzie awantura – roześmiał się Jajco.

Śluza uśmiechnął się kiwając głową.

– Jeżeli mają być przeze mnie kłopoty, to mogę nie jeść. Nie ma problemu – powiedziałem szybko.

– Jakie kłopoty? – kontynuował Jajco. – Misiek tylko szuka okazji, żeby się czepić kucharzy. Zawsze się z nimi wykłóca o większe porcje i twierdzi, że nas okradają. Kiedyś mało brakowało, a wyciągnąłby kucharza za klapy przez okienko od wydawania.

– Bo mu się należało – odezwał się siedzący niedaleko starszy kapral. – Takie porcje nam podał, że nawet nie było połowy tego co powinno.

Wrócił Misiek.

– Siedź tutaj i czekaj, aż ci poda – powiedział do mnie i zaraz odwrócił się do dowódcy. – Oczywiście śniadania nie było i on nic nie wiedział, że u nas jest jeden chłopak więcej.

– Nie mógł tego wiedzieć. Dopiero teraz pójdę do dowódcy jednostki, żeby go oficjalnie rozkazem przeniósł do nas – odpowiedział mu Śluza.

– Tak? To nic nie szkodzi. Przekonałem go, żeby przyniósł śniadanie.

– Coś mu zrobił?

– Nic. Tylko obiecałem, że jak za pięć minut śniadania nie będzie, to go wsadzę do kotła, bo już mam dosyć jego machlojek.

– Ciekawe skąd weźmie porcję? – głośno myślał Śluza.

– Jak to skąd? Najwyżej on i kucharki mniej dzisiaj wyniosą do domu – wyjaśnił wzruszając ramionami Misiek.

Jego słowa sprawdziły się. Z kuchni przez stołówkę do części, w której siedzieliśmy, maszerował naburmuszony dyżurny niosąc śniadanie. Jeśli dobrze poznałem, był z czwartej kompanii, czyli o rok starszy służbą w ZOMO ode mnie. W hierarchii jednostki byłem dla niego wstrętnym „kotem", a on był „rezerwistą", czyli „dziadkiem". I takiemu „kotu" on musiał podać śniadanie. Siedziałem skulony czekając, czy mi nie wywali tacy na głowę. Nic takiego się jednak nie stało. Postawił śniadanie przede mną i poszedł sobie. Bałem się nawet powiedzieć mu „dziękuję", żeby nie wyszło, że kpię z niego.

Gdy zaczynałem jeść, Śluza i reszta już skończyli i zaczęli wychodzić. Nowy dowódca wstając od stołu wyjaśnił mi, co mam dalej robić. Miałem iść na swoją kompanię i pozdawać szefowi Oborniakowi pościel, broń, pałki i parę jeszcze innych drobiazgów. Potem miałem z resztą rzeczy przyjść do siedziby plutonu i tam dowiedzieć się wszystkiego. Oni pojadą na poligon na zajęcia, więc pewnie nikogo nie będzie jak przyjdę, ale mam zaczekać do ich powrotu.

– Siedź u nas, bo tak to Nowakiewicz albo kaprale gotowi ci jakieś zajęcie znaleźć na kompanii, a po co ci to – powiedział na odchodne.

Szybko dokończyłem śniadanie i uciekłem ze stołówki. Bałem się, że dyżurny wróci i da mi „popalić" za to, że musiał mi przynieść śniadanie. Byłem jeszcze ubrany w normalne moro jak wszyscy zomowcy. Pomyślałem, że gdybym już chodził ubrany jak „tygrys" mógłbym się postawić, a tak nie czułem się na siłach, więc wołałem szybko wyjść ze stołówki.

Oborniak już wiedział, że mam się przenieść do plutonu. Po drodze do sali na korytarzu natknąłem się na Nowakiewicza.

– Moje gratulacje… „tygrysie" – klepnął mnie w plecy. – Myślę, że będziesz zaglądał do nas.

– Na pewno, obywatelu poruczniku.

Na sali chłopcy nic nie wiedzieli. Zorientowali się dopiero, jak zacząłem zwijać pościel.

– Możesz się jeszcze wycofać – powiedział Tomek.

– Dlaczego miałbym się wycofywać? – spytałem zdziwiony.

Tomek spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem.

– Co z nim będziesz gadał, skoro mu się to podoba – odezwał się Zbyszek Pacześ.

O co im chodzi, do cholery? Nie mogłem nic z tej gadki zrozumieć. Zostawiłem pościel w spokoju, stanąłem na środku i powiedziałem:

– Słuchajcie. Nie rozumiem o co wam chodzi. Jeśli coś wiecie i chcecie mi powiedzieć, to mówice, a nie chodzicie nadąsani jak panienki.

Na chwilę zapadła cisza. Patrzyli na mnie zdziwieni. W końcu Zbyszek wyjął z szafki papierosy.

– Chodź do palarni. Pogadamy – odezwał się stojąc w drzwiach.

W palarni siedział jakiś chłopak i czyścił buty, więc siedzieliśmy w milczeniu i paliliśmy papierosy. Patrzyłem jak poleruje „na błysk" oba napastowane już buty i zastanawiałem się o co może chłopakom chodzić. Przedtem myślałem, że z zawiści warczą na mnie, ale teraz coś mi zaczynało nie pasować. Zbyszek miał poważną minę, więc chciał mi powiedzieć coś naprawdę ważnego. Gdy chłopak z butami poszedł w końcu do sali, przysunął się do mnie i zapytał:

– Darek, dobrze ci się ze mną pracowało?

Patrzyłem przez chwilę zdziwiony, bo zaskoczył mnie tym pytaniem.

– No pewnie, że dobrze. Przecież wiesz. Nie raz mówiłem ci o tym – odpowiedziałem.

– Mnie też się dobrze z dobą chodziło i jesteś nieglupi chłopak. Dlatego się dziwię, że ładujesz się w to gówno.

– Jakie gówno? O co ci chodzi?

– No o ten pluton specjalny.

Zaczynało mnie już to złościć. Nie widziałem nic złego w plutonie. A przynajmniej nic gorszego od całego ZOMO.

– Słuchaj, Zbychu! Mów konkretnie, bo w plutonie nic złego nie widziałem. Robota jak każda inna w ZOMO, więc co w tym złego?

– Mówisz, że robota jak każda inna? A wiesz, gdzie oni jeżdżą po nocach? Co robią w czasie działań? O kopalni, o „Wujku" słyszałeś

Zbyszek był mocno zdenerwowany. Zapalił drugiego papierosa.

– Co robią, dokładnie nie wiem, ale wydaje mi się, że to samo co całe ZOMO. A na tej kopalni była cała jednostka stąd, z Piotrkowic. Ki diabeł dojdzie, czy to strzelał pluton specjalny, wojsko czy ZOMO. Wiesz na pewno?

– Na pewno nie wiem. Ale wszyscy mówią, że to ci z plutonu dostali polecenie i zaczęli rąbać do ludzi.

– A myślisz, że w normalnej kompanii nie możesz dostać takiego rozkazu? Pieprzysz, Zbychu, takie bzdury, że aż strach słuchać – palnąłem w końcu coraz bardziej zły.

Chyba zobaczył, że zamiast mnie przekonać tylko mnie rozzłościł, bo zaczął z innej beczki:

– Darek, pal sześć górników. Zachciało im się dymić, dostali w czapę i dobra. Nie

mój problem. Chodzi mi o ciebie. Nie lepiej ci posiedzieć na kompanii, zamiast latać z tymi wariatami tam, gdzie najbardziej gorąco? Przecież co raz któryś z nich leży w szpitalu, bo gdzieś oberwie. A dwa miesiące temu to co? Nie było pogrzebu? Słyszałeś pewnie o tym chłopaku, którego wariat z dachu ściągnął ze sobą.

– Był nieostrożny i dał się ściągnąć.

– Tak, a ty jesteś taki kozak, że się nie dasz – przyciął mi Zbyszek.

Szkoda mi się go zrobiło, bo najwyraźniej dobrze chciał i był coraz bardziej smutny widząc, że mnie nie przekona. Przysunąłem się bliżej niego:

– Zbychu, daj spokój. Już się zdecydowałem. Nie przekonasz mnie, bo zaczyna mi się to podobać. Nareszcie będę miał spokój z Pakulakiem. Tam chłopcy są całkiem inni. Sierżant czy' chorąży, wszyscy na ty i jeden drugiego się nie czepia.

Opowiedziałem mu jak zachowywali się na egzaminie i stołówce. Wysłuchał mnie z zaciekawieniem. Chwilę milczeliśmy. Widziałem, że Zbyszek coś w sobie waży, że waha się, czy powiedzieć, czy nie. W końcu westchnął i zapytał:

– List od dziewczyny dostałeś?

Ale mnie dziobnął! W najczulsze miejsce. Już miałem odszczeknąć „A co cię to obchodzi", ale udało mi się powstrzymać. Zamiast tego w miarę spokojnie powiedziałem:

– Nie miałem. I od matki też nie, ale nie o to chodzi. Po prostu chcę tam iść, bo mnie ciągnie do tej roboty i tyle.

– Myślałem, że przez dziewczynę. Z chłopakami nawet obmyśliliśmy lekarstwo. Tomek chciał cię ustawić z koleżanką swojej dziewczyny, a i Piekarski miał jakąś dupę dla ciebie. Widzisz, chłopaki cię lubią i szkoda im, że chcesz odejść z naszej drużyny.

– Podziękuj im ode mnie i nie martw się. Dam sobie radę.

– Jak uważasz. Przypilnuję tu na kompanii listy do ciebie. Jak coś będzie, to zadzwonię, żebyś przyszedł. Dobra?

– Dobra. Dziękuję.

Na sali, gdy zabierałem swoje rzeczy, nikt już nie zaczynał rozmowy ze mną. Tak samo szef Oborniak bez gadania przyjął wszystko, co miałem do zdania. Po rozliczeniu się z kompanią zostało mi tylko to, co pobrałem w magazynie mundurowym, tzn. moro, buty i mundury wyjściowe. Chwilę zaczekałem na kompanii na Strzyża. Przecież obiecałem mu, że za parę dni kupimy rybki do akwarium. Ucieszył się, że pamiętam o tym. Zostawiłem mundury u niego i pojechaliśmy jego samochodem do sklepu. Sprzedawca chciał nam wcisnąć trochę ryb, które nie nadawały się do takiego akwarium, bo tłukły inne. Szybko jednak zorientował się, że źle trafił i już bez kombinowania łapał to, co mu kazałem. W drodze powrotnej Strzyż nie mógł sobie darować:

– Zobacz, Darek, jacy ci ludzie bezczelni. Wydawałoby się, że się milicjanta boją i ze strachu sprzedadzą mu to, co najlepsze. W życiu bym nie przypuszczał, że w sklepie zoologicznym facet zechce mnie nabierać.

– To już taki interes. Jak komuś wciśnie kilka bojowników, to wytłuką trochę ryb i klient wróci, żeby dokupić. Wszystko zależy od tego, kto w sklepie sprzedaje. Jak hodowca, to takich rzeczy nie robi, tylko jeszcze doradzi co brać, a czego nie. A ten facet to typowy handlarzyna. Patrzy tylko na zysk – tłumaczyłem mu.

Ryby wpuściliśmy i Strzyż chwilę patrzył na akwarium. W końcu stwierdził:

– Ładnie wygląda. Ciekawe, ile czasu takie będzie?

– Zajrzę raz w miesiącu, trochę poprawię i będzie dobrze – obiecałem mu. – Niech dowódca tylko karmi jak mówiłem i jak woda wyparuje, to trzeba dolewać destylowanej.

– Z destylówką nie ma problemu. Szulc odchodzi z kompanii do laboratorium fotograficznego, to mi przyniesie – powiedział patrząc cały czas na akwarium.

– Który Szulc? Ten mały z czwartego plutonu? Taki czarny?

– Tak. Dogadał się z fotografem i będą razem pracować.

– To nieźle się załapał – powiedziałem i dodałem zaraz: – Myślałem, że tylko ja odchodzę, ale widzę, że coraz więcej chłopaków gdzieś się zaczepia poza kompanią.

– No, nie tak dużo. Nowakiewicz nie chce się zgadzać. Oprócz Szulca puścił jeszcze Wandzika i ciebie i zapowiedział, że więcej nie odda, żeby nie wiem co się działo.

– Wandzika? Tego, który był ze miną w Częstochowie? – spytałem zdziwiony.

Strzyż pokiwał głową.

– A gdzie on poszedł? – wypytywałem delikatnie.

– Został kierowcą dowódcy batalionu – odpowiedział i po chwili zaproponował: – Chodź, podwiozę cię z tymi mundurami na pluton, to nie będziesz dźwigał przez całą jednostkę.

Ucieszyłem się z tego. Siedziba plutonu rzeczywiście była w drugim końcu koszar, a mundurów sporo, bo oprócz nich zabrałem też swoje cywilne ciuchy. Nie miałem w co tego załadować, bo nawet plecak musiałem oddać. Byłoby więc nie tyle ciężko, ile niewygodnie dźwigać ten majdan. Jednocześnie śmiać mi się chciało. Jak przedtem na unitarce Strzyż ganiał mnie z plecakiem i całym sprzętem, to nie przejmował się, że ciężko, a teraz proszę – jaka zmiana, podwozi mnie do plutonu, żebym nie dźwigał mundurów.

* * *

Śluza z chłopakami wrócił już z poligonu i od razu z samochodu Strzyża przeładowałem mundury do UAZ-a. Pojechaliśmy pod magazyny, żebym pobrał to, co będzie mi potrzebne. Trwało to chyba z godzinę. Sprzęt zajął cały tył gazika. Samej broni pięć sztuk: kałasznikow, rewolwer „Astra", pistolet maszynowy „Rak", rakietnica i wyrzutnia granatów łzawiących. Do tego kabury, zapasowe magazynki, amunicja. Dwa komplety moro, buty inne niż miałem, podobne do wojskowych, sznurowane. Jakaś uprząż – pomyślałem, że jak dla konia, nóż szturmowy i wiele innych rzeczy, a na końcu beret za-

miast czapki wyjściowej i rogatywki od moro. Śruba, w którego drużynie miałem służyć zaprowadził mnie na salę i cierpliwie tłumaczył wszystko po kolei.

Okazało się, że w sali, w której były trzy tapczaniki, na razie będę mieszkał sam. Reszta chłopaków to funkcjonariusze zawodowi i śpią w domach. Jeżeli mają dyżur, albo jest stan podwyższonej gotowości lub skoszarowanie, wtedy cały pluton przebywa w koszarach. Moja sala była przeznaczona dla ludzi z poboru, a na razie taki w plutonie byłem tylko ja. Chciałem zdać broń do magazynu, ale Śruba tylko się roześmiał. Okazało się, że broń osobistą, tzn. rewolwer, mam mieć cały czas przy sobie, a resztę w stojakach na sali.

Zanim wyszedłem ze Śrubą na obiad oglądałem się ze wszystkich stron w dużym lustrze na korytarzu. Podobałem się sobie. US obciśnięty gumką i pasem w talii był dobrze dopasowany do sylwetki. Na pasie broń, z kieszeni wystaje nóż, beret pod pagonem. Od razu człowiek nabiera pewności siebie i sprężystości ruchów. Gdyby nawet cherlaka tak ubrali, od razu poczułby się mocarzem.

Po obiedzie nie bardzo wiedziałem co ze sobą zrobić. Wszyscy gdzieś się rozeszli. Obszedłem budynek plutonu. Wszystkie drzwi zamknięte. Pukając zwróciłem uwagę na to, jak są zabezpieczone sale. Oprócz krat w oknach i drzwi wzmocnionych blachą, każde drzwi były plombowane na czas nieobecności mieszkańca. Oprócz tego całą dobę ktoś miał dyżur i powinien przebywać w budynku. Był to chyba luźny wymóg, bo w tej chwili nie było nikogo. Śruba też gdzieś po obiedzie zniknął. Z braku innego zajęcia postanowiłem wyczyścić broń, która świeżo pobrana z magazynu była cała zaoliwiona i w tym stanie nie nadawała się do użytku. W łazience już wcześniej zauważyłem pojemnik z oliwą i szmaty do czyszczenia, więc mogłem spokojnie zabrać się do roboty. Mocno zajęło mnie rozkładanie i czyszczenie rewolweru. Nie znałem wcześniej tej broni. Bębenkowiec „Astra" jest inaczej zbudowany niż pistolety, więc miałem trochę kłopotów nim zrozumiałem, w jaki sposób można dotrzeć do wszystkich jego zakamarków. Przy tej czynności zastał mnie Śluza. Ucieszyłem się, że wszedł akurat w takim momencie. Niech zobaczy jakiego wzorowego milicjanta przyjął.

– O! Widzę, że wiesz o co trzeba naprawdę dbać – zawołał od progu.

– W magazynie tak ją zawsze naoliwią, że aż z lufy kapie – odpowiedziałem.

– A to prawda. Dobrze, że dbasz o broń, bo to podstawa. Raz ci się pistolet zatnie i możesz już nie mieć okazji go wyczyścić – powiedział siadając koło mnie. Chwilę przyglądał się jak składam „Astrę" i ustawiam broń na stojaku. W końcu odezwał się:

– Przez pierwszy tydzień nie będziesz jeździł z nami do roboty, tylko będziesz codziennie brał udział w szkoleniu. Po obiedzie będzie tu wpadał Śruba i podciągnie cię trochę w strzelaniu. Potem wchodzisz w normalny grafik służb w drużynie Śruby, czyli w pierwszej. Musisz pamiętać o jednej zasadzie. Za każdym razem, gdy wychodzisz z sali, masz zamknąć drzwi na klucz i założyć plombę. Tu masz klucz i referentkę. Broń trzyma się w salach, więc trzeba uważać. Nic ci nie potrzeba?

Pokręciłem głową, że nie, więc poszedł sobie.

Tydzień, o którym mówił, Śluza minął szybciej niż myślałem. Chłopcy z plutonu, a zwłaszcza Śruba, zachowywali się tak jakby chcieli przekazać mi wszystkie swoje umiejętności. Wystarczyło, że podczas zajęć stanąłem na chwilę niezdecydowany, a już któryś pojawiał się koło mnie i tłumaczył to, czego nie wiedziałem. W trakcie zajęć z przeszukiwania niebezpiecznych osób zrobiłem nieprawidłowy ruch przy zakładaniu kajdanek, a już z boku usłyszałem: „Wyrwałby ci się. Musisz mu tak rękę wykręcić, aż poczujesz taki opór, że mógłbyś ją wyłamać i cisnąć dalej". Trochę mnie irytował ten ciągły nadzór, ale się nie odzywałem. Byłem przecież zielony i dopiero się uczyłem. Przeszukiwanie i wchodzenie do pomieszczeń było ćwiczone chyba najczęściej, bo chłopcy narzekali zawsze, gdy zaczynaliśmy, że „znowu to samo" i Śluza niezmiennie odpowiadał:

– Tak, bo to najczęściej się zdarza i dlatego musicie to umieć.

Przy zjazdach po linie i schodzeniu z dachu, żeby wejść przez okno bałem się, bo wychowany na nizinach nigdy nie miałem do czynienia z alpinistyką i linkami. Okazało się to jednak wielką frajdą i zajęciem bezpiecznym dzięki porządnej asekuracji chłopaków. Dowiedziałem się w końcu do czego służy ta uprząż jak dla konia. Pod koniec zajęć śmiało już zsuwałem się po linie i rozgrzany pytałem Śluzę, kiedy będą następne takie zajęcia.

Przez ten tydzień popołudnia spędzałem ze Śrubą na strzelnicy. Amunicji zużyliśmy chyba więcej niż kompania przez rok, ale celność moich strzałów znacznie się poprawiła.

Ukoronowaniem tygodnia był „bieg straceńców". Okazało się, że to bieg według prostej zasady. Biegnie się dotąd, aż wszyscy odpadną. Ruszyliśmy od jednostki, a za nami dwóch chłopaków UAZ-ami jako sędziowie. Przez pierwszych kilka kilometrów nic się nie działo. Biegliśmy poboczem drogi do Bielska-Białej, w moro, normalnych butach i tylko z osobistą bronią. Tempo nie było zbyt ostre, więc znosiłem to dość dobrze. Po około pięciu kilometrach zaczęli odpadać pierwsi. Jednym z nich był Śruba, ale on miał prawo. Był chyba najstarszy z nas. Gdy zaczął zostawać mocno w tyle, podjechał do niego UAZ i kierowca kazał mu wsiąść. Szybko odpadł też Misiek. Mnie „wyłączył" kierowca, gdy biegnących pozostało jedenastu, czyli całkiem niezły wynik. Najdłużej trwało, gdy pozostało pięciu biegnących. Wśród nich był Śluza. Z przyjemnością patrzyłem jak biegnie. Wysoki, sprężysty, ciągnął równym tempem nie zdradzając oznak zmęczenia. W pewnym momencie zaczął wyraźnie przyśpieszać.

– Zaraz ich wszystkich wyrąbie – odezwał się Baca podjeżdżając do dwóch zostających w tyle chłopaków.

Została trójka, tj. Śluza, dowódca jednej z drużyn o pseudonimie „Biały" i Lala. Biegli spokojnie i wyglądało na to, że mają jeszcze duży zapas sił. O Lali mówił mi Śruba, że był przez dwa lata w seminarium duchownym. Rzucił to i przyszedł do ZOMO. Mówił,

że unitarka to pestka w porównaniu z tym, co wyrabiali z nimi księża w trakcie pierwszego roku nauki w seminarium. Śruba mówił mi też, że Lala jak się upije to śpiewa bardzo ładnie psalmy, ale trudno wtedy wytrzymać.

– Ocho, Lala znowu próbuje – krzyknął siedzący koło mnie Dyzio, spec od pirotechniki. Też z mojej drużyny.

"Biały" został trochę z tyłu, a Lala wyprzedził Śluzę i mocno ciągnął do przodu. Niestety! Przeliczył się. Śluza też przyspieszył i powoli zrównał się z nim. Chwilę biegli razem. Drugi UAZ zabrał „Białego", który już przestał liczyć się w tej rozgrywce. Ten wyrównany bieg nie trwał długo. Z jakąś mechaniczną precyzją Śluza powoli podkręcał tempo. Wyszedł na prowadzenie i powoli zwiększał przewagę. Lala mimo strasznego wysiłku nie mógł już się zrównać z nim i odległość zaczęła rosnąć. Gdy wynosiła około piętnastu metrów, Baca włączył sygnały i zakończył bieg.

– Kiedyś mi się uda – powiedział do Śluzy Lala, gramoląc się do przepełnionego UAZ-a.

– Na pewno – wysapał dowódca i dodał: – Jesteś młodszy ode mnie. Ja jestem coraz starszy, a ty dopiero dochodzisz do formy.

Dobrze mi było z tymi chłopakami. Mimo zmęczenia czułem się jakoś lekko, chyba… byłem szczęśliwy. Pełny sił, wigoru i zadowolenia z siebie. Podobało mi się takie życie, podobały i dziewczyny machające z wyprzedzającego nas właśnie autokaru.

* * *

Nadszedł w końcu dzień, gdy miałem jechać do normalnej roboty razem ze swoją drużyną. Z ich wcześniejszych rozmów wywnioskowałem, że najczęściej wykorzystywani są do zatrzymywania niebezpiecznych osób, takich, które mogą mieć broń.

Tego dnia też o to chodziło. Do południa zrobiliśmy dwa wejścia do pomieszczeń. Jedno w bloku, a drugie w starej kamienicy. Obyło się bez żadnych sensacji i faceci trafili do aresztu, a milicjanci z RUSW-u mogli spokojnie robić przeszukanie. Niczego szczególnego, a zwłaszcza broni nie znaleźli, my też nie trafiliśmy na żaden opór, ale ostrożności nigdy dość. Wróciliśmy do jednostki i kończyliśmy obiad, gdy podszedł do nas pomocnik oficera dyżurnego i powiedział, że mamy się zbierać, bo coś od nas chcą na IV komisariacie w Katowicach. Śruba krzyknął:

– Zbieramy się!

Drużyna załadowała się ze sprzętem do dwóch UAZ-ów, a Śruba gdzieś dzwonił. Gdy wsiadł i ruszyliśmy, odwrócił się do nas:

– Jakiś czub zamknął się w pokoju w hotelu „Warszawa" razem z pokojówką i drze się przez okno z czwartego piętra: „Precz z komuną". Grozi, że jak ktoś spróbuje do niego wejść, to poderżnie dziewczynie gardło. Mamy to załatwić jak najszybciej, bo przed hotelem zebrało się już sporo ludzi.

Zajechaliśmy na tył hotelu, tak żeby nas nie zauważył. Śruba chwilę rozmawiał z jakimś facetem i już w biegu powiedział:

– Nie ma innej możliwości. Wchodzimy drzwiami. Może nie zdąży odskoczyć od okna do dziewczyny.

Wbiegliśmy na czwarte piętro. Śruba chwilę podsłuchiwał pod drzwiami i pokazał na mnie, żebym z tzw. kopa wywalił drzwi i odsunął się. Po obu stronach przyczaiła się cała drużyna. Z całej siły kopnąłem mierząc tuż przy zamku. Poczułem niewielki opór i… noga weszła w drzwi jak w masło. Próbowałem szarpnąć z powrotem. Nie idzie! W środku facet z nożem, ja na zewnątrz, ale moja noga od stopy po łydkę w pokoju. Za chwilę urżnie mi kulasa i tyle. Rozpaczliwie spojrzałem na Śrubę, który patrzył zaskoczony i nie mógł zrozumieć. W tym momencie całym ciałem i z impetem gruchnął w drzwi Misiek. Otworzyły się pociągając mnie za sobą. Starałem się przysunąć jak najbliżej, żeby chłopcy za moimi plecami mogli wbiec do pokoju. Wpadali po kolei do środka lekko mnie potrącając. Więcej miejsca nie mogłem już im zrobić, bo noga wciąż tkwiła w drzwiach. Gdy wbiegł ostatni, znowu szarpnąłem kilka razy, ale noga nadal tkwiła w otworze. Przeszkadzał but. Szybko rozsznurowałem go, starając się zobaczyć co się dzieje w pokoju. Już było po wszystkim. Facet leżał skuty na podłodze. Śruba przyciskał go nogą i meldował przez radiostację o zakończeniu akcji. Na tapczanie siedziała pokojowa i opowiadała ożywiona:

– Jak pierwszy raz haratnęło przy drzwiach to się odwrócił od okna z nożem w ręce. Nie wiedziałam co się dzieje, bo siedziałam na tapczaniku i nie było z tego miejsca widać. On stał i patrzył. Oczy wytrzeszczył jakby ducha zobaczył i stał. Wtedy haratnęło drugi raz i panowie wpadliście.

Śruba odwrócił się do mnie:

– Jego chyba też zaskoczyło. Całe szczęście, bo mogły być kłopoty – powiedział.

Żadnych pretensji, uwag. Tylko mówi spokojnie, że mogły być kłopoty.

– Żeby nie Misiek, to by pewnie były – powiedziałem i odwróciłem się do Miśka. – Żeby nie ty, to już bym pewnie nogi nie miał. Dziękuję.

Kiwnął głową z uśmiechem. Nadszedł personel hotelu. Jeden z mężczyzn zaczął narzekać, że drzwi są całkiem połamane. Podszedł do niego Zgaga:

– Czego pan narzeka? Drzwi z papieru żeś pan zrobił, to jak miały się nie rozlecieć. Gdyby były z drewna, to by były całe. A że są z tektury, to… już ich prawie nie ma.

– No tak, ale kto za to zapłaci? – czepiał się dalej facet.

– Nie wiem. Niech pan pyta w komisariacie. My jesteśmy od zatrzymywania, a nie od takich dupereli – zakończył dyskusję Zgaga i wyprowadził razem ze Śrubą zatrzymanego.

Gdy przechodzili koło mnie, przyjrzałem się szaleńcowi. Mały, chudy, jakiś przygarbiony. Krótko mówiąc, nędza. Później dowiedziałem się, że jak zobaczył chłopaków

wbiegających do pokoju, to tak się przestraszył, że rzucił nóż, skulił się, rękoma nakrył głowę i tak czekał, aż go zakują w kajdanki. Ale bandyta. Pierwszej wody. Śmiałem się teraz w duchu ze swoich obaw, że urżnie mi nogę, ale jednocześnie przypomniałem sobie, że przedtem nie było mi do śmiechu i byłem naprawdę przerażony.

W komisariacie Śruba jako dowodzący akcją szybko wypełnił dokumenty. Śpieszył się, bo na zatrzymanego czekało już dwóch panów ze Służby Bezpieczeństwa. Początkowo było ich trzech, ale jeden pojechał do hotelu. Mieli straszne pretensje, że nie przywieźliśmy ze sobą pokojowej jako świadka.

– Myśmy mieli zatrzymać tylko tego czubka. Zrobiliśmy, co do nas należało i to wszystko – odezwał się Śruba znad papierów.

– Tak, a teraz musimy po was poprawiać i dziewczyny szukać – zaburczał młodszy z esbeków.

Zgaga do tej pory siedział spokojnie, teraz zerwał się i podszedł bliżej. Nim zdążył się odezwać, uprzedził go Śruba:

– Po nas nie trzeba nic poprawiać – cedził powoli przez zęby. – Mogliście też ruszyć dupę i być przy zatrzymaniu zamiast siedzieć w komisariacie i czekać na gotowe. Nie byłoby problemu z dziewczyną.

– To może jeszcze sami mielibyśmy zatrzymać sobie tego faceta? – rozindyczył się młody.

– Tego nie powiedziałem – zaprotestował Śruba.

– Ja bym nawet nie proponował – wtrącił się Zgaga. – Wystarczy zamieszania, którego się zarobiło jak wasi chcieli tego księdza utopić.

Nastawiłem uszu. Co on gada? Jakiego księdza utopić? Nic jednak więcej się nie dowiedziałem, bo przyjechał trzeci z esbeków i przywiózł pokojówkę. Po słowach Zgagi na temat utopienia księdza rozmowa się urwała.

Nurtowało mnie to jednak i zaraz po powrocie do jednostki poszedłem do pokoju Zgagi, żeby go o to zapytać. Był bardzo zdziwiony, że nie wiem o co chodzi:

– Radia nie słuchasz? Telewizji nie oglądasz? – pytał.

– Nie, bo nie mam tutaj. A na kompanię nie chce mi się iść.

– Aaa! To zaraz trzeba iść do Bacy i wycyganić telewizor i radio dla ciebie. On ma w pokoju, bo kiedyś mieszkał tutaj. Jak go pierwsza żona z domu wywaliła, to sobie gdzieś zorganizował.

Baca chętnie zgodził się na przeniesienie obu rzeczy do mojego pokoju. Gdy wszystko już było podłączone i działało, stwierdził:

– No to flaszka się należy. Ale nie dzisiaj, bo do północy nasza drużyna ma dyżur i Śruba by się strasznie złościł.

– Nie ma problemu – powiedziałem częstując go papierosem. – Jutro się kupi. A teraz powiedzcie mi o co chodziło z tym topieniem księdza.

– Dowiesz się dzisiaj wieczorem z telewizji. Po prostu bezpiecznikom jeden księżulo przeszkadzał, więc schowali go do bagażnika samochodowego, wywieźli na jakąś tamę i zrzucili do rzeki. Niestety, trup wypłynął i zrobiła się chryja.

– Dziwnie, cudacznie to było robione – wtrącił się gwałtownie Baca. – Kierowca tego klechy im uciekł, jakieś kajdanki mieli spiłowane.

– Pewnie dlatego, że dziesięciu mądrych oficerków ten plan opracowało – kontynuował Zgaga. – Tak się biedacy napocili, że musieli spieprzyć. No nie, Baca?

Mówiąc to klepnął naszego kierowcę po barczystych plecach. Ten rozsiadł się wygodniej i po chwili namysłu powiedział:

– Zamiast brać tych bezpieczniaków, wzięliby dwóch „tygrysów" i nie byłoby śladów – chwilę myślał zaciągając się papierosem. – Do wody go wrzucili. A na Śląsku tyle szybów pustych, tam sam diabeł by go nie znalazł.

– A po co do szybu? – włączył się Zgaga. – Nie lepiej do huty podjechać? Z księżulka by tylko trochę smrodu do nieba poleciało i koniec. Wyparowałby i tyle.

Chwilę znowu milczeli, aż Baca westchnął i powiedział:

– Skutek będzie taki, że za tego Popiełuszkę pójdzie siedzieć dwóch chłopaków najmniej winnych. Ci, którzy mieli tylko rozkaz wykonać, a te głąby, które to wymyśliły, będą dalej spokojnie pracować.

– A wstyd jaki! – powiedział Zgaga. – Na cały świat. Polska Służba Bezpieczeństwa nie potrafi jednego klechy uciszyć tak, żeby nikt o tym nie wiedział. To czego oni ich tam uczą w tym Legionowie?

– Krótko mówiąc, dała bezpieka dupy mniej więcej tak, jak ja z tymi drzwiami dzisiaj – włączyłem się, żeby zmienić temat, bo poczułem się jakoś nieswojo słuchając ich.

* * *

Następnego dnia Śluza wyciągnął nas na poligon i musieliśmy ćwiczyć wystrzeliwanie siatki na biegnącą osobę. Oczywiście tą osobą najczęściej byłem ja. Samo strzelanie i wyplątywanie się z siatki było nawet fajne. Najgorsze było później składanie. Po jednym strzale we czterech składaliśmy siatkę przez piętnaście minut, żeby nadawała się do ponownego użycia. Potem jeszcze nasz wódz zarządził strzelanie pociskami gumowymi ze strzelby myśliwskiej. Na sześć strzałów udało mi się trafić pięć razy w kukłę, ale nigdy bym nie przypuszczał, że broń myśliwska tak kopie. Kałasznikow przy niej to łagodny baranek. Dubeltówka wierzgała jak narowisty koń i na nic zdały się moje próby mocniejszego dociskania kolby do ramienia. Zajęcia ku naszemu zadowoleniu zakończył rzęsisty deszcz i wróciliśmy do jednostki. UAZ-y miały pozakładane plandeki i prawie ich nie zdejmowaliśmy. Wiadomo, późna jesień i cieplej już nie będzie.

Przez kilka dni nie mogłem „upolować" Bacy, żeby umówić się z nim na picie tej wódki za radio i telewizor. Dzięki niemu miałem teraz co robić wieczorami, chciałem więc mu się odwdzięczyć. Zawsze jednak przemykał się jakoś bokiem i nie było jak pogadać spokojnie. Przy innych nie chciałem o tym rozmawiać, bo Śluza ganiał za picie wódki na terenie jednostki i w ogóle przed służbą. Biorąc pod uwagę fakt, że cały czas byliśmy tuż po służbie, albo tuż przed służbą, nie byłoby w ogóle kiedy wypić. W końcu przydybałem Bacę w stołówce. Przysiadłem się do jego stolika. Siedział tam jeszcze Zgaga, ale jemu ufałem, bo cały czas opiekował się mną. Wszystko poszło jak z płatka. Baca ucieszył się, bo już myślał, że zapomniałem. Wódkę kupił Dyzio, który wybierał się do miasta. Przy okazji na picie załapał się Zgaga i oczywiście Dyzio. Żeby wódki nie zabrakło, dałem mu pieniądze na cztery butelki, coś do popicia i przegryzienia. Wyszło trochę drogo, ale pieniądze miałem – oprócz słodyczy i papierosów nie było ich na co wydawać.

Od momentu, gdy dałem pieniądze Dyziowi, inicjatywę przejął Baca. Żeby nie pić na terenie jednostki, zgłosił u oficera dyżurnego, że jedziemy na poligon odpalać ładunki wybuchowe nowego typu. Mieliśmy jechać samochodem we czterech i miał być z nami Dyzio – saper. Pogoda była piękna. Prawdziwa Polska złota jesień. Przy rozpalaniu ogniska na polance w lesie przypomniało mi się ile razy w dzieciństwie przy takiej pogodzie piekliśmy ziemniaki. Teraz też siedziałem przy ognisku z chłopakami, tyle że zamiast ziemniaków była kiełbasa i wódka, a chłopcy trochę inni.

Od początku Bacę najwyraźniej nurtowała myśl o znajdującej się w pobliżu sadzawce. Podchodził do niej, przyglądał się, obszedł nawet nackoło. Było to położone w środku lasu niewielkie oczko wodne powstałe chyba po jakimś kopaniu żwiru, albo gliny. Było chyba dość głębokie, bo woda utrzymywała się w nim nawet w największe upały. Baca tym swoim kręceniem się przy sadzawce zdenerwował w końcu Zgagę:

– Chodźże tutaj, do cholery! Znowu twoja kolejka, a ty łazisz diabli wiedzą za czym! – krzyknął zły.

– Jak myślicie? Są w tej sadzawce ryby? – spytał Baca.

– A sprawdź. Jest w UAZ-ie parę petard, rzuć je i zaraz zobaczymy – odpowiedział Zgaga.

W samochodzie znaleźliśmy tylko dwie. Zapalone pofrunęły na środek sadzawki. Jedna musiała zgasnąć, ale druga grzmotnęła głośno. Wzniosła niewielki słup wody, od jej wybuchu spadło trochę liści z drzew, ale mimo naszego niecierpliwego oczekiwania na powierzchnię wody nie wypłynęła żadna ryba.

– Do dupy. Petarda za słaba – skwitował Zgaga i poszedł do ogniska.

Staliśmy chwilę jeszcze we trzech i też wróciliśmy do ognia i wódki.

– Zjadłbym rybę. Taką smażoną na patelni tylko z mąką i tłuszczem – rozmarzył się Baca.

– To jedź do sklepu i sobie kup – poradził mu Zgaga. – Kucharza w jednostce zagoń do roboty i na kolację będzie rybka.

– Nie chcę ryb morskich. Chciałbym taką słodkowodną. Jakiegoś karasia, szczupaczka. – Baca znowu marzył.

Nagle ocknął się, spojrzał badawczo na Dyzia.

– Ty! Artysta! Przecież zawsze w kieszeniach nosisz jakieś bum. Ostatecznie jesteś pirotechnik. Zmajstruj coś, żeby z tego oczka ryby na wierzch wypłynęły. No, nie daj się prosić.

– No, ale tu chyba ryb nie ma. Od petardy by wypłynęły – wykręcał się Dyzio.

– Jak to nie ma! To przecież spora sadzawka. Muszą być ryby. Tylko pewnie głęboka i od petardy do nich nie dotarło – nie dawał za wygraną Baca.

– No dobra, spróbuję – zgodził się w końcu Dyzio.

Wyciągnął coś zawiniętego w tłusty szary papier. Łączył chwilę jakieś cieniutkie kabelki i na koniec kazał nam się schować za drzewa, żeby nas woda nie ochlapała. Sam poszedł na brzeg sadzawki i wrzucił do niej zrobiony przed chwilą ładunek. Prowadziły do niego kable, które Dyzio pociągnął za drzewo obok mnie.

– No! Uwaga!

Najpierw stęknęło jakby się ziemia miała rozstąpić, potem do moich uszu dotarł huk, a na samym końcu na mnie zwaliła się masa wody i błota. Usłyszałem przekleństwa Bacy i Zgagi, czyli nie tylko ja otrzymałem taki nieoczekiwany śmingus dyngus. Wstałem i chwilę patrzyłem z niedowierzaniem w miejsce, gdzie przed chwilą była sadzawka. Owszem, dół był w tym samym miejscu, tylko nie było w nim ani wody, ani błota. Po prostu ładunek wszystko wyrzucił. Cała nasza czwórka wyglądała jakbyśmy przed chwilą pływali w błocie. Ognisko zgasło, a muł i rośliny wodne udekorowały oprócz ziemi także okoliczne drzewa i nasz samochód.

– Ty cholerny idioto! – ryknął Baca idąc do Dyzia.

– No co? Trochę za duży ładunek mi wyszedł – tłumaczył się, powoli robiąc krok do tyłu. W pewnej chwili odwrócił się i uciekł na drugą stronę dołu, który jeszcze przed chwilą był sadzawką. Teraz powoli spływała do niego woda, dając nadzieję że wszystko wróci do normy.

Powoli zaczęliśmy czyścić swoje ubrania z zielska i szlamu. W bezpiecznej odległości, po drugiej stronie dołu robił to samo Dyzio.

– Te! Wodnik szuwarek! Zobacz, czy ryby na brzegu nie leżą! – krzyknął. Chyba do Bacy, bo to on miał jeszcze najwięcej zielska na plecach.

– Jak ci dam wodnika, to się zesrasz! – odkrzyknął Baca, ale zaczął rozglądać się dookoła siebie.

Zaczęliśmy i my chodzić i szukać. Niestety, oprócz paru żab i gromady ślimaków nic innego nie znaleźliśmy.

– Teraz mam pewność, że w tej sadzawce ryb nie było – stwierdził Baca.

– Przynajmniej sadzawka oczyszczona z zielska i trochę pogłębiona. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło – dodał Zgaga.

– Czy mogę już do was wrócić? – krzyknął Dyzio trzymający się nadal przezornie drugiego brzegu.

– Chodź. Jeszcze jedna butelka jest, wypijemy i jedziemy się przebrać – ugodowo powiedział Baca.

W siedzibie plutonu przywitał nas śmiech. Najpokraczniej wyglądał Baca. Nie dość, że cały w błocie, to upił się i mamrotał coś pod nosem. Trochę czasu upłynęło zanim przekonaliśmy go, aby się umył, przebrał i zdrzemnął z godzinę.

Mimo iż wszystko dobrze się skończyło od tego dnia nie siadałem już w samochodzie koło Dyzia. Jeśli on takie silne ładunki wozi w kieszeniach, to niech lepiej siedzi dalej ode mnie.

Po kilku dniach przekonałem się jednak, że Dyzio potrafi być bardzo użyteczny, a nawet niezbędny.

* * *

Jednostka ZOMO w Katowicach opiekowała się w tym okresie jednym z pobliskich Domów Dziecka. Zomole w chwilach wolnych od ganiania ludzi po ulicach wykonywali różne usługi na rzecz tej placówki. Część dokonywała drobnych napraw. Była też ekipa, która odmalowała cały budynek. Pluton specjalny tuż przed moim przyjściem naprawiał i malował dach. Wykorzystano do tego „tygrysów", bo dach był stromy i łażąc po nim trzeba było ubezpieczać się linkami. Zastępca dowódcy jednostki do spraw polityczno-wychowawczych opracował koncepcję zbudowania placu zabaw dla dzieci. Miał on powstać w miejsce zdziczałego i nie rodzącego już sadu, zajmującego część placu przy budynku. Kompaniom przydzielono zadania: jedna miała zbudować huśtawki, druga – małą karuzelę, trzecia – zjeżdżalnię. Materiały – pręty i rury – huta dała za darmo, więc powoli wszyscy zabrali się do roboty. Śluza na jednej z odpraw zadeklarował się, że pluton specjalny wykarczuje drzewa i wyrówna teren. Zapomniał o tym całkiem i pewnego ranka wpadł do budynku plutonu mocno zmartwiony. Zebrał wszystkich i zaczął tłumaczyć:

– Obiecałem dowódcy jednostki, że jesienią wykarczujemy drzewa i wyrównamy teren. Na śmierć zapomniałem i Stary mnie dzisiaj pytał, dlaczego drzewa jeszcze stoją. Dał mi tydzień na zrobienie porządku…

– No to jedziemy tam zaraz i się zrobi – odezwał się Jajco.

– Trzeba wyciąć około trzydziestu starych jabłonek. Wyciąć i wywieźć może byśmy zdążyli, ale karp na pewno nie – zauważył nasz dowódca zmartwiony.

Na chwilę zapadła cisza. Wszyscy głowili się jak wybrnąć z tej sytuacji.

– Tutaj nic nie wymyślimy. Trzeba tam pojechać. BTR i tak się przyda do wyciągania drzew. Lecę do garażu i zaraz go zatankuję i tu przyprowadzę – powiedział Baca i nie czekając na zgodę Śluzy poszedł.

Pobraliśmy z magazynu piły, siekiery, łopaty i liny i zajechaliśmy pod Dom Dziecka. Pierwszy oczywiście przyjechał Baca swoją poczwarą, czym wywołał wielkie poruszenie na cichej ulicy. W oknach domu widać było mnóstwo rozpłaszczonych na szybach nosów naszych podopiecznych. Zaczęliśmy zastanawiać się, jak poradzić sobie jak najszybciej z jabłonkami. Padła propozycja, żeby ich nie ścinać, tylko wyrwać BTR-em.

– Nie da rady – stwierdził Baca. – Tak można wyrwać brzózkę albo olchę na poligonie, bo one są płytko wczepione korzeniami. Jabłonka ma jeden główny korzeń, głęboko wrośnięty. Nie dam rady, żeby nie wiem co. Prędzej się przepróchniały pień złamie niż korzeń puści.

Chodziliśmy między drzewkami, a każdy nasz krok śledziły ciekawskie ślepka z okien. Przechodząc koło budynku odwróciłem się gwałtownie, bo zawołał mnie Misiek i niechcący przyłapałem czwórkę dzieciaków przyglądających mi się przez okno. Przez chwilę zaskoczone patrzyły na mnie, potem jednocześnie rozległ się pisk, śmiech i główki zniknęły poniżej parapetu.

Razem z Miśkiem wyciągnęliśmy piłę spalinową z UAZ-a. Odpaliła szybko.

– Bierzmy się do roboty. Jak będziemy tak łazić, to do obiadu nic nie zrobimy – krzyknął poprzez warkot piły.

Podszedł do pierwszej jabłonki i już miał ciąć, kiedy podbiegł do niego Bolek, starszy sierżant z trzeciej drużyny, zgasił mu piłę i coś tłumaczył. Jednocześnie ręką pokazywał na rozmawiających w kącie ogrodu dowódców drużyn, Śluzę i Dyzia. Z początku nie zorientowałem się o co mu chodzi, ale później nagle doznałem olśnienia. Dyzio – pirotechnik może te jabłonki powalić w parę minut. Odgadłem. Okazało się, że jest tylko jeden problem, otóż Dyzio nie miał odpowiedniej ilości ładunków. Jeden UAZ pojechał po nie do zaprzyjaźnionej kopalni. Drugim Śluza pojechał do jednostki przyprowadzić następnego BTR-a i ściągnąć samochody do przewozu drzew. Nam pozostało rozebrać płot i uprzedzić personel Domu Dziecka o tym, co za chwilę będzie się działo.

Ponieważ panie z personelu były młode i chętnie z nami rozmawiały, daliśmy się zaprosić na kawę po robocie. Stwierdziły, że jeśli wybuchy nie będą groźne, to pozwolą dzieciom zostać przy oknach. Ich zdaniem, wtedy będzie mniej płaczu niż gdyby kazały im odejść. Nawet jak się któreś trochę przestraszy, to lepiej niż miałoby nie widzieć tego, co je ciekawi. Nikt się z nimi nie sprzeczał. Chyba wiedzą, co robią?

Czekając na powrót Dyzia i przyjazd drugiego BTR-a zwinęliśmy siatkę od strony jezdni. Trzeba było też wyrwać cztery słupki, ale przy pomocy BTR-a kierowanego przez Bacę zajęło to niecały kwadrans. Musieliśmy poczekać jeszcze około godziny nim wrócił Dyzio. Śluza ściągnął z jakiejś firmy dwa wozy ciężarowe przystosowane do przewozu drewna i dźwig samochodowy. Nadjechał jeszcze jeden BTR. Czekaliśmy przygotowani do wywózki, tylko drzewa jeszcze stały.

W końcu zza zakrętu wyskoczył UAZ na sygnale, po wariacku zakręcił przed nami i wyskoczył z niego Dyzio. Byłem pewny, że nie ma ładunków, bo inaczej kierowca nie jechałby jak szatan. Okazało się oczywiście, że się myliłem. Ładunki były i to dwa razy więcej, niż było potrzeba, bo Dyzio wziął na zapas.

Zanim jednak zabrał się za robotę, podszedł do niego Baca, złapał go za kołnierz i tłumaczył:

– Słuchaj mnie, popaprańcu. Wybaczyłem ci, że zrzuciłeś mi na plecy całą wodę z sadzawki. To, że przez ciebie musiałem prać moro i plandekę z UAZ-a, też ci się upiekło. Ale jeśli tutaj, dzisiaj, chociaż jeden patyczek poleci nie w tym kierunku co potrzeba, to ci po prostu łeb urwę. Zrozumiałeś?

Dyzio pokiwał głową, że tak i poszedł do samochodu. Wyciągnął duży ręczny świder i z dwoma chłopakami zaczął przenosić skrzynki między drzewa. Obstawiliśmy teren. Najwięcej posterunków Śluza ustawił przed budynkiem Domu Dziecka, żeby mieć pewność, że nikt stamtąd nie wybiegnie.

Dyzio zabrał się ostro do pracy. Świdrem wwiercał się pod skosem w ziemię tuż przy pniu drzewa, instalował tam ładunek z zapalnikiem, wyprowadzał kable i przysypywał dziurę ziemią. Mimo pośpiechu zajęło mu prawie godzinę nim cały ogród został oplątany siecią przewodów. Jakoś to wszystko połączył. Gwizdnął. Podniósł rękę do góry i huknęło. Nawet niezbyt głośno, ale skutecznie. Drzewa uniosły się o metr w górę i opadły przewracając się. Pozycję pionową utrzymały tylko dwa, ale Dyzio zaraz wwiercił się od nowa i jeszcze raz założył ładunki. Drugi wybuch był już pestką w porównaniu z tym, od którego do tej pory dzwoniło mi w uszach. Jabłonie wysadzone drugi raz nie miały żadnych szans i poprzewracały się. Wyrwy po wybuchach były dość duże, ale łatwiej je będzie zasypać niż odkopywać i wyciągać pniaki. Strat prawie nie było. Prawie, tzn. pękła i wypadła jedna szyba w oknie Domu Dziecka, ale dyrektorka stwierdziła, że była już wcześniej pęknięta i trzymała się na tzw. słowo honoru. Niemniej Śluza wysłał dwóch chłopaków UAZ-em do szklarza. Zdjęli pustą ramę, zabrali do samochodu i pojechali.

Za uboczny skutek pracy Dyzia można uznać zachowanie psa, który był uwiązany na sąsiedniej posesji. Zaraz po wybuchu tak szarpnął łańcuchem, że rozerwał go. Pięknym skokiem przesadził siatkę i popędził ulicą skowycząc i dzwoniąc resztką łańcucha. Jego właściciel, który w tym momencie wyszedł z domu, patrzył z niedowierzaniem na skok przez siatkę.

– Przecież on metrowego murku nie potrafi przeskoczyć – krzyknął do nas.

– Widocznie mu się wcześniej nie chciało – odkrzyknął Śruba. – Ale pewnie teraz z tydzień minie, nim wróci.

– To i dobrze – machnął ręką właściciel psa.

Pierwsze drzewa wyciągnęły BTR-y na drogę i dźwig ładował je na samochód. Ponieważ była pora obiadowa, Śluza zostawił tylko kilku chłopaków do zaczepiania lin i pojechaliśmy do jednostki. Tak kombinowałem, żeby usiąść jak najdalej od Dyzia, że wylądowałem tuż przy skrzynkach z materiałami wybuchowymi. Na dokładkę on sam wsiadł zaraz po mnie i siedział tuż obok. Śmiać mi się chciało z siebie i swoich kombinacji. Przecież gdyby coś wybuchło, to nie byłoby co zbierać z całego samochodu, nie tylko z Dyzia. Czy siedział obok mnie, czy w drugim końcu samochodu – było to bez znaczenia. Jednak zawsze kombinowałem, żeby być od niego jak najdalej, a najlepiej się czułem, gdy siedział w innym samochodzie. Wstydziłem się przyznać komukolwiek do tych swoich obaw, ale nigdy nie udało mi się ich opanować. Zawsze przy Dyziu czułem się nieswojo. Pierwszy raz od przeniesienia spotkałem w stołówce swoją kompanię. Wchodząc do części przeznaczonej dla kadry zastanawiałem się, czy zazdroszczą mi trochę, czy nie. Kilku pomachało ręką jak wchodziłem, ale część udawała, że mnie nie widzi. Niby ich sprawa, ale ubodło trochę. Pomimo iż zająłem się obiadem, nadal cały czas zerkałem na chłopaków. Ciekawy byłem co słychać w kompanii. Postanowiłem, że po powrocie z Domu Dziecka pójdę do nich pogadać. Mają dzisiaj szkolenie będą wszyscy. I tak w ciągu najbliższych dni miałem zajrzeć do akwarium Strzyża, więc czemu nie iść dzisiaj. Wychodząc po obiedzie przed stołówkę zobaczyłem, że Zbyszek Pacześ macha do mnie od swojego stolika. Pokazałem mu papierosa jako znak, że będę palił przed stołówką i zaczekam na niego. Kiwnął głową, że zrozumiał, więc wyszedłem. Nie zdążyłem wypalić nawet połowy, gdy zaczęli wychodzić ze stołówki chłopcy z mojej kompanii. Kiedy podszedł, przywitał się, więc moje spostrzeżenia ze stołówki, że udają, iż mnie nie widzą, okazały się wytworem wyobraźni. Po chwili przyszedł Zbyszek. Obejrzał mnie dokładnie:

– Dobrze wyglądasz, byku! – roześmiał się.

– Ty też nie najgorzej – zrewanżowałem się.

– Dwa listy są do ciebie!

Zamurowało mnie na chwilę. Patrzyłem na Zbycha i nie wiedziałem co odpowiedzieć.

– Przyjdź na kompanię, to ci podoficer odda – wybawił mnie z kłopotu. – Chciałem ci je zanieść, ale nie chciał mi wydać.

– Dzięki! Przyjdę dzisiaj po kolacji, to sobie przy okazji pogadamy. Teraz nie mogę, bo jedziemy do Domu Dziecka wywozić drzewa i równać teren, ale po kolacji przyjdę.

– Kup jakąś flaszkę, to wypijemy sobie.

Kiwnąłem głową na zgodę i poszedłem w kierunku budynku „tygrysów". Czekali już na mnie. Podmieniliśmy szybko chłopaków, którzy do tej pory pracowali. Oni na obiad, a my do roboty. Drzew zostało mniej niż dziesięć. Reszta była już wywieziona. Dokończyliśmy szybko i zaczęliśmy zasypywać dołki. Po pięciu minutach musiałem się rozebrać, bo okazało się, że w panterce jest za ciepło. Po następnych pięciu poczułem, że

od szpadla robią mi się pęcherze na dłoniach. Niestety, nic na to nie mogłem poradzić. Ręce nieprzyzwyczajone do takich robót musiały tak się zachować. Z doświadczenia wiedziałem, że wystarczy tydzień pracy przy łopacie, a dłonie stwardniałyby na kamień i nie byłoby mowy o żadnych pęcherzach. Teraz jednak porobiły się, popękały i ręce trochę piekły.

Mozolnie zasypując drugi dołek zastanawiałem się od kogo mogą być listy. Najbardziej pasowała mi teoria, że jeden od Izy, a drugi od matki. Chyba, że Iza tak się stęskniła, że napisała oba. Nie chciało mi się w to wierzyć, ale ucieszyłbym się gdyby tak było.

Skończyłem z drugim dołkiem i usiadłem, żeby spokojnie zapalić. Popatrzyłem na okna budynku. Oczywiście dzieciaki nadal w nich sterczały i przyglądały się jak pracujemy. Szkoda mi ich było i za każdym razem, kiedy widziałem je w oknie, wzruszenie chwytało mnie za gardło. W takiej chwili chciałem coś zrobić, żeby dać im trochę radości, ale nie wiedziałem co, więc tylko uśmiechałem się do nich. Chowałem się bez ojca i do tej pory pamiętam, z jaką zazdrością patrzyłem, jak kolega ze swoim ojcem naprawia rower, albo w niedzielę idą na ryby. A te nieboraki nie mają ani ojca, ani matki. To jest dopiero los – westchnąłem gasząc papierosa. Wkrótce siatka została rozciągnięta na wkopanych na nowo słupach, a w świetlicy czekała na nas kawa i ciasto.

Umyci i wyczyszczeni siedliśmy na zbyt małych dla nas krzesełkach. Byliśmy skrępowani obecnością siedzących na podłodze dzieciaków, a tu jeszcze te krzesełka, takie małe, że strach na nich usiąść, bo się załamią. Tylko Zgaga nie stracił fasonu i jednym zręcznym ruchem wyciągnął krzesełko spod tyłka siadającemu właśnie Miśkowi, który oczywiście klapnął na podłogę.

– Takie ładne krzesełko chciałeś złamać? – spytał obłudnie.

Misiek czerwony ze złości jak burak zacisnął pięści z tłumionej pasji i szykował się, żeby go rąbnąć. Wystarczyło jednak jedno karcące spojrzenie Śluzy, żeby spokojnie wziął krzesełko i usiadł przytrzymując je cały czas.

Wychowawczynie i starsze dziewczęta roznosiły kawę i ciastka. Każdy dostał w jedną rękę kubek kawy, w drugą talerzyk z ciastem i czekaliśmy, co będzie dalej. Dzieciaki chyba były przyzwyczajone do takich wizyt, bo siedziały grzecznie i czekały na polecenie pani. Przyglądając się im stwierdziłem, że nie ma tu całkiem małych dzieci. Wszystkie wyglądały na wiek od przedszkola do podstawówki, a kilkoro nawet na szkołę średnią. Tak jak przypuszczałem zaczęły się występy, tzn. wierszyki i piosenki. Oczywiście wierszyki najfajniej brzmiały w wykonaniu artystów najmniejszych, sepleniących i mówiących z ogromnym przejęciem.

Pani dyrektor poprosiła Śluzę o to, żeby dzieciaki mogły obejrzeć w środku nasze „czołgi", więc szybko dopiliśmy kawę i wyszliśmy przed budynek.

Baca i kierowca drugiego BTR-a „Szpako" posprawdzali w środku, czy niczego nie da się uruchomić, czy karabiny są poblokowane i dzieciaki dosłownie oblazły oba wozy

jak stonka. Było ich wszędzie pełno, na pancerzu, pod pancerzem, przy kołach, czyli gdzie tylko dało się wejść.

– To dla nich duża frajda – powiedziała stojąca obok mnie wychowawczyni, tak na oko dwudziestoparoletnia tęgawa brunetka.

– Tak pani myśli? – zapytałem, aby w ogóle coś odpowiedzieć.

– Na pewno. Przecież nawet dzieci z pełnych rodzin nie mają możliwości bez skrępowania pomyszkować po czołgu.

– To nie jest czołg, tylko bojowy transporter rozpraszający – wyjaśniłem.

– Dla nich… a dla mnie też… to jest czołg i już – odpowiedziała śmiejąc się.

– Jeśli pani tak woli, to niech będzie czołg – dałem spokój z wyjaśnianiem.

Dzieciaki jednak okazały się spostrzegawcze. Jakiś chłopczyk złapał Bacę za bluzę i ciągnął dotąd, aż ten się obejrzał. Było to blisko mnie, więc usłyszałem pytanie:

– Proszę pana milicjanta, dlaczego ten czołg ma koła, a nie gąsiennice?

Baca wziął szkraba na ręce i zaczął tłumaczyć:

– Bo to nie jest czołg, tylko BRT, bojowy transporter rozpraszający.

Mały chwilę pomyślał i zapytał:

– A co on rozprasza?

To zadane ze szczerą naiwnością pytanie zarówno Bacę, jak i wszystkich przysłuchujących się tej rozmowie wprawiło w zakłopotanie. Panie wychowawczynie spojrzały jedna na drugą znacząco. My pospuszczaliśmy łby. Baca jednak ochłonął pierwszy i zręcznie wybrnął:

– Rozprasza wrogów w czasie wojny. Jak już są pojedynczo, to łatwiej z nimi wygrać. A ty będziesz żołnierzem?

– Nie! – padła bardzo poważna odpowiedź.

– O! A dlaczego? – zdziwił się Baca zadowolony, że rozmowa na bezpieczne tory.

– Bo chłopaki w szkole mówią, że sierot z Domu Dziecka do wojska nie biorą.

Mały mówiąc to objął mocno Bacę za szyję i przytulił się do niego.

Baca chwilę się zastanowił i w końcu siadł z dzieciakiem na ławce. Mały usadowił się na jego kolanach, ale nawet na moment nie rezygnował z obejmowania za szyję. Wyglądało to zupełnie tak, jakby bał się, że ucieknie mu ten facet w mundurze.

– Słuchaj, jak masz na imię? – spytał Baca.

– Tomek.

– A więc słuchaj, Tomku, chłopaki naopowiadali ci głupot. Znam kilku ludzi, którzy byli w Domu Dziecka, a teraz są w wojsku albo w milicji. Jak nie wierzysz, zaraz ci to udowodnię.

– Wierzę… ale niech pan udowodni – odpowiedział mały.

Baca rozejrzał się naokoło tak, jakby kogoś szukał i w końcu zawołał:

– Korba! Chodź no tutaj!

Widząc i słysząc zamieszanie, jakie wywołał Tomek, kilkoro dzieci podeszło do nas. Podszedł też Korba, chłopak z drugiej drużyny. Zwróciłem na niego uwagę już wcześniej, bo nieźle wymykał się Adamcowi na macie zdradzając tym kilka lat treningów judo.

– Słuchaj, mamy problem – powiedział do niego Baca. – Dzieciakom w szkole ktoś naopowiadał, że jak są z Domu Dziecka, to nie będą mogli pójść do wojska.

Mówił to specjalnie głośno, tak aby jak najwięcej osób to słyszało.

Korba rozejrzał się dokoła.

– To, co wam naopowiadali w szkole to nieprawda. Wychowałem się w Domu Dziecka, a teraz jestem w milicji. Wcześniej byłem w wojsku i tam też spotkałem kilku chłopaków takich jak ja. Możecie zostać żołnierzami jak wszyscy inni.

Nie wiem, czy dzieciaki uwierzyły, czy nie. Tomek na pewno uwierzył, bo po chwili namysłu powiedział:

– Zdecydowałem się. Gdy dorosnę, zostanę milicjantem.

Zaczęliśmy zbierać się do odjazdu. Drzewa zniknęły, teren wyrównany, chłopcy już dawno wrócili od szklarza ze wstawioną szybą. Zaczęliśmy wsiadać do samochodów. Dzieciaki niechętnie opuściły wnętrz BTR-ów. Trochę problemów miał Baca z uwolnieniem się od Tomka, ale wykupił się za kilka łusek po nabojach, dwa guziki i obietnicę rychłego przyjazdu.

W drodze powrotnej byłem bardzo z siebie zadowolony. Znalazłem sposób na to, żeby nie jechać koło Dyzia i jego „wynalazków". Wsiadłem z Bacą do BRT-a i przyjechałem razem z nim. Po drodze zostaliśmy celowo z tyłu, żebym mógł kupić wódkę.

Mógłbym to zrobić oficjalnie i Śluza pewnie by nic nie powiedział, ale czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Baca został trochę z tyłu i na chwilę zatrzymał się. Wyskoczyłem na moment z „poczwary", kupiłem dwie butelki i już mogliśmy jechać dalej. Na całe szczęście przed sklepem, ani w środku nie było nikogo, więc BTR nie wzbudził sensacji. Dwie butelki były nieodzowne, ponieważ Baca wyraził chęć uczestniczenia w popijawce. On żadnej okazji nie przepuszczał i częściej był trochę podcięty niż całkiem trzeźwy. Dzięki niemu udało mi się rozwiązać problem z przeniesieniem wódki przez jednostkę. Po kolacji, kiedy Śluza i reszta chłopaków porozjeżdżali się do domów, Baca wziął UAZ-a z garażu i zamiast paradować przez całą jednostkę z wódką pod „panterką" podjechaliśmy sobie pod kompanię.

* * *

Trochę drgnąłem wchodząc na korytarz. Przy stoliku podoficera dyżurnego siedział Pakulak. Wódkę pod panterką niósł Baca, więc nawet gdyby zaczęła się jakaś awantura, do mnie nie było się o co przyczepić. Pokazałem Bacy, która to moja dawna sala. Poszedł, a ja zostałem przy Pakulaku.

– Swoje listy chciałem odebrać, obywatelu kapralu – powiedziałem po prostu.

– A zameldować się już nie potrafisz? – burknął odwracając się na krześle twarzą do mnie.

– Nie potrafię. Niech obywatel kapral da te listy i nie zaczyna znowu draki – powiedziałem spokojnie.

– Zrobisz dziesięć pompek prawidłowych, to dostaniesz – siedział ze swoim przylepionym do twarzy uśmieszkiem, a mnie dosłownie ręce opadły. Czy ten facet nigdy się nie zmieni?

Odwróciłem się bez słowa i poszedłem do sali. Nawet mnie nie zdenerwował. Cieszyłem się z tego, że znowu nie udało mu się mnie sprowokować. Przy okazji przyszedł mi do głowy sposób na odzyskanie listów. Po prostu poproszę Strzyża, żeby je dla mnie odebrał i żeby odbierał cały czas. Powinien się zgodzić. Przecież dla niego to żaden kłopot, a ja będę musiał przy okazji zajrzeć do jego akwarium. Już prawie spokojny wszedłem do sali. Baca polewał wódkę do kubka, chłopcy śmiali się z czegoś, czyli atmosfera była dobra.

– Uważaj z wódką, bo kapral, który jest przy stoliku może nas podpieprzyć, że pijemy – powiedziałem do Bacy, gdy już przywitałem się ze wszystkimi.

– Niech spróbuje! Mocno się zdziwi, bo dzisiaj służbę oficera dyżurnego pełni mój serdeczny kolega – roześmiał się.

– Jeśli tak, to w porządku – powiedziałem.

Siadłem przy stole i rozejrzałem się po sali. Robiło się tu coraz przytulniej. Chłopcy poprzywozili z domu na ściany jakieś maty, na których pełno było różnych fotografii. Ciepła domowego dodawał też chodniczek położony przez środek sali i kwiatki w oknie. Widać od razu, że się zadomowili. Przedtem na sali były tylko metalowe łóżka, szafy, stolik i taborety. Żadnych ozdób czy kwiatów. Teraz pokój bardziej przypominał internat niż żołnierską salę. Trochę im zazdrościłem, że tak się urządzają. Te obserwacje przerwał Zbyszek:

– No i co? Od kogo te listy? – spytał.

– Nie wiem – burknąłem.

– Jak to nie wiesz? Nie ma? Jeszcze wczoraj były – zdziwił się.

– Listy pewnie są, ale ich nie wziąłem. Pakulak znowu zaczął się wygłupiać. Powiem Strzyżowi, żeby odebrał je dla mnie.

– Zaraz, zaraz – wtrącił się Baca. – Czegoś rozumiem? Listy do ciebie są u podoficera i on ci ich nie dał?

– Nic się nie stało. Jutro Strzyż je weźmie i dobra – usiłowałem zbagatelizować sytuację.

– Nie – dobra. Nie – dobra. Mów jak było? – przycisnął mnie.

– O Jezu! Wielkie rzeczy. Chciał, żebym za te listy robił pompki i miał pretensje, że się nie zameldowałem – powiedziałem zły, że musiałem się przyznać.

Baca wstał, podszedł do drzwi i kiwnął na mnie.

– Chodź. Pójdziemy po listy.

– Daj spokój. Po co robić awanturę. Jutro załatwię to przez Strzyża i już – próbowałem go powstrzymać.

– Nie. Weźmiemy te listy dzisiaj. Nie będzie żaden kapralina czepiał się chłopaka z plutonu specjalnego. Chciał, żebyś mu się zameldował? No to ja mu się zamelduję. – Popatrzył chwilę na mnie.

– Chodź!

Wstałem niechętnie i poszedłem z nim na korytarz. Pakulak siedział bokiem do stolika, a twarzą do nas. Słuchał radia i palił papierosa. Chłopaków gonił do palarni, ale przy stoliku sam palił. Chyba zorientował się, że coś się święci, gdy zobaczył jak podchodzimy. Nie zdążył jednak nic zrobić. Baca bez słowa podniósł go za klapy. Kopnął w krzesło, aż poleciało przez korytarz i narobiło hałasu. Trzymając rękoma za klapy, pociągnął do siebie i rąbnął z główki, aż Pakulakowi głowa odskoczyła. Baca odepchnął go i puszczając klapy kopnął między nogi. Pakulak klęknął z bólu, a Baca chwycił go jedną ręką za włosy, a drugą za gardło:

– Zapamiętaj sobie, kołku, że żaden kapral nie może pompować „tygrysa". Zapamiętaj to sobie, bo następnym razem dostaniesz dwa razy tyle – wysyczał mu w ucho i puścił. Rumor, jakiego narobiło przewracane krzesło, spowodował, iż z niektórych sal powychodzili chłopcy i patrzyli co się dzieje. Nikt jednak, nawet jeden z kaprali, który wyjrzał, nie kwapił się, by iść na pomoc klęczącemu i trzymającemu się za krocze Pakulakowi. Taki już los sukinsyna – pomyślałem.

– Gdzie listy? – spytał Baca.

– W szufladzie – stęknął Pakulak.

– To podaj. Ja ci nie będę w stoliku grzebał.

Podczas gdy Pakulak powoli wstawał, Baca wykręcił jakiś numer telefonu.

– Cześć! Baca się kłania. Słuchaj, jakby dzwonił do ciebie podoficer z szóstej kompanii, to wiedz, że dostał trochę ode mnie. Wyjaśnię ci jak za godzinę będę wracał. Zajrzę tam do was, do dyżurki. – Chwilę słuchał i roześmiał się. – Nie. Podmiany nie potrzebuje. Nic mu nie będzie – odłożył słuchawkę.

– Słyszałeś?

W odpowiedzi Pakulak kiwnął głową.

– No to dawaj te listy.

Skulony, z grymasem bólu na twarzy, wyjął listy z szuflady i podał mnie. Poszliśmy z powrotem do sali. Na korytarz nikt już nie wyglądał i Pakulak powoli podniósł krzesło, żeby usiąść.

Wystarczył mi jeden rzut oka na koperty i już wiedziałem od kogo są listy. Jeden od dziewczyny, drugi od matki. Schowałem oba do kieszeni. Jak zwykle postanowiłem przeczytać je dopiero wtedy, jak będę sam.

* * *

Przy wódce języki się rozwiązują, więc w końcu mogłem swobodnie pogadać z chłopakami. Narzekali jak zwykle na Zielonkę i Wyżyka, ale o dziwo chwalili Bakę. Ten, który od początku warczał na nas i mówił, że jest kawał skurwysyna, teraz okazał się facetem, który chętnie pomoże i na wiele rzeczy przymknie oko. Niezmiennie na Nowakiewicza i Strzyża nikt nie mógł powiedzieć złego słowa.

Zaczęli natomiast mocno narzekać na szefa kompanii. Twierdzili, że coraz więcej rzeczy z sal im ginie i muszą je kupować później u Oborniaka. Niby drobiazgi: latarka, ręcznik, czapka, ale gdzieś to wszystko znikało, a szef miał w magazynie zapas i za parę groszy sprzedawał. Tomek Prus był naprawdę wzburzony samym opowiadaniem.

– Z początku, kurwa, nie wiedzieliśmy co się dzieje. Myśleliśmy, że może któryś kradnie i wywozi do domu, albo że ktoś z innej kompani przychodzi i nam podbiera. Aż w końcu wyjaśniło się. Henio Lipiec z trzeciego plutonu poszedł do Oborniaka kupić latarkę, bo mu gdzieś zginęła. Kupił, zajrzał pod baterię i zobaczył, że kupił swoją. Poznał po tym, że miał tam zawsze schowaną prezerwatywę na wszelki wypadek i była ona na swoim miejscu.

– I co zrobiliście? – spytałem.

– Poszli chłopcy do „Capa", a ten powiedział, że porozmawia z Oborniakiem. Minęło parę dni i nic na razie nie ginie – zakończył Tomek.

Opowiedziałem im jak w WOP-ie chłopak ukradł własne trampki. Zaśmiewali się do łez. Baca, aż zakrztusił się wódką i trzeba było go walić w plecy, żeby przestał kaszleć. W trakcie tych rozmów zauważyłem, że chłopcy odnoszą się do Bacy z dużym szacunkiem. Mimo iż on sam nie odstawiał się na dystans od całego towarzystwa, nikt oprócz mnie nie odważył się mówić do niego na ty. Cały czas było „Panie sierżancie" i koniec. Podobało mi się to, bo stawiało mnie wyżej od nich. Dla mnie Baca był takim samym kumplem jak oni, a w plutonie jedynie do Śluzy mówiło się „Obywatelu poruczniku", a i to rzadko, częściej po prostu dowódco.

Wódka już się kończyła, kiedy Baca dogadał się z Tomkiem, że nie tylko pochodzą z jednej okolicy, ale nawet mają jakąś wspólną rodzinę. Jak zaczęli ustalać kto z kim jest spokrewniony i przez kogo, to doszli do wniosku, że muszą się spotkać drugi raz i przy większej ilości wódki. Ja z ich góralskich wywodów nic nie mogłem zrozumieć, chłopaki chyba też. Jak tylko zaczęli szwargotać po swojemu, zostawiliśmy ich w spokoju i poszliśmy do palarni zapalić. Trochę to śmiesznie wyglądało. Wódkę w pokoju wypić mogliśmy, ale zapalić chłopcy się bali.

W końcu dotarli do palarni także górale. Zrobiło się gwarno, a że było już po 22.00, Pakulak przyszedł zobaczyć co się dzieje. Spojrzał tylko i zaraz cofnął się do swojego stolika bez słowa. Tak samo zachowywał się, gdy wychodziliśmy z Bacą z kompanii.

Udał po prostu, że nas nie widzi. Baca podjechał pod budynek, gdzie mieściła się dyżurka oficera dyżurnego. Wyszedł stamtąd po chwili bardzo zadowolony.

– No. Już więcej żaden twój list nie trafi na kompanię. Załatwiłem z oficerem, że dyżurny będzie przynosił je do plutonu – ogłosił mi dobrą nowinę.

Nawet nie przypuszczał jak bardzo byłem mu wdzięczny za takie załatwienie sprawy. Po tym, jak pobił Pakulaka, nie wiedziałem jak się pokażę sam na kompanii. Przecież każdy z kaprali będzie patrzył na mnie spode łba. Baca to jednak równe chłopisko.

Tego wieczora długo leżałem nie mogąc zasnąć. Wbrew moim oczekiwaniom nie sprawiły tego listy. Okazało się, że dziewczyna nie mogła pisać, bo nie było skąd wysłać listów i bała się, że nie dojdą. Jak było tak było. Grunt, że w ogóle napisała, pomyślałem sobie. List od matki też nie zawierał żadnych rewelacji. Zastanawiałem się, dlaczego tak bardzo czekałem na te listy. Jakby nie przyszły, też by się nic nie stało. Chyba dlatego, że trochę wypiłem, przestało mi zależeć na kontakcie z domem i dziewczyną. A może dlatego, że w plutonie czułem się coraz lepiej, coraz mniej mi brakowało, życia jakie pędziłem przed wojskiem…

Tutaj, wśród „tygrysów" miałem jakieś oparcie. Wydawało mi się, że byłem kimś. Dzisiejsze wydarzenia przekonały mnie, że w normalnej kompanii byłbym po prostu zerem. Przychodzi sobie zawodowy policjant, leje kaprala i nic, tak jak by miał do tego prawo. Nieważne były dla mnie okoliczności i to, czy miał rację. Liczył się sam fakt i to, że mógł to ktoś bezkarnie zrobić również ze mną, gdyby miał na to ochotę.

W związku z tym, że coraz więcej umiałem, byłem coraz rzadziej określany mianem „młody". Stawałem się pełnoprawnym członkiem elitarnego oddziału. Przedtem przez kilka miesięcy służby widziałem dowódcę jednostki tylko dwa razy. Tutaj przychodził przynajmniej raz w tygodniu. Zawsze pogadał, zapytał, czy czegoś nie potrzeba, żartował. Jeśli dostarczono do jednostki jakiś nowy sprzęt, kaski nowego typu lub nową broń, jako pierwsi dostawaliśmy ją do testowania i użytku. Mundury mieliśmy wymieniane wtedy, kiedy chcieliśmy. Moro rozdarte? To trzeba wymienić i koniec. Tak samo buty. Dowódca jednostki często osobiście sprawdzał nasz wygląd i jeśli ktoś miał zniszczone moro, wyganiał go do magazynu. W trakcie jednej z takich lustracji zapytał Śluzę:

– Jak idzie wam karczowanie drzew w Domu Dziecka?

Uśmiechnął się przy tym jakoś chytrze. Pewnie cieszy się, że będziemy musieli harować jak osły, żeby wykarczować ten teren, pomyślałem śmiejąc się w duchu z wysiłku, jaki w to włożyliśmy.

– Chłopcy już dawno to zrobili. Zapomniałem zameldować o wykonaniu. Przepraszam, towarzyszu pułkowniku, to przez nawał zajęć – z kamienną twarzą obłudnie zameldował Śluza.

– Co zrobili? Wycięli drzewa? – dopytywał się dowódca z niedowierzaniem.

– Tak, wycięli drzewa, wywieźli je, wykarczowali i wyrównali teren – tłumaczył Śluza nadal z poważną miną.

Pułkownik podszedł bliżej i patrząc mu w oczy zapytał:

– Co ty mnie tu Śluza kantujesz? Przecież nie mieli kiedy tego zrobić! To jest robota przynajmniej na dwa tygodnie!

– Dwa tygodnie mogą takie rzeczy robić normalni ludzie, a nie moje „tygrysy". Jeśli melduję wykonanie, to znaczy, że jest zrobione. – Śluza udawał obrażonego.

Dowódca jednostki patrzył na niego przez chwilę z uwagą, a później ryknął:

– Samochód z kierowcą dla mnie!

– Baca! – krzyknął Śluza.

– Rozkaz! – odkrzyknął góral, biegnąc do UAZ-a.

Zawsze przed budynkiem plutonu stały trzy UAZ-y przygotowane do wyjazdu z drużyną dyżurującą. Baca wsiadł do jednego z nich i podjechał po pułkownika.

Nie było ich pół godziny. Gdy wrócili, pułkownik uśmiechał się i kręcił głową:

– Podpiszę wam zgodę na pięć dni w górach, jeśli powiecie jak to było zrobione i kto wam pomógł.

– Teraz? – zapytał rzeczowo Śluza.

– Nie. W drugiej połowie grudnia. Jak minie rocznica stanu wojennego i inne zawieruchy.

– Może być. Co chłopaki na to? – spytał odwracając się do nas.

Pokiwaliśmy głowami z aprobatą. Pięć dni w górach to niezła gratka. Do tej pory na łażenie po skałach jeździliśmy w ten sposób, żeby na noc zawsze wrócić.

Śluza popatrzył na dowódcę z uśmiechem.

– Nikt nam nie pomagał. Dyzio trotylem wysadził jabłonki, a potem BTR-ami powyciągaliśmy je na drogę. Resztę załatwił dźwig i samochody z nadleśnictwa.

– Trotylem? Parę metrów od Domu Dziecka? – zdziwił się pułkownik.

– Tak. Małe ładunki. Dzieciaki jeszcze miały frajdę, bośmy im później pozwolili BTR-y zobaczyć od środka.

Pułkownik kręcił głową, że było to niebezpieczne, że zrobiliśmy go w konia. W końcu jednak przyznał, że liczy się wynik, a nie metoda i obiecał, że dotrzyma słowa i podpisze zgodę na wyjazd w góry. Rozmowa z nim przypomniała mi przygotowaniach związanych z 13 grudnia, czyli rocznicą wprowadzenia stanu wojennego i co za tym idzie – wydarzeń na kopalni „Wujek". Szykowała się cała jednostka. Przeglądaliśmy sprzęt. Odbyło się próbne strzelanie z wyrzutni granatów łzawiących, próbne polewanie wodą z armatek. Pojeździły też trochę BTR-y. Kompanie ćwiczyły częściej niż poprzednio musztrę z tarczami. Najwięcej oczywiście dostało się młodej kompanii, która od dwóch miesięcy była w jednostce. Z sympatią i współczuciem patrzyłem na tych chłopaków pościąganych pasami w talii do granic możliwości. Cieszyłem się jednocześnie, że moja kompania już nie jest najmłodsza. Nie dotyczyło mnie już to ganianie, ale zawsze lepiej, gdy się nie jest tym, który ma najmniej odsłużonych dni.

* * *

Któregoś dnia w trakcie dyżuru u mnie w pokoju zebrała się chyba cała drużyna. Był jakiś mecz w telewizji i wszyscy przyszli oglądać, bo telewizor był tylko jeden. W trakcie przerwy Lala zapytał z nienacka:

– Śruba, nie wiesz jak obchodzimy 13-ego?

– Nasza drużyna wystąpi po cywilnemu. Reszta normalnie – odpowiedział.

Zdziwiła mnie jego odpowiedź, ale postanowiłem nie pytać. Przyjdzie czas, to się dowiem. Jak dotychczas, wszędzie występowaliśmy w moro. Po cywilnemu nigdzie nie korzystano z naszych usług. Dlaczego akurat 13-ego? Na te wszystkie pytania Śruba odpowiedział mi już następnego dnia. W przypadku, gdy jednostka będzie działała przeciwko tłumowi, mamy wchodzić od tyłu i starać się zatrzymać prowodyrów. Albo w trakcie zajść, albo bezpośrednio potem mamy nie pozwolić im uciec. Mieliśmy działać trójkami, więc mogłem się nie obawiać, że nie będę wiedział co robić. Zawsze mogę zapytać, a i tak muszę cały czas patrzeć co robi moich dwóch kolegów.

– Masz mieć na sobie tylko cywilne ciuchy. Żadnych służbowych koszul, spodni itp. Nic nie może się kojarzyć z milicją – tłumaczył Śruba.

Pokazałem mu moje ubranie. Pokiwał głową, że się nadaje.

– Tylko tego kożuszka nie zakładaj. Szkoda go. Wykombinuj sobie jakąś starą kurtkę. Jeśli dojdzie do szarpaniny, to ci porwą.

Trochę mnie zaniepokoił stwierdzeniem o szarpaninie, ale nic po sobie nie pokazałem.

W tym okresie coraz częściej próbowałem prowokować rozmowy na temat kopalni „Wujek" i tego, co się wydarzyło. Niestety, od nikogo nie mogłem dowiedzieć się niczego konkretnego. Intrygowała mnie tajemnica, którą były otoczone te zdarzenia. Nasłuchałem się w domu od matki na temat morderców, którzy pozabijali górników. Odchodząc do plutonu specjalnego też usłyszałem coś o tym od Zbyszka. Nie miałem jednak swojego zdania, a wiedziałem, że mam jedyną okazję, aby dowiedzieć się prawdy. Pracowałem przecież z chłopakami, którzy brali udział w tych działaniach i strzelali do ludzi. Chociaż… Nawet tego nie wiedziałem na pewno. Baca wydawał mi się najprzystępniejszy, więc uczepiłem się go któregoś wieczora. W końcu musiałem użyć konkretnego argumentu, czyli pół litra, żeby przyszedł do mnie do pokoju. Siedzieliśmy oglądając film i pijąc wódkę. Pół litra miałem kupione już dawno. Chciałem za nie wycyganić od magazyniera dodatkową parę butów. Jedna para czasami nie zdążyła wyschnąć umyta z błota po poligonie. Teraz cały czas była chlapa i buty były często mokre. Odżałowałem jednak tę wódkę, żeby pociągnąć Bacę za język.

Nie bardzo wiedziałem jak zacząć. Po długim zastanowieniu doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie walnąć prosto z mostu. Baca to za stary lis, żeby dał się ciągnąć za język takiemu młodziakowi jak ja. Zorientuje się, pogniewa i dopiero będzie mi szkoda. To równy chłopak i ostatnio cały czas mi pomaga. Zdecydowałem się i w końcu zapytałem:

– Słuchaj jak to było na „Wujku"? Z kim nie pogadam, to każdy co innego pierdoli i w końcu już sam nie wiem co myśleć.

– Mówisz „na Wujku", ale konkretnie o co ci chodzi?

– No o tę strzelaninę. Kto wam kazał strzelać?

Baca oparł się o ścianę, chwilę zastanowił z zamkniętymi oczami i w końcu odezwał się:

– Strzelać nikt nie kazał. Nerwówka była taka, że wszyscy chodzili jak na bombie. Nawet wódka nie uspokajała. Wiadomo było, że górnicy pozakładali ładunki wybuchowe i są tak wkurwieni, że mogą wszystko wywalić w powietrze. Przebijaliśmy się w kierunku magazynu z ładunkami. Przyblokowali nas między budynkami i jak zaczną z góry, z dachów…

Na chwilę zamyślił się, więc polałem do kieliszków. Wypił wszystko.

– Wiesz jak wygląda ząb od kombajnu górniczego? – zapytał.

– Nie.

– Wygląda tak samo jak normalny ząb kieł, tylko jest dziesięć razy większy. Taki no… z dinozaura, cały ze stali. Takie rzucali na nas z góry. Do tego zaostrzone pręty, jak dzidy. Śruby, nakrętki. No, dosłownie wszystko. Przede mną chłopak dostał w ramię takim zębem od kombajnu i jest na rencie, bo miał zmiażdżone ramię. Teraz ma niedowład. Zaraz po tym, jak właśnie ten chłopak upadł, usłyszałem pierwszy strzał. Ktoś przede mną walnął i zaraz po nim zaczęli strzelać inni. Dużo tych strzałów nie było. Kilka urwanych serii. Ale paru górników przed nami fiknęło. Zaraz potem się wycofaliśmy. Żaden z naszych nie przyznał się, że pierwszy strzelił, ale – moim zdaniem była najwyższa pora. Albo się wycofać, albo strzelać. Oni byli już tak rozbuchani, że zaczęli biec na nas. Nas była zaledwie garstka, a ich cała czereda. Wcale się nie dziwię, że któryś chłopak nie wytrzymał i wygarnął. Bardziej zastanawia mnie, że poleciało tylko parę serii.

– Całe szczęście – wyrwało mi się niechcący.

– Pewnie, że całe szczęście. Jak chłopakom nerwy puściły, to mogli się całkiem rozbuchać i oberwałoby nie kilka, ale kilkadziesiąt osób. Całe szczęście, że się w porę opamiętaliśmy.

– A co szefostwo na to? – spytałem chcąc już wykorzystać okazję do końca.

– Szefostwo? Z początku była awantura na cztery fajerki, ale później wyciszyli wszystko. Zamieszali i jakoś ucichło. Jakby na to nie patrzył strzelanina się przydała. Kopalnia została odblokowana, bo górnicy ustąpili, a o to przecież chodziło. Jakby utrzymali się na „Wujku", to i gdzie indziej też. Mogłoby się okazać, że stan wojenny tak lekko by nie przeszedł.

– Myślisz, że Ruscy by weszli? – zapytałem.

– Wcale nie musieli wchodzić. Starczyłoby tych, co już u nas byli. Podobno Czesi i Niemcy też się już szykowali. Jakby weszli, to mogłoby być różnie, bo Polacy przecież naród niepokorny… Ale skończmy już tę gadkę o polityce, bo zaczynam być zły.

– Nie lubisz polityki! – roześmiałem się.

– A za co ją, kurwa, lubić? Na górze paru baranów się spiera i z tej okazji ludzie na dole się zabijają. Zawsze ten na dole, w dupę bity, a na górze wychodzą cało. Wolę robić co do mnie należy i nie myśleć o wszystkim – wyjaśnił mi Baca.

Zrozumiałem, że już nic z niego nie wyciągnę. Zresztą – już nie chciałem. Wystarczyło mi to, co powiedział. Wyglądało na to, że powiedział prawdę, ale czy na pewno?

Przecież on też brał udział w tych działaniach. Też chyba strzelał, chociaż do tego nie przyznał się. Mógł mi nakłamać chcąc siebie wybielić. Ale nic na to nie poradzę i chyba lepiej dać już sobie spokój i przestać o tym myśleć.

* * *

Tego wieczoru upiliśmy się z Bacą równo. Gdy moja wódka się skończyła, przyniósł jeszcze swoją piliśmy i aż nas zamroczyło. Na szczęście następnego dnia mieliśmy wolne. Ledwo przyszły informacje, że pod kopalnią „Wujek" zbierają się grupki ludzi, już byliśmy niedaleko gotowi do ruszenia na nich. Ludzi przybywało i nie działo się nic więcej. Dowodzący działaniami rozstawił jeden batalion (trzy kompanie) naprzeciwko i też nic się nie zmieniło. Ludzie stali po jednej stronie ulicy, ZOMO – po drugiej i ruch był taki, że dochodzili cały czas nowi manifestanci. Jacy to zresztą manifestanci, jeśli stoją, nic nie krzyczą i nigdzie nie maszerują.

Trwała ta głupia sytuacja około dwóch godzin. W końcu przyszedł do nas Śluza z taką nowiną, że gdy ją usłyszałem nie chciało mi się wierzyć. Zgodnie z tym, co wcześniej zapowiedział Śruba, moja drużyna była ubrana w cywilne ciuchy. Teraz Śluza przyszedł i powiedział nam, że mamy się wmieszać w tłum i „rozruszać go". Śmiał się przy tym i widziałem, że chłopaki też cię cieszą. Dużym łukiem przemykaliśmy się uliczkami, żeby wejść między ludzi jak najdalej od tej strony, gdzie stało ZOMO. Ze mną szedł Zgaga i Foks, który wrócił świeżo ze szpitala i narzekał, że od razu ciągają go po jakichś zawieruchach.

Gdy byliśmy już blisko, zaczęliśmy iść wolnym krokiem. Nadal nie wiedziałem co mam robić. Domyślałem się, ale nie byłem pewny, zapytałem więc Zgagi:

– Jak mamy ich rozruszać?

– Normalnie. Wejdziemy pojedynczo i zaczniemy rzucać kamieniami w kordon. Zawsze przyłączy się paru młodych bardziej porywczych i już masz tłum agresywny zamiast biernego. Można pałować i nikt nie powie, że ludzie sobie stali, a ZOMO na nich napadło.

Fajna impreza, pomyślałem. W cywilu nie brałem udziału w żadnych manifestacjach, a tu przyjdzie mi rzucać kamieniami w ZOMO. Przed dołączeniem do zgromadzonych ludzi rozdzieliliśmy się i każdy poszedł osobno. Chodziłem między stojącymi i patrzyłem co będzie dalej. Nie wiedziałem kiedy zacząć, więc uznałem, że lepiej zaczekać, aż któryś z chłopaków zacznie i wtedy dołączyć do niego. Długo nie trwało nim zobaczyłem, jak Lala podnosi kamień i rzuca w kierunku kordonu.

– Nie mogę patrzeć na tych skurwysynów! – krzyknął na cały głos.

Obok mnie leżał duży kamień, więc podniosłem go i po rozbiegu rzuciłem też w kierunku stojących kompanii. Zobaczyłem, że do tego rzucania przyłącza się reszta chłopaków, ale rzucało też dwóch, których nie znałem, więc chyba numer chwycił. Podniosłem następny kamień, gdy jakiś mężczyzna chwycił mnie za rękę.

– Miało być bez rzucania i mieliśmy stać spokojnie – wysyczał mi prosto w twarz.

– No to stój! Ja ci nie bronię – odpowiedziałem i wyrwałem rękę.

Żeby się od niego odczepić, podbiegłem bliżej stojącego kordonu i rzuciłem tak mocno, że kamień doleciał i któryś z chłopaków musiał odbić go tarczą. Wróciłem między ludzi. Mężczyzny, który mnie powstrzymywał, już nie było. Zamiast niego zauważyłem dwóch młodych chłopaków wyrywających płytę chodnikową. Gdy już ją wydłubali, jeden podniósł ją wysoko i trzasnął o chodnik. Popękała na kawałki i już mieli czym rzucać. Zaraz też wyrwali następną. Rzucało już teraz sporo ludzi i kamienie spadały gradem na kordon, który zaczął się cofać. Powoli zacząłem iść w kierunku uliczki, którą przyszedłem razem ze Zgagą i Foksem. Nie bardzo wiedziałem co robić. Czy wracać do samochodu, czy zostać i szukać Zgagi? Przecież mieliśmy zatrzymywać prowodyrów. Problem rozwiązał się sam, gdy zobaczyłem Foksa i Zgagę idących w tym samym kierunku co ja.

– Wracamy do samochodów? – spytałem, gdy podeszli do mnie.

– Tak. Dzisiaj już zrobiliśmy swoje – roześmiał się Zgaga.

– Nie będziemy nikogo zatrzymywać?

– Za dużo ludzi nas widziało, gdy zaczynaliśmy rzucać. Nie dadzą nam podejść zbyt blisko do tych co zarządzili, żeby dzisiaj stać spokojnie. Popsuliśmy im robotę, więc zwłaszcza wobec nas będą ostrożni – odpowiedział mi Foks.

Przy samochodach dowódca jednostki poczekał aż przyjdziemy wszyscy i bardzo oficjalnie zaczął przemowę:

– Wichrzyciele i podżegacze próbują stosować swoją taktykę, dlatego musimy przeciwdziałać temu również nie przebierając w środkach – na chwilę zamilkł. – Dziękuję w imieniu służby. To była dobra robota… łobuziaki – zakończył już mniej poważnie.

Z miejsca, gdzie staliśmy, nie było widać co się dzieje przed kompanią, ale sądząc po salwach z wyrzutni musiało tam być gorąco. Nam pozostało siedzieć i czekać.

Niedługo to trwało. Po godzinie całą kolumną już wracaliśmy do jednostki. Jeden batalion został pilnować porządku do końca dnia, a my już mieliśmy wolne.

Trochę zamyśliłem się patrząc na jadącą za nami armatkę wodną, która opróżniała zbiorniki, lejąc wodę na szosę w czasie jazdy. Zastanawiałem się, czy to, co dzisiaj robiłem, kiedyś uznałbym za złe czy za dobre. Najbardziej dziwiło mnie to, że po prostu nie wiedziałem co myśleć na ten temat. Przez chwilę próbowałem się skoncentrować, ale w końcu mi się odechciało. Czy ja muszę się nad tym wszystkim zastanawiać? Czy nie mogę przyjmować życia takim jakie jest? Kazali wejść między ludzi i trochę ich rozruszać, to wszedłem i udało mi się to zrobić. O ocenę niech się martwią ci, którzy dali się podpuścić i ci, którzy wydawali polecenia.

* * *

Na terenie jednostki przestałem już filozofować. Miałem inne zajęcia, które całkowicie pochłonęły moją uwagę. Porządkowaliśmy sprzęt na skałki, bo okazało się, że już jutro wyjeżdżamy. Co prawda pułkownik oszukał nas na jeden dzień i z obiecanych pięciu w rozkazie wyjazdu zrobiły się cztery, ale załatwił nam pobyt w ośrodku w Zakopanem. Całe popołudnie przeglądaliśmy i układaliśmy w skrzyniach linki, uprzęże i cały sprzęt, jaki mieliśmy zabrać. Dowódca jednostki dorzucił nam jeszcze trzech chłopaków z najmłodszej kompanii jako wartowników i kaprala, żeby ich pilnował. Gdy kręciłem głową na takie fanaberie, Śluza wyjaśnił mi:

– Dzięki temu wszyscy będą mogli brać udział w zajęciach i nikt nie będzie musiał zostawać, żeby pilnować samochodów i sprzętu. To dla naszej wygody tak się pułkownik postarał.

– Może i tak, ale po cholerę ten kapral wiezie dupę z nami?

– A tu cię boli! Stary uraz do kaprali? – roześmiał się.

– Przecież wiesz, że tam gdzie dwóch zomoli to jeden dowódca. A poza tym to młode chłopaki i nigdy nie wiadomo co im do głowy strzeli. Lepiej niech ten kapral ich pilnuje, a my będziemy mogli spokojnie połazić.

Dojechaliśmy następnego dnia przed południem. Zakwaterowanie było już uzgodnione. Dostaliśmy oddzielny budynek i parking przy nim. Pogoda była wspaniała. W pełnym słońcu śnieg tak błyszczał, że z oczu płynęły mi łzy, gdy próbowałem się rozejrzeć. Powietrze zdawało się samo wchodzić do płuc. Aż chciało się oddychać. Najchętniej w ogóle nie wchodziłbym do budynku, tak mi było dobrze. Przestałem gapić się jak idiota pod słońce i teraz już mogłem podziwiać panoramę gór. Niedługo jednak mogłem pozostać w tym zachwycie. Trzeba było się rozlokować. Potem zaraz obiad, po którym udało mi się posiedzieć pół godziny na słońcu i pogapić się na góry. Ponieważ na wspinaczkę było już za późno, Śluza stwierdził, że dzisiaj tylko sobie pobiegamy. Ruszyliśmy za nim, a on jak należało podejrzewać na początek biegu wybrał drogę w dół. Biegliśmy spokojnie dla samej przyjemności wysiłku.

– Co ci się tak gębą śmieje? – krzyknął do mnie Zgaga.

– Bo mi się tu naprawdę podoba. Ta droga, ten bieg. W ogóle fajnie – odkrzyknąłem.

– Pomyśl, że każdy krok w dół to potem krok w górę, a przestanie ci się podobać.

Miał rację, ale na razie biegło się przyjemnie. Mijaliśmy ludzi idących pod górę do schroniska. Machali do nas i uśmiechali się. Wiedzieli prawdopodobnie, że to biegną milicjanci, ale w tym miejscu nawet normalna wrogość słabła.

Gdy droga zaczęła biec bardziej płasko Śluza zatrzymał się. Podzielił nas na dwie grupy i zarządził bitwę… na śnieżki. Ktoś z boku patrząc na nas pomyślałby, że zwariowaliśmy. Komandosi z bronią przy pasie, z nożami przy udzie walili w siebie śniegiem aż furczało. Był lekki mróz, więc śnieg lepił się nie za dobrze, ale można było z niego uformować kulkę. Reguły gry były niezbyt skomplikowane. Po prostu kto dostał śnieżynką, ten nie żyje i odchodzi na bok. Sędziował Śluza. Połowa założyła na głowy berety, a reszta miała je pod pagonami. Pechowo zaraz na początku dostałem „postrzał" prosto w twarz i odpadłem. W ogóle moja grupa poniosła sromotną klęskę. „Wystrzelano" nas co do jednego, a przeciwników zostało sześciu. Najdłużej z mojej grupy trzymał się mały zwinny Kula z trzeciej drużyny. Wywijał się długo. „Zastrzelił" jeszcze dwóch, aż został dosłownie zasypany gradem „piguł" i Śluza ogłosił zakończenie pojedynku. Zaczęliśmy bieg z powrotem. Oj! To już nie były żarty. Poczułem to od razu w mięśniach ud. Niedługo zaczął mi po plecach płynąć pot. Tempo było słabe, ale musiałem bardzo starać się, żeby utrzymać się w grupie i nie zostawać. Płuca pracowały już pełną parą, pot płynął nie tylko po plecach, ale i po czole, kiedy zobaczyłem w górze ośrodek. Był odległy mniej więcej o kilometr, ale w prostej linii o trzysta metrów. Nogi zaczynały już rwać tępym bólem. Przyjrzałem się chłopakom. Twarze mieli purpurowe z wysiłku, jak ja, i też chyba ciągnęli resztkami sił. Dobiegliśmy jednak wszyscy, chociaż niektórzy zostali trochę z tyłu. Zauważyłem, że Śluza uważnie przygląda się tym, którzy dobiegają jako ostatni, jakby chciał ich zapamiętać. Byłem dokładnie dziesiąty. Ile mnie to kosztowało wysiłku wiedziały tylko moje nogi, ale nie chciałem, żeby Śluza myślał, że przyjął do plutonu słabeusza bez kondycji. Od początku czułem się jak na cenzurowanym i chciałem dobrze wypaść.

Tego dnia Śluza już dał nam spokój, ale każdy następny po śniadaniu zaczynaliśmy takim biegiem. Oczywiście już bez wojen na śnieżki, bo nie było na to czasu, gdyż pędziliśmy w góry na wspinaczkę. Po pierwszym dniu lekko została zachwiana moja pasja do wspinaczki. W dzień było wszystko dobrze, ale gdy następnego ranka próbowałem wstać z łóżka, okazało się, że nie bardzo mogę, bo bolą mnie wszystkie mięśnie. Nogi, ręce, plecy, ramiona, szyja. Dosłownie wszystko.

Moje zejście na śniadanie zostało przywitane salwą śmiechu. Trochę się zaczerwieniłem ze wstydu, że chodzę jak paralityk, ale zaraz przeszło mi, gdy zobaczyłem wchodzącego Zgagę. To samo! Ten, który zawsze śmiał się ze wszystkich, szedł na „nieswoich" nogach z tak kwaśną miną, jakby się octu napił.

– Cholera, czemu to tak boli? – stęknąłem siadając obok Miśka.

– Bo przy wspinaczce pracują jednocześnie wszystkie mięśnie, rąk, nóg i pleców. Pracują też te, których się rzadko używa i stąd zaraz zakwasy – wytłumaczył mi.

Po obfitym śniadaniu trochę odpoczynku, bieg i na ściany. Po pół godzinie tak się rozruszałem, że nie czułem już bólu. Najlepiej czułem się trzeciego dnia, ale był to już ostatni dzień naszego pobytu. Szkoda mi było wyjeżdżać, ale niestety wszystko co dobre trwa z reguły krótko. Skałek było mi podwójnie szkoda, ponieważ polubiłem wspinanie, a ponadto po raz pierwszy chłopcy z plutonu mówili o mnie z podziwem. Ostatniego dnia na pionową ścianę puścili mnie jako pierwszego twierdząc, że najlepiej sobie poradzę. Wchodząc tą samą drogą co ja, Zgaga gderał, jednocześnie wyrażając swój podziw:

– Czegoś ty się tu trzymał? Powietrza?

Odpadł zaraz od ściany i miał duże kłopoty z wejściem po uzbrojonej już przeze mnie ścianie.

Śluza też mi gratulował:

– Pierwszy raz widzę chłopaka, który na trzeci dzień tak łazi po skałkach.

Pęczniałem z dumy i radości słysząc pochwały. Zwłaszcza opinia Śluzy była dla mnie cenna. Przecież był z nas najsprawniejszy. Nie był najlepszy we wszystkim, np. na macie dawałem sobie z nim radę, ale biorąc pod uwagę ogólną sprawność fizyczną, był po prostu najlepszy. No i dowódca, wiadomo.

* * *

Wróciliśmy do jednostki i od razu trzeba było zabierać się do roboty. Wystarczyło kilka dni, a z rejonówek dobijali się o pluton do tego stopnia, że przez pierwsze trzy dni na poranne zatrzymania jeździły dwie drużyny. Nie były to jakieś specjalne czynności, tylko rutynowe akcje. Tam, gdzie zachodziło podejrzenie, że człowiek, którego trzeba było zatrzymać, jest niebezpieczny i może mieć broń, rejonówki wolały poprosić nas o pomoc. Z reguły okazywało się, że podejrzany przerażony nagłym wtargnięciem do mieszkania grupy uzbrojonych komandosów, poddawał się bez oporu. Wcale się nie dziwię. Śpi sobie człowiek spokojnie w swoim domu, a tu nagle o szóstej rano ktoś wywala drzwi i wpada do mieszkania i przystawia mu lufę do głowy. Całe szczęście, że na razie nie trafiliśmy na chorego na serce, bo pewnie by nie wytrzymał i dostał zawału. Wracaliśmy późnym popołudniem, a czasami nawet wieczorem. Ledwo mogłem wykroić trochę czasu na treningi, ale ćwiczyłem mniej niż przedtem. Śluza obiecywał, że powoli sytuacja się uspokoi i zaczniemy się normalnie szkolić, ale jakoś nie chciała się uspokoić. Czekałem na trochę luzu, żeby poprosić go przepustkę na parę dni. Chciałem jechać do domu, zobaczyć się z dziewczyną, z matką i parę dni odpocząć. Szczególnie do dziewczyny mi się spieszyło, bo po okresie ochłodzenia teraz wypisywała do mnie tak płomien-

ne listy, że znowu z niecierpliwością czekałem na przyjście poczty. Chyba przez tę tęsknotę zacząłem zwracać baczniejszą uwagę na dziewczyny, zwłaszcza blondynki.

Tego wieczora pojechałem razem z Bacą odwieźć chłopaków do domów. Na koniec Baca miał zostać u siebie, a ja UAZ-em wrócić do jednostki. Śluza złościł się czasami na te nasze eksperymenty, ale przymykał oko. W myśl przepisów mnie jako zomowcowi niezawodowemu nie wolno było samemu wyjeżdżać i poruszać się żadnym samochodem poza jednostką. Zawsze powinien być ze mną ktoś z zawodowych. Ale bez sensu było zjeżdżać do jednostki tylko po to, żeby zostawić UAZ-a, a Bacę i tak musiałby odwieźć do domu kierowca oficera dyżurnego. Zjeżdżałem więc ja i nikt się na razie oprócz Śluzy nie czepiał.

Akurat wysiadł Misiek i poszedł do domu. Zostaliśmy z Bacą we dwóch w samochodzie. Ruszyłem, wyjechałem na skrzyżowanie i czekałem aż zmienią się światła. Wtedy zauważyłem jak pod przystanek tramwajowy podjeżdża zagraniczny samochód. Wysiadł z niego kierowca, sądząc z ciemnej karnacji skóry jakiś południowiec, najprawdopodobniej Arab. Podszedł szybko do stojącej na przystanku wysokiej, ubranej w mini dziewczyny. Krótko coś do niej zagadał, a gdy próbowała odejść, złapał ją za rękę i zaczął ciągnąć w kierunku samochodu. Dziewczyna opierała się, próbowała wyrwać, ale trzymał ją mocno za rękę i dociągnął już blisko drzwi. Na przystanku stało kilka osób, ale nie było żadnego młodszego mężczyzny, żeby się wtrącił. Był jakiś dziadek, kilka kobiet i dzieci.

– Jedź, masz zielone! – przerwał moje obserwacje Baca.

Przejechałem skrzyżowanie i zatrzymałem się. Arab szarpał się z dziewczyną przy samochodzie próbując ją wsadzić siłą. Baca obejrzał się w kierunku, w którym patrzyłem.

– Podjedź do nich – mruknął.

Ruszyłem ostro, zrobiłem nawrót i gdy gwałtownie zahamowałem za tyłem samochodu Araba, Baca już wyskakiwał. W sekundę później byłem na zewnątrz. Baca podbiegł do nich, ja z drugiej strony, pilnując jednocześnie, żeby facet nie wsiadł do samochodu i nie odjechał. Baca położył go na masce wykręcając jednocześnie ręce. W tym momencie byłem już przy nich.

– Dobry wieczór. Czy pani zna tego pana? – spytałem dziewczynę wskazując na obszukiwanego przez Bacę mężczyznę. Robił to jedną ręką, bo drugą cały czas przytrzymywał go za wykręconą na plecy rękę.

– Nie. Nie znam. Podjechał i się przyczepił – odpowiedziała poddenerwowanym głosem.

– Czego chciał?

– Żebym z nim na dancing pojechała. Kiedy mówiłam, że go nie znam, powiedział, że poznamy się bliżej w restauracji – mówiła wzburzona.

Baca tymczasem skończył obszukiwanie, nie znajdując nic, tzn. żadnego noża, pistoletu itp. Puścił mężczyznę, który stał teraz obok samochodu rozcierając zdrętwiałą rękę. Podszedłem do nich.

– Dowód osobisty poproszę – powiedziałem spokojnie, chociaż krew się już we mnie gotowała.

– I do not speak polish. I am English – padła odpowiedź.

– Passport please – rzuciłem jakby od niechcenia z satysfakcją patrząc na jego zaskoczoną minę.

Gdy opanował zmieszanie, uśmiechnął się sztucznie i wyjął legitymację studencką.

– Ja żartowałem. Ja student z Uniwersytet Śląski. Mieszkam Gliwice – odezwał się łamaną polszczyzną.

Więcej nic nie zdążył powiedzieć, bo w tym momencie Baca dał mu w gębę. Niby otwartą dłonią chlasnął go w ten arabski pysk, ale jaką wprawę i siłę musiała mieć ta ręka, jeśli uderzony odbił się od swojego samochodu i upadł na chodnik? Z niepokojem spojrzałem na ludzi na przystanku. Jak zareagują? Starszy mężczyzna patrzył przez chwilę na mnie, a potem zaczął bić brawo. Przyłączyły się do niego nieśmiało jeszcze dwie kobiety. No, takich jaj jeszcze nie było. Baca też patrzył zaskoczony. Podniósł bez słowa Araba za kołnierz.

– Weź Darek pałę z samochodu – powiedział do mnie prowadząc go do pobliskiej bramy.

Gdy tam wszedłem, Arab zbladł ze strachu widząc w moich rękach pałkę.

– Panowie, za co? Za to, że podrywałem dziewczynę? – krzyknął już całkiem po polsku.

– Tak podrywać to możesz smoluchu u siebie takie same brudaski jak ty. A nie u nas nasze dziewczyny – wytłumaczył mu Baca wykręcając mu znowu rękę i przyginając całego do dołu, żeby miał dobrze wypięty tyłek.

– Wal, Darek – powiedział do mnie.

Z samochodu wziąłem szturmówkę – długą i sztywną pałkę. Nie bardzo nadawała się do takiego oprawiania. Lepsza by była normalna mała pałka, ale niestety pluton używał tylko tych dużych, praktyczniejszych do obezwładniania. Pociągnąłem więc z góry na „obcierkę". Pałka nie uderzyła całym przekrojem, tylko brzegiem i obsunęła się po tyłku. Arab zawył z bólu, czyli dobrze trafiłem. Dostał jeszcze dziewięć takich nim go Baca puścił. Wyskoczył z bramy i trzymając się za tyłek poszedł skrzywiony do samochodu. Przywitał go śmiech na przystanku. Wyszliśmy z bramy. Patrząc jak Arab wsiada do samochodu też zaczęliśmy się śmiać. Robił to tak ostrożnie, jakby siadał na rozżarzonych węglach. Gdy już się usadowił, ruszył z piskiem opon, chyba żeby jak najprędzej zakończyć to wstydliwe przedstawienie.

Całe zajście wprawiło mnie w dobry humor. Ludzie się pośmieli, dziewczynę wybawiliśmy z kłopotów, Arab dostał to, na co zasłużył. Same plusy. Baca też się cieszył z tego zdarzenia.

– Dobrze, że go zauważyłeś. Zagapiłem się i nie wiedziałem o co chodzi – powiedział.

– Też bym, nie zobaczył, ale akurat gapiłem się na dziewczynę. Gdyby nie była taka ładna, to bym pewnie nie zauważył co się dzieje – odpowiedziałem podjeżdżając pod blok, w którym mieszkał Baca.

* * *

Przez kilka dni było spokojniej. Do tego stopnia, że zacząłem tęsknić za jakąś robotą. Śluza miał teraz pole do popisu i wykorzystywał nasz czas bardzo dokładnie. Codziennie osiem godzin zajęć, a jeszcze dodatkowo po dwie godziny strzelania dla mnie i dwóch snajperów. Nie znaczyło to, że przygotowywał mnie na strzelca wyborowego. Po prostu byłem najmniej „ostrzelany" ze wszystkich. Śluza stwierdził, że muszę dodatkowo ćwiczyć, aż on będzie pewny mojej celności. Codziennie wpadał na strzelnicę i patrzył jakie robię postępy. Uważałem, że teraz strzelam rewelacyjnie, natomiast on cały czas kręcił głową. A to za słabe skupienie, czyli rozkład przestrzelin na tarczy, a to za bardzo jestem wyprostowany w momencie strzału. Nigdy jednak nie okazał złości czy zniecierpliwienia. Po prostu spokojnie tłumaczył i wymagał wykonania. Chyba miałem szczęście do dobrych dowódców. Najpierw Nowakiewicz, teraz Śluza. Nie tylko fachowcy, ale jednocześnie ludzie kulturalni i z odpowiednim podejściem do podwładnych. Gdy zacząłem narzekać, że od tego ciągłego huku na strzelnicy boli mnie głowa, zapytał:

– Czy uważasz, że już dostatecznie dobrze strzelasz?

– Wydaje mi się, że nie najgorzej – odpowiedziałem naburmuszony.

– To chodź. Coś zobaczysz.

Zaprowadził mnie na stanowiska, gdzie ćwiczyli snajperzy. Dał jednemu z nich mój pistolet. Po błyskawicznym wystrzelaniu całego bębenka chłopak oddał mi broń i zajął się ładowaniem swojej. Poszliśmy ze Śluzą obejrzeć tarczę. Sześcioma kulami snajper zrobił jedną dziurę w środku dziesiątki. Trzeba się było dobrze przyglądać, żeby stwierdzić, czy dziurę wystrzelono jednym dużym pociskiem, czy kilkoma małymi. Patrzyłem z niedowierzaniem na tarczę. Nie mogłem zrozumieć, jak można tak strzelać z pistoletu, którego się nie zna. Po kilku dniach ledwo się wstrzelałem do tego stopnia, że nie wychodziłem poza granice dziewiątki, a ten ma pistolet pierwszy raz w ręku i nie wychodzi poza dychę. Kłóciło mi się to z całą wiedzą jaką dotychczas miałem na temat strzelania. Zawsze mówiono mi, że każda inaczej bije, że broń trzeba wyczuć i że trzeba ją ustawić dla każdej osoby inaczej. Ten natomiast wziął ode mnie Astrę, wywalił cały bębenek jak na pokazach w cyrku i nie wyszedł poza dychę. Spojrzałem „spode łba" na Śluzę. Oczywiście uśmiechał się zadowolony z efektów pokazu. W końcu poklepał mnie po plecach i pocieszył:

– Nie martw się, ja też przy Glusiu i Strąku wpadam w kompleksy i nie mogę zrozumieć jak oni to robią. Ale nie mów mi nigdy, że starczy ćwiczeń, bo już dobrze strzelasz! Zgoda?

– Tak jest, dowódco! – odpowiedziałem, bo nie pozostawało mi nic innego.

Moje narzekania przyniosły jednak skutek, bo skrócił mi dodatkowe strzelania do godziny dziennie i miałem ćwiczyć tylko wtedy, kiedy jest szkolenie.

Jeśli przedtem ktoś narzekał, że mamy za dużo roboty, to teraz mógł być zadowolony. Przez półtora tygodnia nie ruszaliśmy się z jednostki. Podpisywałem na listy, zrobiłem gruntowne pranie, „połknąłem" dwie książki i właśnie zastanawiałem się nad wyborem następnej, gdy w końcu coś drgnęło. Najpierw na dyżurze trzeciej drużyny podjechali zatrzymać zabójcę w Jaworznie, a następnie na naszym dyżurze do stołówki w czasie kolacji wpadł jak burza pomocnik oficera dyżurnego. W niecałe dziesięć minut załadowaliśmy się ze sprzętem do samochodów i wyjechaliśmy z jednostki. Śruba w biegu tylko zdążył krzyknąć:

– Dworzec PKP w Katowicach!

Na placówce dworcowej siedział mocno wzburzony mój znajomy, grubawy sierżant. Był też konduktor i dwóch kolejarzy. W krótkich słowach sierżant wyjaśnił Śrubie co się stało.

– Ruski lejtnant upił się w pociągu, wyjął broń i zaczął strzelać. Na razie nikomu nic się nie stało, bo ludzie pouciekali, a on usiadł w swoim przedziale i pije piwo. Próbowałem wejść do niego, ale się ocknął i zaczął strzelać. Teraz sytuacji na peronie pilnują dwa patrole z Komisariatu Kolejowego, ale trzymają się z daleka i nie bardzo wiedzą co robić. Kolejarze się złoszczą, bo pociąg międzynarodowy, nie dość, że jest opóźniony, to jeszcze blokuje dworzec.

Śruba najpierw ustawił Glusia dwa perony dalej. Mógł z tej pozycji przez celownik optyczny swojej snajperki zobaczyć, co się dzieje w wagonie. Okazało się, że Rosjanin siedzi w przedziale, pije piwo i broń trzyma w ręce. Gluś został na swojej pozycji, a mnie i Zgagę Śruba wyznaczył do wejścia do przedziału. Mieliśmy się posuwać z dwóch kierunków. Ja od początku wagonu, a Zgaga od końca. Rosjanin siedział w przedziale bliższym początkowi wagonu, więc musiałem iść wolniej czekając na Zgagę. Drzwi wagonu były na szczęście pootwierane, bo tak pozostawili je ludzie uciekając po usłyszeniu strzałów. Sierżant, który próbował wejść do Rosjanina, też na szczęście nie zamknął ich w czasie ucieczki. Podbiegliśmy pod drzwi przedziałów. Potem zaczęło się skradanie. Nie było trudne, bo stąpnięcia tłumiła wykładzina leżąca na korytarzu wagonu. Najbardziej przeszkadzało wzrastające napięcie. Przecież w każdej chwili Rosjanin mógł wyleźć z przedziału. Broń mieliśmy cały czas gotową do strzału. W pewnym momencie uświadomiłem sobie, że popełniliśmy błąd wchodząc z dwóch stron wagonu. Przecież, jeżeli Rosjanin wyjdzie z przedziału, to żaden z nas nie będzie mógł strzelić. Ja stałem na linii strzału Krzyśka, a Krzysiek znajdzie się na mojej, bo cel będzie dokładnie między nami. Na Glusia nie mogliśmy liczyć, bo zanim się zorientuje, nas może już nie być na tym świecie. Zatrzymałem się i dałem znak Zgadze, żeby popatrzył co robię. Celowo powo-

lutku schowałem broń do kabury i pokazałem mu, że będę padał na ziemię. Miałem nadzieję, że zrozumie ten podział ról. Chwilę się zastanawiał, a potem wycelował broń we mnie. Powoli, żeby nie narobić hałasu, pochyliłem się tak jakbym padał. Cofnął broń do góry, pokiwał głową, że rozumie i podniósł rękę z podniesionym kciukiem chyba na znak, że mam u niego plus. Pewnie że mam, pomyślałem. Ktoś w tym towarzystwie musi myśleć. Przez te manewry jakoś odprężyłem się i mniej spięty skradałem się korytarzem. Patrząc jeszcze z peronu wyliczyłem, że Rosjanin siedzi w siódmym przedziale. Byłem już przy szóstym. Zgaga za chwilę też znalazł się przy drzwiach przedziału sąsiadującego z tym, w którym siedział nasz wojak. Zastanawiałem się jak wywabimy go na korytarz, bo to wydawało się konieczne. Zrobiłem nawet do Zgagi pytającą minę unosząc brwi. Kiwnął głową, że rozumie i pomachał ręką w kierunku okna, przez które mógł go widzieć Gluś. Zobaczyłem, że ustawia się jak do skoku, więc zrobiłem to samo. Musieliśmy czekać aż dwie długie minuty. Najgorzej, że nie wiedziałem na co. Naśladowałem po prostu Zgagę. W końcu dowiedziałem się. Na dworze rozległ się huk wybuchającej petardy i Rosjanin wyskoczył z przedziału na korytarz, trzymając pistolet w ręku przed sobą. Nie zdążył wyjść, bo w momencie, gdy zobaczyłem wysuwającą się rękę z bronią, chwyciłem za nią i wykręciłem, kładąc jednocześnie przeciwnika na ziemię. W locie Zgaga uderzył go rewolwerem w tył głowy tak celnie, że go ogłuszył. Pistolet wypadł Rosjaninowi na podłogę, a ja spokojnie przełożyłem mu ręce do tyłu i założyłem kajdanki. Leżał bezwładny, ale po chwili, gdy reszta chłopaków weszła do wagonu, zaczął potrząsać głową, budząc się.

– Mieliśmy niezłą pokazówkę. Widać was było cały czas przez okno jak na dłoni. Chyba cały dworzec się gapił z sąsiednich peronów – zakomunikował nam Śruba.

– Młody musiał pomyśleć za starego, bo stary ociężały umysłowo – dociął Zgadze Misiek wykorzystując okazję, żeby odgryźć się za wszystkie przecierpiane złośliwości.

Zgaga nie zareagował, zajął się podnoszeniem Rosjanina. Zresztą, to nie była jego wina. Taki plan miał Śruba. My mieliśmy go tylko wykonać. Razem poprowadziliśmy wojaka peronem zapełniającym się ludźmi wsiadającymi do pociągu. W pomieszczeniu placówki oprócz sierżanta nie było nikogo. Rosjanina wrzuciliśmy do klatki dla zatrzymanych, a sami usiedliśmy w drugim pomieszczeniu. Właściwie mogliśmy już jechać. Teraz, kiedy sołdat nie ma broni i jest skuty, poradzą sobie z nim.

– Kajdanki bym zabrał – powiedział Zgaga.

– Poczekajcie panowie chwilę, już dzwonili do ruskiej delegatury. Przyjadą go zabrać oddadzą od razu kajdanki – wyjaśnił sierżant wypisując dokumenty na to zdarzenie.

Rozśmieszył mnie tym awansowaniem na „pana". Musiał mnie nie poznać w kasku i w uesie. Z ciekawości, czy mnie pozna, zdjąłem kask i poprawiłem włosy. Widziałem, że zerknął na mnie, ale wahał się przez chwilę. Dopiero gdy podpisywaliśmy ze Zgagą protokół zatrzymania, powiedział:

– My się chyba znamy z czasów, kiedy pan przyjeżdżał tu na służby.

– Już myślałem, że mnie pan nie pozna – roześmiałem się.

Coś by jeszcze pewnie zaczął mówić, ale przerwało mu wejście trzech żołnierzy w sowieckich mundurach. Właściwie należałoby powiedzieć, że weszło dwóch i pół żołnierza. Przodem wmaszerowała jakaś ważna persona, bo różnych znaczków i baretek miał nawieszane bez liku. Za nią wmaszerowało dwóch dobrze zbudowanych żołnierzy z kałasznikowami i w mundurach polowych. Osobistość z odznaczeniami miała nie więcej niż półtora metra wzrostu. Wyglądało to cudacznie, bo na głowie miał ten człowiek normalną czapkę wojskową. Normalną w pojęciu Rosjan, bo ich czapy miały denka tak wielkie, że projektowano je chyba po to, żeby pod taką czapką nie zmoknąć w czasie deszczu. Nie na darmo krążył kawał, że jak Rosjanin widzi samolot albo śmigłowiec, to zdejmuje czapkę, żeby pilot nie pomyślał, że to lotnisko i nie zechciał na nim wylądować.

Oficer przywitał się ze wszystkimi i zapytał co się stało. Wysłuchał uważnie i przeprosił za kłopoty.

– Nu, to wydajcie go nam i później napiszycie dokumienty i tożе dajcie do nas – poprosił prawie po polsku, wzdychając.

Wypuściliśmy Rosjanina z klatki. Gdy Zgaga zdjął mu kajdanki, żołnierz od razu wyprężył się na baczność. Oficer podszedł do niego, chwilę przyglądał się jego twarzy, a potem bez słowa zaczął odpinać kaburę.

Zastrzeli go, czy to? – pomyślałem patrząc jak wyjmuje pistolet. Zręcznie podrzucił go do góry łapiąc za lufę, zamiast za kolbę. Potem nastąpiło coś, na co patrzyłem w osłupieniu nie mogąc zrozumieć. Mały żołnierzyk kolbą pistoletu uderzył zatrzymanego przez nas lejtnanta w usta. Za pierwszym razem popłynęła tylko krew. Za drugim bity wypluł kilka zębów, a mały walił pistoletem po twarzy, po głowie, po ramionach. Gdzie trafił. W końcu lejtnant upadł, ale na leżąco dostał jeszcze kilka kopniaków.

Obaj żołnierze przyglądali się temu spokojnie, a gdy ich dowódca skończył, wzięli pobitego pod pachy i wyciągnęli z placówki. Mały schował broń, chwilę jeszcze sapał z tłumionej pasji i w końcu odezwał się:

– Nu, niczewo. Ta swołocz nie przyjedzie więcej w Polszu. Jemu Kaukaz potrzebny albo Sybir.

Pożegnał się z nami jakby nic się nie stało, wziął broń zatrzymanego i poszedł. Przez chwilę panowała na placówce cisza.

– Kurwa, żebym wiedział, że tak go potraktują, to byśmy zrobili inaczej – odezwał się Zgaga i po namyśle powiedział. – Można było go skuć, broń dać kierownikowi pociągu i jakoś by do granicy dojechał. Najwyżej kajdanki by mi przepadły.

– Tak pobić żołnierza to chyba tylko u nich można. U nas też się leje, ale nie tak i nie żołnierza. Zwłaszcza zawodowego – kręcił głową sierżant.

Po pewnym czasie do placówki przyszedł Śruba. Popatrzył na krew na podłodze i na nas. Nie musiał pytać, od razu było widać o co chodzi.

– To nie my. To ten mały tak go kolbą od pistoletu załatwił – powiedziałem.

– Nie wtrącaliśmy się. To ich sprawa – dodał Zgaga.

– Wcale nie mówię, że to wy – roześmiał się Śruba. – Tylko zdziwiło mnie, że ci dwaj żołnierze wynieśli stąd tego lejtnanta i wrzucili do samochodu jak worek… Stawiał się im?

– Właśnie, ani się stawiał, ani myśmy na niego zbytnio nie narzekali, a ten kurdupel tak go stłukł – powiedziałem.

– Oni tak swoich żołnierzy traktują. Nie raz już widziałem taką akcję, gdy oficer tłukł podwładnych gdzie popadło i czym popadło… Ale chodźcie już. Wracamy do bazy.

* * *

W jednostce przeczytałem następny list od mojej dziewczyny. Wcześniej napisałem jej, że mogłem przyjechać, ale zrezygnowałem, bo dowódca obiecał mi więcej wolnego na święta. Okazało się, że wolałaby, żebym przyjeżdżał może na krótko, ale częściej. Też tak chciałem. Wtedy, gdy mieliśmy trochę luzu poszedłem do Śluzy pogadać o przepustce. Nie chciał mnie puścić, ale obiecał tydzień wolnego na święta. Czekałem więc teraz na te święta naprawdę jak na żadne inne Boże Narodzenie.

Na akcje jeździliśmy dwa, trzy razy w tygodniu, ale nic specjalnego się nie działo. Typowe wejścia do mieszkań połączone z przeszukaniem. Wykonywaliśmy to już prawie mechanicznie, według schematu. Wywalenie drzwi, wbiegnięcie do środka, wszystkich na podłogę, w kajdanki, przeszukanie i dopiero ustalanie kto jest kto. Potem przeszukanie całego mieszkania i przewożenie zatrzymanych do rejonówki. Jedyna modyfikacja występowała wtedy, gdy chodziło o mieszkanie na parterze lub wolno stojący domek. Trzeba było wtedy obstawić okna i wszystkie wyjścia. Czasami ktoś próbował wiać przez okno i było trochę zabawy. Gdy zaczynałem pracować w plutonie, obstawienie parterowego budynku odbywało się inaczej. Przed oknem lub dodatkowym wejściem stawał milicjant i tyle. Złodzieje w środku od razu wiedzieli, że cała chałupa jest obstawiona. Jeśli któryś mimo to próbował skakać oknem, był to naprawdę desperat i to mocno podpadnięty. Potem Śluza pojechał na jakieś szkolenie i przywiózł nowy pomysł, lepszy i bezpieczniejszy. Teraz, jeśli obstawialiśmy parterowy budynek, nikt z nas nie stawał przed oknem, ale siadał tuż pod nim. Jeśli ktoś chciał uciekać, nie widział przeszkód i wyskakiwał. W ten sposób grupa wchodząca do środka miała mniej osób do obezwładniania. Tego, który wyskoczył, łatwo było zatrzymać, korzystając z całkowitego zaskoczenia, łapiąc go od tyłu. Wiadomo było też od razu, że nie jest to ktoś niewinny, kto znalazł się tu przypadkowo.

Tak właśnie zrobiliśmy tego ranka, na trzy dni przed Wigilią. Siedziałem pod parapetem okna opierając się plecami o ścianę małego drewnianego domku. Drzwi już zostały

wywalone i chłopcy zaczynali działać w środku, gdy usłyszałem że okno nade mną zaczyna się otwierać. Ktoś wszedł na parapet i za moment tuż przede mną wylądował mężczyzna z trudem łapiąc równowagę po skoku. Chwyciłem za kołnierz i kopnąłem go pod kolano. Oczywiście klęknął. Już miałem jego rękę prawie wykręconą do tyłu, gdy poczułem uderzenie w kask ochraniający moją głowę. Czułem jeszcze jak ten kask pęka, zrobiło mi się bardzo ciepło i straciłem przytomność. Musiało to trwać jakiś czas, bo gdy doszedłem do siebie, tuż przede mną Foks i Misiek kończyli przeszukiwać dwóch skutych do tyłu i leżących na ziemi mężczyzn. Przy mnie byli Śruba i Zgaga. Zdjęli mi resztki kasku z głowy i cucili klepiąc po twarzy.

– No! Bogu dzięki, otworzył oczy – krzyknął Zgaga widząc, że dochodzę do siebie.

Próbowałem wstać, ale przytrzymał mnie na ziemi.

– Leż, leż. Zaraz tu będzie karetka.

– Po co karetka? Nic mi nie jest. Ja zaraz… – protestowałem, bo rzeczywiście nie czułem żadnych dolegliwości i z każdą chwilą czułem się coraz lepiej. Podniosłem głowę i zobaczyłem jak Misiek kopie po brzuchu i po żebrach jednego z zatrzymanych.

– Co mi się stało? – zapytałem.

– Złapałeś jednego, ale drugi też chciał uciekać tą samą drogą. Zobaczył, co się dzieje, chwycił łom i dał ci nim po głowie. Kask się rozleciał, ale głowę masz chyba całą – wyjaśnił mi Śruba.

– Nic mnie nie boli. Odwołaj karetkę.

– Leż, leż. Po takim uderzeniu może być wstrząs mózgu, a objawy mogą wystąpić nawet za dwa dni. Poza tym możesz mieć pęknięcie czaszki. Pojedziesz do Polikliniki, tam zrobią ci prześwietlenie, zbadają i wtedy będzie wiadomo – Śruba przerwał na chwilę i krzyknął do Miśka. – Przestań już! Pewnie żebra ma i tak połamane.

– Musi mieć połamane, żeby przynajmniej z miesiąc czuł, że na milicjanta ręki się nie podnosi – odkrzyknął Misiek, przerywając na chwilę kopanie. Przeskoczył przez mężczyznę na jego drugą stronę, popatrzył chwilę, wymierzył, kopnął jeszcze raz w plecy w okolice nerek i dał spokój. Podszedł do mnie:

– Mieli chłopaki powód, żeby uciekać. Musieli w nocy zrobić włamanie do sklepu, bo domek pełny towaru. Cukierki, batony, czekolady, papierosy, co tylko chcesz, a chłopy oba poszukiwane listami gończymi za włamania. Teraz jak dojdzie im jeszcze przynajmniej jedno włamanie i czynna napaść na milicjanta, to wyroki dostaną niegłupie – dodał.

Baca zdjął mi z pasa rewolwer razem z kaburą. Oddałem mu też kajdanki. Bagnet sobie zostawiłem. Przyniósł z samochodu mój beret i wsadził w kieszeń dwie paczki papierosów. Te ostatnie pewnie zdążył gwizdnąć z łupów nagromadzonych w domku.

– Zajrzę jutro do ciebie – powiedział, gdy w oddali usłyszałem karetkę jadącą na sygnałach.

– Myślisz, że mnie zostawią? – spytałem.

– Na pewno. Parę dni na obserwacji – powiedział ściskając mnie za rękę.

Karetka podjechała prawie pod sam domek. Lekarz wyskoczył z niej jak z katapulty.

– Gdzie ranny? – krzyknął do chłopaków.

Odsłonili mnie, bo do tej pory prawie otoczyli kołem. Medyk zbadał mi puls, zajrzał w oczy, obmacał głowę aż syknąłem z bólu, gdy dotknął rosnącego guza.

– Nie wygląda na nic groźnego, ale może być pęknięcie. Zobaczymy w szpitalu – mówił szybko jakby sam do siebie, a potem krzyknął: – Nosze!

Sanitariusze właśnie wyciągali je z karetki. Chciałem wstać pokazując, że nosze są niepotrzebne, ale znowu mi nie dali. Położony na noszach i zaniesiony do karetki czułem się rzeczywiście jak ranny na polu bitwy. Lekarz chyba z nawyku tworzył taką atmosferę śpiesząc się, jakby każda sekunda była ważna i jakby chodziło o ratowanie życia, a nie o guza na głowie. Kierowca karetki chyba też był przyzwyczajony do takiego działania, bo pędził na sygnale jak szalony. W końcu zacząłem się zastanawiać, czy jednak nie jestem mocno poturbowany, bo w Poliklinice nasz przyjazd też wywołał gorączkową bieganinę. Błyskawicznie zmierzono mi tętno i dopiero wtedy pod opieką lekarza pomogli mi zdjąć moro. Oględziny głowy, karku i pleców wypadły chyba pomyślnie, bo starszy, brodaty lekarz pozwolił mi usiąść.

– Nie dzwoni ci w uszach? Słabo się nie robi? – wypytywał.

– Nie, tylko głowa, a raczej guz zaczyna boleć – odpowiedziałem.

– To dobrze, zdziwiłbym się, gdyby nie bolał – uśmiechnął się do mnie.

Potem było prześwietlenie głowy z kilku kierunków, trochę oczekiwania i ten sam brodacz poprosił mnie do pokoju i zakomunikował:

– Ma pan dużo szczęścia i mocną czaszkę. Nie ma żadnych pęknięć.

– Twardy zomowski łeb plus dobry kask – zażartowałem.

– Kask swoje zrobił, ale głowę ma pan rzeczywiście twardą, bo uderzenie musiało być potężne. Czym je zadano?

– Łomem – odpowiedziałem.

Lekarz chwilę zastanawiał się, a potem stwierdził:

– Zostanie pan u nas przez dwa tygodnie na obserwacji. Zaraz tu przyjdzie sanitariusz i zaprowadzi pana na oddział – mówiąc to podniósł słuchawkę telefonu i gdzieś dzwonił.

– Po co dwa tygodnie tu leżeć, jeśli nic mi nie jest? – zaprotestowałem.

Powiedział komuś przez telefon, że przysyła mnie na oddział na obserwację i że dokumenty „już się piszą". Odłożył słuchawkę i odwrócił się do mnie:

– To nie jest takie znowu nic. Miał pan wstrząs mózgu. Jak silny, nie wiemy. Poza tym za kilka godzin z tego krwiaka na głowie krew zacznie opadać w dół i będzie pewnie zasinienie pod oczami. Do służby i tak by się pan nie nadawał, a ja muszę mieć pewność, że nic panu nie jest. Dlatego nie wypuszczę stąd przed upływem dwóch tygodni.

– Cholera, wyjazd na święta przepadnie – pomyślałem głośno.

– Nic na to nie poradzę – rozłożył ręce. – Pan zaczeka na korytarzu, zaraz przyjdzie sanitariusz z oddziału i zaprowadzi pana.

Usiadłem na ławce pod drzwiami i czekałem, klnąc na czym świat stoi. Lepiej być nie mogło. Święta tuż tuż, a ja będę leżał jak idiota w szpitalu zamiast jechać na przepustkę. Żebym jeszcze był chory, to rozumiem, ale przecież takie guzy nie raz miałem i nic mi nie było. Przyszedł po mnie chudy chłopaczyna w zapiętym na ostatni guzik fartuchu. Przyglądając mu się, gdy szedł korytarzem, doszedłem do wniosku, że albo jest obrażony na cały świat, albo strasznie dumny ze swojej funkcji. Nie pomyliłem się. To było to drugie. Ledwo bąknął, że mam iść za nim, a już dało się odczuć, że należy do tych sanitariuszy, którzy po powrocie z pracy mówią w domu: „Operowaliśmy dzisiaj taki a taki przypadek". Długo prowadził mnie korytarzami nie odzywając się ani słowem. Poliklinika była zbudowana dość dziwnie. Chyba z braku miejsca dobudowywano coraz to nowe budynki albo dołączano już istniejące. Wyszedł z tego sześciokątny twór otaczający zamknięty w środku skwerek z kilkoma drzewami i podjazdem dla karetek. Jak się później zorientowałem, korytarzami Polikliniki można było chodzić naokoło tego skwerku. Ponieważ jedne budynki były starsze, a drugie nowsze, idąc za sanitariuszem co chwila przechodziliśmy przez korytarze innej szerokości i wysokości, o innym wyglądzie drzwi i okien. Już zacząłem myśleć, że oblecimy cały budynek naokoło, gdy mój przewodnik zaczął iść schodami w górę. Weszliśmy na oddział. Oczywiście sanitariusz mi nie powiedział czy to już tutaj, czy nie.

– Zaczekać tutaj – burknął do mnie i wszedł do jakiegoś pokoju.

Wyszedł po chwili trzymając pościel w ręku i poprowadził dalej. Weszliśmy do jednej z sal. Były w niej trzy łóżka, z których zajęte i pościelone było tylko jedno. Leżał na nim jakiś młody chłopak. Usiadł na nasz widok i przyglądał się z zaciekawieniem. Sanitariusz rzucił pościel i piżamę na jedno z łóżek.

– Jak sobie pościelisz, to pójdziesz do siostry oddziałowej, żeby wpisała twoje dane w kartę – burknął i zbierał się do wyjścia.

Zagotowało się wszystko we mnie. To, kurwa, jestem chory czy przyszedłem za karę. Nie dość, że mam tu siedzieć przez całe święta, to jeszcze jakiś pielęgniarzyna będzie mnie traktował jak śmiecia. O nie!

Był już prawie w drzwiach, gdy chwyciłem go za kołnierz i cofnąłem z powrotem. Oczy wyszły mu na wierzch ze zdumienia i trochę chyba dlatego, że ciągnąc go do tyłu poddusiłem go zapiętym na ostatni guzik kołnierzykiem. Przytrzymałem chwilę dla lepszego efektu i puszczając pchnąłem na ścianę:

– Słuchaj, sprzątaczu! Ścielenie łóżka to twoja rola. A siostra oddziałowa jak chce coś pisać, to tutaj przyjdzie. Ty bierz się za robotę – wysyczałem do niego.

Myślałem, że się odezwie, ale okazało się, że za wysoko go oceniłem. Drżącymi rę-

korna zaczął bez słowa ścielić moje łóżko. Stałem czekając aż skończy. Wychodząc pielęgniarz już całkiem innym tonem powiedział:

– Powiem siostrze oddziałowej, że pan jest na tej sali, albo przyjdę z kartą, to wpiszemy pana dane.

Wychodził z tej sali całkiem inny człowiek niż wszedł. Nie było w nim nic z dumy i ważności. Wychodził normalny sanitariusz ustawiony na należnym mu miejscu.

– Ale pan go potraktował! – powiedział z podziwem chłopak siedzący na łóżku.

– Z sanitariuszami i sprzątaczkami już tak jest. Trzeba im przypominać kim są, bo łatwo zapominają. Tak jak z psem. Pokażesz, że się boisz, to ugryzie, a przynajmniej naszczeka na ciebie. Jak weźmiesz kija i przyłejesz, to ogon pod siebie i ucieka, a na drugi raz omija – odpowiedziałem i wyciągnąłem rękę na przywitanie.

Nim przebrałem się w piżamę i powiesiłem moro w szafce, już wiedziałem na temat chłopaka prawie wszystko. Był żołnierzem z poboru. Od września służył w Gliwicach w WOP-ie. Dwa tygodnie temu zaczął mdleć co jakiś czas. Najpierw myśleli, że to serce, potem że osłabienie, a teraz trzymają go w szpitalu podejrzewając o symulanctwo. Na wszelki wypadek robią mu jednak różne badania, żeby znaleźć przyczynę omdleń. Jedno było pewne. Chłopak był strasznym gadułą.

Sanitariusz dotrzymał słowa i przyszedł z kartą do pokoju. Wpisywania danych trwało chwilę. Raptem kilka słów: imię, nazwisko, jednostka, w której pacjent służy i okres służby.

– Nic panu nie potrzeba? – zaskoczył mnie życzliwym pytaniem.

– Jakby się dało jakieś śniadanie załatwić, to byłbym wdzięczny – wykorzystałem okazję, bo byłem bez śniadania.

Zdziwił mnie tą troską. Przestrach przestrachem, ale coś on za bardzo uczynny. Załatwienie śniadania zajęło mu dziesięć minut. Dostałem trochę konserwy rybnej, serek topiony, masło, bułki i kawę z mlekiem. Całkiem przyzwoicie jak na szpital. Sanitariusz usiadł na pustym łóżku, czekając aż zjem, żeby zabrać tacę. Gdy skończyłem, zniknął bez słowa. Natomiast do sali przymaszerowała siostra oddziałowa.

Wyobrażałem sobie, że będzie to jakaś stara i gruba baba, a przyszła do nas niebrzydka ruda jak ogień około trzydziestoletnia kobieta. Zgrabna, o dziewczęcej sylwetce. Sądząc po twarzy – sympatyczna.

– No, nareszcie pan Marek nie będzie się nudził nam na sali – zawołała zaraz po wejściu biorąc moją kartę. – Ma pan kolegę prawie w tym samym wieku. Tylko jednostka całkiem inna – obrzuciła mnie zaciekawionym spojrzeniem.

– Chyba co jakiś czas któryś z naszych tu leży – odezwałem się.

– Najczęściej na chirurgii – uśmiechnęła się i zaraz dodała żartobliwie. – Przez pana to tylko telefony muszę w kółko odbierać.

– Tak? A kto tak wydzwania? – zdziwiłem się.

– Niech pan lepiej spyta, kto nie wydzwania? Był telefon od szefa rejonowego, dowódcy pana jednostki, dowódcy plutonu, dowódcy jakiejś kompanii, nie pamiętam której, no i w kółko wydzwaniają koledzy i pytają kiedy mogą odwiedzić – wyliczyła mi osoby, które interesowały się stanem mojego zdrowia.

Od razu stało się dla mnie jasne dlaczego sanitariusz był taki grzeczny. Jeśli do kogoś wydzwania tyle osób, z których część zajmuje poważne stanowiska, to lepiej z nim nie zaczynać, bo może się poskarżyć i narobić kłopotów.

– I kiedy będą mogli? – zapytałem.

Nie zrozumiała o co chodzi, bo zamrugała ładnie oczami i spytała:

– Proszę? O co pan pytał?

– Kiedy będą mnie mogli odwiedzić koledzy?

– Odwiedziny są w niedzielę, ale myślę, że wcześniej. Powiedziałam im, że jutro po południu mogę dwóch wpuścić.

Byłem pewny, że któryś przyjdzie jeszcze dziś wieczorem. Najbardziej liczyłem na Bacę albo Zgagę i nie pomyliłem się. Nie minęła dziewiętnasta, gdy wmaszerowali obaj do sali. Razem z nimi był Śluza. Wszyscy trzej w moro i chyba na lekkim rauszu, bo w świetnych humorach. Aż łzy mi się w oczach zakręciły, gdy ich zobaczyłem. To są prawdziwi kumple. Nie zostawią w biedzie. Nim zdążyłem zaprotestować, na mojej szafce wylądowała fura owoców i słodyczy.

– Jedna bombonierka od chłopaków z trzeciej drużyny przepadła, bo musieliśmy przekupić tę wiewiórkę, co siedzi przy wejściu – zakomunikował mi Zgaga.

– Całkiem niezła ta wiewiórka. Niczego sobie. No, no – cmokał Śluza.

Rozejrzał się po sali i zauważył stojącego przy łóżku Marka.

– A ty czego stoisz? – zapytał. – Kładź się, to szpital, a nie wojsko.

Biedny Marek jak zobaczył sierżanta Bacę, to jeszcze leżał w łóżku, ale gdy wszedł Śluza z dystynkcjami porucznika, chłopaczyna nie wytrzymał, wyskoczył i stanął na baczność. Teraz usiadł i bez słowa przysłuchiwał się naszej rozmowie. Baca z torby wyciągnął radio turystyczne.

– Masz. Przynajmniej muzyki sobie posłuchacie. Chyba wam ta ruda nie zabierze?

– Nie. Ona nie jest taka zła. Tylko tyle, że ruda – powiedziałem. – Ale słodyczy i owoców mogliście przynieść przynajmniej o połowę mniej. Kto to zje?

– Zjecie, zjecie… – powiedział Śluza.

– Jutro chłopaki jeszcze ci dowiozą, więc się uwijaj – dodał Baca.

Jego słowa się sprawdziły. Co dzień ktoś do mnie zaglądał i zawsze coś przyniósł. Owoców i słodyczy najedliśmy się z Markiem za wszystkie czasy. Podczas tych pierwszych odwiedzin Śluza poinformował mnie, że jak tylko wyjdę ze szpitala mogę jechać do domu na tydzień. Uzgodnił to z dowódcą jednostki. Postawił jeden warunek. W szpitalu mam być dotąd, dopóki ordynator mnie oficjalnie nie wypisze. Posmutniałem. My-

ślałem, że jakoś wyrwę się stąd na lewo i Śluza przymknie oko na taki wybryk, ale okazało się, że sprawy szpitala traktuje poważnie i nie mam na co liczyć. Cholera, przyjdzie mi święta spędzić tutaj jak nic. I, niestety, tak było. Najgorsza była Wigilia. Co prawda po południu przyszło trochę odwiedzających, a wśród nich pojawił się nawet Nowakiewicz i Strzyż. Jednak po godz. 17.00 napływ gości ustał i zostaliśmy z Markiem sami.

Siedziałem przy oknie i patrzyłem na pustoszejącą ulicę. Jeszcze miałem nadzieję, że może dziewczyna albo matka przyjadą odwiedzić mnie w szpitalu. Liczyłem bardziej na pierwszy albo drugi dzień Świąt, ale jakby przyjechały w Wigilię, byłoby jeszcze lepiej. Przedtem cieszyłem się, że okno naszego pokoju wychodzi na ulicę, a nie na skwerek wewnątrzszpitalny. Zawsze weselej było popatrzeć na normalny ruch uliczny niż na karetki i chorych. Jednak w Wigilię żałowałem, że tak jest. Po drugiej stronie ulicy stała kamienica i z naszego okna doskonale było widać, co się dzieje w mieszkaniach. A siadano tam akurat do Wigilii. Widok choinek i stołów przykrytych białymi obrusami i ludzi siedzących przy nich wprawił mnie w taki smutek, że niewiele brakowało, a rozpłakałbym się. Wlazłem do łóżka i przykryłem głowę. Miałem nadzieję, że usnę, ale gdzie tam. Przyszedł Marek, zaczął paplać jaki to wspaniały program przygotowała telewizja na święta, aż wyciągnął mnie do świetlicy, gdzie stał telewizor. Do kolacji przesiedziałem, ale myślami byłem cały czas w domu lub z Izą. Odświętna kolacja kucharkom nie wyszła – źle przyrządziły rybę. Była bez smaku i zalatywała mułem. Zły jak osa poszedłem do sali, a Marek znowu do świetlicy. Od okna trzymałem się już z daleka, mimo że ciągnęło jak magnes. Próbowałem czytać książkę, ale też nie bardzo mi to szło. W pewnej chwili drzwi się otworzyły i przed salą trzy głosy huknęły kolędę: – „Przybieżeli do Betlejem pasterze…". Serce podskoczyło mi do góry z radości i wzruszenia. Baca, Zgaga i Misiek! Długo nie śpiewali, bo wciągnąłem ich do sali. Był już najwyższy czas, bo z sąsiednich sal zaczęli wyglądać inni chorzy zaciekawieni, kto kolenduje w szpitalu.

Złożyliśmy sobie życzenia łamiąc się przyniesionym przez nich opłatkiem. Tak się wzruszyłem, że tym razem nie udało mi się powstrzymać łez i pociekły mi po policzkach nim zdołałem się opanować i dyskretnie wytrzeć oczy.

Byli trochę podpici i przynieśli ze sobą wódkę, więc zaczęła się i dla mnie Wigilia bo było czym zalać chandrę. Akurat skończyliśmy pierwszą butelkę, gdy do sali wszedł Marek. Zobaczył zastawiony szklankami i zagrychą stół i chciał się cofnąć. Baca go zauważył i kazał siadać razem z nami. Zastanawiałem się właśnie skąd wziąć wódkę. Ostatecznie to oni byli moimi gośćmi. Przyszedł mi do głowy pielęgniarz. Gdyby go dobrze przycisnąć, to może poleciałby gdzieś na „metę". O tej porze nigdzie legalnie wódki nie dostanie. Wstałem od stołu. Misiek zdziwiony popatrzył na mnie:

– Dokąd idziesz? – zapytał.

– Poszukam pielęgniarza. Może uda się go wysłać po wódkę – odpowiedziałem.

– To palacz już nie sprzedaje? – odezwał się Zgaga.

– A sprzedawał kiedyś? Ja nic nie wiem – powiedziałem zdziwiony.

– Jak ja tu leżałem, to sprzedawał. Chodź, zobaczymy. Tylko jakiś sznurek będzie nam potrzebny.

– Te dziadki z sali po sąsiedzku mają. Widziałem niedawno u nich cały kłębek – odezwał się Marek i aż się zaczerwienił zdziwiony swoją śmiałością.

Poszliśmy ze Zgagą do sali obok. Chyba też niedawno pili, bo obaj starsi panowie, którzy w niej leżeli, mieli dobre humory i rumieńce na twarzach. Sznurek nam pożyczyli mrugając do mnie domyślnie, a ja dalej nie wiedziałem, o co chodzi i po co ten sznurek. Zgaga poprowadził mnie kawałek dalej. Weszliśmy na korytarz, nazywany przez nas łącznikiem, bo nie prowadził do sal, ale łączył dwa budynki. Byliśmy na pierwszym piętrze. Zgaga otworzył okno i spojrzał w dół. Niżej był blaszany daszek nad wejściem do kotłowni.

– Poszukaj czegoś, żeby rzucić w ten daszek – powiedział mi tajemniczo.

W końcu korytarza znalazłem dwa kapsle od butelek. Patrzyłem na jego przygotowania. Wyjął pieniądze i przywiązał je na końcu sznurka. Na mój protest, że lepiej przywiązać moje, tylko się roześmiał. Potem rzucił kapsel na daszek pod oknem.

Stuknęło, ale słabo. Rzucił drugi. Tym razem stuknęło głośniej, zahrobotał przekręcany w zamku klucz i z kotłowni wyszedł starszy mężczyzna. Zgaga szybko opuścił sznurek z pieniędzmi na dół i krzyknął:

– Dwie.

Palacz odwiązał pieniądze, przeliczył i zniknął w kotłowni. Po chwili wyszedł, przywiązał dwie butelki wódki do końca sznurka i poszedł z powrotem. Zgaga szybko wciągnął „ładunek" na górę.

– Nie wiedziałeś o tym sklepie? – zapytał śmiejąc się.

– Nie. Jakoś wcześniej nie szukałem wódki i nie pytałem nikogo, ale nigdy bym nie przypuszczał, że w Poliklinice Ministerstwa Spraw Wewnętrznych działa melina – śmiałem się, kręcąc głową.

– I to taka, której nie wolno ruszać. Żaden gliniarz nie odważy się zrobić sprawy temu palaczowi. Przecież sam też może niedługo tu leżeć i potrzebować – tłumaczył mi. – Do tego okna przychodzą pacjenci z całego szpitala. To bardzo wygodne. Nie trzeba wychodzić do miasta, żeby wódkę kupić.

Wróciliśmy na salę i biesiada trwała nadal. Marek rozochocony wódką i towarzystwem zaczął opowiadać kawały i śmieszne zdarzenia z jego jednostki. Uśmialiśmy się tak, że aż boki mnie bolały i miałem dosyć tego rechotu.

Tak smutno zapowiadała się ta Wigilia, a było wesoło aż do przesady. Chłopcy zaczęli się w końcu zbierać, bo zbliżała się dziesiąta i mogli zamknąć im bramę, przez którą weszli na teren szpitala. Poza tym jutro, tzn. od północy, moja drużyna miała dyżur, więc musieli być w domu cały czas i to w miarę trzeźwi.

Z Markiem dokupiliśmy w sklepie „u palacza" jeszcze jedną butelkę. Po wypiciu jej kompletnie pijani poszliśmy w końcu spać. Byłem jeszcze na tyle przytomny, że pochowałem do szafy puste butelki, żeby rano nikt ich nie zobaczył.

Pozostałe dni świąteczne upłynęły podobnie. Zaglądali do mnie chłopcy z plutonu, ale nie tylko. Wielką frajdę zrobił mi Zbyszek Pacześ, wpadając na dwie godziny. Mieli służbę w Katowicach i Strzyż podrzucił go bliżej szpitala, żeby mógł do mnie zajrzeć. Zbyszka lekko zamurowało, gdy wszedł i zobaczył co się dzieje w mojej sali. A działo się tyle, że mógł się zdziwić. Na wolnym do tej pory łóżku siedziały dwie dziewczyny. Ładne, osiemnastoletnie, ale głupie jak gąski. Radio grało dość głośno, a Marek dość pośpiesznie chował w szafce szklanki i wino.

– No to ładnie! My się martwimy, że leżysz kontuzjowany i cierpisz boleści w szpitalu, a tu proszę, proszę. Dziewczyny, wino i śpiew – dogadywał witając się z dziewczętami i Markiem.

Oczywiście Zbyszek nie byłby sobą, gdyby każdej z dziewczyn szarmancko nie pocałował w rękę i nie zajrzał w oczy.

– Ale jeśli już taki zwyczaj, to nie będę gorszy.

Rozpiął raportówkę i wyjął piersiówkę wiśniówki. Widząc moją zaskoczoną minę (znałem jego awersję do kolorowych wódek) wytłumaczył się:

– Nie. Nie kupiłem. To dowód wdzięczności, czyli łapówka.

Przez dwie godziny, jakie Zbyszek był u mnie, w ogóle nie dało się z nim pogadać. Cały czas tokował przed dziewczętami jak kogut. Opowiadał najróżniejsze dyrdymały, wróżył z ręki – oczywiście rękę dziewczyny przytrzymywał o wiele dłużej niż wróżba wymagała. Wszystko to przy akompaniamencie uśmiechów i powłóczystych spojrzeń. Takiego Zbyszka jeszcze nie widziałem. Owszem, lubił poflirtować, ale nie zdarzyło się, żeby tak szalał. Odprowadzając go do wyjścia zapytałem:

– Coś ty się taki amant zrobił? Na przepustce długo nie byłeś czy co?

– Żaden amant. Ja po prostu bardzo lubię takie młode strzykaweczki. Wszystkie moje dziewczyny to pielęgniarki. Jak zobaczę takie młode ciało w białym fartuszku, to nie mogę się powstrzymać. Zjadłbym na surowo i już – wyjaśnił swoje dziwne porywy.

Te, jak to się Zbyszek wyraził „strzykaweczki" zaprosił Marek. Początkowo zaglądały na pięć minut i uciekały. Potem zaczęły zaglądać na dłużej. Uczyły się w Liceum Medycznym i w Poliklinice miały praktykę. Zaczęło się niewinnie. Jeśli dziewczęta nie miały nic do roboty, to zaglądały do nas. Ot tak, pogadać. Niestety, nim zdążyliśmy zawrzeć bliższą znajomość, ktoś doniósł oddziałowej, że dziewczyny u nas piły wódkę i przeniesiono je na inny oddział. Nie bardzo żałowałem tego rozstania. Żadna z nich nie była w moim typie, a ponadto moja Iza pisała teraz do mnie znowu regularnie, więc nie bardzo w głowie mi były inne. Marek natomiast był niepocieszony i oficjalnie obraził się na

„wiewiórkę". Okazywał to w najprostszy sposób. Gdy wchodziła do sali, nie odzywał się do niej i udawał, że jej nie widzi.

W dwa dni po tym, jak zostały przeniesione na inny oddział, dziewczyny przekradły się do nas. Marek w skowronkowym nastroju przyniósł od palacza wódkę i wieczór zapowiadał się całkiem przyjemnie. Niestety. Zdążyliśmy wypić zaledwie niecałe pół butelki, gdy na salę wpadła „wiewiórka" z lekarzem dyżurnym. Dziewczyny wygonili, a nam obiecali rozmowę z ordynatorem.

Następnego dnia ordynator ze śmiechem poinformował nas, że po głębszym zastanowieniu się ocenił, że dalszy nasz pobyt na jego oddziale nie ma sensu. Jeśli ktoś zabiera się za dziewczyny i picie wódki, to znaczy, że jest zdrowy jak koń i nie ma potrzeby go dłużej obserwować. O mało nie uściskałem go z radości. Natomiast Marek posmutniał. Współczułem mu. Wracał do jednostki, a jako młody stażem żołnierz nie mógł liczyć na relaks. No, ale sam sobie winien. Ostatecznie to nie ja latałem za tymi „strzykawkami".

* * *

Śluza ucieszył się, że już jestem. Zapytał tylko podejrzliwie:

– Co tak krótko?

– Uprosiłem ordynatora, bo już nie mogłem wytrzymać tego leżenia. Jeszcze trochę i mięśnie by mi całkiem zwiotczały – skłamałem na poczekaniu.

– No to jedź do domu. Odpoczywaj i choć trochę ćwicz, bo wrócisz całkiem bez kondycji. Ten tydzień wolnego, który miałeś obiecany, połącz sobie z urlopem – zajrzał w kalendarz i przez chwilę liczył. – Stawić masz się na 1 lutego. Zakonserwuj broń i zaplombuj pokój.

Więcej nie miał czasu pogadać, bo jechali na akcję. Poczekałem na ich powrót, pozałatwiałem wszystko co trzeba i dopiero na drugi dzień rano pojechałem.

Złapałem się na dziwnym myśleniu. Szkoda mi było na tyle czasu jechać do domu. Na dwa tygodnie to jeszcze bym się wybrał, ale na pięć to już było za długo. Jednak nie ja tu rządziłem, tylko Śluza. Już wcześniej mówił mi, że w styczniu mam wykorzystać urlop. Jako coś nowego odebrałem mój brak zadowolenia z tego, że tak długo będę poza jednostką. Przecież parę miesięcy wstecz oddałbym wszystko za taki urlop. Widocznie przeniesienie do plutonu specjalnego sprawiło, że poczułem się dobrze w ZOMO. Takie myśli miałem jadąc na dworzec. Oczywiście w pociągu dogadałem się z konduktorem i przespałem całą drogę zamknięty w osobnym przedziale.

Dziwny był ten urlop. Poza pierwszymi dniami matka prawie mnie nie widywała. Rano była w pracy, a gdy wracała leciałem do Izy. Do domu wracałem o północy, albo jeszcze później i szedłem spać. Z matką mijaliśmy się tylko i chyba lepiej, że tak było. Jakoś nie mogłem z nią znaleźć wspólnego języka. Nie mogliśmy pogadać w kuchni wieczo-

rem jak kiedyś. Często miałem inne zdanie niż ona i czułem, że coraz mniej ją obchodzą moje losy. Miała swoje życie z ojczymem. Przyzwyczaiła się już przez ten rok, że dziecko wyfrunęło w świat i dobrze jej z tym było. Właściwie też byłem zadowolony, że nie próbuje mnie umoralniać i kontrolować jak dawniej. Trochę jednak żal mi było tych naszych domowych rozmów i bliższego kontaktu.

Moje częste pobyty u Izy, a zwłaszcza opóźniająca się godzina wyjścia, wprawiały jej rodziców w coraz większy niepokój. Nam natomiast było razem coraz lepiej i zaczęliśmy snuć poważniejsze plany na przyszłość. Przy okazji pierwszy raz padła propozycja, żebym został w milicji na stałe. O zgrozo! Na ten pomysł wpadłem sam! Z początku się przeraziłem, ale później doszedłem do wniosku, że… czemu nie. Zaczynałem już wtedy trochę myśleć o rodzinie, którą założę i o mojej przyszłości. Przecież nie miałem ukończonej żadnej szkoły i żadnego zawodu. Z czego więc miałem utrzymać tę rodzinę i gdzie pracować? Milicja w ówczesnej komunistycznej rzeczywistości rozwiązywała wiele problemów. Praca, niezłe zarobki, perspektywy na mieszkanie. Przecież gdzieś po ślubie z Izą musimy zamieszkać. Nawet nie próbowałem sobie wyobrazić wspólnego mieszkania z jej rodzicami, a u mojej matki po prostu nie było miejsca. Zastanawiałem się nad tym wszystkim i próbowałem patrzeć z różnych stron. Jedyne rozsądne rozwiązanie to zostać na stałe w milicji. Izie było obojętne, co będę robił, chciała tylko żebym był z nią i nigdzie już nie wyjeżdżał. Wzruszająco prosta filozofia.

Z tymi problemami i wahaniami wybrałem się do mistrza. Bałem się tej wizyty, bo zdawałem sobie sprawę, że bardzo się zmieniłem i dostrzegałem, że jego rady na nic się zdały. Musiałem sobie powiedzieć wprost: Wsiąkłem w milicję i… dobrze mi z tym było. Postanowiłem to powiedzieć wprost także jemu. Przygotowałem się do obrony swoich obecnych zapatrywań na życie, ale okazało się to niepotrzebne. Mistrz wyjechał niedawno do Chin i wróci za około dwa miesiące. Tym sposobem rozmowę z nim miałem chwilowo z głowy. Matce na razie wolałem nie mówić. Po co ją przedwcześnie denerwować? Jeszcze nie wiadomo jak to wszystko się ułoży.

Chłopaków z mojej dawnej paczki widywałem tylko przypadkowo. Nie szukałem kontaktu z nimi i oni też zbytnio do mnie się nie garnęli. Nawet jeśli któregoś spotkałem, to rozmawiałem tak, że po minucie nie było już o czym. Robiłem to celowo i cieszyłem się z tego, że już nie zależy mi na ich przyjaźni. Zresztą nawet w myślach nie nazywałem przyjaźnią tego, co nas kiedyś łączyło. Ludzi, na których zawsze mogłem liczyć, więc chyba przyjaciół, miałem w Katowicach. Tam pierwszy raz w życiu przekonałem się, jak można bezinteresownie troszczyć się o kogoś.

Na wspomnienie Katowic i chłopaków, aż westchnąłem sobie. Brakowało mi ich i chciałbym już być między nimi. Powrotu po urlopie nie bałem się. Przez cały czas ćwiczyłem intensywnie i byłem w świetnej formie. Chyba dużo lepszej niż wtedy, gdy wyszedłem ze szpitala. W końcówce urlopu prawie nie rozstawałem się z Izą. Jedynie wtedy, kiedy była w pracy. Było mi z nią dobrze i wiedziałem już, że trzeba się szykować do małżeństwa, bo inaczej to się nie może skończyć.

* * *

Do jednostki wracałem całkiem inny. Jakiś dojrzalszy i – wydawało mi się – poważniejszy. Przede wszystkim wracałem do czegoś, co miało stać się moim zawodem, drugim życiem. Chciałem się nauczyć jak najwięcej i awansować w przyszłości jak najwyżej.

Trafiłem w sam środek bałaganu. Pluton szykował się do skoków spadochronowych. Mieliśmy mieć takie zajęcia raz w miesiącu, ale poprzednio były jakieś kłopoty z ich zorganizowaniem. Śluza oczywiście był uparty i dotąd chodził i marudził u wszystkich szefów, aż dopiął wszystko na ostatni guzik. Trochę pora roku była niesprzyjająca, ale co tam. Spadochron można składać także w hangarze.

Pierwszy skok poszedł mi gładko, zgodnie z teorią, którą nam wykładał Śluza przez dwa dni. Oprócz mnie tylko Foks skakał po raz pierwszy. Reszta miała zaliczonych po kilkanaście, a niektórzy nawet po kilkadziesiąt skoków. Przy drugim skoku już wiedziałem, co mnie czeka i więcej bałem się. Obawy pogłębiał jeszcze stan techniczny samolotu An-2, z którego skakaliśmy. Cały czas w powłokach samolotu coś strzelało, stękało i rozlegały się zgrzyty, zupełnie jakby miał się rozlecieć na kawałki. Po skoku lądowanie na prawie nieczynnym lotnisku w Muchowcu można by było nazwać udanym, gdybym z wrażenia nie zapomniał przydusić do ziemi kładącej się czaszy. Przegapiłem to, czaszę poderwał wiatr i przejechałem na tyłku dobrych kilkadziesiąt metrów, próbując opanować jakoś ciągnący mnie spadochron. Zły byłem jak osa, bo nie dość, że dałem chłopakom powód do śmiechu, to na dokładkę Śluza wychwalał cały czas Foksa, któremu skoki wychodziły naprawdę dobrze. Nie mogłem się pogodzić z tym, że ktoś jest lepszy ode mnie, ale byłem niemal pewny, że skoków już nigdy nie polubię. Na szczęście, chwilowo nie musiałem, bo po wykonaniu trzech zakończyliśmy zajęcia z desantu.

Powrót do normalnych ćwiczeń i roboty przyjąłem z ulgą i niemal z radością. Chciałem spokoju i stabilizacji. Za dużo wrażeń się nałożyło i byłem tym zmęczony. Najpierw szpital potem urlop, teraz skoki. Miałem po prostu dość przygód. Mieliśmy kilka wolniejszych dni i czas na ćwiczenie. Potem znowu jednak wyskoczyło coś nowego.

W jednej z nielicznych w okolicach Katowic wiosek ktoś podkładał ogień pod różne szopki i komórki. Po prostu to, co było drewniane, było narażone na spalenie. Na dokładkę w pobliżu miejsca ostatniego pożaru podpalacz zostawił list z żądaniem okupu. Treść krótka: jeśli zapłacą, to ustaną pożary. Oczywiście było też w liście ostrzeżenie, że jeśli zostanie powiadomiona milicja, wówczas wioska będzie musiała przejść od razu na murowane budynki, bo żaden drewniany się nie zachowa. Suma okupu nie była wygórowana, więc ludzie postanowili złożyć się i zapłacić dla świętego spokoju. Z ostatnich doświadczeń wiedzieli, jak trudno upilnować podpalacza. Przez kilka wcześniejszych nocy

wystawiali warty i nie udało im się. Ktoś wzniecił jednej nocy dwa pożary w różnych oddalonych od siebie miejscach. Zrobił to w prosty sposób. Najpierw podpalił stóg siana stojący poza granicami wsi. Gdy wszyscy się tam zbiegli, wówczas w drugim końcu zapłonęła stodoła pełna zboża. Po znalezieniu listu przerażeni ludzie postanowili zapłacić i bali się powiadomić milicję. Na szczęście sołtysa zdenerwowała ta sytuacja i w tajemnicy przed innymi przyjechał do rejonówki i powiedział o wszystkim. Wiedziano oczywiście już wcześniej o pożarach i o tym, że są to podpalenia. Szef rejonówki co noc wysyłał do wsi radiowóz, ale nic nie było wiadomo o liście z żądaniem okupu. Przez cały dzień trwała narada, jak złapać łobuza. Trzeba było trzymać to w tajemnicy przed podpalaczem, a także przed mieszkańcami wioski. Zresztą, podpalacz najprawdopodobniej był jednym z nich. Jako miejsce złożenia pieniędzy wskazał kapliczkę w pniu starej i wypróchniałej sosny, stojącej samotnie wśród pól. Miejsce idealne dla szantażysty, ale nie dla nas. Sosna rosła przy skrzyżowaniu dwóch polnych dróg. Każdy mógł sobie jechać i niby przypadkowo przejeżdżając zatrzymać się. Od czasu, kiedy w rejonówce podjęli decyzję, że sami nie dadzą rady, wszyscy „umyli ręce" i zostawili z tym problemem pluton. Śluza i dowódcy drużyn kilka godzin łazili po cywilnemu w okolicach wioski. W końcu powstał plan. Od momentu złożenia okupu sosna będzie w ciągu dnia obserwowana przez lornetki z dwóch niezależnych punktów. Natomiast od zmierzchu do świtu nie było innego wyjścia, tylko ktoś musiał doczołgać się do sosny, wleźć na nią i przesiedzieć nad kapliczką całą noc. Na szczęście, sosna była mocno rozgałęziona i miała dogodne konary do siedzenia, dając ukrycie nawet w księżycową noc. To wszystko referował nam Śluza w świetlicy rejonówki, pokazując na mapie poszczególne punkty.

– Na sygnał obserwatorów w dzień lub tego, który będzie siedział w nocy, rusza grupa do zatrzymania oczekująca tu – wskazał pobocze szosy prowadzącej do Katowic. Było to dość daleko, ale bliżej stanąć nie dało się nie wzbudzając podejrzeń. Zresztą półtora kilometra do skoku UAZ-em to nie tragedia. – Jakieś pytania? – Śluza rozejrzał się po sali.

– Kto będzie siedział na drzewie? – krzyknął Baca, a sala odpowiedziała mu śmiechem.

Podejrzewałem, że mnie przypadnie w udziale ten „zaszczyt", bo na mnie właśnie patrzył Śluza mówiąc o siedzeniu na sośnie.

– Młody i Lala – na zmianę.

Nie zaskoczył mnie. Byłem najmłodszy stażem i jak nieraz mówił Śluza – muszę dużo pracować, żeby jak najszybciej nabrać doświadczenia. Okup miał być złożony następnego dnia wieczorem, toteż tej nocy przekradliśmy się ze Śrubą i Lalą w pobliże drzewa. Noc była ciemna i bezgwiezdna, ale na wszelki wypadek ostatnie sto metrów przez odkryty teren musieliśmy się czołgać. Na szczęście, zima tego roku była lekka i prawie bezśnieżna, więc nie było widać naszych ciemnych sylwetek na ciemnym tle.

Obaj na próbę weszliśmy na drzewo i wybraliśmy miejsce do siedzenia. Była to gruba gałąź odchodząca prawie poziomo od pnia. Gdy się na niej siadło, można było nogi oprzeć na drugiej znajdującej się niżej. Pozostawało tylko przypiąć się pasem do pnia i jakoś noc przetrzymać.

W drodze powrotnej, gdy już przeczołgaliśmy się przez odkryty kawałek i krzakami doszliśmy do lasu zaproponowałem:

– Gdyby było niedaleko jakieś zagłębienie w ziemi mógłbym się w nim zaszyć. Muszę siedzieć jak wrona na gałęzi?

– Takiego zagłębienia nie ma. Jeśli nie będzie wiatru i nie będzie padało to na drzewie będzie ci lepiej niż na ziemi – odpowiedział wychodząc z lasu na drogę.

– Dlaczego? – zapytałem.

– A dlatego, że mróz tuż przy ziemi jest zawsze większy niż parę metrów wyżej – odpart.

– Racja – skwitowałem.

Śruba mignął parę razy latarką i za minutę podjechał po nas Baca UAZ-em.

Następnego dnia próbowałem wyspać się na zapas, ale tylko po obiedzie udało mi się zdrzemnąć dwie godziny.

Oprócz kalesonów i ciepłej podkoszulki założyłem oczywiście dres i dopiero na to moro i panterkę. Trochę ciężko było się w tym ruszać, ale wolałem to niż zmarznąć. O czwartej przyszedł po mnie Śluza.

– Sołtys dał znać do rejonówki, że o osiemnastej położą pieniądze w kapliczce. Czyli musisz leżeć na polu w pobliżu drzewa od wpół do szóstej. Jak tylko odejdą, zaraz włazisz i siedzisz aż zacznie się rozwidniać. Wtedy schodzisz, masz cały dzień, noc i dzień wolne – tłumaczył mi.

– Ciężko będzie wysiedzieć bez ruchu. Nogi będą drętwiały – powiedziałem.

– Korona drzewa jest gęsta, więc jak się trochę okręcisz, to się nic nie stanie. Oczywiście najpierw trzeba się rozejrzeć, czy nikt nie podchodzi. No i o paleniu papierosów mowy nie ma. Ognik byłoby widać na kilometr – dawał mi jeszcze ostatnie rady, gdy wsiedliśmy do samochodu.

Na miejscu byliśmy przed piątą. Poprzednie podejście bez pośpiechu zajęło nam pół godziny, teraz też powinno wystarczyć tyle samo czasu.

– Radiostację trzymaj wyłączoną, włącz dopiero jak będziesz chciał nas zawołać. Jeśli przyjdzie sam, możesz go zatrzymać. Jeśli będzie ich dwóch, zawiadom nas i dopiero próbuj – udzielał mi Śluza ostatnich wskazówek.

Na pożegnanie Baca dodał mi otuchy:

– Nic się nie martw. Posiedzisz se pół godziny. Facet przylezie. Zatrzymasz go i po kłopocie. Nawet zmarznąć ni kapkę nie zdążysz.

Uśmiechnąłem się do niego w podzięce za ten optymizm i zanurzyłem w lesie. Noc

była tak samo ciemna jak poprzednia. Było jednak cieplej, chyba koło zera. Las wyglądał tajemniczo i groźnie. Gdybym pozwolił popracować wyobraźni, w każdym krzaku jałowca mógłbym doszukać się ludzkich kształtów. Nie było zbyt przyjemnie tak iść, wiedząc, że tę samą drogę mógł wybrać podpalacz. Z lasu przeszedłem krzakami tak jak poprzednio na odkryte pole i trzeba było się położyć na zmarzniętej na grudę ziemi. Zacząłem się czołgać w kierunku drzewa. Już po kilkunastu metrach zrobiło mi się gorąco. Nic dziwnego, ubrany byłem jak na wielkie mrozy, a tu zero stopni i wysiłek przy czołganiu. Zaczynałem już dokładnie widzieć sosnę, gdy trafiłem na kępę trawy rosnącej na miedzy. Uznałem, że odległość jest odpowiednia. Zatrzymałem się. Przydał się podświetlacz przy zegarku. Byłem o czasie. Leżałem i rozglądałem się dokoła. Pomyślałem, że nie chciałbym, żeby podpalacz idąc do lasu wlazł na mnie. A jeśli siedzi w lesie i obserwuje, czy złożą pieniądze? Zobaczy mnie, gdy będę właził na drzewo i będę mógł sobie siedzieć. Tylko tego brakuje, żeby dzisiaj właśnie podpalił ze dwie chałupy.

Dłużej nie było się nad czym zastanawiać. Zacząłem się szybko czołgać do drzewa. Chwilę odpocząłem tuż pod nim i kilkoma podrzutami ciała wspiąłem się na gałąź, którą wcześniej sobie upatrzyłem. Po przypięciu pasem było mi nawet wygodnie, a na pewno cieplej niż na ziemi. Śruba miał rację. Gdy leżałem te parę minut, pomimo grubego ubrania już zaczęło ciągnąć zimno od zmarzliny. Rozejrzałem się z góry: po prawej w oddali widać było światła wsi; z lewej strony – światła samochodów przejeżdżających pobliską drogą. To tam właśnie stoją chłopcy i czekają na sygnał ode mnie. Z tyłu otwarte pole zamknięte ścianą lasu, tak samo przede mną. Tylko las dużo, dużo dalej, teraz w nocy prawie niewidoczny. Bardziej się go domyślałem niż widziałem. Spojrzałem na zegarek, za piętnaście szósta, zaraz powinni przyjść położyć pieniądze. Poprawiłem się na gałęzi, żeby lepiej widzieć drogę od wsi do kapliczki. Nikt na razie nie nadchodził z tego kierunku. Pomyślałem, że pewnie się rozmyślili, bo gdyby chcieli tu dojść o czasie, to już byłoby kogoś widać na drodze. Jeśli wcale nie przyjdą, to się tylko na darmo wysiedzę. Zanim sołtys da znać do rejonówki, zanim oni przekażą Śluzie, zanim ten kogoś wyśle, cholera, ze dwie godziny zejdzie. Postanowiłem, że jeśli do piętnaście po szóstej nie przyjdą, włączę radiostację i po prostu zapytam co mam dalej robić.

Najpierw zobaczyłem od strony wsi przesuwające się dwa światełka. Po pewnym czasie usłyszałem warkot ciągnika. Zasuwał pełną parą w moim kierunku. Zwalniać zaczął dopiero, gdy oświetlił rozgałęzienie dróg, a co za tym idzie – także sosnę. Przywarłem do pnia, bo z daleka światło sięgało do wysokości gałęzi, na których siedziałem. Po chwili mogłem siąść swobodniej. Ciągnik podjechał bliżej i świecił tylko na pień drzewa i umieszczoną w nim kapliczkę. Zobaczyłem dwóch mężczyzn. Jeden kierował, a drugi podskakiwał na siedzeniu umocowanym przy błotniku. Widać ich było jak na dłoni, bo ciągnik nie miał kabiny. Podjeżdżając pod drzewo zrobili kółko i ustawili się przodem w kierunku wsi. Teraz byłem już pewny, że chcą podłożyć pieniądze. Gdy się zatrzymali, myślałem, że zsiądzie pasażer, a on chyba jechał tylko jako świadek. Nie gasząc ciągnika zeskoczył kierowca. Szybko podszedł do drzewa. Wyjął zawiniątko z kieszeni i wsunął w otwór z kapliczką. Przeżegnał się i wskoczył do ciągnika. Silnik ryknął całą mocą i maszyna potoczyła się drogą chyba najszybciej jak potrafiła. Po chwili już tylko odległy terkot świadczył o tym, że coś przed chwilą podjeżdżało w pobliże kapliczki.

Zaczęło się moje oczekiwanie. Co jakiś czas musiałem się trochę powiercić, bo albo drętwiały mi nogi, albo zaczynał boleć tyłek. W zależności od tego, co bardziej mi dokuczało podnosiłem nogi lub prawie stawałem na nich. Pomagało też intensywne ruszanie palcami. Poprawiało krążenie i nogi wtedy tak szybko nie drętwiały. Z nudów, na ile pozwalały ciemności, oglądałem dokładnie sosnę. Wyrosła na otwartym terenie, więc nigdy nie zaznała wyścigu do słońca rozgrywającego się w gęstym lesie. Rosła bardziej wszerz niż wzwyż, miała gruby, krótki pień i rozłożystą koronę. Oglądając ją i dla porównania sosnę z gęstego lasu nikt nie dałby wiary, że to ten sam gatunek. Zawsze lubiłem oglądać takie drzewa, dziwacznie powykrzywiane przez wiatr. Na nizinach było ich niewiele. Najwięcej widziałem ich nad morzem i nieodparcie kojarzyły mi się z wydmami. Teraz na pewno zawsze skojarzę ją inaczej – mruknąłem z przekąsem. Wyciągnąłem z kieszeni cukierki, w które przezornie się zaopatrzyłem, przewidując nudną noc. Całe szczęście, że miałem je ze sobą. Palić mi się chciało jak diabli, ale starałem się nie myśleć o tym. Śluza miał rację. Żar papierosa na pewno byłby widoczny z daleka, nie mówiąc o zapachu dymu ścielącego się nisko przy bezwietrznej pogodzie.

Nagle usłyszałem jakieś dźwięki i ucieszyłem się, że za chwilę będę miał robotę. Od strony wsi coś nadjeżdżało. Sądząc po warkocie silnika był to fiat 126p, ale zobaczyć nic nie mogłem, bo jechał bez świateł. Stał się widoczny dopiero jakieś 150 m od drzewa i ledwie zdążyłem odpiąć pas, który trzymał mnie przy pniu, gdy samochód już hamował przy kapliczce. Sprężyłem się do zeskoku. Samochód jednak przy rozwidleniu dróg tylko chciał zwolnić, skręcając w lewo i nie zatrzymał się. Z ulgą wypuściłem powietrze i rozluźniłem się. Powoli ustępowało napięcie. Nie wiedziałem co myśleć o tym maluchu. Czy to podpalacz sprawdzał teren, czy jakiś pijany chłopek z zepsutymi światłami przemknął w drodze do domu. To drugie też było prawdopodobne, bo znając na pamięć drogę mógł jechać bez świateł nie ryzykując stłuczki. Niestety, nie widziałem jego numerów rejestracyjnych, więc pewnie pozostanie niewyjaśnione czyj to był samochód. Zniknął w lesie i tyle. Nawet warkotu już nie było słychać. Rozglądałem się naokoło. Spokój, cisza, żadnego ruchu. Znowu spojrzałem na zegarek, chociaż obiecywałem sobie tego nie robić, bo im częściej sprawdza się, która godzina, tym wolniej mija czas. Teraz też. Okazało się, że jest dopiero 21.00, choć myślałem, że już co najmniej północ. Postanowiłem jak najdłużej nie patrzeć na zegarek, a spojrzeć dopiero wtedy, gdy ktoś będzie jechał lub szedł drogą. Słowa dotrzymałem. Jedyne odstępstwo zrobiłem wtedy, gdy drogą przebiegł pies. Myślałem, że obwącha i obsika drzewo, ale nie zatrzymał się.

Była jedenasta dwadzieścia, czyli prawie półmetek. Nieźle, ale mogłoby być już koło trzeciej. We wsi światła już pogasły. Na szosie ruch też znacznie się zmniejszył. Dobra pora. Mógłby ten podpalacz w końcu przyjść. Nie liczyłem za bardzo na to, ale dobrze jest pomarzyć.

Rozejrzałem się znowu naokoło, wpatrując się dłużej w każdy fragment terenu. Chciałem wychwycić jakiś ruch i… udało mi się, chociaż z początku myślałem, że to przywidzenie. Po dłuższej obserwacji uznałem jednak, że naprawdę ktoś lub coś skrada się z tego samego kierunku, co ja, gdy szedłem tutaj. Gdy to coś zauważyłem, wychodziło z lasu w kierunku krzaków, a teraz pochylone szło powoli zatrzymując się co chwilę. Gdy krzaki się skończyły, zatrzymało się na dłużej i chyba usiadło. Ruch ustał.

Początkowo podejrzewałem, że to jakieś zwierzę, np. sarna, ale w miarę jak sylwetka przybliżała się do mnie, byłem coraz bardziej pewny, że to człowiek. Jeśli człowiek, to pewnie któryś z „tygrysów", bo posuwający się tą samą drogą co ja. Czyżby chcieli mnie podmienić? Pora po temu była jak najgorsza, bo można się w każdej chwili spodziewać podpalacza. Może więc będzie koniec akcji i Śluza przysłał kogoś, żeby mnie ściągnął z tego drzewa? Ten pomysł odrzuciłem, bo po co by się skradał? Podjechaliby po prostu UAZ-em i kazaliby mi złazić. W takim razie kto się tak może skradać?

W chwili, gdy postawiłem sobie to pytanie, na skraju krzaków rozbłysła zapalona zapałka i zobaczyłem na chwilę oświetloną twarz. Zapałka została zgaszona, ale do dołu powędrował czerwony ognik i po chwili zniknął. Za chwilę zjawił się znowu dając dowód na to, że ktoś zaciąga się papierosem. Pojawianie się ognika nasuwało dwa wnioski. Po pierwsze – to jest człowiek. Po drugie – byłem już pewny, że to żaden z „tygrysów", bo nie paliłby w tak ciemną noc i w takiej sytuacji. Ten ktoś zaciągał się nerwowo, raz za razem. Tam siedział główny aktor dzisiejszego widowiska – podpalacz.

Zamarłem w bezruchu. Przecież po to usiadł w krzakach, żeby popatrzeć, czy okolica jest bezpieczna. Jeśli zobaczy najmniejszy podejrzany ruch, to nie podejdzie. Papierosa chyba już wypalił, ale siedział dalej. Gdy patrzyłem przedtem na ten migający ognik, przypomniało mi się, że od paru godzin nie paliłem. Pewnie też zaciągałbym się tak łapczywie jak on. Jak dobrze pójdzie i ten skurczybyk ruszy dupę z krzaków, to niedługo przestanę udawać szyszkę i też będę mógł sobie pozwolić na papierosa. Na razie jednak on siedział w krzakach, a ja powoli, ostrożnie przesuwałem rękę, żeby dosięgnąć klamry pasa. Musiałem się odpiąć nim zacznie się cokolwiek dziać. Już sięgnąłem do klamry, gdy od krzaków oderwał się cień i zaczął szybko przybliżać się do mnie. Zaskoczył mnie tym zdecydowaniem. Zamiast nadal się skradać, po prostu szedł przez pole i to szedł szybko. Pas, którym do tej pory byłem przypięty do drzewa, zapiąłem na biodrach sprawdzając przy okazji, czy broń i kajdanki są na swoim miejscu. Teraz mogłem już bez ruchu oczekiwać na rozwój wydarzeń. Mężczyzna idący przez pole chyba nie zauważył żadnego z moich ruchów, bo szedł pewnie i spokojnie. Szybko oceniałem jego sylwet-

kę. Był mojego wzrostu, ale na pewno sporo cięższy i starszy. W odległości około 50 metrów od drzewa ruszył biegiem. Dopadł do kapliczki i zaczął gorączkowo obmacywać figurkę i wnętrze dziupli. Patrzyłem na niego z góry. Dyszał ciężko, pewnie bardziej ze zdenerwowania niż z wysiłku. Byłem metr nad jego głową i spokojnie czekałem, aż znajdzie pieniądze. W końcu wyjął zawiniątko z kapliczki, rozłożył i szybko schował do kieszeni, gdy zobaczył, że w środku są banknoty. W tej chwili uznałem, że nie ma już na co czekać i odbiłem się od gałęzi. Spadając zobaczyłem jak podnosi głowę do góry i wytrzeszcza przerażone oczy. Jedną nogą udało mi się trafić w głowę, a drugą w bark. Przewrócił się na plecy pod moim ciężarem. Wydał z siebie tylko zduszony krzyk: „O Jezu" i już wsadziłem mu lufę pistoletu do oka klękając jednocześnie na brzuchu.

– Milicja Obywatelska! – krzyknąłem. – Nawet nie próbuj się poruszyć! Zastrzelę jak psa!

Wytrzeszczył tylko jeszcze bardziej nie zatkane pistoletem oko i rzeczywiście przestał się poruszać.

– Śluza zgłoś się do Młodego – krzyknąłem włączając radiostację.

– Zgłaszam się! Co u ciebie? – odezwał się zaskoczony głos Śluzy.

– Zatrzymałem obiekt! Koniec akcji! Podjeżdżaj!

– Zrozumiałem. Podjeżdżam.

Nie ryzykowałem zakuwania gościa w kajdanki. Był duży i sądząc po posturze – silny. Mógłbym mieć kłopoty w walce wręcz, a zakładanie kajdanek dawało możliwość jakiejś akcji z jego strony. I co wtedy? Zastrzelić go? Uznałem, że lepiej poczekać i zakuć, gdy chłopcy podjadą. Widać już było światła podskakujących na polnej drodze dwóch UAZ-ów. Po chwili byli przy mnie. Śluza pierwszy doskoczył do nas, gdy zobaczył, że nie założyłem kajdanek. Przekręcony na brzuch chłop tylko stęknął, gdy na przegubach rąk zatrzasnęły mu się kajdanki. Posadziliśmy go pod drzewem i Śluza zaczął przesłuchiwać. W pewnym momencie zastygł bez ruchu:

– Co panu jest? – krzyknął pochylając się.

– Serce… boli – wystękał tamten.

Śluza skoczył do UAZ-a i wywołał dyżurnego rejonówki. Zażądał karetki pogotowia i krótko wytłumaczył gdzie jesteśmy, potem szybko zdjął kajdanki z rąk siedzącego pod drzewem mężczyzny. Zabrał mu zawiniątko z pieniędzmi i położył go na ziemi. Przyświecając sobie latarką wypytywał o coś. Pisał szybko w notatniku. Jeszcze przed przyjazdem karetki zakomunikował nam:

– Czterech ludzi i jeden UAZ jadą z nim do szpitala. Popilnujecie go do czasu, aż was podmieni rejonówka. Ten gość to strzał w dziesiątkę. Opowiedział mi przed chwilą trochę o podpaleniach i jeszcze innych rzeczach – na chwilę przerwał i zamyślił się nad czymś.

– To zawał czy udaje? – zapytał Dyzio.

– Chyba zawał, chociaż diabli wiedzą. Jak mu Młody skoczył na głowę, to pomyślał, że pan Bóg diabła na niego zrzucił i dlatego tak się przestraszył. Mógł dostać zawału. Czemu nie? – mówił Śluza, wsłuchując się w sygnały nadjeżdżającej karetki.

Lekarz przez chwilę pochylił się nad stękającym cały czas mężczyzną i już postawił diagnozę:

– Zawał. Zabieramy do szpitala.

Pogadali chwilę ze Śluzą i karetka z pacjentem ruszyła z powrotem. Za nią pojechał UAZ z czterema chłopakami niezbyt zadowolonymi, że będą musieli siedzieć w szpitalu. Ze Śluzą i Bacą drugim UAZ-em pojechaliśmy do rejonówki. Oczywiście trzeba było napisać kilka papierzysk, czyli dokończyć tę część każdej akcji, której najbardziej nie lubiłem. Poszło szybko, ale zdążył nas jeszcze złapać ściągnięty z domu szef komendy rejonowej. O naszym przyjeździe powiadomił go dyżurny, który podobno miał go ściągnąć o każdej porze dnia lub nocy w przypadku, gdybyśmy zakończyli zasadzkę. Starszy tęgawy szef w stopniu kapitana krótko skwitował to, że podpalacz dostał zawału:

– Szkoda, że nie zdechł na miejscu. Mielibyśmy kłopot z głowy.

Mnie cała ta sytuacja tak rozstroiła, że nawet o papierosach przypomniałem sobie dopiero w rejonówce, a i tak mi nie smakowały. Nie mogłem się oswoić z myślą, że nie używając broni o mały włos zabiłbym faceta. Gdyby doznał poważniejszego zawału, to zanim karetka by dojechała już byłoby po nim. W końcu mnie te skrupuły wkurzyły i starałem się nie myśleć o tym. Przecież to kawał sukinsyna, który z zimną krwią ludziom podpalał budynki. Niejeden chłop z tej wsi bez zmrużenia oka zarąbałby go siekierą, gdyby miał okazję. Kogo jak kogo, ale podpalaczy na wsi bano się. Nienawidzono ich – proporcjonalnie chyba do strachu.

Coś za dobrze mi idzie. A może tak ma właśnie być? Może to jest po prostu to, co powinienem robić w życiu? Może jestem do tego właśnie stworzony i wszystko robię dobrze? Nie było nikogo, kto odpowiedziałby na te pytania.

W jednostce z naszego powrotu najbardziej ucieszyli się chłopcy, którzy mieli zmienić nas i siedzieć w zasadzce przez dzień. Odpadł im ten wątpliwy zaszczyt, a radość powiększył jeszcze deszcz ze śniegiem, który właśnie zaczął padać.

* * *

Znowu zaczęły płynąć leniwe dni. Śruba twierdził, że tak było zawsze. Albo mieli po uszy roboty, albo siedzieli i się nudzili. Po kilku dniach przyszedł zatroskany Śluza:

– Jeżeli dyrekcja kopalni nie dogada się z górnikami, to jutro jedziemy do Bytomia opróżniać hotel – obwieścił wywołując zrozumiałe poruszenie.

W ciągu kilku minut wytłumaczył nam sytuację. Dyrekcja kopalni chce opróżnić hotel robotniczy. Potrzebne im są mieszkania dla nowych górników ściągniętych z Polski. Teraz w hotelu siedzi zbieranina osób z różnych kopalń, a część już w górnictwie nie pracuje. Zamieszkali tam po przyjeździe na Śląsk i siedzą do tej pory, pomimo że z kopalnią nic ich już nie łączy, ponieważ zostali np. dyscyplinarnie zwolnieni z pracy za pijaństwo. Dyrekcja chce z tym zrobić porządek i według Śluzy ma rację, bo z tego hotelu zrobiła się jedna wielka melina. Mieszkańcy mieli czas na opuszczenie pokoi i tego nie zrobili. Gdy przyjechała milicja, zabarykadowali się i nie chcą nikogo wpuścić. Żądają, żeby dyrekcja zapewniła im mieszkania gdzie indziej. Część z nich dostanie takie pokoje, ale tylko ci, którzy dalej pracują w kopalni. Reszta ma sobie sama radzić i o to jest awantura, bo takich osób jest siedemdziesiąt procent.

Mieliśmy wejść do budynku o szóstej rano i opróżniać go od góry, aż będzie całkowicie pusty. Po najbardziej opornych przyjadą więźniarki i przewiozą ich do RUSW. Zostaną ukarani przez kolegium ds. wykroczeń za mieszkanie bez zameldowania. W akcji miał wziąć udział cały pluton i jeszcze dodatkowo czwarta i druga kompania. Awantura mogła być niemała, bo w hotelu mieszkało sto pięćdziesiąt osób.

Dyrekcja nie dogadała się i następnego dnia już o piątej wyruszyliśmy długą kolumną z koszar. Samochody star i nysa dwóch kompanii plus nasze UAZ-y robiły duże wrażenie. Wyglądało jakby ruszała nie wiadomo jaka grupa, a było to niecałe dwieście osób, ponieważ obie kompanie ZOMO nie miały pełnej obsady etatowej. Jednak była to poważna siła. Jechały dwie najstarsze i najbardziej doświadczone kompanie. No i oczywiście pluton specjalny. Znaczyło to, że sztabowcy i dowódca jednostki obawiali się kłopotów albo chcieli sprawę załatwić szybko i sprawnie. Plan akcji był taki, że po wezwaniach do opuszczenia budynku mieliśmy odczekać dziesięć minut, żeby każdemu dać szansę na wyjście. Potem pluton specjalny miał dokonać szturmu na hotel.

Oczywiście, gdy zajechaliśmy i rozstawiliśmy się przed budynkiem w całym hotelu pozapalały się światła i nikt już nie spał. Wezwanie i dziesięciominutowe oczekiwanie nic nie dało. Z budynku nie wyszła ani jedna osoba. W tym czasie dojechały więźniarki i nysy z milicjantami z bytomskiej rejonówki. Śluza zebrał nas i wyznaczył zadania.

– Trzecia drużyna markuje atak na główne wejście. Mamy informację, że jest zamknięte i zabarykadowane meblami. W tym czasie druga po lewej, a pierwsza po prawej wchodzą przez okna i odblokowują drogę trzeciej. Potem interesują was tylko ci, którzy zamknęli się w pokojach. Jeśli są na korytarzu, to nimi ma zająć się reszta sił. Pierwsza drużyna zaraz po otwarciu głównego wejścia grzeje na górę zablokować wejście na dach. Jak nam wylezie paru i zagrozi, że będą skakać, to będziemy tu mieli cyrk do wieczora. Opróżniać pokoje piętrami, oczywiście z góry na dół.

Usadowiliśmy się z powrotem w samochodach. Widziałem, że czwarta kompania obstawiała budynek naokoło. Czyli z nami będzie współdziałać druga. Hotel był czteropiętrowy z dużym wejściem pośrodku. Takie same były pozostałe budynki na tym osiedlu, ale w nich były chyba normalne mieszkania, bo w przeciwieństwie do hotelu widać

było suszące się na balkonach pranie, w oknach były firanki i kwiaty. Teraz oczywiście te okna zapełniały się głowami ciekawskich.

Z budynku, który mieliśmy opróżniać, też wyglądało parę osób. Na razie spokojnie i z zaciekawieniem, ale jak zareagują później?

Przyglądając się brudnym, niemytym oknom cieszyłem się nawet z tego, że w tym hotelu mieszkają takie brudasy. Kwiatków nie hodują, więc przynajmniej nie będą w nas rzucać doniczkami.

– Jak dostaniemy się do okien? – zapytałem Śrubę patrząc na wysokie podpiwniczenie budynku, do którego mieliśmy się dostać.

– Podjedziemy UAZ-ami i wejdziemy po nich. Zawsze tak robimy przy wysokim podpiwniczeniu – wyjaśnił mi i zaraz uzupełnił. – Darek, pierwszy raz bierzesz udział w takim wejściu, dlatego idź na końcu i się przyglądaj.

Łatwo powiedzieć: „Idź na końcu i się przyglądaj". To przecież, do cholery, nie wycieczka, a na końcu można oberwać tak samo jak na początku. Nie wiadomo, czy na końcu nie jest najmniej bezpiecznie.

Czekaliśmy w samochodach na sygnał do rozpoczęcia akcji. Przyglądałem się Miśkowi próbującemu wygodnie umieścić młot za pasem. Zawsze przy wejściach do mieszkań wywalał nim drzwi. Był to młot saperski, ciężki jak diabli. Wystarczyło jedno walnięcie w zamek i drzwi wylatywały. Teraz pewnie będzie chciał przy jego pomocy otworzyć okno. I tak było, gdy zaatakowaliśmy ten budynek. Misiek jako pierwszy znalazł się na dachu UAZ-a i uderzył w ramę okna. Otworzyło się i nawet szyba nie pękła. Zanim przyszła kolej na mnie, żeby wskoczyć do środka, zdążyłem zobaczyć jeszcze jak druga drużyna robi to samo co my. Nie udało im się otworzyć okna tak łatwo jak nam. Usłyszałem brzęk zbitej szyby i zaczęli wskakiwać do środka. Trzecia drużyna cofała się od głównego wejścia po pozorowanym ataku. Pokój, przez który weszliśmy, był zamieszkany. Jego lokatora trzymał Lala na podłodze wykręcając rękę. Wyskoczyłem na korytarz i wziąłem się za odstawianie szaf. Druga drużyna też już była w środku i pracowaliśmy razem.

Dwie szafy ubraniowe, cztery fotele i dwie części stołu do ping-ponga odstawione na bok pozwoliły dotrzeć do drzwi. Były metalowe, składały się z dwóch dużych skrzydeł i nie zamykały się na zamek, lecz miały dopasowane uszy zamknięte teraz na kłódkę. Misiek walnął młotem i rozerwana kłódka spadła na podłogę. Otworzył drzwi i do środka zaczęli wbiegać chłopcy z trzeciej drużyny i zaraz za nimi druga kompania. Akcji cały czas przyglądało się kilkunastu mieszkańców hotelu stojących na korytarzu. Żaden nie próbował nam przeszkadzać. Po prostu stali i patrzyli zaskoczeni. Ruszyliśmy w górę mijając na klatce schodowej jeszcze kilka osób. Na czwartym piętrze było pusto. W jednym z końców korytarza był właz na dach, na szczęście zamknięty na porządną kłódkę. Nikt przy nim nie majstrował, bo i nie bardzo było jak. Nie prowadziły tam żadne schodki ani nie było w pobliżu drabiny. Na wszelki wypadek dwóch chłopaków zostało przy włazie. Reszta podzielona na drużyny rozpoczęła opróżnianie mieszkań, zaczynając od tego końca korytarza, w którym był właz. Większość drzwi otwierano po zapukaniu w nie. Czasami jednak w ruch szedł młot i drzwi otwierały się z hukiem ukazując zaskoczonych mieszkańców w negliżu. Bywało też tak, że pokój okazywał się po prostu pusty i wychodziło na to, że na darmo popsuliśmy zamek. Nie było jednak czasu na zastanawianie się. Ludzi z pokoju wywlekaliśmy na korytarz, a tam odbierali ich od nas chłopcy z drugiej kompanii i milicjanci z RUSW-u. Szło to dość szybko, bo większość była poubierana i przygotowana do wyjścia. Trafiali się jednak i tacy, którzy nie dość, że byli tylko w bieliźnie, to jeszcze próbowali dyskutować. Lądował taki delikwent na korytarzu bez ubrania, często bez butów. Powrotu do pokoju już nie miał, chociaż wyrywał się krzycząc, że teraz się ubierze. Z reguły jednak ludzie wychodzili spokojnie. Jeśli ktoś próbował się zapierać, dostawał ze dwa razy w pysk i dosłownie wylatywał wyrzucony na korytarz.

Pokoje opróżnialiśmy drużynami, czyli na raz wpadało minimum ośmiu chłopa. Wszelki opór nie miał żadnych szans powodzenia. Na trzecim piętrze druga drużyna trafiła jednak na sytuację, z którą mieli duży problem. W jednym z pokoi stała na środku jakaś stara pijana baba i nie chciała wyjść. Nie byłoby problemu, gdyby nie to, że była kompletnie rozebrana, tzn. nie miała na sobie nic. Po chwilowej konsternacji i próbie nakłonienia jej, żeby się ubrała, chłopcy zawinęli ją w koc i wyrzucili na korytarz. Całą drogę przez klatkę schodową i przed budynkiem babsztyl próbował wyswobodzić się z koca, rycząc na cały głos, że gwałcą. Ledwo chłopcy upchnęli ją do więźniarki. W środku ktoś musiał dać sobie z nią radę, bo wrzaski ustały. Patrzyłem na to przez okno, bo na chwilę musieliśmy się powstrzymać przed wchodzeniem do pokoi. Nie było żadnej wolnej więźniarki, a ta, do której wsadzona została wrzeszcząca goła baba też odjechała. Już po naszym wejściu do budynku podjęta została decyzja, że wszystkich ludzi z hotelu odwozimy do rejonówki. Zastanawiałem się jak oni sobie poradzą z taką masą ludzi, ale okazało się, że ściągnęli jeszcze jedną kompanię, która pracowała tylko w rejonówce doprowadzając ludzi na przesłuchania i pilnując ich na korytarzach. Więźniarki były tylko trzy, więc dowoziły i wracały po następną partię. Akcja przebiegała sprawnie. Gdy doszliśmy do drugiego piętra, byłem już porządnie spocony. To jednak męczące co chwilę wyciągać kogoś na korytarz. Z reguły kończyło się na szarpaninie, ale bywały momenty, że trzeba było komuś naprawdę dołożyć. Jeden z delikwentów uspokoił się trochę dopiero po uderzeniu w jądra. Na korytarzu krzyknąłem do chłopaków z drugiej kompanii, żeby na niego uważali, bo to agresor. Mimo że pilnowali go, po chwili na schodach dał się słyszeć łomot pałowania, czyli znowu zaczął się stawiać. Znowu wyjrzałem przez okno, ponieważ byłem ciekawy jak sobie z nim poradzą na zewnątrz. Poradzili sobie chyba już na klatce schodowej, bo nieśli go za ręce i nogi całkowicie bezwładnego.

– Albo udaje, albo mu zdrowo dołożyli – powiedział wyglądający obok Zgaga.

Po chwili obaj skrzywiliśmy się z niesmakiem. Chłopaki na dole chcieli po prostu wrzucić do więźniarki niesionego mężczyznę. Jakoś źle się do tego przyłożyli, bo facet nie trafił w drzwi, tylko rąbnął głową w ścianę samochodu. Szybko podnieśli go i wrzucili, tym razem trafiając dokładnie w otwór drzwi. Klepnęli sobie w ręce tak, jak się to robi po udanym zagraniu w siatkówkę.

Później dowiedziałem się, że spod rejonówki odwieziono do szpitala jedenaście osób. Po trzy osoby musiały przyjechać karetki, ponieważ były nieprzytomne. Na ponad setkę wywiezionych, to i tak niewiele, pomyślałem wtedy. Pomyślałem też, że pewnie znowu nie było wiadomo kto ich pobił. Na pewno nie dało się ustalić, czy to pluton specjalny, czy normalne ZOMO.

Poturbowano ich w trakcie prowadzenia do więźniarki i dowożeniu do RUSW, a może w rejonówce w trakcie przesłuchania? Znowu zbiorowa odpowiedzialność, czyli niczyja. Dowiedziałem się, że w hotelu ukrywało się szesnaście osób poszukiwanych przez milicję, za różne przestępstwa popełnione na Śląsku i na terenie kraju. Na początku akcji jeden z milicjantów z RUSW złapał takiego poszukiwanego i wówczas podjęto decyzję o odwożeniu wszystkich z hotelu do rejonówki.

Operacja zakończyła się po godzinie jedenastej dokładnym sprawdzeniem, czy nikt nie został. Pusty hotel zabezpieczyła dyrekcja, zamykając te pokoje, które dało się zamknąć, pozostałe drzwi niestety nadawały się tylko do wymiany. Został też jeden pluton z drugiej kompanii, żeby dopilnować porządku przy wydawaniu rzeczy pozostawionych przez mieszkańców w trakcie opróżniania hotelu.

Ruszyliśmy do jednostki całą kolumną. Tuż przed dojazdem do Katowic jeden ze starów wpadł w poślizg na zakręcie. Kierowca widząc, że zaczyna go stawiać w poprzek próbował ratować sytuację i gwałtownie odbił kierownicą. W efekcie „dyskoteka" przewróciła się i sunąc na boku dachem ścięła słup elektryczny. Przewody na szczęście spadły poza samochodem. Zaiskrzyło i chyba automatycznie wyłączył się dopływ prądu, bo nie było z tym kłopotu. Zatrzymaliśmy się przy nich, tak jak inne samochody. Niby wypadek niewielki, ale rannych było sporo. Wnętrze „dyskoteki" wyposażone było w różnego rodzaju uchwyty umieszczone na ścianach i pod półkami. Były tam blaszane wieszaki do kasków i stojaki na broń. Gdy star się przewrócił, część chłopaków uderzyła w te blachy. Było dużo porozcinanych twarzy i ogólnych potłuczeń. Powoli wyciągaliśmy ich ze środka i po prowizorycznym opatrzeniu układaliśmy na trawie. Karetki pogotowia były już w drodze. Przy okazji, chyba pierwszy raz, przydały się opatrunki osobiste noszone w raportówkach. Zużyliśmy wszystkie. W pewnej chwili zacząłem zdziwiony obserwować jednego z chłopaków, który jechał w tym starze. Wyglądało na to, że nie odniósł żadnych obrażeń. Pomagał wyjmować co bardziej poszkodowanych swoich kolegów i zachowywał się normalnie. W momencie, gdy zwróciłem na niego uwagę, zaczął oddalać się od przewróconego samochodu. Szedł w kierunku płotu, który znajdował się dwadzieścia metrów dalej. Doszedł, złapał się rękoma i w tym momencie nogi się pod nim ugięły, obsunął się po płocie i upadł. Podbiegłem do niego. Był nieprzytomny. Zawołałem Bacę i na kocu przenieśliśmy go bliżej drogi. Nigdzie nie mogłem znaleźć obrażeń. Tajemnicę wyjaśnił jeden z lekarzy, który przyjechał karetką. Trzy już przyjechały, a miały dojechać jeszcze dwie. Lekarz oglądając chłopaka stwierdził na podstawie mojego opisu jego zachowania:

– Wstrząs mózgu. Dopóki był w szoku po wypadku, chodził i zachowywał się normalnie. Gdy trochę się uspokoił, zemdlał i już. Często tak jest. Widziałem ludzi, którzy przez kilka godzin zachowywali się jakby im nic nie było, a potem mdleli.

Karetki zaczęły zabierać rannych. Rozśmieszył wszystkich chłopak z długim rozcięciem na głowie. Młoda, ładna lekarka zakładając prowizoryczny opatrunek wypytywała go jak się nazywa, gdzie jest, który jest rok. Mimo iż próbował się skoncentrować, nie potrafił odpowiedzieć na żadne z pytań. Po chwili przyjrzał się jej z uwagą i zapytał:

– A pani o której kończy pracę? Może bym do domu odprowadził?

– To może jak pan wyzdrowieje. Dobrze? – odpowiedziała uśmiechając się.

Pomyślałem sobie, że z tego chłopaka będą mieli pociechę w szpitalu. Jeśli trafi na oddział, gdzie są praktykantki, to będzie mu tam dobrze. Gorzej będzie ordynatorowi utrzymać porządek, ale to już mniej ważne.

Stara udało się postawić na kołach z pomocą dwóch innych. Okazało się, że nadaje się do jazdy. Za kierownicą usiadł już kto inny, bo tamten kierowca zapłakany nie mógł jechać. Siedział i płacząc nie mógł sobie darować, że tylu chłopaków przez niego będzie leżało w szpitalu. Pocieszaliśmy go, że nic się nie stało wielkiego, że mogło być gorzej. Mógł przecież ktoś zginąć. Niezbyt te argumenty do niego trafiały, bo niestety jego wina była niezaprzeczalna. Za ostro wszedł w zakręt i tyle. Nasz nastrój dodatkowo popsuła kobieta, która wyszła do nas z pobliskiego domu:

– Jutro wesele, lodówki pełne, a tu światła nie ma! O Jezu, co ja teraz zrobię? – wrzeszczała na cały głos.

– Będziemy dzwonić, żeby jak najszybciej usunięto awarię, ale sama pani widzi, że słup złamany. To może potrwać – tłumaczył jej dowódca drugiej kompanii, wysoki, szczupły kapitan.

– Co mnie z waszego dzwonienia, jeśli mi się jedzenie na wesele w lodówkach popsuje? – krzyczała dalej.

Jajco przysłuchiwał się tej rozmowie na razie nie odzywając się, chociaż patrzył na kobietę, jakby miał zamiar za chwilę jej przyłożyć. Zamiast tego odezwał się:

– Nie obchodzi pani, że ludzie ranni? Tylko że żarcie się zepsuje?

– Rannym lekarz pomoże, a mnie nikt. Mogę tylko stać i patrzeć jak wszystko kiśnie. Żeby chociaż mróz był, to by się człowiek jakoś ratował. A tak znikąd pomocy – narzekała, ale robiła to już spokojnie.

Zima rzeczywiście nie była ostra i w dzień utrzymywała się dodatnia temperatura. Jajco chwilę się zastanawiał, a potem zapytał:

– Kto tutaj najbliżej ma telefon?

– U nas jest – odparła kobieta. – A co?

– No to chodźmy, zadzwonimy, to może uda mi się jakoś pani pomóc.

Poszli razem w kierunku najbliższych zabudowań. Nie było ich chyba z dziesięć minut. Myślałem, że był to tylko manewr ze strony Jajca, żeby odciągnąć stąd kobietę, ale okazało się, że nie. Wrócił sam i zadowolony powiedział do nas:

– Udało się załatwić samochód i chłodnię. Znajomy jeździ takim w Zakładach Mięsnych. Przyjedzie tu zaraz i do wesela postoi. Zadowolony był, że za darmo na weselną wódkę się załapie.

Z czystym sumieniem mogliśmy już odjechać. Zauważyłem jeszcze, że UAZ, w którym siedział Jajco, jakoś ociąga się z odjazdem. Gdy ruszyliśmy, kobieta podeszła do niego i podała koszyk przykryty ścierką. UAZ ruszył, a ona pomachała jeszcze ręką odjeżdżającym. Pomyślałem, że tak pewnie wygląda prawdziwa dyplomacja. Zepsuć coś komuś, a później jeszcze dostać prezent za to, że się pomoże zreperować.

* * *

Prosto z „marszu" poszliśmy w jednostce na obiad. Potem zamierzałem oddać się zajęciu, które ostatnio bardzo polubiłem. Chciałem po prostu zdrzemnąć się chwilę. Tak jakoś się składało, że ostatnio po każdym obiedzie kładłem się na minimum pół godziny i byłem bardzo zły, jeśli ze względu na jakieś zajęcia nie mogłem tego robić. Tak, niestety, było i dzisiaj. Śluza zwoływał wszystkich na naradę. Chcąc nie chcąc, zły jak osa, poleżałem do sztabu, gdzie w świetlicy zawsze odbywały się narady przed większą operacją. Oprócz Śluzy i dowódcy jednostki było tam jeszcze dwóch oficerów. Obu widywałem czasami w rejonówce w Katowicach. Był to chyba szef i naczelnik wydziału kryminalnego. Naradę zaczął nasz pułkownik:

– Witam towarzyszy. Zaprosiłem tutaj pluton specjalny, bo będzie miał zadanie do wykonania. Od razu na wstępie chcę uprzedzić, iż to ja zaproponowałem użycie komandosów do tej roboty, więc oczekuję współpracy, a nie sprzeciwów. Narada jest tajna, więc proszę nie robić żadnych zapisków czy notatek. Bliższe szczegóły podadzą nam towarzysze z Rejonowego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Katowicach. Proszę, towarzyszu szefie.

Po wygłoszeniu tej sztywnej przemowy dowódca jednostki usiadł, a wstał niski, szczupły podpułkownik:

– Jak zapewne część towarzyszy orientuje się, jestem szefem RUSW. Od miesiąca mamy problem, z którym chcemy teraz się uporać, ale potrzebujemy waszej pomocy. Otóż syn jednego z towarzyszy z Komitetu Wojewódzkiego PZPR nieświadomie, tak przynajmniej twierdzi, ożenił się z kobietą z tzw. półświatka. Po prostu dziewczyna była

wcześniej w Katowicach prostytutką w hotelu „Warszawa", a teraz postanowiła się uspokoić i wyrwać od alfonsów. Z tym chłopakiem spotykała się krótko i w tajemnicy niby przed rodzicami. Jak się dowiedział kim ona naprawdę jest było już za późno, po ślubie. Zresztą, nie o to chodzi, sam sobie wybrał taką żonę. Jego sprawa. Jest natomiast problem z alfonsami, którzy zapowiedzieli, że nie odpuszczą tej dziewczynie i że musi wrócić do nich. Zaczęli ją nachodzić w domu tego chłopaka pod jego nieobecność i straszyć. Przez miesiąc był spokój, bo wysyłaliśmy w ten rejon patrol i bali się, ale nie możemy cały czas trzymać tam dwóch ludzi. Przez całą dobę angażujemy do tego zadania sześciu milicjantów. Chcemy z tym skończyć raz a dokładnie. Plan przedstawi towarzysz naczelnik wydziału kryminalnego.

Zmęczony tą długą przemową szef z ulgą usiadł, a wstał naczelnik, chyba o dwie głowy wyższy od niego i dobrze zbudowany.

– Chcemy jutro zatrzymać tych alfonsów i pozwozić do RUSW na przesłuchanie. Nic konkretnego nie mamy na żadnego z nich, ale chcemy ich postraszyć i uprzedzić, że jeśli się od dziewczyny nie odczepią, to będą mieli kłopoty – zawiesił na chwilę głos. – Znam to środowisko i wiem, że takie straszenie nic nie da. Alfons nie może dopuścić do tego, żeby mu choć jedna młoda jeszcze dziewczyna uciekła do normalnego życia. Jeśli na to pozwoli, inne też będą chciały zwiać i zostanie bez źródła utrzymania, a z każdej ciągnie całkiem ładny dochód. Prawdopodobnie te zatrzymania tylko ich rozjątrzą i w ciągu najbliższych dni spróbują mocniejszego nacisku na dziewczynę i tu się zacznie rola plutonu specjalnego...

– Nie chcecie żebyśmy ich zatrzymali? – spytał Śluza.

– Właśnie o to chodzi, żeby nie znali waszych twarzy i nie kojarzyli ich z milicją. Chcemy, żebyście po cywilnemu popilnowali tej dziewczyny wtedy, gdy zdejmiemy patrol sprzed domu. Z zatrzymaniem na przesłuchania damy sobie radę sami, a od was oczekujemy, żebyście po prostu spuścili im porządne lanie, kiedy przyjdą do niej. Co towarzysze na to?

– Dla „tygrysów" to nie pierwszyzna. Musicie tylko przydzielić nam dwa nieoznakowane samochody i na cywilnych rejestracjach. Tak samo jak wtedy, gdy chcieliście, żeby dać łomot paru „solidarnościowcom" – powiedział dowódca jednostki.

– Oczywiście! Będą dwa fiaty 125p i chciałbym, żeby to było załatwione tak jak wtedy. Sprawa zostaje w tym gronie i nic nie wychodzi na zewnątrz. Uważam, że możemy to zrobić. Można było z opozycją, to można i w tym przypadku – powiedział szef rejonówki.

– Tak, ale wtedy mieliśmy za sobą także Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych i prawdopodobnie Warszawę – Śluza był trochę sceptyczny.

– O tej sprawie ten, kto powinien w WUSW też będzie wiedział. Obiecali nam, że wszelkie ewentualne kłopoty z prokuraturą biorą na siebie. Tablice rejestracyjne do fia-

tów dostaniecie lewe, tak jak wtedy, a w garażach samochody będą wpisane do jazdy w innym dniu, żeby kilometry się zgadzały – uciął wszelkie dyskusje szef rejonówki.

– Chłopakom trzeba w tym czasie wpisać zajęcia na poligonie i już – poparł go Śluza.

– Inaczej nie damy sobie rady z tą sprawą. Dziewczyny nie zechcą zeznawać przeciwko swoim opiekunom, a co innego można wymyśleć na alfonsa? Przecież nie zamknę ich za nieprawidłowe przejście przez jezdnię – przekonywał naczelnik wydziału kryminalnego.

– A swoją drogą, twoi ludzie powinni lepiej popracować w tym środowisku – zauważył szef rejonówki.

– Robią to od dwóch tygodni, ale potrwa parę miesięcy zanim doczekają się porządnego rozpoznania. Nigdy nie było u nas problemu z dziwkami i nie pracowaliśmy w tym kierunku. Teraz to się zmieni. Obiecuję, towarzyszu szefie.

Narada się skończyła i mogłem nareszcie położyć się i przespać trochę. Przed kolacją poszedłem z Krzyśkiem Zgagą do Adamca trochę poćwiczyć. Gdy myliśmy się pod prysznicem po treningu, zapytałem go:

– Często jeździliście prać „solidarnościowców"?

– Parę razy się zdarzyło, ale to żadne lanie. Ze dwa razy w pysk, trochę kopów w dupę i tyle. Tak, żeby śladów nie zostawić. Nie wolno było mocniej. Taki był rozkaz. Więcej dla strachu niż dla bólu. Żeby przestali się czuć bezkarni – odpowiedział przekrzykując szum wody.

– Myślisz, że teraz będzie mocniej? – zapytałem.

– Na pewno. Przedtem robota była na pół legalna, a teraz będzie całkiem na dziko, więc chyba trochę poszalejemy – roześmiał się.

Wyszliśmy przed salę gimnastyczną i szliśmy powoli, paląc papierosy. To był też jeden z przywilejów „tygrysów". Normalnym zomowcom nie wolno było spacerować po jednostce paląc papierosa. Należało to robić w wyznaczonych miejscach, w których ustawione były popielniczki. Chyba z przekory bardzo lubiłem wracając z sali zapalić sobie.

– Nie masz nic przeciwko takim robotom, jak ta z alfonsami? – nieoczekiwanie zapytał mnie Krzysiek.

– Nie! Skąd? Dlaczego ci to przyszło do głowy? – zaprotestowałem zgodnie z prawdą.

– Bo tak zapytałeś o wyjazdy na działaczy...

– Nieee – roześmiałem się. – Po prostu byłem ciekawy. Uważam, że tak powinno się robić. A jeśli chodzi o alfonsów, to podpisuję się pod tym obiema rękami. Kurwa, jak im milicja przy przesłuchaniu powie, że mają się od dziewczyny odpierdolić, to mają się odpierdolić i koniec. A jak nie rozumieją co się do nich mówi, to dostaną wykład ręcznie i może dotrze do nich.

Chwilę szliśmy w milczeniu. W pewnej chwili Zgaga znowu odezwał się:

– Nie pytaj więcej nikogo o to bicie działaczy. Stara sprawa i lepiej jej nie ruszać, jeszcze się kto zdenerwuje i po co?

– Dobra, nie ma problemu. Zresztą, co mnie to obchodzi? Pytałem z ciekawości i tyle – odpowiedziałem mu wzruszając ramionami.

Rzeczywiście nie poruszałem więcej tego tematu i nikt przy mnie więcej o tym nie rozmawiał. Podejrzewam, że chłopcy byli źli na dowódcę jednostki, że przy niezawodowym wygadał się z takimi rzeczami. Prawdopodobnie pułkownik zapomniał, że w plutonie jest ktoś taki i stąd niedyskrecja.

Pierwszy dzień pod willą, w której mieszkało to małżeństwo, przesiedzieliśmy bez zajęcia. Trochę nam było ciasno w dziesięciu w dwóch fiatach, ale jakoś udało się te osiem godzin wytrzymać. Nie cały czas siedzieliśmy w samochodach. Każdy trochę chodził dla rozprostowania nóg. Przy okazji obejrzałem sobie willę. Piękny, piętrowy dom na obrzeżu miasta. Ech, żebym się kiedy czegoś takiego dorobił! Ale pewnie nie da rady. Trzeba by było mieć tatę sekretarza. Gdybym dostał w miarę szybko mieszkanie w bloku, to już będzie sukces. Reszta drużyny miała chyba podobne odczucia, bo gdy pod dom podjechał właściciel maluchem, Bacy wyrwało się:

– Cholera, młody szczun, a już chałupa, samochód. Syćko ma!

– Bo sobie zasłużył i zapracował – strzelił Zgaga.

– Tyś chyba całkiem zgłupiał! Czymże sobie taki glut mógł zasłużyć? – zdenerwował się Baca.

– Sam się wychował, bo tata na zebraniach partyjnych cały czas siedział. To się teraz chłopcu należy za trudne dzieciństwo – kpił Zgaga.

– No pewnie! – Baca nadal był ponury.

Siedzieliśmy do dwudziestej drugiej. Potem trzeba było trochę odjechać, żeby z UAZ-ów do fiatów mogła się przesiąść druga drużyna. UAZ-ami wróciliśmy do koszar. Ponieważ obstawianie zaczęło się od popołudnia, cały czas mieliśmy mieć służbę o tej porze, druga drużyna same noce, a trzecia cały czas rano.

Następną służbę zaczął Baca od proroczych przewidywań:

– Zobaczycie, że dzisiaj przyjdą. Czuję to przez skórę. Zawsze momy takiego farta, że za innych robotę odwalamy.

– Idź ty z tym wyczuciem – mruknął Śruba.

– Baca może mieć rację. Jak siedziałem na drzewie, to też wyczuł, że facet przyjdzie – odezwałem się w obronie Bacy. – Co prawda mówił, że za pół godziny, a przyszedł po sześciu czy siedmiu, ale jednak.

– Dobra. Nie ma sprawy. Umawiamy się, że jeśli Baca będzie miał rację, to stawiam skrzynkę piwa, a jeżeli nie, to on... – Śruba zamilkł w połowie zdania pokazując ręką dwóch mężczyzn, którzy stanęli przed furtką i patrzyli w okna domu. Śruba wziął do ręki manetkę radiostacji:

– Głuś, zgłoś się do Śruby!

– Zgłaszam się! – skrzeknął w głośniku Głuś z drugiego fiata.

– Widzisz tych dwóch palantów pod bramą?

– Tak.

– Jak wejdą do budynku, natychmiast ruszamy. To samo, jeśli dziewczyna wyjdzie do nich i zacznie się szarpanina.

– Zrozumiałem.

Mężczyźni odeszli od bramy i szli w naszym kierunku chcąc widocznie zobaczyć, czy teren jest czysty.

– Cholera, kapną się – powiedział cicho Zgaga.

– Może nie – odszepnąłem.

Na szczęście staliśmy po drugiej stronie ulicy, a oni nie doszli nawet do tego miejsca, tylko wrócili się i śmiało otwierając furtkę weszli na teren posesji. Chwilę dzwonili do drzwi. Potem przestali i stali naradzając się.

– Ruszamy! – krzyknął w radiostację Śruba.

Miał rację, teraz dopiero zauważyłem, że jeden z mężczyzn próbuje barkiem wyważyć drzwi. Podjechaliśmy pod samą bramę, kilka sekund później podjechał drugi fiat. Bez słowa i bez chwili zastanowienia się wbiegliśmy przez furtkę. Jeden z mężczyzn stał spokojnie nie zrozumiejąc co się dzieje. Drugi był bardzo odważny i wyciągnął z kieszeni nóż sprężynowy. Ledwo jednak zdążył go otworzyć, a już Dyzio kopnął go w rękę i nóż poleciał w powietrze. Nim zdążyłem się przydać do czegokolwiek, drugi z mężczyzn też już leżał. Związaliśmy mu ręce z tyłu kawałkiem linki od namiotu. Zgodnie z zaleceniem Służy nie mogliśmy wziąć ze sobą nic, co kojarzyłoby się z milicją. Kajdanki odpadały, a czymś przecież trzeba było związać. Grupa Głusia już prowadziła swojego do samochodu. Myślałem, że wsadzą go do bagażnika, jednak nie. Włożyli go między siedzenia na podłogę. Wsiedli i fiat ruszył uliczką. My zrobiliśmy to samo. Trzymając nogi oparte na leżącym na podłodze człowieku zastanawiałem się, czy modli się teraz, czy przeklina swój los.

Przejechaliśmy przez Katowice i tuż za miastem skręciliśmy w boczną drogę prowadzącą do niewielkiego lasu. Samochody zatrzymały się na polance. Z drugiego fiata wysiadł tylko Lala i wyrzucili związanego mężczyznę.

– Wracam pilnować! Może jeszcze coś złapiemy! – krzyknął Głuś przez otwarte okno odjeżdżającego samochodu.

Nie zdążyłem przydać się wcześniej, więc teraz podszedłem do leżącego, przywiezionego przez nas mężczyznę i podniosłem go stawiając na nogi.

– Trzymaj go – powiedział Śruba i podszedł bliżej.

Przez chwilę przyglądał się, a potem spokojnie, powoli zaczął masakrować jego twarz szybkimi bokserskimi uderzeniami. Na chwilę przerwał, gdy musiałem faceta podtrzymać, bo zachwiał się na nogach.

– Kto was tam przysłał? – zadał pytanie.

– Nikt. Pomyliliśmy drzwi – padła przez rozbite wargi niezbyt wyraźna odpowiedź.

– No to zmiana – powiedział Śruba i teraz on trzymał bitego, a ja znalazłem się z przodu.

Podsunąłem się bliżej i uderzyłem go łokciem od dołu w szczękę. Nie za mocno, ale głowa i tak odskoczyła mu do tyłu i krew z ust prysnęła do góry. Potem szybko zadałem dwa ciosy też łokciami, ale już nie od dołu, a raczej w poziomie. Skutkiem tych dwu uderzeń były rozcięte oba łuki brwiowe; krew cienkimi strużkami płynęła po twarzy, zalewając oczy. Z boku doskoczył Zgaga i też łokciem złamał facetowi nos. Ten osunął się na kolana i upadł, gdy Śruba go puścił. Zgaga podszedł do następnego:

– Mów, palancie, kto was nasłał, bo będziemy tłukli do skutku! – krzyknął podnosząc go.

Drugi chyba był mniej odważny, bo blady ze strachu trząsł się jak liść. Widział co przed chwilą spotkało jego kumpla, więc strach był jak najbardziej na miejscu.

– Powiem, ale on mnie zabije – wydukał.

– Czy on, czy my, co za różnica? – powiedział filozoficznie Lala.

– To, Rudy Tomek, z hotelu nas wysłał pod ten adres. Obiecał po pięć tysięcy jak damy wycisk dziewczynie, która mieszka w tej willi – powiedział szybko mężczyzna.

– Gdzie go teraz znajdę? – wypytywał Zgaga.

– W hotelu, w restauracji. No, w „Warszawie" – padła błyskawiczna odpowiedź.

Zgaga chyba usłyszał wszystko co chciał, bo zaczęli bić nie patrząc na to, że dowiedział się tego, czego chcieliśmy. Po chwili drugi mężczyzna leżał na ziemi z twarzą porozbijaną nie gorzej od poprzednika. Na odchodne Śruba zapowiedział pobitym:

– Następnym razem po prostu się was powiesi tu, w tym lasku, bez większych ceregieli. Powiedzcie to każdemu, kto wybierałby się pod tamten adres. – Kopnął w brzuch tego, którego pobiliśmy pierwszego. – Słyszałeś? – zapytał.

– Tak – leżący wydobył z siebie zduszoną odpowiedź.

Gdy odjechaliśmy kawałek, Śruba kazał Bacy zatrzymać się. Chwilę patrzył do tyłu. Obaj mężczyźni podnosili się powoli, więc uspokojony powiedział:

– Dobra, jedziemy. Tym nic nie będzie, a my odwiedzimy „Rudego Tomka". Co wy na to?

– Może być, ale jeśli go zechcemy wywieźć do lasu, to już nie ma miejsca. Jak z tyłu siedzi czterech to na podłogę się go nie wciśnie – zauważył praktyczny Zgaga.

– To go upchniemy do bagażnika – powiedział Śruba.

Jechaliśmy chwilę w milczeniu. W końcu Baca odezwał się:

– Lubię taką robotę, ale przydałoby się strzelić ze dwie sety dla kurażu. Od razu inaczej by szło – powiedział patrząc z nadzieją na Śrubę.

– Dobrze, ale po robocie. Obiecałem skrzynkę piwa, jeśli twoje przepowiednie się

sprawdzą, to mogę kupić wódkę, ale najpierw musimy dokończyć robotę, żeby nie narobić po pijanemu głupot – odpowiedział Śruba.

– Jakich głupot? Czy kiedyś po pijanemu narobiłem głupstw? – zaperzył się Baca.

– Dobra, dobra. Powiedziałem, że po robocie, to po robocie – uciął dyskusję nasz dowódca drużyny.

Na parkingu przed hotelem było sporo samochodów, a z sali restauracyjnej dobiegała muzyka. Łatwo zgadnąć. Ludzie bawili się na dancingu.

– Niedobrze – mruknął Śruba.

– Trzeba będzie go jakoś wywabić na zewnątrz – powiedział Lala.

– A jak się nie da, to wyciągniemy go za łeb i też będzie dobrze – mówiąc to Zgaga zatarł ręce z uciechy. Widocznie bardzo podobała mu się taka robota.

– Tak. Nawet lepiej by to wyglądało – powiedział po namyśle Śruba.

Baca został w samochodzie, a my poszliśmy do hotelu. Stojący w drzwiach restauracji portier zaczął mówić o tym, żebyśmy kupili wejściówki na dancing. Chyba coś mu się w naszym zachowaniu nie podobało, bo umilkł w pół zdania i przestał się czepiać.

– Zaraz wychodzimy – powiedział mu Zgaga.

– Który to „Rudy Tomek"? – zapytał go Śruba.

Portier pokazał na siedzącego przy wejściu grubego rudego mężczyznę. Przy jego stoliku siedział jeszcze drugi, ale szczupły i chyba sporo młodszy. „Rudy Tomek" wyglądał na czterdzieści lat. Mógł być jednak młodszy, a tylko twarz mu się zniszczyła od nocnego życia. Śruba kazał nam zostać przy wejściu, a sam podszedł do jego stolika. Chwilę rozmawiali, a potem obaj zaczęli iść w naszym kierunku. Za nimi szedł jednak mężczyzna, który siedział z „Rudym Tomkiem" przy stoliku. Chyba jego obstawa, nieźle wysportowany sądząc po sylwetce i ruchach.

Śruba z Tomkiem wyszli na zewnątrz, a zaraz za nimi obstawa i my. Szli w kierunku zaplecza hotelu. Podeszliśmy bliżej i usłyszałem zdenerwowany głos grubasa:

– Gdzie ta dziewczyna, co chciała pogadać? – mówiąc to nerwowo oglądał się na nas i swojego goryla.

Śruba nie czekając uderzył go pięścią w twarz, a Misiek złapał za klapy jego goryla i zamroczył uderzeniem „z główki". Otoczyliśmy „Rudego Tomka" z czterech stron i każdy starał się gdzieś go uderzyć. Grubas odwracał się i zasłaniał jak mógł, ale niewiele mu to pomogło, bo obrywał ze wszystkich stron. W końcu krzyknął:

– Kurwa, za co?

– Przestańcie na chwilę – powiedział Śruba i zapytał Tomka. – Nie wiesz za co? A kto wysłał tych dwóch palantów, żeby dziewczynę pobili?

– To nie żadne palanty. Zaraz tu przyjdą, wtedy zobaczycie – próbował blefować grubas.

– Nie przyjdą, bo już widzieliśmy się z nimi i ledwo na oczy patrzą po tym spotkaniu. A ty nie blefuj tylko mów, czego chcesz od tej dziewczyny? – głos Śruby był spokojny, ale jednocześnie zimny.

"Rudy Tomek" przez chwilę stał między nami i patrzył z nadzieją jak jego goryl zaczyna się podnosić. Przerażony otworzył szeroko oczy, gdy zobaczył jak Misiek kopie podnoszącego się w twarz i poprawia drugim kopniakiem w żebra.

– Kto wy, kurwa, jesteście? – zapytał i w jego głosie słychać było teraz wyraźnie strach.

– Armia Zbawienia – powiedział Śruba spokojnie.

Po chwili złapał grubasa za klapy i zmienił ton na gniewny. – Mów, kurwa, czego chcesz od tej dziewczyny, bo za chwilę nie będziemy tu rozmawiali, tylko będziesz dyndał na drzewie.

– Nic od niej nie chcę. To była moja dziwka, ale mi uciekła. Chciałem, żeby wróciła, ale jak się tak sprawy mają, to już jej nie chcę.

– Nic od niej nie chcesz? Obiecujesz? – pytał Śruba.

– No pewnie! – „Rudy Tomek" dalej się bał. Słychać to było w głosie.

– No to się rozbieraj! – powiedział Śruba wyjmując z kieszeni krótki pistolet i przeładowując go.

W pierwszej chwili myślałem, że to P-64, ale chwilę później rozpoznałem pistolet TT, czyli tzw. tetetkę. Skąd Śruba ma taką broń? Przecież żaden milicjant takiej na stanie nie ma. Czyżby nielegalna?

Podczas gdy mnie przebiegały te pytania przez głowę, „Rudy Tomek" o nic już nie pytając rozbierał się. Jego przerażone oczy były utkwione w pistolet i praktycznie nie odrywał ich od lufy. Gdy stał już całkiem goły, Śruba ze stojącego w pobliżu fiata odkręcił antenkę.

– Kładź się i pamiętaj, że to jest tylko zapowiedź tego, co się spotka, jeżeli jeszcze raz będziesz się czepiał tej dziewczyny.

Grubas posłusznie położył się na asfalcie, a Śruba schował broń i zaczął leżącego bić antenką z całej siły po tyłku i plecach. Nie mogłem na to patrzeć. Cienka antenka za każdym uderzeniem przecinała skórę i pokazywała się krew. Na szczęście, od wejścia do hotelu ktoś nadchodził. Śruba rzucił antenkę, zabrał ubranie „Rudego Tomka" i pobiegliśmy do samochodu. Baca widząc nas nadbiegających uruchomił silnik i bez słowa ruszył z parkingu jak szatan, nie zapalając świateł. Gdy odjechaliśmy spory kawałek, zapytał:

– Gdzie jedziemy?

– Do Glusia pod willę – powiedział Śruba i zaczął po sztuce wyrzucać przez okno zabraną grubasowi garderobę.

Zauważyłem, że obszukał dokładnie kieszenie, a gdy znalazł portfel, wyjął z niego pieniądze, a resztę z dokumentami wyrzucił.

– No! Dzisiaj funduje „Rudy Tomek" – powiedział po przeliczeniu tych pieniędzy.

– Dużo miał? – zapytał Zgaga.

– Dwieście tysięcy.

– To skurwysyn! Nieźle wychodzi na tych dziwkach – podsumował Baca.

– My też na tych robotach „po cichu" – roześmiał się Śruba. – Tylko przy Śluzie ani mru, mru o tych pieniądzach.

Pokiwaliśmy głowami, że to zrozumiałe.

Przetrzymaliśmy do końca tę służbę. Po nas willi pilnowała jeszcze drużyna trzecia. Na popołudnie szef rejonówki wyznaczył dwóch ludzi od siebie. Mieli tylko obserwować i w razie czego wezwać radiowóz. Nie zaszło jednak nic, co by ich do tego zmusiło. Widocznie nasza praca była skuteczna, bo później też nie słyszałem, żeby dziewczyna miała kłopoty. Kłopoty za to mieliśmy my. Okazało się, że nie tak łatwo przepić dwieście tysięcy i chyba przez trzy dni chodziliśmy zawiani, aż w końcu Śluza się zdenerwował. Na jedną drużynę mógł przymknąć oko, ale pił cały pluton. Zrobił nam „bieg straceńców", po którym połowa o mało nie wyzionęła ducha, a nasza drużyna szczególnie. My piliśmy za pieniądze „Rudego Tomka", ale reszta plutonu nie miała chyba takich lewych pieniędzy do przepicia. Prawdopodobnie naszła ich ochota i pili za swoje.

* * *

Przez te dni zastanawiałem się jak zagadnąć Śrubę o tetetkę, którą straszył alfonsa. Nie chciałem pytać wprost. Po tym, jak Zgaga uprzedził mnie, żebym nie pytał o bicie „solidarnościowców", bałem się, że i tutaj jest jakaś tego typu tajemnica i Śruba się zdenerwuje. Domyślałem się dobrze. Tajemnica była, ale nie zdenerwował się, tylko westchnął:

– To do tej pory nikt ci tego nie wytłumaczył? Nie było komu?

Pokręciłem przecząco głową.

Siedzieliśmy u mnie w pokoju oglądając jakiś nudny film. Śruba zapalił papierosa:

– W każdej drużynie mamy po cichu taką lewą giwerę. To dla własnego bezpieczeństwa kiedyś żeśmy sobie załatwili. Czasami podczas roboty może się zdarzyć, że któryś z nas zastrzeli nie tę osobę, co powinien. Taki błąd może się zdarzyć najlepszemu. Wtedy jedyne wyjście to wsadzić trupkowi w łapę jakąś lewą giwerę i tłumaczyć się przed prokuratorem, że wyjął broń i dlatego padł strzał. To jedyne wyjście. Przecież nie można pozwolić sobie, żeby dobry chłopak na skutek błędu poszedł do pudła. Prawo jest takie głupie, że nas nie broni, dlatego musimy sami jakoś o siebie zadbać.

– A ja głupi myślałem, że masz na stanie tetetkę – roześmiałem się.

Śruba również się roześmiał i po chwili mówił dalej:

– Darek, słuchaj jeszcze. Mamy teraz trzy sztuki i przydałaby się czwarta na zapas. Gdybyś przy jakimś przeszukaniu znalazł broń, to nie pokazuj tym z rejonówki, którzy z nami będą. Schowaj po cichu i daj mi znać. Załatwię wszystko tak, żeby było dobrze.

– W porządku. Zrobi się – odpowiedziałem zadowolony.

Od tego dnia śmielej wyciągałem broń. Poprzednio bałem się panicznie, że użyję jej niezgodnie z przepisami i pójdę do więzienia. Teraz wiedziałem, że jest szansa na wyplątanie się nawet z najgorszej opresji, czyli zabicia niewinnej osoby. Z taką świadomością łatwiej strzelać, a gdy się człowiek nie boi, łatwiej trafić i uniknąć błędów. Używałem później broni i wiem, że potrzebny był przede wszystkim spokój.

Śluza chyba naprawdę się na nas zezłościł, bo oprócz biegu zarządził skoki spadochronowe. Nie tyle mu chodziło o samo skakanie, co o składanie spadochronów. Mimo że był koniec lutego, nastąpiły dni naprawdę mroźne i ręce porządnie grabiały, chociaż spadochrony składaliśmy w hangarze. Skończyłem składać swój i poszedłem pomóc Krzyśkowi Zgadze. Na treningu wybił sobie kciuk i szło mu ciężko. We dwóch skończyliśmy szybko i paląc papierosy przed hangarem czekaliśmy na resztę chłopaków.

– Od jutra już nie będziesz najmłodszy – rzucił jakby od niechcenia Krzysiek.

– Czyżby miał ktoś przyjść do plutonu? – spytałem.

– Tak. Taki młody góral. Oczywiście, jeżeli zda egzamin.

– Coś potrafi, czy taki sobie mocny chłopak?

– Bliżej nic nie wiem. Podobno biega dobrze na długich dystansach i dlatego chcą dać go do nas.

Z lubością zaciągnąłem się papierosem. Przez ostatniej półtorej godziny nie paliłem. Można to było zrobić tylko na zewnątrz. W hangarze palenie było zakazane, bo najmniejsza iskra wypalała dziury w materiale, z którego zrobiona była czasza spadochronu. Dlatego każdy po skończonej pracy wychodził od razu na zewnątrz i palił. Mimo dbałości o kondycję z naszej drużyny nie palił tylko Śruba i Misiek. Właśnie wyszedł Biały i też od razu sięgnął po papierosy.

– Wiesz coś bliżej o tym nowym, który ma mieć egzamin po południu? – zapytał go Zgaga.

– Pewnie, że wiem – ożywił się Biały. – Przecież to góral, to jak miałbym nie wiedzieć? Odważny chłopak. Silny i biega dobrze. Jasio ma na imię. Wczoraj, na przykład, zagonił psa na śmierć – roześmiał się.

– Przestań pieprzyć bzdury, tylko mów prawdę – obruszył się Zgaga.

– Właśnie, że mówię prawdę – śmiał się Baca. – Chłopak dobrze biega, to wzięli go z kompanii, przenieśli na przewodnika psa. Akurat było miejsce, bo stary przewodnik odchodził na emeryturę. Dali młodego chłopaka, bo pies był trochę zapasiony i trzeba go było rozruszać. Poprzedni opiekun tuż przed emeryturą więcej był na zwolnieniach lekarskich niż pracował. Wcześniej też mu się nie chciało biegać, więc psisko siedziało cały czas w kojcu lub powoli spacerowało na służbach. Gdy Jasiowi powiedzieli, że trzeba psa rozruszać, tak wziął sobie to do serca, że zaraz pierwszego dnia zabrał go do lasu – chyba dla lepszego efektu Baca na chwilę zawiesił głos, zaciągnął się papierosem

i dopiero dokończył. – No i wrócił po godzinie, ale bez psa. Pytają go: „Gdzie pies, uciekł ci? „, a on mówi: „Nie. Ale wziął i zdechł". „Jak to zdechł? „. „Ano leciał, leciał za mną i na dziesiątym kilometrze przewrócił się, drygnął dwa razy i było po nim".

Wzięli taczkę, pojechali na poligon i przywieźli psa. Weterynarz zrobił sekcję zwłok i stwierdził zawał serca. Szef psiarni wściekł się i krzyczał, że Jasio będzie płacić za psa, ale nic mu nie zrobią. Wygonili go tylko na jego kompanię, a teraz ma przyjść do nas.

– Jak będzie lewus do walki, to się długo nie utrzyma. Samo bieganie nie wystarczy – powiedział Zgaga.

– Nauczy się. Widziałem go, to bystry chłopak – wziął nowego w obronę Biały. Jakże by mogło być inaczej. Góral z góralem trzyma.

Ciekawy byłem jak chłopakowi pójdzie egzamin, ale niestety nie mogłem być przy tym. Zaraz po obiedzie, gdy w najlepsze ucinałem sobie drzemkę, moja drużyna jako dyżurująca tego dnia została poderwana na wyjazd do Żor. Jakiś szaleniec porwał dziecko i zabarykadował się z nim na strychu. Nim jednak tam dotarliśmy, wariat uwolnił dziecko i poddał się miejscowym milicjantom. Informację na ten temat dostaliśmy przez radiostację, więc nie dojeżdżając do Żor zawróciliśmy do jednostki. Miałem nadzieję, że jeszcze zdążymy przynajmniej na egzamin między tarczami. Niestety, gdy wróciliśmy, było już po wszystkim i w moim pokoju na sąsiednim łóżku leżały rzeczy nowego lokatora. Ledwo zdążyłem położyć swój majdan, gdy wszedł Śluza z niedużym, szczupłym chłopakiem. Pierwszą rzeczą rzucającą się w oczy był potężny, prawdziwie góralski nos. Potem dopiero zauważyłem lekkie zgarbienie sylwetki i krzywe, po ułańsku pałąkowate nogi. Później przekonałem się, że w środku tej brzydkiej, prawie pokracznej sylwetki bije szczere, wielkie serce. Pierwsze wrażenie było jednak niezbyt pozytywne. Śluza przedstawił nas, palnął jakiś banał o dobrym współżyciu i poszedł.

* * *

Tego dnia nie pogadałem sobie z Jasiem. Ledwie zamieniłem z nim parę zdań pomagając się rozpakować, gdy jak wicher wpadł do sali Baca. Zakręcił się, powiedział, że na razie porywa ziomka i gdzieś obaj poszli. Poszedłem trochę poćwiczyć. Po treningu od chłopaków z drugiej drużyny dowiedziałem się, że Jasiowi egzamin poszedł nie najlepiej. Na macie cieniutko, strzelanie też słabo, chociaż między tarczami wytrzymał bardzo dobrze. Najlepiej poszło mu bieganie. Podobno Śluza patrząc na jego technikę i tempo biegu aż piał z zachwytu. Chłopak mógłby resztę egzaminu oblać, a i tak by przeszedłem dzięki bieganiu.

Wróciłem do sali przed kolacją. Jasia jeszcze nie było, więc jeść poszedłem sam. Zacząłem się o niego martwić dopiero po 21-ej. Nie było jednak o co. Wrócił o dziesiątej spity jak bela. Mruczał coś pod nosem zdejmując buty i odpinając pas z bronią. Podszedł potem do mnie. Przypatrywał się chwilę w skupieniu widocznie chcąc skojarzyć z czymkolwiek moją osobę.

– Przepraszam pana… – wybąkał w końcu.

– Nie ma za co – odpowiedziałem.

– Tak? ! To piknie bardzo. Dobranoc.

Odwrócił się i poszedł do swojego łóżka. Położył się w ubraniu i chyba natychmiast zasnął. Przykryłem go kocem, żeby nie zmarzł i sam też poszedłem spać.

Od samego rana zaczęła się awantura. Moja drużyna miała na ten dzień wpisane w programie zajęcia na basenie. Nikogo nie zdziwiło to, że Baca nie przyszedł. Co jakiś czas któryś z zawodowych spóźniał się i nikt nie robił z tego problemu. Tym razem jednak o dziesiątej wpadł na basem Śluza. Przeliczył nas i od razu zapytał o Bacę. Śruba wzruszył ramionami mówiąc, że nie wie co się z nim dzieje.

– To go poszukaj! Od tego chyba jesteś dowódcą drużyny, żeby wiedzieć gdzie są ludzie! – objechał go Śluza i poszedł.

Śruba zadzwonił do Bacy do domu. Wrócił zmartwiony, bo żona odpowiedziała, że też chętnie dowie się, gdzie jest jej mąż, bo go od wczoraj rano nie widziała.

Nie odzywałem się, mimo iż sytuacja była coraz bardziej napięta. Jasio też się nie wychylał. Zajęcia biegły normalnym trybem, aż do godz. 12-tej. Przyszedł wtedy znowu Śluza. Chwilę pogadał ze Śrubą i zawołał w końcu nas wszystkich.

– Słuchajcie, chłopcy. Jeśli ktoś wie, gdzie może być Baca, to niech go nie kryje. Sytuacja jest poważna, bo okazało się przed chwilą, że z garaży zniknął BTR. Wczoraj Baca wypisał go o 16-tej, że jedzie na próbę na poligon i do tej pory nie wrócił – powiedział Śluza spokojnie, ale twarz miał zmienioną, chyba ze zdenerwowania.

Uznałem, że nie ma co dłużej czekać, bo albo Bacy coś się stało, albo wyciął taki numer, że za chwilę cała jednostka zostanie postawiona na nogi.

– Wczoraj wieczorem Baca z Jasiem pili. Jasiu widział go ostatni – powiedziałem po namyśle.

Śluza ze Śrubą wzięli młodego na bok i chwilę z nim rozmawiali. Zaraz potem Śruba wybiegł z basenu. Wrócił po dziesięciu minutach. Kazał mnie i Zgadze ubierać się. Potem wsiedliśmy razem z nim do UAZ-a i wyjechaliśmy z jednostki. Śmieszyło mnie, że ani Krzysiek, ani ja nie zapytaliśmy do tej pory dokąd jedziemy. Zupełnie tak jak byśmy wiedzieli, albo jakby nas to nie interesowało. Obaj chyba liczyliśmy na to, że Śruba sam się odezwie. On jednak zajęty prowadzeniem UAZ-a nic nie mówił, tylko wciskał coraz mocniej pedał gazu.

Z jednostki wyjechaliśmy na trasę prowadzącą w kierunku przeciwnym niż do Katowic, czyli prowadzącą w góry.

– Chyba nie pojechał do rodziny? – nie wytrzymał w końcu Krzysiek.

– A właśnie, że pojechał i to nie chyba, ale na pewno. Dzwoniłem na posterunek. Jest u brata i śpi pijany – powiedział Śruba.

– A BTR? – pytał Krzysiek dalej.

– Stoi zaparkowany na podwórku.

– To całe szczęście, że nie nawywijał więcej.

– A jak nie! Przecież musiał. Wczoraj w nocy z bratem pili i zabrakło im gorzały. Baca pojechał na metę BTR-em i chciał wódkę kupić. Idiota. Na boku metrowej wysokości napis „Milicja", a on pojechał na metę po gorzałę. Chłop nie chciał mu sprzedać, to wjechał mu „mrówą" przez płot i dotąd kręcił bączka na podwórku, aż koła wyryły dół metrowej głębokości. Potem wyjechał łamiąc płot w drugim miejscu. Na szczęście brat gdzieś pożyczył wódkę, bo inaczej pewnie by Baca tak do rana szalał i wieś zostałaby bez płotów.

– I co, na skargę ten chłop nie przyszedł? – zapytałem.

– A gdzie tam! Milicjant z posterunku, który mi to opowiadał, mówił, że boją się tam Bacy jak ognia. Podobno jak ich odwiedza, to strzela im pod nogi i nigdy nie wiadomo co zrobi. Milicjant sam się Bacy boi i powiedział, żebyśmy go stąd szybko zabrali, bo jak wstanie na kacu, to dopiero narozrabia. – Śruba na koniec zaczął się śmiać.

– No to Baca znowu będzie plutonowym. Znowu go zdegradują – powiedział Krzysiek.

– A co, już go kiedyś degradowali? – zapytałem.

– Kilka razy, za numery po wódce. Jak z nim pracuję, już był dwa razy sierżantem i dwa razy plutonowym. Tego sierżanta, co teraz nosi, dostał siódmego października na Święto Milicji w zeszłym roku, czyli parę miesięcy temu – wyjaśnił Krzysiek.

– Kiedyś nawet zdegradowali go i awansowali za to samo – odezwał się Śruba.

– To chyba niemożliwe? – spytałem zdziwiony.

– Możliwe, możliwe. Działaliśmy wtedy w Krakowie i Baca jeździł dla postrachu BTR-em. Zapędził się za studentami, wjechał na Wawel i coś tam niewielkiego uszkodził. Zdjęć mu narobili i krzyk się zrobił, że milicja zabytki kultury narodowej niszczy. Szef WUSW na wszelki wypadek zdegradował Bacę, bo bał się, że przyczepią się do niego. Tydzień później przyszedł rozkaz z Warszawy o awansowaniu Bacy za aktywne pełnienie służby. Jak się połapali, co robią, oba rozkazy anulowali i Baca został sierżantem tak jak był. W efekcie ani nie miał awansu, ani degradacji, ale wcześniej rozkazy już były.

– Kiedyś w końcu wywalą go na dobre – powiedziałem.

– Chyba nie. On jedyny w jednostce ma przeszkolenie jako kierowca-mechanik na Bojowe Transportery Rozpraszające. Inni mogą jeździć, ale jak coś siądzie, to jeden Baca się zna. Dlatego go trzymają i tylko straszą degradacjami. Zwolnić nie chcą. Skąd by zresztą drugiego takiego kierowcę-szatana wzięli? – wyjaśnił mi Śruba i zamilkł.

Jechaliśmy parę kilometrów nie odzywając się. Teren zaczął robić się górzysty i zagapiłem się na te zimowe pejzaże. Szkoda mi się zrobiło Bacy. Jak jest trzeźwy, to dobry gliniarz i ogólnie fajny facet. Jak wypije, to wariat i nie ma na niego metody. Gdyby nie wóda, pewnie już dawno miałby stopień chorążego i o wiele lepszą pensję, a tak to

całe życie między sierżantem a plutonowym. Snując te rozważania usnąłem. Obudziłem się, gdy UAZ piął się pod górę coraz bardziej wyboistą drogą. Wjechaliśmy do wioski i przy samym jej końcu z daleka widać było stojącą na podwórku „mrówę".

Baca już nie spał. Siedział z bratem przy stole. Na nasz widok poderwali się obaj.

– Wiedziałem, że przyjedziecie. Miałem już jechać z powrotem, ale bałem się, że się miniemy i na darmo będziecie się błąkać – mówił szybko witając się z nami.

Nie patrzył jednak w oczy, tylko gdzieś umykał wzrokiem. Widocznie wstyd mu było. Śruba nie chciał marnować czasu. Po stwierdzeniu, że BTR nie jest uszkodzony wskoczył do środka, wyjechał z podwórka i ruszył w drogę powrotną. Baca chcąc nie chcąc musiał wsiąść z nami do UAZ-a. Za kierownicą usiadł Krzysiek i ruszyliśmy za Śrubą. Przez całą drogę nasz rajdowiec nie odezwał się nawet słowem. Trochę chyba tak jak ja drzemał, a trochę gapił się bezmyślnie w okno. W jednostce od razu poszedł do Śluzy i po rozmowie z nim zniknął. Nie było czego zazdrościć. Oprócz reprymendy służbowej czekała go jeszcze rozmowa z żoną.

* * *

Zjadłem spóźniony obiad i jakiś taki bez humoru poszedłem do swojego pokoju. Siedział tam Jasio i chyba nad czymś się mocno zastanawiał. Tak przynajmniej wyglądało sądząc po jego minie. W pierwszym odruchu chciałem zapytać co go tak martwi, ale po chwilowym namyśle dałem spokój. Jeśli ma poważny problem, to sam zapyta, a jak nie zapyta, to znaczy, że nie było warto. Położyłem się i zacząłem czytać książkę. Ostatnio któryś już raz smakowałem powoli trylogię Sienkiewicza, co chwila odkrywając fragmenty przegapione lub po prostu odebrane inaczej przy poprzednim czytaniu. Przypomniał mi się Pakulak i żarty z unitarki. Teraz mogłem śmiać się już z tych głupot, ale przedtem były naprawdę przerażające. Obecnie na mojej dawnej kompanii nie było starych kaprali. Skończyli służbę i wrócili do domów. Byli, owszem, inni, przeszkoleni chłopcy, którzy razem ze mną mieli unitarkę. Nie mogłem się przyzwyczaić do ich widoku z dwoma belkami na ramionach. Pamiętam jeszcze jak niektórzy psioczyli na kaprali, a teraz sami nimi zostali i część szkoliła młodą kompanię, a część została na starej, obejmując funkcje dowódców drużyn. Tymi dowódcami byli tylko umownie. Przecież nikt z mojej dawnej kompanii nie słuchałby się takiego, np. kaprala Piekarskiego.

Z tego zamyślenia wyrwał mnie głos Jasia:

– Nie poszedłbyś ze mną do psiarni? Zostawiłek parę zeczy i jakosik samemu głupio mi iść – zapytał.

– Pójdę. Dobra – odpowiedziałem.

Przypomniałem sobie jak sam na początku pobytu w plutonie bałem się wyjść w Uesie na jednostkę.

Niestety, rzeczy Jasia nie zabraliśmy, bo w psiarni był oficer dyżurny, ekipa z rejonówki, jakiś facet po cywilnemu i dwie kobiety.

– Co tu się dzieje? – zapytałem stojącego niedaleko wartownika. Pilnował furtki prowadzącej z terenu jednostki na poligon.

– Awantura na cztery fajerki. A poza tym kabaret. Pani prokurator chce niewinnych milicjantów pozamykać, ale nie takie to łatwe – żartował zadowolony, że ma z kim pogadać.

– A tak bliżej to nie możesz powiedzieć o co chodzi? – zapytałem.

– Mogę – kiwnął głową. – Ta kobieta, która stoi koło pani prokurator i płacze, to dziwka. Przychodziła tu często i dawała chłopakom dupy za parę groszy. Dwa tygodnie temu trafiła jakoś tak, że chłopcy byli mocniej pijani i zrobili sobie konkurs. Kto pierwszy będzie miał amorów dosyć: ona czy oni we dwóch. Zmieniali się na niej, a ta się tylko śmiała, że cały czas jej mało. Któryś się wkurzył, wziął pałkę szturmówkę i wsadził jej między nogi. Tak jej tą pałką dogodzili, że aż przyjeżdżała karetka. Jakiegoś krwotoku dostała. Podobno coś jej w środku porozrywali i leżała do tej pory w szpitalu. Teraz przyjechała do jednostki z panią prokurator, żeby rozpoznać winowajców – wyjaśnił nam obszernie.

– No i jak jej idzie?

– Całkiem nieźle – roześmiał się. – Nikogo nie może rozpoznać, a pani prokurator wścieka się i krzyczy, że ktoś ją tu oszukuje.

– Całe szczęście, że nikogo nie rozpoznała – powiedziałem.

– A jak miała rozpoznać, kiedy cały dawny skład dowódca wysłał na urlop, a ci, których tam widzisz, to nowi chłopcy. Może im się przyglądać, aż oślepnie i tak nic jej to nie da – śmiał się.

Poszliśmy z Jasiem z powrotem do naszego budynku. Bez sensu było się pchać do psiarni wtedy, kiedy tam jest awantura. Jeszcze ze złości baba rozpoznałaby któregoś z nas i dopiero byłby kłopot.

Swoje rzeczy Jasio odebrał następnego dnia. Poszedł tam z Bacą. Baca już był w świetnym humorze i zachowywał się jakby nic nie zaszło. Upiekła mu się nawet degradacja, skończyło się na porządnej reprymendzie od dowódcy jednostki i dowódcy plutonu. Obaj doszli do wniosku, że właściwie nic się nie stało. Baca przetestował BTR-a w terenie górzystym. Jeszcze raz sprawdzili na posterunku, czy nikt nie złożył skargi. Okazało się, że brat Bacy naprawił porozjeżdżany płot, a o żadnej skardze nawet mowy być nie może. Dali więc całej sprawie spokój przyjmując za prawdziwe obietnice Bacy, że to już ostatni raz i że więcej nic takiego się nie zdarzy. Patrzyłem na to wszystko z niedowierzaniem. Nie mieściło mi się w głowie, że komukolwiek takie wybryki mogą ujść bezkarnie. Trochę jednak chyba podziałało, bo Baca przystopował z piciem. Chłopcy z trzeciej drużyny urządzali sobie balety, bo trafiły się im jakieś lewe pieniądze. Zapraszali Bacę, żeby poszedł z nimi, ale odmówił i właściwie uciekł. Schował się w sali gimnastycznej przed kusicielami i wyszedł dopiero wtedy, gdy upewnił się, że poszli sobie.

Nasza drużyna miała znowu spokojniejszy okres. Na naszych dyżurach nic się nie działo, a gdy już mieliśmy jakąś robotę, to tak prostą i niekłopotliwą, że była wykonywana prawie dla relaksu. Za to trzecia drużyna żyła na wysokich obrotach. Non stop coś się u nich działo: od regularnej bitwy, którą stoczyli z grupą Cyganów, gdy chcieli zatrzymać jednego z nich, aż do zastrzelenia kłusownika-bandyty. To ostatnie zdarzenie było głośno komentowane w jednostce. Kłusownik zastrzelił leśniczego, który przyłapał go z zabitym dzikiem. Drużyna Białego ruszy w pościg za nim. Prowadził ich miejscowy przewodnik z psem tropiącym. W pewnym momencie ktoś wygarnął do nich śrutem. Ranny został przewodnik i zginął pies. Chłopcy odpowiedzieli ogniem. Kłusownik nie pozostał im dłużny i musieli pokłaść się na ziemi. Wtedy Strąk – snajper drużyny – dojechał do nich ze swoją bronią. Przez pół godziny bezwzględny bandyta strzelał do otaczających go w lesie chłopaków, a szef miejscowej rejonówki sprzeciwiał się użyciu snajpera i krzyczał przez radiostację, że osobiście dopilnuje, żeby trafili do więzienia, jeśli to zrobią. W końcu Strąk trzasnął gościa między oczy na swoją odpowiedzialność. Okazało się potem, że zrobił to prawidłowo i zgodnie z przepisami, a szef asekurant bał się podjęcia decyzji. Biały jako dowódca drużyny dostał od dowódcy jednostki opieprz. Stary wyjaśnił mu, że jest niezależny w swoich decyzjach i nie powinien oglądać się na jakiegoś przestraszonego szefa, tylko robić swoje. Jednogłośnie przyznaliśmy dowódcy rację. Biały gryzł się tą sprawą przez jakiś czas, ale w końcu wszyscy zapomnieli i rozeszło się trochę po kościach.

Pomogła w tym akcja w Rybniku. Ktoś napadał na ulicy na samotnie idące kobiety. Chłopcy z RUSW-u dwoili się i troili nie mogąc wpaść na jego trop. Mężczyzna działał w różnych rejonach miasta, najczęściej na spokojnych uliczkach o małym natężeniu ruchu. W mieście zapanowała psychoza strachu. Powodem napaści zawsze była kradzież. Żadnych gwałtów, tylko kradzież portfela i biżuterii. Robił to jednak bardzo brutalnie, bijąc i np. wyrywając kolczyki z uszu.

W mieście pełno było mundurowych i milicjantów po cywilnemu. Podobno nawet część funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa dostała polecenie włączenia się do polowania na bandytę. W końcu nas też zaangażowali do tej roboty. Na każde popołudnie i noc z naszej jednostki przyjeżdżała kompania ludzi, ściągnięto jednak jeszcze nas. Popołudniami i co noc jedna drużyna działała w Rybniku. Oprócz dwóch patroli zmotoryzowanych, liczących po trzy osoby w UAZ-ie, dorzucali po jednym komandosie do radiowozu miejscowych milicjantów. Ponieważ na noc rejonówka wystawiała cztery patrole zmotoryzowane, powstała taka sytuacja, że każdy radiowóz był obsadzony przez trzy osoby, w tym jedną specjalnie przeszkoloną. Miejscowy półświatek przeżywał ciężkie chwile. Nie dość, że na terenie miasta pełno byli milicjantów, to jeszcze na różnych

melinach co chwilę jakiś patrol sprawdzał towarzystwo, które tam się zebrało. Śmialiśmy się, że niedługo złodzieje sami złapią tego, który napada i przyprowadzą go do RUSW-u, żeby mieć wreszcie spokój.

Uważałem, że udało mi się i dobrze trafiłem. Pierwszą nockę jeździłem polonezem z sierżantem i kapralem, którzy robotą przejmowali się normalnie, czyli bez przesady. Kiedy trzeba było jeździć to jeździli, ale kiedy uznali że są zmęczeni, to zaszyliśmy się w najciemniejszym zakątku bocznicy kolejowej i przespaliśmy uczciwie cztery godziny. Na koniec służby dogadaliśmy się, że oni ciągną same nocki w tym tygodniu. Ponieważ mnie czekało to samo, postanowiliśmy w miarę możliwości jeździć razem. Na następną służbę prowadzący odprawę wpisał nas razem i zadowoleni ruszyliśmy w rejon. Okazało się jednak, że tylko poprzednia służba była taka spokojna i udało się w jej trakcie trochę pospać. Tej nocy sytuacja była całkowicie inna. Zamiast zastanawiać się, gdzie jechać, zwijaliśmy się jak w ukropie. Mieliśmy ten sam rejon, ale wydawało się, że to inne miasto. Przez godzinę zaliczyliśmy trzy interwencje, uspokajając dwóch pijanych facetów i wprowadzając do domu kobietę z dwójką dzieci, którą pijany mąż wypędził na noc z mieszkania. Kobiecina z dzieciakami mogła w końcu zjeść kolację i pójść spać. Męża zabraliśmy do izby wytrzeźwień, gdzie się awanturował do czasu, aż dostał lanie dwa razy. Pierwszy raz ode mnie i kaprala, a drugi od pielęgniarzy, którzy na dokładkę zamknęli go nagiego w metalowej klatce i dotąd polewali zimną wodą z węża, aż zaczął przepraszać i błagać, żeby go wypuścili.

Następna interwencja zapowiadała się podobnie. Dyżurny podał nam, że pijany mężczyzna wlazł komuś do mieszkania i nie chce wyjść. Jeździliśmy już tylko we dwóch z sierżantem. Kaprala odwieźliśmy do domu, bo służbę miał mieć tylko do północy. Rano szedł do sądu zeznawać jako świadek, więc musiał wyspać się, żeby być jako tako przytomny.

Pojechaliśmy pod adres, który podał nam dyżurny. Mieszkanie było na drugim piętrze i zajmowały je dwie młode kobiety. Okazało się, że rzeczywiście w pokoju w fotelu śpi jakiś mężczyzna. Zaczęliśmy go budzić, ale był mocno pijany, bo mruczał tylko pod nosem i oganiał się jak przed muchami. Widząc, że nie ma innego wyjścia, wbiłem mu gwałtownie palec pod ucho. Silny ból targnął nim doprowadzając do stanu świadomości. Zaczął coś burczeć i wymachiwać rękoma. Dopiero po chwili zorientowałem się, że próbuje uderzyć sierżanta. Dostał pięścią w żołądek. Wykręciłem mu rękę i kładąc na podłodze zakułem w kajdanki. Trzymałem leżącego czekając, aż sierżant spisze dane personalne kobiet. Patrzyłem na to z boku i coś mi w tej interwencji zaczynało nie pasować. Panie wcale nie wyglądały na zdenerwowane. Przeciwnie – wyglądało na to, że dobrze się bawią. Ubrane w szlafroczki, niby niechcący co jakiś czas błyskały nagimi fragmentami ciała, które co tu gadać było młode i atrakcyjne. Brunetka miała pewnie około trzydziestu lat. Była szczupła i wysoka. Natomiast druga, o jasnych włosach, była pulchna i na pewno kilka lat młodsza. Obie sprawiały wrażenie, jakby trochę wypiły i tak chyba było. W pewnej chwili ze zdziwieniem zauważyłem, że obie mają makijaż na twarzy. Jak to? Idą spać i nie zmywają makijażu? Coś tu jest nie tak.

Wywlokłem potulnego już delikwenta za drzwi, gdy usłyszałem jak brunetka mówi do sierżanta:

– Panowie mają taką ciężką i niewdzięczną pracę. Aż mi was szkoda. Może byście zostali na kawę? My ze zdenerwowania i tak nie będziemy mogły spać, a wam kawa się przyda – mówiła patrząc przymilnie w oczy sierżantowi.

– Nie możemy, proszę panią. Musimy tego pijaka zawieźć do izby wytrzeźwień – opierał się.

– No to jak już go zawieziecie, zróbcie sobie przerwę i przyjedźcie – nie ustępowała, a do zaproszenia przyłączyła się druga.

– Naprawdę bardzo prosimy. Będziemy czekały.

– Panie tak ładnie zapraszają, że nie sposób odmówić – zgodził się. – Dobrze. Za pół godziny będziemy.

W ekspresowym tempie zrzuciliśmy pijanego w „wytrzeźwiałce" i wracaliśmy na kawę.

Sierżant po drodze zatrzymał się przed rejonówką:

– Idę z dyżurnym załatwić, żeby nas przez najbliższe dwie godziny nie wołał – powiedział wysiadając.

Dyżurny podobno trochę się opierał, ale w końcu zgodził się. Po trzydziestu minutach byliśmy pod blokiem, w którym niedawno przeprowadzaliśmy interwencję. Sierżant pozamykał samochód i poszliśmy na górę. Panie bardzo się ucieszyły z naszego powrotu. Oczywiście nadal były w szlafroczkach i nadal całe rozkoszne. Zostałem z blondynką sam, bo tamci dwoje zniknęli w kuchni robić kawę. Moją rozmówczynię interesowało wszystko. Koniecznie chciała obejrzeć bagnet i pistolet. Szczebiotała wypytując ile mam lat i gdzie mieszkam. Siedziała tak blisko mnie, że w pewnej chwili odurzony zapachem kobiecego ciała musiałem wstać z kanapy, żeby jakimś nierozważnym gestem nie popsuć dobrego nastroju.

– Pójdę zobaczę jak nasza kawa – wybąkałem speszony.

Poszedłem do kuchni, ale od progu zawróciłem. Sierżant nie marnując czasu położył brunetkę na stole i zajmował się rzeczami o wiele przyjemniejszymi niż robienie kawy. Nawet nie zadbali o pozory i nie zapalili gazu pod czajnikiem z wodą.

Wróciłem do pokoju i już po minucie okazało się, że moje obawy o popsucie dobrego nastroju poprzez jakiś nierozważny gest były całkowicie nieuzasadnione. Takich „nierozważnych" gestów oczekiwano tutaj ode mnie. Spodziewano się ich nadal ochoczo przez najbliższe dwie godziny. Udało mi się nie zawieść tych oczekiwań, ale tylko dlatego, że dawno nie byłem na przepustce. Tak byliśmy zajęci sobą, że druga para nie za-

uważona przemaszerowała obok nas idąc z kuchni do drugiego pokoju wyposażonego w łóżko, czyli mebel dający więcej możliwości i wygody niż kuchenny stół.

Gdy w końcu udało nam się zrobić kawę i zasiąść do jej picia, dziewczyny wyznały całą prawdę. Okazało się, że wieczór zaczęły w towarzystwie dwóch zaproszonych mężczyzn. Jeden zaraz upił się, a drugi poszedł po wódkę i nie wrócił. Dziewczyny po krótkiej naradzie postanowiły zadzwonić po milicję, żeby zabrała śpiącego w fotelu mężczyznę. Przyznały się, że od razu miały zamiar poderwać gliniarzy, jeśli przyjadą jacyś młodzi i do rzeczy. Brunetka Kasia i blondynka Maria okazały się osóbkami praktycznymi.

– Powiedziałam jej, że wieczór dopiero się zaczął, a zostałyśmy same. Przecież nie pójdziemy szukać wrażeń po mieście. Lepiej zadzwonić po milicjantów. Na pewno przyjadą chłopcy zdrowi i nie jakieś pierdoły, tylko prawdziwi mężczyźni. No i nie pomyliłam się – mówiła Kasia tuląc się do sierżanta.

Niestety, uzgodnione z dyżurnym dwie godziny minęły i musieliśmy wracać do radiowozu.

– Chyba dobrze się spisaliśmy, jeśli zaprosiły nas na jutro? – odezwałem się, gdy schodziliśmy na dół.

– Chyba tak, ale ja nie przyjdę – powiedział.

Zaskoczony nie wiedziałem jak się odezwać.

– Dlaczego? – zapytałem w końcu.

– Wiesz. Tobie wszystko jedno. Dziś tu, jutro tam, a ja tutaj mieszkam. Mam żonę, dzieciaki. Rybnik to małe miasto. Zaraz się rozniesie, że mam kogoś na boku i będą kłopoty. Po co mi to?

– To i ja nie przyjdę – powiedziałem z pewnym żalem.

– Jak chcesz możesz wpaść do nich z którymś z waszych chłopaków. Kaśka będzie pewnie zadowolona, jeśli przyjedzie jakiś chłopak młodszy ode mnie i nie z Rybnika – tłumaczył mi otwierając poloneza.

– Zobaczymy. Pomyślę jakby to zorganizować – powiedziałem raczej dla zachowania twarzy przed sierżantem.

Wiedziałem, że nie przyjdę więcej pod ten adres. Już teraz zaczęły się trochę niejasne wyrzuty sumienia. Iza siedzi sama w domu, a ja urzęduję z jakimiś podciętymi kurwiszonami. Tfu! Poczułem się jakiś brudny i zły.

* * *

Na szczęście dyżurny pogonił nas trochę do roboty i przestałem się nad tym zastanawiać. Przedtem pozostałe załogi działały za nas, teraz nam należało się trochę pracy. Służba jednak szybko dobiegła końca i znowu zbytnio nie przepracowałem się w Rybniku. Po powrocie do jednostki położyłem się, żeby odespać trochę tę nocną służbę. Teraz mogłem kłaść się od razu nie czekając, aż stołówka zacznie działać. Dzięki temu, że był ze mną na

sali Jasio, po obudzeniu się zastawałem na stole przyniesione śniadanie. Przedtem nie zawsze chciało się czekać i szedłem spać. Wstawałem jednak głodny jak wilk, a do obiadu było parę godzin. Teraz dzięki temu, że Jasio był w innej drużynie niż ja mógł mi pomóc w ten sposób, a ja jemu. Śluza przydzielił go do drużyny Białego, czyli do trzeciej. W Rybniku przypadły im w udziale popołudniówki. Na tej właśnie służbie zatrzymany został mężczyzna, na którego polowanie trwało tak długo. Wpadł w sposób bardzo zwyczajny. Po prostu załoga radiowozu wyjeżdżając zza rogu ulicy zauważyła mężczyznę szarpiącego kobietę. Podjechali i po krótkim pościgu zatrzymali go. Na komendzie rozpoznało go kilka kobiet pokrzywdzonych podczas napadów i było już po wszystkim. W Rybniku skończyła się panika, a my przestaliśmy tam jeździć. Ucieszyłem się. Przynajmniej nie będzie mnie kusiło, żeby odwiedzić panienki i będę miał więcej czasu. Nocki zawsze rozbijały każdy plan zajęć. Do południa spałem po służbie. Po południu też drzemałem parę godzin, żeby spanie nie łapało w nocy. I dzień minął. Praktycznie nie było nawet czasu, żeby pójść poćwiczyć.

Od paru dni chciałem wybrać się do lasu. Zaczęła się już wiosna, moja ulubiona pora roku. Wszystko budziło się do życia, a ja w tym roku nie byłem jeszcze w lesie na spacerze. Chciałem po prostu połazić, popatrzeć na młode listki, pierwsze świeżo rozkwitłe kwiaty i uwijające się przy nich, trochę jeszcze ospałe owady. Była to pora roku, kiedy najlepiej się czułem i najchętniej szukałem kontaktu z przyrodą.

Następnego dnia nie było żadnych zajęć i moja drużyna nie miała dyżuru. Mogłem spokojnie urwać się na całe przedpołudnie. Na wszelki wypadek powiedziałem Jasiowi, że idę na poligon. Gdyby się kto pytał, poszedłem pobiegać.

Już pomiędzy pierwszymi drzewami wszedłem w prawdziwy biały dywan zawilców i od razu zapomniałem o wszelkich troskach czy kłopotach. Las oczarował mnie i chłonąłem wiosnę wszystkimi zmysłami. Obszedłem już spory kawał lasu, gdy trafiłem nad oczko wodne, które kiedyś Dyzio ładunkiem wybuchowym pozbawił wody. Teraz pełne po brzegi niczym nie przypominało tamtej małej sadzawki. Naokoło kaczeńce żółtą gęstwiną pokryły każdy kawałek gruntu. Miejscami rosły nawet w wodzie. Pomiędzy liśćmi i kwiatami kotłowało się mnóstwo żab. Część z nich, czy to z braku miejsca, czy też z czystej fantazji szalała nawet na środku wody, chlapiąc i kumkając ile wlezie.

Znalazłem suchy pień, na którym usiadłem, wpatrując się w ten zakątek lasu przez dwie godziny. Przypomniały mi się czasy, kiedy z domu uciekałem nad staw, żeby posiedzieć sobie i popatrzeć. Teraz też dobrze mi to zrobiło. Odpocząłem i przy okazji wpadłem na pomysł, żeby w drodze powrotnej z poligonu zajść do Jurka Wandzika. Miałem nadzieję, że nie pojechał nigdzie ze swoim przełożonym. Okazało się jednak, że dobrze trafiłem. Kierowca dowódcy batalionu siedział rozwalony na krześle w pokoju pisarza tegoż dowódcy. Popijał kawę, palił papierosa i jakby tego było mało – czytał gazetę. Krótko mówiąc – sielanka.

– No nareszcie! Przypomniałeś sobie o starym przyjacielu! – krzyknął, gdy mnie zobaczył. – Nie masz pojęcia jak się cieszę!

Zostawił gazetę, zerwał się i uściskał robiąc tzw. niedźwiedzia.

– Ja też – powiedziałem. – Bałem się tylko, że cię nie zastanę, ale widzę, że miałem szczęście.

Jurek stał i drapał się po głowie o czymś myśląc. Przyjrzałem mu się uważnie. Przytył, zapuścił wąsy, ale dalej był to ten sam wesoły Wandzik – cały czas na luzie. Chwilę jeszcze zastanawiał się, w końcu powiedział:

– Poczekaj chwilę, zapytam starego czy nic dla mnie nie ma i wyskoczymy gdzieś pogadać.

Drzwi do gabinetu dowódcy były uchylone i właśnie w tej chwili pokazał się w nich kapitan Radziejewski.

– Stary nic dla ciebie nie ma, ale jak będziesz, Jurku, mnie tak nazywał, to się pogniewamy – powiedział z uśmiechem.

– Przepraszam, dowódco. Wypsnęło mi się – odezwał się Jurek.

– A gdzie chcesz się urwać? – zapytał Radziejowski patrząc na mnie tak, jakby chciał sobie coś przypomnieć.

– Kolega przyszedł. Nie widzieliśmy się ze trzy miesiące, a razem byliśmy na unitarce i później w jednej kompanii.

Chcemy pogadać. Oczywiście, jeśli dowódca nie ma nic przeciwko temu.

– Razem byliście na szóstej? U Nowakiewicza? – kapitan podszedł do mnie podając rękę.

– Tak jest! – odpowiedziałem strzelając obcasami i podając mu rękę.

– No to jedźcie na godzinkę, jeśli nie widzieliście się tyle czasu – powiedział.

– Równo za godzinę będę z powrotem – obiecał Jurek.

Wartownik przy bramie bez wahania wypuścił nas nie pytając o przepustkę. Zmylił go pewnie ubiór. Facet w Uesie według wszelkich reguł był zawodowym milicjantem, a przepisy mówiły, że samochód może wyjechać z jednostki tylko wtedy, gdy jest w nim zawodowy. Obojętne, czy jako kierowca, czy jako pasażer.

– No, udało się. Gdyby nas zatrzymał, pewnie by się zdziwił, że tak śmiało jedziemy bez przepustki – powiedziałem do Wandzika.

– Najwyżej zadzwoniłby do Radziejowskiego, a i tak musiałby nas wypuścić, bo kapitan by mu powiedział, że jedziemy za jego zgodą – powiedział wzruszając ramionami.

Odjechaliśmy od jednostki nie więcej niż dwieście metrów, gdy Jurek skręcił w prawo i zatrzymał samochód przed małym barem. Wysiedliśmy. Gdy zamykał samochód, dyskretnie odwróciłem się, żeby policzyć ile pieniędzy mam ze sobą. Odetchnąłem z ulgą. Na kilka piw wystarczy. Weszliśmy do prawie pustego lokalu. W kącie siedziało dwóch mężczyzn, poza tym stoliki były wolne. Przy kontuarze baru, nim zdążyłem złożyć zamówienie, Wandzik krzyknął:

– Panie Marku. Klienci przyszli!

Z zaplecza wynurzył się barman i Jurek szybko powiedział coś mu na ucho. Ten pokiwał tylko głową i zapytał:

– A teraz co podać?

– Po piwku – powiedział Jurek.

Siedliśmy przy oknie, żeby widzieć nyskę. Nigdy nie wiadomo, kiedy ktoś zechce się wygłupić i np. pospuszczać powietrze.

– Często tu bywasz? – zapytałem.

– Prawie codziennie, bo dowódca lubi piwo – roześmiał się.

– Chyba nieźle z nim żyjesz? Na wiele rzeczy ci pozwala – powiedziałem, bo krótka obserwacja wystarczyła, żeby przekonać się, że są ze sobą w układach bardziej koleżeńskich niż służbowych.

– Łaski nie robi. Nie darmo go uczę – odpowiedział.

– Czego go uczysz? – zapytałem zdziwiony.

Odczekał, aż barman postawi przed nami piwo i dopiero odpowiedział:

– Wszystkiego, co sam umiem. Całej szulerki.

– Wróciłeś do zawodu?

– Tak i dlatego właśnie Radziejowski ściągnął mnie na swojego kierowcę. Ograłem jego pisarza i ten się wygadał. Wiesz, jakiego pietra miałem, gdy mnie wezwał wtedy do siebie? Myślałem, że ze strachu w gacie narobię – opowiadał ze śmiechem. – Potem okazało się, że chce, żebym go poduczył. Lubi karty, tylko grać ni cholery nie umiał. Ciągle go cwaniaczki ogrywali. Długów miał co niemiara i nie wiedział co robić.

– No, ale teraz pewnie nieźle mu się powodzi?

– Całkiem, całkiem. Odegraliśmy co swoje. Kupił sobie samochód, a ja parę groszy uciułałem przy tej okazji.

– Ty się chyba nigdy nie zmienisz? – roześmiałem się.

– A po co? Jak się przekonałem, że i w milicji można grać i jakoś kręcić, to nie ma dla mnie przeszkód, Darek. W święta grałem z kapitanem i paroma majorami z Komendy Wojewódzkiej. A wiesz, gdzie graliśmy?

– Skąd mam wiedzieć?

– W rejonówce w Zakopanem, bo w hotelu nam przeszkadzali. Przecież jak wrócę po wojsku, to mnie żadna siła nie ruszy. Chyba, że bomba atomowa – odpowiedział podekscytowany.

– To fajnie, że ci się tak ułożyło – tylko nie ogrywaj za mocno, bo się wkurzą i skończy ci się fart.

– Coś ty! Z reguły przegrywam – zrobił do mnie oko. – Oczywiście do Radziejowskiego, a później się dzielimy, ale przegrywam i nikt do mnie nie może mieć pretensji.

Napił się i ręką pokazał barmanowi, żeby podał jeszcze dwa.

– No, ale gadamy tylko o mnie, a jak tobie się układa w plutonie? – zapytał.

– Powiem ci, że całkiem nieźle. Lepiej na pewno niż w kompanii. A w ogóle to chyba zostanę na zawodowego po wojsku.

Patrzył na mnie przez chwilę rozbawiony.

– No to ładnie. Wzięli cię na przymus, a teraz chcesz zostać na stałe. Czemu tak się porobiło?

– Żenić się chcę po wojsku. Wiesz, nie mam żadnego zawodu ani pomysłu na forsę. Na mieszkanie też nie mam żadnych perspektyw. – Jurek siedział i patrzył na mnie z niedowierzaniem. Widząc jego minę przestałem mówić. Barman podał piwo i Wandzik wyjął pieniądze, żeby zapłacić.

– Jurek, ale… – zaprotestowałem.

– Żadne ale. Ja zaprosiłem, to płacę i koniec – powiedział stanowczo, a gdy kelner odszedł zaczął mówić dalej. – Słuchaj, ja nie dałbym się wciągnąć na stałe do tej firmy za żadne pieniądze. Wkurwia mnie ta instytucja tak bardzo, że ledwo mogę chwilami wytrzymać. Pieprzą o ściganiu przestępców, oddaniu dla ojczyzny, o zaszczytnej służbie, a potem jeden drugiemu świnię podkłada jak może. Kradną i biorą łapówki gdzie się da. W karty jakby mógł, toby jeden drugiemu ostatnią złotówkę wyssał. Powiem ci, że takiego skurwysyństwa to nawet między szulerami nie ma.

Przestał na chwilę mówić, więc miałem szansę się odezwać.

– Ja mam całkiem inne doświadczenia. U mnie chłopaki są tacy jak potrzeba. Po prostu dobrzy kumple i tyle. O żadnych świństwach nie słyszałem i mnie nie spotkały. Może to ty, Jurek, trafiłeś na jakieś chujowe towarzystwo?

– Może i tak – odpowiedział, ale nie wypadło to szczerze.

Rozmowa się urwała i w milczeniu dopiliśmy piwo. Jurek jeszcze coś pogadał z barmanem i poszliśmy do samochodu.

– Wieczorem mamy przyjechać tu na karty i stąd te szeptanki – powiedział jakby tłumacząc się.

– W porządku. Nie musiałeś mówić i tak zgadłem.

– Rasowy gliniarz robi się z ciebie.

– A z ciebie kiepski szuler, bo nie umiesz trzymać języka za zębami – przyciąłem mu się za tę pogardę dla milicji.

Spoważniał.

– Wiesz, Darek, że masz rację. Ostatnio coś się za pewnie czuję i chlapię jęzorem. Żebym tylko sobie czegoś na grzbiet nie wychlapał.

– O mnie możesz się nie bać. Ja kolegów nie ładuję, ale jak by tu był kto inny, to nie wiadomo. Wiesz, że za hazard ostro karzą.

– To prawda. Będę ostrożniejszy – odpowiedział.

Dojechaliśmy do jednostki i podwiózł mnie pod budynek plutonu.

– Nie daj się złapać – powiedziałem podając mu rękę na pożegnanie.

– A ty zastrzelić – odpowiedział i pojechał.

Gdy analizowałem rozmowę z Jurkiem, nie mogłem się pozbyć myśli, że między nami powstała przepaść, której nie da się już zasypać. Trochę żałowałem, że zwierzyłem mu się ze swoich planów. Z drugiej zaś strony dowiedziałem się co on na ten temat myśli. Trochę racji miał, ale nie ze wszystkim mogłem się zgodzić. Zresztą moje postanowienie, że zostanę w milicji jako zawodowy, nie powstało dlatego, że mi się w niej tak strasznie podobało. Po prostu taka jest konieczność życiowa i już. Nie musi mi się wszystko podobać. Wystarczy, że da się wytrzymać.

* * *

Po obiedzie siedziałem sam w pokoju. Spać mi się nie chciało, więc wziąłem się za czytanie książki. Po chwili odłożyłem ją. Znowu przyszedł mi do głowy Jurek i jego zachowanie. Przecież to notoryczny przestępca – pomyślałem. – Cały czas kombinuje tylko jak bez ryzyka kogoś oskubać i jak wyrobić sobie układy na „po wojsku", kiedy wyjdzie z ZOMO.

Ostatecznie nic mnie z nim wielkiego nie łączyło. Lubiłem go i trochę razem przeszliśmy. To wszystko. Ani on specjalnie nie starał się podtrzymywać naszych kontaktów, ani ja o to nie zabiegałem. Byliśmy od siebie o kilkaset metrów i przez parę miesięcy nie było jak się spotkać. W szpitalu też mnie nie odwiedził.

W końcu doszedłem do wniosku, że nie ma co się przejmować opinią takiego „przyjaciela". Nagle chrobotnęła klamka i otworzyły się drzwi do sali.

– Co tak siedzisz sam? – zapytał Zgaga wchodząc.

– Tak jakoś nie w sosie jestem. Chcesz kawy?

– Mhm. Co się stało, że humoru nie masz? – dopytywał się.

– Widziałem się z kolegą z unitarki. Kiedyś byliśmy kumplami, a teraz jakoś się pochrzaniło.

– Ja też tak miałem. Przecież z Białym, dowódcą trzeciej drużyny, byliśmy kiedyś jak bracia syjamscy. Gdzie jeden, tam i drugi. Potem Biały się ożenił, został dowódcą i tak się między nami popieprzyło, że teraz rozmawiamy ze sobą tylko wtedy, kiedy musimy – umilkł na chwilę, patrząc jak zalewam kawę. – Słyszałeś, jaki wyrok dostał ten lekarz, którego Biały skasował? – odezwał się znowu.

– Nic nie wiem o żadnym lekarzu – powiedziałem zdziwiony.

– A racja. Ciebie nie było jeszcze w plutonie, gdy ona rodziła. Białego żonę złapały bóle porodowe w drodze od matki na przystanku autobusowym. Ludzie zadzwonili po karetkę i dziewczyna trafiła do szpitala w Sosnowcu, bo do naszej polikliniki w Katowicach nie zdążyliby jej dowieźć. Jak ktoś dzwonił po karetkę, to ona uprosiła, żeby zadzwonił też tutaj i powiadomił męża. Od razu wskoczyliśmy z Białym do UAZ-a i na sygnale popędziliśmy do Sosnowca. W szpitalu nikt nas nie zatrzymywał przy wejściu.

Chyba wyjrzał jakiś cieć, ale zobaczył mundury i dał spokój. Wbiegliśmy na oddział położniczy i akurat na korytarzu, na łóżku leżała żona Białego. Dziewczyna czekała już, żeby wjechać na salę porodową. Krzyczała z bólu jak nie wiem co. Podchodziliśmy już do niej, kiedy odezwał się lekarz. Stał plecami do nas przy jej łóżku. Dziewczyna krzyknęła, a ten do niej:

– Czego kurwo krzyczysz? Było się nie pieprzyć jak kotka, to teraz by nie bolało.

Mówię ci Darek, mnie dosłownie zamurowało, a Biały aż pobladł. Podszedł do tego konowała, odwrócił twarzą do siebie i jeden jedyny raz trzasnął go pięścią w szczękę. Takiego haka ani wcześniej, ani później nawet na meczach bokserskich nie widziałem. Położnika poderwało do góry i obsunął się na podłogę. Złapałem Białego wpół i odciągnąłem do wyjścia z oddziału, a potem sprowadziłem do UAZ-a.

– A co z jego żoną? – zapytałem.

– Wróciłem tam zaraz, ale już było tam kupę innych ludzi, także drugi ginekolog, tym razem kobieta. Najpierw się przestraszyli, gdy mnie zobaczyli, ale później ordynator rozmawiał ze mną. Powiedziałem mu co się stało, a on poinformował, że położnik ma chyba połamaną szczękę i lekkie wstrząśnienie mózgu.

– No to nieźle mu Biały przyładował.

– Chyba z wściekłości tak mu wyszło. Na drugi dzień po porodzie jego żonę z synkiem przetransportowali do naszej polikliniki. Potem zaczęły się przesłuchania w tej sprawie, bo ordynator szpitala z Sosnowca złożył zawiadomienie o pobiciu. Sprawy się ciągnęły do tej pory, bo ten niby pobity skurwysyn nie mógł z początku zeznawać. Całą szczękę miał na drutach i tylko jęczał zamiast mówić. Potem dopiero zaczął oskarżać Białego, że go napadł, a mnie, że mu pomagałem. Mówię ci – cyrk. Sędzina jednak nie dała się nabrać. Białego uniewinniła twierdząc, że działał w afekcie. Lekarz za podejście do pacjentów, a właściwie za ubliżanie żonie Białego dostał półtora roku w zawieszeniu na trzy lata i na pięć lat pozbawienie prawa do wykonywania zawodu. Na rozprawie powiedziałem sędzinie i ławnikom wprost: „Podziwiam opanowanie Białego". Miał przy sobie broń i mógł zastrzelić. Ja na jego miejscu pewnie bym się nie opanował. Gdyby wystartował z takim tekstem do kogoś z moich bliskich, po prostu nie wyobrażam sobie do czego byłbym zdolny.

– Masz rację, też uważam, że Biały delikatnie go potraktował – powiedziałem.

Krzysiek przez jakiś czas milczał wpatrując się w okno.

– Szkoda, że z Białym jakoś nam się nie ułożyło. Było przedtem całkiem fajnie, a teraz sam mota się z problemami – powiedział Krzysiek po namyśle.

– Pewnie, że lepiej mieć kogoś z kim można pogadać. Powiem ci, Krzychu, że jakoś nie wyobrażam sobie ciebie i Białego jako kumpli. On mi jakoś nie pasuje. Po tym jak się popisał przy strzelaniu do kłusownika, całkiem u mnie podpadł. Śluza powinien go zdjąć z dowódcy drużyny, bo przez takiego asekurant może ktoś oberwać.

Sam się przestraszyłem tego, co powiedziałem i żeby jakoś zatuszować tę zbyt ostrą krytykę dodałem: – No, może mi się tylko tak wydaje. Parę miesięcy jestem w plutonie i jeszcze się nie znam.

– Dobrze mówisz. Też uważam, że Biały za bardzo się asekuruje. Wolę się nie odzywać na ten temat. Mnie nie wypada. Śluza wyznaczając go na dowódcę drużyny miał do wyboru jego i mnie. Wybrał Białego, więc mnie teraz nie wypada go krytykować. Zresztą, niech się chłopaki z trzeciej drużyny martwią. Oni z nim pracują…

– Chyba już odzywają się do niego? – zapytałem, bo wiedziałem, że po tych zajściach przy zatrzymaniu kłosownika cała drużyna była obrażona na swojego dowódcę.

– Jak muszą, to się odzywają, ale atmosfera w tej drużynie, nie jest za dobra. Jeśli tak potrwa dłużej, to Śluza będzie musiał coś zrobić – powiedział Krzysiek.

Dopił kawę i zbierał się do wyjścia.

– Dzięki, że wpadłeś. Zawsze lepiej z kimś pogadać niż samemu gryźć się z problemem – powiedziałem podając rękę na pożegnanie. Uśmiechnął się i wyszedł.

Z tej rozmowy wyciągnąłem wniosek, że Zgaga jest okropnie zawistny. W tym, co mówił o Białym, było wiele żalu o to, że Śluza wybrał jego, a nie Krzyśka i dlatego pewnie się popstykali. Cholera, czy ja kiedyś też będę taki? Tylko kariera, kariera i nic poza tym? Postanowiłem sobie, że tak nie będzie. Nie dam się.

Przez najbliższe dni próbowałem częściej gadać z Jasiem. Tak jednak się wszystko układało, że bardzo rzadko się widywaliśmy. Jasio dużo biegał. Do roboty i na szkolenie chodził z inną drużyną, a najwięcej czasu spędzał z Bacą. Ja też często ćwiczyłem, więc nawet popołudniami mijaliśmy się, wymieniając tylko jakieś zdawkowe uwagi.

W tym czasie w plutonie działy się dziwne rzeczy. Mieliśmy mało roboty, więc Śluza kombinował jak znaleźć nam zajęcie. Namawialiśmy go na skałki, ale powiedział, że dowódca jednostki na razie nie zgodzi się, bo niedawno byliśmy w górach. Z braku zleceń z rejonówek zgłosił swoją propozycję, żeby zatrudnić nas do konwojowania niebezpiecznych przestępców. Oczywiście, szef WUSW-u przyklasnął takiej propozycji zadowolony, że ktoś na ochotnika chce brać odpowiedzialność za przewożenie groźnych bandziorów. Chłopcy byli wściekli i wcale nie kryli tego.

– Niedługo będziemy zajmować się przede wszystkim przeprowadzaniem starych babek przez ulicę. Najpierw w Rybniku dowódca robi z nas pluton patrolowy, a teraz pluton konwojowy. Do dupy z taką robotą! – powiedział Jajco do Śluzy, kiedy ten ogłosił nam nowiny na temat konwojów.

Popsioczyć mogliśmy sobie, ale to nic nie zmieniło. Konwojować musieliśmy i już. Nie było znowu tych konwojów tak wiele. Trafiły się dwa czy trzy w miesiącu dla jednej drużyny. Dowoziliśmy z aresztu lub zakładu karnego do sądu na rozprawę i bardzo często byli to starzy znajomi, czyli przez nas zatrzymani. Konwoje okazały się nie takie znowu złe. Przynajmniej mnie sporo dały. Obserwując rozprawy w sądzie trochę nauczyłem

się prawa i miałem pojęcie o prawdziwie milicyjnej robocie. Większość rozpraw była nudna, ale niektóre trzymały w takim napięciu, że najlepszy film kryminalny wysiada. Czasami przewoziliśmy też ludzi z RUSW-u do RUSW-u, a nawet z izby wytrzeźwień do rejonówki. W trakcie takiego konwoju z izby zwróciłem uwagę na to, że facet ma porozrywane nogawki od spodni. Był to zapaśnik, który gołymi rękom zadusił kogoś w knajpie. Przy zatrzymaniu zdemolował dwa radiowozy i wysłał na zwolnienie lekarskie trzech milicjantów. Przyjechaliśmy po niego we czterech, ale człowiek był potulny jak baranek i nie widać było po nim nawet wspomnień po wczorajszym szale. Gdy wsiadł do samochodu, przyjrzałem się dokładniej jego spodniom. Były podarte i pokrwawione z tyłu na obu nogawkach, od kolan w dół. Ale tylko z tyłu widać było powyrywane dziury i zakrzepłą krew. Nijak nie udało mi się pojąć w jaki sposób mogły powstać te dziury. Domyślałem się, że łydki też musi mieć nieźle poharatane, bo ledwo dał radę przejść z budynku „wytrzeźwiałki" do samochodu.

– Co się panu w nogi stało? – zapytałem go gdy samochód ruszył.

– Niech pan nawet nie pyta. To wczoraj pana koledzy byli tacy mądrzy. Posadzili mnie na siedzeniu w starze i kazali siedzieć grzecznie. Zapomnieli, że pod spodem siedzi pies bez kagańca. Gdy ruszyłem nogą, ten mnie cap zębami za łydkę, a później to już nawet bez ruszania. Wystarczyło, że samochód podskoczył na wybojach, a ten już mnie gryzł.

– No to nie mógł pan powiedzieć, że tam jest pies? – zapytałem.

– Z początku myślałem, że specjalnie tam go wsadzili. Nic nie mówiłem. Potem jak zacząłem krzyczeć z bólu, to jeszcze dostałem parę razy, więc wolałem nic się nie odzywać. Pilnowałem, żeby nogi były nieruchome, bo jak były w bezruchu, to nie gryzł, tylko leżał spokojnie.

Siedzący obok mnie Misiek aż sobie twarz zasłonił, żeby nie było widać jak się śmieje. Ja też ledwo mogłem się powstrzymać.

Gdy opowiadaliśmy o tym chłopakom w jednostce, nie chcieli wierzyć, ale też uśmiali się porządnie.

* * *

Wszystkie konwoje i inne zajęcia szły jednak w kąt, gdy zaczynała się robota typowa dla nas. Gdy akcja nie była wcześniej planowana, najgorzej wychodziliśmy na tym ja i Jasio. Oprócz drużyny dyżurnej, byliśmy zawsze pod ręką. Jeśli kogoś brakowało albo trzeba było więcej ludzi, wtedy Śluza podrywał nas obu niezależnie od tego, czy nasze drużyny miały dyżur, czy nie. Miało to także dobre strony, bo mogłem popracować z innymi drużynami i zobaczyć, jak one rozwiązują niektóre problemy. Każda z drużyn miała swoją specyfikę i swój klimat, ale mnie i tak najlepiej pracowało się z pierwszą, czyli tą, do której trafiłem. Dlatego bardzo ucieszyłem się, kiedy na dyżurze pierwszej drużyny poderwali nas alarmowo o szóstej rano. Gdy zjechaliśmy wszyscy, Śruba podał przebieg zdarzeń:

– Z jednostki wojskowej w Chorzowie zniknął uzbrojony wartownik. Pewnie nie dalby znać o tym jeszcze do południa, ale o czwartej do rejonówki w Katowicach zgłosiło się małżeństwo, które podwoziło żołnierza z bronią w rejon Pszczyny. Zatrzymał ich w Chorzowie i grożąc karabinem kazał zawieźć się do Bielska Białej. Zanim jednak tam dojechali, wysiadł w lesie jakieś 8 km od Pszczyny. Tam jest duży obszar leśny i chyba na widok tego lasu zmienił zdanie. Tyle w skrócie o tym co było. W tej chwili jedzie do nas radiowóz z Chorzowa i wiezie kilka jego ubrań dla psa do nawęszenia. Spróbujemy pościgu czołowego od miejsca, gdzie dezerter wysiadł. Ruszamy jak tylko przywiozą ubrania. Pytania?

– Skąd pochodzi ten żołnierz? – zapytał Baca.

– Spod Ustronia: Dokładnie z Równicy. – Śruba zajrzał do dokumentów.

– Tak myślałem, że góral – odpowiedział Baca.

– Pewnie będzie chciał się przebijać lasami. W nocy – dodał Misiek.

Załadowani do UAZ-ów czekaliśmy na nysę z Chorzowa. Razem z nami czekała nyska, w której siedział przewodnik z psem tropiącym.

– No! „Tygrysom" nie wpakują do UAZ-a śmierdzącego psa, tylko dają oddzielnie samochód dla niego – zauważyłem z zadowoleniem.

Nawet w takich sytuacjach było widać, że inaczej są traktowani ludzie z plutonu specjalnego w porównaniu z normalnymi zomowcami.

Popatrzyłem na uliczkę prowadzącą do jednostki. Tamtędy powinna nadjechać oczekiwana nyska. Na razie nie było widać nic oprócz normalnego ruchu. Samochód ustawiliśmy przed bramą wjazdową, żeby od razu ruszyć. Siedziałem bezczynnie gapiąc się w bramę. Jednocześnie w końcu ulicy zobaczyłem nysę pędzącą na sygnałach i z drugiej strony oficera dyżurnego biegnącego chodnikiem od bloku dydaktycznego. Śruba wyskoczył z samochodu. Wysiadłem i ja, żeby słyszeć o czym będą rozmawiali. Służbę miał dzisiaj kapitan Sieniawek, starszy już, lekko szpakowaty, ale szczupły i konkretny człowiek.

– Robicie swoje normalnie, tylko macie być cały czas na nasłuchu. Podnoszą właśnie trzy kompanie, to znaczy cały pierwszy batalion. Mają otoczyć teren, na którym znajduje się dezerter. Obowiązuje cię współdziałanie, więc słuchaj stacji, bo będą cię wołać – szybko przekazał Śrubie.

– Dobra. Reszta „tygrysów" też będzie ściągnięta?

– Na razie nic na ten temat nie wiem – odpowiedział kapitan.

Właśnie pod bramę podjechała nysa. Nie czekaliśmy, aż przekażą ubrania, które przywieźli dla przewodnika. Śruba wskoczył do samochodu i ruszyliśmy.

Na drodze do Pszczyny czekał na nas radiowóz w tym miejscu, gdzie wysiadł dezerter. Wysypaliśmy się z samochodów, które zostały na poboczu pod opieką kierowcy ny-

sy. Chłopak był zadowolony. Przywiózł przewodnika i teraz czekało go tylko siedzenie i czekanie zamiast jakiegoś głupiego pościgu.

Pies do nawęszenia dostał dres i dwie podkoszulki. Kręcił się dość długo po poboczu i krzakach, w końcu trochę niepewnie ruszył w las. Po jakimś czasie zdecydował się i zaczął biec. Ruszyliśmy za nim. W lesie była jeszcze poranna mgła, ale przez gałęzie zaczynało przeświecać słońce. Ptaki już się obudziły i nieśmiało świergotały. Patrzyłem na chłopaków. Ciekawe, czy któryś z nich zauważył w lesie wiosnę i to, że ptaki śpiewają? Pewnie tak.

Za przewodnikiem i psem biegliśmy jeden za drugim, bo inaczej w lesie się nie dało. W innym terenie można było inaczej, ale nie tutaj. Pierwszy Śruba, za nim Baca, Dyzio i Lala. Jako piąty biegłem ja, a za mną Misiek, Zgaga i Gluś ze swoją snajperką. Sznurek zamykał Foks. Gdy patrzyłem, w jakiej kolejności biegniemy, przyszło mi na myśl, że każdy z tych chłopaków jest mi w jakiś sposób bliski, coś razem przeżyliśmy i mamy jakieś wspólne wspomnienia. Czułem się tego dnia wyśmienicie. Bieg razem z moją drużyną przez stary las nasuwał skojarzenia o stadzie wilków. Silnych, milczących, sunących spokojnie za zdobyczą. Po żadnym z chłopaków nie widać było jakiegoś podniecenia czy zdenerwowania. Poruszali się spokojnie, pewni swojej siły i sprawności. Pies nie biegł za szybko, czasami przystawał, żeby sprawdzić czy dobrze prowadzi.

– Są ślady wojskowych butów! – krzyknął Śruba, gdy wbiegliśmy na fragment rozmiękłej drogi.

– Dobra jest! Będzie nasz! – odkrzyknął mu Zgaga.

– Albo nie będzie! – odkrzyknął Gluś, który zatrzymał się i został z tyłu patrząc na kompas. – Wygląda na to, że zawrócił w kierunku jezdni. Prowadzi w tym kierunku, z którego przyszedł.

Bez słowa pobiegliśmy dalej. Wydawało się, że dezerter wędruje po lesie bez jakiegoś określonego planu, albo że się zgubił. Pies co chwilę zmieniał kierunek, prowadził przez krzaki, to znowu wychodził na łatwiejszą drogę. Zaczynałem odczuwać zmęczenie. Biegliśmy już od ponad godziny. Teoretycznie powinniśmy być już blisko uciekiniera, zakładając oczywiście, że nie biegnie i nie ma takiej samej kondycji jak my. Pokonywaliśmy teraz odcinek wysokiego lasu o rzadkim podszyciu. Biegło się wygodnie, bo nie było krzaków, a ziemię pokrywały jakieś drobne roślinki i mech. W pewnej chwili przewodnik gwałtownie zatrzymał się, padając pod drzewem i ciągnąc do siebie wyrywającego się psa.

– Jest tam przed nami! – krzyknął cicho.

Pochowaliśmy się za drzewa. Rzeczywiście, przed nami potykając się biegł żołnierz. Wydobywał z siebie chyba resztki sił. Kałasznikowa trzymał w ręku i z całą pewnością był to nasz dezerter. Jaki inny żołnierz mógł znaleźć się tutaj z bronią?

– Młody, Baca i Lala po lewej, Zgaga, Misiek i Foks po prawej. Oskrzydlamy! – krzyknął Śruba.

W tym momencie dwa razy szczeknął pies. Zdążył tylko tyle nim przewodnik złapał go za pysk. Skoczyłem do następnego drzewa i zaraz do następnego. Zorientowałem się jednak, że na oskrzydlenie skaczę sam. Baca i Lala dalej siedzieli za drzewami tam, gdzie schowali się, gdy tylko zobaczyli dezertera. Spojrzałem, gdzie on jest i… nie zauważyłem go.

– Co jest? – krzyknąłem do Śruby.

– Wlazł na drzewo, skubany! – usłyszałem odpowiedź. – Powolutku go okrążamy. Jest na dębie. Tym koło kępy krzaków.

Chwilę wpatrywałem się, ale nie mogłem go zauważyć. W końcu po naprawdę długim wytrzeszczaniu oczu udało mi się zobaczyć nogi w wojskowych butach. Dyndały między gałęziami wysoko w koronie.

– Skaczcie spokojnie, trzymam go na muszce! – krzyknął Gluś. – Kałacha powiesił na ramieniu, jak przyłoży do oka, to go zdejmę!

Spojrzałem w kierunku, z którego dobiegał głos Glusia. Zza pnia drzewa widać było długą lufę snajperki i kawałek celownika optycznego. Szybko zdążył się usadowić. Zastanowiło mnie zachowanie żołnierza. Czyżby był tak dobrze wyszkolony, że wiedział jak rozegrać sprawę w lesie. Pozornie na drzewie był dla nas lepszym celem, ale tylko pozornie. Siedząc wysoko widział wszystko dokładnie i nawet przeskakiwanie od drzewa do drzewa stawało się ryzykowne. Jedno było dobre. Gdy go otoczymy, nie będzie miał możliwości zejścia z drzewa i ucieczki dalej w las.

Zobaczyłem, że chłopcy skacząc od drzewa do drzewa zachodzą z prawej strony. Baca i Lala też przesunęli się bliżej mnie. Ostrożnie obchodząc dużym łukiem rozstawiliśmy się naokoło. Każdy znalazł sobie wygodne miejsce za drzewami i usadowiwszy się czekaliśmy co będzie dalej. Ziemia była mokra, więc trudno było usiąść, miałem jednak to szczęście, że obok leżał spory kawał odłupanej od jakiegoś drzewa kory. Klęknąłem na nim i jakoś szło wytrzymać. Nawet dość dobrze widziałem żołnierza. Teraz już nie tylko buty, ale całą sylwetkę. Gdy wychyliłem się mocniej, w prostej linii za dębem mogłem zobaczyć Glusia przytulonego do pnia drzewa. Cały czas obserwował przez lunetę robiąc co chwilę kilkusekundowe przerwy. Wyglądało to jak w podręcznikach dla snajperów. Gluś robiąc przerwę nie poruszał bronią, tylko odsuwał głowę od lunety, chwilę patrzył na las, a potem wykonywał ruch powrotny. Wykonywał identyczne, jakby mechaniczne ruchy, dlatego wyglądało to jak z podręcznika.

– Baca, zagadaj do niego. To góral. Może ciebie posłucha, zejdzie i się podda – powiedział przez radiostację Śruba.

Zrobił to tak nieoczekiwanie, że podskoczyłem słysząc pierwsze dźwięki z wsuniętej do kieszeni radiostacji.

– Dobra, spróbuję – odpowiedziało radio głosem Bacy.

– Gluś! Uważaj teraz na niego – znowu włączył się Śruba.

– Dobra. Baca może iść spokojnie, przed chwilą drugi raz udało mi się zobaczyć jego broń. Bezpiecznik ma w pozycji zero – odezwał się Głuś.

– Słyszałeś Baca? Obiekt ma zabezpieczoną broń – odezwał się Śruba.

– Słyszałem. Uważajcie, zaczynam podchodzić bliżej!

Radiostacja zamilkła, a Baca przeskakując od drzewa do drzewa zaczął zbliżać się do dębu. Stanął za grubą brzozą, która znajdowała się chyba najbliżej. Zobaczyłem, że wszyscy chłopcy trzymają karabinki w pogotowiu, chyba na wypadek, gdyby Głuś za pierwszym razem nie trafił. Też przyłożyłem kałasznikowa do ramienia, ale prawa ręka trzymała tylko broń nie dotykając spustu. A nuż znowu podskoczę do góry, gdy w radiostacji ktoś się odezwie. Nie na darmo w trakcie ćwiczeń Śluza i pozostali chłopcy powtarzali mi, że spustu dotyka się dopiero wtedy, gdy naprawdę chce się strzelić. Do tej pory wykonywałem mechanicznie to co mi wpajali. Teraz coraz częściej przekonywałem się, że wszystko miało swoje uzasadnienie poparte doświadczeniem.

– Ej, tam na górze! Zleź, to pogadamy! – krzyknął Baca.

Żołnierz poruszył się patrz kto woła. Nikogo nie zobaczył, więc nie odezwał się.

– Żyjesz tam? – krzyknął Baca znowu.

– Żyję! A kto się pyta? – odezwał się nareszcie żołnierz.

– Góral jako i ty. Złaźże zaroz, to se pogadamy – odkrzyknął wesoło Baca.

– A skąd ześ ty? – niedowierzająco pytał dezerter wiercąc się na drzewie.

– A z Ujsołów, a ty?

– Z Równicy. Wies gdzie Równica?

– No jak nie. Od Ustronia – roześmiał się Baca. – Złaź że zaraz, a nie będziesz mnie tu pytał gdzie Równica.

– Nie mogę.

– Kruca fuks, a cemuz nie mozes?

– Bo mnie złapies i do wojska odwiezies.

– Nie złapie! Złaź!

– Nic ci nie wierzę. Łgasz jako i oni. – Głos żołnierza zadrgał jakby miał się za chwilę rozpłakać.

– Jacy oni? Ktosik cie osukoł? – zapytał łagodnie Baca wyczuwając sytuację.

– A ci… we wojsku. W kółko tylko ganiali i osukiwali. Za idiote mnie mieli.

Teraz już wyraźnie słychać było płacz i skargę w głosie.

– Jo nie z tych. Jo swój. Złaźże z tego drzewa, bo łochrypne.

– Nie zleze. Bede siedział i juz.

– A to se siedź. Pockom tutaj, to w nocy sam oblecis na dół, boś nie ptok i na gałęzi nie bedzies spał. Ale se wiedz, ze ci kopów do dupy nawsadzam, jak przez ciebie bede tu do nocki cekać.

Te ostatnie słowa pozostały bez odzewu, więc Baca usiadł wygodniej i przypalił sobie papierosa. Zastanawiał się chyba co dalej robić, bo zaciągał się nerwowo.

– Hej! Ty na dole! Co robis? – dobiegło wołanie z góry.

– Kurze sobie i mom cie gdzieś – odpowiedział Baca.

– A mnie byś doł zakurzyć jok by ja złozł? – zapytał dezerter nieśmiało.

– No pewnie! – odkrzyknął Baca.

– No to zleze, tylko trzymojcie psa.

Nie chciało mi się wierzyć własnym uszom. Udało się go namówić i przy okazji wyjaśniło się, dlaczego wlazł na drzewo. To nie taktyka, tylko strach przed psem.

Powoli gałąź po gałęzi żołnierz zaczął opuszczać się na dół. W radiostacji znowu znienacka rozległ się głos. Tym razem Bacy:

– Głuś! Pilnuj go! Podchodzę pod drzewo.

– Dobra, Baca. Idź śmiało! – odpowiedział snajper.

Spojrzałem w jego kierunku. W miarę jak żołnierz schodził coraz niżej w tym samym tempie opuszczała się w dół lufa snajperki.

Baca stanął pod dębem i czekał aż chłopak zejdzie na dół. Dezerter zszedł do ostatniej gałęzi i zapytał jeszcze:

– Ale nie złapies mnie?

– Nie złapie. Złaźże, cholera jasna, bo ja po ciebie wleze! – krzyknął Baca.

Podziałało. Chłopak zeskoczył na dół i podszedł do niego. Bez słowa zdjął karabinek z ramienia i oddał. Baca poczęstował go papierosem. Powoli zaczęliśmy podchodzić do nich. Żołnierz patrzył na nas przestraszony. Instynktownie przysuwał się coraz bliżej Bacy. W końcu stał przy nim prawie go dotykając.

– Nie bój się. Oni teraz już nic ci nie zrobią – powiedział Baca otaczając ręką jego plecy i przyciągając do siebie.

Ten patrzył na nas dalej podejrzliwie. W końcu powiedział:

– Jakbym nie zszedł, tobyście mnie puknęli?

– Tak by pewnie było – odpowiedział mu Śruba. Odszedł na chwilę na bok. Zmienił kanał w radiostacji. Chwilę pogadał i wrócił. – Możemy iść do jezdni. Czekają tam już na nas.

Pół godziny zajął nam marsz w kierunku drogi. Siły, jakie tam zastaliśmy, były naprawdę imponujące. Cały batalion, czyli ponad trzydzieści samochodów. Oprócz tego dojechało jeszcze kilkanaście wozów Wojskowej Służby Wewnętrznej. Cała armia w pogoni za jednym człowiekiem, ale dla mnie było to zrozumiałe. Młody, zdesperowany i uzbrojony chłopak mógł narobić większych kłopotów niż zgraja bandytów. Zachowania tych ostatnich można było przewidzieć, uciekinier z wojska był nieprzewidywalny i dlatego trudniejszy do zatrzymania. Nadawało to naszemu zatrzymaniu wyższej rangi i wszyscy gratulowali sukcesu. Małe nieporozumienie nastąpiło wtedy, gdy plutonowy

WSW chciał zakuć w kajdanki i zabrać sprawcę całego zamieszania. Żandarm pchnął uciekiniera na stojącą obok nysę i już sięgał po kajdanki, gdy Baca stanął między nimi.

– Nie ruszaj go! Przez takich jak ty niewiele brakowało, a musiałbym zastrzelić tego chłopaka.

Wziął od niego kajdanki i sam założył zatrzymanemu.

Nasza rola się skończyła. Baca jeszcze coś tłumaczył kapitanowi z WSW i w końcu wsiadł do UAZ-a i mogliśmy ruszyć.

– Coś klarował temu kapitanowi? – zapytał Śruba.

– A mówiłem mu, że chłopak był gnojony w jednostce, że nie wytrzymał i uciekł. Kapitan obiecał, że sam go przesłucha i jeśli się okaże, że to, co mówię jest prawda, zrobi porządek w jego kompanii – odpowiedział Baca zza kierownicy.

– A co z nim dalej będzie? – zapytałem.

– Nie słyszałeś, jak ze mną rozmawiał? Przecież od razu widać, że ograniczony umysłowo. Jak go weźmie w obroty porządna komisja lekarska, to go odeślą do domu – wyjaśnił mi.

– Tylko czy go skierują do lekarza? – powątpiewałem.

– Muszą. Taki mają obowiązek po każdej dezercji – powiedział Baca.

– To dobrze – odparłem.

Za tę akcję po tygodniu dostaliśmy premie pieniężne. Niewielkie, ale zawsze przydało się te parę groszy. Śluza znowu zaczął ciągać nas po poligonie i ćwiczyć różne warianty działań w lesie. Przy okazji pojawił się problem. W plutonie mieli dwóch młodych i nie wiadomo było, jak wołać przez radiostację. Miałem nadzieję, że mnie zmienią pseudonim. Niewiele brakowało, a młody góral dostałby miano „Jasiu", które i tak już przylgnęło do niego, a ja zostałbym nadal przy „Młodym". Niezastąpiony okazał się śmieszek Zgaga. Chyba zauważył, że nie chcę zostać przy tym zawołaniu, bo rzucił propozycję.

– Dobrze pływa, rybki akwariowe hoduje. Niech będzie „Ryba".

Chłopcy popatrzyli na mnie, chyba w myślach powtarzając sobie przezwisko.

– Mnie pasuje. Może być. Zgadzasz się? – powiedział Śruba.

Ponieważ pytanie skierowane było do mnie, a dowódca drużyny miał głos decydujący, skwapliwie przytaknąłem:

– Bardzo dobrze. Oby się tylko chłopakom kojarzyło.

– Nauczą się – machnął ręką Śruba.

W ten sposób zostałem „Rybą" i pseudo utrzymało się do końca służby w plutonie.

Moje życie ostatnio unormowało się do tego stopnia, że aż zaczynało być nudne. Regularnie co dwa tygodnie jeździłem do domu na sobotę i niedzielę. Wyjeżdżałem w piątek po zajęciach, a wracałem w poniedziałek rano. Oczywiście, czas na przepustce w większości spędzałem z Izą i matka chyba pogodziła się z tym. Zawsze jednak przed wyjazdem parę godzin byłem z nią i mogliśmy porozmawiać.

Do regularnych zajęć należały też moje wycieczki do lasu na poligonie. Kiedy tylko była sprzyjająca pogoda i mogłem wyrwać się z jednostki, uciekałem na łono natury i tam czułem się najlepiej. Miałem swoje ulubione miejsca. Oprócz oczka wody znalazłem sobie grupę świerków rosnących na polanie daleko jeden od drugiego. Gałęzie miały od samej ziemi i wyglądały jak choinki bożonarodzeniowe. Ta ich gęstość oraz piękna trawa rosnąca na polance stwarzały jakiś bajkowy nastrój. Siedząc w tym miejscu miałem chwilami wrażenie, że spod zwisających do samej ziemi gałęzi wyjdzie w pewnej chwili krasnoludek i spyta mnie, czemu siedzę i się gapię.

Gdy wiosna była już w pełni i przygrzewało porządnie słońce, polanka dodatkowo odurzała mocnym zapachem igliwia i żywicy. W takie dni wolałem to miejsce niż obserwację ptaków przylatujących napić się wody z leśnego oczka.

Czasami musiałem szybko się chować, bo przez miejsce, w którym siedziałem galopowała jakaś kompania ZOMO podczas zajęć z taktyki. Raz niewiele brakowało, a ogarnęłaby mnie niesiona wiatrem chmura gazu z granatów łzawiących, które rzucała kadra oswajając młodych z tym specyfikiem. Uratowała mnie natychmiastowa ucieczka od razu, gdy poczułem kręcenie w nosie i charakterystyczny zapach. Dużo czasu spędzałem ćwicząc w sali gimnastycznej. Roboty pluton miał w tym czasie niewiele. Przeprowadzaliśmy poranne zatrzymania i zakładaliśmy się, kiedy znowu wyskoczy jakaś większa robota. Był już początek marca i tak ciepło, że zaczynaliśmy w dzień jeździć bez panterek i zastanawialiśmy się nad zdjęciem plandeki z UAZ-a. Ze względu na zimne noce i częste deszcze plandeka została na swoim miejscu, natomiast panterki prawie całkowicie poszły w kąt.

Przywieźliśmy któregoś dnia czterech Cyganów zatrzymanych podczas rannego wejścia do ich mieszkania. Zaraz za nami pod rejonówkę w Katowicach zwaliła się cała wrzeszcząca czereda ich kuzynów, żon i diabli wiedzą kogo jeszcze. Dyżurny uprosił Śrubę, żebyśmy zostali i przewieźli tę czwórkę do prokuratury na przesłuchanie. Bał się, że może dojść do odbicia zatrzymanych. Cyganie dziwnie reagowali na nas. Jeśli z normalnym mundurowym milicjantem gotowi byli kłócić się i szarpać go za mundur, to przy nas cichli i obserwowali z daleka. Konwój przeszedł spokojnie i koło południa wróciliśmy bezpiecznie z zatrzymanymi do aresztu. Dyżurny z wdzięczności za tę robotę wytrzasnął gdzieś skrzynkę piwa dla nas. Po opróżnieniu jej w dobrych humorach zbieraliśmy się do powrotu do koszar, kiedy dyżurny pojawił się jeszcze raz:

– Panowie! Wiem, że nadużywam waszej dobroci, ale pojeździcie do „Drink Baru" na Stawowej. Jakiś facet szaleje tak, że mój patrol wyrzucił za drzwi. Nie dali sobie z nim rady.

Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale już ruszaliśmy w ostrym tempie do „Drink Baru". Sytuacja rzeczywiście wyglądała nieciekawie. Przed knajpą tłumek gapiów, radiowóz i dwóch pobitych milicjantów. Jeden miał rozciętą głowę, a drugi chyba złamaną,

a w najlepszym wypadku – zwichniętą rękę. Mundury obydwu nadawały się tylko do krawca. Ten z rozciętą głową wystękał przytrzymując opatrunek, który mu na szybko zakładał Gluś:

– Taką ma bydlak siłę, że rzucał nami jak workami. Teraz rozwala meble.

Z wnętrza lokalu słychać było brzęk tłuczonego szkła.

– Zgaga, Ryba i Misiek. Idźcie po niego – zadecydował Śruba.

Chyba przy gapiach chciał się popisać, bo zabrzmiało to szorstko, jak komenda.

– Tak jest! – odkrzyknąłem specjalnie głośno, żeby zrobić mu przyjemność.

– Idźcie wszyscy. Trzech załatwi tak jak nas – odezwał się drugi z pobitych.

Nie czekaliśmy na to, co powie Śruba. W większej liczbie tylko byśmy sobie przeszkadzali. Jeśli nie weźmiemy go we trzech, to i całą drużyną będzie ciężko. Ponieważ facet był bez broni Śruba wysłał po niego dwóch ekspertów od sztuk walki i trzeciego, który dysponował największą siłą fizyczną.

Wskoczyłem jako pierwszy do środka i od razu musiałem rękoma odbić lecące w moim kierunku krzesło. Mężczyzna stał na środku sali i patrzył na mnie. Był potężnie zbudowany i chyba o głowę wyższy ode mnie, ale poza tym nie sprawiał wrażenia zbyt groźnego. W kilku skokach dobiegłem do niego. Udałem, że chcę go uderzyć pięścią w twarz. Dał się nabrać i podniósł ręce do góry całą uwagę skupiając na moich rękach. Tego było mi właśnie trzeba. Dostał potężnego kopniaka w jądra, a gdy się pochylił z bólu, poniosła mnie fantazja i użyłem obrotowego kopnięcia z wyskoku. Dawno tego nie robiłem, a w realnej walce poza matą – chyba nigdy. Tutaj mogłem sobie pozwolić na takie uderzenie, bo mężczyzna trafiony ciężkim butem w jądra nie mógł się zasłonić czy obronić przed takim, bardziej pokazowym niż praktycznym, uderzeniem. Trafiłem dobrze – piętą w okolice brzucha. Lądując po wyskoku i obrocie w powietrzu zobaczyłem, że groźny przed chwilą przeciwnik osuwa się bezwładny na ziemię. Zgaga i Misiek dopadli go i błyskawicznie skuli ręce kajdankami. W oknach widziałem mnóstwo gapiów przyklejających nosy do szyb. No! Bardzo dobrze. Zobaczyli dobrze wyszkolonego milicjanta w akcji. Wzięliśmy z Miśkiem nieprzytomnego za skute do tyłu ręce i wyciągnęliśmy przed bar. Musiałem przyznać, że facet rzeczywiście był twardzielem, bo już zaczynał dochodzić do siebie mrucząc coś pod nosem. Wsadziliśmy go do samochodu i ruszyliśmy do RUSW-u.

Po drodze doszedł już do siebie na tyle, że zaczął się szarpać i kopać nogami. Nie pomogło lanie po pysku przez Misika. Musieliśmy przytrzymać go we dwóch, ale to udało się dopiero wtedy, gdy chwyciłem osiłka za gardło i lekko poddusiłem. Trochę zamroczony dał się wprowadzić do rejonówki i posadzić na krzesełku w jednym z pokoi. Na pytania jak się nazywa nic nie odpowiadał, więc trzeba było go przeszukać. Co prawda wcześniej zrobił to Zgaga i Misiek zaraz po skuciu kajdankami, ale wtedy szukali tylko niebezpiecznych przedmiotów, takich jak pistolet, nóż czy kastet. Teraz chodziło o dokumenty lub cokolwiek innego, co pozwoliłoby dowiedzieć się kto to jest.

– Jak się nazywasz, głąbie kapuściany? – zapytał jeszcze raz Misiek.

Mężczyzna patrzył przed siebie nic nie mówiąc, dlatego Misiek uderzył go w twarz zrzucając z krzesełka. Często tak robił, gdy nie mógł dogadać się z zatrzymanym, a ten siedział na krześle ze skutymi do tyłu rękoma. Do zrzucenia z krzesła przesłuchiwanego za pomocą jednego uderzenia trzeba było dużej siły i niewielu było ludzi w plutonie, którym to się udawało. Misiek dokładnie obszukał leżącego. Znalazł jedynie portfel z dużą ilością gotówki. Eleganckie buty, garnitur jak spod igły i zegarek dobrej marki na ręku świadczyły o tym, że pieniędzy mu nie brakuje. Nie mówiły jednak jak się nazywa ani gdzie mieszka. Misiek stanął nad nim. Jedną ręką chwycił za włosy, drugą za klapy i podniósł go sadzając na krześle. Jakby od niechcenia uderzył go ręką w twarz.

– Mów, baranie, jak się nazywasz, bo i tak wyduszę to z ciebie. Rozumiesz? – zapytał Misiek chwytając za ucho i ciągnąc mocno.

Musiało boleć, bo twarz wykrzywił mu grymas. Nie odezwał się jednak. W związku z tym Misiek złapał go za baki i ciągnął za nie kręcąc ręką raz w lewo, raz w prawo. Nie mogłem na to patrzeć, bo to naprawdę boli jak diabli. Tego byka jednak nie ruszyło. Na te eksperymenty rodem ze szkolnej ławy wszedł Śruba i reszta drużyny. Przyjechali drugim UAZ-em, ruszyli gdy pobitych milicjantów zabrała karetka.

– Nie męcz się, Misiek. Mamy jego płaszcz i dokumenty. To ksiądz proboszcz z Gdańska – zakomunikował Gluś.

Zgaga aż zagwizdał ze zdziwienia.

– A co mu odbiło, że tak szalał? Pytaliście w knajpie od czego to się zaczęło? – spytałem.

– Kelnerka mu się spodobała, a że był już nieźle pijany, złapał ją i posadził sobie na kolanach. To jeszcze wytrzymała, ale kiedy chwycił ją za cycki, wyrwała się i uciekła na zaplecze. Chciał tam wejść za nią, ale zamknęła drzwi na klucz. Wówczas zaczął tłuc meble, a kiedy milicjanci chcieli mu w tym przeszkodzić, pobił ich – wyjaśnił Śruba.

Pochyliłem się nad siedzącym na krześle mężczyzną i zajrzałem mu w oczy:

– To księżulo tak się chciał zabawić, że dziewczyna musiała na zaplecze uciekać? – zapytałem.

– Nie powinno cię to interesować – odburknął.

Nie wytrzymałem. Chwyciłem go za klapy i wysyczałem:

– Mnie może nie powinno to interesować, ale twoich parafian, byku, pewnie zainteresuje. Co?

– Kto ci uwierzy? – roześmiał się szyderczo.

Tego było już za wiele. Złapałem za włosy i zacząłem tłuc tę wstrętną, tłustą gębę. Raz normalnie, raz na odlew wierzchem dłoni. Poczerwieniał i gdy przestałem, wykrztusił:

– Pan Bóg na to wszystko patrzy. Nie martw się i tak cię skaże za to, że podniosłeś rękę na sługę bożego – wybełkotał rozbitymi ustami.

Dosłownie zatkało mnie. Już nie miałem ochoty na bicie. Jedynym wyjściem byłoby może zastrzelenie go. Zamiast tego powiedziałem:

– Dla mnie, knurze, jesteś tylko kolejnym dowodem na to, co wyrabiają księża i jacy są świątobliwi. – Co z nim zrobimy? – zapytałem Śrubę.

– Już dyżurny dzwonił do WUSW-u. Zaraz przyjadą po niego panowie z bezpieki – wyjaśnił i odwracając się do siedzącego na krześle awanturnika powiedział:

– Tak, tak, klecho. Nie przesłyszałeś się. Za chwilę przyjadą tu panowie z bezpieki i radzę ci się dogadać z nimi. Jeśli nie dojdziecie do porozumienia, to zabieramy cię na ryby.

Śruba zawiesił głos.

– Będzie następna przynęta marki Popiełuszko – zarechotał Zgaga.

Księżulo pomimo że miał gębę czerwoną od mojego bicia, zrobił się dużo bledszy i siedział na krześle bez ruchu.

Niebawem przyjechało dwóch starszych, nobliwie wyglądających panów w garniturach ze Służby Bezpieczeństwa. Zamknęli się z naszym księdzem w pokoju. Już po minucie młodszy z nich otworzył drzwi na korytarz mówiąc:

– Proszę, panowie. Zabierajcie go sobie.

Mówiąc to zrobił do nas oko. Śruba i Baca weszli do pokoju, skąd dał się słyszeć krzyk:

– Nieee! Nieee! Tylko nie to! Zgadzam się!

Śruba i Baca wyszli rozkuwając księdza na prośbę bezpieczników. Zgaga odzyskał swoje kajdanki, dyżurny serdecznie nam podziękował i mogliśmy ruszać do jednostki. Popatrzyłem jeszcze jak ksiądz pokornie wsiada z bezpiecznikami do poloneza.

– Co z nim będzie? – spytałem Bacy.

– Będzie donosił o wszystkim co wie, a za jakiś czas, jak nie będzie wiedział, to będzie musiał się dowiedzieć – wyjaśnił mi góral.

– A wierni co niedzielę latają do spowiedzi i opowiadają im wszystko. Przecież to, kurwa, kabaret. Co drugi księżulo „na kontakcie" w bezpiece, bo albo pedał, albo kurwiarz, a w najlepszym przypadku bezpieka długi karciane za niego spłaca. I do tego faceta chodzą ludzie i wszystko mu opowiadają! Lepiej od razu iść do WUSW-u i powiedzieć: „Zrobiłem to a to, zacznijcie mnie śledzić" – włączył się Zgaga.

– Ale przecież taki ksiądz może powiedzieć za jakiś czas: „Odpierdolcie się, przestanę nadawać" – powiedziałem.

– Może. Ma wybór – włączył się ironicznie Śruba do rozmowy. – Lecz jeśli choć raz doniósł na kogoś, to trzymają go już za gardło. Straszą, że powiedzą temu komuś: „Słuchaj, sprzedał cię ten a ten ksiądz". To działa na każdego. Jeżeli zrobi pierwszy krok, już nie ma wyjścia i musi nadawać. Niedaleko mojej matki mieszkał ksiądz karciarz. Kiedyś przypadkowo zobaczyłem go w lesie w polonezie z bezpiecznikami, a po trzech miesiącach dowiedziałem się, że zgłosił się na misjonarza i wyjechał do Konga do Afryki. Mógł sam się zgłosić, gdy miał już tego wszystkiego dosyć. Mógł go też biskup wysłać, jeśli zorientował się, że ten proboszcz jest zaplątany w kontakty z bezpieką. Słyszałem, że tak właśnie robią, kiedy dowiedzą się, że ktoś donosi. Do Murzynów go! Na misję i już.

Więcej nie chciałem się dopytywać. Pewny byłem natomiast jednego. Jeśli pójdę kiedykolwiek do spowiedzi, to na pewno nieprędko i na pewno nie powiem wszystkiego.

* * *

Z powodu nieoczekiwanego konwojowania Cyganów i incydentu z księdzem dojechaliśmy tak późno do jednostki, że ledwo zdążyliśmy na obiad. Misiek znowu miał okazję poganiać kucharzy po kuchni, bo jedzenie było zimne. Tym razem stanęliśmy wszyscy po jego stronie i udało się wymusić po dodatkowym kotlecie schabowym. Nie trzeba było pytać skąd kucharz miał nadwyżkę schaboszczaków, gruba na pół centymetra warstwa bułki mówiła sama za siebie.

– Jak on to robi, że taki gruby panier nie odpadnie przy smażeniu? – zastanawiał się głośno Lala.

– A widzieliście jak oni robią mielone? – powiedział Zgaga. – Kiedyś przyjechali do mnie nieoczekiwanie goście i żona chciała zrobić więcej mielonych kotletów. Trochę więcej dodała tartej bułki. Wszystko jej się porozwalało i tyle było z tego oszukaństwa. Ci tutaj robią mielone pół na pół – mięso i bułka. Wszystko się trzyma kupy i nawet jest smaczne.

– Kraść też trzeba umieć – zaśmiał się Foks.

Miał rację. Roztłuc malutki kawałek schabu na duży placek to sztuka, a otoczyć to w jajku i bułce i jeszcze usmażyć to już wyczyn artystyczny. Kucharzowi należał się podziw, a nie krytyka.

Następne dni były brzydkie. Niby ciepło, ale cały czas deszcz. Szaro, ponuro, w nocy przymrozki, krótko mówiąc – marzec w pełni. Szkolenie mieliśmy z konieczności na sali gimnastycznej lub na basenie. Śluza zorganizował też trochę zajęć teoretycznych. Psychologia i wykłady wojskowego speca od broni i materiałów wybuchowych do tego stopnia mnie zajęły, że zapomniałem o złej pogodzie i humor mi się polepszył. Następnego dnia miał być ciąg dalszy tych zajęć, więc tego wieczora pierwszy raz od kilku dni kładłem się spać w dobrym humorze.

Pierwszą myślą jaka mnie naszła, gdy obudzono mnie w nocy i stwierdziłem, że jest wpół do drugiej, było: „No to już się, kurwa, zajęcia odbyły". Mój nastrój stał się jeszcze bardziej podły, gdy zobaczyłem, że deszcz nadal pada. Nie zapytałem pomocnika oficera dyżurnego, dlaczego mnie budzi, ale jak sobie pomyślałem, że czeka mnie np. kilka godzin w zasadzce, to aż dreszcze poczułem na plecach. We wszystkich koszarowcach i w garażach paliły się światła. Wyszedłem przed budynek, żeby zobaczyć, czy

mnie wzrok nie myli. Nie, nie przywidziało mi się, alarm musiał dotyczyć całej jednostki, bo wszędzie trwała ożywiona krzątanina. O kurwa! Jeszcze tego było trzeba. Byłem pewny, że przy tej chlapie ktoś umyślił sobie, że zrobi ćwiczebny alarm całej jednostki. Pościeliłem łóżko i siedziałem na nim paląc papierosa. Jasiu też nie był zbyt rozmowny, krzątał się w milczeniu.

– Coście tacy radośni? – krzyknął Zgaga wchodząc do pokoju jak zwykle w skowronkowym nastroju.

On zawsze na alarm stawiał się pierwszy, bo mieszkał najbliżej jednostki.

– A z czego się cieszyć? Środek nocy, deszcz leje, a jakiemuś debilowi zachciało się odpierdalać kabaret na całą jednostkę – odpowiedziałem dając wyraz swojemu niezadowoleniu.

Spoważniał, patrzył się przez chwilę na mnie, w końcu powiedział:

– Czego się złościsz? To przecież nie ćwiczenia.

– Jak nie ćwiczenia? Zobacz, że cała jednostka się szykuje – pokazałem ręką na widoczne przez okno światła koszarowców.

– Bo alarm jest dla całej jednostki. Powódź w Goczałkowicach. Dwie wioski zalane i wał przerwany. Jedziemy na ewakuację.

Jasiu aż zagwizdał ze zdziwienia, mnie natomiast zrobiło się głupio. Tam ludzie potrzebują pomocy, a ja tu chodzę i narzekam.

– Nic dziwnego. Tyle dni pada – powiedziałem starając się ukryć zmieszanie.

– Deszcz deszczem, ale oprócz tego z gór zeszła gwałtownie woda i dlatego zbiornik nie wytrzymał. Woda jeszcze się podnosi – wyjaśniał Zgaga.

– Skąd to wszystko wiesz? – zapytałem zdziwiony.

– Opowiedzieli mi chłopaki z radiowozu. Żeby było szybciej, całą kadrę i pluton zwożą radiowozy z RUSW-u.

Rzeczywiście szybciej niż zwykle budynek zapełnił się przybyłymi na alarm chłopakami. Po chwili zaczęły podjeżdżać pierwsze UAZ-y, a wśród nich, o dziwo, również beteery. Bez żadnej odprawy czy wyjaśnień, gdy tylko stawili się wszyscy, ruszyliśmy. Śluza na przedzie, za nim „poczwary" i reszta plutonu w UAZ-ach. Zgodnie z rozdziałem funkcji trafiłem do beteera Bacy jako strzelec. Pierwszy raz tak jechałem z nim, więc byłem ciekawy jak to się odbędzie. Wszystko było tak samo. Jedyna różnica w czasie jazdy była taka, że nie wiedziałem co się dzieje po bokach drogi. Mogłem patrząc przez przyrządy celownicze karabinu szeroko obserwować tylko to, co przede mną. Na miejsce dotarliśmy, gdy było jeszcze ciemno. Ruchem kierował jakiś kapral w białej czapce i ustawił nas na wzgórku. Zaraz za nami zwaliła się cała jednostka, ale ich skierowano od razu bliżej wsi. Zamieszanie trwało chyba z pół godziny. W końcu wszyscy porozjeżdżali się do roboty. Woda jeszcze nie zalała wioski, ale była już blisko. Nas nie wiadomo dlaczego trzymali na razie bez roboty, chyba w odwodzie. Mogliśmy spokojnie obserwować to, co się działo. Opróżnianie domów i obór szło dosyć sprawnie. Część dobytku ludzie wywieźli już koło północy zanim nadeszła pomoc. Teraz wracali po resztę, a ZOMO pomagało im pakować się i pilnowało, żeby wszystko szło sprawnie. Samochód Śluzy stał koło nas, a on patrzył na całe zamieszanie siedząc przy radiostacji.

Wygramoliłem z beteera i podszedłem do niego. To samo zrobił Baca i jeszcze kilku chłopaków.

– Zapomnieli o nas? – zapytał Szpako, kierowca drugiego beteera.

Śluza popatrzył na niego i ironicznie zapytał:

– Chciałbyś, co? Znowu by się wam upiekło?

– Dlaczego znowu? – najeżył się Szpako.

– Bo ostatnio jak jest robota jedzie pierwsza albo druga drużyna, a wy się obijacie – Śluza mówił spokojnie, ale widać było, że jest na Szpaka zły i po prostu czepia się go.

Słysząc co się święci Biały, dowódca trzeciej drużyny, odciągnął na bok Szpaka. Po krótkiej rozmowie wrócili obaj, ale Szpako już się nie odzywał.

Zapadła cisza. Patrzyliśmy jak w świetle reflektorów samochodowych ludzie wywożą resztki dobytku. W pewnej chwili powolny ruch kolumny na drodze zburzył milicyjny polonez jadący na sygnale w przeciwnym kierunku, czyli do wioski.

– To polonez starego, ciekawe czemu tak pędzi? – powiedział Śluza.

Jego ciekawość została za chwilę zaspokojona, bo polonez podjechał do nas i wyskoczył z niego dowódca jednostki.

– Na którym kanale masz ustawioną radiostację? – krzyknął biegnąc do UAZ-a Śluzy.

– Tak jak mi pomocnik oficera podał. Na dwudziestym siódmym – padła odpowiedź.

– Kurwa, skąd on wytrzasnął taki kanał? ! Cała jednostka łączy się na swoim normalnym zakresie od czterdziestu do pięćdziesięciu. Ty masz swój pięćdziesiąty pierwszy. Łeb mu, baranowi, urwę. Od pół godziny szukamy was na wszystkich możliwych kanałach, ale dwudziesty siódmy nikomu do głowy nie przyszedł. Dopiero przez lornetkę was znalazłem. Wypatrzyłem beteery.

– Potrzebni jesteśmy? – przerwał mu Śluza.

– Za chwilę. Jak się całkiem rozwidni. Pięć kilometrów stąd woda ogarnęła w nocy kilka gospodarstw. Większość ludzi uciekła, ale parę osób mogło zostać. Woda tam niewysoka, ale miejscami może być trudno.

– Podprowadzi nas dowódca? – zapytał uniżenie Śluza.

– No pewnie i tak wracam do tamtego rejonu. Jedźcie za mną – zaśmiał się i wskoczył do poloneza.

Całkiem jak młody chłopak, pomyślałem patrząc jak jego kierowca zawraca w miejscu buksując kołami.

Wiedziałem, że lubi patrzeć na nas, gdy wsiadamy w biegu do samochodów. Tak samo lubił przyglądać się, gdy wysiadaliśmy w ekspresowym tempie. Byłem pewny, że

specjalnie ruszył tak szybko, żeby zapewnić sobie pokaz naszej sprawności. Chłopcy też wiedzieli o jego słabości, bo specjalnie czekali, aż samochody trochę się rozpędzą i dopiero wtedy do nich wskakiwali. Zgaga zamiast wsiąść do UAZ-a wskoczył zaraz za mną na BTR-a.

– Ten kawałek drogi przejedziemy na wierzchu – machnął ręką do mnie, żebym nie chował się w środku.

Do punktu, gdzie stał cały sztab, nie było pięciu kilometrów, ale pewnie z dziesięć. Ponieważ chciałem towarzyszyć Zgadze, lekko zmarzłem i cieszyłem się teraz, że tuż przed odjazdem wrzuciłem do środka „mrówy" swoją panterkę.

Sztab stał w pobliżu drogi, o którą toczyła się teraz główna batalia. Zarówno kompanie wojska, jak i milicji w pośpiechu wzmacniały nasyp, na którym znajdowała się jezdnia. Woda już podchodziła do niego i jeśliby go przerwała, to dalej, za nim były zagrożone następne dwie wioski położone w zagłębieniu terenu. Gdyby woda tam dotarła, zalałaby je, bo wioski położone były naprawdę nisko.

Na drogę, którą wzmacniano, nawet nie wjeżdżaliśmy. Wystarczyły ciężarówki, które dowożąc worki z piaskiem prawie całkiem ją zatarasowały. Stanęliśmy koło sztabu. Z UAZ-ów jak na komendę wysypali się wszyscy. Śluza wykorzystał okazję i krzyknął:

– W dwuszeregu frontem do mnie! Zbiórka!

Ustawiliśmy się dziarsko i nawet bez większego zamieszania według wzrostu.

Pułkownik pokazał Śluzie ręką kierunek, gdzie wśród wody majaczyły zabudowania.

– Sześć gospodarstw i na pewno są tam ludzie. Wojskowi widzieli, jak migały tam światła.

Podszedł bliżej do nas i pokazał rękoma, żebyśmy również przybliżyli się zaginając skrzydła dwuszeregu.

– Sprawa jest dla mnie ambicjonalna – kontynuował. – Wojsko próbowało się do nich dostać, ale w amfibii zatarł się silnik po paru metrach i trzeba było ją wyciągać na linach. Powiedziałem, że rano tych ludzi wyciągnę stamtąd i nawet nóg nie zmoczą. Rozumiecie?

Stary chce dać wojskowym prztyczka w nos i musimy stanąć na głowie, żeby mu się to udało.

Śluza zebrał w swoim samochodzie dowódców drużyn i kierowców BTR-ów. Kombinowali coś przez piętnaście minut, a potem była już tylko robota i koniec zastanawiania się. Podczas narady w samochodzie Śluza znalazł na mapie drogę prowadzącą do tych budynków. Należało jechać po niej i pozwozić ludzi na wyżej położony teren. Mieliśmy tylko nadzieję, że droga nie została rozmyta przez falę powodziową.

Pierwszy na polecenie Śluzy ruszył Szpako. Na pancerz wziął dowódcę trzeciej drużyny i trzech chłopaków. Tym razem nawet nie próbował odezwać się. Czepił się ich Śluza, że nie uczestniczą w akcjach, ale to nie była ich wina. Tak się po prostu składało, że my i druga drużyna byliśmy wysyłani na akcje w trakcie dyżurów.

Na naszym BTR-ze, oprócz mnie, siedział Śruba, Misiek i Zgaga. Nikt nie włazi pod pancerz. Woleliśmy siedzieć na wierzchu i widzieć co się dzieje. A nuż beteer zacznie tonąć?

Zadanie okazało się łatwiejsze niż myśleliśmy. Droga musiała być wysoko położona, bo woda nie zakrywała nawet całych kół BTR-a. Jechaliśmy powoli jakieś dwadzieścia metrów za Szpakiem. Rozepchnięta przez niego woda akurat zamykała się z powrotem, gdy w nią wjeżdżaliśmy. Zabudowania były już niedaleko, ale nie widziałem żadnego ruchu w oknach na piętrze ani na dachach. Woda zalała wszystkie budynki. Te, które wybudowano na terenie położonym wyżej, miały zalane tylko piwnice i część parteru. W położonych niżej woda sięgała nawet do okien. Pierwsze dwa gospodarstwa były puste. W następnym na piętrze domu siedziało dwoje staruszków. Zajął się nimi Biały ze swoimi ludźmi. Zjechali pod sam dom i w ten sposób mogliśmy ich minąć i jechać dalej. Żaden z kierowców nie próbował zbaczać z drogi. Nie wiadomo co mogło kryć się pod wodą na poboczu. Oczywiście, którędy jechać orientowali się po drzewach rosnących prawdopodobnie przy drodze. Prawdopodobnie, bo pewności nie było. Między budynkami było łatwiej dzięki ogrodzeniom, które dokładnie wyznaczały miejsce, gdzie kończy się droga, a zaczyna podwórko. W ostatnim z gospodarstw już z daleka zobaczyłem na dachu obórki kobietę z dwójką małych dzieci. Przed deszczem okryli się dużym kawałkiem folii, ale teraz odkryli się i cała trójka machała do nas. Pomachałem do nich, Zgaga zrobił to samo.

– Po prawej na tym małym budynku jest kobieta z dwójką dzieci. – Skręć do nich – krzyknął Śruba do wnętrza „mrówy".

– Widzę, ale nie bardzo wiem którędy jechać – dobiegło do nas wołanie Bacy.

To był problem. Budynek, na którym siedziała rodzinka, otoczony był innymi tak szczelnie, że dojazd był niemożliwy.

– Kurwa, jak oni wjeżdżają na to podwórko? – złościł się Śruba.

– Pewnie teraz wcale. Przedtem przejazd był tu, gdzie jest nowy dom. Jak rozbiorą stary, to będzie można wjechać. A na razie wystarcza im dojazd do stodoły i może przejeżdżają przez nią na wylot – powiedział Misiek.

– Masz rację, na pewno jeżdżą przez stodołę! – nieoczekiwanie zgodził się z nim Zgaga.

Chyba po raz pierwszy zdarzyło się, że byli tacy zgodni.

Patrzyliśmy wszyscy na budynki. Baca zatrzymał beteera i też wyjrzał. Od drogi stał stary drewniany dom, a tuż obok niego niewykończony jeszcze piętrowy, murowany budynek. Po bokach kwadratowego podwórka pobudowane były obory: z lewej – należąca do tego gospodarstwa, a z prawej – do sąsiedniego. Tył zamykała ogromna stodoła. Na środku kwadratu tkwiła mała obórka jak wysepka na morzu. Zwłaszcza teraz tak wyglądała.

– Co za baran pobudował obórkę na środku podwórka? – złościł się Baca.

– To stara obora. Stawiana pewnie razem z domem. Potem postawili stodołę i drugą oborę, a ta została – stwierdził Śruba i zaraz zapytał. – Tą dziurą między domami nie przepchasz się?

– Za jasną cholerę nie da rady. Przez stodołę, nawet jakby udało się otworzyć wierzeje, też nie dam rady przejechać, bo tam woda wysoka. Zresztą strach objeżdżać budynki naokoło.

Śruba już się dłużej nie zastanawiał, bo wyglądało na to, że wody cały czas przybywa.

– Dawaj linki – powiedział do Bacy, a gdy ten wyrzucił na pancerz dwa zwoje zapytał:

– Który idzie ze mną?

– Ja – odpowiedziałem bez namysłu.

– Dobra – kiwnął głową.

Wyjąłem z kieszeni to, co mogłem zamoczyć, czyli papierosy i legitymację. Colta też zostawiłem Zgadze. Przywiązaliśmy na plecach końce linek do pasów i Baca podjechał do prześwitu między domami. Tutaj woda była głębsza niż na drodze. Sięgała pewnie metra. Patrzyłem na to trochę przerażony swoją odwagą. Przecież na wierzchu gdzieniegdzie pływały kawałki lodu, czyli woda miała temperaturę około zera stopni. Kąpiel w niej to szaleństwo, ale jakoś trzeba to zrobić. Śruba chyba czytał w moich myślach.

– Jak dostaniesz skurczu, od razu krzycz. Nie wstydź się, bo potem możesz nie dać rady nawet krzyknąć.

Kiwnąłem głową że rozumiem i rzuciłem Zgadze zwój swojej linki. Śruba oddał swoją Miśkowi i równocześnie zsunęliśmy się z pancerza do wody. Zanurzyłem się od razu do pasa i w ciągu kilku sekund zimno dotarło do ciała. Idąc w ślady Śruby zacząłem szybko posuwać się przez wodę. Przejście między dwoma domami było już za nami i teraz zaczęliśmy iść przez podwórko. Chwilami woda sięgała mi do piersi i cieszyłem się, że nie miałem przy sobie legitymacji, bo na pewno by namiękła. Zimno było okropnie, ale dreszcze jeszcze się nie zaczęły. Czułem tylko, że nogi mam coraz mniej sprawne, ciężkie jak z ołowiu. Na mijane kawałki lodu pływające w wodzie patrzyłem jak na coś, co mnie nie dotyczyło. Zupełnie jakby pływały po innej wodzie.

– Weźmiesz dzieciaki. Jesteś wyższy i ich nie zamoczysz. Ja wezmę kobietę – powiedział Śruba, gdy doszliśmy do obórki.

– Dobra – kiwnąłem głową.

– Pani podaje dzieci! – krzyknął Śruba.

Kobieta widząc jak idziemy przez wodę zeszła już na krawędź dachu i czekała na nas. Dzieciaki na szczęście nie były duże. Chłopczyk i dziewczynka cztero-pięcioletnie. Urodzone chyba rok po roku, bo chłopczyk wyglądał na starszego.

Przewiązałem linkę z pleców na brzuch. Kobieta po kolei podała mi dzieci, które wziąłem na ręce i ruszyłem z powrotem. Wiążąc linkę zauważyłem, że woda znowu się-

ga mi tylko do pasa, czyli najgłębsza była w połowie drogi od domów do obórki. Tam sięgała do piersi, a Śrubie do ramion. W połowie drogi powrotnej poczułem, że z moimi nogami jest coraz gorzej. Prawie zdrętwiały mi z zimna. Starałem się przyspieszyć na ile mogłem, ale w wodzie okazało się to trudne.

Na pancerzu chłopcy z niepokojem patrzyli jak wolno brnę przez wodę. Zgaga jako asekuracja spisywał się do tej pory na piątkę. Przedtem puszczał linkę na tyle, ile było potrzeby, a teraz z uwagą wybierał ją tak, że cały czas była napięta.

Przeszedłem już najgłębszy odcinek, czyli przebrnąłem przez podwórko, gdy obejrzałem się za siebie jak idzie Śrubie. Był dopiero na środku podwórka i też szedł z trudnością. Niby całej drogi nie więcej niż pięćdziesiąt metrów, ale w wodzie trwało to strasznie długo.

Gdy zadowolony z siebie dochodziłem już do beteera, nagle ziemia usunęła mi się spod nóg i zanurzyłem się razem z dziećmi pod wodę. Trwało to kilka sekund, bo zaraz odbiłem się od dna i poczułem, że ciągnie mnie linka. Pamiętałem w tej chwili tylko o tym, żeby nie wypuścić dzieci z rąk. Wynurzyłem się szybko i stanąłem na nogach. Woda sięgała mi po szyję, ale po kilku skokach już tylko do piersi. Po wynurzeniu obydwa dzieciaki chwilę były cicho zachłyśnięte wodą, ale zaraz podniosły wrzask dając znak, że żyją. Zgaga szybko odebrał je z moich rąk i podał Bacy. Podskoczył do Miśka i obaj ciągnęli za linkę, którą asekurowany był Śruba. Ze zdziwieniem zobaczyłem, że on też zniknął pod wodą. Na powierzchni pływała jedynie kobieta krzycząc rozpaczliwie. Po chwili ciągnięty na lince ze trzy metry od niej wynurzył się Śruba. Prychnął parę razy i zawrócił po nią. Nie podszedł od razu, ale poczekał aż zacznie słabnąć i zanurzy się w wodzie. Wtedy szybko wyciągnął ją na powierzchnię. Trzymał jednak tak, żeby nie mogła się wyrwać i dopiero gdy trochę się uspokoiła zaczął znowu iść w kierunku BTR-a.

Chciałem wyjść z wody na pancerz, ale udało mi się jedynie oprzeć nogę na kole. Na odbicie się i wskok zabrakło sił. Oparłem się rękoma o bok „mrówy" i tak stałem czekając aż ktoś mi pomoże. Z zimna tak mi ścisnęło zęby, że nie mogłem słowa z siebie wydobyć.

Zgaga i Misiek zajęci byli pilnowaniem linki, którą ubezpieczali Śrubę i nie patrzyli w moją stronę. Baca z dzieciakami zniknął pod pancerzem, więc pozostało czekać aż Śruba dojdzie do mnie. Misiek zauważył mnie wcześniej:

– Pomóż Rybie! Zobacz jak zsiniał! – krzyknął do Zgagi, który skoczył od razu, żeby mnie wyciągnąć.

Chwycił mnie za bluzę i pociągnął w górę. Udało mi się trochę odepchnąć nogami i jakoś wlazłem na transporter. Leżałem teraz patrząc jak obcieka ze mnie woda spływając strumieniami po pancerzu. Zgaga skoczył do Miśka i razem wyciągnęli kobietę i Śrubę.

Miałem chwilę złośliwej satysfakcji z tego, że mój dowódca drużyny też nie jest w stanie sam wydostać się z wody. Mimo zimna zrobiło mi się lepiej.

– Gdzie moje dzieci! ? O Jezu! Potopiły się! – wrzasnęła kobieta, kiedy ledwo doszła jako tako do siebie.

– Nic im się nie stało. Są tutaj, u mnie – odezwał się Baca wystawiając głowę.

Po chwili cała trójka powodzian próbowała rozgrzać się we wnętrzu „mrówy".

Baca cofnął i ruszył w drogę powrotną. Jechał bardzo ostrożnie i powoli, więc przeszedłem po pancerzu do Śruby.

– Cholera, żeby nie ten dołek na samym końcu, to doniósłbym dzieciaki suche – odezwałem się.

– Przedtem szliśmy bliżej starego domu, ale wracając poszedłeś trochę w bok, bliżej nowego, i wpadłeś w dół. W jedną stronę mieliśmy szczęście, bo przypadkowo go ominęliśmy. Z powrotem miałeś pecha i wlazłeś. Dobrze, że jakoś udało nam się wyjść cało – odpowiedział Śruba.

– A tobie co się stało? Też dół? – zapytałem.

– Nie było żadnego dołu. Ta baba jak zobaczyła, że znikasz z dzieciakami pod wodą, wyrwała mi się, żeby dzieci ratować. W panice zaczęła się topić i kiedy chciałem jej pomóc stanąć na nogi, wzięła mnie pod siebie. Pchała się do powietrza, a mnie przytapiała. Dobrze, że mnie chłopaki odciągnęli, bo utopiłbym się jak dwa razy dwa to cztery.

– To cholera! Przez moją nieuwagę o mały włos cię nie utopiła? Przepraszam – powiedziałem zawstydzony.

– Twojej winy nie ma tu żadnej. Nikt nie przewidział, że tam jest dół. Powinienem ogłuszyć ją, jak tylko zaczęła mnie topić. Zawahałem się, bo przecież to kobieta. Kiedy się zdecydowałem, to tak już osłabłem, że nie dałbym rady.

Podjechaliśmy do zabudowań, przy których stał nadal BTR Szpaka.

– Co jest? Awaria? – krzyknął do nich Śruba.

– Nie. W porządku, zaraz ruszamy – odezwał się Biały.

Na pancerzu mieli dwoje staruszków, ale brakowało jednego z chłopaków.

Pewnie myszkuje w budynku, czy jeszcze kogoś nie ma – pomyślałem. Mimo mokrego ubrania rozgrzałem się już na tyle, że czułem całe ciało, nawet nogi, z wyjątkiem może stóp, a na pewno palców.

Dojechaliśmy już do granicy wody i z ulgą patrzyłem jak BTR wdrapuje się na nasyp drogi.

Podjechaliśmy do sztabu. Śruba poszedł zameldować pułkownikowi o wykonaniu zadania, a do nas podjechała karetka. Oczywiście dzieci od razu trafiły pod koc na nosze, a za nimi matka. Zdążyła tylko krzyknąć patrząc na mnie:

– Dziękuję panu!

Pomachałem jej ręką. Zawsze to miło, gdy ktoś podziękuje za wysiłek. Wrócił Śruba i zakomunikował nam nowinę:

– Mamy obaj wolne. Lala ma nas odwieźć do jednostki.

Lala włączył ogrzewanie na maksimum i bez szczękania zębami po godzinie znalazłem się w swoim łóżku z kubkiem gorącej herbaty.

Śruba przebrany w suche cywilne ciuchy pojechał do domu.

Reszta plutonu wróciła dopiero wieczorem przed kolacją. Ledwo przyjechali, a po ożywionych głosach zorientowałem się, że musieli gdzieś dorwać się do wódki. Razem z Jasiem do pokoju przyszedł Baca.

– Jak tam nasza Rybka? Nie zamarzła? – zapytał.

– Będę żył – odpowiedziałem.

Czułem, że mam gorączkę i byłem pewny, że ta kąpiel skończy się przeziębieniem. Baca chyba po głosie zorientował się, co mi grozi.

– Ale chyba trzeba zrobić dezynfekcję? Zarazków się w tobie narozwijało z tej wody.

– Można by, ale nie ma czym – odpowiedziałem.

– Nie było, póki tu nie przyszedłem – powiedział ze śmiechem wyjmując spod bluzy dwie butelki wódki. – A w „mrówie" mam jeszcze cztery takie same. Nie ma siły. Musi nam starczyć.

– A skąd takie zaopatrzenie? – zapytałem podejrzliwie znając niechęć Bacy do fundowania komuś wódki.

– Powódź nie wybiera, zatapia jak cholera – próbował rymować. – Zatopiła i sklep, w którym była wódka. Niestety, zanim się zorientowałem, wcześniej wyniuchali go żołnierze i ledwo parę flaszek udało się uratować.

– Ładne mi parę – odezwał się Jasiu, który robił już kanapki na zagrychę. – Każdy z naszych gdziesik tak po dwie sobie wziął.

– Ja mówię o tych, które miały zaszczyt zostać uratowane przez nas – zaśmiał się Baca rozlewając wódkę do szklanek.

Pomyślałem sobie, że jutro nie dość, że będę przeziębiony, to jeszcze będę miał kaca. Ale co tam! Śluza i tak pewnie po tej kąpieli da mi wolne.

– Żałuj, że nie byłeś do końca. Szpako z Białym taki cyrk mieli, że głowa mała – odezwał się Baca po wypiciu pierwszej kolejki.

– Z tymi dziadkami? – zapytałem.

– Tak. Na piętrze jego domu była cała menażeria. Ten facet wyciągnął tam cztery owce, dwadzieścia pięć kur, kozę, psa i kota. Gdy ich mijaliśmy, odbywało się polowanie na kota. Chcieli chłopaki zostawić to całe ZOO, ale babcia powiedziała, że bez zwierząt się nie ruszy. Mówię ci, jak przyjechali, to wyglądało to jakby arka Noego dobiła do brzegu. Na wierzchu koza, owce i pies, a w środku kury i kot. Kury w czasie jazdy wylazły z worka i teraz w beteerze Szpako ma jak w kurniku. Kupa piór i nasrane. – Baca śmiał się głośno i w opowiadaniu zastąpił go Jasio.

– Najweselej było, gdy się zatrzymali. Szpako wylazł na zewnątrz i pierse słowa to tocywiście „Jasna cholera", a stoi dziadek z owcą obok i owca od razu „beee". Szpako

złapał za broń i już myśleliśmy, że zastrzeli ją za to przedrzeźnianie, ale jakoś się opamiętał. – Zawsze małomówny Jasio teraz był aż gadatliwy. Pewnie spowodowała to wódka.

– A woda dużo się jeszcze podniosła? – zapytałem.

– Jakieś dwadzieścia centymetrów. Ledwo tamę na drodze chłopcy utrzymali. Na szczęście w południe zaczęła opadać i wszystko się uspokoiło – odpowiedział Baca.

Obie butelki wódki wypiliśmy do czasu, kiedy trzeba było iść na kolację. Chcieli mi przynieść, ale uparłem się, że pójdę sam i poszedłem. Stołówka wyglądała dziwnie. Tylko gdzieniegdzie przemknął się jakiś chłopak ubrany w moro. Większość była tak jak ja w dresach i trampkach. Wiadomo. Wszystko mokre.

* * *

Następnego dnia wstałem na tak ogromnym kacu, że gdy zobaczył mnie Śluza, kazał mi się położyć do łóżka myśląc, że to przeziębienie. Zorientował się dopiero, gdy zobaczył jak wygląda Jasio i Baca. Oni kąpielą w zimnej wodzie wytłumaczyć się nie mogli. Przeszło nam to ulgowo, bo dowódca jednostki wychwalał „tygrysów" przed każdym, kogo zobaczył, więc Śluza nie mógł nam nic zrobić. Ulgowo przeszła też cała kąpiel. Nawet kataru nie dostałem.

Niezbyt wierzyłem w opinię Bacy, że to dzięki „dezynfekcji" i jego recepcie, która brzmiała: „Nie mniej niż pół litra na głowę". Poprzedniego dnia nawet przekroczyliśmy normę, bo wypiliśmy we trzech cztery butelki. Co dziwniejsze, Śruba, którego żona kurowała polopiryną i mlekiem z miodem, dostał zapalenia oskrzeli i tydzień z łóżka nie wstawał. Baca, gdy się dowiedział, że Śruba ma tydzień zwolnienia i czym go żona leczyła, podsumował krótko:

– Nie chorowałbyk jakby lecył się jak chłop. Ale nie, on chciał wydobzeć po mlecku jak dzieciuch – i pokazując na mnie. – Rybe jo lecyłek i zobaccie jak piknie wyglonda.

Rozmowa toczyła się w stołówce i był przy niej Śluza, który od razu objechał Bacę.

– Jak jeszcze raz będziesz mi tak młodych kurował, to ci wprowadzę zakaz wstępu na jednostkę po godzinach pracy. Kto to widział, żeby wnosić wódkę do koszar? Jak tak można...

– Właśnie, że nikt nie widzioł i dlatego wsyćko elegancko posło – roześmiał się Baca.

Jednak mimo tych pretensji o picie, właśnie Bacę Śluza wyznaczył na tego, który miał zastępować Śrubę podczas choroby.

Przez cały tydzień nie było jednak takiej potrzeby. Mieliśmy normalne szkolenia i nie trafiła się żadna akcja. Znowu próbowaliśmy namówić Śluzę na wyjazd w góry na skałki, ale uparł się, że bardziej przydatne dla nas będzie szkolenie na budynkach.

Wybrudziliśmy więc butami ściany na bloku dydaktycznym i sali gimnastycznej. Dowódca dał nam spokój, kiedy zobaczył, że rzeczywiście obdeptaliśmy co się dało.

Siedziałem w kawiarni dyskutując zawzięcie z Lalą na temat jego sposobu uderzania kolanem, kiedy wpadł jak burza Foks.

– Zbierać się! Wyjazd! – krzyknął i w locie zjadł nam dwa ciastka ze stojącego na stoliku pudełka.

Wyszedł, a my tuż za nim. Oczywiście przyjechał UAZ-em, więc wsiedliśmy czym prędzej i ruszył przez jednostkę.

– Cały pluton? – rzuciłem pytanie.

– Nie. Tylko drużyna dyżurująca – odpowiedział jadąc niezbyt szybko.

Śpieszyć się rzeczywiście nie musiał. Część chłopaków była w domu i zanim zjadą do jednostki, upłynie trochę czasu.

Tym razem trwało to dłużej niż zwykle, bo Misiek zamiast być w domu gdzieś polazł. Gdy drużyna miała dyżur, miał obowiązek siedzieć w domu, więc Śruba słusznie się wściekał:

– Kurwa, tym razem przejadę mu się po premii. Będzie znowu miał pretensję, ale trudno... – mówił poddenerwowany patrząc na zegarek.

Pojechaliśmy w końcu bez niego, zostawiając wartownikowi przy bramie informację, gdzie jedziemy i że Misiek ma tam dotrzeć na własną rękę.

Na skutek zdenerwowania na Miśka Śruba nie powiedział nam dokąd jedziemy i po co. Zrobił to, gdy zatrzymaliśmy się na peryferiach Katowic na nowym osiedlu mieszkaniowym.

Przy jednym z bloków stały dwie milicyjne nyski i grupka gapiów. Do nas wyszedł młody podporucznik i po przywitaniu się wyjaśnił sytuację:

– W mieszkaniu na drugim piętrze została zamordowana kobieta. Z tego jak wygląda mieszkanie wynika, że przed śmiercią była przez kilka godzin torturowana. Wszędzie jest pełno krwi i porozsypywanej soli. Ktoś ją najpierw rozebrał i związał, a potem po prostu kroił i solił. Nie wiadomo na pewno, ale prawdopodobnie umarła z upływu krwi... – przerwał na chwilę, bo od nysy machał ręką wołając go jakiś sierżant. Podszedł do niego, chwilę rozmawiali i zaraz wrócił do nas.

– Mam potwierdzenie, że dzisiaj rano z więzienia wyszedł były mąż tej kobiety. Gdyby od razu ruszył pod ten adres, to wszystko zgadzałoby się w czasie. Facet siedział osiem lat za zabójstwo, a jego żona w tym czasie przeprowadziła sprawę rozwodową i wyszła drugi raz za mąż. Wiedział gdzie ona mieszka, bo jeden z sąsiadów zeznał nam, że pół roku temu był tutaj jakiś facet i awanturował się pół nocy. Gdy zadzwonili po milicję, zdążył niestety uciec. Później ta kobieta przepraszała sąsiadów i mówiła, że to jej były mąż...

– No dobra. Wszystko jasne. To najprawdopodobniej on, ale do czego my tu jesteśmy potrzebni? Pies po śladzie nie pójdzie, bo ludzie wszystko zadeptali, poza tym zaczyna się ściemniać i bez sensu jest próbować szukać śladów po ciemku... – wtrącił się Śruba.

– Już mówię – uśmiechnął się porucznik. – Tu na miejscu jest prokurator, który chce jechać z wami i sprawdzić teraz wszelkie adresy, gdzie on może być. Na razie mamy trzy. Dawne mieszkanie, mieszkanie rodziców i adres kumpla, u którego kiedyś był zatrzymany.

– No dobra, to niech ten prokurator siada z nami i jedziemy. A wy uważajcie, żeby nie wrócił tutaj, bo może zechce dorwać nowego męża tej kobiety – powiedział Śruba.

Prokuratorem okazał się starszy, lekko zgarbiony człowiek. Wsiadł i podpierając głowę ręką palił papierosa. Poza „Dzień dobry" nie odezwał się słowem.

Jechaliśmy do mieszkania, w którym kiedyś mieszkała zamordowana z mężem nim poszedł do więzienia. Potem pewnie wolała się wyprowadzić, żeby uniknąć jego wizyt. Mieszkanie stało puste przez cały czas jego pobytu w więzieniu. To wiedziałem z relacji porucznika. Dodał też, że poszukiwany przez nas mężczyzna kilka razy był podejrzewany o nielegalne posiadanie broni, ale ani razu nie złapano go z pistoletem. Trzeba było jednak uważać.

Dlatego wchodziliśmy do mieszkania bardzo ostrożnie i z zachowaniem całej procedury. Obstawione okna, wzajemna asekuracja, odbezpieczona broń. Mieszkanie było jednak puste i wszystkie meble pokrywał kurz. Niepotrzebnie popsuliśmy drzwi.

Prokurator skwitował to krótko.

– Tak myślałem. To by było zbyt łatwe.

Ruszyliśmy pod adres, gdzie mieli mieszkać rodzice. Wysiedliśmy z samochodów przed małym parterowym domkiem w spokojnej dzielnicy. Zaczęliśmy biegiem rozstawiać się naokoło, gdy Dyzio krzyknął przez radiostację, że zwijamy się z powrotem.

Momentalnie byliśmy przy samochodach.

– Przed chwilą podszedł pod tamten blok, gdzie zabił żonę. Próbował dostać się na klatkę schodową, ale spłoszył się na widok milicjantów. Miał przy sobie dubeltówkę i dwa razy strzelił do nich, gdy zaczęli go gonić. Uciekł do lasu. Jeden milicjant jest ranny w nogę. Niegroźnie. Śrutem – informował nas Dyzio, który siedział przy radiostacji, pilnując samochodów i dotrzymując towarzystwa prokuratorowi.

Śruba szybko zażądał od dyżurnego przewodnika z psem tropiącym, ale przyjemnie zdziwił się, gdy usłyszał, że przewodnik jest już w drodze.

Ruszyliśmy na sygnałach z maksymalną prędkością. Było już ciemno i przynajmniej dla mnie pościg w takich warunkach wydawał się szaleństwem, ale nie ja tu decydowałem.

W czasie jazdy odezwał się w końcu prokurator:

– Panowie, jeśli on wam ujdzie żywy, też nic mu nie zrobię. Obrońca zrobi z niego wariata, obsesyjnie zazdrosnego o żonę. Posiedzi rok u czubków i wyjdzie. Najlepiej, gdyby udało się go zastrzelić – przekrzykiwał warkot silnika i dźwięk syren.

– My go sprzątniemy, a pan nam zrobi sprawę o bezzasadne użycie broni i taki będzie finał – odezwał się Śruba.

– Mogę wam zagwarantować, że jeśli go sprzątniecie, to całe postępowanie przeprowadzę jutro do południa i z całą pewnością umorzę. Zrozumcie, że na tego faceta nie będzie siły. Wyjdzie od czubków i znowu będzie zabijał – obiecywał prokurator.

– Zobaczymy co się da zrobić. Czy w ogóle go złapiemy? – powiedział Śruba.

Dojeżdżaliśmy już na osiedle. Przewodnika z psem jeszcze nie było, a karetka zabrała już rannego milicjanta. Czekaliśmy, a Śruba zrobił się trochę niespokojny. Nie dość, że było ciemno, to mieliśmy ze sobą tylko „raki" i rewolwery. W lesie lepsze byłyby „kałachy", ale do roboty w mieście zawsze wyjeżdżaliśmy z „rakami", które jako mniejsze były bardziej poręczne przy wejściach do mieszkań. Ich pociski nie przebijały ścian co zdarzało się przy strzałach z kałasznikowa. Łatwo wtedy można było zamiast bandyty uszkodzić kogoś z sąsiadów. Natomiast w lesie, przy większych odległościach konieczny był celny i niezawodny „kałach". Dlatego niepokój Śruby był uzasadniony. Zgaga pocieszał go:

– Nic się nie martw. Pierwszy przecież będzie leciał pies, najwyżej on oberwie. A jak będzie trzeba do faceta pukać, to Głuś ma przecież snajperkę – mówiąc to pokazał na Głusia, który trzymał w rękach swoją broń.

Podszedł do nas prokurator. Chwilę stał w milczeniu paląc papierosa, w końcu zgasił przydeptując go.

– Panowie, ponawiam swoją obietnicę. Postępowanie w sprawie ewentualnego użycia broni umorzę jutro do południa. Możecie śmiało walić do niego – odezwał się spokojnie.

– O, to rozumiem. To jest prokurator, z którym można pracować – powiedział Zgaga i dodał jeszcze: – Gdyby takich było więcej, to już dawno połowa co większych skurwysynów gryzłaby ziemię.

Więcej nikt się nie odezwał. Łatwo prokuratorowi mówić: „Zastrzelić". Trudniej to zrobić i przy okazji samemu nie oberwać. Zaczynałem się trochę denerwować, chyba dlatego, że najgorsze dla mnie zawsze było czekanie. Już sto razy wolałbym biec przez las po ciemku niż tak stać.

Moje życzenia spełniły się. Przyjechał radiowóz. Wysiadł przewodnik i pies. Razem z nim ku naszemu zaskoczeniu dojechał Misiek, którego po drodze zabrali z jednostki. Śruba na jego widok nie odezwał się, tylko zajął się rozmową z przewodnikiem, rozplątującym linkę.

Przewodnik był młody i chyba też się bał, bo zauważyłem, że drżały mu ręce podczas rozplątywania.

W końcu ruszyliśmy. Bez latarek, na tzw. kocie oko, czyli zdając się całkowicie na księżyc i gwiazdy. Musiało być lekkie zachmurzenie, bo czasami nawet księżyc znikał i robiło się bardzo ciemno.

Pies chwilę kręcił się niezdecydowany, gdy przewodnik prowadził go po miejscach, przez które uciekał zabójca. Potem złapał ślad i poprowadził prosto do lasu. Powoli mo-

je oczy przyzwyczajały się do małej ilości światła i nawet nie najgorzej udawało mi się omijać leśne przeszkody.

Tyle razy już biegłem za psem podczas takich pościgów i nie mogłem się odzwyczaić od jednego. Otóż zawsze ledwo ruszyliśmy, zaczynałem zastanawiać się, czy pies złapał dobry ślad. Na podstawie tego, którędy prowadził, usiłowałem wywnioskować, czy to dobry trop, czy nie. Patrzyłem, że np. tutaj są za nisko gałęzie, a tędy żaden człowiek by nie przechodził, bo z boku ma dużo wygodniejszą drogę. Nic te moje gdybania nie dawały, bo z reguły okazywało się, że pies znowu miał rację, ale nie mogłem pozbyć się tych myśli. Teraz też wydawało mi się, że pies omyłkowo idzie lasem. Obok była ładna polanka, a my zasuwaliśmy między drzewami mijając ją po prawej stronie. Coś mi między drzewami zamajaczyło. Tak jakby na polance był jakiś budynek. Obejrzałem się w biegu i w tym momencie od strony polanki błysnęło i prawie jednocześnie dobiegł do moich uszu huk wystrzału. Błyskawicznie runąłem szczupakiem za najbliższe drzewo, boleśnie obijając sobie biodro o jakiś korzeń. Automatycznie, jak na ćwiczeniach, wyciągnąłem „rakę" z kabury. Rozłożenie kolby i cofnięcie zamka wykonałem odruchowo. Pistolet był gotowy do strzału i skierowany lufą na miejsce, gdzie przez ułamek sekundy zobaczyłem błysk.

– Dostałem po lewym płucu – krzyknął Misiek leżący gdzieś z przodu przede mną.

Od tej pory wszystko zaczęło dziać się jakoś samo.

Od strony polanki moje oczy zarejestrowały błysk i w tym momencie ręce minimalnie tylko przesunęły broń naprowadzając na cel. Palec wskoczył pod kabląk i leciutko musnął spust. Pistolet zadrgał w moich rękach wypluwając cztery lub pięć pocisków i było po wszystkim. Palec wystraszony wyskoczył spod kabląka, a lufa powędrowała w górę. Leżałem i czekałem. Na co? Nie wiem.

W lesie panowała cisza. Powoli docierało do mnie to, co się stało. Coś chrząknęło w radiostacji. Ktoś najpierw dmuchnął w mikrofon i usłyszałem głos Śruby:

– Który to?

Diabli wiedzą, dlaczego od razu przebiegła mi przez głowę myśl, żeby nie przyznać się. Po chwili jednak przeszło mi i odezwałem się:

– To ja. Ryba.

– Trafiłeś?

– Nie wiem. Strzelałem na błysk.

Na chwilę znowu zapadła cisza. Słyszałem tylko swój oddech i czułem przyspieszone tętno.

– Misiek... – odezwała się radiostacja głosem Śruby.

– Jestem – usłyszałem chrapliwy, stękający głos.

– Co z tobą? Wytrzymasz jeszcze trochę?

– Nie wiem. Krew mi po boku cieknie i płuco mam dziurawe, ale tak to nie najgorzej – odpowiedział Misiek z trudem.

Śruba chwilę zastanawiał się, w końcu padła komenda.

– Od tej pory strzela tylko Gluś. Przewodnik, puść psa, niech sprawdzi...

Nastała cisza. Radiostacja milczała, a w lesie również nic się nie odzywało.

– Przewodnik, zgłoś się! – zawołał znowu Śruba.

Po chwili ciszy w radiostacji odezwał się inny głos:

– Tu Lala, sprawdzę co z nim. Jestem najbliżej.

– Dobra. Gluś uważaj.

Przez chwilę trwała cisza przerywana tylko jakimiś szelestami. Przypomniałem sobie, że mam przeładowany pistolet. Przesunąłem zamek do przodu zabezpieczając go. Trzymałem jednak nadal broń w rękach nie chowając do kabury.

– W porządku. Zaraz pies pójdzie. Miał stację na innym kanale – zdyszanym głosem odezwał się Lala i dodał po chwili. – Uwaga! Poszedł!

Przez polanę przemknął bury kształt. Po chwili od strony polanki usłyszałem kilka krótkich szczeknięć.

– Tu Lala. Przewodnik mówi, że można iść. Pies coś znalazł, ale niebezpieczeństwa nie ma.

– Uważajcie! Idę! Dyziu, ruszamy! – odezwał się Śruba.

Nie widziałem ich dopóki nie wybiegli na polankę. Wtedy jak na złość chmury odsłoniły księżyc i chłopcy stali się widoczni jak na patelni. Dobiegli jednak bez kłopotu do widocznej już teraz wyraźnie szopki na karmę dla zwierząt. Chyba temu celowi miał służyć drewniany budyneczek bez drzwi. Ale pewnie było to dawno. Zanim wybudowano osiedle w pobliżu lasu.

– Lala, chodź tu z przewodnikiem! Pies nie chce nas dopuścić bliżej. Baca, sprawdź co z Miśkiem! – Śruba wydawał komendy przez radio.

Od tego momentu byłem już pewny, że faceta trafiłem. Jeszcze bałem się to nazwać po imieniu, więc mówiłem sobie „trafiłem go".

Wstałem zza drzew i wolno przeszedłem przez polankę licząc bezmyślnie kroki. Wyszło mi około siedemdziesięciu, ale pod koniec straciłem rachubę, bo zobaczyłem nogi leżącego człowieka.

Leżał w wejściu do szopki i musiałem podejść bliżej, żeby zobaczyć resztę.

Przewodnik przypiął psu smycz i zaświecił latarką. Zobaczyłem tułów, ręce, leżącą obok dubeltówkę... Gdy spojrzałem na głowę i ścianę z tyłu za nią, żołądek podjechał mi do gardła.

Zdążyłem odbiec kilka kroków na bok i zwymiotowałem. Wycierałem usta chusteczką, gdy podszedł do mnie Śruba:

– Chodź, obejrzyj dokładnie. Jak się teraz nie przełamiesz, to nie będziesz mógł więcej patrzeć na zwłoki. Będziesz rzygał albo mdlał i jako komandos będziesz do niczego – powiedział kładąc mi rękę na ramieniu.

– Muszę? – zapytałem.

– Niestety tak – pokiwał głową.

Za drugim razem wrażenie było słabsze. Co prawda oczy nadal były otwarte i zęby wyszczerzone, ale widziałem już to wcześniej. Dziura z lewej strony czoła też nie była taka duża i krwawa. Można było jednak poznać po niej, że w głowę trafiły przynajmniej dwa pociski. Największe wrażenie robiła ściana z tyłu za zwłokami. Prawie cała zbryzgana była krwią i czymś szaro-białym.

– To szare na ścianie, co to jest? – zapytałem Śrubę, który przyświecał mi latarką.

– Mózg.

Tę odpowiedź usłyszałem jak przez watę. Zaczęło mi szumieć w uszach, a dźwięk ten wzmógł się, gdy zobaczyłem, jak Śruba podchodzi bliżej i za włosy podnosi głowę do góry. Z tyłu była jedna wielka dziura. W środku czaszki nie zostało prawie nic.

Żołądek znowu zareagował jak winda jadąca na ostatnie piętro, ale zamiast wymiotów wydałem z siebie tylko beknięcie. Żołądek był pusty, a Śruba puścił głowę, która spadła bezwładnie na ziemię.

Odszedłem na bok i drżącymi rękoma przypaliłem papierosa. W radiostacji jakby z oddali dotarł do mnie głos Bacy, który prosił dyżurnego RUSW o karetkę pogotowia.

Oparłem się o drzewo i patrzyłem jak Śruba z przewodnikiem idą przez polanę zobaczyć co z Miśkiem.

Do szopki podeszli następni chłopcy, popatrzyli i poszli do Miśka. Po drodze zatrzymał się przy mnie Dyzio:

– Ładnie go wymacałeś – powiedział opierając mi ręce na ramionach.

– Bardzo mało światła. Między drzewami. Piękny strzał – usłyszałem z boku głos Glusia. – Zanim tę swoją luśnię nastroiłem, było już po wszystkim. Chodź, zobaczymy co z Miśkiem.

Wzięli mnie między siebie i poprowadzili do miejsca, w którym zebrali się wszyscy. Misiek siedział oparty o drzewo, a Baca kończył bandażowanie. Rozpiął mu bluzę, podciągnął do góry dres i szybkimi wprawnymi ruchami owijał bandaż naokoło tułowia. Zużył już drugi opatrunek osobisty, czyli swój i Miśka, bo na trawie leżały dwa rozdarte brezentowe opakowania. Wyjąłem z kieszeni swój i podałem mu.

Skończył poprzedni, chwilę popatrzył na bandaż czy przecieknie krew, a ponieważ nie pokazała się, oddał mi:

– Nie potrzeba. I tak lekarz to wszystko porozcina, gdy będzie chciał zobaczyć ranę.

Misiek był blady i oddychał z trudem. Przyglądałem mu się w poświacie księżyca. Przy każdym prawie oddechu krzywił się lekko. Musiało mocno boleć, bo na czoło wystąpiły mu kropelki potu. Zgaga stał chwilę z boku, ale nie wytrzymał i podszedł. Kucnął przy Miśku i wziął go za rękę. Ranny otworzył oczy i uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Nic nie mów. Każdemu mogło się przytrafić – powiedział Zgaga.

– A jak… ten bandzior… – wystękał Misiek.

– Sztywny na cacy. Ryba wywalił mu taką piękną dziurę w globusie, że pewnie nawet piardnąć nie zdążył – obrazowo opisał mu sytuację Zgaga.

Gdzieś niedaleko odezwał się klakson samochodu i błysnęły światła.

– Dobrze będzie. Już karetka jedzie – pocieszył Miśka Zgaga nachylając się czujnie do niego i sprawdzając, czy oddycha.

Kontrola musiała dobrze wypaść, bo wstał i przypalił papierosa. Śruba machał latarką w kierunku świateł samochodu, który powoli przebijał się przez las. Gdy podjechał bliżej, okazało się, że samochody są dwa. Pierwsza jechała nyska z RUSW, a dopiero za nią fiat – karetka. Oba samochody wyjechały na polankę. Z karetki wyskoczyli ludzie z noszami i lekarz, który nie badając Miśka od razu, gdy się dowiedział co się stało, kazał kłaść go na nosze i ładować do karetki. Po chwili fiat zawracał i znowu lawirował wśród drzew jadąc w kierunku drogi, która jak się okazało była jakieś sto metrów od polanki.

Nysą przyjechał oprócz milicjantów także prokurator. Wysiadł. Obejrzał ciało w szopce. Podszedł do Śruby, a ten przywołał mnie machając ręką.

– To pan strzelał? – zapytał prokurator.

– Tak – odpowiedziałem i już poczułem, że się denerwuję.

– Ile strzałów?

– Cztery, albo pięć. Nie liczyłem jeszcze.

– To niech pan przeliczy.

Wyjąłem magazynek i wyłuskałem z niego pozostałe naboje. Brakowało czterech. Prokurator spojrzał wymownie na Śrubę.

– Pogratulować celności. Trzy w łeb, jeden trochę wyżej. Gratuluję i… dziękuję. Wykonałeś chłopcze, dobrą robotę – mówiąc to ściskał moją dłoń i klepał po ramieniu.

– Jutro rano spotkamy się na przesłuchaniu, a dzisiaj już możecie jechać – powiedział w końcu.

Zebraliśmy się w gromadkę i poszliśmy przez las do drogi, a później do osiedla. Po drodze zapytałem Śrubę:

– Jak to się stało, że ten facet znalazł się z tyłu za nami?

– Też mnie to zastanawia – powiedział po namyśle i po chwili dodał. – Albo specjalnie zrobił pętlę, albo zobaczył ten baraczek dopiero gdy go minął i dlatego zawrócił.

– Pewnie się nie dowiemy, ale szczęście, że miał dubeltówkę, a nie kałacha. Położyłby paru, gdyby tak pociągnął serię w plecy – odezwał się idący obok Gluś.

Na tym rozmowa się urwała. Już w samochodzie zauważyłem, że coś dziwnego dzieje się między chłopakami a Śrubą. To samo było w jednostce. Wszelkie rozmowy toczyły się bez jego udziału. Nikt się do niego nie odzywał, a i on sam chodził jakiś struty i w końcu przebrał się w cywilne ciuchy i pojechał do domu.

Dopiero z rozmów chłopaków między sobą dowiedziałem się, że mają do Śruby pretensję o to, że zgodził się na pościg nocą po lesie.

Po kolacji do mojego pokoju przyszli Baca i Zgaga. Siedli i gapili się w telewizor. Minęło z dziesięć minut nim Zgaga zdecydował się odezwać:

– Jak samopoczucie? – zapytał.

– Dziękuję. Myślałem, że będzie gorzej. Ale chyba dlatego, że Miśka postrzelił, nawet się cieszę, że udało mi się go stuknąć – powiedziałem zgodnie z prawdą.

Posiedzieli jeszcze trochę i poszli. Takich wizyt miałem tego dnia jeszcze kilka. Nawet Śluza wpadł na chwilę do mnie. On przynajmniej nie owijał w bawełnę, tylko powiedział, że przyjechał zobaczyć jak się czuję i czy mi się odbija. Dowiedziawszy się, że nic z tych rzeczy jeszcze raz pogratulował strzału i pojechał do domu.

Naprawdę czułem się bardzo dobrze i nie działo się ze mną nic, co mogłoby świadczyć o tym, że zabiłem człowieka. Byłem nawet zadowolony z tego, że wzbudzam taką sensację i wszyscy zaglądają do mnie.

Dużo gorzej czułem się wtedy, gdy myślałem, że na zabawie zabiłem chłopaka. Teraz nie czułem zdenerwowania ani żalu, że tak się stało. Po prostu zastrzeliłem faceta, który na to zasługiwał. Zabójca, kryminalista, postrzelił mi kolegę i mógł kropnąć mnie. Nie zasługiwał na nic innego jak na kulkę w łeb.

Mimo tych argumentów, kiedy tylko zamknąłem na chwilę oczy widziałem trupa i zbryzgane mózgiem ściany. Nie mogłem się w żaden sposób pozbyć tego widoku. Oczywiście pomagało otwarcie oczu, ale zamknięcie ponownie przywoływało ten sam obraz i nie było na to siły. Przestraszyłem się trochę, że nie będę mógł usnąć, ale pomyślałem jednocześnie, że jeśli mnie zmęczy ten widok to przyjdzie sen.

Jasio wrócił z wieczornego biegania i chodził po sali na paluszkach. Czytałem książkę i z początku nie zwróciłem uwagi na jego zachowanie. To, że przebrał się do kapania szybciutko i poszedł do łazienki nie było niczym dziwnym, ale zabranie skarpet do prania graniczyło z cudem. Jasio zawsze zostawiał je wieczorem w butach i śmierdziały do następnego dnia.

Gdy zaskoczony zobaczyłem, że rozwiesza je wyprane na kaloryferze, nie mogłem nie zapytać:

– A tobie co się stało?

– Nic. Nie chciołek ci przeszkadzać. Cytaj se dalej.

– Nie chce mi się czytać – powiedziałem składając książkę i siadając na łóżku.

Usiadł koło mnie i patrzył przez chwilę w podłogę.

– Wies, wsyscy cie kwalom,ześ tak piknie stuknoł tego zbója. Skoda tylko, ze Miśka ustrzelił. Mocno go trafił?

– Nie wiem, ale wyglądało to brzydko.

– Jutro bych chcioł jechać do niego. Pojedzies ze mną?

– Pewnie, Jasiu. Pojedziemy razem po zajęciach.

Wbrew moim obawom sen przyszedł tej nocy bardzo szybko i nie śniły mi się żadne koszmary.

Rano we czterech, tzn. Śruba, Foks, Zgaga i ja, pojechaliśmy do prokuratury. Przesłuchanie okazało się czystą formalnością. Prokurator sam sobie zadawał pytania i na nie odpowiadał. Najbardziej w tym wszystkim chodziło o nasze podpisy na końcu protokołu. Podczas przesłuchania dowiedziałem się czegoś nowego. Otóż okazało się, że według prokuratora strzał, który nie trafił, był strzałem ostrzegawczym, a to, że strzeliłem serią, wynikało z mojego błędu.

Jednak mimo tego, że przesłuchujący najwyraźniej mi sprzyjał, w pewnym momencie zacząłem czuć się jak winowajca i nie mogłem się pozbyć tego uczucia do końca pobytu w prokuraturze. Dużo lepiej poczułem się, gdy wróciliśmy do jednostki i mogłem zająć się ćwiczeniami na sali gimnastycznej. Oderwałem się na jakiś czas od myśli na temat całego zdarzenia i dobrze mi to zrobiło.

Śluza nie robił żadnych problemów, gdy dowiedział się, że chcemy z Jasiem jechać w odwiedziny do Miśka. Ponieważ Baca również wyraził ochotę na taki wyjazd dostaliśmy zgodę, by wziąć UAZ-a. Po drodze kupiliśmy słodycze i kwiaty.

Odnalezienie Miśka nie sprawiło mi problemu. Kiedy sam leżałem w szpitalu, poznałem chyba wszystkie jego zakamarki. No, może oprócz ginekologii i położnictwa, ale tam wstęp miałem utrudniony ze względu na płeć.

Misiek leżał na chirurgii i stoczyliśmy małą batalię z siostrą oddziałową, która twierdziła, że jest jeszcze za słaby na odwiedziny. „Misiek za słaby" – brzmiało to dla mnie jak groteska.

Na siostrę podziałała dopiero czekolada i obietnica, że będziemy króciutko.

Misiek rzeczywiście był słabiutki.

Leżał blady i więcej kręcił głową na „nie" i mrugał oczami na „tak" niż mówił. W nocy go operowali i wyjęli sporo śrutu z lewego boku. Lekarz, który przyszedł do sali, żeby nas wygonić powiedział, że niewiele brakowało, a byłoby po Miśku.

– Jedna śrucina otarła się o żebro i drążyła w kierunku serca. Zabrakło kilka centymetrów, panowie, a byłoby źle. Teraz zostawcie chłopaka w spokoju, bo stracił sporo krwi i jest osłabiony – wyjaśnił.

Nie upieraliśmy się, bo i Misiek nie bardzo miał ochotę na rozmowę. Gdy już zbieraliśmy się do wyjścia, kiwnął ręką, żebym podszedł do niego. Pochyliłem się nad łóżkiem.

– Dzięki, Darek, że go zdmuchnąłeś. Lżej mi tutaj leżeć, gdy wiem, że dostał za swoje. Dziękuję – wyszeptał ściskając mi rękę.

Pokiwałem głową, że rozumiem.

Wracając do jednostki zastanawiałem się ile czasu poleży w szpitalu. Pewnie z miesiąc, a drugi – w domu na rekonwalescencji. Wróci, gdy będzie zaczynało się lato.

* * *

Ostatnie wydarzenia, tzn. błędy w dowodzeniu, jakie popełnił Biały i sytuacja jaka powstała wokół Śruby, spowodowały, że Śluza jeździł z nimi na szkolenie do WUSW-u przez kilka dni, a my w tym czasie szwendaliśmy się po jednostce sami organizując sobie zajęcia. Codziennie było dwie czy trzy godziny wykładów w bloku dydaktycznym, a pozostałą część dnia spędzaliśmy gdzie kto chciał. Jedni na basenie, część na strzelnicy, a kilku w sali gimnastycznej. Dwóch czy trzech jechało odwiedzić Miśka i tak przebimbaliśmy ostatni tydzień przed świętami.

Podczas dyżurów moja drużyna tylko raz wyjechała z jednostki, a i to zawrócono nas w połowie drogi, bo sytuacja się wyjaśniła.

Na czas nieobecności Miśka Śluza przeniósł do nas Jasia, więc teraz więcej przebywaliśmy razem, prawie nie rozstając się. Wyjątek stanowił czas, który poświęcał na bieganie pokonując dziennie minimum dziesięć kilometrów. Mnie nie pozostawało nic innego jak iść w tym czasie do sali gimnastycznej i sobie poćwiczyć. Na codzienne maratony nie miałem ochoty, chociaż co jakiś czas przebiegałem trasę z nim.

Tuż przed świętami zaczęliśmy obaj zabiegi koło Śluzy, żeby nas puścił do domu na urlop. Nie bardzo chciał się zgodzić. Jednego puścić, a drugiego nie było jeszcze bardziej głupio. Bez nas i bez Miśka w drużynie zostawało tylko siedmiu chłopaków. Trochę mało, ale sami doświadczeni ludzie. Wstawił się w końcu za nami Śruba i Baca, pomógł też argument, że chłopcy, którzy są w normalnych kompaniach ZOMO, jeżdżą do domu dużo częściej niż my. Śluza ustąpił, ale zapowiedział, że pojedziemy tylko pod warunkiem, że będzie przed świętami względny spokój i mało roboty.

Pełen optymizmu zadzwoniłem do Izy, że będę w święta i spokojnie czekałem na wyjazd. Ostatnio oprócz listów mogłem z nią rozmawiać telefonicznie. Wszystko dzięki Foksowi, który przed przejściem na zawodowego do milicji pracował w telekomunikacji instalując telefony. U nas do tej pory była tylko wewnętrzna linia, tzn. mogliśmy dzwonić wszędzie, ale tylko po tzw. milicyjnej linii. Nie było możliwości wyjścia na cywilny numer i mogłem np. dodzwonić się do RUSW w moim mieście, ale nie mogłem do matki czy do Izy do pracy lub do domu. Foksa też to denerwowało, więc dobrał się któregoś dnia do skrzynki telefonicznej w jednostce. Coś poprzepinał, poprzekładał i teraz mogliśmy sobie dzwonić gdzie tylko nam się podobało. Śluza nic o tym oczywiście nie wiedział, a byłem ciekawy komu Foks zabrał tzw. wyjście na miasto. Taka linia przysługiwała bowiem jedynie wyższej kadrze oficerskiej, czyli dowódcy jednostki, dowódcom batalionów i kompanii. Na razie jednak, dopóki nikt nie robił awantury, korzystałem z tego udogodnienia do woli.

Cieszyłem się, że jadąc na przepustkę mam przynajmniej pewność, że zastanę kogoś, a nie jak kiedyś – będę sam.

Przed wyjazdem przeżyłem jednak chwile napięcia i niewiele brakowało, żebyśmy nie pojechali.

Uzgodniliśmy ze Śluzą wyjazd na piątek po obiedzie i powrót we wtorek rano przed śniadaniem. Nieoczekiwanie w czwartkowe popołudnie poderwał nas alarm – od razu cały pluton. Czterech przewożonych z Wrocławia recydywistów z wyrokami za zabójstwa i napady uciekło z więźniarki wykorzystując wypadek, jaki się zdarzył na trasie. Więźniarka uderzyła w dużego fiata i w zamieszaniu konwojenci zapomnieli o pilnowaniu więźniów.

Z pełnym uzbrojeniem wyrywaliśmy z jednostki bez żadnego poganiania. Wiadomo – im prędzej zaczniemy akcję, tym szybciej ich złapiemy. Nim dojechaliśmy, dwóch ujął już patrol z ruchu drogowego stojący na blokadzie trzy kilometry od miejsca wypadku. Jechali w żuku, którego kierowca nie patrząc na kajdanki i więzienne stroje zdecydował się ich podwieźć. Dwóch natomiast zniknęło. Pies tropiący pokręcił się tylko na miejscu i nie podejmując śladu usiadł koło przewodnika. Nikt nie liczył na sukces, ale każdą szansę należało wykorzystać. Po półgodzinnym wahaniu Śluza ściągnął na pomoc dwa wojskowe śmigłowce. Miały patrolować teren, żeby ustalić miejsce, gdzie znajdują się zbiedzy, no i oczywiście kierunek ich ucieczki. Ustawione na drogach blokady uniemożliwiały wyjazd w zatrzymanym samochodzie. Mogli tylko próbować minąć blokadę pieszo po bezdrożach.

Na razie nie mieliśmy zajęcia, więc rozsiedliśmy się w samochodach czekając na wyniki działania śmigłowców. Po niedługim czasie przeleciał nad nami jeden z nich głośno łomocząc. Pozostało nam tylko czekać.

Pierwsza informacja o prawdopodobnym miejscu w lesie, gdzie mogli się ukryć uciekinierzy, nadeszła po piętnastu minutach. Śluza posłał tam trzecią drużynę. Biały tylko się uśmiechnął. Wiadomo, Śluza tak jak w trakcie powodzi postanowił ich trochę pogonić do roboty.

Ledwo zniknął ostatni UAZ, a już Śluza przybiegł do naszego samochodu i pokazując miejsce na mapie tłumaczył:

– Do rejonówki dzwoniła kobieta, że są w tym warsztacie. O, tutaj.

Śruba postawił kropkę na swojej mapie i ruszyliśmy.

Taka robota mi się podobała. Zagrożenia żadnego. Napięcie niewielkie. Żeby zatrzymać dwóch nieuzbrojonych facetów, nie potrzeba drużyny komandosów. Jeśli weźmie się pod uwagę fakt, że każdy z uciekinierów miał ręce skute kajdankami, nasz wyjazd wyglądał jak polowanie z armatą na muchy.

Przez chwilę miotaliśmy się po uliczkach małej mieścinki, aż w końcu trafiliśmy pod właściwy adres. Za warsztatem samochodowym były tylko ciągnące się daleko łąki. Może zbyt wolno wysiadaliśmy, bo w pewnej chwili Gluś krzyknął:

– Uciekają przez łąki! Obaj!

Ruszyliśmy biegiem. Chciałem skrócić sobie drogę i pobiegłem przez podwórko warsztatu, zamiast go ominąć i biec od razu na łąkę. Za mną ruszył Foks i Lala. Reszta

pobiegła omijając podwórko i okazało się, że zrobiła dużo lepiej. Zaraz za warsztatem był parkan, który musiałem przeskoczyć. Wybicie się i uchwycenie górnej krawędzi poszło bez kłopotu. Przerzucając ciało na drugą stronę odruchowo zerknąłem w dół i na widok sterty blach i innego żelastwa chciałem zatrzymać się w locie. Ponieważ nie było to możliwe, wybrałem miejsce na zeskok między pordzewiałymi blachami a silnikiem od jakiegoś samochodu ciężarowego. Udało mi się nawet dobrze wylądować.

– Uwaga! Żelastwo! – krzyknąłem słysząc kroki dobiegających Foksa i Lali.

Skoczyli ostrożniej i zatrzymali się na chwilę na szczycie parkanu. Spokojnie wybrali miejsce na zeskok. Lawirując między złomem a krzakami i zielskiem pobiegłem dalej. Okazało się, że za parkanem jest zdziczały sad, zarośnięty zielskiem miejscami tak wysokim jak ja. W chaszczach pełno było wszelkiego złomu i straciłem dużo czasu nim wydostałem się na łąkę. Tuż za mną wybiegli Lala i Foks.

Mogliśmy już się nie wysilać. Na jednym z więźniów siedział Śruba i Gluś, a za drugim pędzili Jasio i Zgaga. Baca dobiegał właśnie do Śruby i Glusia. Podbiegliśmy do nich i patrzyliśmy co się dzieje na łąkach. Uciekinier pewnie w warsztacie uwolnił się z kajdanek i teraz mógł biec swobodnie. Mimo iż w bieg wkładał chyba wszystkie swoje siły, odległość między nim a Jasiem gwałtownie zmalała. Natomiast Zgaga zostawał coraz wyraźniej z tyłu. Po chwili Jasio był już tuż, tuż za zbiegiem i wydawało się, że za chwilę chwyci go za kołnierz albo podetnie. Nic takiego jednak nie następowało. Biegli dalej przez łąki coraz bardziej oddalając się od nas.

Śruba zostawił Glusiowi swojego więźnia, wstał i patrzył na to, co się dzieje. Po chwili chwycił radiostację:

– Jasiu! Jasiu! Kładź go! Na co czekasz?

Po chwili w radiostacji odezwał się spokojny, prawie bez oznak zmęczenia, głos Jasia:

– Ee, co sie bede sarpał! Jak sie zmency, to sie sam położy.

Rzeczywiście, więzień nie miał żadnych szans. Łąki ciągnęły się hen daleko, prawie po horyzont, a otwarta przestrzeń nie dawała mu żadnych możliwości manewru. Biegł jeszcze jakiś czas, ale czując oddech pogoni na plecach upadł na trawę i leżał zrezygnowany.

– Widzi, dowódco? A nie mówiłek, ze sie som położy! – zameldował przez radio Jasio klękając przy leżącym i zakładając mu kajdanki.

Po jakimś czasie ze Zgagą przyprowadzili zatrzymanego, który chyba z przemęczenia ledwo mówił i słaniał się na nogach.

Po tej akcji pościg w wykonaniu Jasia przeszedł do legendy i często o nim opowiadano. Zgaga twierdził, że gdyby zbieg był bardziej ambitny, to skończyłby jak pies zagoniony przez Jasia na śmierć, czyli padłby na zawał serca.

Na szczęście w piątek nie było już żadnych sensacji i dzięki zasadzce, jaką urządziliśmy na Śluzę, ruszyliśmy w końcu z Jasiem do domu na święta. Zasadzka była konieczna, bo Śluza mimo obietnicy, że nam podpisze przepustki, w piątek od rana jakoś nas unikał. Pomogło dopiero zaczajenie się przy budynku sztabu i przechwycenie go, gdy wychodził od dowódcy jednostki. Wzdychał. Wykręcał się, ale w końcu podpisał.

W ekspresowym tempie zniknęliśmy z jednostki jak dwa duchy, obawiając się do ostatniej chwili, że coś jeszcze może się wydarzyć.

Tym razem naprawdę chciałem jechać do domu, odpocząć choć kilka dni od „tygrysów", ZOMO i całej tej roboty. I udało się. Mimo świąt większość czasu spędziłem u dziewczyny narażając się na fukania ze strony matki. Oprócz matki źli byli chyba także przyszli teściowie, ale oni przynajmniej byli na tyle przyzwoici, że nie wyrażali tego otwarcie. Udawali po prostu, że nie zauważają moich wizyt i coraz późniejszych wyjść. Ja z kolei nie kwapiłem się do nawiązywania z nimi bliższych kontaktów i tak trwał system wzajemnego unikania się. Cierpiała na tym jednak Iza, bo musiała wysłuchiwać pretensji z ich strony. Ja wracałem do jednostki, a ona zostawała. Pocieszałem ją tylko, że już niedługo będziemy mogli być razem od nikogo niezależni.

Przez tę sytuację moja decyzja pozostania w milicji na stałe była coraz silniejsza i nieodwracalna. Nie myślałem już nawet o innych możliwościach.

Po powrocie do jednostki starałem się znowu być jak najlepszym „tygrysem", żeby po zakończeniu odrabiania wojska mieć jak najlepszą opinię. Zacząłem myśleć nawet o tym, czy Śluza nie mógłby wystawić wniosku o awansowanie mnie. Jako np. kapral więcej zarabiałbym. Nie mogłem sam wyjść z tą propozycją, więc zapytałem Śrubę, co myśli na ten temat. Powiedział, że porozmawia ze Śluzą i na razie dałem mu spokój, obiecując sobie nękać go co jakiś czas.

Udało mi się natomiast unormować moje życie w plutonie. Wspólnie z Jasiem wymogliśmy na Śluzie regularne przepustki. W jednym tygodniu na sobotę i niedzielę jechał Jasio, a w następnym ja i tak na zmianę. Jedynym wyjątkiem był czas, kiedy w jednostce ogłaszano stan „PZ", czyli poważnego zagrożenia. Wtedy wszyscy, łącznie ze Śluzą, mieszkali w jednostce i dziwne by było, gdyby nam pozwolono na wyjazd do domu. Na szczęście PZ-ty ogłaszano dość rzadko i były krótkotrwałe. Najbliższy był przewidywany na 1 maja i 3 maja, i tak się stało.

Już 30 kwietnia rano w jednostce pojawiła się cała kadra i zaczęło się generalne sprawdzanie sprzętu i ogólne ożywienie. Nic niepokojącego ani w Katowicach, ani w całym kraju się nie działo, ale to, że 1 maja będą zadymy było bardziej niż pewne. Na razie jednak zamiast plątać się po jednostce bez celu postanowiłem zajrzeć do swojej dawnej kompanii do akwarium Strzyża. Nie byłem już u niego ponad miesiąc, więc był najwyższy czas, żeby trochę przeciąć rośliny i zobaczyć, co się dzieje. Już wchodząc po schodach zauważyłem, że dzieją się dziwne rzeczy. Chłopcy biegali w tą i z powrotem pakując cały sprzęt i wyposażenie. Strzyż był u siebie w pokoju i ucieszył się na mój widok:

– Dobrze, że jesteś. Zobacz jak zarosło. Ryby nie mają gdzie pływać – powiedział ściskając mi rękę na powitanie.

Rzeczywiście akwarium wyglądało tak, jakby było w nim więcej zielonych roślin niż wody. Szybko wziąłem się do roboty i nie minęło pół godziny, a już doprowadziłem je do porządnego wyglądu.

– Roślin nie wyrzucaj – powiedział Strzyż widząc, że biorę wiadro z powyrywanymi roślinami i zamierzam wynieść je do łazienki i wylać do sedesu.

– A co z nimi zrobimy? – zapytałem zdziwiony.

– Dam Markowi. Dowódcy pierwszej kompanii. On ma akwarium, ale rośliny co miesiąc musi kupować, bo mu nie rosną, tylko gniją – odpowiedział Strzyż, a w jego głosie słychać było złośliwą satysfakcję.

– Pewnie za słabe oświetlenie albo żwir w podłożu nie taki – zastanawiałem się głośno.

– Nie wiem, ale kiedy mu powiedziałem, że trzeba co miesiąc prawie wiadro zielska wyrzucać, nie chciał wierzyć – zaśmiał się i dodał: – Teraz uwierzy, jak mu dam to wiadro.

Ponieważ już nie miałem nic do roboty przy akwarium, zacząłem wycierać ręce i zbierać się do wyjścia.

– Napijesz się kawy? – zapytał Strzyż.

Powiedział to tak normalnie, jakby od niechcenia, a mnie zaskoczył. Dowódca proponuje swojemu dawnemu podwładnemu, że zrobi mu kawę? To było coś z gatunku tych rzeczy, które kiedyś nie mieściły mi się w głowie. Postanowiłem jednak odmówić.

– Nie. Dziękuję. Nie bardzo mam czas, a chciałem jeszcze pogadać z chłopakami – skłamałem.

– I tak ich nie ma, bo ładują broń do skrzyni w magazynie. Znaczy się są, ale nie będą mieli czasu pogadać. Może po kolacji będą wolniejsi. Siadaj, napij się – przekonywał.

– No dobrze – odpowiedziałem i usiadłem w fotelu.

Patrzyłem jak nasypuje kawy do szklanek i wstawia wodę.

– Gdzie się tak zbieracie, że cała kompania się pakuje? – zapytałem.

– Do Częstochowy, na tydzień. Wy nie jedziecie?

– Nic jeszcze nie wiem, ale może jutro Śluza coś powie. I tak cały czas jesteśmy spakowani, dlatego może powiedzieć w ostatniej chwili.

– No, racja. A może wcale nie pojedziecie? Tutaj też ktoś musi zostać. Jedzie chyba połowa jednostki, bo tam coś szykują na 1 maja, a w Katowicach nic na razie bezpieka nie podsłuchała.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu czekając, aż woda się zagotuje. Strzyż zalał kawę i wziął słuchawkę do ręki. Kręcąc tarczą aparatu powiedział:

– Zadzwonię do Marka. Niech przyśle któregoś ze swoich po te rośliny, bo później jeszcze zapomnę, pojedziemy i się zmarnują.

Chwilę czekał na połączenie.

– Leszek się kłania. Mam roślinki dla ciebie. Przyślij tu któregoś ze swoich orłów. – Przez chwilę słuchał jeszcze. Na koniec powiedział. – Dobra – i odłożył słuchawkę.

– No. Flaszkę postawi jak przyjadę. Mówi, że teraz szuka wśród swoich chłopaka, który się zna na rybach. Tydzień temu młodych dostał – wyjaśnił mi.

No tak, pomyślałem. Przyszła pora i pierwsza kompania została zwolniona do cywila. Na jej miejsce przyszli młodzi. Starsza od mojej szóstej była już tylko czwarta kompania, a jak oni w lipcu wyjadą, to my będziemy rezerwistami, czyli najstarszymi w jednostce.

W plutonie zapomniałem o długości wysługi, o kotach, o rezerwistach, kapralach i całym tym idiotyzmie, jakim żyło się na kompanii.

– A co w kompanii nowego? – zapytałem pociągając następny duży łyk kawy.

– Wyżyk będzie odchodził we wrześniu. Idzie do szkoły oficerskiej w Szczytnie.

– Że też mu się chce? Trzy lata skoszarowany – zdziwiłem się, przypominając sobie dowódcę trzeciego plutonu chorążego Wyżyka, który niczym specjalnym się nie wyróżniał. Zawsze był spokojny i nijaki. Swojego plutonu za mocno nie ganiał, ale też o niego nie dbał.

– On chyba to lubi. Takie życie w koszarach. Policz sobie: – Strzyż podniósł rękę i liczył na palcach. – Był dwa lata w normalnym wojsku. Potem rok w szkółce podoficerskiej, to już trzy lata koszar. Rok w szkole chorążych to cztery i teraz pójdzie na trzy lata do Szczytna, razem siedem lat w koszarach.

– To rzeczywiście trzeba lubić, bo inaczej można zwariować – powiedziałem..

– On jest samotny i wszystko mu jedno, czy po służbie jedzie do pustego domu, czy zostaje w koszarach.

W dalszym obgadywaniu Wyżyka przeszkodziło nam pukanie do drzwi.

– Wejść! – krzyknął Strzyż.

Drzwi otworzyły się i wszedł jakiś kapral w moro, a za nim nieśmiało wsunął się chłopak tak ściśnięty pasem, jakby chciał się nim przeciąć. Wystarczył rzut oka, a poznałem młodego.

– Obywatelu chorąży, kapral Wasowski plus jeden meldują się z polecenia porucznika Towolskiego po rośliny – wyrecytował kapral formułkę, salutując.

– Zabieraj. To jest to wiadro – pokazał mu Strzyż ręką.

Kapral dał znak głową stojącemu za nim młodemu, który wziął wiadro i stanął znowu za nim.

– Obywatelu chorąży, kapral Wasowski plus jeden prosi o pozwolenie odejścia – strzelił znowu obcasami i zasalutował kapral.

– Zezwalam. Tylko wiadro mi przynieść z powrotem – powiedział Strzyż.

– Tak jest – padła natychmiastowa odpowiedź i wyszli.

Śmiać mi się chciało z tej scenki. Dowódca kompanii nie mógł wysłać samego młodego. Po pierwsze, młody nie znał jeszcze terenu i mógł po prostu zabłądzić, a zresztą,

nigdy nie wiadomo co takiemu świeżakowi przyjdzie do głowy. Czy, na przykład, nie zechce zwiać, bo i tak się zdarzało. Wysłał więc kaprala. Temu nie chciało się samemu dźwigać wiadro, więc wziął sobie młodego jako tragarza i w ten sposób po jedno wiadro przyszło dwóch ludzi. Kiedyś pewnie nie zauważyłbym w tym nic dziwnego. Po kilku miesiącach służby w plutonie specjalnym odwykłem od takich rzeczy i chyba znormalniałem, bo złościło mnie to.

Piłem kawę, a Strzyż opowiadał o rozgrywkach między nim a Zielonką. Tłumaczył to tak zawile, że nie mogłem zrozumieć o co w tym wszystkim chodzi i po prostu przestałem go słuchać. Wykorzystując przerwę w jego opowiadaniu szybko pożegnałem się i wyszedłem.

* * *

Jasio zaraz na wejście poczęstował mnie nowiną:

– Jutro pakujemy się i jedziemy…

– … do Częstochowy – dokończyłem za niego.

– Skąd wiesz? – zapytał zdziwiony.

– Byłem w swojej kompanii. Cały pierwszy batalion jedzie.

Pakowania było niewiele. Przejazd do Częstochowy to była istna makabra. Z rozrzewnieniem wspominałem wyjazd z Borowcem dwoma nysami. Przemknęliśmy wtedy bez żadnych problemów. Teraz poruszała się ogromna ociężała kolumna wozów. Prędkość rzadko dochodziła do siedemdziesięciu, a przeważnie nie przekraczała pięćdziesięciu kilometrów. Dowlec się jednak dowlekliśmy, potwierdzając starą mądrość, że nawet najwolniejsza podróż ma kiedyś swój kres.

Dopiero gdy kolumna skręcała do koszar częstochowskiego ZOMO zauważyłem, że przyciągnęliśmy ze sobą armatki wodne i UAZ-y, ale i bez nich wyglądało na to, że zanosi się na nielichą awanturę.

Ale czasem z dużej chmury mały deszcz – przerwałem rozmyślania, bo już trzeba było wysiadać. Przeprowadzono nasze wozy pod budynek, w którym mieliśmy kwaterować.

Pokoje dostaliśmy przestronne i jako zawodowi z tapczanikami zamiast piętrowych metalowych łóżek przeznaczonych dla ludzi odrabiających wojsko. Jedynym mankamentem tych pokoi był brak okratowania w oknach i wzmocnienia w drzwiach. Takie zabezpieczenia posiadał tylko jeden pokój i w nim złożyliśmy broń z konieczności tworząc magazyn uzbrojenia. Trochę głupio się czułem bez swoich „strzeladełek" pod ręką, ale większą rolę odgrywał tu nawyk niż rzeczywista potrzeba. Cały czas miałem przecież przy sobie rewolwer jako osobistą broń, z którą żaden z nas się nie rozstawał.

Całe popołudnie przełaziliśmy po jednostce zaglądając we wszystkie kąty. W porównaniu z naszą była malutka i ciężko musiało się mieszkać chłopakom odrabiającym wojsko w takiej ciasnocie.

Wędrując tak ze Zgagą spotkaliśmy Kulę, naszego chłopaka z trzeciej drużyny. Poszliśmy we trzech do kantyna na kawę.

Po drodze zauważyłem, że nasze stroje wzbudzają ogólne zaciekawienie. Nic dziwnego. W Częstochowie nie było plutonu specjalnego i nikt nie chodził w berecie i US-ie z rewolwerem przy boku i nożem wystającym z kieszeni. Jeszcze raz przekonałem się, jak bardzo lubię się puszyć z tego powodu, że jestem jednym z „tygrysów". Gdy tylko uświadomiłem sobie, że jestem obserwowany, od razu wyprostowałem się i wypiąłem do przodu pierś wciągając brzuch. Nawet sposób stawiania kroków się zmienił, a ręce same odskoczyły dalej od bioder, jak u rewolwerowca. Trochę było to śmieszne, ale pocieszałem się, że dotyczy nie tylko mnie, ale większości komandosów. Lubią być podziwiani i tyle.

Po kolacji pojechaliśmy do Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych na odprawę. Dla mnie ten wyjazd nie miał sensu. Ciągnąć tylu ludzi i tyle samochodów przez miasto, żeby wyjaśnić nam co jutro będziemy robili. Przecież mogli pojechać dowódcy i potem przekazać swoim ludziom to, co najważniejsze.

Na szczęście, pułkownik prowadzący odprawę robił to bardzo żywo i z niewątpliwym talentem krasomówczym. Posługując się mapą pokazał nam teren jutrzejszych działań. Wyjaśnił, że cała wojna będzie o pomnik poświęcony pamięci żołnierzy radzieckich, którzy zginęli podczas wyzwalania Jasnej Góry. Ten niewielki pomnik nieforturnnie zbudowano w parku tuż przy głównej alei prowadzącej do klasztoru. Przy okazji każdego święta robotniczego ludzie wychodzący z mszy próbowali go zdemolować i usunąć poza teren klasztoru, do którego należał park. W tym roku bezpieka wyniuchała, że 1 maja podobno zechcą rozprawić się z pomnikiem. Dlatego zostały ściągnięte posiłki z Katowic i zmobilizowane wszystkie siły. Plan opracowano również z detalami, biorąc pod uwagę wszelkie zagrożenia. Główne założenie było takie, że pomnik od alei odgrodzi poczwórny kordon, który w miarę potrzeby zostanie wzmocniony drugim, również poczwórnym. Żeby ludzie wychodzący po mszy jak najkrócej napierali na kordon, od strony klasztoru ma wjechać batalion z Katowic. Zadanie polegało na zepchnięciu alejką w dół całej masy ludzi w ten sposób, aby nie zdążyli przerwać kordonu przy pomniku. Dopiero na dole, po minięciu granicy parku, tłum miał być podzielony na mniejsze grupki i rozprowadzony w miasto przez częstochowskie ZOMO. Zadaniem dla nas, czyli plutonu specjalnego, było zatrzymanie chociażby jednego księdza czy kleryka biorącego udział w zadymie. Kierownictwo chciało udowodnić w ten sposób, że księża podburzają ludzi i prowadzą ich do starć z milicją.

Dla mnie wszystko było jasne. Jeśli tylko księża będą w tłumie, to się paru złapie. Nie ma problemu.

Po opuszczeniu terenu WUSW-u kolumna wozów nie skierowała się od razu do koszar, ale wyjechała w miasto. Zorientowałem się od razu, że to nie ten kierunek. Pomogły wędrówki z Wandzikiem podczas zeszłorocznego pobytu.

Zrobiliśmy po centrum Częstochowy kilka pętli i przejechaliśmy jeszcze raz w pobliżu osiedli mieszkaniowych dla lepszego efektu. Bo o efekt, czyli demonstrację siły właśnie chodziło. Jak dowiedziałem się później, częstochowskie ZOMO zrobiło już kilka takich kółek w ciągu dnia, więc przyszła kolej i na nas. Baca jechał mocno zły i kląl co chwilę, aż go Śruba musiał uciszać. Nie podobało się góralowi takie marnowanie paliwa:

– Po cóż to straszyć. Ja jesce kilka dni wceśniej zdjołbyk patrole z miasta, zeby myśleli co milicji w ogóle ni ma. A potem rzuciłbyk wszyćkie siły i dopiero wpierdol na miękko, aż by dupy strzelały. A ci jezdzom, strasom, upsedzajom. A na nic taka robota!

Uspokoił się dopiero na miejscu, gdy mógł w końcu zgasić silnik mocno nagrzany od tej żółwiej jazdy.

Nazajutrz rano po śniadaniu powoli szykowaliśmy się do wyjazdu, gdy przybiegł Śluza:

– Zmiana decyzji. Nie będziemy łapać pingwinów. Musimy pilnować pomnika. Weźcie pistolety sygnałowe i naboje do nich – przekazał nam prawie w biegu i gdzieś poleciał.

Pobraliśmy sygnałówki, naboje łzawiące i można było jechać. Miejsce postoju dla naszych samochodów wyznaczono przy hotelu „Patria", czyli tuż koło parku.

Przypomniało mi się, że na tym samym parkingu przydybała nas kiedyś Służba Bezpieczeństwa, gdy jeździliśmy po cywilnemu w nysie.

Gdy doszliśmy do pomnika, kordon był już ustawiony. Był poczwórny i przed nimi powoli przesuwali się ludzie idący na mszę. Obok nas stała jeszcze jedna kompania, która miała wesprzeć pierwszy kordon, gdy dojdzie do przepychanek. Popatrzyłem na nich. Same młodziaki. Krótko ostrzyżeni, bez wąsów. Pewnie świeżo po unitarce.

Msza się zaczęła i mogliśmy jej wysłuchać, ponieważ ryczały potężne megafony umieszczone na klasztornych murach. Ksiądz z okazji 1 maja wielkich fanaberii nie wyczyniał, pomijając fakt, że najeżdżał ostro na ustrój, komunistów i Związek Radziecki. Nie mówił tego dosłownie, ale w podtekście zawsze było wiadomo kto jest zły.

Mszę zakończył stwierdzeniem:

– A teraz, drodzy parafianie, w spokoju rozejdźmy się do domów…

Stojący obok mnie Zgaga roześmiał się głośno, gdy to usłyszał.

– Jaki bezczelny! Przez całą mszę podgrzewa ludzi, że już ledwo mogą ustać, tak im się chce pomnik przewracać, a ten obłudnie kończy: „w spokoju rozejdźmy się do domów". To trzeba tupetu. Potem jakby się kto pytał, to on niewinny, on chciał, żeby był spokój.

Potaknąłem głową, że zgadzam się z nim. Zaczęliśmy zakładać kaski i dopinać się, szykując się do działań. Chłopcy ze stojącej w odwodzie kompanii też zaczęli się szykować, widząc co robimy.

Czas był najwyższy, bo przed kordonem osłaniającym pomnik zaczęły zatrzymywać się już pierwsze osoby. Od strony klasztoru w alei było sporo ludzi, ale zwlekali ze schodzeniem w dół prawdopodobnie czekając, aż zbiorą się wszyscy. Powoli rzesza ludzi u góry ciemniała gęstniejąc, aż w końcu ruszyli. Wyglądało to tak, jakby u góry pękła tama i woda wylała się wzburzoną masą. Ludzkie sylwetki wypełniały całą szerokość alei i u góry nie było widać końca tej nawały. Pierwsi już zbliżali się do miejsca, w którym kordon odgradzał aleję od pomnika. Musieli przejść przez to trochę zwężone gardło i nie mogli zajść kordonu ani z boku, ani od tyłu, bo aleję od parku odgradzał płot z siatki. Co prawda kilku młodych ludzi przeskoczyło przez siatkę i weszło do parku, ale już po chwili zawrócili widocznie uważając, że bezpieczniej jest w większej masie.

Patrzyłem jak ludzie z krzykiem napierają na kordon i nie mogłem uwierzyć, że dzieje się to tuż po mszy i jakoś tak bez złości. Po prostu pchali się na odgradzających ich od pomnika milicjantów. Oczywiście pojawiły się okrzyki i wyzwiska, ale na razie nie wyglądało to groźnie.

– Zaraz nasi wjadą im na plecy – powiedział Śluza podchodząc do nas.

Nawet nie zauważyłem, kiedy odszedł, tak byłem zajęty patrzeniem na to co się działo. Jego słowa potwierdziły się błyskawicznie. Od strony klasztoru słyszałem wycie sygnałów. Zrobił się tumult, zamieszanie i zobaczyłem falę niebieskiego wylewającą się w aleję. Ludzie od góry przyspieszyli, pchając w dół tych, którzy nacierali na kordon. Ktoś wydał decyzję, żeby wzmocnić osłonę pomnika i kompania, która stała obok nas podbiegła tam. Teraz kordon składał się z ośmiu szeregów. Ludzie ocierali się tylko o tę ścianę ZOMO i przechodzili dalej, idąc w dół. U góry (jak mogłem zorientować się po wrzaskach i krzykach) odbywało się regularne pałowanie tych, którzy chcieli zawrócić lub nie dość szybko schodzili w dół. W pewnej chwili z przelewającego się tłumu w stronę kordonu zaczęły fruwać w powietrzu jakieś przedmioty. Z początku nie wiedziałem co to jest i dopiero po chwili zorientowałem się, że są to szklane słoiki. W powietrzu sprawiały wrażenie ciężkich, więc coś w nich było. Wyglądało to na jakiś płyn. Kordon od razu przykrył się tarczami. Część słoików rozbijała się na nich, ale większość po prostu odbijała się i uderzała o asfalt pękając i rozlewając zawartość. Ze zdziwieniem zobaczyłem, że tam, gdzie się rozbiły, zaczyna unosić się jakaś para czy dym. Wydzielało się to zarówno z ziemi, jak i z tarcz.

– Kurwa! To słoiki z kwasem! – krzyknąłem widząc jak z kordonu wybiega kilku chłopców. Moro na nich tliło się i błyskawicznie je zdejmowali.

Na szczęście katowicki batalion, bo to on otworzył tę niebieską falę z migającymi białymi pałkami, dotarł już prawie do kordonu i parł dalej, lejąc opornych ile wlezie.

– Przygrzejemy im trochę za ten kwas – krzyknął do nas Śluza ładując do sygnałówki nabój.

Nie trzeba nam było dwa razy powtarzać. Odgrodzeni od ludzi siatką, zaczęliśmy strzelać w kierunku alei. Te pociski były tak opracowane, że po strzale wylatywał palący się i dymiący rozżarzony walec. Nie było możliwości odrzucenia go, a leciał z dużą

prędkością i siłą. Kompanie, które spychały z góry, po zrównaniu się z kordonem stanęły niezdecydowane. Była to tylko chwila wahania i zaraz ruszyli dalej. Ten moment wystarczył jednak, żeby w ich kierunku pofrunęło kilka słoików. Rzucali przeważnie młodzi, kilkunastoletni chłopcy. Jednego z nich, szykującego się do rzutu, zauważył Lala. Zamiast strzelić w górę, żeby pocisk tląc się spadł łukiem między ludzi, oddał strzał na wprost i trafiał rzucającego w brzuch. Chłopak skulił się i słoik wypadł mu z ręki. Na domiar złego pocisk musiał zaplątać się w porozpinany płaszcz, bo chłopak zaczął się palić. Nie widać było co prawda ognia, tylko kupę dymu, ale sądząc po jego wrzasku, żar musiał go gdzieś poparzyć.

Spodobało mi się to, co zrobił Lala, więc posłałem pocisk na wprost w kierunku kobiety, która dłuższy czas stała i wyzywała nas przez siatkę. Chyba zobaczyła, że do niej mierzę, bo odwróciła się i chciała odejść. Pocisk przeleciał jej tuż nad głową i wylądował w tłumie spełniając swoje zadanie. Babie odechciało się wyzwisk, gdy gwizdnęło jej coś nad głową. Za drugim strzałem poszło mi lepiej, bo trafiłem w plecy chłopaka, który rzucił słoik i uciekał w dół alei. Po chwili batalion zepchnął wszystkich dalej w dół, wypierając z parku na teren miasta. Tam czekały kompanie częstochowskiego ZOMO i zaczęły rozdzielać zwartą rzeszę ludzi na mniejsze grupy. Myślałem, że to koniec, ale myliłem się. W miejscu, gdzie kończył się przyklasztorny park i aleja ograniczona siatką przechodziła w normalną ulicę, było przejście podziemne. Tam właśnie zaczęło się zamieszanie, bo w wyniku czyjegoś błędu kompanie zaczęły wpędzać ludzi do tego podziemia. Wchodzić wchodzili, ale gdy okazywało się, że nie ma którędy wyjść, próbowali wracać. Zrobił się tumult i krzyk, aż w końcu któryś z dowódców połapał się, że popełniono błąd. Było już jednak trochę za późno. Przy przejściach zebrał się pokaźny tłum i zaczęli do niego dochodzić inni. Sytuacja stała się na tyle groźna, że trzy kompanie z Katowic ledwie mogły odgrodzić dostęp do alei i powrót pod pomnik. Na szczęście dojechały armatki wodne i poleciało kilka salw granatów łzawiących. Dowództwo z Częstochowy zarządziło jakoś tak dziwnie, że zamiast odepchnąć tłum dalej od klasztoru, rozgonili tylko ludzi na miejscu. Powstało wielkie zamieszanie, kilka kompanii poszło w rozsypkę i niejeden chłopak oberwał złapany przez ludzi poza szykiem. Zauważyłem też wtedy, że pomysłowość częstochowiaków nie kończy się na słoikach z kwasem. Przy jednej z armatek zobaczyłem dwie chmury jakiegoś kurzu czy dymu. Było dość blisko, więc przyjrzałem się lepiej. To nie był kurz ani dym, tylko… mąka. Była to mąka ziemniaczana, czyli materiał na krochmal. Rzucali torebki na okratowane szyby armatek wodnych. Jeśli szyby były suche, naelektryzowana mąka przylegała do nich prawie uniemożliwiając widoczność. Jeszcze gorzej było, gdy armatka już pracowała i miała szyby mokre. Powstawały wtedy takie kluchy, że nic nie było widać. Dwie armatki tak załatwione trzeba było na razie wycofać z działań. Do użytku nadawały się dopiero po gruntownym czyszczeniu. W końcu powoli wszystko uspokoiło się i ludzie zostali pchnięci dalej ulicami w kierunku miasta.

Przejście podziemne było tak zagazowane, że kilka osób w środku straciło przytomność. Musieli je wynosić chłopcy w maskach przeciwgazowych. Podjechało też kilka karetek i zabrało jakichś cywili i dwóch zomowców. Jeden miał twarz i rękę popalone kwasem, a drugi został pobity i skopany prawdopodobnie w zamieszaniu przy przejściu.

To wszystko mogliśmy spokojnie obserwować stojąc za siatką. Nikt nas nie zaczepiał i dowództwo chyba też o nas zapomniało. Tak samo jak my stał cały batalion katowickiego ZOMO blokując przejście z powrotem pod pomnik. A już zupełnie niezrozumiałe było dla mnie to, że pomnika nadal strzegą dwie kompanie. Podszedłem do Śluzy, który stał razem z innymi tuż przy siatce.

– Jak się dowódcy to wszystko podoba? – zapytałem.

Odwrócił się zdziwiony pytaniem albo wyrwany z jakiejś zadumy.

– Wcale mi się nie podoba – powiedział wracając do obserwowania.

Po chwili dodał jeszcze:

– Na mój rozum przynajmniej dwie kompanie są niewykorzystane, a na upartego pięć. Można to było rozegrać inaczej. Zamiast nasz batalion zatrzymywać na granicy parku, należało dołączyć kompanie spod pomnika. W pięć kompanii mogli pchnąć ludzi tak, że zatrzymaliby się na granicy Częstochowy. Żeby pomnika nie zniszczyli, przypilnowałby nasz pluton. A już ten kabaret przy przejściu podziemnym to był szczyt niedołęstwa i braku myślenia. Cud, że tylko kilku chłopaków oberwało. Mogło być sto razy gorzej.

Zamilkł i już się nie odzywał tylko patrzył, usiłując zobaczyć co dzieje się w oddali. Tam już jednak nic się nie działo i kompanie zaczęły wracać w naszym kierunku.

Zjazd do jednostki odbył się etapami. Najpierw my, potem batalion z Katowic i dopiero reszta, po kilka samochodów. Ostatnia kompania dotarła do jednostki późno wieczorem.

* * *

Siedzieliśmy na stołówce w części wydzielonej dla kadry i kończyliśmy kolację, gdy nagle wahadłowe drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem. Prawie biegiem, przepychając się i pokrzykując weszła jakaś kompania i ustawiła się w kolejkę do okienka, przez które wydawano posiłki. Na początku nie zwróciłem uwagi i dopiero po jakimś czasie zorientowałem się, że to weszła szósta, czyli moja dawna kompania. Zacząłem się przyglądać uważnie chcąc sprawdzić, czy nie brakuje żadnego z najbliższych mi chłopaków. Z ulgą zauważyłem Zbyszka Paczesia, Piekarskiego, Dybciaka. Rozglądałem się za Tomkiem Prusem, gdy od jednego ze stojących blisko mnie stolików wstał jakiś młody, nieznajomy podporucznik. Na rękawie miał biało-czerwoną opaskę, czyli był to oficer dyżurny jednostki ZOMO w Częstochowie. Podszedł do nadal przepychających i wygłupiających się chłopaków.

– Co tu się dzieje? Gdzie wyście weszli? Do obory? – ryknął na nich.

Chłopcy ucichli i przyglądali się z zaciekawieniem.

– Wynosić mi się ze stołówki! Ustawić się w dwuszereg i wejść jak ludzie! – krzyczał pokazując ręką drzwi.

Tak jak myślałem. Popatrzyli na niego jak na wariata i ani myśleli wychodzić. Uciszyli się co prawda i przestali przepychać, ale nie mieli najmniejszego zamiaru opuszczać stołówki. Jakby tego było mało, w tym momencie otworzyły się drzwi i wszedł Nowakiewicz. Podporucznik nie obejrzał się kto wchodzi, tylko wrzasnął jeszcze głośniej niż poprzednio:

– Powiedziałem – won ze stołówki! No co? ! Nie słychać? !

Zrobił się aż blady ze złości, bo nikt się nie ruszy, żeby wyjść. Odwrotnością wyglądu oficera dyżurnego był wygląd Nowakiewicza, którego twarz powoli stawała się purpurowa. Jeszcze dosyć dobrze pamiętałem wybuchy jego gniewu z czasów, kiedy nas szkolił na unitarce. Dlatego spodziewałem się, że za chwilę ryknie na chłopaków tak, że prawie wyfruną ze stołówki. Podszedł szybko do podporucznika, który stał i chyba nie wiedział co dalej robić. Tak totalne nieposłuszeństwo nie mieściło mu się w głowie.

– Kto ci, chłopie, pozwolił krzyczeć na moich ludzi? – odezwał się swoim chrapliwym basem „Cap", zaskakując wszystkich, łącznie z podporucznikiem. Całkiem ogłupiały patrzył to na „Capa", to na kompanię stojącą teraz grzecznie w kolejce.

– Pytam się, kurwa, kto ci pozwolił mówić do moich ludzi „won"? – zapytał „Cap" jeszcze bardziej przybliżając się do niego. Chyba był pijany, czyli najgroźniejszy, bo nieobliczalny.

– Bo… hałasowali jak wchodzili na stołówkę – wybąkał w końcu oficerek.

– Hałas ci, pieprzony żółtodziobie, przeszkadza? To dlatego dekujesz się na jednostce zamiast jechać na działania? Gdzie byłeś jak na nich kwas leciał, aż się moro na grzbiecie dymiło?

Nowakiewicz złapał go za połę munduru i jeszcze raz huknął basem:

– No pytam się, gdzie byłeś?

Uznając widocznie sprawę za zakończoną, puścił jego mundur i krzyknął do stojącej w kolejce kompanii:

– Pobierać kolację!

Odwrócił się do nadal bladego podporucznika i zaczął iść w kierunku części dla kadry.

– Ja, ja… pójdę na skargę do dowódcy jednostki! – krzyknął w końcu tamten.

– A w dupę mnie pocałuj – powiedział Nowakiewcz siadając przy stoliku razem ze Śluzą i Białym. – Kurwa, dwóch ludzi mam w szpitalu, ze trzydzieści sztuk moro do wymiany, a ten mi wyjeżdża z dyscypliną – mówił dalej wzburzony.

– Nam się udało. Wcale nas nie użyli – powiedział Śluza.

– No widzisz jakie tu dowodzenie i porządki.

Wypatrzyłem akurat Tomka Prusa i odetchnąłem z ulgą. Ci chłopcy, których najbardziej lubiłem, nie ucierpieli.

Drugi i trzeci maja minęły spokojnie. Śluza powiedział, że kierownictwo z Częstochowy było bardzo niezadowolone z faktu, że użyliśmy pocisków łzawiących. Nie podobało im się również to, co zrobił z ludźmi katowicki batalion przy spychaniu ich z góry. Podobno mieli tylko spychać, a oni pałowali ile tylko mieli sił. Dlatego potem bali się już wypuścić w miasto kogokolwiek z Katowic. Wynudziliśmy się więc jak mopsy, wyspaliśmy na zapas i po kilku godzinach monotonnej jazdy w kolumnie wylądowaliśmy u „siebie". Po raz kolejny mogłem przekonać się jak okropne jest zapylenie na Śląsku. Na co dzień nie zwracało się na nie uwagi. No chyba, że ktoś poszedł do miasta w białej koszuli i zdejmując ją po godzinie stwierdził, że jest prawie czarna. Najczęściej przypominałem sobie o zapyleniu, gdy wracaliśmy z dłuższego wyjazdu. Drzwi i okna od naszej sali zawsze zostawialiśmy pozamykane i wyglądały na szczelne. Mimo to po kilku dniach nieobecności na stole i krzesłach znajdowaliśmy warstwę kurzu tak grubą, że można było po niej pisać. W takich dniach robiło mi się tęskno za rodzinnymi stronami, gdzie po deszczu powietrze było orzeźwiająco świeże, a nie zajeżdżało amoniakiem, czyli zgniłymi jajami, jak tutaj. Podobnie zawiodłem się, gdy spadł zimą śnieg. Myślałem wtedy, że w końcu będzie trochę czyściej w tym szaroburym krajobrazie. Niestety, już po godzinie przekonałem się, że biel śniegu pokrywa powoli jakiś kurz i całymi płatami spadają czarne sadze. Po kilku dniach śnieg był już całkiem czarnoszary i tyle było z moich nadziei na weselszy krajobraz. Mimo to ucieszyłem się z powrotu do jednostki. Kurze pościerałem, a najważniejsze było to, że mogę przeczytać listy, które przyszły podczas mojej nieobecności. Potem poszedłem na basen i do kawiarenki ciesząc się z tego, jakie tu wszystko było swojskie i znajome. W Częstochowie wydawało mi się, że wszyscy patrzą na nas spode łba. Wcześniej tego nie było, a zaczęło się dopiero po działaniach w dniu 1 maja. Zastanawiałem się czy przypadkiem miejscowi zomowcy nie mają pretensji o to strzelanie na wprost z sygnałówek, ale uznałem, że to chyba niemożliwe. Przecież ci ludzie rzucali w miejscowych słoikami z kwasem, więc powinni być zadowoleni, że znalazł się ktoś, kto w końcu potrafił się odgryźć. Chociaż diabli tych częstochowiaków wiedzą. To dziwni ludzie, tak jak i całe miasto.

Po bałaganie i stresie w Częstochowie pofolgowaliśmy sobie przez kilka dni wykonując poranne zatrzymania i przeszukania z taką werwą, że dosłownie wióry leciały. Wióry leciały z wyważanych drzwi, a w przenośni z pleców i tyłka zatrzymanego, jeśli się stawiał. Podczas pierwszych zajęć namówiliśmy w końcu Śluzę, żeby zorganizować „bieg straceńców". Z lekkimi oporami, ale zgodził się. Tego biegu nie organizowano od czasu, gdy do plutonu przyszedł Jasio. Przedtem Śluza chętnie popisywał się swoją kondycją pokonując nas za każdym razem. Od chwili, gdy trafił się porządny rywal, nasz wódz zaczął unikać tych zajęć.

Wyjechaliśmy na tradycyjną trasę przez las. Początkowo wszystko przebiegało zgodnie z przewidywaniami. Odpadaliśmy po kolei. Mnie udało się dotrwać do chwili,

gdy pozostało nas tylko siedmiu. Problemy zaczęły się, gdy zostało trzech biegaczy, tzn. Śluza, Lala i Jasio. Tak długo biegli równo, że myśleliśmy, iż żaden nie odpadnie. Dopiero po pięciu kilometrach przebiegniętych tylko w trójkę Lala zaczął wyraźnie słabnąć. Widać było wielki wysiłek na jego twarzy, Śluza i Jasio nadal biegli lekko, równym krokiem, natomiast on człapał ciężko i tylko chwilowe zrywy ratowały go przed pozostaniem z tyłu. W końcu narzucił takie tempo, że zaczął ich wyprzedzać. Szybko zrównali się z nim i nie dali odskoczyć, a ten zryw kosztował go utratę reszty sił. Wylądował w UAZ-ie całkowicie wyczerpany. Pozostała dwójka biegła dalej równo i nie zanosiło się na rychłe zakończenie biegu. Śluza przez jakiś czas ciągnął spokojnie, ale gdy wbiegli na odcinek drogi prowadzący dość stromo pod górę, zaatakował. Udało mu się nawet zostawić Jasia trochę z tyłu. Trwało to jednak chwilę i zaraz wszystko wróciło do stanu poprzedniego, tzn. biegli obok siebie. Zacząłem podejrzewać, że Jasio nie daje z siebie wszystkiego, że mógłby dawno wygrać, ale boi się Śluzy. Myliłem się jednak. On po prostu czekał na najlepszy moment i gdy stwierdził, że taki nadszedł, zaatakował. Dziwnie to wyglądało. Zamiast gwałtownego zrywu Jasio zaczął powoli, lecz stale przyspieszać. Całkiem jak robot. Biorąc pod uwagę przebytą już trasę, żaden normalny człowiek nie byłby w stanie tego zrobić. Jasio musiał mieć jeszcze spory zapas sił, jeśli stać go było na taki wyczyn. Śluza początkowo również zaczął przyspieszać, lecz bardzo szybko osiągnął granicę swoich możliwości i zaczął zostawać w tyle. Jasio natomiast nadal biegł coraz szybciej, aż do momentu, kiedy sędziujący Śruba nacisnął klakson kończąc bieg.

– Cieszę się, że to ty mnie w końcu załatwiłeś. Kiedyś musiało to nastąpić. Starość nie radość, ale przynajmniej mam satysfakcję, że wygrał ze mną facet, który biega tak jak ty – pogratulował Śluza Jasiowi, który podszedł do niego przestraszony, czy przypadkiem nie dostanie bury.

– Eee, nie było lekko. Ledwo wytrzymołek. Jesce ciu, ciut i by dowódca wygrol – powiedział skromnie, ale widać było, że jest z siebie zadowolony.

Śluza mimo, że zaraz po biegu zachował się jak dżentelmen, musiał jednak mocno przeżyć przegraną, bo przez parę dni chodził przytłumiony i niewiele się do nas odzywał. Wcale mu się nie dziwiliśmy, przecież królował jako najwytrzymalszy biegacz w jednostce przez kilka lat i trudno mu będzie pogodzić się z przegraną. Kilka tygodni po tym biegu Jasio wrócił mocno zmartwiony po treningu, jaki sobie sam zarządził. Stwierdził, że musi pójść do lekarza i następnego dnia poszedł. Nie zwróciłem na to uwagi zajęty czym innym. Natomiast gdy wrócił od lekarza każdy by zauważył zmianę, jaka w nim zaszła.

– Co ci jest? – spytałem siadając obok niego na łóżku.

– Nic. Tylko biegać już ni moge – westchnął i podwijając nogawkę pokazał mi spuchnięte kolano. – Za kazdym razem jak pobiegne tak mi sie robi. I za kaździutkim razem coraz gozej.

– Ale lekarze przecież coś na to poradzą? Dostaniesz trochę leków, może jakieś zastrzyki i przejdzie ci – starałem się pocieszyć go, bo nie mogłem uwierzyć, że Jasio nie będzie mógł biegać.

– Pewnie nie przejdzie. Lekarz mówił, ze to jakasik niewydolność cegoś tam. Ze żyć sie z tym da, tylko coby nie pseciązać. No to jak mom biegać coby nie pseciązać? – popatrzył na mnie bezradnie.

W jego głosie słyszałem taki żal, że coś chwyciło mnie za gardło. Miał rację w tym, co powiedział. Mimo brania lekarstw, zastrzyków, robienia przerw w wysiłku i nieprzeciążania nogi sytuacja nie uległa zmianie. Wystarczyło, żeby Jasio przebiegł kilkaset metrów, a już kolano puchło i zaczynało boleć. Obserwowałem go nie mogąc się nadziwić, jak wspaniale radzi sobie z tym problemem. Owszem, były dni, że chodził smutny, miał gorszy humor, ale nigdy nie zdarzyło się, żeby z kimś się pokłócił czy był dla kogoś nieprzyjemny.

Cały czas był na zwolnieniu lekarskim i siedział w koszarach, oczywiście jeśli nie wyjeżdżał do lekarza. Ponieważ bardzo chciał być przydatny, robił wszystko o co się go poprosiło. Składał siatki obezwładniające, które po użyciu trzeba było godzinami rozplątywać i zakładać do specjalnej głowicy. Sprzątał i wyszukiwał sobie różne zajęcia, aby tylko nie siedzieć bezczynnie.

Pewnego dnia, chyba w lipcu, zgadali się ze Śluzą, że Jasio jak każdy góral zna się na stolarce. Ponieważ dowódca jednostki chciał, żeby ktoś położył boazerię w korytarzu prowadzącym do gabinetu, Jasio podjął się tego zadania. Powiedział tylko, że musi jechać do domu po swoje narzędzia. Trochę to zdziwiło i rozśmieszyło Śluzę. W jednostce była w pełni wyposażona stolarnia z heblarkami, frezarkami i wszelkim potrzebnym sprzętem, a ten chce jechać do domu po narzędzia? Śluza pomyślał, że chce po prostu wycyganić przepustkę do domu, ale machnął na to ręką i puścił go. Jasio jednak słowa dotrzymał i przywiózł cały worek pił, dłut, ośników i wszelkiego żelastwa, które wyglądało na wyprodukowane przynajmniej ze sto lat temu. Zabrał się do roboty, a ponieważ gotowe listwy kiedyś już zaopatrzeniowiec kupił, więc szło mu szybko. Zaszedłem kiedyś do niego zobaczyć jak sobie radzi. Akurat coś docinał ręczną piłą.

– Jasiu, idź na stolarnię. Tam są piły elektryczne i sobie wszystko równo podocinasz – powiedziałem widząc z jakim mozołem idzie mu robota.

– Wies co? Ja wole tak po swojemu. Tamtych masyn nie znom. Nie wiem jak włoncyć, jak wyłoncyć. Jesce co popsuje? A tak w ręku to lepiej spasuje niż tymi masynami – odpowiedział z uśmiechem.

W ten sposób, mając do dyspozycji nowoczesną stolarnię, Jasio pracował przedpotopowymi narzędziami i był z tego bardzo zadowolony.

Muszę jednak przyznać, że tak dokładnie dopasowanej i położonej równo boazerii nigdy więcej nie widziałem. Przy okazji Jasio stał się ulubieńcem dowódcy jednostki. Podobno nikt tak nie potrafił rozśmieszyć naszego pułkownika jak on historyjkami ze swo-

ich rodzinnych stron. Dogadali się też, że dowódca marzy o wypchanym, dużym drapieżnym ptaku, którego chciałby powiesić w swoim gabinecie. Taka panowała wówczas moda wśród wyższych rangą oficerów. Oczywiście im ptaszysko było większe, tym bardziej dodawało powagi właścicielowi.

* * *

Jasio nie byłby sobą, gdyby czegoś nie wymyślił. Pogadał z dowódcą swojej dawnej kompanii i namówił go na zrobienie pułkownikowi niespodzianki. Dwóch kolegów Jasia, też górali z jego kompanii, zostało wydelegowanych na przepustkę, żeby złapać jakieś duże ptaszysko. Ponieważ znali się na rzeczy, mieli przywieźć ptaka do jednostki i tutaj, w stolarni spreparować go. Nie było ich trzy dni. Według Jasia w obławie brała udział cała wioska. „Ale czego się nie robi dla swojaka, żeby mu we wojsku było lepiej". Ze złowionym ptakiem uwięzionym w worku przyjechali do jednostki i przez tydzień oprawiali go w stolarni. W końcu późnym wieczorem zawiesili swoje dzieło w gabinecie dowódcy jednostki i na drugi dzień rano oczekiwali na efekt niespodzianki. Pułkownik wszedł do budynku nie podejrzewając niczego. Nie zdziwił go widok Jasia i jego kolegów kręcących się po korytarzu. Pomyślał pewnie, że coś poprawiają przy boazerii. Wszedł do gabinetu i po chwili wyskoczył stamtąd blady i wzburzony.

– Kto… kto to zrobił? – ledwo wykrztusił.

– My – odpowiedział zadowolony z siebie i niczego jeszcze nie podejrzewający Jasio.

– Czy wyście rozum postradali? Chcecie, żebym przez was do więzienia trafił? Skąd wzięliście tego ptaka? – krzyczał nie panując nad sobą pułkownik.

– Chciał dowódca co by był bardzo duży, no to chłopaki pojechali do domu i złapali co było największe – tłumaczył Jasio pokazując na dwóch ciężko przestraszonych pomocników.

– Ale to jest przecież orzeł przedni! Najrzadszy ptak w Polsce! Pod ścisłą ochroną!

– Jaki on tam najzadsy, kiedy co lato młode owiecki biorom jak swoje i latajom po dwa, a casem nawet po trzy – odważył się na odpowiedź jeden z łowców.

– Wynoście się! Zejdźcie mi z oczu! – krzyknął dowódca.

Jasio i jego pomocnicy zniknęli błyskawicznie jak duchy. W sztabie prawie do południa trwała narada co zrobić z wypchanym orłem. Po długim zastanowieniu dowódca zgodził się ze zdaniem Śluzy, który stwierdził, że orzeł nie żyje i nic już nie można zrobić. Jedyne, co według Śluzy można było zrobić, to „ulegalnić" go na wszelki wypadek. Śluza napisał notatkę, że razem z sześcioma „tygrysami" znaleźli nieżywego ptaka i w jednostce został on wypchany.

Wypchany orzeł wisiał w gabinecie pułkownika tylko trzy miesiące, do pierwszej wizyty szefa WUSW. Ten jako przełożony naszego dowódcy prawdopodobnie dał mu do zrozumienia, że ptak wisi nie tam, gdzie powinien.

Następnego dnia ciężarowym starem orzeł wyjechał z jednostki i słuch o nim zaginął. Kiedyś Śluza wygadał się, że widział go w gabinecie szefa WUSW.

Pewnego dnia zniknął z jednostki również Jasio Potaczek. Lekarze po gruntownym przebadaniu go doszli do wniosku, że choroba się rozwija i człowiek tak schorowany nie nadaje się nie tylko do „tygrysów", ale w ogóle do wojska. Jasio w ciągu kilku dni pozdawał wszystko i znowu zostałem w sali sam. Brakowało mi go i często wchodząc do pokoju w ostatniej chwili gryzłem się w język, bo chciałem z rozbiegu podzielić się z nim jakąś nowiną. Gdy wyjeżdżał, obiecywał napisać do mnie kiedyś, a nawet odwiedzić. Niestety, wszelki słuch po nim zaginął.

* * *

Jeszcze zanim Jasio odszedł z jednostki, pluton specjalny zaangażowano kilka razy do zabezpieczania porządku w trakcie meczów piłki nożnej. Jasia nie było, ale zdążył wrócić Misiek i te dwa wydarzenia prawie zbiegły się w czasie.

Nasz dawniej potężnie zbudowany kolega był teraz szczuplejszy o jakieś dziesięć kilogramów, zadumany i dojrzalszy. Niejednokrotnie słyszałem, że cierpienie uszlachetnia i na jego przykładzie sprawdzało się to w każdym calu. Jeśli przedtem nie bardzo miałem o czym z nim rozmawiać, to po jego powrocie spędziliśmy całe dnie i nie było nudno.

Towarzystwo takiego człowieka było szczególnie cenne właśnie podczas zabezpieczania meczów. Nasze zadanie polegało na siedzeniu i oczekiwaniu na to, że będziemy potrzebni. Główne zdanie wykonywało normalne ZOMO. Oni prowadzili kibiców od dworca kolejowego do stadionu, przeszukiwali przy wejściu, pilnowali w sektorach. Oni też pilnowali porządku po meczu, odprowadzając na dworzec kibiców drużyny gości. Za opiekę dostawali piękne podziękowanie.

Kilka razy miałem możliwość obserwowania tego, co się dzieje na dworcu w momencie, gdy pociąg rusza. Na stojących na peronie funkcjonariuszy ZOMO sypał się grad butelek i wszystkiego, co kibice mieli pod ręką. Nie pomagało nic, nawet umieszczanie patroli mundurowych w pociągu. Co prawda nie rzucali z tego przedziału, w którym był patrol, ale z pozostałych robili to ze zdwojoną energią.

Widzieliśmy, że coś z tym trzeba zrobić, ale nikt nie miał konkretnego pomysłu i jedyną radą było szybkie wycofywanie się kompanii z dworca.

Natomiast na stadionach ZOMO panowało niepodzielnie. Już samo przeszukiwanie przy wejściu robiło wrażenie, bo odbierane były wszelkie niebezpieczne narzędzia. Nawet kije od transparentów. Do depozytu trafiała wódka i wszelkie napoje zawierające alkohol. Nie wolno było wnosić żadnych butelek.

Mimo to zawsze na stadionie było sporo pijanych. Prawdopodobnie część wnosiła wódkę w workach foliowych, które trudno było wykryć podczas „klepanki", a część po prostu przychodziła na mecz mocno pijana. Kilka razy wchodziliśmy po pijanego zaczy-

najęcego awanturę. Ruszała jednocześnie cała drużyna, więc z reguły facet prawie wyfruwał ze stadionu. Wszelkie protesty ze strony jego kolegów uśmierzali stojący na koronie i między sektorami chłopcy z normalnych kompanii. Gdy się tylko cokolwiek zaczynało ruszać, tłukli od razu ostro szturmówkami, tłumiąc zawieruchę w zarodku.

Na meczu w Chorzowie zdarzyło się jednak, że musieliśmy się przebijać siłą ze środka sektora, który stanął w obronie wyprowadzanego chuligana. Chłopak przemycił butelkę na stadion i „upolował" przy jej pomocy sędziego schodzącego na przerwę. Zgubiła go charakterystyczna czerwona kurtka, dzięki której mogliśmy go dopaść. Gdy Misiek ze Śrubą chwycili go i założyli kajdanki, drogę powrotną zagrodził nam mur młodych chłopaków szykujących się do bójki. Nie było czasu na sentymenty. Pałki pozostały w uchwytach, a w ruch poszły nogi i ręce. Na czoło błyskawicznie wysunęliśmy się obaj ze Zgagą i nareszcie mogliśmy sobie poużywać. Reszta drużyny osłaniała boki i tył – Miśka prowadzącego delikwenta będącego przyczyną tej zadymy, a my tłukliśmy. Repertuar ciosów nie był wyszukany, dominowały kopnięcia w jądra i w głowę. Bardzo pomagały w tym ławki, bo stając na nie można było łatwiej kopać po twarzach. Z reguły po kopnięciu następował doskok bliżej i ktoś następny dostawał w zęby, tym razem pięścią. Przeszliśmy przez sektor jak burza i dotarliśmy do przejścia, gdzie otoczyli nas chłopcy z kompanii, których zbiegło się na pomoc chyba ze trzydziestu. Byłem zdyszany i zlany potem, Zgaga tak samo. Zdawaliśmy sobie sprawę, że udało nam się przebić tylko dlatego, że było luźno w sektorze i ostro poszliśmy, rozbijając po drodze parę łbów. Gdyby było ciaśniej i dalibyśmy trochę czasu na zaatakowanie, prawdopodobnie oberwalibyśmy porządnie i uratowałaby nas tylko interwencja którejś kompanii. Jeśli byłoby jeszcze kogo ratować.

Śluza był tego samego zdania i wykłócił się gdzieś o to, żeby pluton brał udział w zabezpieczaniu tylko naprawdę dużych meczów i to tylko w pełnym składzie. Miał rację. W trzydziestu można się przebijać, ale nigdy w siedmiu czy ośmiu. Byłem bardzo zadowolony z takiej decyzji, bo straszliwie nudziłem się na meczach. Niepocieszonych było kilku chłopaków – „zapalonych kibiców piłkarskich", ale trudno, nie wszystkim można dogodzić.

* * *

Kończyło się już lato, sterczenie na deszczu nikomu chyba nie sprawiałoby przyjemności. Koniec lata i początek jesieni to zwiększony ruch na stadionach i chyba dlatego ktoś w WUSW postanowił trochę przetrzepać skórę kibicom. Gdy Śluza odczytał nam plan operacji, aż ręce zatarliśmy z uciechy i następnego dnia całym plutonem po cywilnemu pojechaliśmy pociągiem na stadion do Chorzowa. Mecz minął spokojnie. Ktoś przegrał, ktoś wygrał, a mnie jak zwykle nic to nie obchodziło. Z niecierpliwością czekałem kiedy się skończy. Pomaszerowaliśmy razem z kibicami na dworzec, bacznie obser-

wując kto jest najaktywniejszy. Upatrzyłem sobie krótko ostrzyżonego rudego chłopaka i z Miśkiem trzymaliśmy się go, dając znaki innym, że ten jest nasz. Po pewnym czasie w pobliżu nie widziałem żadnego milicjanta z plutonu. Co prawda nie mieliśmy szalików z barwami klubów jak kibice, ale niewiele odróżnialiśmy się od reszty. Obserwowany przez nas chłopak na szczęście nie zwrócił uwagi na dwóch obcych kręcących się w pobliżu. Szedł w grupie swoich kolegów i wyraźnie im przewodził. Jeśli coś zaczął śpiewać, to reszta podchwytywała.

– Chyba trafiliśmy w dziesiątkę z tym rudzielcem – powiedział Misiek gdy zostaliśmy trochę z boku.

– Nie chyba, tylko na pewno – odpowiedziałem.

Po drodze tuż przed dworcem rudzielec i wielu innych kupili piwo i z butelkami w rękach weszli na peron. Do tej pory zachowywali się spokojnie, oczywiście jeśli nie bierze się pod uwagę wrzasków, śpiewów i tamowania ruchu na jezdni. Na peronie musieli trafić na jakichś przeciwników, bo niedaleko nas wybuchła bójka. Na szczęście, szybko rozgonili ich mundurowi i spokojnie czekaliśmy na pociąg.

Rudy w bójce udziału nie brał, ale żywo interesował się jej przebiegiem. Ponieważ trwała chyba zbyt krótko, żeby mógł się w nią włączyć, pozostał na miejscu zachęcając okrzykami bijących się. Otworzył następne piwo i pijąc je na przemian śpiewał i wrzeszczał, robiąc krótkie przerwy na pociągnięcie paru łyków z butelki. W jego zachowaniu nie było nic oryginalnego, bo tak postępowało 90 procent ludzi na peronie.

Kilka osób stało z boku i ze strachem przyglądało się, jakich współpasażerów los im szykował. Na ich miejscu wolałbym jechać następnym pociągiem niż dobrowolnie skazywać się na jazdę z takim bydlem. Tym ludziom zabrakło jednak albo czasu, albo wyobraźni, bo wsiedli razem z nami.

Gdy pociąg podjechał znalazłem się blisko rudego i Misiek zrobił to samo. Razem z masą tłoczących się chłopaków wepchnęliśmy się do przedziału zajmując miejsca z dala od okien. Zostawiliśmy miejsce dla tych, którzy będą rzucać.

Jeszcze pociąg nie zdążył ruszyć, gdy zaczęły się krzyki „ZOMO-chuje", „Psy" i na peron posypały się butelki. Nasz chłopak zaskoczył mnie całkowicie. Wrzeszczał, ale do rzucania nie rwał się, tylko spokojnie odszedł od okna robiąc miejsce dla innych. Dwóch chłopaków, którzy cały czas orbitowali blisko rudego, postanowiło widocznie nadrobić rzucanie za niego. Gdy wyrzucili swoje butelki, wyrywali innym z rąk i ciskali przez okno.

Spojrzałem na Miśka, a on kiwnął głową i pokazał na palcach, że będziemy brali obu. Mrugnąłem porozumiewawczo i czekałem spokojnie na dalszy rozwój sytuacji. Towarzystwo powoli uspokajało się. Śpiewy nie ucichły, ale zmniejszyła się ogólna wrzawa. Oprócz piwa pojawiły się gdzieniegdzie butelki z wódką i zaczęło się łażenie po pociągu w poszukiwaniu kolegów do wypicia. Nasi dwaj chłopcy na szczęście nie mieli takich problemów. Do towarzystwa mieli rudego i dwóch kumpli, więc spokojnie zaczęli rozpijać butelczynę.

Staliśmy w przejściu ciesząc się, że na razie nikt się nami nie interesował i nie zaczepiał. Pociąg powinien niedługo zatrzymać się. Chyba jednak zbyt niecierpliwie czekałem na to, bo upłynęło trochę czasu nim pociąg zaczął dość gwałtownie hamować. Kilka głów wychyliło się z okien chcąc zobaczyć dlaczego pociąg hamuje w miejscu, gdzie nie było żadnego dworca, tylko krzaki i pusta przestrzeń.

– Kurwa! Psy! – wrzasnął niedaleko nas chłopak wyglądający przez okno i cofnął się gwałtownie.

Do okien rzucili się inni. Reakcje były podobne. Przekleństwa i wyzwiska, ale słychać było także strach i zdumienie. Dla przyzwoitości też wyjrzałem przez okno. Po obu stronach torowiska aż roiło się od ludzi z pałkami ubranych w zielono-niebieskie moro i kaski. Niedaleko stała kolumna zomowskich starów i nys. Szpaler po obu stronach torów był niesamowicie długi. Nic dziwnego, tworzyło go dziewięć kompanii. Sześć z jednostki w Katowicach i trzy z utworzonego niedawno w Sosnowcu Batalionu Szybkiej Interwencji, który podlegał dowódcy w Katowicach a tylko siedzibę miał gdzie indziej. Krótko mówiąc, była to cała dostępna jednostka ZOMO z Katowic. Ściągnięto nawet tych, którzy obstawiali mecz i byli od kilku godzin na nogach. W pobliżu zaczął się tumult i wrzawa. Wszyscy pozbywali się szalików z barwami klubów, chcąc udawać normalnych pasażerów. W kącie naszego przedziału spał na siedząco kompletnie pijany starszy człowiek. Nawet się nie przebudził, gdy na jego szyi spoczęło sześć szalików zawiązanych przez niedawnych bohaterów. Jeszcze dziesięć minut temu gotowi byli zabić za obrazę przedstawionych na szaliku barw drużyny, której kibicowali, a teraz wpychali je do śmietniczek i pod siedzenia. Nasi dwaj chłopcy po pozbyciu się szalików stali, udając obojętność wobec rozwoju wydarzeń. Pociąg w końcu zatrzymał się i do środka zaczęło wsiadać ZOMO. Jakiś chłopak krzyknął do mnie i do Miśka:

– Trzymajcie drzwi od przedziału, bo wejdą!

Zrobiliśmy oczywiście coś przeciwnego i otworzyliśmy drzwi szeroko wpuszczając mundurowych. Jednocześnie wyjęliśmy nasze legitymacje i pokazując je podeszliśmy do wcześniej wytypowanych chłopaków. Zaskoczenie było spore, ale nawet nie szarpali się, kiedy mundurowi skuli im ręce do tyłu. Jeden tylko zapytał:

– Za co?

– Za rzucanie butelkami, synku – odpowiedział mu Misiek.

Chłopak zwiesił głowę i nic już nie powiedział. W przedziale nikt nie stanął w ich obronie. Jeszcze niedawno byli tu koledzy i przyjaciele, teraz każdy patrzył w okno lub w podłogę ciesząc się w duchu, że to nie jego zabierają.

Nie wszędzie tak było. Gdy wyskoczyliśmy z pociągu na nasyp, zobaczyłem, że o niektóre przedziały toczy się regularna bitwa. Musiałem w pewnej chwili szybko uskoczyć w bok, bo na nasyp wyleciał z wagonu jeden ze wskazanych przeze mnie chłopaków. Dzielnie wylądował na nogach i zrobił kilka kroków w dół, próbując utrzymać równowagę, ale potknął się i wyłożył jak długi. Miał dużo szczęścia, bo upadł na trawę. Drugiemu gorzej się powiodło, ponieważ większą część drogi przebył zjeżdżając na tyłku po kamieniach. Za nimi wyskoczyło dwóch chłopaków z ZOMO i poprowadziło w kierunku samochodów. Przyglądając się akcji w pozostałych wagonach stwierdziłem, że tym dwom wskazanym przeze mnie poszczęściło się. Widziałem ludzi, którzy popchnięci wypadali z pociągu na plecy lub twarzą prosto na kamienie. Byli to przede wszystkim ci, którzy stawiali opór. Oprócz zjazdu po nasypie czekała ich jeszcze droga do samochodów. Ile przez ten czas zebrali pał i kopniaków, tylko oni wiedzą.

Dwa przedziały zablokowane były tak porządnie, że nie można było ich zdobyć bez uszkodzeń. Widocznie tak się złożyło, że w środku nie było nikogo, kto mógłby otworzyć drzwi i wpuścić milicjantów do środka. W końcu nieznany mi porucznik zbił szybę w drzwiach. Momentalnie ktoś podał granaty łzawiące i cztery wrzucono do środka. Pootwierały się wszystkie okna, ale użycie czterech granatów niewiele dało. W końcu nie widząc innego wyjścia kibice otworzyli drzwi w drugim końcu przedziału. Wychodzili prosto w ręce ZOMO, które tłukło wszystkich po kolei. Część cofnęła się na chwilę, ale duszący i piekący w oczy dym zrobił swoje i wyskoczyli prędzej niż tam weszli. Drugi przedział padł nawet bez użycia gazu. Po prostu mocniej szarpnięte drzwi otworzyły się pomimo podpierającej je półki, którą wyrwano ze ściany wagonu. Do środka wlała się fala zomowców i po chwili na nasyp zaczęli wypadać wyrzuceni kibice. Nie dość, że w wagonie dostali pałowanie, to jeszcze na zewnątrz czekała ich poprawka.. Wyłapani zostali wszyscy z tych dwóch przedziałów i starami przewieziono ich do RUSW. Odwieziono też wskazanych przez „tygrysów" kibiców, którzy rzucali butelkami na dworcu. Po nas podjechał autokar z WUSW i mogliśmy wrócić do jednostki. Pociąg częściowo pusty ruszył w dalszą drogę.

W wiozącym nas autokarze całą drogę pieklił się Zgaga. W ogólnym zamieszaniu w wagonie, któryś z chłopaków przyładował mu pałą po twarzy.

– Akurat sięgałem po legitymację, żeby mu pokazać, a ten jak mnie nie sięgnie tą pałą. Zasłoniłem się ręką, ale gdzie tam, końcówką i tak dostałem w oko – żalił się.

– To teraz boli cię i ręka, i głowa? – zapytał Foks.

– No tak.

– To po coś się zasłaniał? Tak bolałaby cię tylko głowa – roześmiał się Foks.

– Puknij się w łeb – burknął Zgaga. – Gdybym się nie zasłonił, to miałbym nos złamany i pewnie jeszcze parę zębów wybitych.

Chwilę siedział spokojnie obmacując rękę i oko. Musiał coś mruczeć pod nosem, bo siedzący z tyłu Baca zapytał go w pewnej chwili:

– Co tam mruczysz?

– Poznam tego sukinsyna na jednostce i tak samo podzeluję mu oko – wybuchnął znowu Zgaga.

– Uspokoiłbyś się, Krzysiek – wtrącił się w końcu Śluza. – Gadasz jak gówniarz. Wypadek przy pracy i tyle.

– A tobie się nie zdarzyło walnąć swojego? – zapytał Biały.

– Wyobraź sobie, że nie. Jeszcze nie jestem na tyle ślepy – odgryzał się jak mógł Zgaga broniąc się przed zmasowanym atakiem.

Na kilka sekund zapadła cisza.

– Jak to nikomu nie przylałeś? – krzyknął nagle Główka, chłopak z drugiej drużyny. – A ten bezpiecznik coś mu z kopa szczękę złamał 1 maja w zeszłym roku?

– A bezpiecznik to swój? – bąknął Zgaga wywołując tym pytaniem salwę śmiechu.

– Swój nie swój, ale krzyczał chłop hasło, a ty go tylko dmuchnął z kopa w szczękę i poleciałeś dalej – dokończył Główka.

Na tym zakończyła się dyskusja ze Zgagą, który jeszcze coś bruczał pod nosem nie mogąc darować sobie tego, co go spotkało. Głośno jednak nie odgrażał się i chyba porzucił zamiar rewanżu.

Kolegium ukarało ponad czterdzieści osób z pociągu, który był pacyfikowany przez nas. Kary poleciały „dla przykładu", więc trochę ostudziło to niektórych. Zresztą, zawsze istniała groźba, że pociąg znowu się zatrzyma, a młodzi chłopcy stojący w przedziale okażą się tajniakami…

* * *

Na mecze już nie jeździliśmy i w ogóle odpadło sporo zajęć. Przede wszystkim odpadło konwojowanie więźniów. Owszem, czasami przewieźliśmy jakiegoś naprawdę niebezpiecznego bandytę, którego koledzy mieli zamiar odbić, ale były to rzadkie przypadki. Zlecano nam przede wszystkim zatrzymania i pościgi. Nawet jeśli trzeba było zrobić zasadzkę, to organizowali ją milicjanci z rejonówki, a my byliśmy tylko do zatrzymywania. Lepiej było siedzieć w samochodach w pewnej odległości niż czaić się gdzieś w trudnych warunkach. Te wszystkie zmiany zaczęły się od czasu, gdy zmienił się dowódca jednostki. Poprzedni odszedł do Krakowa, a do nas przyszedł niski, łysawy podpułkownik. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyliśmy, było to, że cały czas chodził w rękawiczkach. Była wczesna jesień, a więc ciepło, a ten nie rozstawał się z tym elementem ubioru. Trochę martwiliśmy się odejściem naszego pułkownika, dla którego byliśmy oczkiem w głowie. Dla nowego dowódcy przygotowaliśmy pokaz naszych umiejętności. Obejrzał z uwagą, zdawkowo pochwalił i zaczął częściej do nas zaglądać. Gdy razem z nami pojechał na ćwiczebne skoki spadochronowe, wiedzieliśmy, że będzie nasz. Na zakończenie ćwiczeń przygotowaliśmy wieczorem ognisko z pieczonymi kiełbaskami i oczywiście wódką jako głównym daniem. Pułkownik pił równo z nami i bawił się chyba nieźle, bo opowiadał kawały i widać było, że się odprężył. Nic dziwnego, że potem chciał nam ulżyć i odjął trochę roboty. Przy okazji zobaczyliśmy jego ręce. Odpadły domysły, że ma na nich blizny. Były to normalne ręce i widocznie po prostu lubił chodzić w rękawiczkach.

W mojej dawnej kompanii też zaszły poważne zmiany. „Cap" Nowakiewicz odszedł awansując jednocześnie na kapitana i na dowódcę batalionu. Teraz dowodził trzema kompaniami. Dowódcą kompani został starszy, szpakowaty kapitan, który, jak twierdzili chłopcy, niewiele się od nich wtrącał i pokazywał się tylko wtedy, kiedy musiał.

Teraz częściej widywałem się z chłopakami z mojej dawnej kompanii. Oni mieli więcej luzu i czasu i ja chyba też. Co niedzielę spotykałem się ze Zbyszkiem Paczesiem na kawie w kawiarni przy sali gimnastycznej. W tygodniu albo on zaglądał do mnie, albo ja do nich. Dlatego niezbyt zdziwiło mnie to, że któregoś dnia po kolacji zadzwonił do mnie Szulc. Widywałem go często w kawiarni, a czasami na basenie. Trochę rozmawialiśmy ze sobą, ale nie były to jakieś bardzo przyjazne kontakty. Wiedziałem o nim tylko tyle, że jest oddelegowany z kompanii tak jak ja i zajmuje się fotografowaniem. W budynku dydaktycznym miał kilka pokoi wyznaczonych na pracownię i przesiadywał w nich dniami i nocami. Byłem nawet kiedyś u niego, gdy trzeba było zrobić Jasiowi Potackowi zdjęcia do legitymacji.

Teraz dzwonił do mnie, ale w głosie wyczułem zdenerwowanie, gdy po przywitaniu się powiedział:

– Słuchaj, w tobie jedyna nadzieja. Pod drzwiami mojej pracowni siedzi kapitan Krzeszowski i czeka, kiedy będę mógł mu otworzyć. Mam jeszcze półtorej godziny, bo powiedziałem mu, że teraz nie mogę wyjść, ponieważ wywołuję zdjęcia i jeśli otworzę, to się naświetlą…

– A czego od ciebie chce? – zapytałem zdziwiony.

– Ktoś mu dał cynk, że w mojej pracowni pędzi się bimber. Rozumiesz, samogon…

– Nie tłumacz jak dziecku. Wiem co to bimber. Piłem.

– Przepraszam, to przez te nerwy. No i on teraz siedzi i chce przeszukać pracownię. Uparł się, że nie odejdzie, a ja mam trzydzieści butelek wódki i dwadzieścia kilo cukru w pracowni. Zacier już wylałem, ale tego towaru szkoda. Może byście dali radę po linkach przez okno?

Odezwałem się dopiero po chwili, tak mnie zaskoczył nowiną. Bimbrownia w jednostce ZOMO, tego jeszcze nie było. Zacząłem się śmiać. Szulc chyba usłyszał, bo w słuchawce odezwał się jego przestraszony głos:

– Co? Nie da rady? To tylko drugie piętro…

– Da radę – przestałem się śmiać. – Tylko zaskoczyłeś mnie tą nowiną. Nie wiedziałem, że takie „zdjęcia" robisz i to dwa piętra nad pokojem oficera dyżurnego.

– Oj wiesz, Darek. Wodę destylowaną do wywoływania i tak musiałem robić, więc sprzęt był i aż się prosił o robotę, bo stał niewykorzystany.

– Dobra, Piotrek. Siedź spokojnie. Coś organizuję. Jak będę gotowy, zadzwonię.

Odłożyłem słuchawkę i zastanawiałem się co robić. Zadzwoniłem do ratownika na basem i od razu mi ulżyło. Na basenie był Baca i Śruba. Szybko wyjaśniłem im w czym rzecz. Obiecali być u mnie za pięć minut.

Przygotowałem linki i zacząłem zakładać uprząż. Przypomniał mi się oficer dyżurny kapitan Krzeszowski. Miałem z nim do czynienia chyba ze dwa razy i byłem pewny, że o dwa razy za dużo. Był stary i okropnie złośliwy. Kazał do siebie mówić wyłącznie „Towarzyszu kapitanie", a jeśli ktoś powiedział „Obywatelu kapitanie", strasznie się wściekał. Tłumaczył, że jest członkiem partii od dwudziestu lat i nie życzy sobie innego zwracania się niż „towarzyszu". Podpadniętych chłopaków zapamiętywał dobrze i później przy byle okazji pisał na nich raporty. Nie lubiła go też kadra zawodowa, bo kilkakrotnie słyszałem jak Śluza ostrzegał przed nim chłopaków, gdy byli skoszarowani. Mówił wtedy zawsze: „Dzisiaj oficerem dyżurnym jest Krzeszowski. Uważajcie na siebie".

Dopiąłem szelki w momencie, gdy przed budynkiem zahamował UAZ. Zadzwoniłem do Szulca i kazałem mu przygotować się. Baca nie miał zbyt wielu pytań:

– Ze dwa litry będą nasze za tę przysługę? zapytał.

– Pewnie tak – odpowiedziałem i wyjaśniłem im swój plan.

Ja i Śruba mieliśmy wejść na dach budynku. Najpierw ja po piorunochronie i parapetach, potem asekurowany linką Śruba. Baca miał się ustawić pod oknem tak, żeby ładunek można było spuszczać prosto do UAZ-a. Dobrze, że okna pracowni wychodziły na tył budynku, bo inaczej Krzeszowski mógłby nas zobaczyć wyglądając z korytarza na drogę przed budynkiem. Niestety włazem z czwartego piętra na dach nie można się było dostać. Blok dydaktyczny miał tylko jedną klatkę schodową, przy której siedział kapitan pilnując drzwi od pracowni. Musiałem włazić po piorunochronie. Zajęło mi to prawie dziesięć minut i z pośpiechu spociłem się jak mysz. Śruba ubezpieczony linką wszedł dużo szybciej i na pewno mniej się zmęczył. Pierwszy etap mieliśmy za sobą i spoglądaliśmy z dachu na czekającego w dole Bacę. Piotrek chyba nie spodziewał się, że tak szybko znajdziemy się na dachu. Minęło chyba z pięć długich minut nim wyjrzał przez okno i zauważył zwisającą linkę. Szybko przywiązał torbę do końcówki i powoli opuściłem „cenny" ładunek do UAZ-a. Operację powtórzyliśmy dwa razy i było po kłopocie. Trzy duże torby spoczęły na dnie samochodu. Następnie zjechałem na wysokość okna, bo przyszedł mi do głowy pomysł, żeby tą drogą zabrać z ciemni Szulca i z Krzeszowskiego zrobić całkowitego wariata. Piotrek popatrzył na mnie trochę przestraszony, gdy dowiedział się, że chcę go zabrać na przejażdżkę „na barana", ale zwyciężyła chęć zrobienia psikusa kapitanowi. Zresztą, nie było się czego bać. Drugie piętro to nie kosmiczna wysokość. Z pierwszego skakaliśmy na ćwiczeniach na kupę żwiru i lądowało się całkiem przyjemnie.

Piotrek szybko pogasił światła, zamknął okno i stanął na parapecie. Widziałem, że drżą mu nogi, więc szybko wziąłem go „na barana". Linka zadźwięczała napięta pod podwójnym ciężarem i po kilku sekundach byliśmy na dole. Zaraz po nas zjechał Śruba. Ściągnięcie z góry i zwinięcie linki trwało chwilę. Baca ruszył UAZ-em, kończąc całą „operację".

Piotrek przez moment zastanawiał się dokąd jechać, aż w końcu zadecydował:

– Dobra. Niech pan sierżant podjedzie pod pierwszy batalion. Tam jest gdzie schować. U kierowcy.

Podjechaliśmy pod koszarowiec. Okazało się, że na szczęście Wandzik jest w swoim pokoju. Zgodził się z ochotą przyjąć „ładunek". Przy wynoszeniu toreb Baca zaczął się wiercić niespokojnie, aż w końcu ozwał się do Szulca:

– Coś się chyba nam za tę pomoc należy?

– Oczywiście, oczywiście – odparł szybko fotograf i zaczął wykładać butelki z torby podając Bacy, który szybko chował je w głębokiej kieszeni bocznej w drzwiach UAZ-a.

– Starczy. Dziękuję – powiedział, gdy wziął piątą.

Piotrek wyniósł resztę do Wandzika. Podziękował jeszcze raz i odjechaliśmy. Baca chciał pić od razu, ale od północy nasza drużyna zaczynała dyżur i Śruba nie zgodził się. W ten sposób bimber na dwa dni trafił do szafy w moim pokoju. Pozostałby tam jeszcze dłużej, ale Baca dotąd męczył mnie i Śrubę, aż siedliśmy tego dnia wieczorem i wypiliśmy wszystko. Jednogłośnie orzekliśmy, że Szulc umie robić bimber i jego wyrób jest nawet lepszy niż wódka.

Sprawa z Krzeszowskim skończyła się dopiero w godzinach porannych. Kapitan po całej nocy spędzonej na krześle i bezsilnym dobijaniu się do pracowni był tak wściekły, że chciał wyważać drzwi. Cały czas twierdził, że fotograf jest w środku, ale nie chce otworzyć i nie odbiera telefonów. Ktoś w końcu zadzwonił na kompanię chcąc sprawdzić, gdzie powinien być Szulc, czy przypadkiem nie jest na przepustce. Krzeszowski śmiał się tylko, gdy podoficer dyżurny z szóstej kompanii zameldował mu przez telefon, że jego zdaniem fotograf spał całą noc w swoim łóżku. Kazał mu to sprawdzić, a sam co chwilę wychodził z pokoju i patrzył, czy nikt nie schodzi po schodach z drugiego piętra. Gdy podoficer dyżurny z szóstej kompanii zadzwonił i zameldował, że Szulc jest na kompanii, Krzeszowski na chwilę zaniemówił. Potem kazał fotografowi natychmiast zameldować się u oficera dyżurnego. Ponieważ przez ten czas nadeszło sporo osób, kapitan zaczął się denerwować. Był jeszcze pewny, że Szulc nie może być na swojej kompanii, jeśli wieczorem rozmawiał z nim przez drzwi pracowni i od tamtej pory nie wyszedł. Zaniemówił dopiero, gdy zobaczył fotografa spokojnie idącego do budynku dydaktycznego. Nie odezwał się nawet jednym słowem, gdy ten wszedł do pokoju i zameldował się. Krzeszowski przez chwilę wpatrywał się w niego wzrokiem bazyliszka i wreszcie odzyskując głos i zachowując się jakby doznał olśnienia zapytał:

– Kto jest w twojej pracowni?

– Nikogo nie ma – spokojnie odparł Szulc.

– Tak? No to zobaczymy. Chodź, otworzysz i przekonamy się kto miał rację.

Poszli tam w kilka osób, bo Krzeszowski chciał mieć jak najwięcej świadków. Był z nimi Śluza, który z rozbawieniem opowiedział nam później całą historię. Według niego kapitan dostał nerwowego tiku twarzy, gdy przekonał się, że nikogo w pracowni nie ma. Wyjrzał przez okno i zobaczył ślady jakiegoś samochodu. Zbiegł na dół i długo chodził oglądając je. Potem patrzył w górę i na ścianę. Obszedł cały budynek i wrócił do pokoju oficera dyżurnego. Podparł głowę rękoma i tak siedział.

– Chciałem go pocieszyć – opowiadał Śluza – i mówię: „To z przemęczenia nocnymi służbami", a ten spojrzał na mnie i mówi: „Twoi ludzie mnie załatwili. Są świeże otarcia na ścianie i przy piorunochronie".

Nic się nie odezwałem i wyszedłem, bo co z wariatem gadać.

– Zwariował – potaknął Śruba i na tym rozmowa na razie się skończyła.

Gdy Śluza odszedł trochę od nas, Śruba mrugnął do mnie i powiedział:

– Krzeszowski wszystko odgadł. Stary lis.

Kiwnąłem głową. Też byłem pełen podziwu dla przytomności umysłu kapitana, który przy tak nieoczekiwanym przebiegu zdarzeń domyślił się co zaszło.

Szulca spotkałem po kilku dniach w kawiarni. Jeszcze raz wysłuchałem opowiadania jak Krzeszowski biegał po ciemni i potem naokoło budynku.

– A ten sierżant i chorąży są pewni? Nie wygadają? – zapytał na koniec.

– Coś ty, to faceci na najwyższym poziomie! Nie takie rzeczy robiliśmy i do tej pory nikt nie wie – zapewniłem.

– Pomyślałem, że niepotrzebnie dałem wam bimber. To jakby dowód.

– Nic się nie bój – roześmiałem się. – Po twoim dowodzie nie ma już śladu. Nawet o kacu już zapomnieliśmy. Niepotrzebnie się martwiłeś.

– To dobrze. Jak sobie jakimiś strachami nabiję głowę, to nie mogę spać, tylko martwię się po całych dniach i nocach.

Przez chwilę siedzieliśmy pijąc kawę w milczeniu.

– A jak Krzeszowski? Uspokoił się? – zapytałem.

– On coś knuje. Nic nie mówi, ale widzę, że cały czas mnie obserwuje. Przestałem robić wódkę i pewnie nieprędko zacznę, bo strach.

* * *

Jeszcze raz zerknąłem na moro Szulca. Nosił „falę", z kieszeni wystawał mu kawałek miary krawieckiej. No tak, jemu nikt nie mógł tego zabronić. Kiedy tylko doczekałem się tej pory gdy do końca wojska zostało mi 150 dni, jak cała moja kompania zawiesiłem „falę". Zrobiłem to tak jak inni. Odciąłem od miary krawieckiej kilka ostatnich centymetrów i spinaczem przypiąłem pod spodem klapy nad kieszenią bluzy. Niepisane prawo mówiło, że musi to być lewa górna kieszeń. Wysunąłem spod klapy aktualną cyfrę

czyli 150 i tak wystrojony poszedłem na obiad. Wzruszyłem się, gdy po zjedzonym posiłku usłyszałem szóstą kompanię krzyczącą po uderzeniu łyżką w stół:

– Rezerwie do cywila zostało sto pięćdziesiąt dni!

Nie mogłem tak stuknąć sobie, ani krzyknąć. Siedziałem w części dla kadry, czyli dla zawodowych i groteskowo wyglądałoby, gdybym zaczął krzyczeć ile dni zostało mi do cywila. Zresztą, razem ze mną jadło obiad dwóch chorążych, dowódców plutonu w drugiej kompanii i nie wiedziałem, jaka byłaby ich reakcja. Postanowiłem wtedy na razie poprzestać na noszeniu „fali" bez meldowania. Niestety, nawet to zostało mi odebrane. Gdy Śluza zobaczył, że coś spod mojej kieszeni wystaje, załatwił sprawę krótko.

– W tej chwili to schowaj. Dopóki jesteś u mnie, nie ma mowy o żadnej „fali". Przez cały czas byłeś traktowany jak zawodowy i tak się powinieneś czuć. Nie robiliśmy różnicy między tobą a nami, dlatego nie masz prawa teraz tego podkreślać.

Nic dodać, nic ująć. Schowałem szybciutko do kieszeni to, co wystawało i nie próbowałem więcej nosić „fali". Śluza miał rację. Żaden z „tygrysów" nigdy nie dał mi odczuć, że jestem tylko żołnierzem z poboru, a on zawodowym. Zawsze traktowali mnie na równi ze sobą i Śluza trafił w dziesiątkę mówiąc, że jestem im winny to samo.

Tak się zamyśliłem nad moją „falą", że dopiero za drugim razem udało się Piotrkowi sprowadzić mnie z obłoków do kawiarni.

– Nad czym tak się zastanawiasz? – zapytał, gdy spojrzałem na niego trochę przytomniejszym wzrokiem.

– Nad „falą". Ty nosisz, ja nie noszę. Trochę głupio, gdy chłopaki walą na stołówce i podają cyfry, a ja nie.

– Noszę tylko dlatego, że nocuję na kompanii i czasami chodzę razem z nimi na posiłki. Gdyby nie to, dupy bym sobie nie zawracał. Przecież zostaję jako zawodowy i to tutaj, w jednostce, więc jaki sens ma meldowanie ile dni zostało mi do cywila?

Zaskoczył mnie nowiną, że zostaje w ZOMO jako zawodowy.

– Co będziesz tu robił? – zapytałem.

– Będę fotografem i będę obsługiwał sprzęt w sali kinowej i jakoś będzie.

– Nie lepiej iść do jakiegoś RUSW-u zamiast siedzieć tutaj, w tym bałaganie?

– W RUSW zrobią ze mnie technika kryminalistyki. Będę latał i robił zdjęcia trupom. Nie chcę takiego życia. Tutaj obiecali mi po roku skierowanie do szkoły oficerskiej. Trzy lata i mogę być dowódcą kompanii.

– No tak, masz maturę i średnie wykształcenie – powiedziałem uświadamiając sobie, że na razie nie zrobiłem nic w kierunku pozostania w milicji. Nawet nie zdecydowałem się, gdzie chcę pracować.

Postanowiłem, że to nadrobię w najbliższych dniach i tak się stało. Zostawiłem Szulca w kawiarni i poszedłem do siebie. Około osiemnastej miał przyjść Misiek, żeby ze

mną pobiegać. Chciałem się go poradzić, ale wcześniej przyszedł Baca. Gdy mu się zwierzyłem ze swoich problemów, powiedział.

– A do „tygrysów" do Bielska byś nie kcioł? Wspinackę lubis, góry chyba też?

– A przyjmą mnie? – zapytałem niepewny.

– Z łotwartymi rękami. Przeskolonego „tygrysa"? Przeca to dla nich łokazja tako, ze trudno o drugo lepszo. Dostajom komandosa gotowego do roboty.

– A jak z mieszkaniem? – pytałem dalej zaciekawiony, bo spodobał mi się pomysł pracy i mieszkania w górach.

– Pewnikiem ze dwa lata będzies musioł pomęcyć się na wynajętym, a później coś ci dadzom – powiedział i nad czymś się przez chwilę zastanawiał. – Jak kces, to jutro zadzwonie do kumpla i popytam sie cy majom miejsca i jak z chałupom? – powiedział po chwili namysłu.

Jego dowiadywanie się na drugi dzień wypadło pomyślnie. Inni chłopcy też radzili mi Bielsko-Białą. Tak się też w końcu stało, że na początku października drogą służbową, czyli poprzez Śluzę i dowódcę jednostki, wysłałem do WUSW w Katowicach raport o przeniesienie mnie do Bielska-Białej po odbyciu zasadniczej służby wojskowej. Gdy pokazałem go Śluzie, zauważyłem, że skrzywił się trochę, ale przyjął i zaniósł do dowódcy jednostki.

Na razie jednak przejście do innej jednostki było dla mnie tematem odległym. Po napisaniu raportu przestałem się tym zajmować. Było zresztą sporo wydarzeń, które absorbowały mnie do tego stopnia, że nie miałem czasu zajmować się czym innym. Znowu jednostka przygotowywała się do typowej dla niej roboty. Na szesnastego października zapowiedziano wybory do Rad Narodowych. Oczywiście, już od czternastego wszyscy zawodowi zjechali do jednostki, bo ogłoszono skoszarowanie całej kadry. Lubiłem takie dni, ponieważ cały pluton mieszkał razem ze mną w budynku i było wesoło. Dyżury na wyjazdy alarmowe miały miejsce jak zwykle, ale zupełnie inaczej pracowało się ze świadomością, że w koszarach dwie drużyny tylko czekają, żeby wyrwać się z jednostki. Pomoc była potrzebna bardzo rzadko, ale świadomość, że może dojechać w każdej chwili poprawiała nastrój.

* * *

Szesnastego października, choć od rana czekaliśmy w pełnej gotowości, wszystko przebiegało na razie spokojnie. Zjedliśmy obiad i pokładliśmy się na łóżkach pewni, że dzień minie bez „zakrętów historii". Zasnąłem szybko, jak zwykle po obiedzie zapadając w krótką drzemkę. Obudził mnie jakiś hałas na korytarzu, odgłos kroków i trzask otwieranych i zamykanych drzwi. Zeskoczyłem z łóżka akurat wtedy, gdy drzwi od mojego pokoju otworzyły się. Śruba krzyknął:

– Wyjazd! Nowa Huta!

Złapałem przygotowany wcześniej sprzęt i wyskoczyłem na korytarz. Ustawiliśmy się drużynami. Na korytarz wyszedł Śluza. Policzył wzrokiem czy wszyscy są i krótko wyjaśnił, co się stało.

– Rano do Nowej Huty, pod kościół „Arka" zostały wysłane dwie kompanie ZOMO po cywilnemu z biało-czerwonymi opaskami na rękach. Mieli zapobiec planowanym na ten dzień demonstracjom, namawiać ludzi do zachowania spokoju. Nie wiem kto podjął decyzję, ale efekt jest taki, że osiemnastu chłopaków leży w szpitalu, a część została lżej poturbowana i po opatrzeniu przebywa w jednostce. Tak im ludzie dowalili parasolkami i tym co kto miał pod ręką. Na wieczór szykuje się duża demonstracja i jedziemy jej zapobiec. Pytania? – popatrzył pewny, że nikt pytać nie będzie. – No to do pojazdów.

Wyjechaliśmy przed jednostkę. Nasze UAZ-y i jeden BTR miały stanowić czoło kolumny, za nami ustawiła się reszta samochodów. Ruszyliśmy. W czasie jazdy zastanawiałem się do czego mogą nas użyć, bo jechaliśmy w moro, więc wyciąganie prowodyrów z tłumu raczej odpadało. Zgaga moje wątpliwości skwitował krótko:

– Nie bój się. Będzie dla nas zajęcie. Będziemy pewnie jeździć i rozbijać mniejsze grupy albo blokować ulice.

Na rogatkach Nowej Huty zdarzyła się rzecz, która zapowiadała, że naprawdę będzie wesoło. Widząc jadącą kolumnę kierowca dużego fiata wyjechał z chodnika. Ustawił samochód w poprzek jezdni, wysiadł i pozamykał wszystkie drzwi. Stanął zadowolony na chodniku patrząc jak kolumna zatrzymuje się, a przechodnie biją mu brawo. Chwileczkę staliśmy nim w radiostacji rozległa się komenda Śluzy.

– Szpako! Zgłoś się!

– Jestem! – odpowiedział kierowca BTR-a.

– Usuń przeszkodę! – krótko polecił Śluza.

– Rozkaz! – w głosie Szpaka zagrały ochocze chochlikowo-psotne nutki.

Kierowca fiata musiał mieć nieciekawą minę, gdy zobaczył co wyjeżdża zza UAZ-ów w głębi ulicy. Z tej odległości nie mogłem zobaczyć jego twarzy. Widziałem tylko jak podbiegł do samochodu, ale Szpako zaryczał silnikiem na wysokich obrotach i momentalnie znalazł się przy fiacie. Właściciel ledwo zdążył odskoczyć, gdy BTR z impetem uderzył w samochód. Gniotąc pchał go przed sobą przez jakiś czas i dopiero po chwili skręcił spychając kupę złomu na chodnik. Ruszyliśmy mijając po drodze wrak samochodu i stojącego przy nim mężczyznę. Wyglądał jakby dopiero teraz przeraził się tym, co się stało. Tyle osiągnął przez swój heroiczny wyczyn, że opóźnił nasz przejazd o kilka chwil i stracił samochód. Ciąg dalszy mogłem sobie wyobrazić. Kolegium za tamowanie ruchu, żadnych szans na odszkodowanie i długie przesłuchania. Oczywiście będzie miał stały nadzór bezpieki „umilającej" mu życie na wszelkie możliwe sposoby.

Już bez przeszkód dotarliśmy w okolice „Arki". Na placu zebrało się sporo ludzi, ale chyba jeszcze nie wszyscy. Śluza gdzieś pojechał, pewnie na jakąś naradę, a my zostaliśmy w samochodach. Patrzyłem jak ludzie spokojnie przechodzą obok nas kierując się na plac. Czasami tylko jakiś młody chłopak krzyknął z bezpiecznej odległości: „Gestapo" i pogroził nam pięścią.

– Po co pozwalać im gromadzić się? Nie lepiej wjechać teraz i rozpieprzyć, póki jeszcze jest ich mało? – zapytałem Śrubę.

– O tym decydują na górze. Może chcą dowalić równo i czekają aż się zbiorą wszyscy? Żeby później nie gromadzili się gdzie indziej.

– Na pewno nie ma komu podjąć decyzji. Zanim zdecydują się na użycie ZOMO, tłum dawno się zbierze i nie ma nad czym dumać, tylko trzeba młócić – zaśmiał się Misiek.

– Spadaj – odezwał się do niego Zgaga znowu nie w humorze.

Jego nastroju nie poprawił powrót Śluzy, a raczej chyba pogorszył.

Okazało się, że na razie nie wchodzimy do akcji, a jako złą nowinę przekazał nam, że prezydent miasta nie dał zgody na użycie środków chemicznych. W związku z tym ZOMO, które za kilka minut ruszy do rozpraszania, będzie miało do dyspozycji tylko armatki wodne i pały.

– Na szczęście całymi działaniami dowodzi kapitan Korzeniowski z Katowic, więc powinno być wesoło. Już w tej chwili dowódcy po cichu przekazują swoim chłopakom, żeby wzięli ze sobą gazy łzawiące. Ma to być niby samowolne działanie pojedynczych zomowców i granaty mają być odpalane ręcznie bez użycia wyrzutni. Wszystko po to, żeby na taką właśnie samowolę wyglądało – powiedział śmiejąc się Śluza.

Siedzieliśmy czekając na dalszy rozwój wypadków. Śluza poszedł do swojego UAZ-a i zaraz potem dobiegł nas głos Korzeniowskiego, trochę zniekształcony przez potężne megafony, z których się wydobywał:

– Dzień dobry państwu! Wita państwa ZOMO Katowice! W związku z tym, że wasze zgromadzenie jest nielegalne macie piętnaście minut czasu na rozejście się!

Chwilę siedzieliśmy w ciszy zaskoczeni. Pierwszy roześmiał się Misiek, a później dołączyliśmy do niego my.

– Jakby w cyrku ktoś zapowiadał występy słoni – powiedziałem do Zgagi.

– Korzeniowski zawsze takie numery lubił, ale dzisiaj chyba przejdzie samego siebie – odpowiedział mi.

– Tam jest kilka tysięcy ludzi – odezwał się Baca – żeby nie wiem jak chcieli, w ciągu piętnastu minut się nie rozejdą.

Czekałem z ciekawością co będzie dalej. Zgodnie z przepisami dowodzący działaniami powinien trzykrotnie wezwać zgromadzonych do rozejścia się i dopiero zacząć cokolwiek robić. Ciekawy byłem jak to zrobi Korzeniowski. No i zrobił! Oczywiście po swoje-

mu i w stylu poprzedniego wezwania. Po upływie piętnastu minut najpierw w megafonach coś chrząknęło, a później rozległ się jego głos:

– Ponieważ mam obowiązek wezwać was trzykrotnie do rozejścia się wzywam was po raz drugi i po raz trzeci! – na chwilę zawiesił głos i krzyknął: – Z pojazdów!

To ostatnie polecenie było skierowane oczywiście do ZOMO, a nie do tłumu, ale specjalnie, dla lepszego efektu zostało podane przez głośniki.

Z samochodów wysypali się chłopcy i stanęli kompaniami gotowi do działania. Korzeniowski przez radiostację rozkazał wejść na plac. Z marszu przeszli do biegu i zaczęło się pałowanie. Ludzie przyzwyczajeni byli chyba do tego, jak zawsze postępowało ZOMO z Krakowa, czyli marsz w szyku, uderzanie pałkami o tarcze i cała tzw. psychologia. Katowickie ZOMO zastosowało inną taktykę. Bieg prawie bez żadnego szyku, zderzenie z tłumem i pałowanie. Do tego dołączyły się armatki wodne i gaz łzawiący z granatów. Większej „psychologii" nie było trzeba. Ludzie rzucili się do ucieczki, a ZOMO „jechało" na plecach ostatnich, tłukąc ile sił. Powstał wielki tumult i rejwach i w tym zamęcie przez megafony zagrzmiał spokojny głos Korzeniowskiego.

– Proszę nie stawiać oporu, tylko opuścić teren.

Nie mogliśmy czekać na koniec pogromu, bo Śluza krzyknął przez radiostację.

– Ruszajcie za mną! Część manifestacji zebrała się pod Komitetem Partii. Na razie stoją spokojnie, ale nie można pozwolić, żeby dochodzili do nich nowi. Musimy ich zatrzymać przynajmniej do czasu, kiedy Korzeniowski przerzuci ze dwie kompanie.'

Przemknęliśmy przez kilka ulic i zobaczyłem spory tłumek idący ulicą. Jechaliśmy naprzeciw nim.

– Zatrzymujemy się i blokujemy przejście – odezwał się Śluza w radiostacji.

Część UAZ-ów zmieściła się na szerokości ulicy i chodników. Z tyłu stanął BTR i pozostałe. Śluza włączył nagłośnienie w swoim UAZ-ie. Pisk głośnika sprawił, że ludzie zawahali się i zwolnili kroku.

– Manifestanci! Tą ulicą nie przejdziecie! Cofnijcie się i rozejdźcie do domów. Tu Milicja Obywatelska! W przypadku oporu użyjemy środków przymusu.

W porównaniu z kabaretowym wystąpieniem Korzeniowskiego wezwanie Śluzy zabrzmiało mocno, poważnie i urzędowo. Ludzie potraktowali je jednak tak samo, jak tamto, czyli szli spokojnie dalej. Kilka kamieni rzuconych w naszą stronę to przecież żadna reakcja. Zwłaszcza, że odległość była na tyle duża, że żaden nie doleciał. Wtedy stało się coś, czego nie przewidywałem i co zaskoczyło idący na nas tłumek. Taki zresztą miało cel. Otóż dwa UAZ-y, jeden dowodzony przez Śluzę, a drugi przez Białego ruszyły gwałtownie w kierunku ludzi. Po przejechaniu połowy odległości zatrzymały się. Zobaczyłem jak w obu otwierają się drzwi. Na jezdnię wyskoczyli Biały i Śluza ze strzelbami myśliwskimi w rękach. Huknęły dwa strzały i dwie osoby z pierwszego rzędu upadły na ulicę. Jedna trzymała się za brzuch, a druga za twarz. Ludzie stanęli przerażeni i zaczęli się co-

fać. Jeden z tych, którzy upadli, ten trzymający się za twarz próbował wstać, ale broń Śluzy bluznęła ogniem i ponownie osunął się na ziemię.

Ten strzał przesądził sprawę, ludzie nie czekając na dalsze strzały zaczęli uciekać. Samochody Śluzy i Białego podjechały do leżących. Chłopcy szybko wyskoczyli i zabrali ich do samochodów.

Siedziałem odrętwiały po tym, co zobaczyłem. W głowie szumiały mi wciąż dwa słowa, które nie wiadomo skąd się przyplątały. Coś powtarzało „Drugi Wujek", „Drugi Wujek" i nie mogłem w żaden sposób tego powstrzymać ani pozbyć się.

– Te gumowe „bąki" robią jednak wrażenie – odezwał się Śruba.

Coś mi zaświtało w głowie. Bąki, bąki – myślałem szybko. Jasne! Gumowe pociski obezwładniające wystrzeliwane z dubeltówek. Jak mogłem o nich zapomnieć i dać się nabrać na efekt? ! Roześmiałem się głośno, bo tak mocno mi ulżyło. Chłopaki w UAZ-ie popatrzyli na mnie jak na wariata.

– Nic! Nic! – powiedziałem. – Nabrałem się i dopiero teraz załapałem, że to gumiaki były w robocie.

Zobaczyłem, że uśmiechają się ze zrozumieniem. Samochody strzelców wróciły do szyku, ale był on już niepotrzebny. Ulica opustoszała i po dwudziestu minutach zjechaliśmy na bok, żeby czekać na dalsze dyspozycje. W pewnej chwili usłyszałem sygnały wielu samochodów. Myślałem początkowo, że to milicja, ale ponieważ słychać było tylko słabsze sygnały montowane na mniejszych samochodach zrozumiałem, że to karetki zwożące poturbowanych spod „Arki". Jedna nyska podjechała też naszą uliczką i zatrzymała się niezdecydowana. UAZ Śluzy błysnął jej światłami i podjechała do nich. Obaj postrzeleni chodzący już o własnych siłach przesiedli się szybko i karetka odjechała.

– Wracamy na plac – powiedział przez radiostację Śluza i ruszyliśmy.

Pod „Arką" było już pusto, jeśli nie brać pod uwagę zomowskich samochodów stojących tak jak były zaparkowane przed naszym odjazdem. Do nich powoli schodzili się grupkami milicjanci wracający z pogoni za resztkami tłumu. Dowiedzieliśmy się, że Korzeniowskiemu nie udało się utrzymać chłopaków w granicach placu. Pobiegli za tłumem w uliczki i tam dali tak ludziom popalić, że karetki naprawdę miały dużo roboty. Nic dziwnego. Takie właśnie było katowickie ZOMO. Raz spuszczone ze smyczy nieprędko dawało się opanować. Wystarczyło, że postaliśmy parę minut przy placu, a już łzy same zaczęły płynąć nam z oczu i duszący dym chwycił za gardło. Musieli chłopcy nieźle poszaleć z granatami, jeśli takie było stężenie gazu do tej pory. Pomyślałem wtedy, że władze Krakowa na drugi raz długo będą się zastanawiały nim zaproszą ZOMO z Katowic do pomocy. Zakaz używania środków chemicznych był tak przestrzegany, że ludzie jeszcze przez tydzień będą chodzili po Nowej Hucie z mokrymi chusteczkami przy nosach.

Myślałem, że pojedziemy zaraz z powrotem. Przyjechali, rozpieprzyli i pojechali – takie działania by mi odpowiadały. Niestety, każda akcja milicji składała się w pięćdziesięciu procentach z czekania. Siedziało się bezczynnie zawsze albo przed, albo po robocie. A czasami i przed, i po. Teraz też tak było. Po dziewiętnastej przywieźli nam kolację. Po kawałku kiełbasy, dwie bułki i herbatę w termosach. Do tego wszystkiego całe kosze pomarańczy. Tak byliśmy zaskoczeni tymi owocami, że w niektórych samochodach kosz stał i chłopcy bali się poczęstować. Śluza przekazał nam, że odjedziemy dopiero po dwudziestej pierwszej, więc usadowiłem się wygodnie i trochę drzemałem.

Obudził mnie Zgaga szturchając w bok.

– Zobacz jakie pajace – wskazał ręką na dwóch poważnie i dostojnie wyglądających mężczyzn.

Chodzili między samochodami i ściskali ręce napotkanym zomowcom. Przy niektórych zatrzymywali się, klepali po plecach i przez chwilę rozmawiali.

– Co to za cudaki? – zapytałem.

– Pierwszy sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR z Krakowa i pierwszy sekretarz z Nowej Huty. Byłem przy tym jak podeszli do Śluzy. Było tylko: „Dziękujemy, towarzysze. Jesteśmy wdzięczni za pomoc, towarzysze". Aż mdło się robiło – powiedział Śluza stojący przy otwartych drzwiach samochodu.

Przez chwilę patrzył jeszcze na nich jak wędrują i dodał:

– Jak im strach w oczy zajrzał, to nawet przylecieli podziękować za pomoc. Na co dzień to cię nawet do jego sekretarki nie dopuszczą, tylko usłyszysz, że towarzysz sekretarz nie ma czasu albo wyjechał na naradę.

– Te pomarańcze to też podobno nie od milicjantów, tylko od organizacji partyjnych – wtrącił się Zgaga.

Przyglądałem się chwilę obu partyjniakom. Nieczęsto mogłem ich zobaczyć normalnie chodzących po ulicy. Moje dotychczasowe spotkania z nimi ograniczały się do jednego scenariusza: Oni stali na trybunie, np. 1 maja, a ja patrzyłem z dołu. Nigdy nie widziałem ich z bliska. Jedynie w trakcie ślubowania przez chwilę stałem koło nich, no i widziałem ich teraz.

– Ten, który wysłał rano ZOMO po cywilnemu oczywiście tutaj się nie pokaże – powiedział Misiek i po chwili dodał: – Mam nadzieję, że dobiorą mu się za ten pomysł do dupy. Przecież tylu chłopaków jest rannych i leży w szpitalu.

– Przeniosą go na inne „odpowiedzialne" stanowisko i tyle – skwitował Zgaga.

Usadowiłem się wygodnie próbując się zdrzemnąć. Tego dnia miałem podły nastrój. Najpierw przerażenie, że Śluza z Białym zabijają ludzi, teraz obrzydzenie, gdy popatrzyłem na sekretarzy. Za czyjąś głupotę cierpią teraz w szpitalu chłopcy tacy sami jak ja. Podsumowując te uczucia i przeżycia miałem wrażenie, że to jest zomowsko-partyjna, obrzydliwa niestrawna papka. Ze strachem pomyślałem, że taką papką będę karmił się

do końca życia, jeśli zostanę zawodowym gliniarzem. Jedynym pocieszeniem było to, że w Bielsku- Białej takich manifestacji jak w Katowicach i Krakowie nie będzie. Miałem nadzieję, że w górach będzie spokojniej.

* * *

Kilka dni po wyborach do Rad Narodowych było trochę spokojniejszych. Udało mi się nawet wyskoczyć na dwa dni do domu. Iza była zadowolona z mojej decyzji, gdy jej powiedziałem, gdzie będę pracował. Tak naprawdę chyba było jej obojętne, gdzie to będzie, byleby nastąpiło jak najszybciej. Niestety, czekały mnie jeszcze dwa miesiące służby i miesiąc urlopu w domu. Dopiero od pierwszego lutego będę mógł powiedzieć, że jestem funkcjonariuszem zawodowym po wojsku.

Szybko jednak musiałem zapomnieć o tym, że niedługo kończę służbę. Wyjechaliśmy na pięć dni na skałki. Tym razem jednak pojechał z nami instruktor z Krakowa. Oprócz tego, że pokazał nam kilka ciekawych sposobów radzenia sobie ze ścianą, ten wyjazd miał jeszcze jedną zaletę. Obecność człowieka z zewnątrz, spoza plutonu spowodowała, że ćwiczyliśmy całe dnie. Wieczorami, o dziwo, obyło się bez wódki i ognisk. Jedynie na zakończenie trochę sobie pozwoliliśmy, wypijając niewiele, bo po ćwiartce na głowę.

Ten obóz był ważny dla mnie jeszcze z innego względu. Śluza zaczął rozmowy ze mną na temat tego, co planuję dalej robić w życiu. Próbował mnie przekonać, żebym został jako zawodowy w Katowicach. Wychwalał mnie. Nic tym jednak nie zyskał. Moja decyzja o odejściu z Katowic była nieodwołalna. Widząc, że nie uda się mnie przekonać, Śluza zły, z satysfakcją w głosie poinformował mnie, że w plutonie będę tylko do pierwszego grudnia. Od tego dnia przyjmuje pięciu nowych i nie będzie dla mnie miejsca. Oczywiście dodał, że jeśli bym się zdecydował na pozostanie w plutonie to przyjmie czterech i w plutonie pozostanę do końca służby. Jeśli chciał mnie w ten sposób nakłonić do pozostania u niego, to bardzo się pomylił. Wizja spędzenia ostatniego miesiąca służby w mojej kompanii wprawiła mnie w tak dobry nastrój, że chyba uściskałbym Śluzę w podzięce, gdyby nie złośliwa satysfakcja w głosie, z jaką informował mnie o tym.

Z kompanii dochodziły coraz ciekawsze wieści. Im mniej dni pozostało do końca służby, tym więcej chłopcy broili i więcej pili. Nowy dowódca kompanii prawie się do nie wtrącał, więc robili co chcieli. A co będzie, gdy do końca służby zostanie tylko kilka dni?

Najbardziej ucieszyło mnie to, że w końcu będę mógł nosić „falę" i meldować w stołówce ile pozostało dni do cywila. Chociaż przez ostatni miesiąc będę mógł pożyć jak prawdziwy rezerwista. To, że później zostawałem jako zawodowy funkcjonariusz w milicji nie miało dla mnie żadnego znaczenia.

Na razie jednak miałem przed sobą jeszcze miesiąc pracy wśród „tygrysów" i wiedziałem, że Śluza nie będzie mnie oszczędzał. Przekonałem się o tym zaraz po powrocie

z gór. Okazało się, że dowódcy drużyn w trakcie dyżurów mają mnie brać na akcje – obojętnie, czy moja drużyna ma dyżur, czy nie. Pozostawił im jednak furtkę stwierdzając, że mam uczestniczyć w akcjach wtedy gdy zachodzi potrzeba wzmocnienia drużyny. Obaj dowódcy drużyn, czyli Biały i Jajco nie skorzystali z tej możliwości ani razu. Nie dziwiło mnie to. Każda drużyna miała własny styl i najlepiej jej się pracowało bez jakichkolwiek ludzi z zewnątrz.

* * *

Po kilku spokojniejszych dniach listopada nastąpił dla plutonu okres ciężkiej pracy. Co trzecią noc na zmianę każda drużyna po kolei jechała na zasadzkę do Zebrzydowic. Oprócz tego były normalne dyżury i trzeba było choć trochę poćwiczyć, żeby nie stracić formy. Krótko mówiąc, było ciężko. Nasze protesty, że w zasadzce mieli siedzieć miejscowi, a my w pewnej odległości jako grupa do zatrzymania, Śluza zgasił krótko:

– Miejscowi nawet nie mogą się domyślać, że coś robimy.

Siedzieliśmy więc co noc wyposażeni w noktowizory i obserwowaliśmy pociągi zatrzymujące się pod semaforem w drodze do przejścia granicznego w Zebrzydowicach. Mieliśmy zwracać szczególną uwagę na pociągi wiozące maluchy czyli fiaty 126p. Pod tym właśnie semaforem samochody były okradane z kluczy, apteczek, kół zapasowych, wycieraczek, akumulatorów i wszystkiego, co dało się szybko wyjąć.

Pierwszej nocy doszedłem do wniosku, że lepszego miejsca do kradzieży złodzieje nie mogli sobie wybrać. Teren niezamieszkany. Krzaki i kępy drzew. W dodatku tory biegły w dolince i co noc kładła się mgła, utrudniając obserwację i przynosząc nieprzyjemne oblepiające zimno. Dźwięk w tych warunkach nie rozchodził się normalnie. Za każdym razem, gdy zbliżał się pociąg, miałem wrażenie, że jedzie prosto na mnie albo nadjeżdża z kierunku przeciwnego niż w rzeczywistości.

Siedziałem w kępie gęstych krzaków poprzerastanych jeżynami. Przede mną były tory, a z lewej strony semafor. Naprzeciwko za nasypem i po bokach siedzieli chłopcy, jak ja ukryci w pewnej odległości od torów. Przyjeżdżaliśmy do odległego o ponad kilometr lasu i tam czekaliśmy aż się ściemni. Dopiero wtedy, w miarę możliwości bezszelestnie, każdy na własną rękę docierał na swoją pozycję. Za każdym razem niosłem w jedną i w drugą stronę solidny kawał grubej deski, żeby mieć na czym usiąść, bo ziemia była wilgotna. Zostawiać swojego siedziska nie chciałem, bo przez noc deska nasiąkała wilgocią i pozostawiona w krzakach nie wyschłaby. Zabierałem ją do jednostki, gdzie schła przez dwa dni, by trzeciego znowu zawędrować ze mną do lasu i nasiąknąć wodą. Po piątej nocy spędzonej w krzakach byłem już prawie pewny, że siedzimy na darmo, a złodzieje przenieśli się gdzie indziej. Zachowywaliśmy się tak cicho i ostrożnie, że w nocy wzdłuż torów często przechodziły zające, a raz powoli przeczłapał borsuk. Złodzieje nie mogli nas zauważyć, więc dlaczego nie przychodzili?

Śluza zebrawszy cały pluton wygłosił krótką przemowę:

– Wiem, że wysiedzieliście się w tych krzakach dostatecznie długo, ale nic nie idzie na darmo. Znacie teren i będzie wam łatwiej działać. Dzisiaj w nocy jedziemy całym składem. Chłopcy z WUSW mają informację, że dzisiaj właśnie na dziewięćdziesiąt dziewięć procent będzie obrabiany transport. Mają to być maluchy. Jeśli informacja się potwierdzi, będzie do zatrzymania osiem osób. Sześć na miejscu i dwie później. Macie działać ostro i uważać na siebie. Złodzieje prawie na pewno będą uzbrojeni. Siedzicie po obu stronach nasypu, więc ostrożnie z użyciem broni. Sygnałem do zatrzymania będzie biała raca.

Potem przez godzinę trwało ustalanie kto w jakim miejscu będzie siedział. Miało nas być trzy razy więcej niż zwykle, więc trochę potrwało zanim ustaliliśmy wszystko. Przespałem się dwie godziny i ruszyliśmy. W lesie przeczekaliśmy aż się ściemni i grupkami zaczęliśmy przemykać się do torowiska i w dolinkę. Miejsce, w którym miałem siedzieć, na szczęście nie zmieniło się. Razem ze mną miał być Bolek z trzeciej i Mruk z drugiej drużyny. Dotarliśmy bez przeszkód. Wyciągnąłem spod bluzy swoją deskę i okazało się, że Bolek ma podobną. Mruk zaskoczył nas obu, bo wyciągnął spod gałęzi pobliskiego krzaka kawał opony.

Urządził się najlepiej, bo opona nie ciągnęła wody i nie musiał jej suszyć. Mógł schować ją w krzakach bez żadnego ryzyka i nie dźwigał za każdym razem. Inna sprawa, że mógł nam powiedzieć o swoim wynalazku, wtedy nie dźwigalibyśmy desek. Należało się skoncentrować na tym, co nas czekało. Do jedenastej w nocy nic się nie działo. Wtem usłyszeliśmy prawie równocześnie, że przez las jedzie wóz konny. Minął nas w odległości dwudziestu metrów i z łatwością mogłem zobaczyć, że jedzie nim sześciu mężczyzn ubranych w ciemne stroje. Nawet noktowizor był niepotrzebny. Gdy odjechali ze sto metrów, zatrzymali się i pozsiadali z wozu. Znajdowali się bardzo blisko grupy, w której był Śruba. Niestety, nawet za pomocą noktowizora nie mogłem zobaczyć dokładnie, co się tam dzieje. Mgła jak zwykle oblepiała wszystko utrudniając widoczność.

Dopiero po pewnym czasie przeszło koło nas trzech ludzi. Jeden usiadł przy torowisku prawie naprzeciwko nas, a dwóch poszło dalej.

– Rozstawiają się wzdłuż torów, żeby zrobić jak najwięcej wagonów – szepnął mi cichutko do ucha Mruk.

Kiwnąłem głową, że ma rację, ale pomyślałem: „Nie mrucz, Mruku, bo spieprzysz sprawę".

Czekaliśmy cierpliwie i mężczyzna siedzący na kamieniach nasypu robił to samo. Zapalił papierosa i wśród mgły rozsnuł się zapach dymu tytoniowego. Zawsze, gdy w zasadzce wywąchałem dym z papierosa dziwiłem się, że tak mocno pachnie. Gdy sam paliłem, wydawał się prawie niewyczuwalny.

Nastawiłem uszu, bo wydawało mi się, że z daleko słyszę stukot nadjeżdżającego pociągu. Mimo natężania uwagi nie mogłem się zdecydować, czy naprawdę słyszałem stukot, czy mgła znowu mnie oszukała.

Pociąg nadjechał tak nagle, że wyglądało jakby wynurzył się z tunelu. Bolek, który albo drzemał, albo po prostu zamyślił się, drgnął zaskoczony nagłym stukotem i zbliżającym się światłem. Przez chwilę wydawało mi się, że człowiek siedzący na nasypie ma na sobie jakiś mundur. Coś pośredniego między mundurem kolejarskim a wojskowym. Zlekceważyłem to jednak.

Pociąg zatrzymał się tak jak przewidywałem. Był to ten na który czekaliśmy, czyli wiozący fiaty 126p. Człowiek z nasypu szybko wskoczył na platformę, rozległ się huk wybijanej szyby i po chwili w krzaki potoczyło się koło i po nasypie zaczęły grzechotać wyrzucane inne przedmioty. Potem znowu huk, koło i kilka drobniejszych rzeczy. Widziałem tylko sylwetkę poruszającą się od samochodu do samochodu. Odbezpieczyłem kałasznikowa słysząc, że Mruk i Bolek robią to samo. Śluza wciąż nie dawał sygnału do rozpoczęcia akcji. Najbardziej dziwił mnie długi postój. Pociągi, które dotychczas obserwowałem, zatrzymywały się na krótko i ruszały zaraz w dalszą drogę. Ten stał dziesięć razy dłużej i nie zanosiło się na to, żeby zamierzał odjechać. W końcu lekko drgnął i zaczął powoli ruszać. Mężczyzna zeskoczył i zaczął spokojnie zbierać porozrzucane przedmioty. Znosił je w jedno miejsce, na trawę pod sporym krzakiem. Gdy niósł dwa koła, z tyłu za mną huknął strzał i w niebo poszybowała biała raca, oświetlając teren.

Mężczyzna rzucił koła i zaczął biec wzdłuż torów. Musiał przebiegać obok nas. Gdy znajdował się tuż, tuż, wyskoczyłem z krzaków, krzyknąłem: „Stój! Milicja!" i zacząłem biec w jego kierunku. Stanął jak wryty i zaczął grzebać przy biodrze. Ledwie mignęła mi myśl, że może sięgać po broń, gdy padł strzał. Nie słyszałem go, bo prawie cały czas ktoś grzmocił wystrzeliwując kolejne race. Strzał musiał zlać się z jednym z grzmotnięć. Zobaczyłem błysk ognia z lufy i rzuciłem się szczupakiem w krzaki. Chwilę później z tyłu zastukała seria i ten, który strzelał do mnie, wrzeszcząc upadł. Leżąc wziąłem go na muszkę i patrzyłem jak krzyczy i zwija się z bólu na trawie trzymając się za nogi. Usłyszałem gdzieś niedaleko ciche puk, puk z pistoletu i następną serię z kałacha.

Poruszyłem rękoma, nogami, wciągnąłem powietrze w płuca… Nic. Chyba nie oberwałem?

– Odrzuć broń, bo cię dobiję! – krzyknął Bolek z krzaków, mierząc z karabinka do nadal wrzeszczącego mężczyzny.

– Odrzuciłem! – zawołał ranny i rzeczywiście w naszą stronę poszybował jakiś ciemny kształt.

Powoli podeszliśmy trzymając go cały czas na muszce. Znowu wrzeszczał i wił się z bólu trzymając za nogi. Mruk odnalazł pistolet, obszukał faceta i obejrzał jego rany.

– O kurwa! – wyrwało się Bolkowi gdy zobaczył na spodniach krew i dziury po kulach na wysokości kolan.

Zaniemówiłem z wrażenia, gdy zobaczyłem w co ubrany jest ten „złodziej". To, co wydawało mi się złudzeniem, okazało się prawdziwe. To rzeczywiście był uniform pośredni między kolejarskim i wojskowym, czyli mundur Służby Ochrony Kolei. Albo tak się przebrał na robotę, albo to naprawdę sokista – pomyślałem. Mruk tymczasem rozpruł nożem nogawki spodni i zakładał prowizoryczny opatrunek, aby zatamować upływ krwi. Mężczyzna krzyknął jeszcze głośniej z bólu i zemdlał.

– No, nareszcie – powiedział Bolek. – Już mnie zaczynał wkurwiać tym wrzaskiem.

– To naprawdę sokista czy przebieraniec? Jak myślicie? – zapytałem.

– Myślę, że naprawdę – powiedział Mruk i po chwili dodał: – A ty nie dostałeś?

– Chyba nie. Przynajmniej na razie nie czuję.

– To dobrze. Jego też mamy chwilowo z głowy.

Chwilę wsłuchiwaliśmy się w to, co działo się w lesie. Race pospadały i było ciemno. Chyba było po wszystkim, bo jedyne dźwięki, jakie do nas doszły, to odgłosy kroków, a raczej chrustu pękającego pod czyimiś stopami i rozmowy gdzieś niedaleko.

– Gdzie dostał? – zapytał Bolek.

– W kolana. Chyba już nigdy nie będzie chodził, ale dobrze mu tak – odpowiedział Mruk.

– Chciałem trafić w nogi, ale nie w kolana. Szkoda chłopa.

– Kogo szkoda? Niewiele brakowało, a ustrzeliłby mnie jak kaczkę. Kawał skurwysyna, a ty go żałujesz? – powiedziałem do Bolka.

Po chwili podszedł do nas Śruba. Popatrzył co się stało, podał przez radio, że jest jeszcze jeden poważnie ranny i poszedł dalej. Niedługo w lesie zamajaczyły światła samochodów. Przenieśliśmy naszego nieprzytomnego bliżej, a Strąk – snajper z trzeciej drużyny razem z Korbą i z Dyziem przynieśli jeszcze jednego. Dostał w brzuch i stracił przytomność. Powoli chłopcy przyprowadzili pozostałych zatrzymanych. Razem z rannymi było ich sześciu. Śluza spisał dane czterech zatrzymanych. Oprócz naszego sokisty był jeszcze jeden w takim samym mundurze i trzech kolejarzy. Jedynym ubranym po cywilnemu był ten, który leżał postrzelony w brzuch. Obok mnie stał Dyzio, więc go zapytałem:

– Czy tylko wy zatrzymaliście cywila, a reszta to towarzystwo mundurowe?

Popatrzył na mnie nieobecnym wzrokiem.

– Nasz to nie cywil, ale milicjant… z Komisariatu Kolejowego. Sierżant, a wywalił do nas cały magazynek nim go Strąk uciszył.

– Skąd wiesz?

– Legitymację miał przy sobie.

– Jasna cholera, ładne towarzystwo! – wyrwało mi się i odszedłem do Zgagi i Miśka siedzących w naszym UAZ-ie.

Wsiadłem do samochodu i siedziałem przez chwilę nie odzywając się. Chłopcy też wszyscy milczeli. Pewnie już wiedzieli, że jeden z zatrzymanych to milicjant. Przyjechały dwie karetki i zabrały rannych. Siedzieliśmy czekając sam nie wiem na co. Okazało się, że na ekipy z rejonówki i komendy wojewódzkiej, które zaczęły oględziny i zbieranie porozrzucanego łupu. Pokazywaliśmy, gdzie który z nas siedział w zasadzce i gdzie po niej przemieszczał się. Musiałem pokazać którędy biegłem i gdzie upadłem w krzaki po strzale.

Potem Śluza zebrał wszystkich w jednym miejscu. Obok stał chudy, niepozorny człowiek ubrany w czarną, skórzaną kurtkę.

– Towarzysz Naczelnik Wydziału Kryminalnego WUSW pułkownik Jaworski chce wam powiedzieć kilka słów – powiedział nasz dowódca i cofnął się.

– Chciałem towarzyszom podziękować na wzorowe wykonanie roboty. Wiem, że było wam ciężko przez te dwa tygodnie, ale tak musiało być. O tej grupie mieliśmy luźne sygnały już od roku. Jednak dopiero ostatnio udało nam się podstawić im naszego informatora, ale bez waszej pomocy i tak nic byśmy nie osiągnęli. W tej chwili ludzie z mojego Wydziału zdejmują dyżurnego z SOK i dyżurnego ruchu. Jak się pewnie zorientowaliście, pociąg był specjalnie przetrzymany pod semaforem. Na razie wiem o tych osobach, ale liczę na to, że po przesłuchaniach będą następne aresztowania. Jeszcze raz dziękuję.

Podszedł do nas i każdemu po kolei ścisnął rękę.

Wracaliśmy do jednostki w milczeniu ponurzy jak noc. Chyba każdy zastanawiał się, dlaczego milicjant został złodziejem w zorganizowanej grupie. Moim zdaniem, to nie tylko chęć zysku, ale po prostu charakter. Gdyby facet był pazerny na pieniądze, to pchałby się do ruchu drogowego, a nie na komisariat kolejowy.

W jednostce moje myśli i rozterki krótko wyraził Śruba, przebierając się w cywilne ciuchy:

– Ładnie się dzieje. Milicjanci do milicjantów strzelają. Do czego to, kurwa, jeszcze dojdzie? Będziemy się napierdalać ZOMO kontra ZOMO albo co innego?

Chłopcy rozjechali się do domów, a ja jeszcze długo przewracałem się na łóżku nie mogąc zasnąć od natłoku myśli. Decyzja o pozostaniu w milicji budziła moje wątpliwości i nie mogłem sobie dać rady z tym wszystkim.

Śluza mówił, że w WUSW są z nas tak zadowoleni, że gdy go widzą, to tylko chwalą, klepią po plecach, nie goniąc do roboty. Okazało się, że musieli być rzeczywiście bardzo z nas zadowoleni, bo po kilku dniach dostaliśmy po pięć tysięcy premii. Ucieszyły mnie te pieniądze bo martwiłem się już, że nie będę miał za co postawić chłopakom pożegnalnej wódki. Chciałem to zrobić ostatniego dnia pracy w plutonie, tzn. trzydziestego listopada. Nic z tego nie wyszło. Dzień wcześniej pojechali na szkolenie do Warszawy i w jednostce została tylko druga drużyna, z którą najmniej miałem do czynienia. Nie było

lo sensu stawiać wódki. Obiecywałem sobie, że zrobię to za parę dni. Okazało się jednak, że co odłożone to nie zrobione. Nigdy nie postawiłem pożegnalnej wódki chłopakom z plutonu specjalnego.

* * *

Pozdawałem sprzęt i bez pożegnania przeniosłem się do szóstej kompanii. Dyżur miał chorąży Baca i jemu zameldowałem swój powrót. Wpisał mnie do dokumentów i odesłał do Oborniaka. Szef kompanii ucieszył się, gdy mnie zobaczył. Zupełnie nie wiedziałem dlaczego. Razem ze mną przeniósł wolne łóżko do mojej dawnej sali. Chłopcy byli na służbie, więc spokojnie rozpakowałem się. Moje zdziwienie wzbudził brak zamka w drzwiach i wszechogarniający brud: na sali, na korytarzu, w łazience. Widać było, że sprzątać nie ma komu. Na środku sali było wiadro do połowy napełnione wodą. Pływało w nim chyba z pół setki petów. Była to zbiorowa popielniczka. Zamiast gasić papierosa normalnie, prościej było rzucić z łóżka do wiadra. Popiół, jak mogłem się przekonać, strzepywało się na podłogę. Było go sporo, ale widocznie nie tyle, żeby ktoś pozamiatał. I pomyśleć, że kiedyś można było palić jedynie w palarni. Idąc korytarzem do łazienki zobaczyłem, że w jednej z sal nie ma drzwi. Z korytarza widać było wnętrze pokoju. Z ciekawości sprawdziłem drzwi innych sal. Moje podejrzenia potwierdziły się. W żadnym pokoju nie było zamków ani klamek. Po prostu ktoś je wymontował pozostawiając w drzwiach dziurę. Jedynie drzwi pomieszczeń kadry wyposażone były w zamknięcia.

Wtedy pierwszy raz moja dawna kompania skojarzyła mi się z domem wariatów. Niestety, drzwi bez klamek były jedynie skromną zapowiedzią tego, co zobaczyłem później.

W południe na kompanii pojawił się dowódca, czyli starszy szpakowaty pan, który przyszedł na miejsce „Capa". Oborniak zaprowadził mnie do niego. Szoku doznałem już przy wejściu. Szef ledwo zapukał w drzwi i już wszedł do środka nie czekając na zaproszenie. Zamiast meldować powiedział po prostu do siedzącego za biurkiem kapitana:

– To ten chłopak, który miał wrócić od „tygrysów". Już go wciągnąłem, dowódco, na stan kompanii. Łóżko i pościel dostał, kuchnia też wie.

Następnie odwrócił się na pięcie i bez słowa wyszedł. No, spróbowałby tak u Nowakiewicza! Pamiętam jakby to było wczoraj, że Zielonka wyleciał od niego za to, że miał nie zapięty mundur. Czerwony ze złości musiał się wtedy pozapinać, zapukał i dopiero wszedł. A Zielonka był chorążym i dowódcą plutonu, czyli w hierarchii jednostki stał oczko wyżej niż sierżant Oborniak, szef kompanii, krótko mówiąc gaciowy.

Jeszcze nie ochłonąłem, gdy kapitan zafundował mi nowe przeżycia:

– Siądź sobie – pokazał ręką krzesło. – Niewiele mam do przekazania. Ten miesiąc, jaki wam pozostał do końca służby, musimy jakoś razem przeżyć. Nie życzę sobie kilku rzeczy. Po pierwsze jeśli napijesz się gdzieś wódki, to proszę nie łazić po jednostce, nie ryczeć „rezerwaaa". Po drugie, jeśli nawet wiesz, że jestem w swoim gabinecie, ale drzwi są

zamknięte na klucz, to proszę się nie dobijać, bo i tak nie otworzę. A już całkowicie wypraszam sobie kopanie w drzwi i krzyki w stylu: „Dawaj przepustki". Rozumiemy się?

Całkowite zaskoczenie sprawiło, że dopiero po chwili odpowiedziałem.

– Tak jest, obywatelu kapitanie! Rozumiem.

Kapitan spojrzał na mnie uważniej i mówił dalej, szukając jednocześnie czegoś w dokumentach leżących na biurku.

– Widzę, że mam do czynienia z rozsądnym człowiekiem, więc pewnie nie będziemy wchodzili sobie w drogę. Z wszelkimi sprawami proszę zgłaszać się do dowódców plutonów lub do szefa – na chwilę przestał mówić czytając jakiś dokument, który udało mu się w końcu znaleźć.

– Acha, zostajesz na zawodowego. Bardzo dobrze. A badania lekarskie robiłeś przed wojskiem?

– Nie. Nie robiłem żadnych badań, obywatelu kapitanie.

– To masz kartę i w ciągu tego miesiąca musisz porobić badania, bo inaczej będziesz miał kłopoty z przyjęciem. Bez badań nie powinno cię tutaj być.

– Nic mi kadrowiec nie mówił… – zacząłem się tłumaczyć, ale kapitan przerwał podając kartkę.

– Dobrze, dobrze. Na karcie masz wypisane gdzie który lekarz przyjmuje. To wszystko. Idź już – powiedział, znowu zaczynając grzebać w dokumentach na biurku.

Podszedłem do drzwi i regulaminowo odwróciłem się twarzą do kapitana. Stuknąłem obcasami i wyrecytowałem:

– Obywatelu kapitanie, proszę o pozwolenie wyjścia!

– Co, co? – półprzytomny popatrzył podnosząc głowę. – Przecież powiedziałem – idź już.

– Tak jest – kiwnąłem głową i wyszedłem.

W sali położyłem się na łóżku i próbowałem zrozumieć kto tu zwariował: ja czy kapitan. Zupełnie nie wiedziałem co mam myśleć o tym kopaniu w drzwi. Przecież niemożliwe, żeby któryś z chłopaków odważył się to zrobić…?

Z takimi myślami usnąłem. Obudził mnie jakiś ryk bardziej przypominający zwierzęcy niż ludzki głos.

– Huraa! „Tygrys" wrócił! Jiiii! Juuuuhu!

Osobą (a jednak) , która wydawała te dźwięki, był Tomek Prus, zwany przez nas „Bęckiem". Zeskoczyłem z łóżka. Wyściskał mnie jakbyśmy się nie widzieli ze dwa lata. Przy okazji odgadłem, dlaczego był taki wylewny. Wódą niosło na kilometr. Tak samo od Zbyszka Paczesia, Dybciaka i Piekarskiego. Wrócili ze służby na mieście, tam musieli się tak zaprawić. Do sali, słysząc chyba te ryki, wszedł Strzyż.

– „Tygrys" wrócił, dowódco! – krzyknął Zbyszek, gdy tylko go zobaczył.

– Nie drzej ryja! Widzę przecież. Ślepy nie jestem – powiedział chorąży uśmiechając

się i podając mi rękę. – Cieszę się. Wpadnij do mnie po kolacji. Mam dzisiaj dyżur, to sobie pogadamy.

– Tak jest dowódco – odpowiedziałem.

Poszedłem z kompanią na obiad. Oczywiście już wcześniej przygotowałem się i przypiąłem „falę". Jako jedyny szedłem w moro, bo chłopcy nie przebierali się, lecz szli w mundurach. Przy okazji mogłem przyjrzeć się nędznym resztkom liczącej niegdyś sto osób kompanii. Teraz było nie więcej niż sześćdziesięciu. Mimo że szli czwórkami, było to jakieś bezładne przejście. Krok bez przybicia, bez wymachu rąk, niewyrównane szeregi, krótko mówiąc – bałagan. Chłopcy nie prezentowali się najlepiej. Pozapuszczali wąsy. Włosy, jak przystało na rezerwistów, mieli o wiele za długie. Pasy nawet przy mundurach wyjściowych opadały na klapy dolnych kieszeni i wisiały, obrazując dokładnie określenie „pas prawie na jajach". Czapki, kiedyś okrągłe i sztywne, były zdeformowane. Część wyjęła usztywniacze i czapki wisiały jak kapelusz starego grzyba. Inni powykręcali je tak, że do złudzenia przypominały czapki niemieckiego gestapo. Dodać do tego należy niewyprasowane i wyplamione mundury i spodnie. Był to dowód całkowitego rozluźnienia dyscypliny. Na stołówkę wpadli oczywiście z krzykiem i przepychankami. Odzwyczaiłem się od pobierania posiłków z okienka i ogólnych przepychanek, ale jakoś udało mi się zjeść obiad. Gdy wszyscy czterej chłopcy siedzący przy jednym stoliku zjedli, walili razem sztućcami w blaszane tace krzycząc:

– Rezerwie do cywila zostało trzydzieści dni!

Następnie wstawali i wychodzili.

Tak samo i my zakończyliśmy posiłek. Oderwałem kawałek miary z cyfrą trzydzieści jeden i teraz spod klapy wystawała mi trzydziestka. Gdy wychodziliśmy ze stołówki, „Bęcek" złapał za kołnierz jakiegoś „młodego" i zapytał go:

– Ile, kocie, zostało rezerwie do cywila?

Chłopaczyna zdezorientowany zamrugał oczami i wybrnął z sytuacji:

– Mało!

"Bęcek" puścił go i poszliśmy dalej.

Dopiero na kompanii mogłem z nimi pogadać i zapytać o rzeczy, które zdziwiły mnie na początku. Pokładliśmy się na łóżkach i zagadnąłem Zbyszka Paczesia, który leżał zamyślony i palił papierosa:

– Słuchaj, Zbychu, dlaczego przy drzwiach nie ma zamków i klamek?

– Bo Szambonurek wymontował. Zamykali się chłopaki i pili na salach, to się wkurwił i wymontował.

Domyśliłem się, że chodzi o Oborniaka.

– No a w jednej sali nie ma w ogóle drzwi…

– Bo podparli je szafkami i nie chcieli go wpuścić. To im zabrał, gdy pojechali na

służbę. Ale później obiecał, że za parę piw odda. Chłopaki powiedzieli, że im brak drzwi nie przeszkadza. I tak mieszkają już tydzień, a piwa nie chcą mu postawić – opowiadał śmiejąc się.

Dawało mi to wiele do myślenia, ale pytałem dalej.

– Kapitan mówił coś o kopaniu w drzwi, ale nie mogłem zrozumieć o co mu chodziło. Ktoś w jego drzwi kopał?

– W jakie drzwi? – zapytał Zbyszek.

– No od jego pokoju…

– A, pewnie chodzi o to co było wczoraj. Obiecał Kurzęckiemu urlop na dwa dni, a później nie chciał dać. Schował się w swoim pokoju, zamknął drzwi na klucz i udawał, że go nie ma. Kura był pijany to podszedł i mu parę razy przykopał w te drzwi. Darł się: „Dawaj przepustki!", aż go chłopaki musieli na siłę wciągnąć do sali i uspokajać.

– I on pozwala na takie rzeczy? – zapytałem zdumiony.

– To sierota! Chyba się nas boi. Wieczorem stan kompanii sprawdzają tylko dowódcy plutonów. On nigdy. Przemyka się korytarzem i zamyka w swoim pokoju.

Po kolacji poszedłem do Strzyża.

Zacząłem oczywiście od czyszczenia akwarium, bo trochę zarosło. Strzyż zaczął rozmowę:

– Nie chcesz zostać u nas – stwierdził na początku.

– Nie. A skąd obywatel chorąży wie?

– Gdybyś zostawał, to by cię Śluza nie odsyłał, ale byłbyś u niego cały czas. A gdzie się przenosisz?

– Do Bielska-Białej. Też do „tygrysów".

Skończyłem robotę przy akwarium. Filtry były czyste, wystarczyło zrobić trochę porządku z roślinami.

Siadłem w fotelu obok Strzyża.

– Bielsko-Białą sam wymyśliłeś czy ktoś cię namówił? – zapytał.

– Baca. Sierżant z plutonu ma tam kumpla i wydzwaniał do niego. Podobno jest nieźle z mieszkaniami i w ogóle robota lepsza niż tutaj.

– To dobrze. Czasami będziesz mógł zajrzeć na stare śmieci – powiedział Strzyż i po chwili zapytał. – A jak tu na kompanii? Co chcesz robić?

– Jak to co? Na służby jeździć. A mam jakiś wybór? – zapytałem zdziwiony tym pytaniem.

– Wybór masz, bo mam dla ciebie propozycję. Chcę, żebyś co drugi dzień pełnił służbę podoficera dyżurnego na kompanii. No jak?

– Jeżeli będę co drugi dzień ciągnął służbę, to o przepustkach mogę zapomnieć – powiedziałem szybko kalkulując czy mi się ta fucha opłaca.

– Nie, nie – roześmiał się. – Jak będziesz chciał jechać na przepustkę, to się kogoś

wystawi za ciebie. A zresztą, ile będzie tych przepustek? Najwyżej dwie, bo więcej razy nie będzie ci się chciało jechać. To jak, zgadzasz się?

– No, nie wiem – powiedziałem próbując dać sobie czas do namysłu.

– Jeszcze dwa, trzy dni i kompania przestanie chodzić na służby i będzie pełniła warty – dorzucił Strzyż kolejny argument.

Tą informacją mnie przekonał. Zaczynał się grudzień i lepiej mi będzie siedzieć w cieple na kompanii niż stać na mrozie na warcie.

– Zgadzam się – powiedziałem. – Ale niech dowódca mi powie, dlaczego mam pełnić służbę podoficera? Przecież są kaprale na kompanii i to należy do ich obowiązków. Ja jestem cienki szeregowiec. Jaki ze mnie podoficer?

Roześmiał się tylko i powiedział:

– Tobie nikt klucza nie zabierze.

– Jakiego klucza?

– A, racja, nic nie wiesz. Codziennie o godzinie dwudziestej drugiej któryś dowódca plutonu musi sprawdzić stan kompanii. Potem wychodzi do domu, a podoficer dyżurny zamyka na kłódkę kratę w wejściu na kompanię. Otwiera ją dopiero o szóstej rano, kiedy przychodzi szef Oborniak. Od dwudziestej drugiej do szóstej rano odpowiada za ludzi…

Patrzyłem zdziwiony na niego.

– A po co to zamykanie?

– Jakbyś nie zamknął kraty, to w nocy cała kompania poszłaby na miasto, na lewiznę. Ci, który zostają na zawodowych, jeszcze trochę się pilnują, ale wychodzący do cywila mają wszystko w dupie. Dlatego będą mieli warty, a nie służby, bo strach ich wypuścić na miasto. Ledwo wyjdą na patrol, zaraz się spiją i narobią bałaganu – mówił Strzyż ze smutkiem w głosie, chyba wspominając czasy, kiedy była to najbardziej zdyscyplinowana kompania w jednostce.

– Czy ostatnio zabrali komuś klucz od kłódki? – zapytałem.

– Tak. Podoficer nie chciał wypuścić na lewiznę, to go chwycili we trzech, zabrali klucz i pół kompanii rano do niczego się nie nadawało, a kilku wróciło dopiero koło dziesiątej. Inna sprawa, że podoficerem był Kramer. Nie dość, że chudy i mały, to jeszcze pijany tak samo jak i reszta.

– Jeśli mnie w kilku obskoczą to też nie dam sobie rady.

– Do ciebie nie wystartują, bo będą się bali. Abyś nie pił za dużo, to sobie przesiedziesz ten miesiąc w cieple. No powiedz, czy chcę źle?

– Dobrze, chcę i dziękuję, że dowódca pomyślał właśnie o mnie.

Na tym zakończyła się nasza rozmowa. Słowa Strzyża sprawdziły się dokładnie. Już od następnego dnia chłopcy zamiast na służby zaczęli pełnić wartę wokół jednostki i wokół WUSW. Miałem jeszcze dzień wolny i dopiero potem zacząłem służby jako podoficer

dyżurny. Zaczynała się ona odprawą u oficera dyżurnego i polegała na siedzeniu na korytarzu przy stoliku, odbieraniu telefonów i prowadzeniu kompanii na posiłki. Na zmianę ze mną podoficerem dyżurnym był Szczygielski z drugiego plutonu. Był na kursie dowódców drużyn i miał stopień kaprala. Niższy ode mnie o głowę, cięższy był pewnie o trzydzieści kilo i chyba ogrom jego sylwetki sprawiał, że był w stanie utrzymać w ryzach największych pijaków.

Najgorsza była noc. Nie dość, że chciało się spać, to przynajmniej do północy zawsze ktoś łaził i marudził. Najczęściej ktoś niedopity chciał, żeby wypuścić go z kompanii „tylko po flaszkę". Podpytałem Szczygielskiego kogo można puścić, a kogo nie i zrobiłem sobie listę, której konsekwentnie przestrzegałem. Zaufani wracali zawsze przed szóstą i nie zdarzyło się, żeby nawalili. Po prostu mieli dziewczyny w Katowicach i do nich się urywali. Jeden miał dom i żonę o pół godziny drogi tramwajem i jak miałem go nie puścić?

Wypuszczanie z kompanii na „lewe" wyjścia przynosiło też korzyści. Według niepisanego prawa każdy wracając musiał przynieść przynajmniej piwo dla podoficera. Czasami wychodzili i wracali w kilku, wtedy przynosili pół litra wódki. Szczygieł nie powiedział mi nic więcej i byłem mocno zdziwiony, gdy o szóstej wszedł na kompanię sierżant Oborniak i od razu otworzył drzwi szafki przy stoliku podoficera.

– O, aż trzy flaszki dzisiaj i cztery piwa? – odpowiedział zdziwiony.

– Nno tak – bąknąłem speszony.

– No to biorę dwie wódki, a ty zabieraj resztę. Dobrze? – zapytał.

– Oczywiście, szefie.

Nawet nie pomyślałem, żeby się sprzeciwiać. Ale później, gdy okazało się, że taki jest rytuał dnia i szef codziennie rano zagląda do tej szafki, zacząłem trochę bronić się przed jego pazernością. Część butelek chowałem u siebie w sali i oddawałem mu tylko połowę pozostałych. Patrzył czasami na mnie podejrzliwie, ale nic nie mówił.

Część napojów wypijałem sam albo ze Zbyszkiem. Większość jednak odsprzedawałem. Czasami zdarzało się, że butelkę wódki odkupowała ode mnie ta sama osoba, która mi ją wcześniej dała. Nikt jednak nie narzekał, bo ceny miałem takie jak w sklepie. A poza tym nikogo nie zmuszałem do kupowania.

Nie tylko Oborniak, ale chyba i pozostali z kompanijnej kadry wiedzieli o tych praktykach. Któregoś dnia na kompanię przyszedł Strzyż. Już z daleka można było się zorientować, że ma kaca giganta. Twarz zmięta, oczy podkrążone, nie ogolony. Nawet się nie zastanawiał, tylko od razu przyszedł do mnie i zapytał czy nie mam piwa. Oczywiście dostał jedno, ale od tego dnia byłem pewny, że cała kadra wie o lewiznach.

Dni powoli mijały, z reguły bez większych emocji. Chociaż, prawdę mówiąc, mocnych wrażeń można było doszukać się co dzień. Ponieważ bez przerwy były warty, szefowi nie opłacało się co chwilę zbierać i wydawać broni. Doszło do tego, że cały czas

na salach poniewierały się naładowane karabinki Kałasznikowa. Dowódcy plutonów mówili, że kiedyś dojdzie do tragedii na skutek lenistwa szefa. Kończyło się jednak na mówieniu i broń dalej leżała w salach. Ryzyko jednak było duże, biorąc pod uwagę ilości wódki wypijanej przez chłopaków i to, jak zadziorni byli niektórzy z nich. Kilka razy zdarzyło się, że musiałem rozdzielać walczących. Na szczęście, żaden z nich nie wpadł na pomysł, żeby chwycić za broń. W jednym przypadku w rozdzielaniu bardzo pomocna okazała się gaśnica proszkowa, której użyłem, nie mogąc sobie poradzić z uspokojeniem dwóch chłopaków. Zwarci ze sobą w bójce tarzali się po korytarzu i dopiero proszek prawie dosłownie ostudził rozpalone głowy. Kichali, prychali, przecierali oczy i niewiele brakowało, a obaj rzuciliby się na mnie. Na szczęście powoli uspokoili się.

W zdawaniu i pobieraniu broni nie zmieniło nic, nawet to, że któregoś dnia jeden z karabinów przypadkowo wypalił. Pocisk przebił po kolei trzy gipsowe ścianki oddzielające sale. Przechodząc przez ostatnią przebił też na wylot wiszącą na ścianie panterkę jednego z chłopaków. Na szczęście, cudownym zrządzeniem losu nie trafił nikogo po drodze. Tego dnia szef trochę przestraszony zebrał broń, ale już następnego nie chciało mu się i sytuacja wróciła do stanu poprzedniego.

W dni wolne do południa spałem, a po południu szedłem na salę poćwiczyć albo na basem popływać. Przez pierwszy tydzień chodziłem nie wyspany, bo jeździłem do Polikliniki na badania. Na szczęście, wyniki były dobre i szybko uporałem się z nimi dzięki temu, że odnalazły się badania jakie robiono mi w trakcie pobytu w szpitalu. Miałem szczęście, ale dużo gorzej poszło dwóm chłopakom z trzeciego plutonu, którzy też przyszli do ZOMO bez badań. Okazało się, że komisja lekarska zakwalifikowała ich jako całkowicie niezdolnych do służby w Milicji Obywatelskiej. Jednego odrzucił okulista, a drugi miał problemy z sercem. Głupio to wyszło. Chłopcy dwa lata przesłużyli w ZOMO, w pierwszorzutowej jednostce i nic się nie działo, a teraz, gdy chcieli zostać na zawodowych, okazało się, że są niezdolni do służby. W ich sprawie kilka razy jeździł do Polikliniki Oborniak i coś załatwiał. W końcu tak tam namieszali i unaprzykrzali się wszystkim, że komisja zmieniła decyzję i uznała ich za zdolnych do służby zawodowej. Ile jednak stracili nerwów i ile pieniędzy wpakowali w Oborniaka i lekarzy, to tylko oni wiedzą.

W połowie grudnia, gdy wróciłem z trzydniowej przepustki, zdarzył się wypadek, który kosztował mnie sporo nerwów. Tego wieczora wypuściłem do miasta na noc sporo chłopaków. Na kompanii było pustawo. Gdyby chciał ją sprawdzić oficer dyżurny, byłaby draka na całą jednostkę. Na szczęście oficerowie dyżurni woleli na starą kompanię nie zaglądać, przewidując pewnie, co by zastali.

W pewnej chwili zaczął się awanturować niedopity Jasio Bartodziej. Uparł się, że pójdzie do miasta po wódkę i wszelkimi sposobami próbował przekonać mnie, że wróci. Posuwał się nawet do tego, że obiecywał powrót z litrem wódki, który miał wypić razem ze mną. Oczywiście trwałem nieugięty, bo wiedziałem, że wypuścić Jasia nie mo-

gę. Ostatnio z legalnej przepustki wrócił dzień później, więc z „Jewizny" też nie mogłem spodziewać się innego powrotu. Na nieszczęście, nie miałem żadnej butelki, żeby sprzedać Jasiowi. Prawdopodobnie dopiłby się i miałbym spokój, a tak co chwilę wędrował z sali do mojego stolika i jęczał.

– No nie bądź świnia. Weź wypuść. Zaraz wrócę. Tylko na metę. Góra pół godziny i już będziemy se pili. No, weź wypuść.

Gdy przyszedł szósty raz, nie wytrzymałem nerwowo i zagroziłem:

– Jeszcze raz mi tu przyleziesz, Jasiu, i żarty się skończą. Idź spać i nie marudź. Będziesz chodził i jęczał, to ci w końcu wpierdolę i tak się skończy. Żebyś na łbie stanął, i tak cię nie wypuszczę.

Popatrzył na mnie spode łba i powiedział:

– Tak? To zobaczysz, kurwa, że i tak wyjdę!

Poszedł do sali, a ja odetchnąłem z ulgą puszczając mimo uszu jego słowa.

Jakież było moje zdziwienie, gdy po pięciu minutach zobaczyłem Jasia wchodzącego po schodach z drugiej strony kraty. Był blady jak ściana i trzymał się obiema rękoma za jaja.

– Otwieraj szybko i dzwoń po pogotowie! – krzyknął.

Podbiegłem i otworzyłem kłódkę. Spomiędzy palców i po nogawkach płynęła Jasiowi krew. Wszedł do sali. Położył się na łóżku i zaczął kołdrą tamować krew. Stałem w osłupieniu i patrzyłem co robi. W końcu otrząsnąłem się z zaskoczenia.

– Co ci się stało? – zapytałem.

– Po rynnie… chciałem zjechać. Obsunąłem się i zaczepiłem jajcami o taką opaskę z blachy… Chyba se całą torbę rozerwałem – wystękał.

Chłopcy w jego sali obudzili się, a ja pobiegłem do telefonu. Przez myśl mi tylko przebiegło, że jeśli pomoc szybko nie przyjedzie, to Jasio może wyciągnąć kopyta z upływu krwi. Krocze to jeden z najbardziej ukrwionych rejonów ciała. Na dokładkę Jasio, pijany, więc krew zasuwa prawie nie krzepnąc.

Wykręciłem numer oficera dyżurnego i przekazałem mu jakie Jasio ma obrażenia i że błyskawicznie potrzebna jest karetka. Jakiś porucznik koniecznie chciał się dowiedzieć, jak to się stało. Ponieważ na razie nie wiedziałem co mu skłamać, zbyłem go:

– Obywatelu poruczniku, wszystko się wyjaśni, tylko ściągnij pan piorunem karetkę, bo się chłopak wykrwawi.

Zdążyłem polecieć do Jasia do sali i zobaczyć co się z nim dzieje, gdy zadzwonił telefon. Jasio był jeszcze przytomny, a telefonował oficer dyżurny.

– Karetka w drodze, ale nie nasza resortowa, tylko cywilna. Podrzucą go do Polikliniki, bo nasze wszystkie gdzieś w trasie. Dopilnuj, gdy będą go zabierali, żeby nie miał przy sobie broni ani tajnych dokumentów.

– Tak jest – odpowiedziałem i odłożyłem słuchawkę.

Niezły idiota musi być z tego porucznika, jeśli tak dobrze zna regulamin. W takiej chwili przypominać zasady przewozu rannych milicjantów przez karetkę spoza resortu mógł tylko skrupulant służbista. Przestraszyłem się trochę, że przylezie na kompanię i zacznie wtrącać się we wszystko, a zwłaszcza liczyć ludzi. Trudno. Co będzie to będzie, teraz najważniejszy był Jasio.

Karetka podjechała na sygnale pod budynek kompanii. Młodziutka lekarka, kierowca i pielęgniarz wbiegli od razu z noszami na górę. Jasio był bardzo blady, gdy lekarka łagodnie zmusiła go, żeby wyjął kołdrę spomiędzy nóg. Gdy zaczęła rozpinać mu spodnie i oglądać obrażenia, zemdlał. Zauważyłem, że dziewczyna rozgląda się dookoła jakby przestraszona. Kiedy kierowca i pielęgniarz przekładali Jasia na nosze, patrzyła się okrągłymi ze zdziwienia oczami na to, co zastała w pokoju. A było na co popatrzeć. Na łóżkach wisiały porozwieszane kałachy, a na szafkach leżały kaski i pały. Na środku stało wiadro z wodą i pływającymi w niej petami. Nawet ze stołu nie chciało się chłopakom sprzątnąć i stały tam cztery butelki po wódce i resztki zakąski. Pomijając zakrwawioną pościel Jasia, wszędzie panował brud i fetor wódy jednoznacznie kojarzący się z meliną. Na dokładkę, gdy lekarka chciała wyjść, patrzyła na broń wiszącą na łóżkach i ręką szukała klamki. Oczywiście nie znalazła jej, bo jej tam nie było, więc popatrzyła tylko na dziurę po zamku. Wyszła na korytarz robiąc miejsce dla niosących Jasia. Gdy zaczęli schodzić po schodach, podeszła do mnie, bo byłem w tej chwili jedynym kompletnie ubranym facetem pomiędzy kilkunastoma półnagimi, którzy z ciekawości wyszli na korytarz.

– Jak się ten pan nazywa? – zapytała.

– Jan Bartodziej – powiedziałem patrząc jak drobniutką rączką zapisuje te dane.

– Jak to się stało? Wie pan?

– Tak. Zjeżdżał po rynnie i zaczepił… no… – nie wiedziałem jak powiedzieć i nieoczekiwanie dla samego siebie zaczerwieniłem się.

Chyba dlatego, że lekarka była taka młoda.

– Moszną – pomogła mi. – Zaczepił moszną.

– Tak, o blaszaną opaskę i na niej tak się pokaleczył – dokończyłem z ulgą.

– Pił dzisiaj alkohol? – zapytała szybko.

– Ooo. Na pewno.

– Ile?

– Nie wiem, ale prawdopodobnie sporo.

– Dziękuję – powiedziała i szybko poszła w kierunku wyjścia z kompanii.

Oddzwoniłem szybko do oficera dyżurnego, żeby przypadkiem nie wybrał się teraz do mnie. Ale jemu widocznie nie spieszyło się, bo kazał mi na rano przygotować raport na piśmie. W ten sposób całe zdarzenie przeszło bez większych zgrzytów. Jasio przeżył, ale do końca służby pozostał w szpitalu. Mnie natomiast na długo w pamięci pozo-

stały okrągłe ze zdziwienia oczy pani doktor, gdy weszła do sali. Tak reagował normalny człowiek na widok tego, co działo się w mojej kompanii pod koniec służby.

Grudzień powoli mijał i zbliżały się święta. Mieliśmy nadzieję, że zwolnią nas kilka dni wcześniej, ale, niestety, musieliśmy zostać na święta i nie było na to żadnej rady. Aż mi skóra cierpła na myśl o tym, co się będzie działo na kompanii w te dni. Strzyż pocieszał mnie, że przez całą dobę będzie na kompanii ktoś z kadry.

– Poza tym w Wigilię, w nocy, będą mieli służbę na mieście i pierwszy dzień świąt prześpią. W drugi dzień mają popołudniówkę, to też jakoś przejdzie – zastrzelił mnie nowiną siedząc u mnie przy biurku i pijąc kawę.

– Dla mnie to lepiej. Mam służbę w Wigilię i drugiego dnia świąt. Ale jak dacie sobie z nimi radę na mieście, nie wiem – powiedziałem mając na myśli dowódców plutonów.

– Jakoś to będzie. Mam tylko nadzieję, że się szybko nachlają i nie zdążą narozrabiać. A w ogóle, niech się martwi ten, który wpadł na taki wspaniały pomysł. Ja najchętniej puściłbym was już do domu i byłby święty spokój – zakończył z gniewem.

Po chwili dodał: – Owszem, to była dobra kompania i sporo się chłopaki naszarpali przy różnych okazjach. Ale teraz zrobił się już taki burdel, że mam dosyć. Chce mi się już młodej kompanii. Parę miesięcy porządku, dyscypliny, spokoju.

– Młodych chce obywatel chorąży szkolić z tym dowódcą kompanii? – zapytałem zdziwiony, bo nie wyobrażałem sobie naszego poczciwego kapitana „docierającego" kompanię na poligonie albo wydającego komendy podczas musztry.

– Czyś ty zgłupiał? – obruszył się. – Na pewno dadzą kogoś innego jak młodzi przyjdą.

Wbrew obawom święta minęły w miarę spokojnie. Co prawda w Wigilię dwóm chłopakom z czwartego plutonu zachciało się śpiewać kolędy. Szli pijani środkiem ulicy i podtrzymując się nawzajem wydzierali się na całe gardła „Bóg się rodzi, Moc truchleje". Pech chciał, że było to tuż przed północą i mijali ich ludzie idący na Pasterkę. Ubaw musieli mieć po same pachy, gdy patrzyli na dwóch zataczających się milicjantów w porozpinanych płaszczach i próbujących śpiewać kolędę. Baka opowiadał później, że gdy ich zabierał kilka osób stało na chodnikach i biło im brawo. Taki wyczyn to jeszcze pół biedy. Nikt przynajmniej nie będzie pisał skarg. Ot, pośmiali się ludzie z dwóch napitych bałwanów i tyle.

Końcówka służby wypadłaby pewnie dużo gorzej gdyby nie to, że chłopcy byli bez pieniędzy. Oborniak nie chciał wcześniej wypłacić. Obiecał, że zrobi to dopiero w dniu odjazdu i słowa dotrzymał. Pożyczyć chłopcy nie mieli od kogo, więc tylko miotali się bezsilni po kompanii i trzeba było bardzo uważać na swoje rzeczy. Zginąć mogło wszystko, co tylko dało się spieniężyć, ale największym powodzeniem cieszyły się moro i kajdanki. Nowe moro można było sprzedać na bazarze, a kajdanki kupowali chłopcy z innych kompanii. Na szczęście, nie oddalałem się z kompanii, bo moje mo-

ro cieszyłoby się dużym wzięciem. Niejeden z chłopaków łakomie na nie spoglądał i kiedy je wyprałem, prawie nie ruszałem się z sali czekając, aż wyschnie na kaloryferze. Nie udało mi się natomiast upilnować zegarka. Miałem nawyk zdejmowania go zawsze wtedy, gdy nie musiałem mieć go na ręce. Siedząc przy stoliku w trakcie służby też zawsze zdejmowałem go i kładłem na wierzchu, żeby był widoczny i jednocześnie nie przeszkadzał. Niestety, wystarczyło, że odszedłem dosłownie na chwilę i wszedłem do łazienki. Gdy wróciłem, zegarka już nie było. Zniknął, tak jakby wyparował, bo nie słyszałem nawet kroków, czy trzaśnięcia drzwiami na korytarzu. Pozostało mi tylko cieszyć się, że poniosłem tak małe straty. Ile komu zginęło, okazało się dopiero przy zdawaniu sprzętu. Byli i tacy, którzy mieli oddać szefowi połowę poborów zanim podpisał im obiegówkę.

Rozliczanie się nastąpiło na dzień przed wyjazdem. Na ostatnią noc zostawiliśmy sobie tylko po jednym kocu i przespaliśmy się w cywilnych ubraniach. Na szczęście służby już nie miałem i mogłem odpocząć. Na tę noc dyżurnym został chorąży Zielonka. Było to bardzo mądre posunięcie, bo nikt inny nie byłby chyba w stanie utrzymać chłopaków na kompanii i nie dopuścić do tego, żeby wyleźli do miasta. Zielonka zrobił to doskonale, ale kosztowało go to sporo nerwów. W kilku salach chłopcy wykrzesali resztki swoich finansów i pili ostro. Gdy zaczęli śpiewać, chorąży zajrzał do nich i zaraz tego pożałował. Przywitały go takie wyzwiska, że aż niemożliwe wydawało się wymyślenie większej liczby epitetów dotyczących jednej osoby. No cóż. Nie był zbyt lubianym dowódcą i tej nocy zebrał plon swojego postępowania.

Na krótki apel poranny na korytarzu przyszedł ku naszemu zaskoczeniu Nowakiewicz. Jego wejście ktoś z tylnego rzędu zaznaczył oklaskami i reszta kompanii to podchwyciła. Gdy ucichło się i zaczął mówić, słychać było, że głos więźnie mu w gardle, a oczy zrobiły mu się podejrzanie małe i wilgotne. Życzył nam dobrego urlopu, podziękował za służbę i szybko wyszedł z kompanii. Nasza służba kończyła się ostatniego dnia stycznia i teraz wyjeżdżaliśmy po prostu na przysługujący nam po drugim roku służby miesiąc urlopu.

Ponieważ odebrano nam nawet legitymacje milicyjne, było to faktyczne wyjście do cywila.

Początkowo miałem zamiar jechać pociągiem razem z innymi chłopakami. Później jednak rozmyśliłem się i doszedłem do wniosku, że muszę się urwać. Po co mam jechać z bandą pijanych wariatów, słuchać ich bzdurnych tekstów i znosić wygłupy na najniższym poziomie? Już od dawna nie czułem się jednym z nich i nie bardzo umiałem znaleźć wspólny język. Po pożegnaniu w kompanii urwałem się od całego towarzystwa pod pretekstem zobaczenia jeszcze na koniec „tygrysów". Do plutonu nie poszedłem, bo wiedziałem, że tam nikogo nie ma. Dzwoniłem rano do nich i wybierali się na poligon, więc tylko przez telefon pożegnałem się ze Śrubą.

Wymknąłem się po cichu z jednostki i szybko dotarłem na dworzec. Pociąg, który wybrałem, odjeżdżał tak wcześnie, że niemożliwe było, by ktokolwiek z mojej kompanii zdążył. Chłopcy wzięli od szefa pieniądze i pierwsze kroki skierowali do knajpy.

Po drodze przyplątało mi się nie wiadomo dlaczego jakieś poczucie winy. Poczułem się w pewnym momencie jakbym uciekał jak tchórz. Była to jednak tylko chwila i zaraz zrobiło mi się dużo, lepiej gdy uświadomiłem sobie, jaka czekała mnie podróż razem z chłopakami. Teraz jechałem sobie spokojnie i bez czyjegokolwiek uciążliwego towarzystwa. Tym razem nie mogłem prosić konduktora o umieszczenie mnie w oddzielnym przedziale. Nie miałem legitymacji.

Złościło mnie, że zostałem pozbawiony udogodnień, jakie wiązały się ze statusem milicjanta. Pocieszyłem się zaraz, że za miesiąc znowu będę miał legitymację i wszelkie niepisane i pisane prawa, jakie ona daje.

Ledwie tydzień pobyłem w domu, a już pognało mnie do Bielska-Białej. Uważałem ten wyjazd za konieczny. Za trzy tygodnie miałem tam rozpocząć pracę. Oprócz rozmów w kadrach i w plutonie miałem zamiar rozejrzeć się za mieszkaniem do wynajęcia. Na razie tylko dla mnie, ale z możliwością zamieszkania w nim także Izy.

Pierwsze kroki po przyjeździe skierowałem do WUSW do kadr. Tęgi i niski mężczyzna, który przedstawił mi się jako porucznik, bezradnie rozłożył ręce. Powiedział, że żaden raport z Katowic do niego nie dotarł, a nawet gdyby dotarł to i tak musiałby odpowiedzieć na niego negatywnie. Po prostu pluton ma pełną obsadę i nikogo nie przyjmuje.

Wyszedłem jak otumaniony. Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Co począć? Jak sobie poradzić? Jednym wyjściem była podróż do Katowic. Chciałem dowiedzieć się w kadrach, dlaczego mój raport nie dotarł do Bielska-Białej.

Udało mi się dojechać jeszcze przed końcem urzędowania. Kadrowiec nie bawił się w grzeczności i owijanie w bawełnę. Powiedział wprost:

– Wiedziałem, że towarzysz do mnie przyjedzie. To ja nie puściłem tego raportu. Nie po to wyłożyliśmy pieniądze na szkolenie towarzysza, żeby tak po prostu zrobić prezent innej jednostce. Potrzebni nam tutaj, w Katowicach ludzie, którzy się sprawdzili.

Ze złości i zdumienia nie wiedziałem co powiedzieć. Stałem, patrzyłem na tego człowieka i zastanawiałem się, jak można być takim skurwysynem. Nie przejmując się moim milczeniem mówił dalej, ale przeszedł na ty.

– Jeśli, chłopcze, chcesz mieć ciągłość służby i od 1-go lutego zacząć pracę, to pozostały ci tylko Katowice. Postaramy się o mieszkanie dla ciebie i za parę lat przyjdziesz do mnie z flaszką, żeby podziękować za pomoc w podjęciu decyzji.

Przez chwilę zawahałem się, ale zaraz przez myśl przebiegły mi obrazy z działań przeciwko tłumowi. Było to wrażenie jeszcze gorsze niż świadomość wszechobecności dymu, pyłu i sadzy, z którymi przedtem kojarzył mi się Śląsk. Od razu pomogło i przeszły mi wszelkie głupie myśli.

– Pocałuj mnie pan w dupę razem ze swoim mieszkaniem, Śląskiem i całym pierdolnikiem tutaj – powiedziałem trochę bez sensu dusząc w sobie pasję.

Decyzja była już podjęta, więc jedyne, co mi pozostało, to porządne trzaśnięcie drzwiami. Wykonałem to bardzo dokładnie, aż obejrzeli się ludzie stojący na korytarzu.

W silnym postanowieniu nie zadawania się z milicją nigdy więcej wytrwałem do pierwszego spotkania z Izą. Jej rodzice coraz mocniej fukali na nas za te amory, więc trzeba było jak najszybciej zabrać ją z tego domu. I znów z kłopotów wybawiła mnie matka i jej znajomości. Gruby Wojtek z radością pomógł mi złożyć podanie w kadrach w mojej rodzinnej miejscowości. Okazało się, że na kadrowca w Katowicach też jest sposób. Po prostu przyjęli mnie tak jakby od nowa, a do niego wysłali pismo, żeby przesłał moje dokumenty.

Do Katowic pojechałem jeszcze na pożegnanie. Strzyż uprosił mnie, żebym z trybuny podziękował kadrze za wyszkolenie i za prawie dwa lata spędzone w ZOMO. Na pożegnanie spędzono prawie całą jednostkę. Był też pluton specjalny. Patrząc z trybuny na twarze Miśka, Zgagi, Bacy, Śluzy i innych wzruszyłem się tak mocno, że ledwo dokończyłem czytania przemówienia.

Jednak gdy po uroczystości powędrowałem do siedziby „tygrysów", nie zastałem nikogo. Oficer dyżurny powiedział, że cały skład wysłał na akcję. Nie chciał nawet powiedzieć, kiedy wrócą. No tak, przecież już nie służyłem w tej jednostce, więc nie byłem „swój".

Następnego dnia po powrocie z Katowic zacząłem pracę jako zawodowy milicjant. Znowu miałem legitymację, znowu byłem „swój" i znowu miałem wszystkie pisane i niepisane prawa.

Agencja Wydawnicza CB poleca w serii

BEZ RETUSZU

Piotr Lipiński:	HUMER I INNI
Stanisław Dronicz:	WOJSKO NIEOCENZUROWANE. OD LENINA DO DRAWSKA
Jacek E. Wilczur:	OJCZYZNA NIE UDZIELA URLOPÓW. NIE PRZEMINIE Z WIATREM...
Włodzimierz Kusch:	NAZBYT BLISKIE SĄSIEDZTWO. KULISY RADZIECKIEJ I POLSKIEJ ATOMISTYKI PO II WOJNIE ŚWIATOWEJ
Jacek Wilamowski:	DYREKTYWA: MILCZEĆ! ZA KULISAMI MSW I NIE TYLKO
Jan Pomianowski:	W KRĘGU PROWOKACJI. KULISY SZKOLENIA BEZPIEKI
Zbigniew Cieślikowski:	TAJEMNICE ŚLEDZTWA KO 1042/27. SPRAWA GENERAŁA W. ZAGÓRSKIEGO
Dariusz Gizak:	BY(Ł)EM W ZOMO. TAJEMNICE ODDZIAŁÓW SPECJALNYCH MILICJI
Konstanty Staniszewski:	BYŁEM OFICEREM INFORMACJI WP

W PRZYGOTOWANIU:

Marceli Wieczorek:	SPRAWA PUŁKOWNIKA MICHAŁA GOLENIEWSKIEGO
Ewa Krutein:	UCIECZKA Z GDAŃSKA

W serii TAJNA HISTORIA POLSKI ukazały się dotychczas następujące książki Henryka Piecucha:

AKCJE SPECJALNE

Str. 538
Zdjęć ok. 400
Indeksy: osobowy, nazw geograficznych i etnograficznych, rzeczowy.

***Akcje specjalne. Od Bieruta do Ochaba** są książką o:*
- *walkach wywiadów i werbowaniu agentów przez służby specjalne,*
- *codziennym życiu bezpieki w latach 1944–1956,*
- *sowieckim rodowodzie polskich służb specjalnych,*
- *katach, oprawcach i ich filozofii bicia,*
- *prowokacji stulecia – stworzeniu przez bezpiekę V Komendy WiN,*
- *najważniejszych funkcjonariuszach i agentach biorących udział w grze z delegaturą WiN za granicą,*
- *tajemnicy śmierci gen. A.E. Fieldorfa „Nila",*
- *grze wywiadów z Ukraińcami,*
- *Żydach, zmianach nazwisk i antysemityzmie w MBP,*
- *roli doradców radzieckich w MBP.*

IMPERIUM SŁUŻB SPECJALNYCH

Str. 592
Zdjęć ok. 400
Indeksy: osobowy, nazw geograficznych i etnograficznych, rzeczowy.

*W książce **Imperium służb specjalnych. Od Gomułki do Kani** przedstawiamy:*
- *rodowód i rozwój organizacyjny MBP, K ds. BP i MSW,*
- *trzy oblicza gen. K. Świerczewskiego,*
- *kulisy ucieczki Stanisława Mikołajczyka,*
- *„śmieciarzy komunizmu" – wybranych funkcjonariuszy bezpieki,*
- *wielkie akcje bezpieki,*
- *„czarne kasy" bezpieki,*
- *rolę służb specjalnych Peerelu w wydarzeniach lat: 1944–1948, 1954–1956, 1968, 1970*
- *barwy walki o władzę w latach 1956, 1968, 1970,*
- *autorów i przebieg zamachu stanu w 1970 roku,*
- *działania bezpieki za granicą.*

POŻOGA. W. JARUZELSKI NIGDY TEGO NIE POWIE

Str. 490
Zdjęć ok. 200
Indeksy: osobowy, nazw geograficznych i etnograficznych, rzeczowy.

*W książce **Pożoga. W. Jaruzelski nigdy tego nie powie** pokazano:*
- *życie bezpieki widziane oczami szefa Służby Wywiadu i Kontrwywiadu,*
- *gen. W. Jaruzelskiego i jego najwierniejszego zausznika gen. Cz. Kiszczaka,*
- *walki wywiadów i sposoby łowienia szpiegów,*
- *generałów odpowiedzialnych za wprowadzenie stanu wojennego i ich mafijne działania,*
- *totalną dezinformację narodu w sprawie rzekomego zagrożenia Polski interwencją sił Układu Warszawskiego w 1981 roku,*
- *zabójstwo ks. J. Popiełuszki i kulisy afery „Żelazo",*
- *tajne rokowania z Amerykanami i „plagi Białego Domu" w Warszawie,*
- *„pogotowie seksualne" MSW,*
- *mechanizmy werbowania agentów oraz zwykłych szpicli.*

SŁUŻBY SPECJALNE ATAKUJĄ

Str. 600
Zdjęć ok. 450
Indeksy: osobowy, nazw geograficznych i etnograficznych, rzeczowy.

*W książce **Służby specjalne atakują. Od Jaruzelskiego do Kwaśniewskiego** przedstawiamy:*
- *4 akcje bezpieki – przeciwko ppłk. J. Świtale (po jego ucieczce na Zachód), Z. Brzezińskiemu, J. Nowakowi-Jeziorańskiemu i Z. Najderowi,*
- *grę z „Solidarnością" prowadzoną w latach 1981–1989,*
- *reformę MSW przeprowadzoną przez gen. Cz. Kiszczaka i stworzenie hybrydowego tworu będącego skrzyżowaniem MBP z GZI WP,*
- *najważniejszych agentów bezpieki oraz ich wykorzystanie,*
- *tajemnicze zgony ludzi opozycji i funkcjonariuszy służb specjalnych,*
- *tajne transakcje walutowe, kontrolę zagranicznych i krajowych struktur „Solidarności",*
- *nadzorcę służb specjalnych Peerelu – gen. W. Pawłowa i jego najzdolniejszego ucznia – gen. Cz. Kiszczaka,*
- *fragmenty alfabetu bezpieki – sylwetki zasłużonych funkcjonariuszy MBP, K. ds. BP i MSW,*
- *cele wywiadu PRL na zachodzie,*

BRUDNE GRY.
OSTATNIE AKCJE SŁUŻB SPECJALNYCH

Str. 346
Zdjęć 250
Indeksy: osobowy, nazw geograficznych i etnograficznych, rzeczowy.

*W książce **Brudne gry. Ostatnie akcje służb specjalnych** przedstawiamy:*
- *bolszewicki rodowód służb specjalnych Peerel,*
- *„dzieci diabła" – specjalistów służb specjalnych,*
- *oryginalne sposoby dbania o szczęście mas,*
- *kosmetyków historii,*
- *porywanie i zabijanie ludzi,*
- *sprawy do rozliczenia,*
- *mity służb specjalnych,*
- *nietypowe spojrzenie na stan wojenny,*
- *festiwal gen. W. Jaruzelskiego,*
- *„matrioszki" KGB w Polsce,*
- *czwartą wojnę pułkownika,*
- *„teczkę na gen. Jaruzelskiego.*

SKARB III RZESZY

Str. 300
Zdjęć 150
Indeksy: osobowy, nazw geograficznych i etnograficznych, rzeczowy

*Książka **Skarb III Rzeszy** opowiada o:*
- *akcji ukrywania przez hitlerowców cennych dzieł sztuki, zbiorów, dokumentów, wiosną 1945 roku na Dolnym Śląsku,*
- *kulisach poszukiwań skarbu III Rzeszy,*
- *zainteresowaniu Dolnym Śląskiem ze strony sowieckich służb specjalnych,*
- *aferze tzw. skarbu Piastów Śląskich,*
- *zainteresowaniu poszukiwaniem skarbów przez wojskowe służby specjalne,*
- *nieudanych zamachach na B. Bieruta, W. Gomułkę, E. Gierka, WE. Jaruzelskiego i L. Wałęsę.*

BYŁEM GORYLEM JARUZELSKIEGO.
MÓWI SZEF OCHRONY GENERAŁA I INNI...

Str. 346
Zdjęć 250
Indeksy: osobowy, nazw geograficznych i etnograficznych, rzeczowy.

*Z książki **Byłem gorylem Jaruzelskiego** dowiesz się o:*
- *opiniach szefa ochrony o gen. Jaruzelskim,*
- *kompleksach gen. Jaruzelskiego,*
- *kulisach wprowadzenia stanu wojennego,*
- *agentach i ich nadzorcach,*
- *departamencie X-bis,*
- *kremlowskiej uczcie ludożerców,*
- *kulisach działalności WRON,*
- *damach bezpieki.*

W przygotowaniu

Jacek Wilamowski: **Honor, zdrada, kaźń.**
Afery Polski Podziemnej 1939–1945.

Franciszek Bernaś, Jacek Wilczur:
Piekielny krąg.
Historia Czeka–GPU–NKWD 1917–1953 (tomy I–II).

Książki Agencji Wydawniczej CB
można zamawiać listownie lub telefonicznie:
02-495 Warszawa, ul. Kolorowa 1, tel./fax: 668-49-34

Ceny promocyjne

DARIUSZ GIZAK debiutuje książką *By(ł)em w ZOMO*. Jest to fabularyzowany zapis jego przeżyć podczas służby w plutonie specjalnym milicji w latach 1984-1985.

Książka *By(ł)em w ZOMO. Tajemnice oddziałów specjalnych milicji* przedstawia:

- metody rekrutacji do ZOMO
- kulisy szkolenia funkcjonariuszy ZOMO
- system naboru i metody szkolenia oddziałów specjalnych milicji
- metody prowokacji i pacyfikacji demonstrantów
- akcje oddziałów specjalnych milicji
- poglądy polityczne i nastroje wśród milicjantów w latach 80-tych

JUŻ NIEDŁUGO: książka Konstantego Staniszewskiego *Byłem oficerem Informacji Wojska Polskiego*

Z książki *Byłem oficerem Informacji Wojska Polskiego* dowiesz się:

- czym zajmowała się w latach 1948-1956 osławiona Informacja WP, czyli kontrwywiad wojskowy
- jak szkolono oficerów kontrwywiadu
- czym zajmowali się oficerowie kontrwywiadu w jednostkach wojskowych
- na ilu żołnierzy przypadał jeden konfident Informacji
- jakie były początki kariery wojskowej pułkownika Ryszarda Kuklińskiego

AGENCJA WYDAWNICZA
Cinderella Books
Andrzej Zasieczny